PRZEGLĄD WSPÓŁCZESNY

MIESIĘCZNIK POD REDAKCJĄ
DRA STANISŁAWA WĘDKIEWICZA
PROF. UNIW. JAGIELL.

ROK IX — TOM XXXIII
(KWIECIEŃ—CZERWIEC 1930)

WYDAWCY:
DR STAN. BADENI i KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA
KRAKÓW 1930

ROBERT DE TRAZ

HUMANIZM WSPÓŁCZESNY

OD TŁUMACZA

Rozważania, zebrane poniżej p. t. „Humanizm współczesny", stanowią ostatni fragment większego dzieła zatytułowanego *Duch Genewy,* a którego autorem jest Robert de Traz.

Nazwisko tego pisarza mało jest znane w Polsce, natomiast określenie, które w nagłówku pracy swojej położył, stoczyło się aż do banalności.

Duch Locarna... Duch Genewy... Duch paktu Kelloga... i Hagi... i tylu bezowocnych, zda się czasem, a czasem błędnych poczynań.

Czem jest w istocie swojej ten „duch Genewy"?

Pojąć go możemy w podwójny sposób:

a) Jako wysiłek ku zrealizowaniu istotnej współpracy ludów pod hasłem pokoju powszechnego, a wtedy Genewa odgrywa tu rolę przypadkowego pomieszczenia, zewnętrznych warunków, w których konkretyzują się wskazania praktycznego urzeczywistnienia ideału.

b) Jako atmosferę małego miasta, zamkniętego w obronnej twierdzy surowego kalwinizmu, przesyconego wiekową, choć jednostronną kulturą, z przewagą wiedzy ścisłej nad twórczością artystyczną, a zmieszaną z pewną ciasnotą pojęć, nieodłączną od wszelkiego zamknięcia ideowego nawet w filozoficznem roztrząsaniu objawów życia.

Na pograniczu tych dwóch natur „ducha Genewy" staje Robert de Traz. Dziecko Genewy, potomek rodziny, należącej do tutejszego patrycjatu mieszczańskiego, nieustępliwego, niedostępnego — do niedawna — towarzysko, a broniącego się wszelkim podmuchom nowym, w imię najnowszej dla niego zawsze filozofji i doktryny Kalwina, patrycjatu wrogiego obcemu człowiekowi, odmiennym obyczajom i odmiennemu sposobowi myślenia — Robert de Traz posiada jednocześnie wykwint umysłowy, wypływający z wiekowego przebywania przodków w atmosferze kultury myśli i pojęć, surowość pojmowania życia i czystość — zdumiewającą niemal w epoce naszej — głębokich pobudek

uczuciowych. Posiada jednak coś więcej jeszcze: chęć poznania i ciekawość — tę ciekawość zaczepną, o której tak pięknie mówi. Z nieubłaganej formy religijnej, która ukształtowała intelektualnie i uczuciowo „d u c h a“ m i a s t a G e n e w y, odrzucił to wszystko, co dzieliło krytyką, wyniosłością i nietolerancją, zwalił prawdziwą miłością zapory, dzielące go od ludzi i n n y c h...

Z wąskich uliczek genewskiej City, spiętrzonych około katedry, odartej przez Kalwina z wszelkich snggestywnych ozdób i wszelkiej tajemnicy mistyki katolickiej, zstępuje de Traz ku krańcom miasta, gdzie roztacza się przed nim nieobjęty i zmienny błękit jeziora i niebotyczny, biały łańcuch gór.

Tradycja... zaduma... lot ku szczytom...

Te oto trzy pierwiastki utworzyły duszę de Traz'a. Duszę czystą, żądną wrażeń, wybiegającą ku szczytom, potrzebującą rozlewnej szerokości. widnokręgu, lękającą się zetknięcia z tem, co dalekie i obce, a jednak pożądającą tego zetknięcia. Umysł brzydzący się dyletantyzmem pojęć, snobizmem poczynań, powierzchownością uczuć.

Dusza de Traz'a, taka, jaką ją poznajemy w dziele jego, jest najpiękniejszym wytworem tradycji jego rodzinnego miasta, jest też promieniem istotnego „ducha Genewy“. Ten właśnie duch czystości, szczerości i powagi jest treścią międzynarodowej pracy, tak pojętej, jak pojął ją i jak jej zapragnął Wilson, jak pragną jej i wierzą w nią ci wszyscy, którzy ideał odróżniają od błędnego, często, wykonania ludzkiego.

Ale zostawmy głos de Traz'owi.

Anna Leo-Rose

Genewa, w grudniu 1929 r.

Istniała niegdyś Europa. Mimo granic, zmiennych zresztą, mimo głębokich różnic językowych i klimatycznych, mieszkańcy naszego małego kontynentu czuli się członkami jakiejś zbiorowości. Ta zbiorowość z początku zwała się chrześcijaństwem i trwała przez wieki. Stało się jednak z winy jednych i drugich, że jedność wiary rozerwała się. Od rozerwania tego, gdy w dodatku odkrycia historyczne i geograficzne poczęły ukazywać odmiany etniczne w czasie i przestrzeni, datuje się nasz relatywizm. W tej to epoce Francja, prawa spadkobierczyni Grecji i Rzymu, rozpowszechniła w Europie typ cywilizacji racjonalnej, który zapanował rychło i do którego każdy pragnął się przystosować. Była to Europa Kartezjusza, Boileau'a, Col-

bert'a, Le Notre'a, a później jeszcze Europa Encyklopedystów. Inne jednak państwa, doszedłszy do bogactw i potęgi, zapragnęły z kolei tworzyć poszczególne formy cywilizacji. Nie było już „jednego wielkiego narodu", ale przeciwstawiły się sobie liczne narody. W średniowieczu istniała międzynarodowość religji, w XVII i XVIII wieku międzynarodowość rozumu i dworskości. Epoka nasza sili się urzeczywistnić międzynarodowość typu nieznanego jeszcze. Jeśli wysiłek ten pójdzie na marne, świat stoczy się w barbarzyństwo. Albowiem niema innej cywilizacji, jak powszechna.

Czy można być dzisiaj Europejczykiem? Być nim z pewnością nie można pod niedopuszczalną postacią osobnika wyzwolonego z więzów pochodzenia swego, a przeto właśnie pozbawionego indywidualności, który byłby rodzajem automatu psychologicznego, rodzajem „androida" brzydkiego i przejmującego trwogą. Człowiek bowiem, któremu powiodłoby się zatrzeć w sobie wszelką cechę odrębności, który wyrzekłby się wszelkich obowiązków względem przodków swoich — byłby potworem.

Stwierdzić atoli trzeba, że w dzisiejszej normalnej duszy poczucie narodowe góruje nad poczuciem przynależności i nad przywiązaniem do ojczystej gminy czy miasta, które ze swej strony są niejako rozszerzonem poczuciem przynależności rodzinnej. Cechy te rodzą się wzajemnie, wzajemnie się nasilają, stwarzając zobowiązania coraz to szersze obejmujące kręgi. Można przypuszczać, że dołączy się do nich poczucie przynależności do Europy: zmysł europejski. Nie po to, by zerwać związki dawne, lecz aby je uzupełnić. Montaigne, Voltaire, książę de Ligne byli z pewnością Europejczykami — choć tak różnorodnymi! — byli nimi i Goethe, przez uniwersalizm myśli swojej, i Hugo, który tak potrafił wżyć się we wszelkie umiłowania narodowe, i Nietzsche, żądny objąć całokształt cywilizacji naszej. I Napoleon był Europejczykiem na drodze podbojów: szło mu nietyle o rozszerzenie granic Francji, ile o utworzenie Państwa Zachodniego, podzielonego na państwa podległe, uznające jeden i ten sam kodeks cywilny, ten sam system metryczny.

Jeśli dawna Europa wytworzyła kulturę kosmopolityczną, to dzięki temu, że losami jej kierowali książęta, a nie ludy. W tych czasach kardynał Mazarin czy Jakób Necker byli mini-

strami we Francji; marszałek Saski dowodził armją królewską. Fryderyk II czy Katarzyna szli za prądami intelektualnemi Paryża, nie troszcząc się bynajmniej o germanizm czy słowiańskość. Na Kongresie Wiedeńskim doradcami cara byli: Stein, Prusak, Laharpe, Szwajcar, Çapo d'Istria, Grek, i Pozzo di Borgo, Korsykanin. „Nienawiści narodowe" — twierdził Goethe — „to nałogi gminu". W świecie rządzonym przez elitę istniałyby może wojny, ale kurtuazja, ciekawość i sceptycyzm przywracałyby rychło stosunki normalne. Umysły wykwintne są może podatniejsze do rozpoznawania podobieństw głębokich i trzeba być naiwnym lub zgoła pierwotnym, by zdumiewać się lub gorszyć tem, co różne od nas.

Wiek XIX, który skończył się z rokiem 1918, był wiekiem narodowości. A to dlatego, że rozpoczął erę demokracji, te dwa zjawiska zaś tworzą istotnie jedno. Władzę zdobytą ludy postawiły na usługi rodzimego genjuszu. Ponieważ w sobie samych czerpać poczęły własną rację bytu, odrzuciły wszelką subordynację tak w obrębie granic własnego państwa, jak i na zewnątrz nich. A im dumniejsze się stawały z własnej religji lub języka, tem więcej oburzało ich podleganie dynastjom, które nie odzwierciedlały ich cech charakterystycznych, nie były ich obrazem ni wyrazem. By tworzyć „przedstawicielstwa", trzeba mieć wysokie pojęcie o sobie samym. Żarliwość patrjotyczna zrodziła rewolucje. Konstytuanta Paryska zapowiedziała urzeczywistnienie marzenia o ogólnem wyzwoleniu. Rychło atoli poczynania jej zwyrodniały w żądzę podbojów. A z chwilą przekroczenia Alp i Renu doktryna straciła swój charakter ogólny, wywołując wszędzie i przez cały ciąg wieku reakcje poszczególne. Rewolucja francuska 1789 r. była ludzką — rewolucje europejskie 1830 i 1848 r. były rewolucjami narodowemi.

Dodam, że romantyzm, ściśle zespolony z wyzwoleniem mas, wzbudził w nich chęć poznania i ukochania samych siebie. Zbudził ciekawość poznania pochodzenia, dawnych tradycyj, kolorytu lokalnego. Każdy zapragnął czuć się wolnym nietylko by działać i pisać, ale by działać w duchu przodków i pisać własnym językiem. Romantyzm wyzwolił nietylko jednostki, ale i państwa; najmniejsze plemię, ukryte na Bałkanach czy u stóp Karpat, zapragnęło „żyć własnem życiem" jak bajronowski bohater. Wzamian romantyzm nasilił się olbrzymią falą

pragnień i uczuć, wzdętą przez zapał rewolucyjny. Niema potężniejszego wezwania do namiętności nad głosowanie powszechne. Ileż w niem skarbów, jaki wspaniały materjał liryczny dla poetów! Zrozumieli to. I stali się mesjaszami i przewodnikami ludów, tych ludów, od których szedł dreszcz mistyczny, niosący im natchnienie.

Poeta romantyczny potrzebuje rozgłosu. Chcąc być usłyszanym przez tłum, wielbi go, śpiewa mu epopeję jego rasy, śpiewa słuszność jego wymagań. Te pieśni wywyższają ojczyznę, która żądać poczyna hołdów i uniesień dotychczas Bogu tylko należnych. Przyciąga idealizmy, które wymknęły się Kościołom. Dokonywa się jakby przelanie na nią świętości. Czyż istnieje dziś religja, na ołtarzu której złożonoby tę nieprzeliczoną ilość ofiar, od których krwi spłynęła Europa podczas Wielkiej Wojny? A budząc niezrównaną moc wyrzeczenia, ojczyzna umie jednocześnie wykorzystać instynkty najuporczywsze, najbardziej zdecydowanego egoizmu. Jest bowiem wyolbrzymieniem, jest niejako sublimacją zwykłego człowieka: czczę ją, w niej bowiem przekraczam samego siebie. Gdy Bóg różni się od nas samą treścią Istoty swojej, żądamy od Ojczyzny, by uczestniczyła w przyrodzeniu naszem, by była wiecznotrwałym symbolem przemijających istot, któremi jesteśmy. Utrwala nas w czasie i nas to samych w niej czcimy. Bóg rządzi nami, ona zaś nam pochlebia.

*

Pod względem politycznym pęd narodowościowy XIX w. z jednej strony dokonał zjednoczenia Niemiec i Włoch, co pochłonęło istnienie rozlicznych odrębnych królestw, księstw i miast wolnych, z drugiej jednak pomnożył liczbę państw. W tym okresie kraje bałkańskie wyzwalają się z pod władzy tureckiej i zmuszają do uznania swej niepodległości. W 1830 r. dokonywa się rozdział Belgji i Holandji, w 1905 r. Szwecji i Norwegji. Pokój wersalski wyzwolił Belgję i Serbję, wskrzesił Polskę i Czechy, powołał do życia Finlandję, Estonję, Litwę i Łotwę. Węgry odzyskały autonomję. I traktaty 1919 r. potwierdziły jedynie zjawisko podzielności, które trwa nadal. Wszakże niepodległość Irlandji datuje się zaledwie od wczoraj. A niepodległość Albanji? Czyż to zjawisko nie przejawia się, choć zduszone, w rewindykacjach niemal regjonalnych Kata-

lonji, Słowacji, wśród Chorwatów, Alzatczyków, we Flandrji? Tak więc Europa rozdrobniła się, poprzegradzała. Uległa w tem konieczności organicznej; całkowitą bowiem możność wypowiedzenia się osiąga się tylko przez zróżnicowanie. Europa jednolita byłaby Europą ogólnikową. Te różnorodne zaś tradycje, rozliczne dążności, różne obyczaje wykazały jej utajone bogactwa. O ileż piękniejszą jest ta różnorodność od nudnej i brutalnej monotonji systemów masowych, jakiemi są: Stany Zjednoczone i Rosja sowiecka! U. S. A. i Z. S. S. R.: jest w tem geometryczność i zmechanizowanie olbrzymich i nieskomplikowanych budowli. Żadnej tam swobody, żadnej niespodzianki, żadnej możliwości oddźwięków dziedzicznych, żadnej nowości, nic, coby na nowo odżyło! Jest tylko, pod nakazem wszechpotężnej policji, czy równie wszechpotężnego zabobonu, ogólne przystosowanie się do typu oficjalnego, jednolitego dla miljonów istot ludzkich, pozbawionych wewnętrznego życia. Porządek, uogólniony nakazem, traci wartość swoją.

Wobec tych kolekcjonistycznych mocarstw Europa wydaje się krajem herezji, t. j. możliwości różnych odmian wśród ludzi. Tu potęga liczby, tyrańskiej reglamentacji, masowych szablonów, nie przytłacza jednostki. Każdy posiada tu prawo okazać się genjuszem, każdemu dostępna jest możliwość bohaterstwa czy świętości.

*

Ale państwa tak wywyższone, wyposażone w namiętność uczuciową, przetworzyły się na jednostki żywe, na istoty z ciała i krwi: żądano dla nich praw, a jednocześnie wyniesiono je na ten poziom życia duchowego, na którym ukazały się obowiązki. Narody, stawszy się osobistościami, zetknęły się z wymaganiami moralności osobistej. Oto co nazwać można etyką „ducha Genewy“: zrodził się on z nacjonalizmu, a jednocześnie sili się ująć ten nacjonalizm w karby. Do zagadnień siły, jedynie istniejących dla dawnych władców, przyłączają się dzisiaj względy etyczne, niegdyś obłudnie przemilczane. Albowiem obłuda nie polega jedynie na popisywaniu się cnotą, ale i na nieliczeniu się z nią. Sumienie, które komplikuje życie jednostkom, utrudnia je dziś państwom. Czyjaż to wina, jeśli nie tych, którzy wyolbrzymiając uczucie narodowe, nadali narodom fizjo-

gnomje i dusze, sprowadzając je tem samem do warunków istnień ludzkich?

Nacjonalizm XIX w. doprowadza przeto logicznie do internacjonalizmu, nie wyrzekając się jednak siebie ani na jotę. Nie skończyliśmy jednego rozdziału i nie rozpoczęliśmy następnego, żyjemy w dwóch splątanych z sobą fazach. Zjawisko, tak sprzeczne w istocie swojej, jest poniekąd dramatyczne. Należy zadośćuczynić obu tym dążnościom, które przeciwstawiając się sobie, jednakże się kojarzą, i w tym celu ograniczyć jedną przez drugą. Zgoda na jedną z dwóch tez nie rozwiązuje zagadnienia. Gdyż naród osamotniony, pozostawiony nagle samemu sobie, musiałby skonać, nawet będąc wszechpotężnym. A z drugiej strony, jakże mógłby istnieć internacjonalizm... bez narodów!

Podstawę internacjonalizmu współczesnego widzę w samej różnorodności państw, aczkolwiek wyjaskrawiając specyficznie ich cechy, stała się ona powodem wielu zatargów. Widzę ją również w nieustępliwości dzielących je ścian, nawet w federalizmie, który zestawia je, lecz nie skleja. Sąsiad nasz, niepodobny do nas, niepokoi nas, a jednocześnie zaciekawia. Uczymy się od niego, że ludzie różnią się między sobą i że z temi różnicami należy się liczyć. A im zazdrośniej strzeżemy autonomji własnej, tem łatwiej uznajemy autonomję jego, ponieważ ta wzajemność jest rękojmią naszych praw. Rozliczność państw europejskich uczy nas relatywizmu etnicznego i zmusza nas, ze względu oczywiście na własny nasz interes, do szukania dróg porozumienia. Uzasadniać partykularyzmy, zrzeszając je mądrze; zamiast usuwać dysonanse, uznać je i zharmonizować, oto — na planie psychologicznym: d u c h G e n e w y.

To wystarcza, by zrozumieć, jak wstrętnym mu jest internacjonalizm rewolucyjny, który porywa się skreślać granice i stopić wszystko w jakiś amalgamat niekształtny, złowrogi, gdyby nie był niewykonalnym. Ludzkość nie jest stadem podobnych sobie zwierząt. Sprowadzić ją do takiego stanu — to pozbawić ją wszelkich jej możliwości i mocy. Niepowodzenia II-ej Międzynarodówki tłumaczą się dziecinnem przeświadczeniem, naiwną wiarą, że jedne i te same hasła dają się wszędzie zastosować i że ludzi można wzajemnie wymieniać. Bez porównania chytrzejsi bolszewicy potrafią przystosowywać

własne wskazania rewolucyjne do środowisk i ras, i aby ustalić rewolucyjną przemoc swoją, podżegać namiętności nacjonalistyczne w Chinach, w Marokku i w Indjach.

Ojczyzny są konieczne i błogosławione. Niszczą pojęcie rasy, a w ten sposób rozdrabniają możliwe zatargi i osłabiają ich jadowitość. Pojęcie rasy — to narkotyk straszliwy: ci, którzy się nim upajają, żyją w halucynacji. Marzenie obłędne, rozpłomieniając najbardziej zaborcze instynkty pychy i podbojów, oszałamia tłumy i przekształca je w armje. Człowiek, któremu zaszczepiono tę truciznę, wierzy, że jest z gatunku innego, nieskończenie wyższego, niezmiernie wymagającego. Pozostawmy im wolną drogę, a słowiańskość czy germanizm powstaną jak wzburzone fale, gotowe zalać Europę. Ojczyzny kanalizują ten ślepy pęd, rozliczne żłobiąc mu łożyska, podstawiają mu się, tak jak świadomość zajmuje miejsce ślepych instynktów.

A pozatem ojczyzny są pośrednikami, którzy ułatwiają nam dostęp do człowieka. Pojęcie ludzkości jest zbyt rozległe, zbyt mętne, by przykuć umysły nasze. Łatwo może je znużyć, a wówczas, niezaspokojone i zmęczone, popaść one łacno mogą w dawne samolubstwo. Więc nie o ludzkości mówię, o masie zmiennej czy abstrakcji nieokreślonej, ale o ojczyznach, o rzeczywistościach, które oglądałem. Ludzie wzruszają mnie, stwierdziłem bowiem, że są podobni mnie. Ich cierpienia, ich słabości, ich dążności są mi znane, są bowiem moje. Bezimienna ludzkość wymyka się pojęciu memu.

*

Ale, powie niejeden, to zbałkanizowanie kontynentu naszego jest właśnie przyczyną jego słabości. W epoce, gdy rynki zewnętrzne zamykają się jeden za drugim, Europa, o powierzchni tak ograniczonej, nie może pozwolić sobie na zbytek istnienia licznych małych państewek. Rozczłonkowana, rozbita wewnętrznie, jakże potrafi bronić supremacji, która uchodzi z jej rąk? Rozkruszona — jakże się oprze jednolitym skupieniom dalekiego Wschodu i Dalekiego Zachodu?

Nie mistycyzm stopi w jedną całość rozkruszoną Europę, ani też nie dobra wola, nie ujęta jeszcze w stałe formy, lecz konieczność. Właśnie groźby, ciągnące ze wschodu i zachodu, wpłyną na to, by utwierdziła się sama w sobie. Wszelkie fede-

racje zrodziły się z potrzeby wspólnej obrony. Zrzeszamy się nie dla zasady, nie dla bezinteresownej wiary, ale dlatego, że grozi nam wspólne niebezpieczeństwo, a złączeni, powiększamy możliwości ratunku.

Związek szwajcarski np. nie ukonstytuował się przez skupienie się obywateli przy osobie panującego, ani w imię jakiegoś szczególnego posłannictwa, ani dla względów geograficznych. Szwajcarzy połączyli się, by się bronić, i z tego zjednoczenia wytworzył się z biegiem lat pierwiastek duchowy, który stanowi dzisiaj łącznik najsilniejszy. Dziś Europa jest słaba i zagrożona, ale utwierdzi się przeciw Stanom Zjednoczonym, które radeby zapanować nad nią; utwierdza się przeciw Rosji, której system polityczny oznacza zburzenie jej systemu politycznego; utwierdzi się przeciw sobie samej, t. j. przeciw pojęciom, które ją rozkładają, które pchają ją w kierunku przeciwnym jej najistotniejszym tradycjom. Utwierdzi się przeciw tym wszystkim potęgom, które ją zdradzają, świadomie czy nieświadomie, przez nienawiść lub pogardę, przez lekkomyślność lub głupotę.

Mała Europa, samotna i porwana przez odmęt wzburzonego świata, dojdzie do przeświadczenia, że jej niesnaski wewnętrzne są rzeczą przebrzmiałą. Że nazewnątrz ciasnych jej granic miljony ludzi szukają wyzwolenia swego przemysłu i handlu, że pragną uniezależnić się od niej w samorządach. Sędziwa matka cywilizacji jest świadkiem, jak oto powstają przeciw niej i ujarzmić ją pragną cywilizacje młodsze.

Niewola Europy! Czyż ta perspektywa nie porwie nas na nogi? Dziś już, ktokolwiek mieni się Europejczykiem, przeciwstawić się winien z równem oburzeniem tak pogardzie i brutalności, jak i łaskawej życzliwości ludów egzotycznych. Dopuścić nie mogę, by byle handlarz bydłem, byle kto frymarczący złotem śmiał poniewierać ojczyznę św. Franciszka z Assyżu, ojczyznę Szekspira, Rembrandta i Bacha! Niechże jednak Europejczycy wzbronią sami sobie uniżoności wstrętnej! Czyż utraciliśmy już męską władzę kierownictwa i stanowienia praw, a w służalczej nędzy naszej czyż pragniemy jedynie tego, by, zniewoleni, trwać w wygodnej bierności? Czyż nie dość długo roztacza się snobizm bolszewizmu, snobizm wschodu, snobizm murzyński, narzucający wyrzeczenie i owczy pęd? Nie będę

wielbił mistycyzmu buddyjskiego, który znajduję, oczyszczony, w Ewangelji, ani nie będę się unosił nad objawami nieokiełzanego zapamiętania pierwotnych plemion, bo Arystoteles uczył mnie posługiwać się rozumem moim.

Ludzie Zachodu, wspaniałę dzierżący dziedzictwo, nie mają żadnej racji wyrzekać się własnej swej sprawy. Niechże się skupią, by łatwiej naradzić się nad nią. Niech na zimno zrobią obrachunek wspólnej schedy. Cywilizacja europejska jest wytworem wiekowej współpracy i znieść przyczynek cywilizacyjny któregokolwiek z ludów, to wykoślawić wspólne ich dzieło. Owóż genjusz nasz wynalazczy jest nienaruszony. Nasze metody krytyczne zawdzięczają zasadom własnym możność przystosowania się do wszelkich nieprzewidzianych warunków. I ożywia nas zawsze ten sam zapał do wysiłku, który zdobywa, który wykorzystać umie, ale który, przedewszystkiem, przeobraża. Gdyż największe możliwości nasze tkwią w naszej zdolności odnawiania się. Powiem więcej: w naszej zdolności zmartwychwstawania. Moc wyobraźni i odwagi nie dozwala marzeniom naszym rozpraszać się w samem zachwyceniu: nasze marzenia są czynne.

Czy marzymy, nakłaniając Europę, by powstała, by nakazała milczenie oszczercom, by odczuła nowe posłannictwo swoje? Stwierdzając jedność swoją, zwycięsko wysnutą z różnic zachowanych w całej ich rozciągłości, dałaby światu przykład godny naśladowania. Niebezpieczeństwom, grożącym zzewnątrz, przeciwstawiłaby przymierze własnych swoich synów, a pakt przymierza takiego ukazałaby światu jako wzór. Rozbroiłaby wszelkie zatargi, które niosą w sobie wieki przyszłe, jednocząc już nie małe państewka, rozdzielone kilkoma pagórkami, ale kontynenty, między któremi: oceany. I zajęłaby naczelne miejsce wśród ludów świata. Albowiem jedyna umiałaby przedstawić zasady porządku racjonalnego, program skojarzonych działań, jednem słowem, wytyczne wszelkiego naczelnictwa.

*

Ukształtowały nas Judea i Grecja. Wspólnie uczyły nas one wartości jednostki. Ateny, maleńka ojczyzna, gdzie wszyscy znają się choćby z widzenia, która z każdej inteligencji czyni miarę rzeczy. I Jerozolima, która każdemu z nas, najnikczemniejszemu, najbardziej ogołoconemu nadaje nieobjętą wartość.

Ktoś skonał na Kalwarji, Ktoś przelał każdą, poszczególną kroplę krwi nie za ludzkość całą, ale za tego, i za tamtego, i za tego, który nie narodził się jeszcze. Każdy z nas nazwany tam jest po imieniu i każdy umiłowany dla samego siebie! Ateny nadały rozumowi memu prawo sądu i przeciwstawiły go przeznaczeniu. Jerozolima przeciwstawia duszę moją bezdusznej przyrodzie i darzy ją wiecznością. Grecka i chrześcijańska (— a Rzym dopełnił, a niekiedy spaczył te zasadnicze pierwiastki —) cywilizacja europejska jest cywilizacją osobistości.

My-to, Europejczycy, wynaleźliśmy godność ludzką. By godność tę zabezpieczyć, walczyliśmy o wolność, wszczynaliśmy rewolucje i wiedliśmy wojny. Wyzwolić człowieka nietylko z pod tyranij politycznych, ale od konieczności z warunków społecznych płynących, oto tchnienie ożywiające ruch demokratyczny, który już w średnich wiekach wszczął się na Zachodzie. A wyzwolić istotę ludzką od nieświadomości i lęku przed światem, oto bodziec, który kieruje pracą niezliczonych badaczy w pracowniach. Osobisty rozum, osobista wiara, osobisty zmysł krytyczny, osobista sztuka, — oto rysy, któremi Europa, i wszelki, kto przynależność swą do niej głosi, różni się od reszty świata.

Naprzeciw Stwórcy — staje stworzenie. We czci najgłębszej pochylone, nie pragnie przecież zatracić się. Modlitwa jego to wysiłek w celu nawiązania spójni, czyli wysiłek, by, dążąc do złączenia, utrzymać odrębność swoją. Wstąpić z powrotem w nieruchome łono wszechświata — to azjatycki trud. Na granicy tych dwóch światopoglądów trwa bunt Prometeusza. Bohater Europy nie godzi się na bezimienność, milczenie i przymus. Rzuca wyzwanie lub wezwanie Potędze, która zwycięży go zapewne, ale, niemniej, usłyszy jego głos. Wielkość jego mierzy się siłą jego oporu. Jest on w mych oczach siłaczem, druzgocącym przeznaczenie, jest nieprzejednanym wrogiem bezwładu i nicości. I nawet w wewnętrznych dramatach swoich pogrążony w tej głębinie, gdzie niema świadków ni nagrody, jeszcze nie poddaje się, jeszcze walczyć będzie, przeciw sobie samemu, przeciw bólowi, który mógłby zagarnąć go w niewolę. Gdy buddysta przeczy cierpieniu, uważając je za rzecz obcą, on, wiekuisty chrześcijanin, wciela je w siebie, bogaci się niem,

posługuje się niem, by przeobraziwszy się dzięki niemu, stać się nareszcie tym, którym jest.

Z tej-to tradycji zrodził się „duch Genewy". Podobnie, jak przyjąwszy Czerwony Krzyż za godło, idzie ratować rannego wroga w nieprzyjacielskim szpitalu, podobnie czuwa nad przedstawicielem mniejszości narodowej, nad wychodźcą, nad krajowcem w państwie rządzonem pod mandatem, nad robotnikiem w fabryce. Siłą rozbudzającą tego ducha, to namiętna troska o każdego, który cierpi, który nie daje się zgnieść, który, znosząc jakieś jarzmo, trwa w wolności ducha, kto cześć własną widzi w zachowaniu duszy wolnej. Ten „duch" podnosi wzgardzonego, który broni się przeciw unicestwieniu, wspiera go, pomaga mu śmiało patrzeć przed siebie. Stanowi prawa nawet dla jednostki, bo jednostka godną jest, by wszyscy czuwali nad nią. A także i dlatego, że każdy z nas może lada dzień znaleźć się samotnym.

Tak więc zabezpieczywszy każdemu prawo osobistego rządzenia sobą, ratować trzeba jednostkę od osamotnienia, ustalić możność wymiany zdań między nią a otaczającym ją światem. Oczywiście każdy z nas godzien jest być sobą, na to jednak, by mógł, nie zatracając samego siebie, łączyć się z innymi.

*

Nic dziś nie jest równie przestarzałem jak anarchistyczny indywidualizm XIX w., jak źle pojęty egotyzm Nietzsche'go albo Barrès'a, z pierwszej epoki twórczości jego, nad idealizm metafizyczny, który przeczy istnieniu świata na korzyść moją! Czyż straszliwe kotłowanie wojny, które rzuciło ludy przeciw sobie, pozwala nam dziś jeszcze żyć w tem kłębowisku? Oto związani jesteśmy z niezliczonymi nieznanymi, oto znosimy skutki dalekich i nieznanych nam zjawisk. Wszystko rozpowszechnia się i wszystko się krzyżuje. Żyjemy pod znakiem inwazji, lub, conajmniej, potrącania się wzajemnego. Świat zewnętrzny, cudzoziemiec, wróg, pędzą na nas i każą nam liczyć się z nimi. Dzieje się to kosztem wielkich upokorzeń dumy naszej, bolesnych tarć naszej wrażliwości. Ale odnajdujemy w tej zawierusze zmysł odrębności, a także zmysł transcendentalności.

Bronimy się, zwołujemy na odsiecz wszelkie zasoby nasze jak kraj, który mobilizuje się i powołuje pod broń ostatniego

żołnierza. Na skutek gróźb czy ciosów, dobywamy z pragłębi dusz naszych siłę, której, dotychczas, nieświadomi byliśmy. Wszystko to dobrze — w ten sposób skupia nas wróg. Brat czy nieprzyjaciel, każdy, ktokolwiek nie jest nami, uczy nas i zmusza do samookreślenia. Wszelki postęp, wszelka zdobycz są wynikami porównań — a nieraz przegranych, które zdołaliśmy naprawić. Zwycięstwa nasze liczą się ilością blizn naszych.

Czemże jest miłość, jeśli nie szukaniem ojczyzny lub pragnieniem odjazdu w inne krainy? Żądamy od miłości bądź by nas utwierdziła w tem, czem jesteśmy, bądź też by dała nam możność przeobrażenia się. Od obcego — a każda kobieta jest obcą — oczekujemy radości odkryć i poznań nowych, lub rękojmi podobieństwa. Dlatego ani miłość, ani podróże znużyć nas nie mogą, otwierają nam bowiem nieskończone możliwości sprzecznych rozkoszy. Stwierdzam wśród współczesnych mi pęd do zmiany miejsca pobytu, zainteresowanie się obcemi piśmiennictwami, potrzebę użyźnienia ich inteligencji przez sympatję dla innych. Czyż mylę się, widząc w tych objawach chęć odczucia, jednej po drugiej, lub może jednocześnie, różnic, które nas dzielą, i analogij, które nas zbliżają, pragnienie stwierdzenia Jedynego, które zawsze jest drogocennem, bo jest wyjątkowem, a jednoczesne wywyższenie Wielorakości, pragnienie igrania tymczasowością, zmiennością, i jednoczesną tęsknotą ku Wiekuistemu?

Oto rytm przeciwieństw, do którego liczni z nas stosują dziś życie. Powstaje on z rozłożenia przypadkowego, z różnorodnego sąsiadowania, z zatargów, rozmyślnie przedłużanych. Za wieleśmy widzieli, zbyt głęboko nas urażono, byśmy nie przeciwstawiali przeznaczeniu szyderstwa, graniczącego z cynizmem, ale które, jednak, niezawsze pokrywa potrzebę nadziei, wbrew zwątpieniu i nieufności. Przyjmujemy antynomje i chcemy je pogodzić, jest w nas zbiór niezliczonych *za* i *przeciw*, nie wyłączająca namiętnej nawet skłonności w tę lub ową stronę, jest upajająca mieszanina rozpaczy i wiary.

Ta szarpanina przeciwieństw wzajemnie się niweczących, to jeszcze tylko próba syntezy. Ale jeśli epoka nasza tę syntezę uzyska — zasłuży na miano wielkiej epoki.

*

Z pewnością, nikt dzisiaj nie znajduje li-tylko we własnym kraju wszystkich pierwiastków swojej kultury. Czyż rzecz taka była, wogóle, kiedykolwiek możliwą? Z pośród wszystkich krajów, najwięcej wystarczała sobie Francja. A jednak zważmy, ile zawdzięcza Włochom, Hiszpanji, a później Anglji, a później jeszcze Rosji!

Kultura dzisiaj jest kosmopolityczną. Ideje i dzieła, coraz to liczniejsze, rozpowszechniają się coraz szybciej, przekraczając wszelkie granice. To przenikanie przyspieszone mnoży punkty styczne. Wydajność narodów nieustannie się wzmaga. Czyż przypuszczaliśmy przed wiekiem jak wielkich poetów znajdziemy w Norwegji czy w Czechach? Stąd konieczność czytania w kilku językach, konieczność tłumaczeń, badań, oglądania na miejscu.

Jednak ta kultura, dziś tak złożona, nie powinna nabierać cech kompilacyjnych. Chcę powiedzieć, że każdy z nas, zanim przystąpi do poznawania dzieł cudzoziemskich, tkwić winien potężnie w swojej rasie i w tradycjach swoich. Rzetelna kultura kosmopolityczna oprzeć się może tylko na rzetelnej kulturze narodowej. Gdyż ta ostatnia właśnie — i ona jedynie — pozwala nam odczuwać i sądzić, a więc asymilować. Ona też wzbrania nam poddawać się pierwszym lepszym wpływom, i z zapałem początkującego bezkrytycznie dopatrywać się genjalności w każdym przejawie, byle dziwacznym lub przychodzącym zdaleka. Kultury różnorodne, rozwodnione i zmieszane w równomiernych dawkach — jakże ohydną wytworzyłyby mikturę!

Najgorszą jednak groźbą kultury ujednostajnionej, neutralnej — byłaby groźba wyschnięcia źródeł twórczości. *Don Kiszot* jest nawskróś hiszpańskim; niema nikogo bardziej włoskiego, niż Dante, bardziej angielskiego, niż Shelley! Pisarz, artysta, filozof, jakkolwiek czczeni i uznani przez ludzi wszystkich krajów, są jednak płodem pewnego określonego gruntu, gałęzią pewnego pnia. Im ściślej określony ten grunt, im bardziej do niego przynależny ten pień, tem bardziej ludzkiem dzieło, będące ich wyrazem. Gdyż wzrusza nas to, co jest wiernem, co odpowiada danej chwili i miejscowości, co jest czegoś odbiciem. Genjusz nadaje wybuchową moc słowa pokoleniom długo milczącym, ale wzbogacić nią może świat o tyle tylko, o ile jest

tych pokoleń uczciwym dziedzicem, o ile jest ich synem, o ile przemawia w uniesieniu wdzięczności.

Niema już dziś mowy o tem, byśmy to, co zdaleka do nas dochodzi, przystosowywali do naszego gustu. Żądamy, by dzieła obce podawane nam były nienaruszone, bez wycinków i skreśleń. To też po pierwszej chwili zdumienia, trzeba nam czasu, by je sobie przyswoić, odtworzyć ich atmosferę, wczuć się w ich rodowód. Zwracając się do nich, strzeżmy je przed własną naszą zaborczością i starajmy się zachować ich odrębność od nas. Kultura nie jest już tylko produktem księgozbiorów, ale otwartego powietrza; zajmują ją sprawy historyczne i geograficzne, polityczne i psychologiczne. I tu także unikać trzeba abstrakcyjnych uproszczeń. Poza dziełem jest człowiek, są obyczaje, prawa, język, krajobraz, kolor nieba. Byłażby to jeszcze dziedzina kultury? Czyż nie wkraczamy raczej w stosunki złożoności zbiorowej? Pogłębiając istotną świadomość różnorodności, podporządkowujemy jej jednostkę. Humanizm współczesny i międzynarodowy, mnożąc związki pośród nas, prowadzi nas z powrotem do jedności gatunkowej.

*

Na wstępie tych rozważań, mówiłem o humanizmie, mieniąc go nowym. Długo bardzo filozofowie i moraliści Zachodu zajmowali się Człowiekiem, Człowiekiem przez wielkie „C", człowiekiem w ogóle. Czyniono to też dla porządku: w wizerunku, kreślonym wielkiemi linjami, ginęły uchylenia jednostkowe od typu. Byli to bohaterzy Plutarcha, wzajemnie wymienni, umieszczeni w wielkiej galerji, poświęconej ideałowi i cnocie.

Nie znaczy to bynajmniej, by psychologowie francuscy zboczyli kiedykolwiek w kierunku łatwo zadowolonego moralizatorstwa. Przeciwnie: nieśmiertelność swoją zawdzięczają pesymizmowi. Ale starają się zawsze doprowadzić swe przenikliwe schematy do jakiejś linji wspólnej, która uogólnia je, więc mniej przerażającemi czyni. Bezwątpienia, samolubstwo tworzy człowieka, którego przedstawia La Rochefoucauld, ale to samolubstwo nadaje mu jednolitość wewnętrzną, która go podnosi, i ta wada, przez nieustępliwą stałość swoją, nabiera cech wielkości. La Bruyère streszcza spostrzeżenia swoje w twierdzeniach psychologicznych: klasyfikuje typy ludzkie i z radością nalepia im etykiety. Ci badacze starali się choć

na papierze ująć w karby dyscypliny zamęt serc i umysłów, i narzucić bliźnim tę dyscyplinę — tak jak narzuca się ją Państwu. Starali się wybierać i uogólniać: wspaniałe to, niechybnie, zasady estetyki, ale pociągają one za sobą ofiary, których — przecież — szkoda.

Dzięki tym zasadom, człowiek zintelektualizowany, doprowadzony niemal do formuły pojęcia, nie dziwi już. Posiadło go się, mierzy go się. Tylko zna się z niego to jedynie, co się mierzyć daje, i pojmuje go się jedynie w stosunku, w jakim odpowiada założonemu prawidłu. Jeśli wymyka się z pod określeń postawionych z góry, sądzi go się jako barbarzyńcę lub jako warjata i, tem samem, jest dla nas stracony. Tak więc to, co ułatwiło nam pojąć człowieka, wzbrania nam iść dalej i wynaleźć ludzi. Każda tragedja czy komedja łamie linję prostą, lecz drgającą życiem, swych bohaterów, narzuca jej skrzywienia, wygina ją w arabeskę, piękną, zresztą, i znaczenia pełną. Lecz tu mamy do czynienia z przedstawieniem życia niejako w drugim stopniu, z abstrakcją, która wyklucza poszczególne odchylenia. Nie uwzględnia się tutaj niezliczonych odmian zawodu, zdrowia, majątku, narodowości. Niema „jedynych okazów", człowiek jest punktem zbornym wszystkich ludzi i każdy winien się w nim odnaleźć. Tak więc humanizm epoki minionej nakreślił wizerunki mistrzowskie, radość umysłom i zaszczyt rozumowi przynoszące, ale które dziś już nam wystarczyć nie mogą.

Epoka nasza wypracowuje humanizm, który przestał redukować do jedności, owszem, godzi się na odmiany i poszukuje ich, który wylicza, nie streszcza — humanizm nie abstrakcyjny, lecz konkretny. Nie chcemy niczego utracić z przytłaczającego nas czasem skarbu wiadomości naszych. Zrozumieć, nie znaczy to już dzisiaj sformułować nakazujące prawo, ale stwierdzić wielorakość. Psychologowie dzisiejsi przestali klasyfikować zdolności; do badań nad świadomością trzeźwą, dodali badania zjawisk podświadomych; badania nad normalnym dorosłym, rozszerzyli na dziecko, na obłąkanego, na „dzikiego". Uczony nagina formuły: godzi się na złożoność i różnorodność, więc na relatywizm. My zaś chcielibyśmy ocenić całkowitą rzeczywistość psychologiczną, śledzić jej ruchliwość i jej wahania, objąć — intuicją raczej, niż pojęciem — wszystkie jej odcienia, nie krzywdząc z nich żadnego. Nam dziś potrzeba filozofji „różnorodności".

Humanizm tego rodzaju zwraca się nieustannie do rzeczywistości konkretnej, którą się żywi. Ponieważ intelekt nasz kroczy zdecydowanie w kierunku abstrakcji, przeto walczyć nam trzeba, by zachował on wrażliwość, atmosferyczną niemal, na wszystkie odcienia rzeczywistości i to nietylko na to, co w niej jest różne, ale i na to, co zmienne. Jest to zatem humanizm różnorodności, ale też i humanizm ruchu, który nie krzepnie w formułach, nie kostnieje w typach, ale podatny jest wszelkim przekształceniom. Istnieje kosmopolityzm konfekcyjny, utworzony z próbek wybranych dla katalogów, śmieszny w swoim fałszywym wykwincie. Jest to kosmopolityzm wielkich hoteli, który stoczył się już dziś do romansu feljetonowego, wykluczający oczywiście wszelkie dokładne poznanie, wszelką tęsknotę do zbogacenia umysłowego.

To wieczyste przeobrażanie człowieka, na które baczyć winniśmy, posiada charakter historyczny i charakter geograficzny — oba ściśle związane. Rozumiem przez te słowa, że do „stawania się“ w czasie przyłącza się „stawanie się“ w przestrzeni. Identyczność ludzi między sobą jest uniemożliwiona faktem, że, choć współcześni sobie, nie przeżywają tej samej godziny ewolucji narodowej. Tak więc np. wojny bałkańskie 1912 r. odpowiadają może dla Grecji i Rumunji XV-emu wiekowi we Francji, a XVII-emu w Anglji. Czechosłowacja, niezależna od lat dziesięciu, żyje w innem stuleciu, niż Hiszpanja. Ostygły namiętności Holandji i Szwecji, choć oba te kraje przeżyły swoje epoki zaburzeń. Ludzie nie są synchronistyczni i im bardziej posuwamy się na wschód, tem bardziej cofamy się historycznie. Zmiana szerokości geograficznej, która powoduje różnice oświetlenia, klimatu, różnych kultur, która przyspiesza lub opóźnia dojrzałość dusz, przeobraża też pojęcia. Oddalenie, wyrażone w kilometrach, nadaje im gwałtowność lub obojętność, różną zupełnie od tej, którą posiadały w miejscu, gdzie się zrodziły. Jednakże dziś nikt już nie jest przykuty do gruntu, ludzie, krążąc po świecie, wyrównywują odchylenia moralne, które wytwarza oddalenie. Czas trwania, przenoszenie się z miejsca na miejsce, oto subtelne powody odmian rozstrzelonych w różnych kierunkach, a będących wskaźnikiem załamania w jednostkach ludzkich. Opuściwszy

Londyn, jesteś innym człowiekiem, gdy w dwa dni później dojeżdżasz do Budapesztu.

*

Dalekim będąc od zalecania postawy widza, wywołać pragnę uczucia różne od dyletantyzmu, a mianowicie: ciekawość. I to ciekawość zaczepną. Umysł rzuca się ku temu, co różne od niego, albowiem dojmująco odczuwa własne braki; jeżeli jest szczerym, rozumie, że najgorszą nędzę jego powoduje jakaś pustka, jakaś nieobecność. Nie jest zupełnie tem, czem być powinien, cierpi, czując wiecznie niewydaną z siebie moc. To też nie zadawalnia się odkrywaniem rzeczy nowych, radość swą przetwarza na wiedzę. Porównywać — oto co staje się dlań ćwiczeniem ulubionem. I ta ciekawość, która niczego nie niweczy, wywołuje odruchowo w człowieku zróżnicowanie — równe zróżnicowaniu świata. Z chwilą, gdy przestał stosować do rzeczy zgóry określony schemat, odsłaniają się przed nim niezliczone możliwości, które stwierdza jednocześnie i w samym sobie i przekonywa się, że prawda wewnętrzna nie jest mniej złożoną od prawdy zewnętrznej. Godzi się na antynomje, które niosą mu snop światła. A może właśnie odstępem między temi antynomjami mierzyć można szerokość rozwarcia kompasu i orbitę, którą zakreśla inteligencja. Stwierdzić różnorodność nie znaczy to bynajmniej abdykować przed anarchją, nie dowodzi nieudolności rozwiązania zagadnień, ale jest to istotną zdobyczą. Nie znosi się już biernie przeciwieństw, nie ignoruje się ich z pogardą, równoznaczną z bezsiłą, ale po męsku zagarnia się je w posiadanie.

Jednakże, powiedzą niektórzy, przywiązując zbyt wielkie znaczenie do różnic istniejących między ludźmi, przedłużamy w nieskończoność wszelkie zatargi. By utrwalić wśród nich pokój, szukajcie cech wspólnych, jak to czynili klasycy. Odpowiem na to, iż niema niesnasek i wojen jadowitszych nad niesnaski rodzinne i wojny domowe. Człowiek, zbyt podobny do mnie, odgrywa moją rolę i zajmuje moje miejsce. Z tych dwóch bliźniaków jeden jest niepotrzebny, bo powtarza drugiego. Nieprawdą jest zresztą, że różnice wzniecają nienawiść. Mnogie są sympatje zrodzone z przeciwieństw, które działały jak wezwanie żądające odpowiedzi. Ktokolwiek myśli inaczej ode mnie,

obarcza mnie odpowiedzialnością, której dzielić ze mną nie chce; tem samem usprawiedliwia mnie.

Tę oto „ciekawość“ uważam za podstawę humanizmu. Nie jest ona tolerancją zbieracza, którego bawi kolekcjonowanie, przeciwnie, bierze czynny udział w tem, co odkrywa. Jest ona potęgą przystosowania się, która bądź utożsamia się z przedmiotem badań, przez metodyczne upodabnianie się, bądź ustanawiając ściśle dzielącą odległość, pojmuje go i określa, a w ten sposób poznaje go od wewnątrz i od zewnątrz. A tak po bratersku zapoznawszy się z nim, pragnie otoczyć go opieką i ułatwić mu istnicnie. Nie próbuje żyć jego kosztem, gdyż niwecząc go, zubożyłaby się sama. Kto czuje się odrębnym, ten uznaje przynależność swoją do jakiejś całości. Próbować objąć tę całość, nie niszcząc jej, czuć, że otacza nas i dźwiga, radować się kontrastem, który podkreśla wartość naszą, od relatywności przejść do solidarności, z warunków wspólnych wyciągnąć dążność do istotnej wspólnoty — takie drogi myśli ludzkiej nie są chimeryczne.

Dla duszy istotnie żyjącej nie istnieje nic obcego. To, co przy pierwszem zetknięciu wydaje jej się nieznanem, a nawet wrogiem, odnajduje w sobie, gdy w siebie się zagłębi. Ciekawość wiedzie do miłości. Kocham ciebie, ty różny ode mnie człowiecze, gdyż różnym będąc, dopełniasz mnie. Pragnę, byś i ty ukochał mnie za to, żem inny, byś ukochał to, co we mnie jest jedynem i co usprawiedliwia choć odrobinę przelotną dolę życia mego. I kocham cię za to, że wymawiasz słowo, które właśnie wymówić chciałem, że wzbudzasz we mnie wzruszenie, w którem poznajesz siebie. Nieustanna wymiana, zrodzona z nieustannych przeciwieństw, zmusza ludzi, by coraz to stawali przeciw sobie twarzą w twarz, a tak odnajdywali się wzajemnie, nie zatracając samych siebie.

Oto trud podjęty przez intelekt współczesny. Zbierać różnorodne pierwiastki rzeczywistości, utrzymać je żywe i własnem życiem żyjące, nie stapiając ich. Oprzeć życie na konflikcie nareszcie uznanym. Strzec to drgające współżycie, nie przez hamowanie, ale przez nieustanne krążenie. Przez taki obieg wymienności intelekt, wyzwolony z partykularyzmu, wzniesie się nareszcie do powszechności. A dotrze do niej, gdy uogólniwszy antagonizmy, umiłuje wszystkie różnice i wszyst-

kie wprowadzi w krąg życia. Ta miłość intelektualna i uczuciowa obejmie wszystkie żyjące istoty i wszystkie rzeczy, nawet współzawodniczące z sobą, jednem wielkiem, wciąż odradzającem się z r o z u m i e n i e m.

Tak więc z odrębności ludzkich, uznanych i przyjętych, wytworzy się pierwiastek duchowy, pod hasłem którego „zbliżenie się ludów“ przestanie być pustym wyrazem.

*

Lecz ten humanizm, tak rozciągliwy, który całkuje nieskończone zróżnicowania, a żadnego z nich nie traci, przechodzi chyba możliwość pojmowania naszego! Jeśli poprzednicy nasi, rozważni a oszczędni, w badaniach nad człowiekiem kierowali się metodą eliminowania i doprowadzali definicję człowieka do ogólnikowego streszczenia, czynili to zapewne, by umożliwić nam pojęcie go wedle naszych sił.

Zapewne. W zastosowaniu czynnem humanizm taki, jakim staram się go określić, wymaga wysiłku, bodaj że bohaterskiego. Nie jest to już bezpieczna, niemal wyłącznie książkowa kultura, do której przyzwyczaili nas dawni mistrzowie nasi, baczni, by zapewnić nam wygodę i rękojmię dla wszelkich zdobytych pewników. Ale humanizm Odrodzenia był też olbrzymim i namiętnym wysiłkiem, by dostosować intelekt do rozmiarów odkrycia; był też badaniem, obliczaniem, poszukiwaniem syntezy, był też próbą myśli w rytmach nieznanych, z szybkością dotąd niestosowaną. Nasza aż do posad wstrząśnięta epoka żąda od nas także doświadczenia trudnego, którego nieoszacowaną korzyścią, właśnie dzięki trudnościom z niem związanym, będzie możność utrzymania się w styczności z wszelkiemi chropowatościami rzeczywistości ludzkiej.

Jakże odpowiedzieć zobowiązaniom wzmagającym się z dniem każdym? Czas pędzi, pomnażając bez wytchnienia wiadomości nasze. Czy nieustanny rozwój literatury i nauki spaczy nasz umysł? Jakże on jeden utrzymać się zdoła w dawnej normie, gdy doskonalą się wszystkie narzędzia badań i pomiarów, gdy komplikują się metody nasze, komentarze i obliczenia, gdy rosną bibljoteki, gdy mnożą się rozmowy, podróże i przeżycia nasze? Musi się wkońcu załamać. A więc cóż czynić?

W wielu wypadkach rozdzielamy pracę. Specjaliści zajmują się poszczególnemi składnikami złożonej rzeczywistości. Różnorodności przedmiotów poznania odpowiada mnogość poznających. Epoka nasza jest epoką współpracy poszukiwaczy, śledzących przeróżny trop i starających się, by rozliczne drogi jego wiodły do jednego celu. Wyszedłszy z wielu dalekich od siebie punktów, ci badacze nawołują się wzajem z oddali, dodając jeden drugiemu otuchy, pewni, że spotkają się na tym samym punkcie zbornym.

Ten system pracy gromadnej nie wyklucza jednostki. Owszem, zbyt chętnie korzysta on z poszczególnych cech każdego człowieka, by nie dbać o ich zachowanie. Ostatecznie system ten odzwierciedla świat różnic psychologicznych, który, jak to już wykazałem, jest natchnieniem humanizmu współczesnego. Gromada pracowników różniących się między sobą, których przeciwieństwa wzmacniają się i równoważą wzajemnie, żyje tą nierównością i podziałem pracy. I trzeba jej wodza, któryby pełnił wyższe czynności intelektu i rozkazu, wodza, t. j. jednostki doprowadzonej do maksimum.

Obok pracowników, zajętych podrzędnemi zadaniami, potrzeba więc wynalazców i kierowników. Nawet poeta, bohater, święty, ci wodzowie bez armji, splątani są w nierozerwalną całość. Są zależni i oni — inaczej zapewne — są zależni mimo wszystko i działają siłą przeciwieństw. I ten nawet, który czuje się samotny i niepotrzebny, znajdzie choć jedną duszę, która go słucha, która od niego spodziewa się radości i sił. Żyje dla kogoś, kogo, być może, nie spotka nigdy.

Świat jest stowarzyszeniem jednostek różnorodnych a solidarnych między sobą. Objąć świadomością tę całość, to wysiłek coraz cięższy. Ale los cywilizacji naszej zależy właśnie od jej zdolności wcielenia w siebie wartości nowych i przeciwnych sobie, ale w ten sposób, by trwała zawsze przy zachowaniu własnej istoty swojej. Trzeba rozszerzyć pojemność ludzkiego ducha.

HENRYK BATOWSKI

T. G. MASARYK A POLSKA

[1.] Czcigodny Prezydent Czechosłowacji ukończył w roku bieżącym ośmdziesiąty rok życia (ur. 7 marca 1850 r.). Do hołdów, składanych mu przy tej sposobności przez narody czeski i słowacki, przyłączają się i inni Słowianie, a wśród nich także Polacy. Szacunek dla tego wielkiego człowieka, uczonego i męża stanu, jest dziś — nie od wczoraj zresztą — w Polsce powszechny. Opiera się on na uczuciu podziwu dla wielkości dzieła polityka, który niestrudzoną pracą wywalczył swemu narodowi niepodległość, a stawszy się i oficjalnie i duchowo jego przewodnikiem, umie szczęśliwie kierować nawą państwową, stosując w pełnieniu swego urzędu szczytne zasady etyczne. Znaczenie Masaryka jako uczonego i męża stanu jest już u nas należycie ocenione. Mniej znany jest u nas Masaryk jako polonofil i jako pisarz o polskich tematach.

[2.] Bibljografja masarykowska wykazuje dziś już niemało polskich pozycyj. Wszystkie niemal dotyczą okresu powojennego, gdyż z czasów dawniejszych można wymienić parę tylko artykułów, głównie związanych z praskim obchodem sześćdziesięciolecia ówczesnego profesora czeskiego uniwersytetu w Pradze.[1] Po wojnie, w Polsce niepodległej liczba artykułów o Prezydencie sąsiedniego państwa zaczęła w prasie mnożyć się w znaczący sposób. Najwięcej ukazało się ich w r. 1925, gdy

---

[1] Obszerniejsze uwagi o Masaryku w polskich wydawnictwach pojawiły się według *Bibljografji* Kołodziejczyka po rok 1910 włącznie tylko dwa razy (Nr 460 i 969 *Bibljografji*) w latach 1909 i 1910. Bibljografja ta zatem nie uwzględnia np udziału Masaryka w ankiecie *Krytyki* z r. 1899 (*Sprawa polska w opinji Europy*, Kraków 1900); widać nie znalazł ten udział echa w prasie polskiej. Z głosów jubileuszowych z r. 1910 wymienimy artykuł krakowskiego *Świata Słowiańskiego* z r. 1910 (t. VI. 1, str. 261—263). Nazwisko samo Masaryka było wymieniane w różnych artykułach oczywiście o wiele częściej (choćby w *Świecie Słowiańskim*).

Masaryk obchodził 75-ą rocznicę urodzin. Od czasu do czasu udzielał on wywiadu któremuś z polskich dziennikarzy, bawiących stale lub w przejeździe w Pradze. Pojawiać się zaczęły większe studja o nim oraz przekłady jego dzieł i rozpraw,[1] •

Z polskich prac o Masaryku, wydanych osobno, możemy zanotować dwie o nim monografje oraz jedną rozprawę o jego filozofji.[2] Żaden jednak z autorów tych trzech prac (W. M. Kozłowski, A. J. Kwietniowski, J. Pogonowski) nie poświęcił specjalnej uwagi kwestji stosunku Masaryka do narodu polskiego, tak jak się stosunek ten odzwierciedla w jego pismach, ani nie omówił momentów polskich znachodzących się w danym

---

[1] O istniejących przekładach będzie wzmianka niżej.

[2] 1) W. M. Kozłowski: *T. G. Masaryk a mesjanizm polski,* str. 31. Poznań 1925 (*Bibljoteka polsko-czeskosłowacka* Nr 1). Mimo że w tytule zapowiada omówienie stosunku Masaryka do jednego z działów kultury polskiej, cenna ta pozatem publikacja nie daje obrazu rzeczy polskich z pism Masaryka, a wyszukuje w nich jedynie punkty styczne z polską filozofją narodową, bez podania źródeł.

2) Arnold J. Kwietniowski: *T. G. Masaryk. Życie i dzieło.* Z przedmową Z. Dębickiego (i z artykułem prof. J. Badury o filozofji Masaryka), str. VIII + 197 + 3 nlb. Frysztat 1926. — Monografja ta podaje dużo ważnych szczegółów i w całości pisana jest interesująco; brak jej jednak syntezy. Dodane na końcu wyjątki z pism Masaryka wybrane są i zestawione bez określonego porządku. Zasadniczą zaś wadą tej książki jest to, że autor jej nie włada dostatecznie polskim literackim językiem, i stąd w książce roi się od błędów stylistycznych, a nie brak i mechanicznie spolszczonych słów czeskich, w polszczyźnie nie istniejących. Ubolewa nad tem i Dębicki w swej przedmowie. Książka tak napisana w rezultacie nie wywiera na polskim czytelniku pożądanego wrażenia.

3) Dr Jerzy Pogonowski: *T. G. Masaryk. Studjum,* str. 64 + 4 nlb. Warszawa 1927. — Autor tej pracy postanowił właśnie zaradzić faktowi, że książka Kwietniowskiego niechętnie jest brana do ręki przez publiczność polską i spoczywa w (częściowo słusznem) zapomnieniu. Opracował własne studjum, stojące istotnie dużo wyżej, niż owa poprzednio omówiona praca. I tam jednak są usterki w stylu, znać pospieszną prawdopodobnie pracę autora, książka ta wkońcu jest mało przejrzysta i przeładowana zbytecznemi szczegółami. Wartość posiada dodana na końcu bibljografja. W każdym razie Polakom pragnącym zapoznać się z działalnością Masaryka, z polskich prac możemy polecić tylko studjum Dra Pogonowskiego.

Tak Kwietniowski jak i Pogonowski zaniedbali, jak już wyżej wytknęliśmy, specjalnego uwydatnienia stosunku Masaryka do Polski. U Pogonowskiego przynajmniej jest coś z tego tematu w wyjątkach z pism Prezydenta.

ogólnym obrazie. Niema tego także w wydanych dotąd przekładach pism Masaryka.[1]

[3.] Artykuł niniejszy ma na celu zapełnić tę lukę w polskich wiadomościach o stosunku Czechów do Polski. Poglądy Masaryka wywierają niewątpliwie bardzo znaczny wpływ na społeczeństwo czeskie, a w mniejszej mierze także i na społeczeństwo słowackie. Poza zainteresowaniem, jakie każdy Polak ma dla tego, co o nas sądzi wybitny myśliciel, także i względy czysto praktyczne zachęcają do zapoznania się z tą kwestją, gdyż na tem tle o wiele łatwiej można zrozumieć wiele dziś dla nas niejasnych punktów w ustosunkowaniu się Czechów do Polski. Z tego są znane tylko ogólniki. Nie chcemy twierdzić, że Masaryk przyniósł ze sobą wszystkie zupełnie nowe poglądy. To, co było jego wyłączną własnością, spotykało się zresztą, przed pół wiekiem, nierzadko z niechęcią i wrogą reakcją. Ale umiał on znakomicie zrozumieć psychikę własnego narodu i stworzyć dla niego system myślowy najlepiej mu odpowiadający. Stosunek narodu do narodu nie może być oczywiście urobiony przez jednego człowieka, choćby nim była najpotężniejsza nawet indywidualność. Na stosunek ten składa się, oprócz tradycji przeszłości, przedewszystkiem wiele czynników współczesności, czynników zewnętrznych, na które jednostki nie mają wpływu. Profesor Masaryk umiał jednak uczyć nietylko swoich słuchaczy filozofji ścisłej, ale i całe społeczeństwo filozofji życia, uczył między innemi polityki, uczył, jak patrzeć na sąsiadów, a więc także i na Polaków. Masaryk zanalizował czeską tradycję i współczesność, oswobodził je od wielu romantycznych wyobrażeń, dodał własny doskonały zmysł trzeźwego i spra-

[1] Znane są mi trzy przekłady:

1) Tomasz G. Masaryk: *O bolszewiźmie.* Z czeskiego tłumaczył A. B. Dostal, ze słowem wstępnem A. Czernego, str. 72. Warszawa 1922;

2) Tomasz G. Masaryk: *Słowianie po wojnie.* Przełożył i wstępem zaopatrzył Ostap Ortwin, str. 50 + 2 nlb. Lwów 1924 (*Bibljoteka tęczowa* Nr 2). — Wstęp tłumacza jest tu skromnem lecz dobrem wprowadzeniem do dziełka, kreślącego poglądy autora na obecne i przyszłe losy Słowian. Przekład również naogół dobry, choć i on przy szczegółowej analizie wykazuje sporo usterek;

3) T. G. Masaryk: *Rewolucja światowa.* Przełożył W. M. Kozłowski, str. 192. Warszawa—Stanisławów 1930. Przekład bardzo wadliwy.

wiedliwego krytycyzmu i wytworzył nowy program czeskiej słowiańskości, program dziś przez większość społeczeństwa czeskiego i część słowackiego przyjęty.

[4.] Postaramy się poniżej przedstawić stosunek prez. Masaryka do Polski tak, jak on występuje w jego pismach, względnie także i w opublikowanych przemówieniach. Trzymać się będziemy metody chronologicznej, jako bardziej zaręczającej pełnię opracowania, niż podział rzeczowy, w którym zresztą także rozgraniczenie poszczególnych działów okazaćby się mogło niełatwe. Nadto nasuwała się tu jeszcze możliwość dwojakiego potraktowania materjału: albo należało przytaczać dotyczące Polski ustępy z pism Masaryka dosłownie (w przekładzie naturalnie), albo też streszczać je własnemi słowami. Przyjęliśmy w tem zasadę kompromisową. Mianowicie z jednej strony uważaliśmy za wskazane dąć czytelnikowi jak najwięcej możności zapoznania się z oryginalnym sposobem myślenia Masaryka, z drugiej strony obszerność niektórych jego enuncjacyj, wiążących się z naszym tematem, ze względu na szczupłe zakreślone ramy niniejszego artykułu, zmusiła nas do streszczania. W bogatej czeskiej literaturze masarykowskiej istnieje szereg prac omawiających specjalnie stosunek Masaryka do Słowiańszczyzny. Skorzystaliśmy w niniejszym artykule szczególnie z cennych prac, kwestję tę przedstawiających, pióra zasłużonego czeskiego pracownika słowiańskiego, Adolfa Černego.[1]

*

---

[1] 1) Adolf Černý: *Masaryk a Slovanstvo,* str. 96. Praha 1921. (Knihovnička „Času", nové řady sv. 7). Bardzo dobre i przejrzyste opracowanie; sprawy polskie na str. 49—68;

2) Ad. Černý: *Slovanstvo v knize paměti T. G. Masaryka. — Slovanský Přehled* XVII (Praha 1926), str. 275—281 i 358—372, o sprawach polskich 365—367. (Przedstawienie rzeczy dotyczących Słowiańszczyzny w pamiętnikach Prezydenta z wojny światowej).

3) T. G. Masaryk: *Slovanské problémy.* Vybral Adolf Černý, str. 192. Praha 1928 (Knihy pro každého, R. VI, sv. 1). Zestawienie najważniejszych tekstów dotyczących Słowiańszczyzny z pism Masaryka, w dosłownym przedruku, jeśli rzecz była i pierwotnie drukowana po czesku, wzgl. w czeskim przekładzie, o ile rzecz daną ogłosił Masaryk w innym języku. Jest to niezbędny podręcznik orjentacyjny dla każdego badacza sprawy słowiańskiej u Masaryka. O Polsce na str. 96—129, 161. 171.

[5.] Przypadek zrządził, że w tej części Moraw, gdzie leżało rodzinne miejsce Masaryka, byli internowani po powstaniu r. 1863 Langiewicz i Pustowojtówna. Młody, wówczas czternastoletni Tomasz Masaryk, był chłopcem niezwykle żądnym wiedzy, interesował się już od najmłodszych lat głębokiemi problemami ludzkości, nic też dziwnego, że silnie zajęły go echa powstania polskiego. Jak wiadomo, powstanie styczniowe wywołało w Czechach silne poruszenie. Społeczeństwo czeskie podzieliło się na dwa obozy, z których jeden pochwalał, drugi potępiał tę formę polskiego ruchu niepodległościowego. Te ścierające się prądy musiały się odbić żywem echem u młodego Masaryka (który zresztą i w swym kraju rodzinnym spotykał się z czemś w rodzaju sporów międzysłowiańskich, oczywiście zakrojonych na najmniejszą miarę: ze sporami z drugiej połowy ub. stulecia, na temat czy Morawianie są Czechami, czy też nie). Zainteresowanie, które objawiała okoliczna ludność dla internowanych powstańców, wieści o bojach polskich i represjach rosyjskich — to wszystko spowodowało wkońcu, że młody Masaryk zaciekawił się i podłożem całej sprawy, zaczął się interesować Polską wogóle. Oto jak pisze o echach powstań polskich w Czechach (najpierw o powstaniu listopadowem) w swem głośnem dziele *Kwestja czeska*[1]: „Sprawą polską zajmowali się u nas żywiej patrjoci słowiańscy[2] po powstaniu r. 1830, tak jak i po powstaniu r. 1863. Wiemy z korespondencji Jungmanna z Markiem,[3] że istniało wtedy zrzeszenie polonofilskie; Marek sam do niego nie należał, przeciwnie, wypowiadał się przeciwko *Dziadom* Mickiewicza. Z pewnością jednak pilniej wtedy uczono się u nas po polsku i korzystano z rzeczy polskich, o czem świadczy nietylko studjo-

---

[1] Z dzieła, które będziemy jeszcze często cytować: *Česká otázka. Snahy a tužby národního obrození.* Napsal T. G. Masaryk. („Kwestja czeska. Dążności i pragnienia odrodzenia narodowego"), str. 246. Praha, wyd. „Času" 1895, II wyd. 1908. Cytat powyższy na str. 130.

[2] t. j. pionierzy odrodzenia czeskiego, szerzący hasła wzajemności słowiańskiej.

[3] Antoni Marek (1785—1877), jeden z czołowych działaczy odrodzenia czeskiego, działacz słowianofilski szczególniej sprzyjający Rosji, poeta średniej miary, za to dobry tłumacz, także pracownik naukowy, m. i. współpracował w czeskim słowniku Jungmanna.

wanie Surowieckiego przez Szafarzyka, ale i powoływanie się Kollára i in. na polskie źródła. Wpływy literatury polskiej stosunkowo silniej uwydatniają się w literaturze słowackiej[1]; S. Chalupka wyniósł z powstania ranę.[2] U nas rusofil Čelakovský z powodu potępiania represyj rosyjskich za powstanie został pozbawiony miejsca na żądanie poselstwa rosyjskiego w Wiedniu.[3] Zaiste, pięknie to świadczy o uczuciach wolnościowych, tak właśnie, jak i to, że za drugiego powstania 1863 r. młodsza generacja u nas była po stronie polskiej"... „Powstanie polskie r. 1863 ponownie osłabiło u nas poniekąd sympatje do państwa rosyjskiego; zaczęto przeprowadzać różnicę między państwem a narodem rosyjskim. Młodzież gorąco opowiadała się po stronie polskiej — właściwie przeżywała w wyobraźni powstanie za własną wolność — starsi bronili legalności i słusznie potępiali lekkomyślność szlacheckich rewolucyjnych poszukiwaczy przygód (np. Palacký, *Radhošt*, str. 123, 145)".[4]

Tak jak to pisał w r. 1895, Masaryk napewno nie czuł w r. 1863 i bezpośrednio potem. Wtedy jeszcze nie miał swego późniejszego doświadczenia politycznego i krytycyzmu społecznego. Do polityki szlachty galicyjskiej ustosunkował się negatywnie dopiero wtedy, gdy ją mógł poznać, w Wiedniu, a zwłaszcza w początkach swej politycznej karjery, po r. 1882. To też cytaty powyższe mają wartość bardziej objektywnie histo-

[1] Bardzo silnie i w literaturze czeskiej; monografję o tym problemie opracowuje obecnie prof. uniw. praskiego M. Szyjkowski.

[2] Samo Chalupka (1812—1883), jeden z wybitniejszych poetów słowackich z połowy ub. stulecia, a zarazem z wybitniejszych polonofilów, wziął udział w powstaniu listopadowem i napisał szereg utworów na polskie tematy, głównie powstańcze.

[3] Franc. Wład. Čelakovský (1799—1852, jeden z najznakomitszych Czechów, wybitny poeta i tłumacz, w r. 1834 pozbawiony został urzędu redaktora *Pražskich Novin* (dziennika rządowego) na żądanie rządu rosyjskiego.

[4] Prof. Masaryk jako niekompromisowy demokrata z niechęcią odnosił się do ówczesnego (z końca XIX w.) ustroju społeczeństwa polskiego w dawnej Galicji, z którego szlacheckimi reprezentantami politycznymi Czesi na terenie wiedeńskim często nie mogli się pogodzić. *Radhošt* Palackiego jest to zbiór mniejszych pism (wyd. 1872), głównie politycznych. Wśród nich jest i artykuł, odnoszący się do powstania 1863 r. Palacký wypowiada tam poglądy, zbliżone do poglądów Wielopolskiego, nadto w szczególności atakuje stanowisko polskiej szlachty wobec chłopów, oraz dążność Polaków do odnowienia granic historycznych (z 1772 r.).

ryczną, niż subjektywną, o ile chodzi o okres, który omawiają.

[6.] Lepiej charakteryzują Masaryka, o ile chodzi o lata 1863 i następne, inne jego enuncjacje. Np. na jednym bankiecie w Moskwie w r. 1917 [1] powiedział: „Rewolucja polska r. 1863 zastała mię jako młodego studenta. Langiewicz i Pustowojtówna byli moimi bohaterami, czytałem o polskiem powstaniu, co tylko mogłem, uczyłem się wszystkiego, co polskie i stałem się szczerym zwolennikiem Polski. Późniejszy mój rozwój spowodował, że swoją rewolucyjną polskość odsunąłem na plan dalszy. Nie przestałem jednak interesować się literaturą polską. Mickiewicz, Krasiński stali się moimi nauczycielami w sprawie polskiej, z nich uczyłem się rozumieć polską rewolucję i emigrację". To samo mniej więcej powtórzył Masaryk w r. 1927 w wywiadzie udzielonym korespondentowi warszawskiej *Epoki*. [2] Z wywiadu tego dowiadujemy się m. in., co głównie interesowało Masaryka w literaturze polskiej: „...czytałem Waszych wielkich poetów, zwłaszcza Mickiewicza i Krasińskiego. Studjowałem polskich filozofów-historyków, jak Trentowskiego, Cieszkowskiego, z nowszych zaś Zdziechowskiego i innych. Z tych samych przyczyn [3] interesowała mnie zawsze literatura polska: Wyspiański, Reymont, Żeromski — z innych względów dekadentyzm — Przybyszewski i t. p. Śledziłem różne kierunki kulturalne i polityczne, a więc np. interesowałem się Świętochowskim, z którym się też osobiście poznałem w Warszawie".

[7.] Studja polonistyczne przeprowadzał Masaryk także i po ukończeniu uniwersytetu w czasie swego pobytu w Wiedniu (1876—1882), gdy był już docentem filozofji (od r. 1879), a rów-

---

[1] Cytowane z książki *Slovanske problémy* (ods. 5), str. 124. Był to bankiet polskiego towarzystwa śpiewackiego „Lutnia" w Moskwie w d. 17 sierpnia 1917. Przemówienie to zamieszczone jest w zbiorze mów i enuncjacyj p. t. *Masarykovy projevy a řeči za války*, Praha 1919, t. I, str. 54—57.

[2] *Epoka* Nr 66 z d. 8 marca 1917. Dotyczący ustęp brzmi (pkt. 1): „Już w młodości zwróciła mą uwagę rewolucja polska r. 1863; od tej chwili śledziłem polityczny problem Polski. Oprócz zwykłej polityki interesowałem się polską literaturą, temi jej dziełami, które mię pouczały o ideach i uczuciach narodu, co stracił swą niepodległość i ulegając okrucieństwu losu, został na trzy części rozdarty. Dostrzegałem analogję z naszym narodem".

[3] t. j. dlatego, że dostrzegał i w literaturze polskiej tak jak w historji wiele analogij ze sprawami czeskiemi.

nież później, gdy został nadzwyczajnym profesorem w czeskim uniwersytecie w Pradze (1882). Jak bardzo się przejął kulturą polską i jak szczerze myślał o zbliżeniu kulturalnem polsko-czeskiem, dowodzi artykuł, który zamieścił w założonem przez siebie czasopiśmie *Athenaeum*, w r. 1885, p. t. „Jak udoskonalać naszą literaturę naukową“ *(Jak zvelebovati naši literaturu naukovou)*.[1] W artykule tym pisze m. i.: „Czy ostatecznie nie możnaby i nad tem pracować, aby Polacy i Czesi tak się w literaturze zbliżyli, że Czech pisałby i dla Polaków i naodwrót. Oczywiście jest to tylko taka sobie akademicka idea, ale jeśli się u nas niekiedy wspomina o zbliżeniu czesko-polskiem, to dlaczego my Słowianie nie mielibyśmy robić tego, co czynią narody skandynawskie?“

[8.] W swych badaniach filozoficznych zajął się Masaryk szybko i narodową filozofją Słowian. Studjował „sławjanofilstwo“ rosyjskie; w r. 1885 wygłosił odczyty o koncepcjach założyciela tego prądu I. W. Kiriejewskiego, wydane w druku w r. 1889.[2] To ponownie zbliżyło go na polu naukowem, a także i politycznem z polskością. Zająć się bowiem musiał także ważną kwestją stosunku „słowianofilów“ do Polski, a przedewszystkiem polskim mesjanizmem (który później scharakteryzował w *Kwestji czeskiej*).

[9.] Masaryk udaje się w r. 1887 do Rosji i przebywa tam także w roku następnym, przyczem odwiedza i Królestwo Polskie. Poczynione tam wówczas obserwacje o kwestji stosunków polsko-rosyjskich kazały mu wystąpić stanowczo przeciw systemowi rusyfikacyjnemu. W praskim tygodniku *Čas* — (założonym w 1886 r., w r. 1887 Masaryk wraz z Kramarzem i Kaizlem staje się jego współredaktorem) ukazuje się w r. 1891 dłuższy artykuł Masaryka p. t. „Do sprawy sporu rosyjsko-polskiego“ (*Ke sporu rusko-polskému*).[3]

---

[1] *Athenaeum* R. II, str. 275 (Praha 1885). Ciekawe, że w samym tytule owego artykułu jest jak gdyby polonizm: „naukowy“ bowiem po czesku znaczy *vědecký* albo *naučný*, słowa zaś *naukový*, fonetycznie identycznego z odpowiednikiem polskim, w literackim języku czeskim niema.

[2] *Slovanské studie. I. Slavjanofilstvi J. V. Kířějevského.* Praha 1899.

[3] *Čas* 1891, str. 222—226 i 236—240. Poprzednio w tym samym roczniku pisał o tymże problemie Kramarz, w duchu bardziej usprawiedliwiającym Rosjan, na co odpowiadał także i znakomity polonofil E. Jelinek. Ma-

Pod *mottem* z Asnyka „Ciężko nie mieć na ziemi dla ducha podstawy — I patrzeć, jak nas ludzkość o głowę przerosła", pisze: „Pozwolę sobie na pewne zwięzłe uwagi, głównie własne obserwacje, poczynione w r. 1887 i 1888 w Polsce (rosyjskiej)". — „Powiem o tem, co widziałem".[1] Własne niejako *motto* Masaryka brzmi: „...sąd mój o stosunkach polsko-rosyjskich powinien jedynie być taki, jak nakazuje przykazanie: 'a przeto wszystko, jakbyście chcieli, aby wam ludzie czynili, tak i wy czyńcie im'. — Przypuszczam i mogę przyznać, że jest to stanowisko poniekąd abstrakcyjne, ale sprawiedliwość może być tylko abstrakcyjna, a ona zmusza nas do stwierdzenia, że Rosjanie powinniby przed Polakami ustąpić".[2]

W dwunastu rozdziałach tego artykułu omawia Masaryk swe spostrzeżenia z różnych dziedzin życia Polaków pod panowaniem rosyjskiem, w szczególności stosunek biurokracji rosyjskiej do ludności polskiej, ucisk na polu szkolnictwa i Kościoła, wzajemną niechęć, a zarazem brak znajomości wzajemnej obu społeczeństw. Nie znajdzie się tam żadnego niemal ważniejszego szczegółu, któregobyśmy nie mogli uznać za objektywnie przedstawiony.

Zacytujemy szereg uogólnień. Zaraz na początku podróży po Polsce, na stacji granicznej usłyszał, że dwaj Polacy, z których jeden był urzędnikiem kolejowym, rozmawiają ze sobą po francusku, ponieważ urzędnikowi państwowemu nie wolno było mówić w służbie inaczej, niż po rosyjsku. Masaryk zauważa: „jaki to tam świat słowiański, w którym Słowianin nie śmie mówić swym ojczystym językiem, żeby się nie narazić swoim przełożonym, a nie chce mówić także innym, słowiańskim przecież językiem?..." „W epizodzie tym odzwierciedla się cały ten okropny stosunek dwu wrogich sobie bratnich narodów, okropny stosunek zwyciężonego i zwycięzcy. A Rosjanin w Polsce postępuje całkowicie nie jak brat, ale jako zwycięzca — w tem leży cała treść stosunków między Polakami a Rosjanami".[3]

---

saryk wprawdzie nigdzie nie zaznacza, że polemizuje z Kramarzem, ale z treści jego artykułu przebija to wyraźnie. Pisze tylko, że miałby zamiar przedstawić cały wogóle problem obszerniej.

[1] str. 222 i 223. [2] str. 239. [3] str. 223.

„To gnębienie, a nawet więcej: zupełne ignorowanie języka polskiego, nie jest niczem innem, jak częścią systemu politycznego, mającego na celu pozbawienie Polaków wszystkich praw politycznych i społecznych. Rząd carski nie postępował bezplanowo, z podniety chwilowej, ale z namysłem i wyrachowaniem".[1]

„Rezultaty systemu rusyfikacyjnego są szkodliwe nietylko dla Polaków, ale i dla Rosjan. System ten w dużej mierze wpływa ujemnie na stronę moralną u Polaków i samych Rosjan. Zauważyłem w Polsce to, co zauważyć można u nas i u każdego podbitego narodu: szerzy się nieszczerość, obłuda i małostkowość polityczna; jednem słowem psuje się charakter. Uciskany pracuje w ukryciu, uciskający śledzi, brak jest wzajemnego zaufania, a tam, gdzie go niema, nie może się także utrzymać normalny ład polityczny i społeczny".[2]

„Państwo, a zwłaszcza takie państwo, które głosi o sobie, że opiera się na prawdziwie chrześcijańskich zasadach, musi mieć cele moralne i musi do tych celów dążyć przy użyciu moralnych środków. Tego żądali od państwa słowianofile, tego musi żądać każdy uczciwy człowiek"... „Nie będę wykładał, że cele nie uświęcają środków, zwłaszcza, jeśli owe cele same dla siebie są bardziej niż wątpliwe; nie będę wykładał, że dla Rosjan rusyfikacja jest szkołą prostactwa i gwałtu — osądźmy owe „radykalne cięcia" z czysto politycznego, praktycznego punktu widzenia. Radykalne cięcie jest tylko w wyobraźni. Czyż można przez najgwałtowniejszą choćby rusyfikację złamać cały naród polski?..." „Czyż nie byłoby godniejszą Rosjan pracą skierować całą swą energję na podniesienie narodowości nisko stojących, zamiast na gnębienie narodu oświeconego i bratniego"... „Nie chcę znów wracać do nauki słowianofilów, wobec której popełnia się zdradę przez obecny system antypolski — ale jaki sens ma ten system wogóle?"[3]

Masaryk kończy wezwaniem do Rosjan, aby Polakom poczynili ustępstwa, żąda jednak także i od Polaków trzeźwości: „Rosjanie powinni dać Polakom pełną autonomję i swobodę używania języka polskiego w urzędach i we wszystkich szkołach; Rosjanie nie powinni decydować o losach Polski bez Po-

[1] str. 223. [2] str. 236. [3] str. 237—239.

laków. Jeżeli jednak Rosjanie jako silniejsi i rządzący powinniby Polakom ulżyć, nie myślę także, że Polacy nie mają żadnych obowiązków wobec Rosjan. W sporze, który trwa od wielu stuleci, nie można przecież myśleć, że tylko po jednej stronie leży wina. Polacy popełniają ciężki błąd, uważając Rosjan za głównych sprawców swego upadku i swego teraźniejszego nieszczęśliwego położenia; jest to fatalne okłamywanie samego siebie, które spowodować może niejedną fatalną omyłkę".

„Mojem zdaniem, w obecnej sytuacji w polityce światowej Polacy nie mogą mieć samodzielnego państwa; z myślą tą muszą się — obstaję przy tem — pogodzić, jak pogodziliśmy się i my, Czesi. Małe, istotnie niepodległe państwa między dwoma lub trzema potężnymi sąsiadami są dziś niemożliwe; takiej trzeźwości politycznej, jak sądzę, możemy dziś żądać od braci Polaków. Zapewne, rozbiory i strata niepodległości są dziś jeszcze zbyt świeże w pamięci, ale czy nowe pokolenie nie mogłoby sobie tej straty przynajmniej częściowo wynagrodzić, współpracując przy realizacji wielkich zadań, wyznaczonych w świecie mocarstwu rosyjskiemu? W Francuzach i Niemcach mogą Polacy znaleźć przykład, że naród może się rozwijać w różnych państwach".[1]

Na uwagę zasługuje jeszcze podkreślenie stanowiska czeskiego w odniesieniu do sporu polsko-rosyjskiego. Masaryk uważa, że Czesi w żadnym wypadku nie powinni stawać po stronie rosyjskiej: „...Nie pojmuję, jakim sposobem my Czesi moglibyśmy uznawać za słuszne historyczne i prawne argumenty Rosjan. Analogicznie przecież i my niejednokrotnie staraliśmy się udowodnić, że Ferdynand II jednostronnie zadecydował o prawach kraju, motywując to bezprawnie rewolucją".[2] (Chodzi tu mianowicie o znany argument rosyjski, że przecież Polska była orężnie zdobyta, a Polacy przez powstania zwolnili władców rosyjskich od zobowiązań konstytucyjnych).

[10.] Jedynie owe wywody o „nierealności" myśli o Polsce niepodległej wywołać musiały i wówczas oczywiste zastrzeżenia u Polaków. Masaryk myślał tak i później, dopiero w czasie wojny światowej szybko się przekonał, że polska akcja nie-

[1] str. 240.

[2] Mowa tu o tym Ferdynandzie, który po swojem zwycięstwie na Białej Górze (1620) rozpoczął systematyczne niszczenie swobód czeskich.

podległościowa mogła i musiała spotkać się z powodzeniem. Zresztą argument o niemożliwości istnienia małego państwa, zamkniętego między potężnymi sąsiadami nawet sam dla siebie nie jest bezwzględnie słuszny (Szwajcarja, Belgja). O ile chodzi zaś o Polskę, to wynikać musi z takiego twierdzenia Masaryka, że nie zgadzał się on widocznie z koncepcją Polski mocarstwowej — jeśli już wtedy znał tę koncepcję — a przynajmniej nie liczył się z czemś takiem jako z możliwością realną. I późniejsze jego enuncjacje, nawet z czasu wojny światowej, świadczą o tem, że wyobrażał sobie Polskę raczej w granicach ściśle etnograficznych.

[11.] Rok 1891 przyniósł wybór prof. Masaryka do parlamentu wiedeńskiego, jako posła stronnictwa „młodoczeskiego". Z Polakami Masaryk stykał się odtąd i na arenie politycznej Wiednia. Jak wiadomo, mimo obustronnych naogół dobrych chęci, współpraca polsko-czeska nie była w Austrji rzeczą łatwą — aż do roku 1918. Poseł Masaryk również zaznaczał swe dobre chęci. W Strakonicach w r. 1891 miał wielką mowę o sytuacji politycznej, w której m. in. wspomniał i o Polakach austrjackich: „Stosunki łączące nas z Polakami nie są ani przyjazne, ani nieprzyjazne. Klub polski składa się z kilku frakcyj, z których niejedna jest nam przez swój program i taktykę dość bliska. Mojem zdaniem, w Kole Polskiem przeciw nam zwraca się frakcja arystokratyczno-klerykalna; nasze poglądy na politykę zagraniczną są dla niej raczej, zdaje mi się, pretekstem niż istotną przyczyną. Pod tym względem należy zatem zająć stanowisko wyczekujące. Ale z Polakami oprócz pokrewieństwa łączy nas także program autonomji i łączy nas Śląsk. Nasz program praw korony czeskiej [1] zapewnia równouprawnienie wszystkim trzem narodom, zamieszkującym kraje korony: Czechom wszędzie, Polakom na Śląsku i Niemcom wszędzie. Polacy na Śląsku są mieszkańcami kraju należącego do korony czeskiej, z tego wynika naturalna konieczność wspólnego frontu, najpierw ze śląskimi, a potem i galicyjskimi Polakami. Śląska nie damy Niemcom na pastwę. My pierwsi podnieśliśmy kwestję śląską, w kraju i w Wiedniu, kwestji tej nie pozwolimy umil-

[1] T. zw. „státoprávní program", żądający uznania odrębności krajów korony świętowacławowskiej (Czechy, Morawy, Śląsk) w ramach Austrji.

knąć, jakby sobie Niemcy życzyli, a w tem znajdziemy w Polakach naturalnych sprzymierzeńców, nawet i w tych, którzy tymczasem zostawialiby Śląsk Niemcom".[1]

Przebija tu przedewszystkiem nader doniosły moment, wysuwany przez Masaryka: współpracy polsko-czeskiej przeciw Niemcom. Pozatem jednak stosunki w dawnej Galicji oceniał bodaj mniej bystro, niż w Królestwie. Wpływało na to wiele przyczyn. Odgrywała tu rolę m. in. także i sprawa ruska. Wprost i pośrednio — zarzucał nam Masaryk gnębienie Rusinów.[2] Jego demokratyczny pogląd na świat w zetknięciu się odmiennych ustrojów społecznych, czeskiego i polskiego, poświęcał w rezultacie na rzecz owej abstrakcyjnej demokratyczności możność lepszego porozumienia się Czechów i Polaków galicyjskich.

[12.] Syntezą studjów historyczno-filozoficznych i społecznych Masaryka było jego głośne dzieło o *Kwestji czeskiej*, wydane w r. 1895. W pierwszych trzech rozdziałach tej książki znajdujemy wiele głębokich i oryginalnych spostrzeżeń odnośnie do spraw polskich. Fragment z nich przytoczyliśmy już wyżej, przy omawianiu echa powstań polskich w Czechach. Tu zwrócimy główną uwagę na rozważania filozoficzne.

W rozdziale I (pkt. 16) znajduje się interesujące porównanie nauk Kollára, Mickiewicza i Kiriejewskiego, programu wzajemności słowiańskiej, zmierzającej ku ideałom ogólno-ludzkim, z mesjanizmem polskim i rosyjskiem „słowjanofilstwem". „Teorje tych trzech myślicieli słowiańskich mają na celu rozwiązanie losów dziejowych ludzkości, rozwiązanie problemu wogóle — problemu zatem, jak się ma definitywnie zorganizować życie wszystkich narodów, całej ludzkości. Czech (Kollár) problem ten rozwiązać chce w myśl zasad rozumu: postęp i oświata powinny zabezpieczyć ludzkości dalszy rozwój; żywymi przedstawicielami tych abstrakcyjnych zasad są Słowianie, Słowianie wszyscy. Polak (Mickiewicz) rozstrzyga także

[1] *Čas* 1891, str. 624.

[2] Np. w owym artykule o sprawach polsko-rosyjskich. U Černego *(Slov. probl.)* str. 112: „Wielu Polaków w Królestwie ma sądy o Rosji i Rosjanach już dość sprawiedliwe. Nieraz słyszałem zarzuty pod adresem Polaków galicyjskich, że ci gnębią tamtejszych Rosjan; Rosjanie stąd podobno wysnuwają powód do uciskania Polaków".

ten problem, ale nie rozumem, tylko uczuciem, nie przez oświatę, ale przez religję powinno się problem ów rozwiązać. *In concreto* religja i Kościół katolicki mają być podstawą, naród polski, w łączności z francuskim, wodzem. Ponieważ zaś chodzi tu o nową i definitywną organizację nietylko Słowian, ale i pozostałych narodów, mesjanizm polski nie może się oddzielić od prądów europejskich, przeciwnie, musi je opanować, dlatego też Polska łączy się z Francją, w której Mickiewicz widział żywe źródło mocy. Kollár tymczasem, pozostając wiernym idei humanitarnej, oczekuje realizacji wielkich zadań światowych od pracy literackiej, z którego to powodu żąda od Słowian wzajemności w literaturze. Mickiewicz wypełnienie planów mesjanizmu widzi w sile orężnej: francuska waleczność i siła, taka, jaka uwydatniła się za Napoleona, ma służyć polskiej idei. Kollár jest Bratem Czeskim, Mickiewicz jest katolikiem według zasad Bonifacego VIII, który, według tradycji, pokazywał światu dwa miecze, mówiąc: *Ecce duo gladii, ego sum Caesar.* Miecz zatem ma zrealizować ideę polską, słowiańską, wszechludzką, miecz mianowicie połączy wrogich braci Polaków i Rosjan. Czeski humanitarysta chce tych braci na ziemi połączyć wzajemnością literacką, w niebie słowiańskiem siedzą tam w braterskiej zgodzie ci, którzy na ziemi się zwalczali — Kościuszko i Suwarow".[1]

„Kiriejewskij również rozstrzyga problem wszechludzki. Słowianofilizm, dopiero później interpretowany według znaczenia wyrazu jako miłość dla Słowian, jest uczuciem miłości dla Kościoła słowiańskiego, dla prawosławia; państwo i oświata na podstawach słowiańskich przedstawiają pożądany ustrój dla całej ludzkości, ustrój ogólno-chrześcijański. Słowianofilizm ma wynagrodzić szkodę, powstałą przez wielką schizmę, oddzielającą Zachód od Wschodu. Ze Wschodu zabłyśnie zbawcze światło".[2]

„Zgodność i różnice między tymi trzema apostołami miłości słowiańskiej i wszechludzkiej odpowiadają warunkom ich egzystencji narodowej i stosunkom ówczesnym. Cele ich są

---

[1] Odnosi się to do treści 15 sonetu IV pieśni głośnej *Córy Sławy* (*Slávy Dcera*) Kollára.

[2] str. 21—22.

jednakowe, ale różnią się w środkach. Czech ufa wiedzy i filozofji, Polak i Rosjanin religji — ale każdy z nich innej, swojemu Kościołowi. Czech spodziewa się zbawienia po spokojnej pokojowej pracy, Rosjanin zgodziłby się z nim, ale Polak chwyta za miecz. Czech słucha rozumu i przystaje na pogląd Rosjanina, że rozum ten ma zgadzać się z sercem, Polak apeluje tylko do serca".[1]

Poglądy Mickiewicza w szczególności charakteryzuje Masaryk następująco: „Nie wystarcza znać istotną prawdę, trzeba pozwolić wejść w siebie jej światłu i ciepłu: 'miej serce i patrzaj w serce'; ale ponieważ świat należy do głowy, serce wiecznie się trapi. Panować chcę siłą swego uczucia, które się opiera na wierze katolickiej".[2] „Polak ufa tylko pomocy narodu nie-słowiańskiego, francuskiego".[3]

Następuje oryginalna paralela poglądów Kollára, Mickiewicza i Kiriejewskiego. „Zbawcą ludzkości będzie Słowianin (Ko.) — Zbawcą ludzkości będzie Polak z Francuzem (M.) — Zbawcą ludzkości będzie Rosjanin (Ki.) — Starajmy się drogę znaleźć przez wspólną pracę wzajemną (Ko.) — Naród polski drogę tę już wskazuje (M.) — Wskazuje ją naród rosyjski (Ki.) — Ufajmy genjuszom całej Słowiańszczyny, Dobrowskim, Kopitarom, Szafarzykom, Gajom, Pogodinom, Chomiakowom i innym wielu (Ko.) — Polećmy się genjuszowi wielkiego człowieka, Napoleona (M.) — Idźcie w ślady ruskiego mużyka (Ki.)"... „Wszyscy trzej opierali się na zasadach ogólnych, wszechludzkich, nad któremi już pracowano: na humanitaryzmie, katolicyzmie, prawosławiu".

[13.] Nader zwięzłe są zdania powyższe, myśli są skondensowane — przekład ich nastręcza niekiedy nawet poważne trudności. Tworzą one łącznie charakterystykę owych trzech prądów myślowych spoistą i logiczną, jeśli nawet nie we wszystkich szczegółach słuszną, niemniej jako całość dającą czeskiemu czytelnikowi obraz, którego prawdopodobieństwu nie może się on oprzeć.

Rosjanie pod wielu względami odmawiają słuszności charakterystyce ich, dokonanej przez Masaryka. Podobnie i z polskiej strony można zauważyć, że charakterystyka mesjanizmu

---

[1] str. 22. [2] tamże. [3] str. 23.

Mickiewicza — oparta widocznie na jego paryskich prelekcjach z późniejszego okresu — nie może uchodzić za charakterystykę ogólną polskiej słowiańskości ówczesnej, nawet jeśli chodzi o samego Mickiewicza, nie uwzględnia bowiem w należytej mierze pierwiastka czysto polskiego, jaki się u niego i w tej dziedzinie zaznacza.

[14.] Znalazła się w *Kwestji czeskiej* znowu ujemna opinja o ustroju społecznym w Polsce z końca XIX w. Wspomina o tem Masaryk przy krytyce dziejów czeskich, w których znajdował niejedną analogję do historji polskiej oraz charakteryzując spór polsko-rosyjski. „Ze sporem rosyjsko-polskim nie można się załatwić w kilku słowach. Tu narazie musimy powiedzieć, że nasze niesympatyzowanie z niepostępowością i niedemokratycznością sfer kierowniczych w Polsce — jest niewątpliwie słuszne. Polacy nasz rusofilizm pojmują błędnie, jeśli widzą w nim tylko klękanie przed siłą fizyczną, jak to wytykał Mickiewicz Kollárowi.[1] Czech poznaje i wyczuwa w rosyjskiej literaturze, w rosyjskim sposobie myślenia i życia siłę duchową sobie pokrewną, uznaje ją i jednako z nią czuje, ona go rozgrzewa i wzmacnia. Przecież niebawem po pierwszem powstaniu sami Polacy, np. Gurowski, pisali i czuli w sensie rusofilskim — a wkońcu, czy obecna polska generacja nadal jeszcze nie pojmuje Improwizacji Mickiewiczowskiej?“[2] Mówiąc o przyczynach upadku państwa czeskiego, jedną z głównych widzi Masaryk w ustaleniu się rządów oligarchji szlacheckiej — jak w Polsce. Nieszczęściem było przykucie ludu wiejskiego do roli i panów — „dziwna rzecz, musiało się to właśnie stać za króla z Polski“.[3]

Krytycyzm bezkompromisowego demokraty poszedł, jak widzimy z powyższej enuncjacji, dosyć daleko. I w tem bodaj leży błąd Masaryka: że swe abstrakcyjne kryterjum zastosować chciał do stosunków, w których zachodnio-europejska postępowość i demokracja nie mogły być jeszcze rzeczą aktualną.

---

[1] W wykładach w Collège de France, w trzecim roku.

[2] *Kwestja czeska*, str. 55. Sąd ten Masaryka jest zbyt pochopny, z pojedynczego przykładu nie powinno się generalizować. Chodzi tu o częściej przez Masaryka cytowane słowa z widzenia ks. Piotra o trzech mordercach Polski.

[3] str. 221.

Tego Masaryk nie zrozumiał, że podzielone i niewolne społeczeństwo polskie o wiele więcej swej energji zwraca ku dążeniom niepodległościowym, niż społeczeństwo czeskie, mające jednego tylko wroga, mogące zatem usilniej pracować dla zasad postępu i demokracji. Ale — przypominamy, że pisane to było przed r. 1895.

[15.] Poglądy Masaryka na całokształt polskich zagadnień politycznych i kulturalnych poznać możemy w zwięzłem przedstawieniu w jego odpowiedziach na ankietę *Krytyki* krakowskiej z r. 1899.[1] Przytoczymy je w całości:

(1. „Czy cywilizacja polska jest obojętna lub też nie dla postępu Europy Zachodniej?")

„Żaden prawdziwy człowiek i przyjaciel ludzkości nie może uważać kultury dzielnego i dążącego naprzód ludu za obojętną dla siebie. Skoro jednak pytanie to, jak i trzy pozostałe, przeważnie w kierunku politycznym winny być pojęte, muszę na pytanie odpowiedzieć pytaniem: Kto jest w tym wypadku Europą zachodnią? Francja idzie ręka w rękę z Rosją; Niemcy chcą zachować swą polską prowincję, tak samo i Austrja, pozostaje właściwie tylko Anglja, której antagonizm wobec Rosji może mieć wagę dla polityki polskiej. Wątpię, aby Anglja choć w przybliżeniu wobec Polski grała taką rolę, jak niegdyś Francja, chociażby dlatego, że przeciwieństwo Anglji i Rosji występuje w Azji i nawet w razie otwartej wojny położenie geograficzne Polski nie odgrywałoby dla niej znaczenia. Nawet gdyby Niemcy wzięły w wojnie udział, o czem wątpię, to właśnie dlatego, że posiadają część Polski. Polacy nie odegraliby w tem politycznego znaczenia. Innemi słowy, Polacy politycznie na zachodnią Europę rachować nie mogą".

(2. „Czy w dzisiejszych warunkach możliwy jest prawidłowy rozwój narodu polskiego i jak sądzić należy politykę germanizacyjną i rusyfikacyjną?")

[1] *Sprawa polska w opinji Europy.* Ankieta międzynarodowa, zebrana staraniem redakcji *Krytyki.* Str. 122. Kraków (1900). Z Czechów wzięli w tej ankiecie udział: A. Černý, T. G. Masaryk i J. Vrchlický. Odpowiedź Masaryka znajduje się na str. 66—68. Pisana jest — po niemiecku („T. Masaryk. Professor an der Universität zu Prag") Korzystam z dołączonego tam przekładu *Krytyki,* poprawiając jednak dość liczne niedokładności, a nawet opuszczenia poszczególnych słów, rzucające się w oczy przy porównaniu tekstu odpowiedzi z przekładem.

„Nie mogę oczywiście pochwalać gwałtownej rusyfikacji i germanizacji; lud polski w Niemczech i Rosji nie może się normalnie rozwijać. Pomimo potrójnego podziału mogę sobie jednak wyobrazić, że naród polski mógłby się chociaż w przybliżeniu normalnie rozwijać, gdyby polityce polskiej udało się wstrzymać wprowadzane przemocą wynaradawianie. W miarę jak państwa i ludy mniej wrogo przeciwko sobie występują, a militaryzm traci swoją przewagę nad innemi siłami społecznemi, w miarę tego i istnienie małych narodów będzie zapewnione, ponieważ będzie musiał być uznany ich współudział w rozwoju kultury".

(3. „Czy istnienie niepodległej Polski nie wpływałoby korzystnie na rozwój Europy zachodniej?")

„Wobec swego geograficznego położenia Polska politycznie niepodległa mogłaby mieć niewielkie tylko znaczenie dla zachodniej Europy. Oczywiście chodziłoby o to, w jakich granicach naturalnych Polska mogłaby być odbudowana. Polska bez morza względnie mórz byłaby niewątpliwie w ciężkiem położeniu i nie mogłaby wywierać wielkiego wpływu na swoich sąsiadów. Dawniejsza koncepcja jakiegoś polskiego państwa zderzakowego mocno się przestarzała wskutek postępów komunikacji i ich następstw".

(4. „Czy Polska może odzyskać swą niepodległość i jaką drogą?")

„Polacy od odległej tylko przyszłości mogą spodziewać się pełnego uznania swojej narodowości. Drogą polityki zbrojnej Polska nie odzyska swej niepodległości. Wszystkie wysiłki Polaków, mojem zdaniem, winny być skierowane ku temu, aby usilną pracą cywilizacyjną wymusić sobie uznanie praw narodowych i językowych. W każdym razie powinni Polacy pracować dla porozumienia z Rosją. Mam tu na myśli słowa, które Mickiewicz mówi w *Dziadach* o trzech katach Polaków. W tem, co powiedziane jest o Rosji, widziałem zawsze głęboki polityczny pogląd i w krótkości właściwy polityczny program Polaków. Zwłaszcza postępowe stronnictwa polskie winnyby wytworzyć społeczną raczej, niż polityczną politykę i pracować nad moralnem podniesieniem ludu. Pytam się bowiem: czy winnymi upadku Polski są rzeczywiście tylko obcy uzurpatorzy? Na to pytanie musiałaby młodsza generacja polska dać

odpowiedź przeczącą, którąby nie mogła zalecać narodowej taktyki czysto politycznej i takiej, jaką prowadziła emigracja".

I tu taki sam krytycyzm, odnośnie do tychże samych kwestyj społecznych. Echa wzmianki o „szlacheckich poszukiwaczach przygód" (*Kwestja czeska* III, 47) i wezwanie do ugody z Rosją. Program polski Masaryka ulegał naogół niewielkim zmianom od jego pobytu w Królestwie 1887/8; stale występuje ta sama koncepcja jak najbardziej zdemokratyzowanego i oświeconego, ale terytorjalnie do granic etnograficznych ścieśnionego państwa. I tu jest jednak, choć pośrednio tylko — przez wzmiankę o dostępie do morza — zaznaczony program przeciwniemiecki. O współpracy czesko-polskiej tym razem ani słowa. Z całości wybija się na pierwszy plan wezwanie do t r z e ź w o ś c i w polityce.

[16.] Pierwsze lata bieżącego stulecia aż do wybuchu wojny nie pomnażają zrazu naszego materjału. Prof. Masaryk jeździ w owym czasie dwukrotnie do Ameryki, prowadzi swe wielkie boje z dyplomacją austro-węgierską w sprawach serbsko-chorwackich (proces zagrzebski 1909 i Friedjunga). Wkońcu jedzie w r. 1910 ponownie do Rosji. Wrócił bowiem do swych badań nad zagadnieniami rosyjskiemi. Owocem ich było wielkie i głośne dzieło, które wyszło zrazu po niemiecku, w Jenie 1913 r., p. t. *Rosja i Europa. Studjum o prądach myślowych w Rosji. Część pierwsza. Z historji filozofji religijnej rosyjskiej. Szkice socjologiczne.*[1] Dzieło to zaliczane bywa do najcenniejszych prac analizujących duszę rosyjską i spotkało się z ogromnem zainteresowaniem i uznaniem w Niemczech i w innych krajach europejskich. Dzięki swemu krytycznemu duchowi, a więc zasadniczo negatywnemu stanowisku wobec carskiego reżimu przedewszystkiem, zostało zakazane w Rosji. Ale krytycyzm ten stosuje Masaryk i wobec marksizmu, to też skrajna lewica również zaatakowała tę książkę, m. i. i Trockij. Tu i ówdzie znajdujemy w tem dziele wzmianki o rzeczach polskich, głównie wtedy, gdy zachodzi potrzeba porównania ujęcia jakiegoś

[1] *Russland und Europa. Studien über die geistigen Strömungen in Russland. Erste Folge. Zur russischen Geschichte und Religionsphilosophie. Soziologische Skizzen.* T. I str. 368, t. II str. 533. Jena 1913, T. III, tamże 1919. Po czesku *(Rusko a Evropa)* t. I w Pradze 1919, t. II 1926.

zagadnienia przez myślicieli polskich i rosyjskich. Szczególniej godna jest uwagi nowa zwięzła charakterystyka mesjanizmu polskiego, zasadniczo zgodna z tem, co Masaryk powiedział już w *Kwestji czeskiej.* [1]

„Filozofja polska rozwijała się pod wpływem niemieckim, pokantowskiej filozofji historji, zwłaszcza Schellinga i Hegla, filozofja historji rosyjska mało miała na nią wpływu. Tak był problem polski sformułowany w szeregu znakomitych dzieł literackich i z dziedziny filozofji historji, których studjum i porównanie z pozostałemi słowiańskiemi systemami filozoficznemi byłoby rzeczą wysoce zajmującą. Założony przez Wrońskiego mesjanizm został po rewolucji 1830 r. przez Mickiewicza sformułowany dobitniej pod względem politycznym: Polska na podstawie katolicyzmu i za pomocą Napoleona uratuje ludzkość i siebie. Program ten polityczny i świadomie militarystyczny Mickiewicz zmienia później pod względem społecznym. Krasiński poleca swym rodakom rozprószonym na wygnaniu drogę reform wewnętrznych. Jeśli Mickiewicz swój program rewolucyjny charakteryzuje słowami: jedyną bronią niewolnika jest zdrada — Krasiński stara się pokonać rewolucjonizm religijnością. Przeciwko rosyjskiemu prawosławiu i niemieckiemu protestantyzmowi polscy mesjaniści idealizują katolicyzm i pojmują go równie mistycznie, jak mesjaniści rosyjscy mistycznie pojmowali wyidealizowane prawosławie. Mistycyzm ten został ujęty w system przez Towiańskiego; miało to silny wpływ na Mickiewicza i wielu innych".

„Panslawizm u Polaków był zawsze bardziej abstrakcyjny, niż u Czechów, Jugosłowian i Rusinów; ideę mesjanizmu pojęli tylko Polacy i Rosjanie — dwa największe narody słowiańskie, z których jeden był zawsze niepodległy, drugi miał żywą pamięć niepodległości. Wielką jest jednak różnica między mesjanizmem rosyjskim a polskim: Polacy chcą zbawić ludzkość z pomocą a właściwie pod kierownictwem niesłowiańskich Francuzów; jedynie Rosjanie uważają się sami za dosyć silnych dla wypełnienia tej roli. Czesi (Słowacy) w uczuciu swej małości skonstruowali sobie ogólną, potężną Słowiańszczyznę, ale liczyli coraz bardziej na pomoc całej ludzkości i oświaty; zamknięci

[1] Czeskie wydanie t. I, str. 374—376.

w granicach Austro-Węgier skoncentrowali się lepiej, niż pozostali Słowianie, podzieleni między różne państwa. Chociaż Kollár był teologiem, zrzekł się ideału teokratycznego: Czesi najpierw jako naród przeprowadzili u siebie reformację, ale zostali przez Rzym i Austrję przemocą przywróceni do katolicyzmu, dlatego też w głębi duszy stosunek ich do zwycięskiego wyznania był obcy. Rosjanie, Polacy i Jugosłowianie pozostali przy Kościele, Czesi trzymali się oświaty. Mickiewicz odrzucał czeski humanistyczny ideał oświatowy w imię uczucia i entuzjazmu".

Masaryk wraca jeszcze po tych słowach do kwestji stosunków polsko-rosyjskich. „Generacja pomickiewiczowska, nauczona wynikiem rewolucji z r. 1863 i zanikiem sympatyj dla sprawy polskiej w Europie, poszła drogą oświaty i reform społecznych; znaczna część Polaków mniema, że powinna się opierać o Austrję, o jej politykę przeciwrosyjską — Mickiewicz w swej improwizacji uważał inną politykę za lepszą"...[1]

„Rewolucja r. 1905 i konstytucja umożliwiają zbliżenie polsko-rosyjskie, pojawia się zrozumienie wspólnych interesów ludowych i rozwija się także obustronne zrozumienie interesów drugiej strony".

Jaką literaturę zużytkował Masaryk, aby móc nakreślić wyżej przytoczoną charakterystykę mesjanizmu polskiego, możemy się mniej więcej dowiedzieć z wyżej przytoczonego wywiadu *Epoki*: oprócz Mickiewicza i Krasińskiego był to Trentowski i Cieszkowski oraz Zdziechowski (zapewne studjum *Mesjaniści i słowianofile*). Jeden szczegół zwraca tu naszą uwagę, szczegół niestety ujemny. Jest to mniemanie, że rewolucyjny program Mickiewicza da się sformułować słowami „bronią niewolnika jest zdrada"; Masaryk cytuje to jeszcze raz po-

[1] Tu Masaryk cytuje ów parokrotnie przedtem już wspominany ustęp z widzenia ks Piotra o trzech mordercach Polski („Rakus octem, Borus żółcią poi, A matka wolność u nóg zapłakana stoi. Patrz — oto żołdak Moskal z kopją przyskoczył I krew niewinną mego narodu wytoczył. Cóżeś zrobił, najgłupszy, najsroższy z siepaczy? On jeden poprawi się i Bóg mu przebaczy"). Masaryk cytuje to w przekładzie dosłownym, z nieznacznemi tylko niedokładnościami, razem z przekładem Vrchlickiego „Borus" tłumaczy jako „Prus" = Prusak, ale odmiennie jak Vrchlický, który słowa o poprawieniu się odniósł do ludu polskiego (Przekład *Dziadów*, „Tryzna", Praha 1895, str. 223), wyprowadza wniosek, że Mickiewicz przewidywał zgodę końcową polsko-rosyjską.

ważnie, w swej *Rewolucji światowej.*[1] Tego spostrzeżenia nie możemy uważać za słuszne.[2] Ze strony rosyjskiej czyniono, jak wiadomo, Mickiewiczowi z tego poważny zarzut. Powtórzyć musimy sąd — wypowiedziany już przy omawianiu *Kwestji czeskiej* — że Masaryk nie doceniał czysto narodowych pierwiastków duszy polskiej. Swój na końcu cytowanego ustępu wyrażony, optymistyczny sąd o postępującem jakoby zbliżeniu polsko-rosyjskiem, Masaryk niebawem zmienił.

[17.] Przyszedł rok 1914 i z nim wybuch wojny. Masaryk szybko się zorjentował, że miejsce jego w obozie koalicji, by tam zyskiwać przychylność dla sprawy niepodległości czeskiej i pracować nad rozbiciem Austro-Węgier. Opuszcza w grudniu r. 1914 Czechy, by powrócić do nich po czterech latach, już jako pierwszy i dożywotni Prezydent wolnej Republiki czesko-słowackiej. Rozpoczyna niestrudzoną pracę polityka-emigranta. Walczy słowem i piórem, wygłasza ogromną ilość wykładów, pisze niezmiernie wiele studjów informacyjnych. Działa najpierw na Zachodzie, gdzie styka się z politykami polskimi; odrazu nawiązuje z nimi kontakt i współpracę dla wspólnych celów. W działalności swej często mówi nietylko o Czechach i Słowakach, ale i o innych Słowianach. Mamy także możność przekonać się, jak Masaryk przedstawiał sprawy polskie Francuzom czy Anglikom (w r. 1915 otrzymał katedrę słowianoznawstwa w King's College w Londynie). W r. 1916 miał Masaryk jeden ze swych najbardziej znanych wykładów, 22 lutego mówił w Sorbonie o stosunku Słowian do panslawizmu.[3] Ustęp poświęcony Polsce zawiera zasadniczo to samo, co było w cytowanym wyżej fragmencie z *Rosji i Europy.* Jest krótszy a brak w nim właśnie tych wszystkich szczegółów, które nas raziły w dotychczasowych przedstawieniach tego zagadnienia. Mickiewicza nazywa tam Masaryk „znakomitym

[1] *Světová revoluce*, str. 548.

[2] Masaryk zresztą później zmienił zdanie, odmienny jednak sąd jego o tej sprawie niestety nie jest tak rozpowszechniony, jak dzieło o *Rosji i Europie.* Oto w cytowanem już (ust. 6) przemówieniu w Moskwie na jubileuszu T-wa „Lutnia" w r. 1917 Masaryk wspomniał znów owo wyrażenie z *Wallenroda* i oświadczył, że nie jest to myśl zasadnicza, ale tylko głęboka analiza niewoli politycznej. O tem jeszcze niżej.

[3] Po czesku wydane p. t. *Svět a Slované.* Praha 1924.

poetą i oryginalnym filozofem" a Krasińskiego „najgłębszym i najsubtelniejszym duchem polskim".[1] W polemice z oskarżeniami Niemców, że wojnę wywołał panslawizm (były one bezpośrednim powodem do wygłoszenia owego odczytu), dowodzi Masaryk, że Słowianie nie znają panslawizmu zaborczego. „Wszyscy pojmują narodowość w formie demokratycznej, wszyscy są entuzjastycznymi pionierami cywilizacji. Jedynie Polacy, których starsze pokolenia były świadkami okrutnego rozdarcia ich ojczyzny, podkreślają ideały wojenne, a Mickiewicz wytyka nam Czechom, że zbyt wiele przykładamy wagi do idej cywilizacyjnych i postępu naukowego. Ale już Krasiński, podobnie jak i nowa generacja poetów polskich, zrzekł się entuzjazmu poprzedniej generacji dla sławy wojennej".[2]

Zastrzeżeń można tu wysunąć o wiele mniej niż poprzednio.

[18.] W maju 1917 r. przybywa prof. Masaryk do — rewolucyjnej już wtedy — Rosji. W wirze dążności niepodległościowych różnych narodów dawnego imperjum carów pragnie znaleźć miejsce i dla Czechosłowaków, czuwać chce nad organizacją legij i nad ich zabezpieczeniem przed rozkładem, grożącym od rewolucji rosyjskiej. Styka się oczywiście i z Polakami; stosunki z nimi stają się żywe i serdeczne. Już wyżej cytowaliśmy (ustęp 6) fragment z jego przemówienia na bankiecie towarzystwa „Lutnia" w Moskwie. Tu podamy resztę tej znamiennej enuncjacji, charakteryzującej masarykowski program wojenny a częściowo i powojenny.[3]

„Nasza ścisła łączność[4] wynika ze stosunków politycznych, jakie wytworzyła ta wojna. Austro-Węgry, objęte przez Niemcy, egzystują tylko *pro forma*. Niemcy i Austrja tworzą dziś jedną całość, dlatego także Polacy i Czesi ze Słowakami łączą się dla wspólnej obrony. Do tych dwu narodów przyłączają się Jugosłowianie przeciwko groźnemu pangermanizmowi. Sprawa polska, czesko-słowacka i jugosłowiańska tworzą jeden problem, ponieważ pangermanizm chce po niemiecku zjednoczyć Europę środkową. Słowianie zachodni i południowi muszą utworzyć barjerę

---

[1] U Černego *Slovanské problémy*, str. 161.
[2] Tamże, str. 162.
[3] Tamże, str. 123—125.
[4] *Slovanské problémy*, str. 124—125.

przeciwko niemieckiemu naporowi. Tę samą myśl wypowiedział p. Lutosławski, gdy oświadczył, że konieczność takiej barjery jest oczywista dla rozwoju dziejowego Polski".

„My Czechosłowacy i Polacy nietylko ze względu na położenie geograficzne, ale i z nakazu historji jesteśmy zobowiązani do tworzenia najściślejszego związku obronnego. Wynika to z bezwzględnej narodowej wrogości Niemców. Matematyka polityczna doprowadziła oba zachodnie narody słowiańskie do zawarcia porozumienia na życie i śmierć".

„Istnieją wprawdzie między nami kwestje sporne np. Śląsk. Ale sprawa ta w porównaniu ze światową doniosłością naszych wielkich zadań maleje. Nie bylibyśmy godni wolności, gdybyśmy nie potrafili rozwiązać tego węzła"...

W tem pięknem, godnem zapisania złotemi głoskami przemówieniu jest jeszcze jeden ważny punkt, który powyżej opuściliśmy. Jest nim bliższe wyjaśnienie, co Masaryk rozumie przez „zdradę", cytując *Wallenroda*. Masaryk mówi wyraźnie: „W krajach słowiańskich widziano w poemacie tym zwrot do machiavelizmu... Ale to nie jest myśl zasadnicza, lecz tylko głęboka analiza niewoli politycznej. Mickiewicz ucieka z niewoli i zmierza ku swobodzie, ku niepodległości dla narodu i dla całej ludzkości. Rewolucja i jej wszystkie drogi — to nie jest cel, ale tylko środek obrony. Tę pozytywną, słowiańską, polską myśl jasno wypowiedział Krasiński, z którego też widzimy, jak Polacy swoją gorącą miłość do narodu pragną zużytkować dla organizowania całej ludzkości — a to właśnie w tej wojnie jest programem Sprzymierzonych. Ideje mesjanizmu polskiego, tak jak i koncepcje myślicieli słowiańskich, wyprzedziły ten program demokratyczny, europejski i wszechludzki".[1]

Powyższe słowa Masaryka świadczą, że zmienił on swe dawniejsze sądy o mesjanizmie polskim, lepiej go zaczął w czasie wojny rozumieć. Tu już żadnego zastrzeżenia wysunąć nie można. I w wielu innych kwestjach punkt widzenia Masaryka w czasie wojny zaczął się zbliżać do polskiego, o ile przedtem był nieraz odmienny.

Równie doniosłe są słowa Masaryka, wypowiedziane w wywiadzie z Jerzym Bandrowskim w tymże roku 1917[2]: „My

[1] Tamże, str. 124—125.

[2] Tamże, str. 123.

i Polacy zdążamy do tych samych celów i musimy je zdobywać połączonemi siłami. Bez wolnej Polski nie będzie wolnych Czech, ale i bez wolnych Czech nie będzie wolnej Polski. W interesie naszym leży, abyśmy i jedni i drudzy byli jak najsilniejsi, a w tem nie mogą nam przeszkadzać kwestje drugorzędne".

[19.]. Widzieliśmy wyżej, o ile powiększyła się w czasie wojny dawna życzliwość dla Polski u Masaryka — męża stanu. Ale i w czasie wojny pracował Masaryk—filozof. I znów jego bezkompromisowy zmysł demokracji i abstrakcyjna w polityce dewiza: „prawda zwycięża" każą mu mieć pewne zastrzeżenia wobec niepewności, jaki będzie ustrój i granice przyszłego państwa polskiego.

W r. 1917 pisze Masaryk swój plan urządzenia nowej Europy. W roku następnym wychodzi książka ta po francusku i angielsku, dopiero w r. 1920 po czesku p. t. *Nowa Europa.*[1]

Nader interesująca ta praca omawia kolejno: znaczenie historyczne wojny światowej, trwały konflikt między demokracją a imperjalizmem Niemiec, prawa małych narodów, anachronizm istnienia Austro-Węgier, konieczność reorganizacji Europy wschodniej na zasadach samostanowienia narodów, konieczność powstania wolnej Czechosłowacji, Polski i Jugosławji, sprawę winy Niemiec za wybuch wojny, wkońcu zasady trwałego demokratycznego pokoju.

Oczywiście, w tak bogatej w treść książce wiele kwestyj polskich musiało pobudzić autora do uwag. Tu wspomnimy tylko wzmianki najważniejsze.

W III części *Nowej Europy* jest osobny rozdział (XX) poświęcony stosunkom między mającemi powstać państwami słowiańskiemi: Polską, Czechosłowacją i Jugosławją.[2] Masaryk pokreśla pokrewieństwo językowe i bliskość kulturalną, ścisłe stosunki w przeszłości między Czechami a Polską oraz analogję w sytuacji politycznej, wskutek istnienia wspólnego wroga: germanizmu. I tu powtarza Masaryk słowa: „Bez wolnej Polski nie będzie wolnych Czech i Słowacji, i naodwrót". „Wojna ta musi przywódcom obu narodów otworzyć oczy; wspólne nie-

[1] *Nová Evropa. Stanovisko slovanské.* Praha 1920.

[2] Tamże, str. 179—183.

bezpieczeństwo w teraźniejszości i przyszłości musi oba narody złączyć dla planowego wspólnego postępowania".[1]

Plan urządzenia Nowej Europy mówi o Polsce: „Polacy z Poznańskiego i Pruskiego Śląska połączą się ze swymi rodakami z Rosji i Austrji; nie jest rzeczą niesprawiedliwą dać Polsce Gdańsk, aby miała bezpośredni dostęp do morza".[2] Prawdopodobnie jednak wyobrażał sobie Masaryk wtedy Polskę bez wschodniej Małopolski i całego dawnego Księstwa Cieszyńskiego, skoro pisze; „Małorusini w Galicji i Bukowinie rozstrzygną o swej przyszłości, a zwłaszcza o stosunku do Polski i do Ukrainy".[3] „Polacy są na czeskim Śląsku (około 230 tysięcy); przy dobrej woli, a ta jest niezbędna wobec istnienia wspólnego nieprzyjaciela, można dojść do odpowiedniego rozgraniczenia; mniejszość polska na Śląsku zmniejszyłaby się i przez to, gdyby czeski okręg raciborski (ze Śląska pruskiego) powrócił do naszego Śląska".[4]

Tu staje zatem obok siebie koncepcja granic historycznych dla Czech i etnograficznych dla Polski, zresztą nawet niezupełnie ściśle etnograficznych — na naszą niekorzyść.

[20.] Całkowity obraz współpracy z politykami polskimi w czasie wojny światowej podaje dzieło pamiętnikowe p. t. *Rewolucja światowa w czasie wojny 1914—1918 r.*, wydane w roku 1925.[5]

Masaryk stykał się z Polakami od początku swej działalności zagranicą, ale ściślejszy kontakt nawiązał dopiero w 1916 r. w Londynie z Romanem Dmowskim: „Do Londynu przybył w 1916 r. także Dmowski; zgadzaliśmy się w niejednej rzeczy. On zrozumiał, że i dla Polaków istnienie Austrji jest i będzie stałem niebezpieczeństwem. O kwestji śląskiej wtedy się jeszcze wiele nie mówiło, a w stosunku do naszych wspólnych celów była to kwestja niewątpliwie bardzo drugorzędna".[6]

[1] Tamże, str. 180.

[2] Tamże, str. 215 i 216.

[3] Tamże, str. 217.

[4] Tamże, str. 166.

[5] *Světová revoluce za války a ve válce 1914—1918. Vzpomíná a uvažuje.* T. G. Masaryk, str. 650 + 4 nlb. Praha 1925. Sprawy polskie z tego dzieła zreferowane były już w r. 1926 przez autora niniejszego artykułu w *Słowie Polskiem* nr. 94 z r. 1926.

[6] Tamże, str. 137.

Po wybuchu rewolucji, jak już pisaliśmy, udaje się Masaryk do Rosji i styka się tam stale z problemem polskim i ludźmi pracującymi dla jego rozwiązania. Politykę rządu cesarskiego wobec Polaków w czasie wojny Masaryk raczej potępiał. Jeśli nawet pochwala manifest głównodowodzącego do Polaków z 1914 r., to zaraz zaznacza: „Nie upłynęło wiele czasu, a między Polakami a Rosjanami odżyła dawna wrogość, a bynajmniej nie z winy tylko Polaków. Rosja carska krok za krokiem pokazywała, że nie myśli o prawdziwej niepodległości Polski, ale tylko o jakiejś autonomji; Trepow później powiedział to otwarcie a car za nim powtórzył".[1] „Rosja w sprawie polskiej robiła od początku liczne błędy; pierwsze obietnice zacieśniano (o autonomji cenzura nie pozwoliła nawet pisać!), deklaracja Rządu Tymczasowego o niezbędności niepodległego państwa polskiego (z 30 marca 1917) przyszła za późno".[2] Konkluzja: „Rosjanie oddawna mieli możność i obowiązek prowadzić politykę słowiańską wobec Polaków i Rusinów: historja tej polityki tworzy smutny rozdział w historji rosyjskiej i jest zarazem dowodem na to, jak Rosja była niesłowiańska".[3]

Współpracę z Polakami w Rosji nawiązał Masaryk zaraz po przybyciu. „Miewałem z Polakami częste konferencje we wszystkich większych miastach — ich centrala była w Moskwie — a później porozumiewaliśmy się co do wspólnej a przynajmniej paralelnej akcji wojskowej".

Stosunkom z Polakami poświęcony jest w szczególności cały 70-y rozdział w VII części dzieła („Demokracja amerykańska — Finis Austriae").[4] Masaryk pisze o żywym kontakcie z Polakami w czasie swego pobytu w Stanach Zjednoczonych A. P. w r. 1918. „Był to dalszy ciąg pracy rozpoczętej w Rosji... W Ameryce byli Paderewski i Dmowski... Z Paderewskim poznałem się osobiście dopiero w Ameryce, z Dmowskim zetknęliśmy się już w Anglji".

Działacze polityczni uciśnionych narodów austro-węgierskich, w ich liczbie i Polacy, urządzili wspólną manifestację wolnościową 15 września 1918. Miał tam mówić i wielki polski

[1] Tamże, str. 27.
[2] str. 248.
[3] str. 173.
[4] str. 284—297.

muzyk: „Paderewskiego w Ameryce znano, a przeto wielu tych, którzy słyszeli jego grę, przyszli także posłuchać jego mowy politycznej. Sam byłem przygotowany do wygłoszenia krótkiego programu politycznego naszego narodu, ale Paderewski, któremu odstąpiłem pierwsze miejsce, zbił mię z tropu. O swoim polskim programie powiedział bardzo niewiele, ale za to zaczął mnie po przyjacielsku obrabiać. Przedstawił fragment mego życiorysu i chwalił mnie nadmiernie. Zdziwiło mię to także dlatego, że Paderewski z przekonań był konserwatystą i ja raczej oczekiwałem jakiejś różnicy w poglądach. Paderewski miał już skończyć mówić, a ja jeszcze nie wiedziałem, jak zareaguję. W ostatniej chwili zdecydowałem się, że i ja nie będę mówił o moim programie, ale mówić będę o Paderewskim, a to tak, że przedstawię stosunek między polityką a sztuką. Przytem miałem uboczny zamiar stanąć po stronie Paderewskiego przeciwko tym jego rodakom, którzy sprzeciwiali się jego kierowniczemu stanowisku w polityce dlatego, że podobno umiał tylko — grać na fortepianie. Literatura polska, głównie Mickiewicz i Krasiński, dali mi konkretny przykład stosunku polityki do poetów, i tak mogłem i w Paderewskim wskazać odpowiedniego narodowego działacza politycznego".

Omawiano już wtedy stosunki polsko-czeskie po wojnie. „Z Polakami, a zwłaszcza z Dmowskim konferowaliśmy często i szczegółowo o powojennem ustosunkowaniu się naszych narodów po wojnie. Dmowski sam wypowiadał się za stosunkiem „intymnym", często wprost za federacją. Rozmawiało się i o Śląsku. W polskich kołach wtedy żądano już polskiego Śląska i także Dmowski o tej rzeczy mówił, ale wcale nie wojowniczo. Projektowałem, żebyśmy się zgóry ugodzili co do tekstu jakiegoś porozumienia polsko-czeskiego, któreby mogło służyć wobec koalicji, a zwłaszcza wobec Amerykanów, jako manifestacja naszej przyjaźni, a zarazem jako broń przeciwko radykałom z obu stron. Zaproponowałem Dmowskiemu, żeby taką deklarację sam ułożył; ze swej strony zastrzegłem sobie nasze interesy gospodarcze, kolej przez Cieszyn, dostateczną ilość węgla. Zwracałem uwagę na to, że właśnie Polacy nie powinni przeciwko nam wysuwać programu czysto językowego, jeśli sami kładą tak silny nacisk na program historyczny. Widzia-

łem w tej niewspółmierności i niekonsekwencji pewne niebezpieczeństwo. Obaj jasno rozumieliśmy, że przedmiot sporu jest stosunkowo nieznaczący i że spór ten musi się wyrównać bez nastroju nieprzyjaźni. Wspomnianego projektu Dmowski nie opracował".

Masaryk interesował się i z Ameryki stosunkami na ziemiach polskich; dobrze znał różnice programowe w kraju i wśród polityków zagranicznych (zaznacza np. w jednem miejscu, że Polacy oskarżali się wzajemnie przed koalicją). Orjentację Rady Regencyjnej umiał sobie „psychologicznie i historycznie wytłumaczyć".

[21.] Dnia 21 grudnia 1918 powrócił T. G. Masaryk już jako Prezydent swej oswobodzonej ojczystej republiki do Pragi. Zaraz następnego dnia ogłosił orędzie do narodu, w którem wypowiedział się i o Polsce. „Sąsiedztwo i analogje dziejowe nakazują nam przyjaźń polityczną. O tem wiele rozmawiałem z kierowniczemi osobistościami polskiemi; mówiło się nawet o federacji, ale powiedzieliśmy sobie, że na najbliższą przyszłość każdy naród ma wiele swojej własnej pracy konstrukcyjnej, a dlatego będzie lepiej nie komplikować zadań. Starać się jednak będziemy o zawarcie ugody gospodarczej i wojskowej; ta ostatnia będzie oczywiście dla celów czysto obronnych. Rozmawialiśmy także o spornej kwestji śląskiej; ugoda jest łatwa; zagadnienie jest mało znaczące w porównaniu z oczekującemi nas wielkiemi zadaniami. W obustronnym interesie leży, aby każdy z nas był jak najsilniejszy. Muszę coprawda powiedzieć, że sposób, w jaki pewni Polacy starają się opanonować naszą ziemię, uważam za niedopuszczalny. Najpierw musimy skonsolidować obszar swojego państwa, a potem dobrowolnie możemy przystąpić do rewizji granic. Spodziewamy się, że Polacy to nasze stanowisko zaakceptują, tem bardziej, że przykład ich mógłby znów innych niebezpiecznie inspirować do podobnych eksperymentów przeciwko Polakom samym. Gdy już Polacy mieć będą swoje państwo ustalone, będzie można pertraktować jako państwo z państwem".[1]

[22.] Przykre nastroje sporu śląskiego minęły niebawem. Prezydent-filozof powrócił do swych rozważań o wiecznie trwa-

[1] *Slovanské problémy*, str. 126—127.

łych prawdach ludzkich i myśleć znów zaczął o możności ich zastosowania w życiu państw i społeczeństw. Owocem tych badań była m. in. rozprawa o *Słowianach po wojnie,* wydana pierwotnie po angielsku w londyńskiem czasopiśmie *The Slavonic Review* w r. 1922, po czesku wyszła w roku następnym w Pradze.[1] Jest ona dostępna czytelnikowi poiskiemu w niezłym naogół przekładzie już od lat sześciu. Dlatego nie będziemy tu już streszczać wywodów 5-go ustępu tej rozprawy, dotyczącego Polski. Ustęp ten jest zresztą niedługi, omawia informacyjnie stosunki wyznaniowe, narodowościowe i gospodarcze w Polsce i stosunek do niej sąsiadów. Masaryk widzi przed Polską pewne trudności w związku z zagadnieniem mniejszościowem. Rozprawę tę pisał jeszcze przed międzynarodowem uznaniem wschodnich granic Polski (z 1923 r.).

W szczególności zwrócił prezydent również uwagę na głosy, że Polska mogłaby prowadzić politykę kierowniczą w Słowiańszczyźnie zamiast Rosji. Masaryk zajmuje wobec tego stanowisko wyczekujące, dodając: „Nie ukrywam swego sądu, że do tego dostatecznych możności nie widzę".[2]

Stopniowo każdy rok powojenny przynosił stałe polepszenie stosunków między Polską a Czechosłowacją. Politycy ukończyli już niemal swoją rolę na tem polu. Obecnie same społeczeństwa pracują dla dalszego zbliżenia kulturalnego. W cytowanym już wywiadzie *Epoki* wypowiada się prez. Masaryk o obecnej fazie stosunków między Polską a Czechosłowacją (w r. 1927) w następujący sposób: „Nie lekceważę tak zwanych uczuciowych momentów w polityce. Uznaję również, że pokrewieństwo plemienne ma niewątpliwy wpływ na wyracho-

---

[1] T. G. Masaryk: *Slované po válce,* str. 38 + 2 nlb. Praha 1923 (Knihovnička služby, sv. VII). Aby umotywować wyrażony wyżej sąd o istnieniu pewnych usterek w przekładzie p. Ortwina, przytoczymy tu dwa przykłady. W ustępie o Polsce (oryg. str. 16) słowa *při jednotlivých sousedech* (= odnośnie do poszczególnych sąsiadów) p. O. tłumaczy „wobec jednolitości sąsiadów" (str. 23). W zakończeniu *Tento úkol se dost obecně pojímá* (= „zadanie to dość powszechnie bywa pojmowane") — przekład p. O. (str. 51) „Zadania te pojmuje się dzisiaj" (tłumacz uległ pomyłce wskutek podobieństwa wyrazu, mającego jednak inne w czeskim znaczenie.

[2] *Světová revoluce,* str. 523.

wania polityczne. Lecz w prawdziwej pracy politycznej polegam przedewszystkiem na badaniu rzeczywistych stosunków, danych przez historję. Według tego formułuję swój program polityczny, zgodnie z którym staram się postępować jak najbardziej praktycznie. Tak też pojmuję wzajemne stosunki między narodami. Narody nasze obecnie są wolne. Nasze stosunki mogą i powinny być praktycznie umacniane z jednej strony przez politykę samych państw, z drugiej przez celową współpracę kulturalną przedstawicieli oraz duchowych i kulturalnych przywódców narodów".

*

[23.] Przez mnogie lata pracowitego i płodnego żywota Prezydenta Masaryka przewija się nić jego związków z Polską. Od lat najmłodszych stale śledził T. G. Masaryk bieg polskiego życia społecznego, interesował się zarówno kulturą jak polityką Polaków. Ze skarbów myśli polskiej czerpał dla siebie wiele i nie zachowywał ich znajomości dla siebie, lecz umiał ją szerzyć wśród swych rodaków. Stał się naszym szczerym i prawdziwym przyjacielem i stawał po naszej stronie wtedy, gdy było nam najciężej, a wrogowie nasi byli najsilniejsi. Tego Polacy Masarykowi nigdy nie zapomną.

Stosunek swój do polskiej przeszłości i współczesności opierał Masaryk na swych zasadniczych poglądach na ludzkość: na bezkompromisowej demokracji, bezwzględnej sprawiedliwości i wolności myśli wobec dogmatów religijnych. Stąd pochodzą pewne różnice między poglądami największego współczesnego Czecha a poglądami naszemi na szereg spraw naszych. Jakkolwiek wielkie byłyby wszakże te różnice, nie możemy zapominać, że u wielkiego filozofa nie było niechęci do nikogo, była tylko miłość prawdy. Jeśli pojawiły się omyłki, u największych duchów także występujące niekiedy — nie umniejsza to w niczem znaczenia Masaryka. Prezydent Czechosłowacji, który z wysokiego swego urzędu wzywa do dalszego zbliżenia obu naszych narodów — może być pewien, że w składanych Mu obecnie wyrazach hołdu Polacy nie idą na miejscu ostatniem, raczej na jednem z miejsc pierwszych.

We Lwowie, w marcu 1930 r.

FRANCK L. SCHOELL

CZY PRAWDĄ JEST, ŻE FRANCUZI STRONIĄ OD LITERATURY POLSKIEJ?

Gdy spotkasz intelektualistę-Polaka, znającego Paryż, Francję i francuską kulturę, gdy zaczniesz z nim rozmawiać na temat literackich stosunków Polski z Francją, a rozmowa nabierze charakteru szczerej wymiany myśli — wówczas prawdopodobną jest rzeczą, że usłyszysz od przyjaciela z nad brzegów Wisły takie mniejwięcej wynurzenia:

„...Zostawmy komplementy na boku! Ach, ci Francuzi zawsze skłonni do pochlebstw! Tymczasem sytuacja rysuje się jasno: literatura polska, ba wogóle wszelkie twory polskiego ducha, nieznane są całkowicie Francuzom, którzy wzdrygają się przed odczytywaniem książek polskich pisarzy, chociaż znajdują czas na wartowanie książek rosyjskich, skandynawskich, niemieckich. A zresztą, co tu mówić o literaturze polskiej?! Cóż wy, Francuzi, wiecie o Polakach? Conajwyżej tyle, że jesteśmy małym i biednym narodem, gdzieś niedaleko od Bałkanów i Rosji, że mamy nadmiar ludzi, których nie umiemy wyżywić i których wysyłamy wam do Francji całemi chmarami, że nie brak nam zdolnych pianistów, że naogół jesteśmy osobnikami smutnymi i — jak głosi przysłowie — oddanymi opilstwu, że nosimy nazwiska niemożliwie śmieszne w rodzaju takich, jak „Chrząszcz“ lub „Szczucki“, że język nasz jest niby jednym z dialektów rosyjskich, w którym niejaki Sienkiewicz napisał romans p. t. *Quo vadis*... No, przyznaj pan, że jeżeli przesadzam, to przesadzam w bardzo nieznacznym stopniu!“

Jeżeli wasz polski przyjaciel roztacza przed wami tak pesymistyczne obrazy, to nie czyni tego z wrodzonej zgryźliwości, ani też z chęci wygłaszania paradoksów i absurdów, sposobnych do zdobycia mu sławy dowcipnego światowca. Bynajmniej. W rzeczywistości tworzy on swe sądy na podstawie

porównania swej — (jakże nieraz zdumiewająco rozległej!) — erudycji w rzeczach dotyczących literatury, plastyki czy historji Francji — z nikłemi istotnie i licho pogłębionemi wiadomościami Francuzów o Warszawie, Jagiellonach i Mickiewiczu.

Niewątpliwie mamy tu do czynienia z wyraźną dysproporcją wiedzy. My, Francuzi, zdajemy sobie z tego sprawę i nie zaprzeczamy tego oczywistego faktu. Ale także i przyczyna jest jasna. Streszcza się ona z jednej strony w nadzwyczajnem promieniowaniu języka i piśmiennictwa francuskiego w XVII i XVIII wieku, z czego do dnia dzisiejszego przetrwały znaczne ślady — a z drugiej strony w katastrofie podziałów Polski, które na okres, trwający zgórą sto lat, wykreśliły to państwo z karty Europy. Otóż dwanaście lat odrodzonego bytu Rzeczypospolitej polskiej nie mogło jeszcze odrobić straconych stu lat zgórą i nie mogło wyrównać bilansu wzajemnej literackiej wymiany między dwu sprzymierzonemi narodami. Dwanaście powojennych lat nie mogło dokonać tego cudu tem bardziej, że uwagę Francuzów rozpraszają ciągle rozliczne literatury całego świata, z których każda zgłasza swe pretensje do francuskich przekładów. Pamiętajmy zaś, że mimo postępów angielszczyzny, po dzień dzisiejszy francuszczyzna odgrywa rolę głównego pośrednika między elitami narodów dawnego kontynentu.

Wypada pozatem odróżnić literatury krajów o stosunkowo skromnem znaczeniu międzynarodowem od literatur narodów, które, nie od wczoraj dopiero, budzą szczególne zainteresowanie zarówno Francuzów jak i innych Europejczyków, dzięki swej aktualności politycznej i gospodarczej, aktualności światowej; mam na myśli literaturę angielską, amerykańską, niemiecką i rosyjską. Działa tu jakgdyby prawo grawitacji, któremu Francja nie może się przeciwstawić. Z Wielką Brytanją i Stanami Zjednoczonemi Ameryki Północnej łączą ją silne węzły, wynikające nietylko z faktu polityki kredytowej, ale także z przeświadczenia, że nie wolno ignorować objawów kultury tych dwu państw, przodujących w dziele industrjalizacji całej kuli ziemskiej. Nie uszłoby równiez płazem Francji, gdyby chciała przymykać oczy na to, co się dzieje w państwie jej wschodnich sąsiadów, którzy należą do najproduktywniejszych wytwórców w dziedzinie filozofji i literatury, ciężkiego prze-

mysłu i ubezpieczeń socjalnych — sąsiadów przytem, których bezustanku i aż do znudzenia przedstawia się Francuzom jako naród uzupełniający swemi właściwościami właściwości francuskiego społeczeństwa. Nie godzi się wreszcie brać za złe Paryżanom czy mieszkańcom Marsylji, jeżeli nęcą ich tajniki kultury rosyjskiej i zaciekawia olbrzymi eksperyment Sowietów.

To są zasadnicze powody — poza zaletami merytorycznej i artystycznej treści — dla których publiczność francuska, i wogóle publiczność międzynarodowa, życzliwie wita przekłady francuskie dzieł angielskich, niemieckich i rosyjskich, i nie gniewa się na to, że każdy tydzień przynosi tych przekładów conajmniej pół tuzina.

Do znacznie już mniej licznych i słabiej przygotowanych sfer czytelniczych apelują tłumaczenia książek włoskich i hiszpańskich. Niemniej oba te wielkie narody łacińskie mogą liczyć na wcale pokaźny oddźwięk wśród elity francuskiej. Świadczy o tem długa tradycja tak samo, jak obecne zainteresowanie Francuzów dla utworów d'Annunzia i Fogazzara, dla powieści autorów takich, jak Blasco Ibanez czy Pio Baroja.

Pozostaje jeszcze ze trzydzieści innych literatur, które atakują rynek księgarski Paryża i rywalizują na arenie kaptowania sobie czytelników francuskich, rozmiłowanych w lekturze książek cudzoziemskich. Literatura polska należy, niestety, do tych trzydziestu literatur o słabszej sile przyciągania, a do tego i pośród nich posiada niełatwych do zwalczenia konkurentów. W szczególności Skandynawja zajmuje we Francji solidną placówkę, działając na wyobraźnię Francuzów rozgłosem nagrody Nobla, a przytem rzetelnemi talentami swoich autorów. Trudno zaprzeczyć, że Francuzi doceniają wartość artystyczną nordyjskich powieściopisarzy.

Z kolei idą Flamandzi, Holendrzy, Czesi, Portugalczycy i t. d. i t. d. — wszyscy wyposażeni w pewien zasób dzieł niezaprzeczenie ciekawych, wszyscy bogaci w książki, niewątpliwie godne kilku conajmniej pozycyj w kolekcjach wydawców paryskich, takich jak Stock czy Perrin, Calmann-Lévy czy Plon. I nie dosyć na tem. Zmniejszenie się odległości świata, przez wzrost komunikacyj, zbliża do Paryża literatury napół albo całkiem egzotyczne, literatury przed wojną niemal nieznane w księgarniach paryskich, np. literatury Wenezueli, Fin-

landji, Chin i Japonji. Jutro przypuszczą szturm do tłumaczy francuskich Turcy i Anamici, Persowie i pisarze Afganistanu!

Biedni czytelnicy francuscy! Głosi się po świecie plotkę o ich ksenofobji i zadurzeniu się jednostronnem w ich własnej tylko literaturze, a tymczasem często wiedzą oni więcej o Wellsie i Chestertonie, Ludwigu i Tomaszu Mannie, niż o Gide'zie i Valéry'm.

Konsekwencją tej niesamowitej konkurencji literatur obcych na rynku francuskim, literatur, które w szacie francuskiej pragną dotrzeć do społeczeństw całego świata, jest fakt następujący: literatury narodów o mniej mocarstwowem znaczeniu tylko wówczas znajdują wydawców w Paryżu, gdy przedłoży się im dzieła istotnie pierwszorzędnej wartości, a przytem dzieła o treści mogącej zająć uwagę szerszych kół czytelników. Należy położyć nacisk na określenie: „szersze koła czytelników", błędem byłoby bowiem przypuszczać, że wyłącznie tylko sama publiczność francuska decyduje o powodzeniu lub niepowodzeniu książki wydanej w języku francuskim. Poza publicznością francuską wchodza w rachubę rzesze czytelników innych narodowości, którzy czytają skwapliwie książki francuskie, a wśród nich przekłady z obcych języków, i którzy o literaturze szwedzkiej czy amerykańskiej mają tylko tyle wiadomości, ile ich znajdą w francuskich tłumaczeniach pisarzy szwedzkich czy amerykańskich. Łatwo cytować przykłady tłumaczeń francuskich, które na drugi dzień po ich wypuszczeniu z prasy drukarskiej wędrują w tysiącznych ilościach poza granice Francji.

Wynika stąd, że wydawca francuski decyduje się z reguły tylko wówczas na finansowanie przekładu powieści polskiej, gdy nabędzie przekonania, że powieść ta zajmie nietylko Francuzów, ale wogóle całą tę „internacjonałkę intelektualną", której stolicą po dzień dzisiejszy pozostał Paryż i która składa się z wszelkich narodowości Europy i Ameryki południowej.

Gdy rozważa się z tego punktu widzenia literaturę polską, nie trudno spostrzec, że na język francuski przełożono — i to przełożono z sukcesem — niejedną z książek polskich, które czynią zadość wymienionym codopiero warunkom, to znaczy wykazują istotne wartości literackie i odznaczają się treścią zdolną zainteresować znaczną liczbę czytelników, rekrutujących się z rozmaitych narodów świata. *Quo vadis* Sienkiewicza mo-

gło liczyć na poczytność wśród wszystkich społeczeństw, które należą do kręgu tradycji grecko-rzymskiej i przyznają się do chrześcijańskich podstaw swej etyki; toteż wydawca Fasquelle sprzedał prawie ćwierć miljona egzemplarzy francuskiego przekładu. Pozatem istnieje jeszcze wydanie Hachette'a, przerobione dla młodzieży, oraz parę edycyj ilustrowanych, z których najpopularniejsze sporządziła firma Flammarion'a.

Podobnie z *Trylogją* Sienkiewicza. Powieść to rycerska i awanturnicza zarazem (w dobrem tego wyrazu znaczeniu), o wybornej fakturze, pełna werwy i entuzjazmu, bogata w epizody humorystyczne, powieść niewątpliwie polska, ale przytem taka, że czyta się w niej także o Rosji i Szwedach, o Tatarach i Turkach, o wypadkach nietylko zaściankowego zasięgu, owszem, o perypetjach europejskiej doniosłości. *Trylogja* znalazła wdzięcznych czytelników. *Ogniem i Mieczem* osiągnęło we Francji czterdziesty drugi tysiąc nakładu, *Potop* rozszedł się w dwudziestu dwu tysiącach egzemplarzy, *Pan Wołodyjowski* w dwunastu tysiącach.

Przykład świeższej daty: tłumaczenie *Chłopów* Władysława Reymonta, ukończone przed niespełna czterema latami. Publiczność przyjęła bardzo życzliwie to obszerne dzieło, o czem świadczy dziesięć tysięcy egzemplarzy dwu pierwszych tomów, a sześć tysięcy dwu tomów ostatnich. A przecież mamy tu do czynienia z całkowitym przekładem powieści, gdy trzy tomy *Quo vadis* zredukowano do jednego tomu w francuskiem tłumaczeniu, a trzynaście tomów *Trylogji* ściśnięto do rozmiarów trzech zaledwie tomów. Czytelnicy francuscy nie lubią utworów nadmiernie obszernych, a mimoto nie przerazili się dłużyzn epopei chłopskiej Reymonta. Dlaczego? Działały tu wysokie zalety artyzmu autora, świetna architektura powieści, sugestja tężyzny, bijącej z polskiego utworu; działał pozatem fakt, że kosmopolityczny zastęp europejskich czytelników rozeznał w mazowieckich chłopach Reymonta cechy, nie obce także chłopom z ich własnych prowincyj. Francuzi bez nadmiernych wysiłków wgłębili się w romans Reymonta, odkryli w nim bowiem sporo właściwości, charakteryzujących m. i. również chłopskie powieści i nowele Zoli i Maupassanta.

Jeżeli, obok tych sukcesów dzieł polskich zagranicą, przytoczyć można dość obszerną listę przekładów francuskich z pol-

skiego, które spotkały się z obojętnością, a czasem z katastrofalnie nieżyczliwem przyjęciem we Francji — to przyczyn tego stanu doszukać się łatwo, o ile każdy wypadek zosobna zbadamy objektywnie i nieco dokładniej.

Przez szereg lat monopol przekładów francuskich z polskiego dzierżyli Polacy i Rosjanie, tacy jak H. Kaminsky, Kozakiewicz, Wodziński, Gasztowtt i t. d. Ci Słowianie znali wprawdzie dobrze grunt paryski i upodobania Francuzów, niemniej popełniali stale te same błędy. Jeżeli tłumaczem był emigrant-Polak, od lat osiadły w Paryżu, to przeważnie kierował się w wyborze dzieł polskich patrjotycznemi pobudkami i nie dostrzegał często, że zalety tego czy owego utworu nie dadzą się oddać w obcym języku albo też są tego rodzaju, iż nie wywrą wrażenia na cudzoziemskim czytelniku. Zdarzało się i tak, że tłumacz władał francuszczyzną poprawnie, ale przecież nie w tym stopniu, aby zadowolnić wybredną publiczność francuską, która nie przebacza nigdy niezgrabnych i niedołężnych zwrotów i zżyma się na usterki stylistyczne.

Oto przyczyny słabych sukcesów albo zgoła niepowodzenia we Francji tak świetnych polskich pisarzy, jak Mickiewicz, Eliza Orzeszkowa, Bolesław Prus, Wyspiański, Żeromski czy Iwaszkiewicz.

Niekiedy tłumacz jest bez zarzutu, ba, włada francuszczyzną w mistrzowskim stopniu, ale podejmuje się przekładu polskiego dzieła, o którem wie zgóry, że nie zdoła zająć szczerzej i głębiej cudzoziemskiego społeczeństwa. Myślę tu o moim przyjacielu, Pawle Cazin. Bez większego wrażenia minął jego przekład *Z ziemi chełmskiej (L'Apostolat du knout)* Władysława Reymonta, gdyż utwór ten, napisany w obronie unitów prześladowanych przez Rosjan, rozświetla temat dla Francji nazbyt odległy i nadmiernie specjalny. *Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego* Weyssenhoffa zniechęcały tytułem trochę dziwacznym, a motywami przypominały Francuzom Anatola France'a. Paryżanie woleli czytać France'a; stronili od powieści Weyssenhoffa.

W ten mniejwięcej zrozumiały i prosty sposób tłumaczy się wiele niefortunnych posunięć w dziedzinie przekładów na język francuski. Nie potrzeba wyszukiwać momentów abstrakcyjnych, metafizycznych, nawet mefistofelicznych, dla wyjaśnie-

nia faktów dobrze znanych i codziennie spotykanych na rynku księgarskim. A takich to właśnie motywów dopatruje się ten i ów pisarz polski, omawiając obchodzący nas tutaj problem. Czyni tak np. p. Edward Ligocki w jednym ze swych artykułów, przesłanych krakowskiemu *Ilustrowanemu Kurjerowi Codziennemu*. Przypatrzmy się krótko jego rozumowaniu.

Według p. Ligockiego niechęć Francuzów wobec literatury polskiej — niechęć zresztą, której ja zupełnie nie widzę — pochodziłaby stąd, że nie mają oni zrozumienia dla „wzniosłych wzlotów duszy ludzkiej" i odsuwają od siebie dzieła odznaczające się głębią treści. Tak samo więc nie umieją rzekomo ocenić Mickiewicza i Wyspiańskiego, jak Claudel'a i Curel'a. Odpowiemy na to, że Francuzi nie lubią wprawdzie nurzać się ciągle w chmurach i zbyt często wspinać się na szczyty, ale z drugiej strony uznają wielkość dzieł głębokich (nawet niemieckich) o ile w nich dostrzegą znaczniejszy zasób jasności i zrozumiałości. Wyspiański istotnie nie ma szans podbicia umysłów francuskich. Jednakże Dostojewski, Proust i Chopin, Goethe, Wagner i Nietzsche znajdują bez przerwy zwolenników i wielbicieli na francuskiej ziemi.

P. Ligocki nadmienia, że dawny sojusz Trzeciej Republiki z Rosją pozostawił ślady w niechętnem odnoszeniu się do rzeczy polskich. Bardzo to wątpliwe. *Trylogja* Sienkiewicza — dzieło namiętnego patrjoty, tak narodowe, że Polacy sami dziwili się pobłażliwości cenzorów rosyjskich — *Trylogja* zdobyła sobie popularność we Francji w chwili, gdy zapał filorosyjski święcił w niej swoje największe triumfy.

Inny zarzut. Według p. Ligockiego wydawcy francuscy nie przyjmują rzekomo przekładów z polskiego bez zapewnienia im zgóry kwoty, pokrywającej koszt sporządzenia trzech tysięcy egzemplarzy książki. Nie trudno domyśleć się źródła takiego mniemania. P. Ligocki zachęcał widocznie któregoś z nakładców francuskich do wydania przekładów, rokujących słabe widoki powodzenia. Stąd to żądanie księgarza. Dzieje się inaczej, gdy wydawca ma do czynienia z przekładem, nienagannie wykonanym, książki naprawdę wartościowej i dostosowanej do zagranicznej sprzedaży.

P. Ligocki przesadnie określa wpływ nagrody literackiej Nobla. Francuzi skłonni są raczej do zastrzeżeń wobec uchwał

zagranicznych *jury*, a nagrody Akademji Goncourt'ów posiadają dla nich znacznie większą siłę przekonywującą. Oczywista, nagroda Nobla ułatwiła wydanie przekładu *Chłopów* Reymonta, ale czytelnicy francuscy przy ocenie powieści niewiele troszczyli się o wyrok skandynawskich sędziów.

Streszczając się, wypada powtórzyć, że Francuzi nie żywią żadnych uprzedzeń do kultury polskiej, owszem, życzliwie przyjmą każdą książkę polską, o ile w niej znajdą temat o ogólniejszem znaczeniu. Ferdynand Goetel np. cieszy się uznaniem publiczności francuskiej i zdobędzie sobie prawdopodobnie poważniejszy rozgłos: wykazuje on niepospolite uzdolnienia naracyjne, opowieści swoich nie zacieśnia do wyłącznie polskiego horyzontu, ale rzuca je na tło szersze, np. Turkestanu czy Persji. Inaczej Kaden-Bandrowski, uznawany przez tylu Polaków za największego z żyjących polskich pisarzy: niepodobna mu odmówić żywiołowego talentu, ale też nie sposób zaprzeczyć, że dla Francuzów jest on jeszcze ciągle zanadto związany ze specyficznie polską atmosferą „legjonowych" przeżyć. Żeromski naznaczył jego książki nazbyt wyraźnem znamieniem, a długość i skomplikowana struktura jego powieści utrudnia im trwalsze sukcesy zagranicą.

Rozgłos Ossendowskiego ma swe odrębne uzasadnienie. Pierwsza jego książka *Przez kraj ludzi zwierząt i bogów* wywalczyła sobie poczytność jako dobry romans awanturniczy. Adaptowany z angielskiego, a nie tłumaczony wprost z polskiego oryginału, tom ten zalecał się jakby jakąś marką anglo-amerykańską. Mógł był go zresztą napisać tak samo Polak, jak Czech lub pisarz rumuński. Inne utwory Ossendowskiego nie osiągnęły powodzenia pierwszego jego dzieła. Zdradzają one talent przeciętny; przeszły też przez rynek francuski niemal niedostrzeżone.

Poszukując w współczesnem piśmiennictwie polskiem arcydzieł, zdolnych podbić szeroką publiczność europejską, staje się wobec kłopotliwej sytuacji. Albo odkrywa się książki naprawdę piękne, ale nadmiernie „polskie" w treści i stylu, mało dostępne zagranicy, — albo też ma się do czynienia z płodami łatwiejszego natchnienia, interesującemi może urozmaiconą fabułą, ale pozbawionemi większych artystycznych walorów.

Z tego to zapewne powodu miarodajne czynniki polskie, zajęte wygotowywaniem programu przekładów francuskich z polskiego, zatrzymały się na dziełach dawniejszej już nieco epoki: na *Placówce* Bolesława Prusa i *Sobolu i Pannie* Weyssenhoffa. Książki te mają przed sobą nierówne widoki powodzenia. *Placówka* opowiada o walce Poznańskiego z zalewem kolonistów niemieckich, zajmuje się więc tematem, znanym już Francuzom z trzeciego tomu *Chłopów* Władysława Reymonta. Wolno się obawiać, że sukcesowi *Placówki* zaszkodzi motyw pozbawiony dla zagranicy cech istotnej nowości.

Litewski romans Weyssenhoffa może natomiast liczyć na gorące uznanie elity francuskiej. Wybije się on zwycięsko dzięki czarującej treści i wspaniałym opisom, zabłyśnie przytem w przekładzie takiego mistrza, jakim jest Paweł Cazin.

Raz jeszcze się okaże, że Francuzi — dalecy od lekceważenia literatury polskiej — zaznajamiają się chętnie z jej arcydziełami, jeżeli tylko treść ich nie odstrasza czytelnika niezrozumiałością, a język tłumaczenia osiąga wyżyny artystycznego wyrazu.

Genewa, w marcu 1930 r.

MIECZYSŁAW SZERER

PAMIĘTNIKI D'ABERNONA

Drugi tom pamiętników D'Abernona[1] obejmuje półtoraroczny okres od czerwca 1922 r. do grudnia 1923 r., kiedy smutno bardzo wyglądało w środkowej Europie. Są to, jak brzmi podtytuł książki „lata przesilenia", a raczej lata załamywania się, bo — wiadomo nam to dobrze z własnego doświadczenia — przez cały ten czas szło się gospodarczo w dół w tempie coraz zawrotniejszem i właściwe przesilenie nastąpiło dopiero później. Ton zapisków berlińskiego ambasadora Wielkiej Brytanji jest w tym okresie raczej jednostajny: D'Abernon, z powołania finansista, dyskutuje politykę rządu niemieckiego wobec aljantów i politykę aljancką wobec Rzeszy niemieckiej ze stanowiska potrzeb utrzymania waluty i stale powraca do swego *caeterum censeo*, to znaczy do krytykowania nadmiernych żądań płatniczych, stawianych przez Francję, i nadmiernej emisji banknotów, bitych przez rząd niemiecki.

Nie będziemy tu przypominać epizodów karkołomnego staczania się waluty niemieckiej ani zastanawiać się nad tem, w jakim stopniu katastrofa była następstwem fałszywej polityki gospodarczej, a w jakim wynikiem świadomej spekulacji dyplomatycznej. Dzieje to nie dość odległe, by miały były wywietrzeć z pamięci — tem bardziej, że wtórowały im u nas analogiczne wydarzenia, które ruiną gospodarczą zapisały się trwale w naszych wspomnieniach; rozbiór zaś istotnych motywów polityki rządu niemieckiego trzeba zostawić tym, którzy będą rozporządzali i dalszą perspektywą i większą ilością materjałów. Zaznaczamy jedynie, że o ile D'Abernon podkreśla ucisk, który wywierały na życie gospodarcze Niemiec twarde żądania Francji, a zwłaszcza nieustępliwego Poincarégo, o tyle nie upiera się

[1] O pierwszym tomie pisałem w *Przeglądzie Współczesnym* z sierpnia 1929 r., str. 282 i nast.

przy niedyskretnem dociekaniu, dlaczego to rząd niemiecki nie hamował rozpędu rotacyjnej maszyny drukarskiej, która wyrzucała nieprzerwanie stosy deprecjonujących się automatycznie banknotów.

A przecież nie brak było D'Abernonowi sposobności, dzięki którym mógł swym istotnie niepospolicie bystrym umysłem przeniknąć motywy i zamysły naczelnych polityków niemieckich. Ścisłość jego stosunków z niemieckimi mężami stanu nie była nigdy i dla nikogo tajemnicą. Uważano go przecież wprost za inspiratora pewnych posunięć rządu berlińskiego — i to tych właśnie, które budziły najmniejszy zachwyt w Paryżu i gdzieindziej, gdzie ośmielano się własne bezpieczeństwo państwowe stawiać ponad potrzeby odbudowy potęgi gospodarczej Niemiec. Któregoś dnia w tym okresie *Temps* nadał artykułowi wstępnemu, omawiającemu wpływ ambasadora angielskiego w Berlinie, tytuł *His Master's Voice*, wskazując nim raczej niedwuznacznie na owego foksterjera ze znanej marki płyt gramofonowych, słuchającego z przekrzywionym łebkiem „głosu swego pana". D'Abernon odżegnywa się, oczywiście, od podobnych posądzeń, zapiski jego świadczą jednak o zastanawiająco pokaźnej ilości nici, które łączyły z nim wszystkich wysuwających się na front polityki niemieckiej. Bądź co bądź jest w tych stosunkach, w tej ochocie, z jaką politycy niemieccy zaglądają do jego gabinetu i w tem zaufaniu, z jakiem spowiadają mu się ze swych trosk, coś więcej, niż zwykła kurtuazja dyplomatyczna: jest zażyłość, która nie pozostawia w sercu ambasadora wiele miejsca na tkliwe uczucia wobec wschodnich i zachodnich sąsiadów Rzeszy.

Coprawda jest to czas, kiedy mało można znaleźć ciepła w stosunkach pomiędzy rządem angielskim a rządem francuskim. Niefortunna polityka wobec Turków, w jaką Londyn zaplątywa się na skutek inicjatywy porywczego Lloyd George'a, nie znajduje uznania Paryża, który nie chce interesów Francji na bliskim Wschodzie składać w ofierze fantazyjności premjera brytyjskiego. I kiedy Turcy posuwają złośliwość aż do zupełnego rozgromienia Greków, popieranych osobiście przez Lloyd George'a — ten przypisuje swą kompromitację rzekomej nielojalności rządu francuskiego. Ważniejsze jednak, że w zaprzęgu polityki aljanckiej wobec Rzeszy koń francuski wyrywa się

ogniście naprzód, podczas gdy angielski uporczywie stoi w miejscu. Zmiana nawet rządu w Londynie, upadek koalicji i objęcie steru przez konserwatystów pod Bonar Lawem nie wpływa na niechęć oficjalnej Anglji do popierania Francji w jej dążności do energicznego egzekwowania od Niemiec zobowiązań reparacyjnych. Francja wkracza do Ruhry nietylko na własną rękę, ale z wyraźną dezaprobatą Anglji, dodającą ducha oporowi niemieckiemu.

W ten sposób, po krótkiej przerwie trwającej przez czas wojny, stosunek pomiędzy Francją a Anglją powracał do dawnych, odwiecznych form, które aforystycznie zaostrzone pióro D'Abernona tak charakteryzuje: „Od XI wieku Francja i Anglja walczyły na tych samych polach bitew. Przeważnie jako wrogowie, czasem jako sprzymierzeńcy; zawsze do pewnego stopnia jako rywale; nigdy nie rozumiejąc się bardzo wzajemnie. Bez nienawiści wówczas nawet, gdy było się wrogami — bez prawdziwego poczucia kompanji wówczas nawet, gdy było się w przymierzu. Aż do wielkiej wojny oba narody, bez złośliwości lub gniewu, pokpiwały sobie z komicznych stron drugiego. Może nieco zazdrości, zazdrość raczej niż wrogość, i szczególne wzajemne zaufanie, które trudno wytłumaczyć na podstawie logiki. Podczas gdy Anglja uważała zawsze, że zajęcie Niderlandów przez jakieś wielkie mocarstwo zagrażałoby bezpieczeństwu naszej wyspy, patrzymy bez zaniepokojenia na obecność Francji na znacznie bliższem wybrzeżu w okolicach Calais i Boulogne. Z drugiej strony Francja nie uważała nigdy przewagi naszej floty za niebezpieczną dla jej brzegów lub dla jej handlu".

Do jak ostrych scen mogło doprowadzać rozpięcie pomiędzy punktami widzenia obu rządów, świadczy następujące zdarzenie. W końcu września 1922 r. różnica poglądów Anglji z jednej strony, a Francji i Włoch z drugiej, na kwestję turecką sprawiła, że wojska angielskie w Czanaku, pozbawione łączności z wojskami tamtych dwóch aljantów, znalazły się w krytycznem położeniu. Gabinet londyński wysłał wówczas do Paryża lorda Curzona, by zaradził kłopotom położenia. Curzon wziął się do tego z lekkością słonia. „Zeszłej środy", notuje D'Abernon pod datą 3 października 1922 r., „Curzon zaaplikował Poincarému pięciogodzinną mowę na temat niesprawiedliwości, jaką Francja

popełniła, opuszczając nas w Czanaku. Poincaré przyjął to spokojnie. W piątek rano Rumuni powiedzieli Poincarému, że Anglja potajemnie zagroziła Rumunji niemal zerwaniem stosunków, jeśliby nie pomogła sprawie chrześcijaństwa nad Bosforem. Uczynił to sekretarz Curzona, podczas widzenia się z posłem rumuńskim w Paryżu. To traktowanie na boku z protegowanym małym przyjacielem Francji — traktowanie nie pozbawione akcentów zastraszania — wywołało w Poincarém gwałtowne wzburzenie. Gdy więc Curzon rozpoczął popołudniowe zebranie od dalszych wymówek i zarzutów nielojalności, Poincaré podskoczył i kropnął filipikę trwającą dwadzieścia minut. Co powiedział, dokładnie nie wiem, ale nie słyszano dotąd nic równie szorstkiego, i Curzon całkowicie stracił rezon".

*

Uwag dotyczących osobliwie Polski jest w tym tomie pamiętników D'Abernona niewiele. Warto wynotować następujący ustęp. „Specjalnością Polaków jest kłócenie się z najbliższymi sąsiadami. Nie mogą jednak kłócić się z wszystkimi sąsiadami po równi — muszą być odcienie i stopniowania. Polska jest w swej istocie środkowo-europejska; Czechosłowacja w istocie panslawistyczna. Prowadziłoby to — gdyby nie przeciwdziałanie innych wpływów — do jakiegoś układu pomiędzy Niemcami a Polską przeciw Czechom i innym Słowianom. Geograficznie układ na takich zasadach jest możliwy — narodowo natomiast nie, gdyż Niemcy i Polacy ani nie lubią ani nie szanują się wzajemnie. Tc też choć uzupełniają się pod wielu względami, nie współpracowali dotąd ze sobą. Czy tak będzie zawsze? Być może, że nie — bo antypatja pomiędzy Rosjanami a Polakami jest jeszcze silniejsza, niż pomiędzy Niemcami a Polakami. Mówiąc ze stanowiska ludzkich przewidywań, Rosja i Polska nie będą nigdy długo po tej samej stronie. Jednem z podstawowych zagadnień, które wpłyną na ukształtowanie się przyszłych stosunków, jest sprawa stosunku pomiędzy Francją a Rosją. Osobiście uważam zbliżenie się francusko-rosyjskie za możliwe, a to pociągnie za sobą opuszczenie Polski przez Francję. Rosja ma — lub mieć będzie — dwa zasadnicze żądania: pieniądze i głowa polska na tacy".

Możnaby te refleksje D'Abernona uważać za tezy do dwóch równie grubych dzieł: jednego dowodzącego ich słuszności, dru-

giego zbijającego ich treść. Bądź co bądź trzeba przyznać, że są to uwagi, które dotykają samego jądra zagadnienia polskiej racji stanu.

Zapamiętajmy sobie też, co D'Abernon pisze, gdy charakteryzuje Rosenberga, ministra spraw zagranicznych w gabinecie Cuna; „Niema w nim antypatji do Francji, a Margerie'go[1] ceni osobiście widocznie. Kogo nie znosi, to Polaków i Czechów i wszystkich mniejszych narodowości. Ten stan umysłu nie jest tu niezwykły". Niema w tem dla nas niespodzianki, ale trzeba to sobie przypominać, skoro bije to w oczy obserwatora cudzoziemskiego.

Gdy mowa o Rosenbergu, posłuchajmy — z racji stosunków ambasadora z tym ministrem — jak D'Abernon umie, gdy chce, przekłuwać pęcherze napuszonej retoryki niemieckiej. Pewnego dnia po wejściu Francuzów do Essen, Rosenberg pokazał D'Abernonowi (między przyjaciółmi niema tajemnic) tekst instrukcji, jaką przesłał niemieckim przedstawicielstwom dyplomatycznym zagranicą i, dumny ze swego elaboratu, odczytał go z emfazą D'Abernonowi, znającemu język niemiecki. „Było mi trudno", pisze pamiętnikarz, „zorjentować się w tym dokumencie, rzekłem więc: «To brzmi bardzo pięknie, ale co to właściwie znaczy?» Rosenberg odpowiedział: «Przetłumaczę to panu». Po pięciu minutach usiłowań przełożenia dał za wygraną i rzekł: «Bardzo trudno oddać znaczenie tego w angielskiem, ale gdyby pan znał ducha języka niemieckiego, widziałby pan, że to jest doskonałe»". D'Abernon posiada dość zmysłu ironji, by to zakłopotanie niemieckiego stylisty zanotować z widocznem nkontentowaniem.

I ja z wielkiem zadowoleniem przytaczam tę scenę, od dłuższego już bowiem czasu stosuję metodę demaskowania zapomocą przekładu pewnych wytworów niemieckiej literatury naukowej. Nie wiem, jak dzieje się w innych gałęziach wiedzy, ale w dziedzinie nauk społecznych i politycznych pojawiają się ostatnio w Niemczech gęsto prace, które swoją głębię manifestują dziwacznością stylu. wprowadzaniem do języka naukowego modernistycznych wykrętasów stylistycznych i w ogólności techniki pisarskiej, panującej chwilowo w beletrystyce.

[1] Ówczesny ambasador francuski w Berlinie.

Owóż niejednokrotnie przetłumaczenie kilkunastu zdań takiej pracy sprawiało mi wielką ulgę, przekonywało mię mianowicie o uprawianiu przez autora czystej werbalistyki i pozwalało zrzec się ze spokojnem sumieniem trudu przeczytania całości.

*

Podobnie jak w pierwszym tomie, tak i w tym, D'Abernon daje upust werwie literackiej, kreśląc świetne sylwetki portretowe kilku polityków na arenie międzynarodowej. Przesuwają się zatem charakterystyki Poincarégo, Asquitha, Churchilla, Stinnesa i innych — kreślone barwnie i cienko, nie dające, zapewne, pełnych obrazów, ale trafiające ostrym ołówkiem w węzłowe cechy danej osobistości.

Luźnym również dodatkiem do pamiętnika jest odczyt, który D'Abernon wygłosił przed trzema laty jako przewodniczący Królewskiego Towarzystwa Statystycznego, a w którym streścił swe poglądy na historję upadku i odbudowy waluty niemieckiej w czasie od r. 1920—1926. Wywody, naszpikowane cyframi, są niewątpliwie cenne dla ekonomistów; dla szerszego ogółu interesujące będzie jedynie, że D'Abernon — doświadczony praktyk, o umyśle nastawionym całkiem pozytywistycznie — umieszcza „element imaginacyjny" wśród czynników koniecznych do podniesienia się waluty z upadku. „Poza warunkami fizycznemi", pisze, „potrzebny jest czynnik metafizyczny. W Niemczech dostarczyła go rentenmarka. Zabezpieczenie rentenmarki mogło było, przy ścisłym rozbiorze. okazać się złudzeniem — i tak też zapatrywali się na nie znawcy — ale jej emisja zdobyła sobie zaufanie publiczności. W rzeczy samej zaufanie to opierało się nietylko na wątpliwej gwarancji, jaką dawała rentenmarka, lecz na złudzeniu zabezpieczenia, o jakiem była mowa przy poprzednim zarzuconym projekcie, kiedy to proponowano, by każdy banknot przedstawiał pewną ilość żyta. Plan ten upadł, ale pozostał w powietrzu zapach zaufania, wywołany przekonaniem, że istnieje uchwytna gwarancja w postaci określonej ilości ziarna. Tak to rzecz wątpliwie rzeczywistą wzmocniła rzecz z pewnością nieistniejąca". Wniosek z tego, że polityka w dziedzinach najbardziej nawet materjalistycznych dbać winna bardzo uważnie o czynniki psychologiczne. To też nie jest odkryciem, ale stare prawdy nie zawsze są temi, o których pamięta się najbardziej.

Na zakończenie chciałbym przytoczyć jeszcze jeden ustęp z pamiętników, ten mianowicie, w którym D'Abernon streszcza swe poglądy na stosunek Anglji do kontynentu europejskiego i tłumaczy, dlaczego uważa, że Anglja nie ma tam nic do roboty. Istnieje zdaniem D'Abernona wielkie prawdopodobieństwo, że Mała Ententa wpłynie rozstrzygająco na kształtowanie się historji Europy. Owóż „Francuzi wytężyli się, by uczynić z Małej Ententy wasalów lub skrępowanych partnerów i z powodzeniem posunęli się już daleko po tej drodze. Łatwo krytykować politykę angielską z powodu zaniedbań w tym kierunku, ale nie widzę, iżbyśmy mogli wiele wskórać, usiłując zrównoważyć wpływ francuski... Nie można było uzyskać, by oficerowie angielscy zreorganizowali czy to armję polską czy rumuńską czy jugosłowiańską czy czechosłowacką, i francuskie misje wojskowe dawały i dają francuskim przedstawicielstwom dyplomatycznym przeważające stanowisko. A także — pomijając urok blasku wojskowości, który oczywiście znacznie więcej pociąga państwa lądowe, niż przewaga na morzu — Paryż wywierał zawsze szczególny czar na Rumunję, na Serbję i na Polskę. Co się tyczy Rumunji, rzecz jest wyjaśniona przez pokrewieństwo krwi romańskiej. Co do Polski, to ścisłe w w. XVIII stosunki pomiędzy rodzinami panującemi, fakt, że połowa bogatszej arystokracji polskiej żyje w Paryżu, a druga połowa jeździ tam, kiedy tylko nadarzy się sposobność (nie mówiąc już, że węzły małżeńskie łączą ją z najstarszemi rodami we Francji), uniemożliwia wybicie się wpływu angielskiego. Pozatem okoliczność, że w przeszłości Paryż był głównym ośrodkiem, z którego napływały pieniądze do skarbców tych państw w środku i na południowym wschodzie Europy, stwarza węzły niezaprzeczalnej mocy. Osobiście nie sądzę, iżbyśmy mieli jakieś rzeczywiste widoki pomyślnego współzawodniczenia w tych stronach — napewno nie bez poważnych kosztów lub niepotrzebnego ryzyka w postaci pożyczek, a byłbym ostatnim, ktoby tego doradzał. Podczas wojny Paryż poniósł ciężkie straty z racji swych przedwojennych inwestycyj w środkowej Europie i możliwe, że znowu mu się to przydarzy. Londyn ze swą instynktowną orjentacją transoceaniczną dobrze uczynił, trzymając się w przeszłości zdala od tych krajów i w przyszłości powinniśmy trwać przy swej polityce inwestowania poza Europą".

„Co do powagi naszej, to pochodzi ona z trzech wielkich źródeł: naszego handlu, naszych finansów i naszej floty, szczególnie floty. Wedle mego zdania rozum nakazuje nam ześrodkować uwagę dyplomatyczną na tych krajach, które posiadają rozległe wybrzeże morskie i pomyślny handel morski. Tam możemy być pewni zażywania przez długie jeszcze lata powagi i sympatji. Z krajami śródlądowemi największy wysiłek doprowadzi prawdopodobnie do małych wyników. Nie powinniśmy przenikać zbyt daleko w Europę; wszystko, czego nam tam potrzeba, to pokój, rozległe stosunki handlowe i brak hegemonji militarnej".

„Jeżeli utrzymując nadal pozycję i wpływ w nadmorskich krajach handlowych, zachowamy swe środki pieniężne dla rozwoju naszego imperjum kolonjalnego — znajdziemy w tej polityce większe bezpieczeństwo i siłę, niż w kosztownych i ryzykownych stosunkach ze środkową Europą".

Wytłumaczenie ścisłości porozumienia pomiędzy Francją a Polską ochoczością, z jaką arystokracja polska zwykła jeździć do Paryża, jest bezsprzecznie oryginalne, nikt nie jest jednak na szczęście obowiązany przyjmować tej historjozofji nienaiwnego skądinąd D'Abernona. Reszta natomiast przytoczonych zdań jest niezmiernie pouczająca dla każdego, kto chce sobie zdać sprawę z trudności stosunków polsko-angielskich. Bo tak, jak D'Abernon myśli — instynktownie — dziewięćdziesiąt dziewięć procent Anglików. Raczej nawet dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiętnych.

S. S.

PIENIĄDZ MIĘDZYNARODOWY

Rola pieniądza ogranicza się obecnie do roli narzędzia, przy pomocy którego mierzymy wartość dóbr społecznych, przy pomocy którego jedne dobra zamieniamy na inne, wreszcie do roli znaku przedstawiającego pewną wartość zamienną. Z jednej strony pieniądz odgrywa więc rolę do pewnego stopnia abstrakcyjnej miary, równie dobrze jak godzina, metr lub kilogram — z drugiej strony reprezentuje siłę nabywczą.

W ostatnich czasach, ze względów technicznych, we wszystkich niemal cywilizowanych krajach oparto pieniądz na złocie, starając się w ten sposób ustabilizować go i jako miarę i jako znak siły nabywczej. Zabieg ten w pewnej zaledwie mierze odpowiedział zadaniu, natomiast prawie całkowicie rozwiązał zagadnienie inne: ujednostajnił we wszystkich krajach, i wogóle w stosunkach międzynarodowych, sposób mierzenia wartości, wyrażając ją wszędzie w złocie.

*

Jak długo większość transakcyj gospodarczych odbywała się w obrębie państwa, jak długo międzynarodowe wymiany bogactw nie odgrywały większego znaczenia w życiu poszczególnych narodów, pieniądz narodowy, odmienny w każdym kraju, znajdował do pewnego stopnia swe uzasadnienie i swą rację bytu, zwłaszcza że zapewniał państwu znaczne zyski.

Obecnie jednak, czyż odpowiada potrzebom naszego życia istnienie różnych pieniędzy narodowych? Czyż trzeba udowadniać, że w wieku rozwoju stosunków międzynarodowych, handlu międzynarodowego, że wogóle w naszych warunkach posługiwanie się kilkudziesięciu miarami wartości jest jakimś zabytkiem przeszłości, zabytkiem, który ludzkość wlecze za sobą jedynie z przyzwyczajenia, nie widząc, do jakiego stopnia ciężar taki utrudnia jej pochód naprzód?

Szkoda, że nie posiadamy wykazu kosztów i strat, wynikających z przerachowywania jednego pieniądza na drugi, ze zmiany pieniędzy oraz kosztów utrzymywania, ochrony pieniądza i innych zabiegów, niezbędnych przy obecnym systemie walutowym. Nie ulega jednak wątpliwości, że koszta te są bardzo wysokie, zupełnie nieproduktywne, przyczem zabiegi koło pieniądza w sztuczny sposób utrudniają rozwój życia gospodarczego.

Nie ulega również wątpliwości, że ten anormalny, nielogiczny, a wielce kłopotliwy stan nie może się ostać przez czas dłuższy. Przekonanie nasze czerpiemy z samego życia. Jak już zaznaczyliśmy wyżej, życie samo zmusiło wszystkie cywilizowane państwa do ujednostajnienia podstawy ich pieniądza i przyjęcia złota za wspólny miernik innych wartości. Pozatem samo życie narzuciło państwom i bankom emisyjnym regulowanie emisji pieniędzy na identycznych prawie zasadach, przepisach i prawach, a proces ten ujednostajnienia odbywa się do pewnego stopnia samorzutnie, jako logiczny wynik potrzeb nowoczesnego życia.

Zachodzi jednak pytanie, czy utrzymanie odrębnego pieniądza narodowego, aczkolwiek uciążliwe i kosztowne, nie przedstawia znacznych wygód dla państwa, czy wygody te nie przemawiają za zachowaniem obecnego ustroju pieniądza. Teoretycznie jedynym argumentem poważnym, przemawiającym za zachowaniem odrębności pieniądza narodowego, może być obawa, iż ludność danego kraju zacznie posługiwać się pieniądzem obcym na równi z pieniądzem narodowym, a przez to dochody emisyjnego banku narodowego zostaną uszczuplone. Doświadczenia jednak z monetarną unją łacińską, uczą, że podobna ewentualność łatwo może być usunięta, a to przy pomocy odpowiednich umów technicznych.

Cóż więc przemawia za utrzymaniem takiego pieniądza? Po dokładniejszem zbadaniu zagadnienia przychodzimy do przekonania, że przedewszystkiem gra tu rolę tradycja, przyzwyczajenie, moment prawie wyłącznie uczuciowy.

W Polsce nie posiadamy jeszcze tradycji pieniądza. W okresie dziesięciu lat mieliśmy markę, złotego wartości franka szwajcarskiego, następnie złotego wartości 60 procent tegoż franka, jednocześnie posługiwaliśmy się i obliczaliśmy prawie

wszystko na dolary, nic więc dziwnego, że ludność nasza nie przywiązała się do tego lub innego pieniądza. Inaczej jednak przedstawia się ta sprawa w innych krajach. Weźmy dla przykładu Francję. Szeroka publiczność, chłop, drobny kupiec, rzemieślnik, urzędnik, mieli zaufanie jedynie do franka, a zaufanie to było tak silne, że nawet podczas inflacji Francuzi nie wyzbywali się franka, nie szukali dolara, a przez to nie dopuścili do całkowitej katastrofy pieniądza francuskiego. Jasnem jest, że podobne przywiązanie publiczności do pieniądza narodowego przedstawia bardzo poważny czynnik dla sfer kierowniczych, gdyż stwarza silne oparcie dla banku emisyjnego i dla państwa, a solidarna obrona pieniądza narodowego przez większość społeczeństwa ułatwia ogromnie państwu wyjście z trudnej sytuacji finansowej.

W.cale więc nie lekceważymy tradycji, owszem — musimy poważnie się z nią liczyć jako z jednym z ważnych czynników. Zaznaczymy jednak, że tradycja posiada swą wartość jedynie przy zachowaniu systemu pieniądza narodowego i silnej solidarności narodowej, solidarności, która została nawet we Francji mocno podkopana przez świadomość, że kosztowała ona obywateli poczuwających się do niej ośmdziesiąt procent wartości ich pieniędzy, gdy jednocześnie przysporzyła znacznych zysków innym obywatelom, którzy zmienili franki na dolary.

Zanim przejdziemy do innych przesłanek, które mogą przemawiać za utrzymaniem odrębnego pieniądza narodowego, musimy zaznaczyć, że tradycja, przywiązanie do własnego pieniądza, ogranicza się, jak to jasno wynika z przykładu Francji, nie do wysokości tego pieniądza, nie do jego wartości międzynarodowej, lecz w pierwszym rzędzie do nazwy pieniądza i do jego formy zewnętrznej. I właśnie wobec tego przywiązanie do narodowego pieniądza nie stanowi poważnej przeszkody do ujednostajnienia wartości narodowych pieniędzy państw poszczególnych.

Ujednostajnienie pieniędzy narodowych nie może odbyć się bez raptownej zmiany, a wszelka nagła zmiana spowoduje chwilowe przynajmniej zamieszanie w życiu gospodarczem. Czy więc z tego powodu nie należy unikać takiej reformy? Niewątpliwie ujednostajnienie pieniądza wymaga pewnego wysiłku, pewnych ofiar, lecz stosunkowo bardzo małych, gdyż

doświadczenie uczy nas, że właśnie w tej dziedzinie przystosowanie się ludności do nowych warunków następuje znacznie łatwiej i szybciej, niż w innych dziedzinach naszego życia. Musimy zdać sobie sprawę, że wrowadzenie metra, jako miary długości, wymagało znacznie większego wysiłku, stworzyło dziwaczne sytuacje, a jednak zostało dokonane, gdyż zapewniało dostateczne wygody. Dla zrozumienia trudności z metrem wystarczy zdać sobie sprawę, że np. ziemia była podzielona na działki odpowiadające innym miarom niż metr, wprowadzenie metra wielkości tych działek ziemi nie zmieniło i powstały właśnie dziwne sytuacje, przy których oddawna istniejące działki wyrażają się dziś w niezrozumiałych ułamkach metra... Zmiana wartości pieniądza tych trudności nie przedstawia, nie wymaga długich okresów czasu dla przystosowania życia do nowego pieniądza i cały proces odbywa się bardzo szybko bez poważniejszych niewygód dla społeczeństwa. Przykład Belgji Polski, Niemiec i t. d. w ostatnich latach najlepszym jest tego dowodem.

Największą próbą ujednostajnienia pieniądza było stworzenie monetarnej unji łacińskiej. Francja, Belgja, Szwajcarja, Włochy i Grecja przyjęły jako pieniądz franka, przedstawiającego identyczną ilość złota (pomijamy sprawę srebra). Dzięki temu ujednostajnieniu złoty pieniądz jednego państwa kursował na równi z pieniądzem narodowym w innych państwach Unji. Jak wiadomo, próba ta nie wytrzymała światowej wojny i dziś nie mamy nawet śladu tego wysiłku.

Z historji tej Unji musimy wyciągnąć naukę, aby na przyszłość nie popełnić dawnych błędów.

Już przed wojną, aczkolwiek pieniądz złoty tych państw przedstawiał jednakową wartość, banknot tychże państw posiadał już trochę odmienną cenę międzynarodową. Stosunkowo drobna ta różnica w handlu międzynarodowym przekreślała prawie całkowicie rację bytu podobnej unifikacji, gdyż stwarzała znowu potrzebę przerachowywań jednych pieniędzy na drugie. Krótko mówiąc, unifikacja czysto techniczna okazała się rzeczą niewystarczającą, gdyż nie zapewniała jednej miary wartości.

Różnica kursu pieniędzy państw Unji łacińskiej wynikała z kilku przyczyn, z których najważniejszą i najciekawszą był

kredyt każdego z tych państw. Próba ujednostajnienia pieniądza, dokonana przez Unję, przekonała nas, że międzynarodowa cena pieniądza uzależniona jest nietylko od ilości np. złota, którą pieniądz reprezentuje, nietylko od sprawności banku emitującego ten pieniądz, lecz również. aczkolwiek w innej mierze, i od kredytu, zaufania, jakiem emitujące państwo cieszy się na rynku międzynarodowym, od stopnia poszukiwania tego pieniądza.

Na podstawie doświadczenia Unji łacińskiej dochodzimy do wniosku, że wszelkie techniczne ujednostajnienie pieniędzy narodowych rzeczywistej unifikacji nie da. Dochodzimy do przekonania, że jeśli jutro wszystkie cywilizowane państwa wprowadzą u siebie dolara, emitowanego na tych samych podstawach co i dolar Stanów Zjednoczonych, to znaczy dolara reprezentującego tę samą ilość złota, dolara posiadającego również wysokie pokrycie w złocie — to mimo wszystko dolar pewnych państw będzie bardziej poszukiwany, niż dolar innych krajów, czyli międzynarodowa cena tych rozmaitych dolarów będzie różna.

I otóż stoimy wobec trudnego zagadnienia. Z jednej strony życie nasze wymaga ujednostajnienia miary wartości, gdyż istnienie rozmaitych miar jest rzeczą bardzo kłopotliwą i kosztowną, pozatem wpływa bardzo ujemnie na zdrowy rozwój życia gospodarczego, z drugiej strony mamy przeświadczenie, że jak długo pieniądz będzie związany z kredytem państwa, wszelkie próby ujednostajnienia tej miary muszą nas zawieść.

Teoretycznie najbardziej prostym sposobem załatwienia tej trudności byłoby skasowanie wszystkich innych znaków pieniężnych i pozostawienie jedynie monety złotej jako pieniądza. Po ujednostajnieniu tej monety mielibyśmy pieniądz prawie idealny, posiadający identyczną wartość we wszystkich krajach, kursujący bez żadnych strat i kosztów (prócz kosztów zużycia) w całym świecie. Lecz doświadczenie nas uczy, że nawet takie ujednostajnienie pieniądza nie dałoby zadawalniających wyników. Wystarczy, aby moneta złota nosiła stempel danego państwa, wystarczy, aby jedno państwo staranniej niż inne zamieniało swe zużyte monety na nowe, a w krótkim stosunkowo czasie będziemy znowu mieli różnice kursu między monetą złotą jednego i drugiego państwa.

Celowo wspominamy o takiej teoretycznej możliwości — praktycznie nie posiadającej żadnego dziś znaczenia — aby zwrócić uwagę, że nawet przy takim systemie wartość pieniądza uzależniona będzie od zaufania do państwa, co pociąga za sobą niemożność ujednostajnienia ceny nawet monet złotych w stosunkach międzynarodowych.

Na podstawie tego, co powiedziano wyżej, musimy dojść do wniosku, że zagadnienie ujednostajnienia pieniądza nie da się załatwić przy jednoczesnem utrzymaniu pieniędzy narodowych. Rozwiązania trudności musimy więc szukać w innych systemach monetarnych, w jakimś systemie międzynarodowym czyli całkowicie uniezależnionym od kredytu lub finansowej sytuacji poszczególnych państw.

Wszelki pomysł wprowadzenia nienarodowego pieniądza spotykał się dotychczas z kategorycznym sprzeciwem, a to ze względów zupełnie zrozumiałych: 1) jak zaznaczyliśmy wyżej, emisja pieniędzy zapewnia każdemu państwu znaczne dochody — motyw bardzo w dzisiejszych czasach poważny; 2) emisja narodowych pieniędzy pozwala w wielkiej mierze regulować życie gospodarcze każdego kraju, dopóki więc państwo stanowi jednostkę gospodarczą, jednostkę żyjącą własnem odrębnem życiem gospodarczem, możność regulowania tego życia przedstawia pierwszorzędną wartość i żadne państwo możności tej pozbyć się nie będzie mogło. Inaczej mówiąc, w dzisiejszej sytuacji żadne państwo nie może przystać na zlikwidowanie swego banku emisyjnego lub na pomniejszenie wpływu tego banku na życie gospodarcze kraju.

Przyszliśmy więc do przekonania, że aby pieniądz mógł być ujednostajniony, musimy odrzucić wszelką myśl pieniądza narodowego, z drugiej zaś strony musimy zachować narodowe banki emisyjne i dotychczasową tych banków działalność. Pozorna ta nielogiczność wynika jednak z obecnej sytuacji, w której z jednej strony mamy państwa, organizacje zbudowane na zasadach suwerenności, niezależności i odrębności, a z drugiej strony nowoczesne życie gospodarcze, które stwarza coraz silniejszą współzależność tych państw, ujednostajnia ich życie i mało liczy się z granicami politycznemi. Z tej sytuacji wynika, że utrzymanie pieniądza narodowego nie odpowiada tak poważnej rzeczywistości, jak obecne międzynarodowe życie go-

spodarcze, a wprowadzenie pieniądza *par excellence* międzynarodowego nie odpowie drugiej, również poważnej rzeczywistości, jaką jest państwo.

Należy więc szukać drogi pośredniej pomiędzy pieniądzem narodowym a pieniądzem całkowicie międzynarodowym, aby z jednej strony uwolnić nas od kłopotów i kosztów związanych z obecnym systemem monetarnym, zachowując z drugiej możność regulowania życia gospodarczego każdego państwa np. przy pomocy narodowych banków emisyjnych.

Mówiąc o niemożliwości utrzymania na długą metę odrębnych pieniędzy narodowych i o domaganiu się przez życie gospodarcze ujednostajnienia tych pieniędzy, mówiąc o technicznej trudności faktycznego ujednostajnienia pieniędzy narodowych i o potrzebie wprowadzenia pieniądza międzynarodowego, dowodząc wreszcie konieczności uwzględnienia przy wszelkich pomysłach tej rozbieżności, jaka istnieje między strukturą państw a życiem gospodarczem, mogliśmy opierać się na faktach realnych, na tendencjach, które coraz silniej zaznaczają się w życiu gospodarczem, mogliśmy czerpać przeświadczenie i pewność z samego życia.

Trudno jednak w sprawach tak praktycznych, tak mało mających związku z teorją, poprzestać jedynie na wskazaniu ogólnego kierunku rozwoju systemu monetarnego, nie przedstawiając konkretnych możliwości bardziej dogodnego, bardziej dostosowanego do naszych potrzeb systemu. Zanim jednak przystąpimy do przedstawienia takiego planu, musimy się zastrzec, że nie uważamy tego planu za jedyny sposób rozwiązania obecnych trudności, gdyż należy przewidywać, że samo życie może nam nasunąć i inne sposoby przystosowania pieniądza do naszych potrzeb.

*

Podstawą banku emisyjnego jest możność emitowania banknotów posiadających kurs legalny. Emisja opiera się na złocie, znajdującem się w posiadaniu banku. Obecnie banki emitują banknoty narodowe, jedynie banknoty narodowe posiadają kurs legalny, banknoty te posiadają gwarancję jedynie narodową.

Jeśli natomiast bank narodowy będzie mógł emitować banknoty międzynarodowe, posiadające kurs legalny i poza granicami danego państwa, jeśli gwarancją tych banknotów

będzie międzynarodowa, wszelkie trudności, związane z obecnym systemem monetarnym, automatycznie zostaną usunięte.

Technicznie zorganizowanie emisji międzynarodowych banknotów może być dokonane, przy pomocy centrali międzynarodowej, w następujący sposób.

Narodowy bank posiada złoto i na podstawie tego złota ma prawo emitowania banknotów. Aby uzyskać te banknoty, bank przekazuje złoto centrali międzynarodowej i od niej otrzymuje międzynarodowe banknoty identyczne dla wszystkich krajów.[1] Przekazane złoto pozostaje naturalnie własnością banku narodowego, lecz bank nie może złotem dysponować, zanim go nie wykupi. Dla wykupienia złota odbywa się odwrotna operacja; bank narodowy zwraca centrali międzynarodowej wartość w banknotach, uzyskaną uprzednio na podstawie części złota, którą pragnie wykupić. Reszta działalności banków emisyjnych pozostaje bez zmiany.

Gdyby jedynie złoto było obecnie podstawą emisji banknotów, cała sprawa nie przedstawiałaby żadnej trudności, lecz obecnie w wielu bankach narodowych „złote" dewizy mogą być uważane również jako pokrycie banknotów. Nowy system monetarny wymagałby uprzedniego porozumienia się, czy takie dewizy wogóle mogą być pokryciem, i w jakiej mierze, oraz dokładnego sprecyzowania, które dewizy mogą być uznane za „złote". Międzynarodowe porozumienie w tej sprawie nie będzie przedstawiało wielkich trudności, gdyż wystarczy przejrzeć sprawozdanie banków emisyjnych, aby przekonać się, że odchylenia w ocenie wartości tych dewiz w poszczególnych krajach są nieznaczne.

Rzecz jasna, że podobny system monetarny wymaga uprzedniego i całkowitego ujednostajnienia statutów wszystkich banków emisyjnych, lecz zaznaczyliśmy już wyżej, że proces ujednostajniania tych statutów następuje prawie automatycznie i dziś różnice tyczą bardziej szczegółów funkcjonowania banków emisyjnych, a zasady i podstawowe przepisy są prawie identyczne. Wobec tego nie należy wyolbrzymiać trudności,

---

[1] Jeśli ustawowo banki będą otrzymywały banknoty, reprezentujące większą ilość złotą niż złoto przekazane centrali, nadwyżka tych banknotów będzie wpisana na dług banku, gwarantowany przez państwo.

jakie mogą powstać przy podobnem ujednostajnianiu statutów, gdyż większość tych trudności będzie wynikała jedynie z tradycji poszczególnych banków, a nie z zasadniczo odmiennego zapatrywania się na podstawy, na jakich banki emisyjne mają działać.

Największe zastrzeżenie musi wywołać sprawa sposobu puszczania w obieg przez bank narodowy banknotów międzynarodowych. Pod tym względem, pomimo ujednostajnienia statutów, mogą zachodzić dość znaczne różnice: możemy mieć znacznie więcej zaufania do ogłędnego puszczania w obieg banknotów przez stary bank emisyjny, posiadający wielką rutynę i doświadczenie w tej materji, niż do banków stosunkowo młodych, nie posiadających takiego wyrobienia.

Sprawa ta posiada wielkie znaczenie, gdyż banknoty międzynarodowe posiadają międzynarodową wspólną gwarancję wszystkich banków emisyjnych, wobec tego każdy z banków emisyjnych, puszczających w obieg te banknoty, angażuje w znacznym stopniu odpowiedzialność międzynarodową, a bank mniej ostrożny czyni to w silniejszej mierze niż bank ostrożny. Ustawowo nie można zabezpieczyć się w tym wypadku, gdyż nie można przy pomocy przepisu określić solidności wierzycieli, którym bank udziela dyskonta lub kredytu. Z drugiej strony należy pozostawić narodowym bankom możność zwiększania lub kurczenia obiegu pieniężnego na narodowym rynku. krótko mówiąc należy zachować wszelkie obecne możliwości banków emisyjnych regulowania życia gospodarczego.

Wysokość kredytów, udzielanych przez bank emisyjny państwu, możemy określić ustawowo, natomiast solidność innych operacyj banków emisyjnych musimy zabezpieczyć inną drogą, badając wysokość strat banku. W statucie można przewidzieć, że w wypadku strat, przekraczających pewien odsetek operacyj banku, dalsze wydawanie mu banknotów może być uwarunkowane kontrolą międzynarodową, zostaje ograniczone lub nawet całkowicie zawieszone. Tą drogą można zmusić banki emisyjne do unikania wszelkich operacyj niezdrowych i zapewnić międzynarodowo standard bezpieczeństwa puszczania w obieg banknotów międzynarodowych, nie krępując przytem swobody ruchu banków.

*

Wszystkie te trudności mają bardzo małe znaczenie wobec wygód, jakie zapewni życiu gospodarczemu wprowadzenie pieniądza międzynarodowego. Na początku wspominaliśmy o kosztach, kłopotach, stratach, wynikających z istnienia pieniądza narodowego: ta ujemna strona automatycznie odpada. Lecz wprowadzenie pieniądza międzynarodowego będzie miało poza tem znacznie głębsze znaczenie.

Istnienie pieniądza narodowego, ściśle związanego z państwem, zaciera linję demarkacyjną między kredytem a pieniądzem państwa. Jeśli musimy uznać za objaw zdrowy, że zły pieniądz narodowy ujemnie wpływa na kredyt państwa, gdyż zły lub dobry pieniądz jest składową częścią kredytu tego państwa, trudno się pogodzić z obecnym stanem, przy którym kredyt państwa wpływa na międzynarodową cenę jego pieniądza. Ten polityczny wpływ, nie mający żadnego gospodarczego uzasadnienia, stwarza niezdrowe komplikacje gospodarcze.

Pieniądz międzynarodowy tym wpływom nie będzie podlegał — będzie całkowicie uniezależniony od względów „politycznych". Państwo może stracić kredyt, lecz posiadacz pieniądza międzynarodowego zachowa w całości siłę nabywczą tego pieniądza. Sprawa ta posiada pierwszorzędne znaczenie, gdyż ułatwi w znacznej mierze racjonalne międzynarodowe rozmieszczenie kapitałów.

Pragniemy zwrócić uwagę na jeden jeszcze skutek pieniądza międzynarodowego, a będzie to w zgodzie z obecnym czasem i duchem, gdy wszyscy zajmują się sprawą pokoju.

Nie chcemy twierdzić, że wprowadzenie pieniądza międzynarodowego uniemożliwi prowadzenie wojny, lecz jasnem jest, że prowadzenie poważnej wojny znacznie utrudni, gdyż przy obecnych kosztach wojny państwo będzie zmuszone albo do emitowania narodowego pieniądza, a ten spotka się z nieufnością, albo do jawnego konfiskowania znacznej części kapitałów prywatnych swych obywateli, co znowu stworzy „niepopularność" wojny. Dziś, przy istnieniu pieniądza narodowego, konfiskata odbywa się w sposób ukryty, upozorowana jest zapłatą fikcyjną lub w wielkiej mierze fikcyjną, a proceder taki krzywdzi przedewszystkiem najszersze i najmniej uświadomione finansowo warstwy społeczeństwa.

*

Zachodzi teraz pytanie, czy zamiana pieniądza narodowego na pieniądz międzynarodowy ma nastąpić raptownie i czy nie jest bardziej wskazanem pozostawienie pewnego czasu przejściowego, w którym pieniądz międzynarodowy będzie kursował obok i na równi z pieniądzem narodowym. I drugie pytanie; czy wprowadzenie pieniądza międzynarodowego musi nastąpić jednocześnie we wszystkich państwach, czy też wystarczy, aby jakaś grupa państw zapoczątkowała ten system?

Na jedno i drugie pytanie, zdaniem naszem, należy szukać odpowiedzi oportunistycznej, to znaczy odpowiedzi możliwie bardziej liczącej się ze stanem obecnym i nawet z jego słabostkami.

Jeśli, z punktu widzenia teorji, najstosowniej jest przeprowadzić podobną zamianę pieniędzy narodowych na międzynarodowe raptownie i we wszystkich państwach naraz, doświadczenie nas uczy, że z podobną reformą będziemy czekali kilkadziesiąt, a może i więcej lat i cała sprawa stale będzie nieaktualna. Z tych względów wskazanem jest stopniowe wprowadzenie pieniądza międzynarodowego, pozostawiając mu możność wyciśnięcia pieniądza narodowego. Proces taki, przy kursie legalnym pieniądza międzynarodowego, nastąpi stosunkowo bardzo szybko, gdyż pieniądz międzynarodowy będzie natychmiast bardziej poszukiwany niż pieniądz narodowy, jako pieniądz, którym posługiwanie się będzie mniej kosztowne, a bardziej wygodne. Inaczej mówiąc, państwa, które wprowadzą pieniądz międzynarodowy obok pieniądza narodowego, w bardzo szybkim czasie same i na wymaganie własnego społeczeństwa wycofają całkowicie pieniądz narodowy z obiegu.

Idealnem załatwieniem takiej reformy byłoby przystąpienie wszystkich państw do systemu pieniądza międzynarodowego, lecz, jak zaznaczyliśmy wyżej, zmusiłoby to nas do nadzwyczaj długiego oczekiwania odpowiedniej chwili. Z tych względów wystarczy, aby na początek poważniejsza grupa państw wprowadziła u siebie pieniądz międzynarodowy, a to w szybkim czasie zmusi i inne państwa do pójścia w jej ślady. Rzecz jasna, że znaczenie międzynarodowego pieniądza uzależnione będzie od wpływów i znaczenia gospodarczego grupy państw inaugurującej taki system.

*

Jednakże nasuwa się poważna wątpliwość: czy sprawa wprowadzenia międzynarodowego pieniądza jest na czasie, czy cała ta sprawa nie posiada conajwyżej akademickiego znaczenia?

Zdaniem naszem, aktualność tej sprawy jest bardzo żywa, a to z następujących względów.

Myśl gospodarczych Stanów Zjednoczonych Europy, rzucona przez wielkich i odpowiedzialnych ludzi, zaawansowane prace Ligi Narodów zmierzające do tegoż celu, szereg porozumień gospodarczych w Europie — wszystko to świadczy o potrzebie, i to bardzo żywo odczuwanej, stworzenia z Europy jednostki gospodarczej bardziej zdolnej do współpracy ze Stanami Zjednoczonemi Ameryki. Presja w tym kierunku niewątpliwie istnieje, przyczem europejskie państwa przemysłowo silne budują swe plany na zniesieniu, a przynajmniej na znacznem obniżeniu taryf celnych. Akcja ta musi spotkać się ze sprzeciwem państw przemysłowo słabszych. Wobec metody, stosowanej obecnie przez przemysł, a polegającej na „zdobywaniu" rynków obcych, jak również ze względu na to, że właśnie kraje uprzemysłowione w walce tej posługują się kapitałem, którym rozporządzają w znacznie większej mierze niż inne, nie trudno przewidzieć, że nastąpi podwyższenie a nie obniżenie taryf celnych, a potrzeba obrony rynków wystąpi znacznie wyraźniej niż obecnie. Taka obrona rynków wzmoże się i z innych jeszcze względów, wyniknie ona z samej techniki obecnego przemysłu, który wprowadza ze względów konkurencyjnych coraz powszechniej seryjną produkcję, obliczoną na wielką skalę, a przez to tańszą i wymagającą możliwie szerszych rynków zbytu.

Z tego wcale jednak nie wynika, że gospodarcze skupienie Europy w samem założeniu nie odpowiada naszym potrzebom. Potrzeba taka istnieje chociażby ze względu na produkcję Stanów Zjednoczonych Ameryki, na amerykański sposób pracy, który może zepchnąć gospodarczo Europę na zupełnie drugorzędne stanowisko. Krytykując plany państw gospodarczo rozwiniętych, krytykujemy nie ich myśl przewodnią, lecz metody, przy pomocy których pragną dopiąć swego celu.

Naszem zdaniem, gospodarcze zjednoczenie Europy wymaga przedewszystkiem pewnego zniwelowania różnic, jakie zachodzą w intensywności gospodarki poszczególnych państw, aby

we wszystkich krajach Europy wszelkie bogactwa naturalne i możliwości produkcji były wyzyskane mniejwięcej tak samo starannie, aby nie było z jednej strony krajów całkowicie przerobionych nowoczesnym kapitałem, a z drugiej strony krajów niemal dziewiczych. Wyznawcy zasady obniżenia taryf celnych twierdzą, że właśnie podobne zniwelowanie nastąpi przy wykonaniu ich planu. Niewątpliwie, lecz początkowo i przez dłuższy jeszcze okres czasu kraje mniej silne przemysłowo będą zalane produktem obcym. Aby tego uniknąć, kraje mniej uprzemysłowione muszą wymagać uprzedniego zniwelowania różnic produkcji.

Gospodarczo głównym powodem istnienia obecnych różnic produkcji jest nierównomierne rozmieszczenie kapitałów. Dopływ kapitałów do krajów mało uprzemysłowionych podniesie tam skalę produkcji w sposób znakomity. Pomimo istnienia odpowiednich warunków dla powstania w całym szeregu państw wzmożonej produkcji, kapitał przypływa do nich stosunkowo w słabej mierze z obawy lub z braku dostatecznej pewności, że wyniki pracy kapitału nie zostaną w nich narażone na szwank przez nieumiejętną ogólną administrację kraju.

Właśnie z tych względów wprowadzenie pieniądza międzynarodowego przyczyni się do usunięcia w pewnej mierze tych obaw, a przez to zapewni gospodarczo racjonalniejsze rozmieszczenie kapitałów, mniej uwarunkowane względami natury politycznej.

Wobec tego wysunięcie problemu pieniądza międzynarodowego jest, naszem zdaniem, rzeczą nader aktualną. Zresztą nie wątpimy, że Międzynarodowy Bank, utworzony na podstawie planu Younga, w szybkim czasie sam dojdzie do podobnych wniosków i zacznie wypuszczać jakieś certyfikaty lub inne papiery, mające znaczenie pieniądza, które będą chętnie przyjmowane przez banki wszystkich niemal państw. Będzie to jednak pieniądz wyłącznie do użytku międzybankowego, co nie zmieni obecnych trudności, wynikających z istnienia w każdem państwie pieniądza narodowego.

Genewa, w lutym 1930.

ANTONI WAŚKOWSKI

Z NIEZNANYCH AUTOGRAFÓW ST. WYSPIAŃSKIEGO

Nie wszyscy, którzy patrzyli na życie Stanisława Wyspiańskiego, zdają sobie sprawę, jak bliskim był stosunek jego do Wilhelma Feldmana. Wiemy przecież, że Wyspiański na kilka tygodni przed śmiercią nie chciał dopuścić do siebie żadnego z lekarzy, i dopiero na skutek próśb Feldmana zgodził się na odwiedziny prof. Rutkowskiego. I to wiemy, że Feldman przewoził Wyspiańskiego z Węgrzec do sanatorjum przy ulicy Siemiradzkiego, że godzinami czuwał u łoża chorego, zmieniając wigilację z rodziną i przyjacielem poety, p. Adamem Chmielem.

Szczegóły, wiążące życie i serce Feldmana z artystycznym trudem Wyspiańskiego, nie mogą nam być obojętne, tem bardziej jeśli wchodzą w grę nowe dokumenty, nieznane kartki ze spuścizny literackiej twórcy *Wesela*. Przed paru laty opublikowałem w *Głosie Narodu* niedrukowany dotąd wiersz Wyspiańskiego, napisany dorywczo, w momencie, który powinien być skomentowany i przekazany pamięci ze względu na poetę i jego stosunek do społeczeństwa, a w szczególności stosunek do tych, którzy często byli najbliżej jego osoby — nie zawsze jednak byli mu najbliższymi, — i wreszcie ze względu na stosunek do Feldmana.

Działo się to na kilka, może kilkanaście miesięcy przed śmiercią Wyspiańskiego. Feldman w towarzystwie St. Żeromskiego odwiedził go w Węgrzcach. Poeta, złożony chorobą, nie opuszczał od dłuższego czasu domu, nie hywał w Krakowie, odcięty prawie zupełnie od życia i ruchu artystycznego i literackiego. Cóż więc dziwnego, że rozpytywał się gości o wszystkich i o wszystko, co tylko mogło być drogie i bliskie umiłowaniom artysty. A jakiem zaufaniem obdarzał Wyspiański Feldmana — mówi o tem Stefan Żeromski w swoich *Wspomnieniach* (*Pamięci W. Feldmana*, Kraków 1922): „Chory pisał tylko

rozmaite zapytania i zadawał je, rzucał W. Feldmanowi. Dopytywał się o mnóstwo rzeczy nieznanych mi, żądał ostro rozmaitych wyjaśnień spraw literackich i artystycznych, wiadomości i nowin, o coś wypytywał pospiesznie i wydawał zlecenia. Wszystko to Feldman notował w pamięci i na piśmie. Wielki artysta otoczony był niewątpliwie troskliwą opieką rodziny. Zapewne, iż nie jeden z kolegów odwiedzał go i wyświadczał mu braterskie usługi. Ale najgorliwszą opieką i usługą otaczał Wilhelm Feldman. Darzył go miłością bez granic, gotów był służyć i spełniać jego każde życzenie, nieść mu pomoc i podtrzymywać biedną rękę, opadającą w bezwładzie, użyczać zdawało się wzroku przygasającej źrenicy, oddać swe siły dla podparcia tamtej siły, oddać swą duszę wielkiej duszy, która już odchodziła z padołu, upadając pod straszliwemi ciosami losu, co ją zabijał".

Ale w rozmowach tych Feldman najwidoczniej musiał bardzo plastycznie kreślić sylwety tych wielu z „najserdeczniejszych", którzy otaczali — z bliższa lub z dalsza — osobę poety i patrzyli bynajmniej nie przyjacielskiemi oczyma na jego wielki a owocny trud. I musiał tę niesprawiedliwość głęboko odczuć Wyspiański, musiał — jako poeta ulegający łatwo i szybko wzruszeniom — zareagować doraźnie na słowa Feldmana, bo efektem tego pamiętnego momentu stał się naprędce napisany wiersz, który poeta ofiarował przyjacielowi:

„O kocham Kraków — bo nie od kamieni
przykrościm doznał — lecz od żywych ludzi
nie zachwieje się we mnie duch ani się zmieni
ani się zapał we mnie nie ostudzi
to bowiem z wiary jest co mi rumieni
różanym świtem myśl i co mnie budzi.
Im częściej na mnie kamieniem rzucicie
sami złożycie stos — — stanę na szczycie".[1]

Jak widzimy — oktawa subjektywna, pod urokiem Słowackiego, z charakterystycznem jednak dla autora *Kazimierza Wielkiego* przełamaniem kanonu form (wiersz 3 od góry zawiera trzynaście zgłosek).

---

[1] Wiersz w posiadaniu p. M. Feldmanowej, wdowy po ś. p. W. Feldmanie. Interpunkcję zachowałem według oryginału.

Rok 1905, rok rewolucji rosyjskiej, narzucił Feldmanowi — który zawsze i wszędzie pod sztandarem swoich idej protestował słowem i czynem przeciw niewoli i tragedji polskiej — wycieczkę na Wschód. Wyjechał więc owej pamiętnej zimy do Rosji, jako — zdaje się — agent jednej z wielkich księgarń polskich, za cudzym paszportem, gdyż nazwisko jego było za kordonem niebezpieczne. W Moskwie, Petersburgu, Odesie i Kijowie wygłaszał odczyty o Polsce, o polskiej literaturze. Wrażenia z tej wielkiej, patrjotycznej wycieczki opisał Feldman w książce p. t. *O Rosji*, wydanej później w Krakowie (Spółka Nakładowa „Książka"). „Miałem sposobność" — pisze ten bojownik sprawy polskiej — „spędzić teraz miesiąc w Rosji. Było to podczas najgorszych dni tej zimy tegorocznej, która dla dziesiątków miljonów wiosną jest istotną, z jej pękaniem lodów i zamieciami — krótkotrwałemi".

A widać w czasie tej wyprawy, gdy niebezpieczeństwa, omal śmierć, czyhały na każdym kroku, imię i postać Wyspiańskiego bliskiemi mu były, bo z onej Rosji — podminowanej dynamitem serc zbuntowanego proletarjatu — przywiózł wielkiemu artyście polskiemu w upominku wspaniałe wewnętrznie i zewnętrznie album artystów rosyjskich. I oto dnia 16 marca tego roku Feldman wręczył Wyspiańskiemu owe album. Poeta w pierwszej chwili przyjął dar — rozejrzał się jednak później, może nie tyle w treści, ile w duchu artystów północy, i nazajutrz — odesłał Feldmanowi to, co było dokumentem sztuk rosyjskiej.

Dlaczego wielki artysta polski odrzucił sztukę artystów północy?

Odpowiedź daje list Wyspiańskiego do Feldmana z dnia 17 marca 1905. r., — list, który jest zarazem komentarzem gestu i postanowienia woli artysty:

„Kochany Panie Redaktorze!

Nienawidzę: — więc daru przyjąć nie mogę, jako daru.
W zamian gdyby choć parę gałązek z nad brzegu Wilji
lub z brzegów Wilejki, gdyby choć jaki strzęp, z głowy
zawiązek jaki Litwinki noszą lub Rutejki, gdyby
choć kostur ledwo ociosany, na wzór kostura owego Lizdejki, gdyby
kamyczek ze ścian owej wieży, gdyby garść piasku lecz byle z tej

ziemi, gdzieśmy przysięgli w jedności żyć z niemi.
Lecz zdalsza nic.

Stanisław Wyspiański
dnia 17-ego Marca
1905
Kraków".[1]

Jest to właściwie wiersz, ale pisany w niedbałym biegu słów i zdań, jakby miał obojętną prozę stanowić. W wersyfikacyjnym jednak układzie należałoby go raczej tak drukować:

„Kochany Panie Redaktorze!
Nienawidzę, — więc daru przyjąć nie mogę, jako daru.
W zamian gdyby choć parę gałązek
z nad brzegu Wilji lub z brzegów Wilejki,
gdyby choć jaki strzęp, z głowy zawiązek,
jaki Litwinki noszą lub Rutejki,
gdyby choć kostur ledwo ociosany,
na wzór kostura owego Lizdejki,
gdyby kamyczek ze ścian owej wieży,
gdyby garść piasku, lecz byle z tej ziemi,
gdzieśmy przysięgli w jedności żyć z niemi.
Lecz zdalsza nic

Ważnemi wydają mi się tu dwa następujące szczegóły. Przedewszystkiem data z marca 1905 r. Jest to czas idący zaledwie w kilka miesięcy po okresie, kiedy Wyspiański rysował swoje „lalki Bolesławowskie". Na rysunkach widzimy motywy prastroju chłopa polskiego, który artysta tak genjalnie przetransponował na dwór królewski Bolesława Śmiałego. Najwidoczniej rozkochany w tych motywach, w tym prymitywie motywów ludowych, tęsknił za wszystkiem, coby mu nowy materjał do pomysłów mogło przynieść. Jakieś nowe piękno na ten temat przewidywał oczywiście i na Litwie w ledwo ociosanym kosturze Lizdejki i w zawiązce, jaką Litwinki noszą na głowach. To był na on czas świat jego widzeń artystycznych, bo przecież na parę miesięcy przed datą owego listu do Feldmana, tak pisze do drugiego przyjaciela, p. Adama Chmiela, z Bad-Hall dnia 25 lipca 1904 r.:

„Mam do Pana pewien interes. Chodzi mianowicie o pewne części ubioru Wandy. Przypomina Pan sobie

[1] List w posiadaniu p. M. Feldmanowej.

może dużą mosiężną agrafę, która leżała u mnie zawsze na wielkim stole, takiej właśnie używają podobno przewodnicy zakopiańscy jako odznaki, do której klasy należą i jaki mają numer..... Ciekaw jestem, czy istnieją blaszki tak duże, choćby większe, jednem słowem choćby jakiejkolwiek wielkości, byle były kształtów rozmaitych. Chciałbym mieć kompletny (możliwie) zbiór takich blaszek mosiężnych lub żelaznych, o ile istnieją w rozmaitych kształtach". [1]

A w parę dni (1 sierpnia tegoż roku) tak dalej pisze do p. Chmiela:

„Szczególnie chodzi tu o łyżniki a parzenice, gdyż tak zwanych „leluj" nie lubię i nie przyznaję im żadnego znaczenia, chcć się niemi Witkiewicz interesuje. „Leluja" jest to najbanalniejszy okaz i wyraz ornamentu, żadnego rodzinnego naszego charakteru nie mający i nie wyrażający. Toż samo głupie listeczki około lelui. Ten więc motyw mnie nie obchodzi i wszystko, co z nim związane. Niech Pan pamięta odwiedzić panią Dembowską, bo ona ma najpiękniejsze łyżniki w swoich zbiorach, właśnie te, które użyłem do Bolesława". [2]

Rozmiłowanie więc w pramotywach ludowych zawsze było wielkie u Wyspiańskiego, ale nigdy tak potężne, jak właśnie w czasie pisania *Bolesława Śmiałego, Skałki* i *Legendy* (wyd. II). Dokument tego rozmiłowania znajdziemy także w cytowanym powyżej liście Wyspiańskiego do Feldmana, w liście, którego data łączy się z okresem pisania wspomnianych dramatów. Artysta żył pięknem prymitywu ludowego i chciał, aby wszyscy (i wszystko, co go otaczało) przynosili mu jak najwięcej materjału. Tego też żądał i od Feldmana, który codopiero powrócił z Litwy, gdzie chyba mógł się zetknąć z nowemi szczegółami piękna zewnętrznego ludu z nad Wilji lub Wilejki.

A drugi szczegół, to myśl zamknięta w końcowych, imperatywnych trzech słowach listu: „Lecz zdalsza nic". Otóż to: „zdalsza". To znaczy z poza granic tego, co jest polskie i co jest z Polską ściśle związane prawem rasy i historji. „Zdalsza" —

[1] Cytuję według tekstu w *Miesięczniku Lit.* i *Art.* z 15. II. 1911.
[2] Tamże.

to oczywiście znaczy: z Rosji. Krótko, ale stanowczo wypowiedział się tu Wyspiański, że sztuka rosyjska była mu daleką i jako takiej, nie dopuszczał jej do swego nawskróś polskiego serca — więcej: nienawidził jej!

Wielka szkoda, że dziś nie znamy tego daru, tej sztuki zreprodukowanej na kartach owego albumu — że nie znamy nazwisk przedstawionych tam artystów rosyjskich. W każdym razie te trzy końcowe słowa listu mogłyby dziś stanowić ciekawy zrąb dla dociekań estetyczno-filozoficznych, co i jakby wielki twórca niezrealizowanych dotąd witrażów wawelskich powiedział o współczesnej sztuce Rosji i idących z niej prądach wywrotowych. Myślę, że sąd jego byłby stanowczo negatywny.

Mam w ręku jeszcze jeden nieznany dokument myśli czy też pomysłowości Wyspiańskiego: tekst ogłoszenia konkursu dramatycznego — pisany ręką poety.[1] Rzecz ciekawa, pouczająca i dziś jeszcze dla wszystkich tych, co rozpisują podobne konkursy lub też zasiadają w nich jako sędziowie — rzecz pouczająca o celach, zadaniach i sposobach skutecznej pracy.

Było tak. Wydawnictwo *Krytyki*, której redaktorem był W. Feldman, ogłosiło w kwietniu 1904 r. konkurs na utwór dramatyczny. Feldman zwrócił się — rzecz prosta — do Wyspiańskiego o radę i pomoc. Największy dramaturg polski takie napisał wezwanie:

> „Redakcja *Krytyki* ogłasza konkurs dramatyczny, którego celem jest uzyskanie dramatu. Autorowie chcący się współubiegać mogą nadsełać nie więcej nad jedną lub dwie scen, tak żeby całość nie obejmowała więcej nad stron trzydzieści rękopisu.
>
> Rękopis zawierający te jedną lub dwie sceny, ma być dyalogiem (rozmową dramatyczną dwu lub więcej osób działających).
>
> Rękopisy należy nadsełać, opatrzone nazwiskiem autora (nie pseudonimem) do redakcji *Krytyki*, ulica Wrzesińska 7.
>
> Do składu osób, które będą czytać rękopisy redakcja *Krytyki* zaprasza: .....
>
> Termin do dnia ....“ [2]

[1] W posiadaniu p. M. Feldmanowej.

[2] Podkreślenia pochodzą od Wyspiańskiego.

Cóż w tym tekście uderza?

Przedewszystkiem to, że „autorowie mogą nadsełać nie więcej nad jedną lub dwie scen". Bardzo słuszny warunek. Fragment dramatu daje najzupełniejsze pojęcie o talencie autora. A co najważniejsze ułatwi osobom czytającym dokładne i sumienne przestudjowanie prac. Drugim uderzającym szczegółem są tu słowa: „rękopisy należy nadsełać, opatrzone nazwiskiem autora (nie pseudonimem)". Znowu słuszny warunek. Żadnej gry na ślepo, żadnej przypadkowości, ale jedynie i tylko spojrzenie w znane lub nieznane dotąd, odsłonięte oblicze indywidualności. Wyspiański podkreśla, że tylko pod tym kątem widzenia należy sądzić dzieła sztuki tych, którzy — oczywiście — o ten sąd się ubiegają na drodze konkursu. Wybitne cechy silnej a znanej indywidualności i tak przebiją tajemnicę zamkniętej koperty i przed otwarciem jej zdradzą nazwisko autora — więc sąd „na ślepo" w takich razach jest hipokryzją. A jeśli przed „jury" stanie nieznana dotąd indywidualność, to przecież wszystko jedno czy tam jest nazwisko czy pseudonim — w obu wypadkach: kartka biała. Myśli o jakiejś protekcjonalności, o jakichś względach osobistych, Wyspiański — jak zawsze i wogóle w sztuce — nawet nie dopuszczał. Za pierwszy, kardynalny warunek sędziów uważał — sprawiedliwość, o której nie trzeba chyba wspominać.

W projekcie Wyspiańskiego znajdujemy więc i na dzisiejsze czasy doskonały wzór konkursu dramatycznego — a to dzięki bliskim stosunkom publicysty i krytyka, jakim był Feldman, z wielkim poetą i indywidualistą. Takich i tym podobnych punktów stycznych między Wyspiańskim a Feldmanem było więcej i zna je historja. Te kilka powyższych szczegółów są tu tylko drobnym przyczynkiem.

Każdy nieznany, najdrobniejszy choćby autograf Wyspiańskiego, może dziś przynieść badaczom jego twórczości nowe materjały. I pomyślmy tylko: jaka skarbnica kryje się w niewydanej dotąd korespondencji poety, którą z pietyzmem zgromadził i skomentował p. Włodzimierz Żuławski, i od kilkunastu lat poszukuje bezskutecznie wydawcy.

Nie do uwierzenia! Niemaż dziś w Polsce, ktoby wydał wszystkie listy Stanisława Wyspiańskiego — wszystkie, a więc

wśród nich i takie, których nikt nie zna, a które napewno będą rewelacją.

A są one zebrane i skomentowane i w tece p. Włodzimierza Żuławskiego — czekają odważnego nakładcy. Takie zwlekanie jest krzywdą dla poety i dla społeczeństwa!

A kto wie: gdyby dziś żył Wilhelm Feldman — możeby literatura polska zdobyła już tę skarbnicę najskrytszych myśli i zwierzeń Wyspiańskiego. On z pewnością poruszyłby wszystko, aby korespondencja wielkiego poety i malarza dostała się w ręce społeczeństwa.

Na entuzjazm i dobrą wolę — czekamy.

Entuzjazm i dobra wola. Te dwa pojęcia — gdy piszę dziś o Wilhelmie Feldmanie — przypominają mi pewien szczegół z pogrzebu Wyspiańskiego.

W mrocznej krypcie OO. Pijarów żółte, drgające światło świec kładło się na żałobnej twarzy ciotki mojej, Stankiewiczowej, — również ciotki i wychowawczyni Wyspiańskiego, — kiedy ze łzami powtarzała mi słowa wielkiego poety, wypowiedziane na kilka dni przed zgonem... słowa, które zresztą nieraz z ust jego słyszałem żywe i serdeczne... słowa, które miały mi — młodemu naówczas jeszcze i idącemu w świat poecie — wskazać drogę:

—„.....powiedział, abyś ufał w dobrą wolę i entuzjazm Feldmana"...

W kilka dni poznałem go u Stankiewiczowej. Przez szereg lat, w czasie których zbliżałem się coraz bardziej do Wilhelma Feldmana, ten niestrudzony i odważny badacz współczesnej literatury polskiej zawsze i na każdym kroku potwierdzał słowa wielkiego poety.

KAZIMIERZ ANTONI ZDZIECHOWSKI

UWAGI O PIĘCIOLETNIM PLANIE INDUSTRJALIZACJI Z. S. R. R.

Pięcioletni plan industrjalizacji Rosji Sowieckiej jest czemś więcej, niż prostem zamierzeniem wykonania pewnego określonego przedsięwzięcia, jest czemś więcej, niż wybuchem megalomanji, czy też wybrykiem sowieckiej fantazji. Powstanie takiego planu jest zupełnie zrozumiałe w świetle doktryny komunistycznej. Cała koncepcja socjalistycznej przebudowy świata powstała przecież w cieniu rozbudowujących się coraz bardziej fabryk, w gwarze warczących maszyn, u progu i na tle epoki, którą wypełniał proces industrjalizacji. Maszyna jest związana zbyt ciasnemi, zbyt nierozerwalnemi węzłami z teorją marxowską, aby tam, gdzie ta teorja dochodzi do głosu, mógł się ten stosunek rozluźnić. Bolszewicy, którzy mienią się wyznawcami Marxa i którzy chcą, jak w bajce czarodziejskiej, przez magiczne zaklęcie, z niczego stworzyć cały świat realnych przedmiotów w postaci fabryk, maszyn, budynków i t. d., zostają w duchu wierni nauce, którą kilka dziesiątków lat wstecz wygłosił ich mistrz duchowy. I dlatego już ten dogmatyczny punkt widzenia tłumaczy ich poczynania.

Przechodząc zresztą do praktycznej rzeczywistości, przy bliższem zastanowieniu się nad historją lat ostatnich, oraz nad dzisiejszą sytuacją, skonstatować trzeba, że ten plan sowiecki tak głęboko wiąże się pozatem z treścią sowieckiego życia gospodarczego, jest tak koniecznym wynikiem wszystkich jego tendencyj i jego gry sił, że mówić o tym planie, krytykować go, jest to uderzyć w najczulszą strunę sowieckiego systemu gospodarczego. Być może, iż tak, jak ten plan jest pojęty, nie odpowiada on możliwościom wykonania, daleko je przekracza, jest nierealny, nawet szalony. W każdym razie jego znaczenie, zależność losów ustroju bolszewickiego od jego realizacji, kazały tak dobremu znawcy dzisiejszej Rosji, jakim jest Paweł Scheffer, wypowiedzieć zdanie, iż wykonanie

„piatiletki", nawet tylko w wymiarze trzech czwartych, byłoby równoznaczne z ostatecznem zwycięstwem rewolucji.

Jeżeli spojrzeć na Rosję dzisiejszą i porównać ją z Rosją przedrewolucyjną, to skutki przewrotu bolszewickiego wydają się być olbrzymie. Kraj ma dzisiaj zupełnie inne oblicze. Całkowite zniesienie większej własności ziemskiej, nacjonalizacja większego przemysłu i handlu, wytępienie dawnych burżuazyjnych klas, zmiana ustroju, urządzeń i t. p., jednem słowem wszystko to, co polega na negacji przeszłości, jest w zupełności dokonane. W imię tych właśnie destrukcyjnych haseł wybuchła rewolucja. Ale nie mogły one nigdy wypełniać całkowicie treści postulatów komunizmu, gdyż te ostatnie zawierają także pierwiastek pozytywny. Wprawdzie realizacja tych postulatów pociąga za sobą konieczność przeprowadzenia zmian, usunięcia dawnych form i urządzeń, ale poprzestanie na tem byłoby tylko rewolucją formalną. Jest to dzieło jednego dnia, paru dni — dzieło faktów dokonanych lub ustaw. To jest właściwa rewolucja. Później przychodzi epoka rządów rewolucyjnych, mających za zadanie rekonstrukcję w nowym duchu tego, co zostało odrzucone lub zniszczone. Pierwsze jest zadaniem łatwiejszem — drugie trudniejszem. A w dodatku niemiłem, gdyż na spełnienie obietnic rewolucyjnych każe się zwykle nazbyt długo czekać.

Jeżeli teraz pod tym kątem widzenia rozpatrzymy zdobycze rewolucji rosyjskiej, to przedstawią się one w odmiennem, daleko smutniejszem świetle. Patrząc na Rosję z perspektywy minionych dwunastu lat i zapytując, co dał społeczeństwu okres rządów komunistycznych (okres konstruktywny, nie akt destrukcji), przekonamy się, że pod tym względem jest to okres nieskończenie ubogi. Przy głębszem wniknięciu w ten przedmiot okaże się dużo więcej. Okaże się cała paradoksalność, cała masa sprzeczności, na jakich oparty jest ustrój sowiecki. Mimowoli nasuwa się czasami refleksja, czy historja nie zadrwiła sobie z komunistów rosyjskich — tak piekącą jest nieraz ironja sowieckiej rzeczywistości.

Niejedni powiedzą, że jest to przejściowe. Zapewne, z początku nie było czasu ani możności na ekonomiczne wysiłki. Trzeba było się utrzymać przy władzy, prowadzić wojnę na parę frontów, zwalczać Kołczaka, Denikina, Polskę. Trzeba było borykać się z chaosem, z dezorganizacją na każdym kroku. Cały olbrzymi ciężar codziennych spraw, gniotący barki rządu sowieckiego, rozpaczliwa

walka o usprawnienie przemysłu, transportów, wszystko to przyczyniało się do tego, iż było rzeczą gospodarczą zupełnie niemożliwą polepszyć dolę ludności w wydatnym stopniu. Są także i inne punkty patrzenia. Można być zdania, że fakt, iż na Kremlu zatknięty został czerwony sztandar z godłem sowieckiem, wynagradza w zupełności wszystkie braki obecnych rządów, że fakt nieistnienia znienawidzonej burżuazji znaczy więcej, niż dzisiejsze „tymczasowe ubóstwo" społeczeństwa rosyjskiego. Człowiek w takim nastroju łatwo znajdzie usprawiedliwienie dla tak typowych objawów nędzy, jak żywnościowy system kartkowy i ogonki ludzi, wyczekujących pod sklepami na zdobycie najpotrzebniejszych artykułów.

Przy tej sposobności dobrze będzie przypomnieć sobie jedno. Przy analizowaniu zjawisk współczesnej Rosji należy zawsze uświadomić sobie, że system rządów bolszewickich jest faktem, czemś danem, i że wobec tego nie można ani na chwilę zapominać, iż obowiązuje w nim punkt widzenia diametralnie różny od naszego, „burżuazyjnego". Najczęściej krytyka pewnego faktu sowieckiego życia gospodarczego byłaby najzupełniej uzasadniona z naszego punktu widzenia, nie jest nią jednak z punktu widzenia komunistycznego, zupełnie przecież odrębnego. Okoliczność ta jest często zapoznawana przez jedną i drugą stronę, i to umniejsza naukową wartość obopólnej literatury. [1]

Miarodajnym dla nas jest punkt widzenia ekonomiczny i pod tym kątem należy rozpatrywać bilans gospodarczy Rosji Sowieckiej za minioną epokę. Trzeba przyznać, że przedstawia się on wysoce ujemnie. Wprawdzie niejeden może uważać za sukces już sam fakt,

---

[1] Wytwarza się sytuacja taka, że obie strony piszą w językach dla siebie niezrozumiałych. Najczęściej, aby pewna krytyka jakiegoś urządzenia, czy jakiegoś faktu jednej z dwóch stron była uzasadniona, powinien być wpierw obalony punkt widzenia strony krytykowanej, a dopiero następnie przeprowadzona szczegółowa krytyka. Warto podkreślić dominującą cechę sowieckich umysłów ekonomicznych — zaciekłe nieprzejednanie, doktrynerstwo, brak zdrowego „common sense". Na czytelnika wywołuje to wrażenie monotonji. Wystarczy wziąć do ręki parę numerów takich czasopism, jak *Ekonomiczeskoje obozrenije* lub *Planowoje chozjajstwo*. Lenin np., niepozbawiony przecież daru pisania, w swem dziele o imperjalizmie (w tłum. niem. *Imperialismus als jüngste Etappe des Kapitalismus*), gdy polemizuje ze znienawidzonymi socjal-demokratami, przedewszystkiem z Kautskym, zdradza ten sam swoisty sposób przekonywania. Zamiast poprzestania na argumentach, wykrzykuje on raz po raz: „i jakiż z niego marksista".

że dzisiaj osiągnęła produkcja naogół poziom cyfrowy z r. 1913, i nawet może go przewyższyła w pewnych dziedzinach, co jest skądinąd o tyle godne zastanowienia, że w r. 1920 wytwórczość przemysłowa wynosiła około 17%, pewne działy nawet 1—2% wytwórczości przedwojennej, a rolnictwo produkowało zaledwie 40% tego, co przed wojną. Ale biorąc rzecz ekonomicznie, stanowczo powiedzieć można, że jest to przegrana. Przecież zasadniczo i dawniej Rosja była krajem bardzo słabo uprzemysłowionym. W międzyczasie, mimo wojen, rewolucji, głodu i t. p., nastąpił znaczny wzrost ludności. Świat się znacznie posunął naprzód. Wszystko to przyczynia się do uplastycznienia tego obrazu wielkiej gospodarczej przegranej kraju, który ma wszelkie dane do najbujniejszego rozwoju gospodarczego na miarę wprost amerykańską: nieprzebrane bogactwo wszystkich bezmała surowców, rezerwuar obfitej i taniej siły roboczej, oraz olbrzymi, o nieobliczalnych możliwościach rynek zbytu.

„Piatiletka" ma więc Rosję wydobyć z mroków zacofania i pchnąć na tory ekonomicznego rozwoju. Czemże ona jest, owa „piatiletka"? Czy jest posunięciem politycznem? Czy też tylko wynikiem psycholgicznego stanu? Zapewne i tem także, ale jedno i drugie nie odgrywa decydującej roli w genezie „piatiletki". Jest ona przedewszystkiem koniecznością gospodarczą, jest skrystalizowaniem się wszystkich potrzeb i tendencyj życia, coprawda w specjalnie bohaterskiej edycji.

Pierwsze bezkrytyczne wrażenie działa oszałamiająco rozmachem i ogromem cyfr. W ciągu pięciu lat zaledwie mają wystrzelić ku niebu kominy potężnych fabryk, kraj ma się pokryć siecią elektrycznych kabli, mają powstać nowe centra przemysłowe, całe dzielnice robotnicze. Niema ani jednej dziedziny wytwórczości, którąby nie była objęta tym planem. Rolnictwo i komunikacja mają również swoją kartę do spełnienia. Mało tego, — w przeciągu tych pięciu lat mają wzrastać realne płace robotników, tak aby osiągnęli niepomiernie większą siłę kupna i zdobyli sytuację radykalnie polepszoną.

Parę ściślejszych danych. Plan „piatiletki", definitywnie uchwalony na XV-tym Zjeździe partyjnym, wszedł w życie z dniem 1 października 1928 r. i powinien być wypełniony w tym samym dniu 1933 r. Te pięć lat mają wystarczyć do zrealizowania cudu. Koszty planu są obliczone na 73 miljardy rubli (zdeprecjonowanych co-

prawda w stosunku do złota). Z tej sumy lwią część, gdyż 48 miljardów, przeznaczono na rozbudowę przemysłu i to przemysłu środków produkcji (74% tej ostatniej sumy), na budowę elektrowni, stalowni, fabryk maszyn, kopalni i t. p. Zaledwie 22% pójdzie na przemysł dóbr konsumcyjnych. To jest program przemysłowy „piatiletki". Pozatem są przewidziane inwestycje w rolnictwie, szczególnie związane z procesem kolektywizacji i socjalizacji rolniczej („sowchozy"), oraz inwestycyj w komunikacji. W parze z cyfrowym wzrostem wytwórczości w tych dziedzinach mają iść naturalnie także: zwiększenie produkcyjności pracy, racjonalizacja, zmniejszenie kosztów wytwarzania, a także późniejsze zmniejszenie cen na towary. Dalej niesłychanie ważne postanowienie: jednocześnie będą wzrastać realne płace, przedewszystkiem robotników, a także i innych pracowników. Ma dojść do tego, że dochody robotników rosyjskich będą o 90% wyższe od dochodów robotników w New-Yorku. Narazie pozostawiamy to wszystko bez komentarzy. Wróćmy tymczasem jeszcze do bliższego rozpatrzenia genezy planu „piatiletki", do przyjrzenia się przyczynom jego powstania, oraz podłoża, na którem taki plan wyrósł.

Wnikając głębiej w to zagadnienie, dostrzegamy, że przyczyn jest cały szereg — i to różnej natury: psychologicznej, politycznej, gospodarczej. Podział ten jest bardzo dowolny i przyczyny nie są równorzędne, ale wszystkie złożyły się na wytworzenie tego stanu psychologicznego, w którym mogła się zrodzić idea „piatiletki".

Teodor Wolff, mówiąc kiedyś o stosunku bolszewików do Niemców, usprawiedliwiając powody ich wzajemnej chęci do porozumienia (Rapallo), porównał oba kraje do dwóch ludzi, którzy znajdują się sami jedni w głuchej ulicy, mają przed sobą pozamykane wszystkie drzwi, i błądząc, mimowoli starają się zbliżyć do siebie. Odrzucając obojętną w tym wypadku stronę polityczną tego obrazu (kwestja sojuszu z Niemcami), trzeba przyznać, że trudno znaleźć lepsze porównanie, któreby tak malowało nastrój psychiczny Rosji Sowieckiej — tego człowieka wędrującego wśród zamkniętych dla niego domów. [1]

[1] Późniejsze wypadki (uznanie Sowietów przez szereg państw) tego stanu rzeczy nie zmieniły. Odosobnione są one zawsze, zresztą leży to w samej naturze istoty bolszewizmu, a więc wina tego leży po ich stronie.

W zamknięciu, w odosobnieniu, opanowuje często ludzi specjalna psychoza, przybierająca formę manji prześladowczej albo megalomanji. Gdy się to wielu osobnikom udziela, powstaje wówczas jakby atmosfera domu obłąkanych. I wtedy psychoza taka staje się podatnym gruntem do powstawania różnych przedziwnych pomysłów.

„Piatiletka" powstała w takiej właśnie atmosferze, a na tę ostatnią złożyło się istnienie i ścieranie się szeregu uczuć czasem bardzo silnych. Jest tam przedewszystkiem ukryta złość, uraza do kapitalistycznego Zachodu za własną niemoc. Jest dziecinna chęć zrobienia mu naprzekór, dogonienia go za wszelką cenę, jest zarozumiałość, pycha, ale także i ciągła obawa o swe bezpieczeństwo. Przebija się to w niedawnej mowie Stalina, który, patrząc z sali opery moskiewskiej na daleką Amerykę z zawiścią, a zarazem z prostackim trochę podziwem, deklamował o tem, jak Rosja, dzięki cudowi „piatiletki", stanie wkrótce w rzędzie krajów najbardziej technicznie zaawansowanych, i jak tem samem nie będzie narażona na szyderstwa państw burżuazyjnych. Z innej strony bolszewicy nie przestają powtarzać o grożącym ataku na sowiecką Rosję ze strony państw kapitalistycznych. Częściowo jest to celowo robione dla propagandy, ale częściowo wynika ta bezustanna obawa również z tej samej psychozy. Pociąga to za sobą konieczność gospodarczego wyemancypowania się od burżuazji, i do tego ma się właśnie przyczynić „piatiletka".

Należy podkreślić jedną jeszcze bardzo znamienną właściwość, wypływającą z doktrynerskiego nastawienia umysłów komunistycznych. Jest nią dziecinna radość, jaką znajdują w operowaniu cyframi, lubowanie się w statystyce, związane z przypisywaniem jej nazbyt wielkiej wagi. Nie byłoby nawet zbyt wielką przesadą twierdzić, że jednem z zadań „piatiletki" będzie również wybawienie Rosji z pasji cyfr, która ją opanowała. Zwiększenie produkcji przemysłowej jest propagowane z powodu szeregu realnych konieczności, ale także dlatego, żeby można było później powiedzieć: wyprodukowaliśmy w tym roku tyle a tyle tonn węgla, stali i t. p. więcej, niż lat poprzednich. Indeks produkcji będzie szedł w górę i to będzie już sprawiało przyjemność. [1]

[1] Nic zresztą dziwnego. Sama istota polityki gospodarczej Rosji — fakt regulowania przez państwo całego życia gospodarczego (t. zw. roczne cyfry kontrolne; wszystkie dziedziny gospodarki, produkcji i t. d. z góry unormo-

Jeszcze jeden ważny moment: Uprzemysłowienie kraju wzmacnia element miejski, robotniczy, t. zn. tę warstwę, z której się głównie rekrutują kadry partji komunistycznej, a tem samem na której się opiera cały ustrój Rosji. Jednocześnie z wykonywaniem planu ma wzrastać „sektor kolektywistyczny". Przedewszystkiem więc program agrarny przewiduje rozbudowę „kołchozów" i „sowchozów", przemysł ma być w większej części, hurtowny handel całkowicie upaństwowiony. Dziś podlega socjalizacji 52% gospodarstwa, w 1933 r. ma jej podlegać 68%. Widać więc, że i z punktu widzenia wewnętrznej polityki, sowiecka polityka industrjalizacyjna jest również celowa. Celowa także z punktu widzenia zagadnienia ludnościowego. A jest to problem ciężko ważący na przyszłości Sowietów. Co zrobić z wzrastającą ludnością Rosji, oraz z wzrastającą armją bezrobotnych. Liczba tych ostatnich rośnie w sposób zatrważający, już nietylko w związku z ogólnym przyrostem ludności rosyjskiej (największy przyrost w Europie), ale wskutek zjawiska bardzo charakterystycznego — proletaryzacji wsi. Mimo likwidacji prywatnej większej własności ziemskiej oraz kościelnej, wieś nie pozbyła się swego proletarjatu, przeciwnie wzrasta on stale, tak że wieś wysyła corocznie do miast olbrzymie zastępy bezrobotnych. Dzisiaj liczba ich wynosi mniejwięcej dwa miljony, w r. 1931 ma ponoć dosięgnąć trzech miljonów. Jest to okoliczność, nad którą nie sposób przejść do porządku dziennego. Jest to problem zarówno polityczny, jak i gospodarczy; zresztą wszystkie problemy gospodarcze mają swój oddźwięk polityczny. Np. sprawa niesłychanego głodu towarowego, na który cierpi ludność rosyjska. Towar jest zły jakościowo (fabryki państwowe, brak konkurencji), bardzo drogi (jest ukrytym podatkiem), pozatem daje się dotkliwie odczuwać jego brak.[2]

---

wane cyframi!) mimowoli pcha ją do tej aberacji. Czasami przybiera to formę zaślepienia. Np. postanowiono zwiększyć wydajność pracy albo produkcję jakiegoś surowca o parę procent. Po roku okazuje się, że wynik jest lepszy niż był oczekiwany, gdyż wynosi parę procent i pół. Robi się wówczas hałas, triumfuje się, pisze się długie artykuły. Znając zasadniczą nieścisłość wszystkich szacowań statystycznych, musi się to wydawać śmiesznem. Staje się groźnem, jeżeli przekracza pewne granice. Może będzie paradoksem, jeżeli się powie, że to doprowadzi Sowiety do zguby, ale jeżeli bezkrytyczne umysły dają się urzec iluzjom cyfr, wówczas łatwo tracą pod nogami grunt rzeczywistości, a to bywa fatalne.

[2] Wprawdzie ogólny indeks produkcji przemysłowej jest nieco wyższy od przedwojennego, ale zato wzrosła ludność, odpadły centra przemysłowe

Oczywiście, stan taki nie przyczynia się do zjednywania mas dla idei komunistycznej. Czy „piatiletka“ zaradzi coś na to? Na dalszą metę tak, ale tymczasem sytuacja niewiele będzie się mogła polepszyć, gdyż wszystkie wysiłki są skierowane w kierunku wzmożenia wytwórczości środków produkcji, a nie towarów konsumcyjnych. W ten sposób cierpliwość ludności będzie nadal wystawiona na ciężką próbę.

Wkońcu nie wolnó ominąć jeszcze jednego ważnego momentu. Jest to znów dziedzina psychologji i polityki: chodzi o propagandowe, agitacyjne znaczenie „piatiletki“. Że „piatiletka“ jest propagandą zewnętrzno- i wewnętrzno-polityczną, o tem chyba niema dwóch zdań. Ta ostatnia jest szczególnie ważna. W Sowietach wszystko musi być przeprowadzane na sposób wojowniczy, jak gdyby pod ciągłem ciśnieniem atmosfer bezustannej krzykliwej propagandy. „Piatiletka“ pojęta jest na kształt olbrzymiej wojny, zażartej walki na wielu frontach. Takie wrażenie odnosi się, czytając gazety sowieckie. Tworzy się specjalne brygady robotnicze, walczy się o usprawnienie pracy, o wprowadzenie dyscypliny, o potanienie kosztów produkcji, o jej zwiększenie i t. p. Wysoka temperatura takiej atmosfery jest widocznie potrzebna do tego, aby sowieckie życie gospodarcze mogło się utrzymywać i rozwijać. Może dlatego, że to życie jest takie sztuczne, cieplarniane?

Suche, cyfrowe przedstawienie „piatiletki“ jest łatwe. Przy pewnej imaginacji nie trudno sobie nawet i obrazowo przedstawić widok takich uprzemysłowionych okręgów: fabryki, koleje, szosy, piękne kolonje robotnicze, ogólny dobrobyt. Bolszewicy nie zaniedbują żadnej sposobności propagandy, nawet w szkołach pokazują dzieciom widoki przyszłej zindustrjalizowanej Rosji. Pozostawiając narazie na boku kwestję gospodarczej propagandy i to kwestję bynajmniej nie małoznaczącą, należy sobie uprzytomnić, jaka jest ekonomiczna część planu.

Jeżeli weźmiemy pod obserwację życie pewnego organizmu gospodarczego, to konstatujemy, że w ciągu pewnego okresu czasu, np. jednego roku, rezultat gospodarczej działalności ludzkiej jest tak duży, iż z jednej strony zaspokojone jest całe konsumcyjne zapotrzebowanie ludzi, z drugiej zaś strony to, co rozumiemy pod na-

---

dawnych zachodnich prowincyj (Łódź), a co ważniejsze, zmniejszył się handel zagraniczny (import rosyjski obejmuje przeważnie tylko środki produkcji).

zwą kapitału, pozostaje nietylko utrzymane w dotychczasowych rozmiarach, ale nawet ulega stałemu powiększeniu. Jest to t. zw. „proces kapitalizacji“ w szerokiem znaczeniu. Nie potrzeba chyba dodawać, że istnienie tego zjawiska jest koniecznością. Gdyby go nie było, życie gospodarcze utknęłoby na martwym punkcie. Zresztą sam fakt wzrostu ludności danego organizmu gospodarczego, o ile taki fakt zachodzi, narzuca zgóry konieczność zaistnienia tego zjawiska. W formie najtypowszej występuje ten proces w zbudowanych domach, inwestycjach fabrycznych, odpisach towarzystw akcyjnych.

W każdym organiźmie gospodarczym, a więc także między innemi i w sowieckim (pomijając może niektóre katastrofalne wojenne albo inflacyjne lata), ma miejsce proces kapitalizacji, t. zn. wytwarza się kapitał i to w pewnym, mniejwięcej stałym stosunku. Otóż plan „piatiletki“ jest niczem innem, jak tylko postanowieniem stworzenia w ciągu pięciu lat pewnej dodatkowej kwoty kapitału. Można to jeszcze tak określić: gospodarczy organizm sowiecki mógłby dojść przy dzisiejszem natężeniu życia gospodarczego i przy tych samych metodach gospodarowania po długich latach również do stanu przewidzianego w planie, tymczasem jednak bolszewicy chcą dojść do tego samego wyniku w czasie niesłychanie krótkim, bo zaledwie w ciągu lat pięciu. Oczywiście, takie sztuczne, wymuszone utworzenie kapitału w drodze niezwykłej, ma dla swej skuteczności ułożone zgóry pewne szranki, uwarunkowane granicami możliwości gospodarczych.

Czy wykonanie „piatiletki“ uda się? To jest zasadnicze pytanie, które się przedewszystkiem narzuca. Ci wszyscy niekomuniści, dla których nie jest ona dogmatem, wątpią o tem; dla wielu jedyną odpowiedzią na nią, jak wogóle na wszystko, co jest produktem sowieckiej woli lub wyobraźni, jest lekceważące wzruszenie ramionami. O wiele trudniejszą jest zato odpowiedź, gdzie szukać należy przyczyn przewidywanego niepowodzenia. Czy sam plan zawiera jakieś słabe punkty, dzięki którym cała impreza jest skazana na załamanie się, t. zn. czy już w założeniu swem posiada błędy? Czy też inne, postronne okoliczności, wynikające bądź z faktu przeprowadzenia planu (np. niezadowolenie ludności wiejskiej, idący za tem głód i t. p.), bądź też będące bez związku z nim (rozruchy na tle religijnem) zadecydują o nieudaniu się „piatiletki“? Stawianie horoskopów na temat, jak się te „okoliczności“ ułożą, — byłoby bawieniem się w przepowiednie. Ważniejszem jest zbadanie

planu w jego założeniach. Jest jeszcze inna kwestja: mianowicie, czy granice, w których plan będzie ewentualnie wykonany, ale granice niższe od preliminowanych, będą jednak takie, żeby można było powiedzieć o planie, że mimo wszystko jest udany. Zagadnienie wykonania planu jest zagadnieniem granic tego wykonania. Mogą one być nieco niższe od postanowionych, ale dozwolonej dywergencji w granicach muszą być nałożone pewne granice. Trudno jest bowiem pod tym względem porównywać sowieckich ojców planu do przekupnia, chcącego jak najdrożej sprzedać jakiś towar, ale przewidującego zgóry długie targi, konieczności ustępstwa, i dlatego odrazu żądającego wyższej ceny. Tem bardziej, że bolszewicy chełpią się, iż plan zostanie całkowicie wykonany przed upływem przepisanych lat pięciu.

Jakaż jest więc najwłaściwsza droga, którą powinna pójść analiza planu i jego wykonalności? Zgodnie z powyższemi wywodami nasuwają się dwie możliwości. Pierwsza z nich jest następująca. Wiadomo, że bolszewicy o własnych siłach chcą wybudować w krótkim stosunkowo przeciągu czasu szereg realnych objektów, wyprodukować szereg narzędzi pracy, stworzyć szereg konkretnych faktów, jak podniesienie płac i t. p. Dokonanie tego dzieła stawia ze swojej strony szereg wymagań różnej natury. Będzie to więc odpowiednie wzmożenie transportu, zwiększenie intensywności pracy robotników, opłacenie ich, wypuszczenie odpowiedniej ilości fachowców, a przedewszystkiem zdobycie potrzebnych środków pieniężnych. Otóż zdaje się, że początkowo celowem będzie nie uwzględniać przytoczonych powyżej wszystkich wymagań, natomiast przypuścić, iż się całkowicie i najpomyślniej spełnią, unikając zaś wszelkich danych cyfrowych, stwierdzić, jak daleko sięgają abstrakcyjne granice wykonalności planu i jakie są przesłanki osiągnięcia tych granic.

Drugiem zadaniem będzie krótka i pobieżna (bardzo pobieżna) wędrówka po rosyjskich przedsiębiorstwach, rozpatrzenie się w ich stanie, wogóle w sytuacji przemysłu. Dopełni to jeszcze wgląd w stan finansów Rosji. Pozwoli to nam na zorjentowanie się, jakie są widoki na spełnienie się tych wszystkich wymagań, o których przed chwilą mówiliśmy. Zdaje się, że wówczas, po zestawieniu wyników tego rozumowania (zadanie pierwsze) z odzwierciedleniem stanu faktycznego (zadanie drugie), mimowoli nasuną się wnioski, które coś niecoś oświetlą realność planu sowieckiego.

*

Określiliśmy, na czem polega istota industrjalizacji Rosji. Jest to wyprodukowanie w przeciągu pewnego czasu dodatkowej masy kapitału, inaczej wzmożenie na ten okres czasu kapitalizacji ponad dotychczasową normę. Jest rzeczą pewną, że przy pewnych danych naturalnych warunkach dobra gospodarcze są wytworem ludzkiej pracy (Sombart). Kapitał bowiem, jako jeden z elementów produkcji, potrzebny także do wypełnienia tego zadania, jest produktem pracy. Niektórzy przecież nawet go definjowali dawniej jako „wyprodukowane środki produkcji" („produzierte Produktionsmittel"). Żeby więc sprostać postawionemu sobie zadaniu, należy wyprodukować środki produkcji i następnie włożyć pracę w wykorzystanie tych środków w celu spełnienia zadania. Ponieważ te środki produkcji, narzędzia, rzeczywiście już istnieją, zadanie sprowadza się do zużytkowania ich, aby po zdobyciu odpowiednich surowców i włożeniu potrzebnej pracy, wyprodukować żądane dobra. Oczywiście, że ilość tych dóbr, możliwa do wyprodukowania, jest określona także rozmiarami produkcji, t. zn. jeżeli np. fabryki nasze są zdolne do wyprodukowania rocznie maksymalnie 1000 lokomotyw, to w razie zamiaru zdwojenia tej liczby, trzebaby czynić inwestycje, rozszerzać, budować nowe fabryki. W wypadku „piatiletki" jasnem jest, że to, co ma być wybudowane, wyprodukowane, daleko przekracza techniczną możność krajowych fabryk — pomijając fakt, że w wielu wypadkach fabryki, przy najlepszych chęciach, nie potrafią wytworzyć pewnych, bardziej skomplikowanych maszyn, i wobec tego okaże się koniecznością sprowadzenie ich z zagranicy. Tę ostatnią okoliczność, zresztą niezmiernie wiele ważącą, można chwilowo zostawić na uboczu. Tymczasem zadawalniamy się skonstatowaniem tego, że aparat produkcyjny musi być powiększony, aby podołać zadaniom, wypływającym z planu „piatiletki". Zgodnie z powyższem, wykonanie planu o własnych siłach, t. zn. polegające na wyłącznem spotęgowaniu ogólnego nakładu pracy społeczeństwa, byłoby rzeczą możliwą, ale pod trzema warunkami. Po pierwsze muszą egzystować owe „dane naturalne warunki", a więc odpowiednie surowce, skarby naturalne, po drugie musi istnieć możliwość zwiększenia sumy godzin pracy, t. zn. musi istnieć odpowiedni rezerwuar sił roboczych, po trzecie plan, aby był wykonany, wymaga pewnego okresu czasu. Że w tym wypadku okres ten byłby niezmiernie długi, jest rzeczą oczywistą. Wystarczy sobie uprzytomnić np. taki przykład. Żeby wyprodukować pewne maszyny, dotąd w kraju niewyrabiane, trzebaby wybu-

dować w kraju specjalną fabrykę, specjalne maszyny, zaangażować specjalnych fachowców. Pomijając kwestję drożyzny takich maszyn, jest jasnem, że byłoby to nonsensem, gdyż wymagałoby dużo czasu, coby nie dało się pogodzić z oznaczonym zgóry okresem trwania realizacji planu. Nie zostaje więc nic innego, jak te maszyny importować. Na to albo trzeba być w posiadaniu dewiz, albo uzyskać kredyt. To jest jedna z kardynalnych reguł, z którą trzeba będzie się liczyć, wykonywując plan. Jest nią konieczność zwiększenia importu.

Dla większego uproszczenia problemu postąpimy teraz tak. Wyobrażamy sobie jakiś kraj, posiadający wszystkie możliwe potrzebne surowce, liczną ludność, dysponującą wolnym czasem do pracy, oraz zgadzającą się chętnie i bezpłatnie wziąć się do tej pracy, aby w przepisanym niedługim terminie dokonać dzieła w rodzaju realizacji „piatiletki". Przypuśćmy, że całą ludność tego kraju opanowuje entuzjazm dla tego dzieła, które ma być jednak dokonane o własnych siłach, t. j. bez obcej pomocy kredytowej. Na czem będzie polegała praca potrzebna do jego wykonania? Będzie ona musiała iść w dwu kierunkach. Po pierwsze w kierunku wzmożenia produkcji dóbr eksportowych i ich wywiezienia, co jest potrzebne do umożliwienia importowania odpowiedniej ilości towarów. Import ten będzie musiał obejmować wszystkie te towary (środki produkcji), które nie są i nie mogą być wytwarzane w kraju. Drugim kierunkiem będzie korzystanie z maksymalnej zdolności produkcyjnej wszystkich wytwórni krajowych i wyprodukowanie znów tej potrzebnej ilości dóbr, którą musi pochłonąć proces realizacji imprezy. Plan będzie uskuteczniony, oczywista pod warunkiem, że wytworzenie dóbr, potrzebnych do realizacji planu (przeznaczonych na eksport i na pozostanie w kraju), nie będzie wymagać więcej godzin pracy, niż jest w stanie ich dostarczyć ludność danego kraju w określonym zgóry terminie realizowania planu.

Plan będzie wykonany. Tak, ale poza tą formułą kryje się cała masa trudności, znaków zapytania, które po kolei trzeba przedstawić. Cóż oznacza wzmożenie produkcji przemysłowej i co za sobą pociąga? Zwiększenie wydobycia w kopalniach, zwiększenie naładunków kolejowych, konieczność powiększenia taboru kolejowego. Dalej, co oznacza zmobilizowanie olbrzymiej armji robotników? Przewiezienie ich do centrów realizacji planu, wynalezienie pomieszczenia dla nich, co znów wymaga wybudowania odpowie-

dniej ilości mieszkań. Skąd wezmą się w dostatecznej liczbie fachowcy? Czy spotęgowanie eksportu odbywać się będzie bez wszelkich trudności? Czy zagranica chętnie przyjmie towary? Czy „piatiletka“ zadość czyni wymogom tej formuły i czy liczy się z temi dodatkowemi trudnościami, wyżej wymienionemi? Odpowiedź na takie pytanie musiałaby być uzasadniona cyfrowo, oparta na technicznem przestudjowaniu tego zagadnienia, ufundowana na szeregu przypuszczeń.

Dotychczasowe rozważania zresztą były zbudowane na warunku dobrowolnej i darmowej pracy ludności. Tem samem kwalifikują się do dziedziny utopji. Ale czyż byłby rzeczywiście w stanie rząd sowiecki, bez pomocy kredytów zagranicznych i bez uciekania się do inflacji, sfinansować wykonanie planu? A więc w normalnej drodze podatkowej? Ponieważ siła podatkowa ludności zależy od ogólnego dochodu społecznego, ten ostatni zaś od majątku narodowego (faktycznego, a nie tego planowanego, będącego dopiero muzyką przyszłości), celem „piatiletki“ zaś jest powiększenie tego majątku w tempie i w rozmiarach nieproporcjonalnych do rozmiarów, jakichby dopuszczała roczna kapitalizacja, — wynika z tego, że samemi podatkami nie da się uskutecznić tego powiększenia. Finansowanie zaś z pomocą drukowania pieniędzy byłoby normalną, stuprocentową inflacją, w działaniu swem i w skutkach niezawodną.

Zdawało się początkowo bolszewikom, iż zaprowadzając nowy system gospodarki, uwolnią go od żelaznego władztwa praw ekonomicznych. Takiem wyzwoleniem byłaby realizacja „piatiletki“. Ale tymczasem twierdzić można napewno, iż te prawa i nadal zachowają swą moc. „Piatiletka“ mogłaby się jedynie w pewnej mierze wówczas udać, gdyby spełniło się początkowe założenie tych rozważań, t. zn. gdyby ludność dała się nakłonić do bezpłatnej ofiarnej pracy, gdyby dała się porwać uczuciom powszechnego entuzjazmu. Ale nie jest ludzkiem takie poświęcenie. Raczej potrafią ludzie nakłonić się do wojowania, zabijania się, niż z narzędziem w ręku pocić się nad stawianiem zrębów wielkich budowli.

*

W powyższych rozważaniach staraliśmy się, w oderwaniu od faktycznej sytuacji a w drodze rozumowania ekonomicznego, określić istotę sowieckiego planu, ustalić granice możliwości jego realizacji. Dla uproszczenia sobie zadania nie uwzględniliśmy szeregu

ubocznych okoliczności lub przypuściliśmy, że się one najpomyślniej ułożą. Staraliśmy się stwierdzić, że pod warunkiem spełnienia się pewnych przesłanek planu — w pewnych granicach plan ten mógłby być urzeczywistniony.

Chodzi teraz o to, aby zbadać, już w ramach konkretnego układu stosunków gospodarki sowieckiej, jakie widoki spełnienia się mają owe przesłanki, jaką wagę posiadają owe „okoliczności", których optymalny układ przyjęliśmy hipotetycznie.

Znaną jest zwodniczość i tendencyjność większości statystyk sowieckich i dlatego jest czasem rzeczą bardzo trudną dokładne zorjentowanie się w jakiemś zagadnieniu. Wogóle wielka ostrożność, z jaką należy traktować wszystkie publikacje i cyfry sowieckie, konieczność wzajemnego porównywania cyfr statystycznych, zgóry nakładają obowiązek włożenia olbrzymiej pracy, w razie zamiaru wiernego odmalowania gospodarczego obrazu współczesnej Rosji. Dzieła tego dokonał A. Jugow.[1] Socjalista, ustosunkowany zresztą względem ekonomicznej polityki Sowietów bardzo krytycznie, w swej niezmiernie ciekawej książce, pokolei przedstawia najważniejsze zagadnienia gospodarcze Z. S. R. R. Stają nam przed oczyma żywo i wyraziście olbrzymie sprzeczności całego systemu, piętrzą się niezmierzone trudności, z jakiemi na każdym kroku musi walczyć wytwórczość przemysłowa i muszą borykać się władze kierujące, a raczej chcące kierować gospodarką całego potwornego organizmu sowieckiego. Widzi się całą bezsensowność biurokratyzmu, bezustanne przerzucanie się z jednego pomysłu na drugi, bezpłodne akademickie spieranie się o słuszność lub niesłuszność jakiegoś poglądu, powstawanie całych stosów cyrkularzy, rozporządzeń i t. p.

Jest się świadkiem walki papieru z życiem. Rozumie się wówczas dobrze, że stwierdzenie możliwości wykonania planu „w teorji" chociażby sto razy, nie dowodzi zupełnie, że się to stanie w rzeczywistości. Suma tych powszednich, względnie drobnych niedociągnięć systemu, jego grzechów, w masie swej jest tak wielka i potężna, że utonąć w niej mogą najśmielsze genjalne rzuty myśli ludzkiej. Ciemne plamy na sowieckiej strukturze gospodarczej są więc liczne i wielkie. W tej chwili obchodzą one nas o tyle, o ile w szczególnym stopniu stanowią zapory w procesie produkcyjnym.

---

[1] A. Jugow, *Narodnoje choziajstwo Sowieckiej Rosji i jego problemy.* Berlin 1928.

Najcelowiej będzie podzielić je na dwie duże grupy. Pierwsza z nich zawiera wszystkie te trudności, z któremi przemysłowa wytwórczość sowiecka zasadniczo i stale walczy, a to: *a)* trudności, wynikające z faktu kierownictwa państwowego (biurokratyzm, struktura »trustowa); *b)* leżące w samej istocie produkcji (zużycie kapitału stałego), *c)* brak odpowiednich ludzi, zarówno kierowników jak i robotników. Druga grupa zawiera te trudności, które specjalnie dokuczałyby zwiększeniu produkcji (przedewszystkiem więc zagadnienie finansowania, skąd wziąć środki pieniężne). Naturalnie, że trudności z *a), b)* i *c)* tak samo zachowują tutaj swą wagę, i to nawet w silniejszym stopniu (szczególnie trudności ostatniej kategorji, tyczące się momentu ludzkiego).

Zacznijmy więc od pierwszej grupy. Jak wiadomo, przygniatająca większość przedsiębiorstw przemysłowych jest upaństwowiona (cały wielki i ciężki przemysł). Przemysł prywatny (drobne warsztaty) coraz bardziej zanika i odgrywa małą rolę. To samo tyczy się koncesyj zagranicznych. Poza tem cały rozwój życia gospodarczego jest w teorji regulowany przez władze sowieckie, czego dowodem jest właśnie między innemi „piatiletka". Ale przed jej powstaniem również były opracowywane na każdy rok przez „Gospłan" t. zw. kontrolne cyfry, które obecnie zgadzają się z postanowieniami „piatiletki". Swoją drogą ta planowość jest dosyć problematyczna, napewno daleka od koncepcji takiego Rathenau'a, a wspomniany wyżej Jugow istnienia jej kategorycznie zaprzecza. Dość, że Rosja jest najbardziej etatystycznym krajem na świecie. Otóż jeżeli istnieją jakieś zarzuty przeciwko etatyzmowi, jeżeli istnieje uzasadniona krytyka gospodarki publicznej, uznająca jej niższość od gospodarki prywatnej, to wszystko to może tu znaleźć zastosowanie chyba w najwyższym stopniu. Wszystko to, czem może biurokratyzm hamować rozwój gospodarczy państwa, demoralizacja urzędników, do której ostatecznie prowadzi przerost roli państwa, ciągłe ścieranie się nierealnych, czasem fantastycznych, papierowych planów z rzeczywistością, — wszystko to kwitnie w Rosji w całej pełni. Nie pomoże tu i fakt istnienia wśród tych ludzi jednostek bądź co bądź niezmiernie zdolnych i energicznych. „Biurokratyzm, formalizm, brak uczucia odpowiedzialności, programy wytwórczości narzucane zgóry i nie odpowiadające możliwościom technicznym danego przedsiębiorstwa. Produkcyjne, techniczne i finansowe plany, przechodzące przez dziesiątki kancelaryj

i zatwierdzane wreszcie z końcem operacyjnego perjodu. Rewizje, następujące jedna po drugiej i trwające 3—5 miesięcy, zupełny brak kontroli i niewiarogodne w swych rozmiarach sprzeniewierzenia i kradzieże, olbrzymie kadry urzędników i buchalterów, tysiące pudów rachunków, instrukcyj i cyrkularzy. Brak w zarządzie trustu elementarnych znajomości pracy w przedsiębiorstwach, a w W. S. N. Ch.[1] o pracy trustu. Komisje, posiedzenia, miljony otrzymanych i wysyłanych papierów. Zwyczajne rozchody wielokrotnie przewyższające przedwojenne rozmiary. Perjodycznie powtarzające się redukcje etatu pracowników i natychmiastowy ponowny powrót do dawnych rozmiarów tego etatu".

Tak charakteryzuje Jugow stosunki i twierdzi, że szczególnie jaskrawo występują te błędy przy budowie nowych fabryk, elektrowni i t. p., a więc właśnie przy realizowaniu programu „piatiletki".[2]

Inna jeszcze choroba. Struktura sowieckiego przemysłu jest także źródłem szeregu niedomagań. Upaństwowiając przemysł, bolszewicy, w sposób mechaniczny i sztuczny, stworzyli szereg wielkich trustów, wtłaczając w nie, stosownie do branż, wszystkie poszczególne fabryki. Takie gwałtowne przesunięcie (w przeciwstawieniu do zjawisk koncentracji na Zachodzie, odbywającej się powoli i występującej tylko wówczas, gdy sytuacja naprawdę do tego dojrzała) nie zawierało żadnych dobrych stron koncentracji (racjo-

[1] Najwyższa instancja gospodarcza w Z. S. R. R.

[2] Charakterystyczny przykład. W roku 1927/28 postanowiono wybudować olbrzymią elektrownię na Dnieprze — „Dnieprostroj", wykorzystując istnienie znanych porohów. Budowę powierzono sowieckim przedsiębiorstwom przy pomocy jednak firm niemieckich i amerykańskich. Poczyniono w kraju i zagranicą wielkie zamówienia. Zalano duży szmat ziemi, skąd trzeba było wysiedlić ludność. Zbudowano mieszkania dla robotników. W pierwszym roku wydano na budowę 48 miljonów rubli. Naglè okazało się, że w planie budowy nie przewidziano dokładnie celów, dla których będzie użyty prąd elektryczny. Myślano o budowie fabryki aluminjum, ale surowiec do tego potrzebny (boksyt) znajduje się w północnej Rosji, gdzie także buduje się podobna elektrownia. Błotnisty grunt również niesłychanie utrudniłby budowę fabryk metalurgicznych i stalowni. Przeniesienie prądu do zagłębia donieckiego okazało się także niepotrzebnem i nierentownem, gdyż budowano tam także elektrownię. Ale było już zapóźno, żeby się cofnąć. Ostatecznie budowę doprowadza się do końca — kosztuje ona jednak (zamiast preliminowanych 120 milj. rubli) 240 milj. rubli, a cena prądu wypadła blisko czterokrotnie drożej.

nalizacja; unieruchomienie przestarzałych, drogo pracujących fabryk; zastosowanie najnowszych zdobyczy techniki i t. p.), zawierało natomiast wszystkie ujemne strony, które w normalnych wypadkach koncentracji nie zawsze, ale najczęściej występują (podrożenie produkowanych towarów w związku z zajęciem monopolistycznego stanowiska). Pozatem z powodu państwowego monopolu handlu zagranicznego i dzięki wyjątkowo wysokiej ochronie celnej, niema kraju, w którym produkcja krajowa byłaby tak zabezpieczona od wszelkiej konkurencji. To prowadzi do zaniedbań, jak tego dowodzi niebywale zły gatunek towarów sowieckich. Przyznają to sami bolszewicy. W ich prasie pełno jest na to użaleń.[1]

Są to wszystko momenty dotyczące bądź kierownictwa, bądź organizacji, a więc momenty, leżące poniekąd na zewnątrz budynku fabrycznego. Ale wystarczy zajrzeć do wnętrza, przyjrzeć się dokładnie maszynom, inaczej mówiąc, zahaczyć o zagadnienie produkcji ze strony kapitału. I cóż się okaże? Niebywałe zużycie, zniszczenie maszyn i narzędzi, czyli t. zw. stałego kapitału. Przedsiębiorstwa sowieckie, pominąwszy już przestarzałość maszyn, przedstawiają (oczywiście poza nielicznemi wyjątkami) rozpaczliwy obraz. Bywają wypadki, że od r. 1913 nie remontowano maszyn.

Do r. 1923 bolszewicy nie czynili żadnych odpisów amortyzacyjnych; zdawało im się początkowo, że wraz ze zburzeniem prywatnej gospodarki kapitalistycznej będzie wogóle możliwą zupełna negacja potrzeby amortyzacji. Skądinąd przecież wiadomo, że od zainicjowania polityki „Nepu", t. j. od r. 1921, wytwórczość przemysłu rosyjskiego podniosła się ilościowo dość znacznie. W jakiż sposób zdołano ten cel osiągnąć? Tajemnicą powodzenia całej akcji jest intensyfikacja pracy. Kierownicy sowieckich przedsiębiortw doskonale zrozumieli, że wobec zniszczenia stałego kapitału przemysłu, wobec niemożności poczynienia w tym kierunku wielkich inwestycyj, będzie można zwiększyć produkcję tylko na drodze

[1] Np. w listopadowym Nrze czasopisma *Ekonomiczeskoje Obozrenje* z r. 1929, I. Z. Kaganow przytacza następujący dobitny przykład: W r. 1913 na terytorjum dzisiejszego Z. S. R. R. wyprodukowano 28 milj. par kaloszy, w r. 1928/29 zaś 41,5 milj. par. Postęp zdawałby się być widoczny, jednak po uwzględnieniu okoliczności, że kalosze przedwojenne nosiło się 8—9 miesięcy, obecnie zaś tylko 4—5 mies., wypada, że owe wyprodukowane 41,5 miljonów par kaloszy odpowiada tylko 20,75 milj. parom przedwojennym, co wynosi mniej niż produkcja w 1913 r.

powiększenia wydajności pracy. Gdy na tych samych przestarzałych i zużytych maszynach, mając w ręku zepsute narzędzia, robotnicy rosyjscy będą pracowali sprawniej i dłużej, w sumie da to większy cyfrowo wynik. Zaczęto wówczas trąbić na alarm i rzucono hasło racjonalizacji. Pojęcie racjonalizacji jest pojęciem dosyć szerokiem, w każdym razie nie ogranicza się tylko do pojęcia zwiększenia efektów fizycznej pracy robotników. W tym wypadku istotą sowieckiej racjonalizacji jest tylko intensywniejsza praca. W r. 1927/28 zaczęto wszędzie wprowadzać pracę na trzy zmiany i osiągnięto tem niezłe rezultaty. Obecnie stosuje się „nieprerywnoje proizwodstwo" — ciągłość produkcji, (t. zn. skasowanie dni odpoczynkowych). To, co istniało dotychczas, w pewnych tylko wypadkach (np. w piecach hutniczych), ma znaleźć zastosowanie we wszystkich rodzajach fabryk. Ekonomiści sowieccy triumfują.[1] Wszystko to, z pewnego punktu widzenia, jest słuszne, ale obliczone na krótką metę. Jeżeli bowiem nie nadąża za tem rozbudowa kapitału przedsiębiorstwa, maszyny jeszcze bardziej się zużywają i zbliża się niechybnie chwila, kiedy będą musiały odmówić posłuszeństwa. Pociąga to jeszcze jedno za sobą: wzrost wagi płac robotniczych w procesie produkcyjnym. Wówczas nieznaczna zwyżka tych płac niezmiernie podraża koszty własne produktów przemysłowych, i tak już niezmiernie wysokich. Czyni to iluzorycznemi zapowiedzi sowieckie o mającem nastąpić decydującem polepszeniu doli ludności roboczej.

Momentem ciężko ważącym na procesie produkcji jest również brak wykwalifikowanych fachowych techników, zarówno potrzebnych do kierowania przedsiębiorstwami, jak także zwykłych robotników. Ten moment stałby się szczególnie silną zaporą przy szybkiej i gwałtownej rozbudowie przemysłu, tak jak to jest projektowane w „piatiletce". Nie jest to bynajmniej zjawisko nowe. W przedrewolucyjnej Rosji olbrzymi procent wyższych stanowisk zajmowali obcokrajowcy. Dawna Rosja nie była w stanie wyprodukować ludzi

[1] Jeden z ekonomistów sowieckich, N. Podorolski pisze: „Nowy rok gospodarczy następuje pod znakiem gwałtownej rewolucyjnej zmiany w procesie produkcyjnym". Donosi on dalej, że w kopalniach węgla Zagłębia donieckiego, które mają przejść na ową „ciągłą produkcję", w pierwszym kwartale 1929/30 r., obiecują sobie zwiększenie ilości wydobywanego węgla o mniejwięcej 12—16%, zwiększenie wydajności pracy 1,5—6%, oraz zniżkę kosztów własnych wahającą się od 1,2—6,6% (*Ekonomiczeskoje Obozrenje* Nr 10, 1929).

o darze organizacyjnym i zmyśle konstruktywnym. Charakterystycznym objawem była przecież wielka ilość Polaków-inżynierów na wyższych stanowiskach w rosyjskich fabrykach i kopalniach.

Faktu tego nie wolno nie doceniać. Werner Sombart podniósł przecież „kapitalistycznego przedsiębiorcę", *den kapitalistischen Unternehmer*, do rzędu pierwszego, najważniejszego motoru *(treibende Kraft)* epoki „kapitalizmu". A motoru tego nie może być chyba pozbawiony także i „kapitalizm państwowy", jak trafnie nazwano system gospodarczy sowiecki. Rasą predystynowaną do wytworzenia tego typu ludzi, konkwistadorów kapitalizmu była według Sombarta rasa germańska i żydowska. „Najgorzej" — pisze on — „swoisty organizm gospodarki kapitalistycznej pojęli Rosjanie, usuwając z niego kapitalistycznego przedsiębiorcę, a przez to unieruchomiając cały warsztat".[1]

Po rewolucji, wskutek wyjazdu inżynierów — obcokrajowców, jak również i Rosjan —, a także wskutek usunięcia inżynierów pozostałych w kraju, kwestja ta stała się szczególnie zaognioną. Początkowa próba kierownictwa fabrykami przez miejscowe komitety robotnicze doznała zupełnego fiaska. Trzeba było na nowo powoływać dawnych dyrektorów, a dla pewności ustanawiać u ich boku komunistycznych kontrolerów. Przeciętny procentowy stosunek personelu technicznego do ogółu pracowników przedsiębiorstwa, w przeciwieństwie do zaawansowanych gospodarczo krajów, jest minimalny: zamiast normalnych 10—15%, wynosi zaledwie 2%. Inna statystyka sowiecka z r. 1928 podaje, że wśród dyrektorów 770 przedsiębiorstw 3,5% jest bez wykształcenia, 71,6% posiada niższe, 16% — średnie, wykształcenie wyższe tylko 8,9%. Techniczne uczelnie nie mogąc dostarczyć potrzebnej ilości techników-fachowców, skracają czas trwania studjów, co źle się odbija na przygotowaniu naukowem absolwentów. Ogółem jest dzisiaj w Rosji 32.000 „dyplomowanych" inżynierów (zaliczając do nich także wychowanków szkół sowieckich), w najbliższych zaś latach, w związku z „piatiletką", liczba ich powinna wzrosnąć do 48 000. Niemożność podołania tym postulatom jest jedną z okoliczności najbardziej dotkliwie dających się we znaki sowieckiej gospodarce. Dodać do tego należy, iż, dla łatwo zrozumiałych przyczyn, bolszewicy oba-

[1] *Das Wirtschaftsleben im Zeitalter des Hochkapitalismus*, I tom.

wiają się angażowania cudzoziemców, a historja niedawnej przeszłości usprawiedliwia te obawy.[1]

Wogóle problem kierownictwa w sowieckiem życiu gospodarczem należy najciekawszych zagadnień. Bolszewicy są zdolnymi kupcami. Dali już nieraz temu wyraz. Wystarczy przypomnieć sukcesy, jakie uzyskali, wykorzystując swe stanowisko monopolistów handlu zagranicznego wobec konkurujących z sobą wzajemnie firm zagranicznych. Szczególnie Niemcom wiele krwi napsuli w ten sposób. W zastosowaniu swoistych metod handlu, niekiedy mało zgodnych z panującą etyką kupiecką, w unieszkodliwianiu swych konkurentów, wykazali bolszewicy wiele talentu. Cechy te nie wystarczają jednak do spełnienia zadań takich, jak „piatiletka", zadań wymagających innych także właściwości, których przedstawicielami są ludy germańskie i anglo-saskie, w mentalności swej różne od ludu rosyjskiego.[2] Coprawda, wady w pewnym układzie stosunków, przeniesione do innego układu, mogą czasami zamienić się w zalety, korzyść przynoszące.

Ujemne strony gospodarki sowieckiej szczególnie silnie zaważyć muszą w procesie rozbudowy, w jakim znajduje się ta gospodarka wobec faktu przeprowadzania „piatiletki". Pozostaje jeszcze kwestja pieniężna, leżąca już na odmiennej platformie, niż ta, którą dotychczas omawialiśmy. Jest ona szczególnie interesująca. Nie chodzi tu przecież o jakieś teoretyczne rozważania, ale o oświetlenie zagadnienia finansowania „piatiletki".

Dopływ zagranicznego kapitału, w większych rozmiarach, mógłby uwolnić Sowiety od potrzeby inflacji, nie wchodzi on jednak na ich nieszczęście w rachubę. Wprawdzie Sowiety od pewnych państw (np. od Niemiec) otrzymały już znaczne towarowe kredyty, ale możliwość zaciągnięcia długoterminowych pożyczek, t. zn. tego, o co Sowietom najwięcej chodziłoby, jest w wysokim stopniu wątpliwa. Sami bolszewicy na to nie liczą. Kwestja pożyczek wiąże się zresztą z uznaniem przedrewolucyjnych długów dawnej Rosji,

---

[1] Swoją drogą z tej obcej pomocy technicznej bolszewicy w pewnej mierze korzystają. Szczególnie dzięki nkładowi z Fordem oraz z General Electric udało im się uzyskać cenną współpracę na polu techniki.

[2] Odnosi się to także do Żydów, odgrywających pewną rolę w Rosji. Mimo swych licznych gospodarczych zalet, nie cechuje ich, jak się wyraża Sombart, „die konstruktive, architektonische Veranlagung", którą w silnym stopniu posiadają Niemcy i Anglo-sasi.

na co się bolszewicy nie chcą zgodzić. Pozatem trzebaby mieć pewność, że zagraniczne rynki pieniężne okażą się zdolne i chętne do podołania wielkim emisjom obligacyj sowieckich. Wprawdzie Rosja nęci widokami swych nieobliczalnych możliwości ekonomicznego rozwoju i nie zaprzestaje zaprzątać wyobraźni zachodnio-europejskich przemysłowców, wprawdzie wielkie przemysły, walczące z ograniczonemi rynkami, marzą o skierowaniu eksportu do Rosji, tymczasem jednak pieniężna pomoc zagranicy nie wychodzi poza krótkoterminowe kredyty towarowe.

Pozostają więc własne siły, t. zn. podatki. Przeprowadźmy (dowolny zresztą zupełnie) podział ich na dwie kategorje: na podatki normalne: *a)* widzialne, *b)* niewidzialne, oraz na podatek ściągany w drodze nienormalnej, czyli podatek inflacyjny. Rząd sowiecki czyni najszerszy użytek ze wszystkich wymienionych wyżej rodzajów podatków. Przez pierwszą kategorję rozumiemy podatki przewidziane w budżecie, a więc podatek dochodowy, podatki konsumcyjne, opłaty i t. p. (podatki widzialne), oraz podatki ściągane pośrednio w innej drodze (podatki niewidzialne). Mamy tu na myśli szczególnie jaskrawe zjawisko gospodarki Rosji — zjawisko największych „nożyc" na świecie. W nich streszcza się specjalne opodatkowanie chłopa rosyjskiego. Dzięki monopolom, dzięki stosowaniu przymusu, bolszewicy narzucają chłopom towar w złej jakości, a przytem niesłychanie drogi, kryjący w swej cenie koszty całej biurokracji i wszystkich państwowych instytucyj pośredniczących, a wymuszają od nich płody rolne po ustalonych zgóry cenach, nieproporcjonalnie niskich.

Dochód społeczny i siła kupna ludności są naogół bardzo małe, stąd też zarówno ta forma podatku, jak zwykłe podatki i opłaty nie są wystarczające, Bolszewicy uciekają się więc do inflacji. System ten praktykują na szerszą skalę już od roku 1927, szczególnie zaś obecnie, od chwili rozpoczęcia realizacji „piatiletki". O dzisiejszem tempie inflacji świadczy fakt, że w przeciągu pół roku (od 1. VI. do 1. XII. 1929 r.) zwiększono obieg banknotów o 44% (446 milj. rubli), zaś biletów skarbowych o 49% (396 milj. rubli). Pokrycie wynosiło w dniu 1. X. 1929 r. zaledwie 13,6% emitowanych banknotów, biletów oraz bilonu.[1] Zewnętrzna siła kupna

[1] Historja stabilizacji, raczej pseudo-stabilizacji, waluty sowieckiej jest dosyć długa. Zaczątkiem jej była ustawa z 27. VII. 1922, zaprowadzająca obok zdeprecjonowanych „sowznaków" nową równoległą walutę: czerwońce

czerwońca mniej więcej odpowiada 30% ustawowej relacji, i jedynie specyficznemu układowi stosunków w Rosji zawdzięcza czerwoniec swą stosunkowo wysoką jeszcze siłę kupna. Inflacja bowiem objawia się w sposób zupełnie swoisty: nietyle pod formą ogólnej zwyżki cen, jak raczej przez bardzo dotkliwy głód towarowy. Państwo ma wszystkie monopole, narzuca ceny, a z innej strony wymienny handel towarami przybiera na sile.

Związek między wykonywaniem planu a finansowaniem go zapomocą inflacji nasuwa ciekawe refleksje. W każdym innym kraju takie finansowanie byłoby możliwe tylko na krótką metę, zanim inflacja nie osiągnęłaby kulminacyjnego punktu, zanim nie zaczęłoby występować zjawisko repudjacji pieniądza (a to nastąpiłoby dzisiaj po doświadczeniu wojennem niesłychanie szybko). W Rosji ma inflacja widoki powodzenia przez dłuższy okres czasu. Połączone to jest ze świadomą degradacją pieniądza, z ograniczeniem jego funkcyj. Stąd konieczność dokonania wielkiego przewrotu psychicznego w umysłach ludzkich i zachwianie dawnemi pojęciami o roli pieniądza. Dlatego też słusznie zauważył P. Scheffer, że istnieją pewne widoki realizacji planu jedynie w wypadku, gdyby rola pieniądza w systemie gospodarczym sowieckim stała się skromniejszą od roli jego w gospodarce burżuazyjno-kapitalistycznej.

*

Czy mimo całej swej ryzykowności, mimo bezmiaru wyrzeczeń i poświęcenia, którego wymaga ten plan od ludności, „piatiletka" zawiera jakieś trwalsze wartości, które zachowałyby swe znaczenie także i w innym układzie gospodarczych stosunków? Sądzić wypada, że tak. Tych wartości dopatrzeć się można w samej istocie planu, w tem, że w dalszej perspektywie stawia się życiu pewne wielkie cele, co może być zachętą do zwiększenia wysiłków.

(1 czerw. = około 1 funt szterl.), emitowaną przez Bank Emisyjny z minimalnem 25% pokryciem w złocie. Ustawą z 5. II. 1924 r. zaprzestano drukowania sowznaków, natomiast pozwolono komisarjatowi finansów wydawać bilety skarbowe opiewające na ruble (1 czerw. = 10 rb.), których ogólna suma nie powinnaprzekraczać 50% emisji banknotów (później podwyższono ją na 75%). W 1927 r. przelano prawo emisji biletów skarbowych na Bank Emisyjny. Ostatecznie okazało się, iż postanowień statutu Bank nie przestrzega, ani co do pokrycia ani co do stosunku banknotów do biletów skarbowych. Ciekawe są zakazy wywozu oraz wwozu (unikat na świecie!) walnty sowieckiej do kraju.

Wyobraźmy sobie wędrowca na pustyni, goniącego resztkami sił. Gdyby jakaś potężna i dobrotliwa dłoń rzuciła na widnokrąg miraże jakichś bujnych oaz, to pobudziłoby to wędrowca do zdwojenia wysiłków i może ułatwiłoby mu osiągnięcie rzeczywistego kresu jego wędrówki. Pod pewnemi względami rolę taką spełniać może plan gospodarczy, zakrojony na szerszą skalę. W wypadku „piatiletki" niejedni zapewne zarzucą, iż ta wizja przyszłej potęgi i dobrobytu jest tylko mirażem i niczem więcej. Mimo wszystko, nie da się zaprzeczyć, że może być ona bodźcem do czynu, chociaż bodźcem tylko niedługo trwającym.

Autokratyzm państwa rosyjskiego ma naturalnych sprzymierzeńców w bezmiernej pasywności ludu, w historycznie dowiedzionej możności ujarzmiania go przez znikomą mniejszość. Pod tym względem Rosja była i jest wymarzonym krajem dla dokonywania eksperymentów. Jednakże i te właściwości rosyjskiego ludu mogą zawieść, zanim jeszcze eksperyment będzie doprowadzony do końca. Rosja bywała przecież widownią różnych przewrotów; nadszedł dzień, w którym państwo moskiewskie wyzwoliło się od panowania tatarskiego, po setkach lat upadł caryzm, może więc przyjść kolej także na upadek bolszewizmu. Oparty na znikomej liczbie prawdziwych komunistów, trwa on właściwie prawem swej bezwładności. Możnaby o nim powtórzyć to, co powiedział Guglielmo Ferrero, charakteryzując dawny ustrój carskiej Rosji: „Si rien ne lui résiste, rien ne l'appuie". Ten sam Ferrero mówi dalej, jak wielką zagadką jest opinja społeczeństwa. Niewiadomo nigdy zgóry, w jaki sposób i w jak silnym stopniu zareaguje. Niewiadomo więc też, czy nieprzewidziane zdarzenia nie popsują szyków eksperymentalnej roboty bolszewików. A stać się to może w mgnieniu oka, gdyż i miara rosyjskiej pasywności może się przebrać.

Ale nawet — i to jest zresztą dużo prawdopodobniejsze — gdyby żadne zewnętrzne, nadzwyczajne okoliczności nie miały przeszkodzić wykonywaniu „piatiletki", gdyby wkońcu wszystko to, co jest tymczasem papierowym tylko wyrazem woli, przyoblekło się w kształty realne — czyż wówczas te potężne twory przemysłowe, wyrosłe w tak nienaturalnej drodze, okupione niebywale ciężkiemi ofiarami ludzkości, przez fakt właśnie tej swej sztuczności nie wytworzą takiego splotu nowych trudności, że ich twórcy nie potrafią im podołać? Nie wystarczy wybudować fabryki, trzeba je uruchomić i w ruchu utrzymać, a ten fakt stwarza szereg ciężkich kom-

plikacyj. Najłatwiej jest rządzić małoskomplikowanem państwem rolniczem; uprzemysłowienie stwarza kompleks nowych zagadnień, które utrudnią sprawowanie rządów. Te nieprzeliczone tysiące H. P. i K. W., które bolszewicy ujarzmiają i zaprzęgają do pracy, mogą stać się w swych skutkach fatalnym nabytkiem. Może przyjść dzień, kiedy kierowca nie zdoła nowych sił opanować, i one wówczas poniosą go w nieznanym kierunku — na zgubę.

GIOVANNI BACH

CLARICE TARTUFARI

W literaturze włoskiej płeć kobieca posiada przedstawicielki wybitne, od Wiktorji Colonna, łagodnej przyjaciółki Michała Anioła, aż do Gracji Deledda, wyróżnionej niedawno nagrodą Nobla. Ten zastęp kobiet, które z wieku na wiek przekazują sobie ciągle żywy płomień ideału, stawia nam przed oczy kobiecość dobrą, czystą i pogodną, która zwłaszcza dziś, w chwili, gdy kobieta, w życiu i w literaturze, stała się wyrazem rozkoszy cierpkiej i pełnej udręki, działa na nas jak lek kojący.

Clarice Tartufari wespół z Adą Negri i Gracją Deledda tworzy obecnie najświetniejszą triadę włoskiego Parnasu. U schyłku już dziś swego życia, zachowuje jednak taką świeżość umysłu i taką oryginalność, że artyzm jej odróżnia się wyraźnie osobistem piętnem na tle twórczości współczesnej, nie wyłączając jej literackich towarzyszek.

W dziele Ady Negri żyją i mocnem tętnem pulsują problemy społeczne, odbijają się niepokoje, bóle i radości proletarjatu, na który autorka lombardzka spogląda z przenikliwą troską macierzyńską. W twórczości Gracji Deledda odnajduje się atmosferę rodzinnej jej wyspy, przestaje się ze społeczeństwem dzikiem nieco i prymitywnem, ale zdrowem i uczciwem, dumnem i pełnem godności, namiętnem i zapalnem.

Tartufari natomiast zawarła w swych książkach trud dnia dzisiejszego, rysami śmiałemi i zdecydowanemi ujęła byt ludzkości powojennej, nękanej problemami moralnemi i religijnemi. Sztuka to niemal męska, ale złagodzona przymieszką kobiecości silnej i pogodnej, wyzbytej zarówno sentymentalizmu, jak pustych a krzykliwych namiętności.

Po ojcu Francuzie odziedziczyła skłonność do analizy i do jasności myśli, z Włoch wzięła olśniewające bogactwo słowa, zadziwiające skalą środków malarskich. Ojczyzną jej jest Romanja, w której walki polityczne przybierały zawsze charakter gwałtowny, w której żyje lud dumny i zacięty, która dała Italji ludzi wiary i ludzi czynu, mających w swej krwi jakgdyby żar południowego słońca.

Pierwsze powieści Tartufari — jak *Rete di acciaio, Fungaia, Eterne leggi* — zdradzają jeszcze pewne wahania, wykazują brak jedności pomiędzy ideą przewodnią a niektóremi szczegółami, samo zaś opowiadanie zdaje się niekiedy skonstruowane dla wykazania słuszności podstawowej tezy. *Eterne leggi* — to dzieje rodziny, która z błogiej prostoty życia wiejskiego wzniosła się na szczyt bogactwa i wyrafinowanej kultury, przyczem zwolna upada, aż do chwili, w której nowa krew przywróci jej młodość utraconą.

Rete d'acciaio opiera się na kontraście pomiędzy koncepcją miłości, właściwą duszy Europejczyka i Amerykanina. Dla Europejczyka, mającego poza sobą doświadczenie długich wieków, miłość jest namiętnością złożoną, w której splatają się z sobą zazdrość, szał, rozkosz, nieosiągalne pragnienie pełnego i całkowitego wzięcia w posiadanie; dla Amerykanina jest to igraszka i przyjemność zmysłów, ważna zapewne funkcja ducha, który jednak nie oddaje się jej niepodzielnie.

Fungaia wreszcie wprowadza nas w rodzinę małomieszczańską, której skromne dochody zaokrąglane są podarkami i upominkami przyjaciela domu, w zamian za to cieszącego się względami młodej gospodyni. Wśród tego trzęsawiska kompromisów z moralnością, religją i sumieniem wyłania się kaleka postać garbusa, odepchniętego przez rodzinę, który podnosi głos oburzenia i protestu przeciwko fałszywemu i zakłamanemu światu, w jakim mu żyć przypadło.

Nie w tych jednak powieściach artyzm Tartufari objawił się w całej pełni, jakkolwiek są już one zapowiedzią późniejszych, wybitnych utworów, powstałych bezpośrednio po wojnie i wyrosłych na podłożu przez wojnę zrodzonych problemów: *Il mare e la vela, Il miracolo, Il dio nero, La nave degli eroi.*

Il mare e la vela oraz *Il miracolo* stawiają przed oczy wizję wojennych wydarzeń. Odbija się w nich okres dręczącej niepewności, kiedy chwiać się poczęła wiara w zasady religji i wiara w hasła polityczne. W obu powieściach spotykamy jednostki, których umysł niespokojny z wysiłkiem szuka drogi poza tradycją religijną, w jakiej wzrośli. *Il miracolo,* wydany po raz pierwszy w epoce kryzysu modernistycznego, wysuwa na plan pierwszy postać wychowanka seminarjum, porzucającego krok za krokiem wiarę, w której się wychował. W *Il mare e la vela* zwątpienie religijne dręczy dwie postaci: żyda, który przyjmuje chrzest i staje się katolikiem, oraz księdza katolickiego, któremu zresztą, po szamotaniach i mękach,

po zrezygnowaniu z bezwzględnych wymogów własnego, żywego i niespokojnego umysłu, udaje się pozostać w granicach, zakreślonych przez tradycję. W obu powieściach wyczuwa się tę ciężką i duszną atmosferę, która miała sprowadzić burzę.

„Bóg ciemności" jest bogiem, który rozpętał wojnę światową, bogiem, który zerwał węzły uczuć, pokrewieństwa, wspomnień i tradycyj, by wszystko zanurzyć w odmęcie nienawiści i zemsty. Do postaci tej książki możnaby z pełną słusznością zwrócić się słowami Apokalipsy: „A królem ich stał się Anioł ciemności". Utwór to, z którego groza wojny bije na czytelnika, jak fala trującego gazu, nad którym jednak równocześnie unosi się woń krzepiąca: czysta woń męstwa i poświęcenia tych, co siebie samych złożyli w ofierze, co wszystko oddali, niczego w zamian nie żądając. Bóg ciemności dał tytuł powieści, ale z niemniejszą słusznością mógłby zająć jego miejsce bóg światła, zawsze skory rozproszyć mroki, grożące dobrym i wybranym. Niewielu widzimy bohaterów, którzy w zapale poświęcenia rzucili na pastwę wojnie wspaniałą swą młodość, bezmierną natomiast jest podłość tych, co na krwi najszlachetniejszych wznieśli przezornie i zręcznie gmach osobistego dobrobytu. Wystarczyło jednak tej krwi oczyszczającej, by zetrzeć plamy, które skalały ludzkość.

Motyw ten występuje z całą jasnością i siłą w ostatniej powieści wybitnej autorki: *La nave degli eroi.*

Bohaterka tej powieści, dziewczyna, której nie dane było wzrosnąć w atmosferze rodzinnej, ciepłej i miękkiej, oddaje się, w chwili oszołomienia zmysłów, chłopcu poznanemu przelotnie, gdy wcześniej już inny mężczyzna obudził jej młodociane serce. Walczy on jednak na froncie, a wspomnienie jego jest obecnie wyblakłe i mgliste. Przygoda ocknęła w niej tylko zmysły, — dusza nie miała tu żadnego udziału. Atoli owocem tej chwili zapomnienia jest dziecko, na które matka przelewa całą swą miłość. Wojna dobiega końca. Akcja uczuciowa powieści rozwija się na tle dziejów politycznych Włoch powojennych: zamieszki, strajki, objawy powszechnego niezadowolenia i niedostatku.

Pośród tego zamętu wzburzonych namiętności autorka ukazuje nam postać olbrzymią, urastającą niemal do rozmiarów fatum. „Duce" w rozwoju wydarzeń bierze udział nieznaczny, pozostając jeszcze na dalszym planie, przezornie lecz czujnie gotując się do tego, by — jak sam miał później powiedzieć — w chwili stosownej pochwycić

toczące się koło losu. Widzimy jakgdyby cień wielki, rzucony przez tę postać, dostrzegamy jej czoło potężne, czujemy jej wzrok silny i męski. Nic więcej. Ale ta niema zjawa posiada moc dramatyczną, na którą nie stać wielu innych postaci, posługujących się słowem i gestem.

Dawny towarzysz Klary powraca również z wojny; powraca jako ślepiec. Przypadkiem spotyka przyjaciółkę lat młodych. Miłość budzi się na nowo, — cichsza, ale głębsza, silniejsza, bardziej ludzka, niż ongiś. Drżący głos Klary wtajemnicza oślepłego w jej przeszłość; uświadomiony, nie waha się połączyć z nią i uznać za swoje dziecko chwilowego upadku.

Oto wątek powieści, która obfituje w strony o wybitnych walorach literackich, należące z pewnością do najpiękniejszych, jakie napisano w okresie powojennym. Artyzm Tartufari — jak już zaznaczyłem na wstępie — odbiega wyraźnie od artyzmu innych współczesnych pisarzy włoskich. W okresie, gdy literatura włoska zmierzać się zdaje ku fragmentaryczności, znakomita powieściopisarka ogłasza dzieła zbudowane organicznie i odtwarza w nich objektywnie rozwój wypadków historycznych i uczuć swych bohaterów, przyczem harmonijnie łączy z sobą oba te pierwiastki, nie wysuwając natarczywie i nie narzucając swego *ja*.

W latach, kiedy zaznacza się wyraźny pęd do kosmopolityzmu i egzotyzmu, Tartufari z upodobaniem umieszcza swe powieści w ciasnym, lecz zdrowym świecie włoskiej prowincji. Małe miasta, jak Rimini, Forli, Spoleto, Perugia są sceną, na którą wyprowadza swe postaci. I na tem właśnie tle bohaterzy jej okazują całą swą wartość — na tle potężnej sylwetki starej katedry lub wieży średniowiecznego *municipio*. W powieściach Tartufari artystycznie najwyżej zresztą stoją naogół nie postaci pierwszoplanowe, ale raczej drugorzędne, które wraz z wszystkiemi swemi brakami, podłostkami i niskiemi namiętnościami uosabiają niższy coprawda poziom człowieczeństwa, ale człowieczeństwu temu dodają zarazem barw, żywości i ruchu. Utwory Tartufari pełne są właśnie postaci tego typu. Drga też w nich życie, codzienne, powszednie życie ludzi przeciętnych, równocześnie jednak unosi się nad niemi spokój i cisza, bije z nich chęć dźwignięcia się w sferę lepszą, czystszą i zdrowszą, płynie z nich przebaczenie dla wszystkich jednostek rodzaju ludzkiego, które w grzechu znaleźć umieją drogę do odkupienia.

Rzym, 1929 r.

KRONIKI

KRONIKA ZAGRANICZNA

Primo de Rivera. — Stalin. — Traktat handlowy i kryzys niemiecki. — Konferencja morska.

1

Szczęśliwa gwiazda, która tak często towarzyszyła życiu generała Miguela Primo de Rivera, margrabiego d'Estella — wróciła doń znowu w chwili śmierci, wybawiając go od przykrej roli usuniętego dyktatora, lub zgoła prób ponownego powrotu do władzy, które w obecnych warunkach musiały zgóry być skazane na niepowodzenie. Powaga śmierci zagłuszyła nienawistną kampanję, na którą jego osoba była w ostatnich tygodniach wystawiona, a wspaniały pogrzeb, w którym sam monarcha wziął udział, był prawdziwie godny człowieka stojącego jeszcze u szczytu potęgi.

Obdarzony energją, odwagą, zdolnością szybkiej decyzji, naturalną sympatją otoczenia, a więc zaletami tak często właściwemi ludziom — jak on — powierzchownym, lekkomyślnym, niepohamowym, niezdolnym zrozumieć i ocenić innych — Primo de Rivera, doszedłszy przez zamach stanu bez trudu do władzy, żywił przekonanie, że rządy wielkim krajem są zadaniem równie łatwem jak komenderowanie baterją, że unormowanie jego politycznych stosunków i rozwój gospodarczego dobrobytu pójdzie równie szybko jak awans potomka grandów w hiszpańskiej armji. Dla swoich zamierzeń zastał coprawda w Hiszpanji w r. 1923 wyjątkowo korzystne warunki: zupełną dezorjentację polityczną u społeczeństwa, a u króla silną wolę wyjścia z impasu, do którego kraj doprowadziła nieszczęśliwa wojna marokańska i bezradność rządów wobec grożącego Hiszpanji wiecznie wojskowego zamachu stanu

Primo de Rivera, biorąc na siebie odpowiedzialność za ten zamach, na który nikt inny nie umiał się zdobyć, wystąpił jako prawdziwy mąż opatrznościowy, jeden z licznych zresztą, których w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu Mars zsyłał Hiszpanom z pośród swych podwładnych. Zresztą kredyt, z którego władza dyktatorska wszędzie korzysta, obejmując spadek po rządach bezładnych i słabych, umiał on na jakiś czas umocnić, doprowadzając, przez sojusz z Francją, do względnie szczęśliwego końca niefortunną imprezę marokańską. W przeciwieństwie do Mussoliniego nie umiał jednak stworzyć porządku, mogącego zastąpić na stałe i poprzednią anarchję i dyktaturę, możliwą tylko na okres przejściowy. Opierając się na owej „Union Patriótica", która wbrew jego własnym koncepcjom nigdy nie zdołała upodobnić się do faszystów, bez planu i doktryny

wydawał dekrety, mające urządzić Hiszpanję na wzór jakiejś monarchji patrjarchalnej. Gdy tym sposobem zwrócił przeciw sobie nietylko usunięte od wszelkich wpływów partje polityczne, ale także wojsko i sfery intelektualne (przypominamy rewolty studentów w Madrycie i Sewilli), próbował ratować się projektem nowej konstytucji, wzbudzającym powszechnie tak mało zachwytu, iż niewątpliwie słusznie postąpił, nie pokrywając go oficjalnym autorytetem rządu.

Tymczasem likwidacja dyktatury stawała się tem bardziej pilną, że jej rozrzutność, obliczona na zewnętrzny efekt, doprowadziła do inflacji i gwałtownego spadku pesety, które pozbawiły ją poparcia wielkiego kapitału, najwierniejszego do tej pory sprzymierzeńca. Całą troską Rivery było, aby tę likwidację przeprowadzić bez zbytnich wstrząsów a kierownictwo utrzymać i nadal w swoich rękach. O ile pierwsza część zadania — przynajmniej jak dotąd — została pomyślnie przeprowadzona, o tyle druga nie miała żadnych szans realizacji, przedewszystkiem z uwagi na stanowisko króla, który licząc na poparcie licznych malkontentów w armji, od szeregu miesięcy szukał już sposobu rozstania się ze swym niewygodnym i niepopularnym sługą. Znalazł ten sposób zresztą łatwiej, niż się spodziewał, dzięki niezręczności samego dyktatora, który postanowił urządzić w armji rodzaj plebiscytu i zmusić ją do wyraźnego wypowiedzenia się za sobą, a więc przeciw królowi. Gdy się król z prasy dowiedział o tym niezwykłym procederze, dyktatorowi nie pozostawało nic innego jak prosić o dymisję, tem bardziej wskazaną, że wyniki plebiscytu nie zapowiadały się dlań zbyt pomyślnie.

Nowy premjer gen. Berenguer, szef wojskowego gabinetu króla, jest do swojej trudnej misji o tyle dobrze przygotowany, że w ciągu swojej karjery dał wiele dowodów tej skłonności do kompromisu, której przejście od dyktatury do porządku konstytucyjnego wymaga. Pierwsze jego wystąpienia, usuwające najbardziej niepopularne zarządzenia i urządzenia dyktatury, zyskały mu chwilowe uznanie. Jego trwałość zależeć będzie od tego, czy rząd potrafi doprowadzić do porządku finanse i naprawić ustrój.

W każdym razie oba te zagadnienia wysunął nowy rząd z cieniów, które na nie dyktatura rzucała. Dopuszczając do dalszego spadku pesety przez poniechanie bezskutecznych interwencyj na giełdach i oswobodzenia obrotu dewizami, uwidocznił tylko ukryte dotąd czynniki dewaluacji. Z drugiej strony dopiero wypadki ostatnich tygodni ujawniły, jak dalece zachwiana jest w Hiszpanji sama monarchja, ktorą ataki kierowane w ostatnich latach przeciw dyktaturze w małym tylko stopniu dosięgały. Dziś konserwatysta i były premjer Sanchez Guerra z publicznej trybuny oświadcza, że stracił zaufanie do królewskich rządów i choć sam nie jest republikanem, przyznaje, że Hiszpanja ma prawo być republikańską. Cóż mają mówić republikanie, skoro ich monarchista tak znako-

micie wyręcza? Zdawałoby się, że od słów powinni przejść do skutecznych czynów. Ale dowcipnie ktoś zauważył, że monarchizm Hiszpanji przypomina jej katolicyzm, a republika wznieca tam podobne obawy jak piekło. Stąd wynika słabość monarchji, ale także nadzieja, że akcja republikańska nie wyda odpowiednich skutków. W każdym razie wybory, z których ma wyjść nowy parlament odbędą się pod hasłem: Republika czy Monarchja. Gra na zwłokę, którą rząd względem nich stosuje, nic w tem zapewne nie zmieni. Po ich wyniku będzie można dopiero zdać sobie sprawę z siły obydwu obozów i osądzić przyszłość, ku której Hiszpanja zmierza.

2

W innej płaszczyźnie, dla zgoła innych przyczyn i na innym krańcu Europy — rosyjska dyktatura proletarjatu zdaje się w tej chwili przeżywać również ciężki kryzys. Wiadomo zresztą, że już od zarania bolszewizmu termin ten wysunięty jako ideał przez Marxa, miał maskować najbardziej terorystyczną tyranję kliki do roku 1927 — jednostki od tego czasu. Nie będziemy przypominać etapów walki, którą stoczył Stalin ze swymi rywalami, zanim ich ostatecznie usunął i wygnał. Zauważmy tylko, że rzekoma różnica poglądów na wytyczne komunistycznej ewolucji była dlań tylko pozorem. W rzeczywistości jego bezwzględny temperament, w połączeniu z ograniczonym rozumem nie mógł ścierpieć otoczenia, górującego nad nim inteligencją i sprytem, właściwemi rasie semickiej, której podobno szczerze nienawidzi. Toteż Trocki został z komunistycznego raju wypędzony tylko na to, aby nie mógł zbierać owoców z drzewa, które sam szczepił. Zbiór jest zresztą tak obfity, że samego Stalina przyprawia o poważne kłopoty.

Rzucone bowiem przez Trockiego, a wykonane przez Stalina hasło kolektywizacji wsi wydało w krótkim czasie niespodziewane wyniki. Gdy ułożony na pięć lat plan gospodarczy (t. zw. „piatiletka") przewidywał przejście od gospodarki indywidualnej do kolektywnej na obszarze 24 milj. ha, już z początkiem stycznia b. r. skolektywizowany obszar wynosił 30 milj. ha. Przytem od stycznia do marca podniosła się jeszcze liczba ziemskich majątków kolektywnych z 59 na 110 tys. a skolektywizowanych gospodarstw z 4,3 na 14,3 milj. Takie tempo kolektywizacji w porównaniu z jej poprzednim niezmiernie powolnym rozwojem nie da się wytłumaczyć samym tylko terrorem funkcjonarjuszy powołanych do jej przeprowadzenia. Właściwe wyjaśnienie znajdujemy w tem, że od lipca do grudnia wyciągnięto przymusową drogą ze wsi 13,9 milj. tonn zboża, potrzebnych do wykonania „piatiletki". Dzięki temu chłopi rzucili się do „kołchozów", poza któremi nie widzą możliwej dla siebie egzystencji, rząd zaś uzyskał zboże, niezbędne dla obsiewu skolektywizowanych obszarów. Równocześnie z zawrotną kolektywizacją postępuje systematycane niszczenie klasy t. zw. kułaków czyli chłopów-obszarników, przyczem jednak dla ich klasy-

fikacji nie tyle jest miarodajną zamożność, co stopień niechęci i oporu, który nowej polityce przeciwstawiają.

Ale oto wyłania się kwestja, skąd wziąć inwentarz potrzebny dla kolektywnej gospodarki? 19 tys. traktorów będących do dyspozycji znajduje się przeważnie w fatalnym stanie i może w najlepszym razie obrobić 5—6% olbrzymiej powierzchni. Co się zaś tyczy bydła i koni, to chłopi — zamiast za darmo oddać je „kołchozom" — wolą je oczywiście sprzedać choćby za bezcen, lub nawet puścić na wolność, byle ich nie żywić. Dlatego też można obecnie w niektórych gubernjach dostać konia za 5 rubli, w innych całe tabuny biegają swobodnie. Do wszystkich tych gospodarczych trudności dochodzi jeszcze obawa o nastroje czerwonej armji, składającej się w 80% z synów chłopskich, którym trudno wytłumaczyć, że przeobrażenie ustroju wsi rosyjskiej wypadnie na ich korzyść.

Wszystko to razem skłoniło Stalina, podobnie jak Lenina, gdy w r. 1921 proklamował „nową politykę ekonomiczną", do szukania dróg odwrotu ze ślepej ulicy, w którą siebie i Rosję zapędził. Ostatnie jego ukazy znajdują się już na tej linji. Razem z zahamowaniem rozwoju „kołchozów" zalecają one także wstrzymanie akcji antyreligijnej, która chłopów drażni, nie pozbawiając ich wiary. Ale czy powstrzymując rozwój gospodarki komunistycznej na wsi zdoła Stalin zniweczyć jej dotychczasowe katastroficzne skutki, czy zdoła odpędzić widmo głodu, które już miljonom skolektywizowanych rodzin do oczu zagląda? Jest to tembardziej wątpliwe, że ukazy Stalina dla wsi przychodzą już stanowczo za późno, wśród najprawowierniejszych zaś szeregów komunistycznych wzbudziły odruch niechęci i wzburzenia.

Aby ich uspokoić, a głodne masy nakarmić wizją rewolucji światowej, wzmógł Komintern ostatniemi czasy swą wszechświatową działalność w przekonaniu, że powszechny kryzys ekonomiczny znakomicie mu zadanie ułatwi. Dlatego wyznaczono wszędzie 6-ty marca jako dzień wielkich manifestacyj „głodnych". Mniejsza o ich znikome powodzenie; dowodzą one przedewszystkiem, że Moskwie sprzykrzyło się już bezskuteczne zabieganie o względy kapitalistycznego świata, przeciwko któremu obecnie ze zdwojoną energją kurs swój zwraca. Wynika to i stąd, że ani Stalin, ani jego najbliżsi nie posiadają tej znakomitej znajomości Europy, która dawnym asom dyplomacji sowieckiej pozwalała mimo wszystko utrzymywać z nią niezbędne kontakty.

Kąt tego odchylenia polityki rosyjskiej najłatwiej zaobserwować w Berlinie, którego współpraca z Moskwą była dotąd najbliższą i najbardziej owocną. Dziś, gdy układy haskie jeszcze silniej związały Niemcy z zachodem, dawna przyjaźń traci dla obu stron wiele ze swej wartości. Przytem odebranie koncesji największemu niemieckiemu przedsiębiorstwu w Rosji (Drusag), zupełna atrofja stosunków handlowych, wreszcie masowa repatrjacja kolo-

nistów niemieckich nie pozwala nawet na wyzyskanie gospodarczych możliwości. To też nawiązane niedawno w Berlinie rokowania, mające załatwić tyle spraw spornych — istniejące dotąd więzy raczej rozluźnią niż zacieśnią; jest to tem więcej prawdopodobne, że i agitacja Kominternu, która w Niemczech przybiera najbardziej jaskrawe barwy, robi swoje, aby obustronne stosunki odpowiednio nadwerężyć.

3

Niektórzy publicyści widzą tu nawet zapowiedź wyraźnie antysowieckiego zwrotu w polityce niemieckiej i podejrzewają, że Niemcy, chcąc sobie z góry zapewnić poparcie Polski, przyspieszyły podpisanie traktatu handlowego. Wbrew temu zdaniu sądzimy, że raczej zupełny brak chłonności rynku rosyjskiego zmusił ich do szukania w Polsce szerszego zbytu.

Nie jest naszem zadaniem oceniać, ile nasz przemysł straci na przyznanych Niemcom koncesjach, ani obliczać korzyści, które nam mogą przynieść uzyskane kontyngenty wywozowe. W każdym razie wynikające dla nas z traktatu ryzyka nie są zbyt wielkie, skoro poza przyznaną obu stronom klauzulą największego uprzywilejowania — obejmującą także prawo wjazdu, pobytu i osiedlenia dla osób związanych bezpośrednio z normalnemi funkcjami wymiany gospodarczej — poza tą klauzulą Polski żadne szczególne zobowiązania taryfowe nie wiążą, a roczny okres, na który traktat został zawarty, zapewnia nam możność rychłej rewizji lub nawet wypowiedzenia, gdyby płynące zeń szkody miały przeważać korzyści. Trzeba bądź co bądź z zadowoleniem powitać nawiązanie normalnych stosunków handlowych z krajem, który jest naszym naturalnym dostawcą i odbiorcą i starać się o ich utrzymanie. Nie zapominajmy przytem, że mimo wojny celnej nasz obrót handlowy z Niemcami był w stosunku do innych państw najszerszy. Zresztą bojowe cła niemieckie okazały się bronią o wiele skuteczniejszą niż nasz system zakazów dosyć liberalnie stosowany. Wskutek tego nasz bilans handlowy z Niemcami kształtował się coraz to bardziej ujemnie, a traktat siłą rzeczy powinien tutaj wprowadzić korzystne dla nas zmiany.

Pozatem normalizacja naszych stosunków handlowych na najważniejszym ich odcinku powinna w wyższym niż dotychczas stopniu zainteresować nami obcy kapitał, którego przypływ wydaje się dla rozwoju naszego życia gospodarczego niezbędny. Wreszcie, jeżeli traktat przyniesie wschodnim prowincjom Niemiec korzyści, których się po nim spodziewają i pomoże do wyrównania szkód, które im wojna celna wyrządziła, to odpadnie temsamem najbardziej ważki argument propagandy, zmierzającej do rewizji granic.

Wojujący nacjonalizm niemiecki tę prostą prawdę pojmie zapewne prędzej od naszego, i ratyfikacji traktatu stawiać będzie te same przeszkody, które umowa likwidacyjna niedawno z taką tru-

dnością przebyła. I dla losów traktatu musi być jednak pomyślnym wskaźnikiem jej ostateczne przyjęcie; dowodzi bowiem, że obecny Reichstag potrafi zawsze znaleźć większość dla przyjęcia układów, których odrzucenie postawiłoby pokojową politykę Niemiec w nieco dziwnem świetle. Zresztą i sam prezydent Hindenburg pokazał, że mimo swej przeszłości rozumie rolę, którą w tej chwili Niemcy odegrać muszą. Jego publiczne enuncjacje były niewątpliwie cenną podporą dla rządu w ciężkich opałach, które go kosztowało przeprowadzenie całego kompleksu umów, związanych z planem Younga.

Był to ostatni etap zadania, które rząd wielkiej koalicji od początku swego istnienia sobie postawił. Nic dziwnego, że z chwilą, gdy go dokonał, stronnictwa nie widzą już żadnych powodów, aby nadal utrzymać koalicję, obejmującą zarówno przedstawicieli wielkiego przemysłu, jak i związków zawodowych. W tych warunkach trudno było zgodnie rozstrzygnąć pytanie, kto w pierwszym rzędzie będzie ponosił koszta reparacyj: kapitał czy praca?

To też, gdy socjaliści, mimo odłożenia wydatniejszej redukcji podatków bezpośrednich do lepszych czasów, żadną miarą nie chcieli się zgodzić na kompromis przyjęty przez inne stronnictwa w sprawie funduszu bezrobocia — wielka koalicja musiała się rozpaść. Przesilenie stało się zaś tem groźniejsze, że oni właśnie tworzyli jej trzon. Mimo to udało się je rozwiązać, jak na niemieckie stosunki, dziwnie prędko, bo zaledwie w przeciągu trzech dni. Pośpiech ten tłumaczy się wpływem Hindenburga, który spodziewając się przesilenia od szeregu tygodni, nietylko miał już upatrzonego kandydata na stanowisko kanclerza, ale mógł mu także zaproponować gotową listę gabinetu.

Nowy kanclerz, p. Brüning, należy do tego odłamu centrum, któremu współdziałanie z socjalistami było już oddawna solą w oku i który zabiegał o względy prawicy, przełykając z odpowiedniemi grymasami plan Younga. To też zjednanie sobie do gabinetu Treviranusa, który niedawno wraz z całą grupą (t. zw. ludowo-konserwatywną) odłączył się od nacjonalistów Hugenberga, nie przyszło nowemu kanclerzowi, przy odpowiedniem poparciu Hindenburga, zbyt trudno. Znamienniejszy jest jeszcze udział drugiego protegowanego Prezydenta Rzeszy — Schielego, który piastuje w gabinecie tekę rolnictwa. Chociaż dotąd należał do hugenbergowskiego stronnictwa, z chwilą wstąpienia do gabinetu złożył swój mandat, aby zaznaczyć, że jego osoba stronnictwa w niczem nie angażuje. Zresztą Curtius pozostał w gabinecie, a kanclerz wyraźnie w swej deklaracji programowej podkreślił, że kurs polityki zagranicznej pozostaje niezmieniony. Widać więc, że przynajmniej pod tym względem udział Schielego żadnych koncesyj dla nacjonalistów nie spowodował. A jednak, wobec wyraźnie negatywnego stanowiska socjal-demokratów, od stosunku tej właśnie partji do rządu będą w pierwszym rzędzie zależeć dalsze jego losy. Jeżeli upadnie, rozwiązanie Reichstagu pozostanie jedynem wyjściem i kanclerz

w swem exposé wyraźnie podkreślił, że wyjście to rząd bierze pod rozwagę. Ale nowe wybory nie wróżą nic dobrego, bo tylko najskrajniejsze stronnictwa — komuniści z jednej, narodowi socjaliści z drugiej strony, mogą się po nich zysków spodziewać. Wyniki osiągnięte w ostatnich czasach w różnych krajach niemieckich i instytucjach samorządowych słuszność tych przewidywań aż nadto uzasadniają.

4

W Londynie nic nowego. Rokowania obracają się ciągle w tem samem błędnem kole, w które się dostały od początku konferencji. Jedyny postęp, tylko w odwrotnym kierunku, widać chyba w tem, że wszyscy uczestnicy z MacDonaldem na czele poszukują formułki, zdolnej zasłonić rzeczywiste niepowodzenie. Najlepiej celowi temu odpowiada projekt układu, który, nie ustalając wzajemnego stosunku flot poszczególnych państw, zobowiąże je do powstrzymania się na jakiś czas od nowych konstrukcyj. I taki układ, o ile dojdzie do skutku, zawierać będzie naturalnie tyle zastrzeżeń i wyjątków, że jego rzeczywista wartość będzie więcej niż wątpliwa — ale w każdym razie przez szumne hasło „feryj dla flot“ potrafi jako tako pozory zachować.

Zato prawdopodobieństwo paktu, obejmującego tylko Amerykę, Anglję i Japonję, wydaje się dosyć nikłe, raz dlatego, że Japonja żąda bezwzględnie tonażu, któryby odpowiadał 70% amerykańskiego, na co Stany Zjednoczone zgodzić się nie chcą. Pozatem nie widać, jaki interes może w takim układzie widzieć dla siebie Anglja, która, wiążąc się w ten sposób, traci możność przystosowania swej floty do t. zw. „two-power-standard“, t. j. do poziomu, przewyższającego najsilniejsze floty dwóch państw kontynentalnych, czyli Francji i Włoch, które, nie mogąc się między sobą pogodzić, szersze porozumienie uniemożliwiają. Ten sam skutek wywiera zresztą niechęć państw anglosaskich do angażowania się w jakichś ściślejszych paktach gwarancyjnych, które z punktu widzenia Francji jedynie mogą wpłynąć na redukcję jej programu morskiego.

I w jednym i w drugim wypadku należało porozumienie przygotować, zanim się do właściwych obrad przystąpiło. Bez tego przygotowania musiały one, zamiast pogodzić interesy poszczególnych uczestników, tem bardziej tylko uwypuklić ich rozbieżność. Na konferencji zaostrzyły się istotnie stosunki między Francją a Włochami do tego samego stopnia, co wówczas, gdy Francja, uzyskawszy protektorat nad Tunisem, pchnęła Włochy w objęcia Bismarcka. Podobno i teraz ofiarowały Włochy w Berlinie swe przymierze — coprawda bez skutku. Francja zaś, zgłaszając na konferencji swój szeroko zakrojony program konstrukcyj morskich, wymownie stwierdziła, jak bardzo zagrożonem wydaje się jej własne położenie mimo Ligi Narodów, Locarna i paktu Kelloga. Anglja wreszcie, jeśli nie uzyska od swych europejskich rywali ograniczenia zbrojeń, będzie

musiała wcześniej czy później, nie oglądając się już na zasadę równości z Ameryką, rozpocząć wyścig zbrojeń dopiero co wstrzymany.

Ale równocześnie zaszedł fakt dla pacyfikacji stosunków europejskich bardzo znamienny: 30 marca francuska izba deputowanych zatwierdziła 527 głosami przeciw 38 plan Younga wraz ze wszystkiemi aneksami i układem dotyczącym wcześniejszej ewakuacji Nadrenji. Stosunek głosów jest uderzający i dowodzi, jak dalece zmieniły się nastroje francuskiego społeczeństwa. Najbardziej znamiennem było zresztą stanowisko samego Tardieu, jednego z twórców traktatu wersalskiego, który w ciągu debaty wyraźnie przyznał, że wbrew swym dawniejszym poglądom uważa dziś za jedynie realną tę politykę, która do układów haskich doprowadziła. Można się tem martwić lub cieszyć, ale jedna rzecz wynika z tego oświadczenia niewątpliwie: polityka porozumienia jest dziś jedynie możliwą dla tych, którzy za losy swych krajów ponoszą odpowiedzialność.

Dlatego też, podkreślając raz jeszcze, że moment niedostatecznego przygotowania odegrał w przebiegu konferencji londyńskiej decydującą rolę, sądzimy, że i tutaj czas i dalsze poufne rokowania pozwolą osiągnąć bardziej pomyślne wyniki.

Henryk Dembiński

Kraków, dnia 2 kwietnia 1930.

KRONIKA POLITYCZNA

Nienormalny stan sytuacji wewnętrznej w Polsce ujawnia się w fakcie, iż od dłuższego czasu stoi na pierwszym planie jedno nierozwiązane zagadnienie, usuwając na plan drugi wszystkie inne kwestje, nawet — mimo odmiennych pozorów — kwestję reformy konstytucji — na późniejszy okres czasu i paraliżując w ten sposób funkcjonowanie państwa. Tem nierozwiązanem zagadnieniem jest ciągle istniejący konflikt określany nieściśle jako konflikt między rządem a Sejmem, a będący w istocie rzeczy konfliktem między Marszałkiem Piłsudskim ugrupowaniami, które się opowiedziały za jego osobą i za jego programem z jednej strony — a temi ugrupowaniami w parlamencie polskim, które opowiedziały się przeciw osobie Marszałka Piłsudskiego, a które dysponują większością głosów w parlamencie z drugiej strony. Fakt, że taki konflikt mógł zaistnieć, pozwala ocenić przedewszystkiem stanowisko obozu Marszałka Piłsudskiego; fakt, że taki konflikt nie został dotąd rozstrzygnięty, rzuca światło przedewszystkiem na stanowisko tak zwanej większości sejmowej.

I

W Polsce obowiązuje dotąd konstytucja, stwarzająca ustrój oparty na zasadzie rządów parlamentarnych. Obóz Marszałka Pił-

sudskiego, będący w parlamencie mniejszością, nigdy nie był większością parlamentarną, jest więc w swej genezie tworem obcym ustrojowi parlamentarnemu, a nie np. kadłubem jakiejś dawniej istniejącej większości parlamentarnej; doszedł przecież nawet do rządów jako specyficzna rewolucyjna forma reakcji przeciw większości parlamentu. Rządy Marszałka Piłsudskiego są ciałem obcem, wprowadzonem do ustroju opartego na formalnem obowiązywaniu w dalszym ciągu zasady rządów większości parlamentarnej.

Tego rodzaju rządy pozaparlamentarne a raczej antyparlamentarne mogą z sytuacji, w jakiej dochodzą do władzy, wyciągnąć różne konsekwencje. Albo mogą dążyć do natychmiastowej zmiany ustroju któraby usankcjonowała nie ich istnienie jedynie ale nową zasadę, jaka znalazła wyraz przy dojściu do skutku tych rządów: zasadę iż istnienie rządu i kierunek polityczny rządu jest niezależny od woli większości parlamentu. Drugorzędna jest już kwestja, w jaki sposób zostanie ta nowa zasada wprowadzona do ustroju: czy uzna ją formalnie parlament, który w większości swej jest przeciwny nowemu rządowi a więc i przeciwny materjalnie nowej zasadzie,[1] czy też nowy regime będzie szukał stanowiącej jego legalizację nowej normy ustrojowej poza wolą parlamentu, wbrew której doszedł do władzy.[2]

Z drugą odmienną ewentualnością mamy do czynienia gdy nowy rząd antyparlamentarny nie dąży natychmiast do zmiany ustroju rządów parlamentarnych, lecz postanawia uzyskać legalizację swego istnienia na gruncie obowiązującego ustroju to jest postanawia uzyskać większość w parlamencie. Wtedy nowy rząd, w genezie swej antyparlamentarny staje się rządem parlamentarnym, dawna większość w parlamencie staje się mniejszością.

Rządy pomajowe uczyniły próbę zdobycia trwałych podstaw dla siebie w obu kierunkach. Uczyniły podstawą swego programu hasło reformy ustroju i ograniczenia możności obalenia rządu przez parlament, a więc stworzenia konstytucyjnie, a nietylko faktycznie, normalnie a nie jedynie w zależności od osobistego autorytetu wodza rewolucji, możności istnienia rządu, który nie ma za sobą większości parlamentu[3] — to próba legalizacji nowego stanu w drodze zmiany ustroju. Wzięły udział w wyborach do parlamentu wysuwając kandydatów i listy, których oficjalnie poparły: to próba przemiany mniejszości parlamentarnej w większość parlamentarną,

[1] Na tem polega hasło zmiany ustroju w t. zw. „formie legalnej". Tylko w „formie" legalnej to jest legalne tylko dla formalistycznego ujęcia, gdyż merytorycznie parlament, twórca formalnej legalizacji jest przeciwny temu, co legalizuje.

[2] Hasło „oktrojowania nowego ustroju" jest właśnie pragnieniem znalezienia jednej z takich form legalizacji poza parlamentem.

[3] Ściśle mówiąc: ma przeciw sobie większość parlamentu, nie dosięgającą jednak większości kwalifikowanej, wymaganej przez konstytucję dla skuteczności prawnej uchwały parlamentu, żądającej ustąpienia rządu.

a w każdym razie oddziałania na skład parlamentu i jego większość.

W żadnym z tych kierunków rządy pomajowe nie odniosły dotąd sukcesu. Nie powstały dotąd takie formy konstytucyjne, któreby czyniły istnienie rządu niezależnem od woli większości parlamentu. Rządy pomajowe nie zdobyły dotąd również większości w parlamencie.[1] Trwa nadal ten sam stan, który wyłonił się w chwili sukcesu rewolucji majowej: istnieje rząd, którego egzystencja nie jest zgodna z wolą większości parlamentu. Istnieje norma konstytucyjna, która przepisuje, iż rząd musi odpowiadać woli większości parlamentu, i istnieje parlament, którego większość zwalcza rząd i system będący u władzy.

II

Jeśli taki stan nadal istnieje i jeśli konflikt nie został rozstrzygnięty — to przyczyn tego zjawiska szukać należy po stronie parlamentu. Rządy pomajowe szukały rozstrzygnięcia konfliktu na drodze legalnej i nie znalazły go dotąd. Parlament zaś umożliwił rządom pomajowym dalsze istnienie w legalnej formie, mimo zasadniczej opozycji swojej większości, mimo braku szukania decyzji w drodze pozaparlamentarnej ze strony rządu.

Parlament nie przeciwstawił się dotąd stanowczo w formie prawnej obecnemu regimowi jako takiemu. Parlament uchwalał vota nieufności poszczególnym gabinetom i poszczególnym ministrom, przywódcy jego większości wygłaszali deklaracje zwalczające mniej lub więcej ostro obecny system rządów, ale parlament nie zdobył się dotąd na prawnie wiążący wyraz swej nieufności dla tego systemu i dla jego twórcy. Parlament uchwalał budżety rządom pomajowym, nie odrzucił nawet przedłożenia budżetowego tego gabinetu, który w dwa dni po swem zebraniu się obalił. Parlament nigdy nie pociągnął imiennie do odpowiedzialności parlamentarnej twórcy i wodza rewolucji majowej, nie pociągnął go również do odpowiedzialności konstytucyjnej, pomimo iż ten twórca i ten wódz stwierdzał wyraźnie, iż on a nie kto inny ponosi odpowiedzialność za czyny, za które parlament kogo innego stawiał przed Trybunał Stanu. Parlament utrudniał systemowi pomajowemu sprawowanie rządów, uniemożliwiał mu wykonywanie rządów przy pomocy pewnych ludzi, lub dokonywanie pewnych posunięć, ale nie zdobył

[1] Alternatywa trzecia: rządy bez parlamentu nie wchodzi w rachubę. Alternatywa ta znaczy albo: stworzenie takiego ustroju, w którym parlament nie będzie istniał — a o tem nikt poważny w Polsce nie myśli i nie mówi. Albo znaczy: chwilowe nieistnienie parlamentu i (tak trzeba uzupełnić hasło rozwiązania parlamentu bez zarządzania nowych wyborów) chwilowe przelanie jego praw na inne organy państwowe; i ta ewentualność nie jest bynajmniej rozwiązaniem sytuacji, lecz jedynie odroczeniem rozwiązania — tak samo jak to, co dziś w Polsce istnieje.

się na stworzenie takiej sytuacji, w której byłaby konieczna decyzja, w której istnienie rządów pomajowych przy zachowaniu form legalności okazałoby się niemożliwem. Być może, że takie unikanie konfliktu, z którego legalne wyjście mogłoby się okazać niewykonalnem, było dowodem pewnego umiaru, pewnej ostrożności politycznie uzasadnionej po stronie parlamentu, ale niemniej ono to było przyczyną, dla której dotąd trwa stan, jaki zaistniał w maju 1926 r. — stan rozbieżności między zasadami konstytucji a praktyką konstytucyjną w Polsce.

III

Z tego punktu widzenia możliwość takiego kompromisu, któryby był czemś więcej aniżeli dalszem odroczeniem decyzji, któryby był przeto stanowczem rozstrzygnięciem konfliktu — wydaje się utopją. Kompromis jest możebny między różnemi interpretacjami tych samych zasad, jest możebny między systemami, opartemi na tych samych założeniach, kompromis między najistotniej sprzecznemi założeniami nie jest możliwy.

IV

Z tego punktu widzenia jest rzeczą drugorzędną, czy rządzi premjer Bartel, czy rządzi premjer Sławek, czy rządzi człowiek „współpracy z Sejmem", czy rządzi człowiek będący czerwoną płachtą dla opozycji. Istotnem jest, czy dany rząd przyspiesza decyzję w konflikcie, czy też ją odwleka. Jak długo zaś nie wiemy, na jakim terenie ma zapaść decyzja, tak długo odpowiedź na to pytanie prawie że nie jest możebna. Na pytanie: czy nowy gabinet wzmacnia sytuację regimu a przez to ułatwia przyspieszenie decyzji, można odpowiedzieć przedewszystkiem pytaniem: wobec kogo wzmacnia?

a) Czy nowy gabinet wzmacnia sytuację regimu wewnątrz własnego obozu? Sądzić możnaby, że tak. Na czele rządu staje prezes sejmowego klubu rządowego. Władza dostaje się w ręce członka tej grupy, która podobno miała się odnosić z nieufnością do poprzedniego rządu. Nowy premjer ma być człowiekiem szczególnego zaufania faktycznego dyktatora, a przeto będzie miał zapewne wobec swych kolegów w rządzie i swego obozu w społeczeństwie szczególnie mocne stanowisko. Przytem ma przed sobą okres rządów bez codziennej opozycji sejmowej, a więc okres stosunkowej swobody. A Sejm nawet nie zdążył mu pozostawić przy zamknięciu sesji wspomnienia na miesiące wakacyjne, w tej formie w jakiej to uczynił zeszłego roku ówczesnemu gabinetowi z sprawą Czechowicza.

b) Czy nowy gabinet wzmacnia sytuację regimu wobec społeczeństwa? Odpowiedź poczęści dadzą może wybory, jakie się odbędą niedługo w szeregu okręgów. Odpowiedź to zresztą wątpliwej wartości, gdyż trudno z niej wyciągać wnioski o nastrojach w całym

kraju. Gdyby frekwencja wyborcza — podobnie jak przy wyborach w lutym b. r. w okręgu sandomierskim — był nieznaczną, wnioskowaćby należało, że namiętności opozycyjne nie rosną, ale że równocześnie zaznacza się apatja a więc pośrednio i zobojętnienie do regimu. Zobojętnienie może nie być niebezpieczne, jak długo istnienie regimu zależy od decyzji z góry, może się natomiast okazać katastrofalne wtedy, gdyby regime pragnął uzyskać aprobatę swej działalności i programu od mas.

c) Czy nowy gabinet oznacza wzmocnienie regimu wobec Sejmu? Pytanie — wobec faktu, iż sesja została zamknięta — pozornie nieco nieaktualne. Tylko pozornie jednak: zamknięcie sesji jest ulgą dla rządu w centrum i ulgą na czas zamknięcia. Zamknięcie Sejmu jest natomiast przeniesieniem sesji do każdej gminy, w której się odbywa wiec poselski, a konsekwencje tych sesyj i sesyjek dadzą się uczuć później dopiero. Nie ulega wątpliwości, że zamknięcie sesji stanie się miłym tematem dla agitacji: rząd uniemożliwił sejmowi wprowadzenie ulg podatkowych w tak ciężkiej sytuacji gospodarczej, rząd odroczył ratyfikację umów z Niemcami, które sam uważa za swój sukces, rząd bagatelizuje sprawę reformy konstytucji, skoro nie pozwala sejmowi nad nią obradować. Nie ulega wątpliwości, że znajdą się kontrargumenty na te zarzuty, ale nie ulega wątpliwości, że w ciężkiej sytuacji gospodarczej rację wobec wyborcy ma ten, kto krytykuje, a winowajcą jest ten, kto rządzi.

V

W tej sytuacji jakże często pojawia się apel o rozwagę do stron obu. Walka o władzę ma tę właściwość szczególną, że odbiera rozwagę zarówno tym, którzy swej władzy bronią, jak i tym, którzy władzę utracili i chcą ją odzyskać, może tym drugim w wyższym stopniu. Jedyne, co pozostaje społeczeństwu w takiej sytuacji, to pragnienie, by decyzja w konflikcie nastąpiła możliwie szybko. Nie jest dobrze dla demokracji i nie jest dobrze dla państwa, gdy decyzja następuje dopiero w chwili, w której społeczeństwo jest już tak znużone i apatyczne, iż przyjmie każdą decyzję — niezależnie od jej treści — z uczuciem ulgi, iż się nareszcie coś stało. Są podstawy do obaw, iż społeczeństwo polskie jest już bardzo znużone.

Konstanty Grzybowski

30 marca 1930.

NOWE WYDAWNICTWA

Z NOWSZEJ LITERATURY FRANCUSKIEJ O AMERYCE

Republika Stanów Zjednoczonych powstała do niepodległości politycznej przy pomocy Francji i ukształtowała się ustrojowo pod wpływem francuskiej filozofji wieku oświecenia i francuskiej ideologji rewolucyjnej. Nic więc dziwnego, że i dalsze losy tego naj-

większego w dziejach powszechnych eksperymentu w dziedzinie demokracji politycznej i społecznej żywo Francję interesować musiały. Jest rzeczą zupełnie naturalną, że pierwszym myślicielem politycznym, co przedstawił czytelnikowi europejskiemu pełny obraz wielkiej demokracji amerykańskiej, był Francuz, Al. de Tocqueville.

W nowszych czasach przybyły inne jeszcze motywy żywego zajęcia się Ameryką we Francji. Już przed wojną Stany Zjednoczone na oczach świata europejskiego poczynały wyrastać na jedną z największych w świecie potęg ekonomicznych, i Nowy York poczynał skutecznie konkurować z Paryżem jako finansową stolicą świata Po wojnie Ameryka, która stała się czynnikiem decydującym o zwycięstwie i arbitrem konferencji pokojowej, jako największy wierzyciel świata, mimo pozorów izolacji w stosunku do Europy wywiera wpływ stanowczy na bieg wszystkich wielkich spraw międzynarodowych, zarówno gospodarczych, jak i politycznych, i jest już ze względu na tę swą hegemonję przedmiotem powszechnej uwagi. Ponadto jeszcze zubożała Europa, trapiona tysiącem wewnętrznych niedomagań społecznych, aż nazbyt pochopnie wzoruje się pod każdym względem na szczęśliwej i bogatej społeczności amerykańskiej: amerykanizuje się szybko nietylko pod względem technicznym, ale także socjalnym i obyczajowym.

Francja z konieczności szczególnie pilnie śledzić musi tę nową rolę Ameryki. Jako najboleśniej zniszczone przez wojnę wielkie mocarstwo, najdotkliwiej odczuwa ciężar zadłużenia u Ameryki; jako górująca militarnie zwycięska potęga na kontynencie najprzykrzej dotknięta jest nieoficjalnym a dominującym wpływem Ameryki na całą powojenną politykę europejską; wreszcie jako najbliższy i ulubiony kontynentalny teren corocznych wycieczek kroci tysięcy turystów amerykańskich najbardziej bezpośrednio nastawiona jest na działanie owej amerykanizacji obyczajowo-kulturalnej, która tak znamienne nadaje piętno naszej epoce życia europejskiego.

Z tych wszystkich powodów publikacje o Ameryce u Francuzów, którzy dawniej wobec innych narodów zajmowali może bardziej jeszcze wyspiarską postawę, niż Anglicy, poczęły w latach powojennych płynąć niemniej szeroką rzeką, niż u Niemców, którzy przecież zawsze byli „komiwojażerami inteligencji“ i już przed wojną potężną bibljografję dzieł o Ameryce posiadali.[1]

[1] Dziełem niemieckiego uczonego, osiadłego w Ameryce, była wszakże głośna w Europie przedwojennej i tłumaczona na wiele języków praca H. Münsterberga *Die Amerikaner*. Z powojennej literatury niemieckiej o Ameryce, ze względu na walory czy to naukowe, czy literacko-publicystyczne, zasługują na wyszczególnienie: M.-J. Bonn, *Amerika und sein Problem* (Monachjum, Meyer & Jessen, 1925), A. Feiler, *Amerika-Europa* (Frankfurt a. M., Sozietäts-Druckerei, 1928), W. Fischer, *Hauptfragen der Amerika-Kunde* (Bielefeld i Lipsk, Velhagen & Klasing, 1928). Po angielsku opisał swe wrażenia z objazdu odczytowego po Ameryce znany filozof H. Keyserling z Darmstadtu p. t. *America Set Free* (Londyn, Cape, 1930).

Na tę dzisiejszą wielką rzekę książek francuskich o Ameryce, płynących z pod prasy bezustannie i obficie, składają się przeróżne strugi.

Jedną z nich, może najmniej głęboką, ale najbardziej wartko i stale płynącą, stanowi ta część francuskiej literatury o Ameryce, którą nazwałbym literaturą dziennikarską. Składają się na nią zebrane w formie książkowej artykuły o problemach amerykańskich lub korespondencje z podróży po Ameryce wybitnych publicystów. Tak już wkrótce po wojnie ceniony zdawna jako znawca społeczeństw anglosaskich Firmin Roz wydał tom *L'Amérique Nouvelle* (Paryż, Flammarion, 1923), który jednak już w swoich podtytułach (*Les États-Unis et la guerre, Les États-Unis et la paix*) wyraźnie zapowiada, że ogranicza się do badania postawy Stanów Zjednoczonych wobec problemów międzynarodowych, związanych z wojną i jej następstwami. Wewnętrzne natomiast zjawiska społeczne amerykańskie ma za przedmiot dość sensacyjna w treści i tonie serja korespondencyj, które ich autor, p. Ferdynand Corcos, zebrał pod ironicznym tytułem *L'Amérique... un paradis?* (Paryż, Aubier, Éditions Montaigne, 2-gie wyd., 1929). Pan Corcos jest członkiem znanej nam w Polsce ze swych wystąpień Ligi Ochrony Praw Człowieka i objawia silne komuuistyczne sympatje: w książce swej usiłuje wykazać, że w społeczeństwie amerykańskiem przy całym jego dzisiejszym dostatku tkwi materjał do rewolucyjnej walki klasowej; z podobną tendencją zbierał niedawno swe obrazki amerykańskie wybitny niemiecko-czeski reżyser filmowy i pełny werwy dziennikarz Egon Erwin Kisch i nawet pod podobnym tytułem je wydał (*Paradies Amerika*, Berlin, E. Reiss, 1930). Wreszcie wspomnieć należy, że wszystkie rekordy w zakresie książek tej kategorji pobił we Francji niedawno najbardziej „amerykański" z usposobienia pisarz francuski naszych dni, Paul Morand, przez swą książkę *New York* (Paryż, Flammarion, 1929), której 100.000 egzemplarzy rozeszło się w pierwszym miesiącu po wydrukowaniu.

Do drugiej i wyższej kategorji książek francuskich o Ameryce należą takie, do których materjału również dostarczają spostrzeżenia nad współczesnem życiem amerykańskiem, których autorowie jednak umieli ująć całokształt swych obserwacyj syntetycznie i wznieść się do filozoficznych i socjologicznych uogólnień. Jako książki tego typu, może najsilniej pobudzające do myślenia z całej tej literatury, wyszczególniłbym przedewszystkiem dwa tomy, w których wielkim problemem przyszłego stosunku Ameryki do Europy zajął się dawniejszy historyk, a obecny głośny socjolog, Lucien Romier (*Qui sera le maître? L'Europe ou l'Amérique?* Paryż, Hachette, 1928. *L'homme nouveau*, tamże, 1929). Nikt może z publicystów naszych czasów w tak wstrząsająco dobitny sposób nie uprzytomnił publiczności europejskiej, że cała cywilizacja europejska, ten mały zlepek narodów, dziś wtłoczony

między dwa gigantyczne organizmy, super-kapitalistyczny amerykański i super-socjalistyczny sowiecki (z budzącą się Azją za jego plecami), znajduje się w nader krytycznej chwili swego istnienia. *En cinquante ans l'Europe sera républicaine ou cosaque* — tej historycznej przepowiedni Napoleona p. Romier nadaje kształt nowoczesny, stawiając Europę XX-go wieku przed alternatywą amerykanizacji lub bolszewizacji. Z niemniejszą siłą wykazał p. Romier, że Ameryka jedna w świecie dziś naprawdę rozwiązała problemat zaspokojenia tych „mas ekonomicznych", które są głównem zagadnieniem całej przeludnionej i zbiedniałej Europy. Romier wreszcie umiał ze szczególną wyrazistością nakreślić typ człowieka nadchodzącej ery maszynowej — *l'homme nouveau* — który będzie miał sporo rysów dzisiejszego Amerykanina.

Obok prac Romier'a, rzuconych jakby wyzwanie całej powojennej kulturze europejskiej, postawić należy mojem zdaniem, i to na wysokiem miejscu, w tej kategorji socjologiczno-filozoficznej, zdumiewającą prawdziwie książkę francuską, której autor, H. Dubreuil, jest kwalifikowanym robotnikiem fabrycznym, mechanikiem, i jako taki wybrał się na rok pracy do różnych wielkich amerykańskich zakładów przemysłowych (m. i. fabryk Forda), a po powrocie spisał swe spostrzeżenia i konkluzje (*Standards. Le travail américain vu par un ouvrier français.* Paryż, B. Grasset, 1929, w serji „Les Écrits"). Zamiast oczekiwanego punktu widzenia walki klasowej znajdujemy w tej rewelacyjnej książce robotnika stosunek nawskróś optymistyczny i afirmatywny do amerykańskich metod racjonalizacji metod pracy (które z innej strony piętnuje się jako nową „pańszczyznę"!), i co więcej, spotykamy się ze spokojnem i przekonywującem dowodzeniem, że wyspecjalizowana i monotonna praca przy maszynach wcale nie działa zabójczo ani na nerwy, ani na inicjatywę indywidualną, ani na godność osobistą robotnika. Nie znam w literaturze naszych czasów podobnie realnego i zrównoważonego obrazu życia robotniczego, jak ten opis warunków pracy przemysłowej w Ameryce, kreślony przez robotnika francuskiego nietylko z prostotą i szczerością bezpośrednich przeżyć, ale z iście francuską jasnością i trzeźwością, i, trzeba dodać, z francuskiem prawdziwie połączeniem dobrego smaku i umiaru w wyrażeniu ze swadą i temperamentem w przedstawieniu rzeczy.

Przechodzimy do trzeciej kategorji, wśród mojej lektury francuskiej z natury rzeczy figurującej w największej ilości przykładów. Chodzi bowiem o prace moich kolegów, o książki profesorskie. Bogactwo Ameryki, a ubóstwo powojennej inteligencji europejskiej sprawiło, że po wojnie znacznie się ożywił rozpoczęty już dawniej ruch wymiany profesorów między wyższemi uczelniami obu kontynentów. Nawiązane w czasie wojny stosunki między aljantami stały się źródłem częstych zaproszeń profesorów francuskich z wykładami na uczelnie amerykańskie. Uczeni francuscy różnych kategoryj — od socjologów i prawników do historyków

literatury i filozofji — skwapliwie zazwyczaj z tych zaproszeń korzystają, i spędziwszy nieraz po kilka lat za Oceanem, wiele oczywiście mają czytelnikowi europejskiemu o Ameryce do opowiedzenia.

Naczelne stanowisko w tej kategorji „profesorskiej" zajmuje dzieło, które już dziś w całej Europie uchodzi za *standard work* naszej doby o Ameryce, i nawet w Ameryce samej w przekładzie angielskim wysokie sobie zdobyło uznanie: André Siegfried, *Les États Unis d'aujourd'hui* (Paryż, Colin, 1927). Pan Siegfried, profesor paryskiej Szkoły Nauk Politycznych, zwrócił na siebie uwagę przez studja nad Wielką Brytanją i jej dominjami, szczególnie przez obraz trudności politycznych, społecznych i gospodarczych Anglji powojennej, roztoczony w książce *L'Angleterre d'aujourd'hui* (Paryż, G. Crès, 1924). Amerykę przedwojenną i powojenną zna dobrze z czterech dłuższych okresów pobytu w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. W swej książce o Ameryce dał prawdziwą encyklopedję wszystkich najważniejszych problemów Ameryki dzisiejszej. Sam pochodząc ze starej rodziny protestanckiej, był predysponowany do zrozumienia rdzennie protestanckiego charakteru całej cywilizacji narodowej amerykańskiej, i w najciekawszym może, naczelnym dziale swej książki, w nowem zgoła świetle ukazał oddziaływanie momentów religijnych na wszelkie dziedziny życia amerykańskiego. Niemniej wnikliwie zobrazował stosunek starszego żywiołu amerykańskiego do różnych fal nowszej immigracji z Europy, oraz do żywiołów mniejszościowych innej rasy, jak murzyni, Chińczycy i Japończycy. Obszerne części książki poświęcone są stosunkom gospodarczym i skarbowym oraz psychice politycznej narodu amerykańskiego i układowi partyjnemu. Nie brak oczywiście osobnych rozdziałów o prohibicji, o walce przeciw uczeniu teorji ewolucji w szkołach, o Ku-Klux-Klanie, o przesileniu w rolnictwie, o stosunku Ameryki do Anglji, do Francji, do dominjów brytyjskich. Słowem, mamy tu zamknięte w ramach stosunkowo niewielkiego tomu opracowanie tak wyczerpujące, że najwyższą chyba pochwałę można mu oddać, stwierdzając, iż jako podręcznik wiedzy o Ameryce dla Europejczyka zbiło z pola klasyczne dotąd dzieło angielskiego prawnika J. Bryce'a *The American Commonwealth* (2 t., Londyn, Macmillan, 4-te wyd., 1918).

Obok Siegfrieda na front wśród amerykanologów francuskich wybił się szybko w ostatnich latach prof. Régis Michaud, który spędził szereg lat na katedrze uniwersyteckiej w Ameryce i na tej podstawie specjalizował się w swej działalności pisarskiej do badań nad historją literatury i filozofji amerykańskiej. Już w uwieńczonych przez Akademję Francuską studjach *Mystiques et réalistes anglosaxons* (Paryż, Colin) poświęcił szczególniejszą uwagę naczelnemu myślicielowi Ameryki, wzniosłemu R. W. Emersonowi. Emerson też stał się przedmiotem całego szeregu dal-

szych jego gruntownych prac.[1] Ale ponadto prof. Michaud śledzi bacznem okiem rozwój psychiczny Ameryki współczesnej, i na tem polu daje nam może najbardziej interesujące dla szerszego ogółu rzeczy. A więc ilustruje psychikę amerykańską doby obecnej, wydając w przekładzie francuskim zbiory wyjątków z pism wybitnych współczesnych publicystów, jak dowcipny redaktor miesięcznika *American Mercury*, satyryk H. L. Mencken lub wybitny krytyk literacki, a entuzjastyczny syjonista, Ludwik Lewisohn.[2] Z takich i podobnych studjów źródłowych wyrosła wielka praca o współczesnej powieści amerykańskiej, przedstawiająca jej rozwój na tle prądów duchowych, nurtujących społeczeństwo Stanów Zjednoczonych przed wojną i po niej (*Le roman américain d'aujourd'hui*. Paryż, Boivin, „Bibliothèque de la Revue des Cours et Conférences", 1926). Obok niej staje zwięźlejsza synteza całego nowszego piśmiennictwa amerykańskiego (*Panorama de la littérature américaine*, Paryż, Kra, 1926). Wreszcie jako nadbudowa najogólniejszych wniosków nad całym tym ogromem badań i doświadczeń mistrzowska mała książeczka, dająca bezstronną charakterystykę duszy narodowej amerykańskiej z jej zaletami i wadami: *Ce qu'il faut connaître de l'âme américaine* (Paryż, Boivin, 1929).

Obok systematycznego obrazu nowszego powieściopisarstwa amerykańskiego, jaki dał w swej cennej i obszernej monografji Michaud, jego koleżanka prof. Léonie Villard w Lyonie postawiła jeszcze bardziej systematyczną i aż nazbyt może szczegółową historję literatury dramatycznej w Stanach Zjednoczonych od jej początków aż do naszych dni (*Le théâtre américain*, Paryż, Boivin, 1929). Nie autorki to wina, jeżeli obraz wypadł z konieczności daleko mniej zajmująco, niż praca Michaud'a o powieści. Gdy Michaud miał za temat bujny rozkwit powieści w naszej dobie i całą plejadę wysoce oryginalnych talentów powojennych (Sinclair Lewis, Th. Dreiser, J. B. Cabell, Sherwood Anderson i inni), pani Villard wypadło śledzić rozwój teatru spętanego (tak samo jak teatr angielski XIX i XX wieku) przez czysto komercjalne dążności przedsiębiorców teatralnych, i zrzadka tylko w tych warunkach wydającego tak żywiołowe talenty, jak górujący nad całą nowszą amerykańską produkcją dramatyczną Eugenjusz O'Neill.

Nie tak systematycznie, jak Michaud lub pani Villard, ale zato z orzeźwiającą świeżością osobistego doświadczenia, piszą o Ameryce niektórzy inni uczeni francuscy, co studjom nad jej literaturą specjalnie się nie poświęcili, ale bystro obserwowali jej życie na swych objazdach odczytowych. Najrozkoszniejszy może owoc takiej

---

[1] *La pensée américaine. Autour d'Emerson* (Paryż, Bossard). — *L'Esthétique d'Emerson* (Paryż, Alcan). — *Autobiographie d'Emerson* (tłumaczenie, 2 t., Paryż, Colin). — *La vie inspirée d'Emerson* (Paryż, Plon).

[2] *Collection des écrivains et penseurs américains, publiée sous la direction de Régis Michaud* (Paryż, Boivin): H. L. Mencken: *Préjugés*. — L. Lewisohn, *Poésie et vérité*.

wyprawy odczytowej dał nam wielki badacz Pascala, Fortunat Strowski, w swym zbiorku notatek i aforyzmów, przyobleczonych w kostjum stylistyczny z XVII wieku: *La Bruyère en Amérique. Les caractères ou les moeurs de ce siècle* (Paryż, J. Tallandier, 1929). Z wykwintnym dowcipem wytykając Ameryce różne jej słabości i śmieszności stylem „Charakterów" La Bruyère'a, znakomity autor łagodzi ostrze tej dowcipnej krytyki i zarazem pogłębia ją filozoficznie, zaznaczając na każdym kroku, że stara Europa przecież na takie same wady cierpi i niema się znowu co tak bardzo nad Amerykę wywyższać z racji swego starszeństwa cywilizacyjnego.

Wolno może mimochodem wyrazić nadzieję, że podobny tomik dowcipnych *aperçus* krytycznych o Ameryce zechce nam w wolnej chwili dać niemniej znakomity Strowskiego kolega w Sorbonie, a nasz równie szczery przyjaciel, profesor Ferdynand Baldensperger. Spędził wszakże trzy lata na wykładach w Ameryce, a z czarującej konferencji, którą miał o swoich impresjach amerykańskich do szczupłego grona słuchaczy w Krakowie w maju 1929 r., wynieśliśmy przekonanie, że obfitość materjału do takiej książki w jego subtelnym umyśle jest nagromadzona w stanie gotowym.

Trzymajmy się jednak narazie tych książek, które już mamy! Otóż w rzędzie uczonych francuskich, piszących o Ameryce, niepoślednie miejsce w ostatnich czasach zajął profesor Franck L. Schoell. Nazwisko jego dobrze jest znane i cenione u nas w Polsce.[1] Żonaty z Krakowianką, zainteresował się naszem życiem narodowem, zaznajomił z językiem i piśmiennictwem, pierwszy przez artykuł w poczytnym miesięczniku *Revue de Paris* w 1918 r. zwrócił uwagę czytelnika francuskiego na Reymonta, gdy o nim jeszcze głucho było na zachodzie Europy, a wreszcie położył wielką zasługę około znajomości naszej literatury w całym świecie przez całkowity francuski przekład *Chłopów* (*Les Paysans*, 4 t., Paryż, Payot, tłumaczenie uwieńczone przez Akademję francuską). Przełożył także *Hanusię* ze *Szkiców syberyjskich* Adama Szymańskiego i *Pielgrzymkę na Jasną Górę* Reymonta.

W zakresie swojego właściwego przedmiotu, literatury angielskiej, p. Schoell, po różnych drobniejszych rozprawach i wydaniu ciekawego anonimowego dramatu z epoki szekspirowskiej, którego bohaterem jest Karol Wielki (*The Distracted Emperor*, Princeton University Press), zdobył sobie powszechne uznanie przez kapitalny tom studjów o wpływie humanizmu kontynentalno-europejskiego na renesans angielski (*Études sur l'humanisme continental en Angleterre*, Paryż, Champion, 1926), — pracy, tak samo jak przed nią przekład *Chłopów*. uwieńczonej przez Akademję Francuską. Zajął się w tych studjach głównie postacią jednego z najuczeńszych wśród grupy wielkich poetów dramatycznych wokoło Szekspira, mianowicie

[1] Por. *Przegląd Współczesny* z sierpnia 1929 r.

Jerzym Chapmanem, i udało mu się wyśledzić u Chapmana i kilku innych wykształceńszych pisarzy jego wieku dowody na rozległe ich oczytanie w tak różnorodnych pomnikach ducha renesansowego Włoch, Francji i Europy środkowej, jak dzieła hellenistów francuskich i mitologistów włoskich owego wieku, jak wytwory subtelnej myśli idealistycznej florenckiego platonika Marsilio Ficino, jak *Adagia* wielkiego Erazma z Rotterdamu, jak wreszcie łaciński „Epiktet" Hieronima Wolfa. Książka rzuciła snop nowego światła na żywą międzynarodową wymianę idei w Europie XVI wieku, i zarazem stanowi piękny dokument gruntownej znajomości profesora Schoella z wielkiemi osobistościami twórczemi owej świetnej epoki kultury nowoczesnej. Inny, przygodny dowód erudycji autora w tej właśnie dziedzinie mieliśmy kilka lat temu w postaci odczytów z tego zakresu, które jako gość Uniwersytetu Jagiellońskiego wygłosił w Krakowie.

W Ameryce spędził profesor Schoell razem dziesięć lat, wykładając język i literaturę francuską po różnych szkołach akademickich na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych, od Nowego Orleanu na południu do Chicago na północy, i od Nowego Yorku na zachodzie do *Berkeley College* koło San Francisco nad Pacyfikiem. Owocem tej działalności stało się kilka publikacyj o rzeczach francuskich dla czytelników amerykańskich;[1] owocem dla nas Europejczyków ciekawszym są dwa tomy studjów o problemach Ameryki współczesnej (*La question des noirs aux États-Unis*, Paryż, Payot, 1923; *U. S. A. du côté des blancs et du côté des noirs*. Paryż, H. Champion, 1929).

W obu tomach na front wśród zagadnień Ameryki dzisiejszej wysunięta jest kwestja murzyńska. Profesor Schoell sam nam opowiada w przedmowie do drugiego tomu, jak pewnego dnia w r. 1919, idąc na wykład w uniwersytecie chicagoskim, stał się świadkiem wybuchów anty-murzyńskich, które trwały potem kilka dni i przybrały charakter pogromów. Miał w ten sposób demonstrację *ad oculos* całej grozy tego wielkiego zagadnienia w tej jego nowej fazie, która wynikła, gdy murzyni w czasie wojny z dawnych swych siedzib na południu Stanów ławą ruszyli do miast przemysłowych na północy, by pozajmować miejsca w fabrykach, opróżnione przez masową mobilizację białych, i potem już na dobre się rozsiedli w całych rozległych dzielnicach miejskich Nowego Yorku, Chicago i innych ośrodków życia gospodarczego.

Ale nie było ponoś trzeba widoku wstrząsających wypadków chicagoskich, by szczególne zainteresowania profesora Schoella na ziemi amerykańskiej zorjentować w kierunku sprawy murzynskiej. Wyniósł wszakże z domu właściwe każdemu światłemu Francuzowi naszych dni przeświadczenie o doniosłości tej kwestji, z którą

[1] *Le Folklore au village* (N. York, Putman); *La femme française* (tamże); *La nouvelle France* (N. York, H. Holt); *Le Paris d'aujourd'hui* (tamże).

Francja porać się musi w swem rosnącem imperjum kolonjalnem, i porze się, trzeba dodać, może w najskuteczniejszy na świecie sposób, tworząc zastępy swoich lojalnych i patrjotycznie dumnych *Français noirs*.

Nietylko jako Francuz jednak, ale także z szerszego, ogólnoeuropejskiego punktu widzenia musiał p. Schoell z wielkiem zajęciem spoglądać na stan kwestji murzyńskiej w Ameryce. Wszakże to olbrzymie zagadnienie 10-miljonowej mniejszości rasowej wśród 120-miljonowego społeczeństwa, silnie się konsolidującego politycznie i ujednostajniającego kulturalnie w ostatnich czasach, było jakby klasycznym w swym ogromie przykładem tych licznych zagadnień mniejszościowych w Europie powojennej, które przy nowym jej układzie politycznym wszędzie jak grzyby po krwawym deszczu wystrzeliły z ziemi.

Profesor Schoell studjował kwestję murzyńską w Amerycę nietylko przez lekturę licznych, poświęconych jej publikacyj statystycznych i socjologicznych, ale także *in anima vili*: chodził do dzielnic murzyńskich, miewał odczyty do murzyńskiej młodzieży akademickiej, rozprawiał z inteligencją murzyńską, zagłębiał się w rosnącą szybko murzyńską belletrystykę i publicystykę w języku angielskim.

Konkluzje, jakie z tych rozległych spostrzeżeń wyciągnął francuski uczony w swym pierwszym tomie, specyficznie kwestji murzyńskiej poświęconym, nacechowane są typowo francuską, nieubłaganą ścisłością rozumowania. Matematycznie prawie wykazał prof. Schoell w swych rozstrząsaniach, że wszystkie sposoby rozwiązania kwestji murzyńskiej w Ameryce, jakieby się logicznie dały pomyśleć, są jednakowo nierealne w danych warunkach faktycznej sytuacji. Sprowadzają się one w gruncie rzeczy do trzech rozumowych możliwości. Pierwsza z nich, to przesiedlenie wszystkich murzynów ze Stanów Zjednoczonych do ich pierwotnej ojczyzny, Afryki: idea najoczywiściej równie utopijna, jak myśl ześrodkowania wszystkich żydów w Palestynie. Druga ewentualność, stworzenie osobnego murzyńskiego Stanu w Ameryce na wzór „rezerwacyj" dla Indjan czerwonoskórych, przy ogromnej liczebności i powszechnem dziś rozsiedleniu murzyństwa po całych Stanach jest również zgoła niewykonalną. Trzecią wreszcie i jedyną pozostającą jeszcze alternatywą, t. j. współżycie, świadomość narodowa amerykańska (tak samo jak brytyjska) zasadniczo z oburzeniem odrzuca, o ileby miało chodzić o legalizowaną fuzję obu ras w ten sposób, w jaki ona zdawna już jest przyjętą i praktykowaną w państwach Ameryki łacińskiej. O ile zaś chodzi o przyznanie murzynom rzeczywiście równych praw politycznych, społecznych i towarzyskich, postulat ten, teoretycznie w konstytucji Stanów Zjednoczonych zawarty, ale przez Stany południowe nigdy nawet formalnie nie przyznany, obecnie, w miarę narastania mas murzyńskich w miastach Północy, także tam na coraz silniejszy opór natrafiać poczyna.

Poza takiemi rozważaniami nad teoretycznem załatwieniem sprawy niepowstrzymanie dokonywują się oczywiście pewne faktyczne procesy społeczne. A więc z jednej strony wprawdzie we wielu Stanach związki małżeńskie między jednostkami rasy białej a czarnej są nawet ustawowo zakazane, ale związki nielegalne widocznie są nader częste, skoro wśród spotykanych w Ameryce murzynów oglądać możemy całą gamę kolorów skóry, od lśniąco-czarnego do jasnośniadego, i całą rozmaitość rysów twarzy, od typowo murzyńskich do takich, które z powodzeniem uchodzić mogą, powiedzmy, za hiszpańskie. Z drugiej strony nic też nie powstrzyma narastania wśród murzynów coraz liczniejszego zastępu nietylko robotników wysoko wykwalifikowanych i nietylko wzbogaconych prawdziwie po amerykańsku dorobkiewiczów, ale inteligencji akademickiej wszelkich kategoryj, a nadewszystko artystów wszelakiego autoramentu (pisarzy i plastyków, aktorów, śpiewaków i tancerzy) o światowej nieraz sławie: naród to bowiem (podobnie jak Rosjanie) obdarzony wrodzonym zmysłem artystycznym w wysokim stopniu i szerokim zakresie.

Te zjawiska wciąż zmieniają oblicze kwestji murzyńskiej w Ameryce, coraz bardziej je komplikują i pod niektóremi względami obostrzają. Toteż z obserwacji bezpośredniej życia amerykańskiego ten sam wyłania się wniosek, co z lektury książek profesora Schoella: że r o z w i ą z a n i a tej kwestji niema, tylko może i musi być jej r o z w i ą z y w a n i e w coraz nowych sytuacjach, które bieg życia społecznego wytwarza. I tu właśnie leży główna analogja między sprawą murzyńską w Ameryce a różnemi problemami mniejszościowemi u nas w Europie i szczególnie w Polsce, choćby problemem żydowskim (który już przed wielu laty z kwestją murzyńską w koloniach białej rasy zestawił w swym podręczniku socjologji Gumplowicz).

Kwestja murzyńska także w drugim tomie studjów amerykańskich profesora Schoella wybija się na plan pierwszy. A więc otrzymujemy obszerne rozdziały o wielkich dzielnicach murzyńskich w dwóch największych miastach, Chicago i N. Yorku: w rozdziale chicagoskim autor żywo przedstawia własne spostrzeżenia z okresu pamiętnych pogromów r. 1919, z nowoyorskiego znowuż dowiadujemy się nader ciekawych rzeczy o rozwoju literatury i sztuki murzyńskiej, oraz o pewnych nowszych przemianach w świadomości rasowej i postawie psychicznej murzyna amerykańskiego.[1]

Obok problemów murzyńskich drugim głównym ośrodkiem zainteresowań profesora Schoella jest oczywiście życie rozrzuconych

---

[1] Tu występuje na jaw w uderzającej formie wspomniane powyżej podobieństwo do kwestji żydowskiej w naszych stronach Europy: możnaby przeprowadzić ścisłą analogję między rozwojem ideologji syjonistycznej a procesem potęgowania się poczucia godności rasowej u murzyna: myśli palestyńskiej np. odpowiada ruch ideowy panafrykański wśród murzynów.

po Ameryce grup plemiennych pochodzenia francuskiego. Tu znowuż czytelnikowi nasuwają się na każdym kroku analogje do położenia naszego wychodźtwa. A więc czytając barwne szkice z życia osad rolniczych alzackich w stanach Illinois i Iowa, myślimy o rolnikach polskich, uprawiających z powodzeniem cebulę i tytoń w dolinie rzeki Connecticut lub o wsiach górnośląskich w głębi dalekiego Texas. A gdy z żywem zajęciem specjalnie językoznawczem zagłębiamy się w studjum o „agonji języka francuskiego" w stanie Louisiana (odkupionym od Francji w r. 1803), przypominamy sobie z uśmiechem ustępy z noweli Sienkiewicza *Za chlebem* o mieszaninie polsko-angielskiej, którą mówi chłop polski w Ameryce, i budzi się życzenie, by ktoś na gruncie amerykańskim poświęcił się badaniu tych zjawisk językowych wśród wychodźtwa, jak to już czynią u siebie Czesi amerykańscy.

Widzimy z podanych prób, że profesor Schoell w swych studjach nad społeczeństwem amerykańskiem bynajmniej się nie ograniczył do tej powierzchownej znajomości ze skonwencjonalizowanem obliczem wielkich miast, na jakiej zwykle poprzestają piszący o Ameryce Europejczycy, lecz wyruszał na prawdziwe podróże odkrywcze wgłąb mało znanych okręgów rolniczych i przywoził z nich podobnie osobliwe wrażenia jak te, z których jego rodak L. Thomas zbudował całą głośną książkę *Les États-Unis inconnus* (Paryż, Perrin, 1919, II wyd. 1920). Jedną z najciekawszych tego rodzaju wypraw profesora Schoella opisuje jego rozdział o wycieczce do odległego stanu Nevada na zachodzie, gdzie dziś jeszcze można spotkać „prospektorów", *antiquo more* w pojedynkę poszukujących skarbów mineralnych w skalistych pustkowiach, — gdzie z drugiej strony już przed wojną zewsząd zjeżdżały się do małego miasteczka Reno (stolicy stanu) pary, spragnione wyzwolenia z więzów małżeńskich, bo stan Nevada słynął (i słynie) jako stan szczególnie łatwych rozwodów.

Wyszczególniając takie nader interesujące momenty, nie chcę jednak wywołać wrażenia, jakoby książka profesora Schoella obejmowała wyłącznie lub głównie *curiosa* życia amerykańskiego, pozbierane po zapadłych zakątkach. Owszem, nie brak tam należytego uwzględnienia tych wielkich problemów amerykańskich, które nadewszystko Europę dziś zajmują. Przykładem tej kategorji jest rozdział, nader żywo opisujący konwencję partji republikańskiej w roku 1920, która uchwaliła kandydaturę Hardinga na prezydenta. Jako obraz życia wewnętrznego wielkiego aparatu politycznego demokracji amerykańskiej opis ten w chwili obecnej zasługuje na baczną uwagę społeczeństw europejskich, radzących nad naprawą swego ustroju parlamentarnego i dyskutujących między innemi (jak właśnie i my w Polsce) nad zagadnieniem właściwego sposobu wybierania prezydenta republiki.

Profesor Schoell po swych wędrówkach profesorskich zajął ważne stanowisko natury publicystycznej w biurach Ligi Narodów

w Genewie. Wyda się może paradoksem, a jednak w świetle przytoczonych szczegółów z jego książek będzie chyba rzeczą uzasadnioną powiedzieć, że bogate i wszechstronne doświadczenie; nabyte wśród tego wielkiego społeczeństwa amerykańskiego, które do Ligi Narodów nie należy, z pewnością odda mu wielkie usługi w traktowaniu owych rozlicznych problemów międzynarodowych europejskich, które na forum Ligi Narodów są roztrząsane. A za podzielenie się z nami bogactwem doświadczeń amerykańskich czytelnik europejski będzie autorowi szczególnie wdzięczny w dobie obecnej, gdy wszyscy o Ameryce coraz więcej wiedzieć pragniemy i powinniśmy. Tak samo, jak jego wspomniani powyżej rodacy i koledzy po piórze, tak i profesor Schoell jeszcze raz nam pokazał, że ten najbardziej typowy dla cywilizacji europejskiej naród w Europie, jakim są Francuzi,[1] umie z obserwacji wielkiego i nawskróś odmiennego społeczeństwa poza-europejskiego wyciągnąć najżywotniejsze dla samej Europy nauki.

Roman Dyboski

POLSKA KSIĄŻKA O CHESTERTONIE

Wacław Borowy: *Gilbert Keith Chesterton.* Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1930, stron 328, 8-o.

1

Gdy w r. 1927 Gilbert Keith Chesterton był przez kilka tygodni naszym gościem w Polsce, hołdowaliśmy w jego osobie nietylko pisarzowi o światowej sławie, nietylko szermierzowi najszlachetniejszych ideałów i gorącemu miłośnikowi ludzi, ale przedewszystkiem także rycerskiemu obrońcy naszej Polski przeciw niechęci, niezrozumieniu i oszczerstwom, z jakiemi jej sprawa spotykała się po wojnie szczególnie w krajach anglosaskich. Mieliśmy jednak wtedy także sposobność z dumą Chestertonowi oświadczyć, że długo zanim on zwrócił ku Polsce swe tak cenne dla nas sympatje, twórczość jego u nas już miała swych gorliwych wielbicieli. W pierwszych latach wojny, gdy po całej Europie środkowej z urzędu rozlegało się hasło *Gott strafe England*, ukazała się u nas na cześć tego angielskiego pisarza osobliwa mała książeczka p. t. *Apostoł nierozsądku* (Kraków, Gebethner, 1916). Autor jej, p. Aleksander Patkowski, już w swych przedwojennych latach akademickich w Krakowie z kolegą swym Wacławem Borowym łączył się w entuzjastycznych studjach nad dziełami i ideami Chestertona. Obaj pozostali tej swej młodocianej miłości literackiej wierni także w latach późniejszych, a p. Borowy jako bibljotekarz Uniwersytetu Warszaw-

[1] Tak ich niedawno nazwał Niemiec H. Keyserling w swej książce *Das Spektrum Europas* (Niels Kampmann, Heidelberg, 2 wyd., 1928, str. 73: „Die Franzosen sind das europäische Kulturvolk *par excellence*").

skiego zyskał możność hołdowania jej w praktyce przez skrzętne gromadzenie bibljografji, a nawet ikonografji Chestertonowskiej. Od niego też i z jego zbiorów pochodziły w r. 1927 niektóre z najcenniejszych przyczynków (szczególnie w postaci portretów i karykatur Chestertona) do owych specjalnych „numerów chestertonowskich", któremi *Wiadomości literackie* i *Tygodnik Ilustrowany* powitały znakomitego pisarza na ziemi polskiej. Łącznie z pracą redaktorską p. Borowego nad owemi numerami powstały zapewne początki tej obszernej jego monografji o Chestertonie, która, zaprezentowana częściowo czytelnikom *Przeglądu Współczesnego* w ostatnich dwóch latach, obecnie ujrzała światło dzienne jako spora książka.

P. Wacław Borowy nie od dziś i nie od wczoraj znany i ceniony jest w kołach badaczy literatury polskiej jako jeden z najakuratniejszych i najuczeńszych pracowników na tem polu; a w czasie swej pamiętnej kilkuletniej działalności jako redaktor *Przeglądu Warszawskiego* (1921—1924) dał się poznać i współpracownikom i czytelnikom tego pisma jako uczony niepospolicie szeroko i gruntownie zorjentowany w nowszych literaturach narodów obcych. Ze zrozumiałą zatem ciekawością każdy miłośnik studjów literackich weźmie do rąk nową pracę p. Borowego, — pierwszą większą książkę badacza, którego cenne przyczynki do wiedzy historyczno-literackiej zamykały się dotychczas przeważnie w ramach raczej ciasnych.

2

P. Borowy już przed kilku laty w swej rozprawie doktorskiej o Ignacym Chodźce okazał się nowatorem pod względem metody: stosując do swego przedmiotu mało jeszcze wtedy znaną u nas metodę analizy technicznej nowoczesnego powieściopisarstwa angielskiego, skonstruowaną przez W. Dibeliusa, zdołał przy jej pomocy ujawnić pewne nader ciekawe dla historji kultury ogólnej objawy zależności powieści polskiej w erze romantycznej od powieści angielskiej wieku XVIII. W książce o Chestertonie p. Borowy również pod względem metodycznym poszedł mało na ogół uczęszczaną drogą. Nie dał nam przedewszystkiem życiorysu pisarza, co można ostatecznie usprawiedliwić tem, że Chesterton jest, chwała Bogu, jeszcze przy życiu, ma zaledwie 56 lat, i ze swą bujną żywotnością zapewne długo jeszcze twórczą postacią na widowni literackiej pozostanie. Można jednak żałować, że nie otrzymaliśmy przynajmniej pewnych wiadomości o wykształceniu Chestertona i początkach jego karjery: fakt, że za młodu uczył się rysunków w *Slade School* przy Uniwersytecie londyńskim i dziś jeszcze z temperamentem włada ołówkiem (szczególnie jako karykaturzysta),[1] — ten fakt byłby czytelnikowi może dopomógł zrozumieć, dlaczego wśród

[1] Np. w arcydowcipnej książeczce *Biography for Beginners*, która składa się z rymów humorystycznych E. B. Bentley'a z rysunkami komicznemi Chestertona (Londyn, T. Werner Laurie).

wcześniejszych dzieł Chestertona ni stąd ni z owąd pojawia się doskonałe studjum o malarzu i rzeźbiarzu Watts'ie.

Ale p. Borowy posunął się jeszcze dalej w swej dążności do uniknięcia zwykłego szablonu monografij historyczno-literackich. Oto nie dał nam także zarysu „dziejów myśli" czy „dziejów ducha" pisarza w postaci rozbioru głównych jego dzieł w porządku chronologicznym. Zaledwie w ostatniej części książki otrzymujemy streszczenia kilku powieści Chestertona i jednej jego sztuki, a jako „dodatek" spis chronologiczny tych kilkudziesięciu dzieł Chestertona, które wyszły w formie książkowej.[1] Cóż więc właściwie stanowi zrąb pokaźnej rozmiarami książki? Otóż p. Borowy zapragnął dać czytelnikowi kwintesencję myśli i poglądów Chestertona w układzie systematycznym, a więc opracowanie syntetyczne, które Niemiec zatytułowałby *Chestertons Weltanschauung*. Czyniąc to zaś sposobem mozajkowym, to znaczy układając swój obraz prawie w całości ze starannie dobranych i umiejętnie zestawionych przykładów i cytat z utworów Chestertona, dał nam zarazem to, co znowuż przyjętym niemieckim terminem dla prac tego typu możnaby określić jako *Chesterston-Brevier*.

Zadanie, w ten sposób podjęte, nęciło może wytrawnego pracownika właśnie tem, że w danym wypadku było szczególnie trudne. Niełatwo ująć w syntezę „pogląd na świat" pisarza, który jest jakimś gigantycznym „nad-dziennikarzem" i w ferworze swych żywiołowych zainteresowań pisał naprawdę o wszech rzeczach na niebie i ziemi. Niełatwo też uczynić to w formie „brewjarza" cytat z jego utworów, gdy każda stronica pism Chestertona iskrzy się od bezustannych epigramatycznych fajerwerków dowcipu, proszących się prawie bez wyjątku o zacytowanie. Tej drugiej stronie zadania sprostał p. Borowy w sposob niepospolity, dając nam naprawdę równie obfitą jak trafnie zestawioną antologję charakterystycznych powiedzeń Chestertona o przeróżnych tematach. Ze szczególną rozkoszą przebiegamy choćby zbiór najkapitalniejszych żartów i paradoksów pisarza, podany na str. 215—230, lub zbiór ilustracyj jego niesamowitej zdolności do symboliki i obrazowania, nagromadzonych na str. 238—248.

3

Jakże atoli poradził sobie nasz monografista z ową pierwszą i najistotniejszą stroną swego tematu, — jak ukazał nam „pogląd na świat" swego autora?

Chesterton jest wybitnym przedstawicielem tej szlachetnej umiejętności, którą Carlyle w nieśmiertelnych słowach swego „Sartora" określił jako naukę „o rzeczach wogóle" *(the science of things in general)*. Mówiąc zatem o jego poglądach na wszelakie zagadnienia, które dzisiejszego człowieka interesować muszą, trzeba wciąż mieć na uwadze jego własny tytaniczny paradoks (z wiersza *Ecclesiastes*

[1] Jest ich *netto* 56, tyle ile Chesterton obecnie ma lat!

w zbiorze „Szalony rycerz"): „Jest jedna tylko rzecz niezbędna: wszystko; — reszta, to marność nad marnościami". [1]

Pomny tych słów, p. Borowy rozpoczyna też od „wszystkiego", nadając pierwszej części swej książki tytuł *Świat i człowiek*. Bardzo szczęśliwie *in medias res* duchowego świata chestertońskiego wprowadza nas przez wybór swego tematu rozdział pierwszy tej części *Radość*. Istotnie bowiem, radość, to górująca nuta w twórczości Chestertona. Wciąż na nowo umie on wydobywać temat do uciechy czy zachwytu z rzeczy najpowszedniejszych i najdrobniejszych, nigdy nie przestaje z młodzieńczem uniesieniem „dziwować się" cudom tego Bożego świata.

Warunkiem tego może nie filozoficznego, ale z pewnością poetyckiego „dziwowania się" jest prawdziwie franciszkańska pokora, i jej też jako drugiej naczelnej właściwości postawy Chestertona wobec świata poświęca p. Borowy drugi swój rozdział.

Posuwamy się dalej w głąb zagadnień, umiejętnie i łagodnie wiedzeni, jakby nicią Arjadny, nieprzerwanem prawie pasmem zdań i ustępów z dzieł Chestertona I ani się spostrzegamy, jak opuściliśmy twardy grunt doświadczenia i jego dogmatów, by bujać po przestworzach tego nawskróś irracjonalnego świata, który w samem sercu codziennej rzeczywistości umie odkryć Chesterton.

Z niemniejszą też łatwością z kolei od radosnej afirmacji całego bogactwa dziwów świata przesuwamy się do przeciwnego i niemniej ważnego bieguna myśli chestertonowskiej, do pierwiastka walki. Zło dla Chestertona jest niemniej prawdziwą rzeczywistością w świecie niż dobro, i walka ze złem jest dla niego zasadniczym nakazem życiowym. Że zaś uwielbia śmiech jako szczególnie skuteczną broń w walce ze złem, temu na widok heroicznych bojów, jakie sam wielki humorysta tą bronią stacza, serdecznie przyklasnąć musimy, choć naśladować go w jej użyciu mało kto potrafi.

4

W pogodnej nawskróś naturze Chestertona łączy się tedy, jak to przekonywująco wykazuje p. Borowy, pewien zasadniczy pesymizm z instynktownym optymizmem. Syntezę optymizmu z pesymizmem, najlepiej odpowiadającą jego usposobieniu, Chesterton, wychowany w niereligijnych nastrojach ery materjalistycznej, rychło znalazł w chrześcijaństwie. Wcześnie w jego karjerze rozpoczyna się ta „droga do Rzymu", która się dopiero w kilka lat po wojnie formalnie zakończyła przejściem na katolicyzm. Nasz polski monografista w drugiej części swej pracy, pod tytułem *Religja*, skrupulatnie śledzi etapy tej drogi poprzez wycieczki polemiczne Chestertona przeciwko różnym modnym „izmom", poprzez jego uporczywą kampanję przeciwko bałwochwalstwu idei

[1] Borowy, str. 23 i 251.

ewolucji, poprzez śmiałe loty jego intuicji historycznej ponad stuleciami dziejów dawnych religij, wreszcie poprzez jego nawskróś romantyczną, pełną żywego zmysłu dla dziwu i cudu, interpretację historji świętej Nowego Testamentu.

Z wyżyn metafizyki i religji zstępujemy w dziedzinę poszczególnych problemów dzisiejszego świata w trzeciej części książki, pod nagłówkiem *Życie społeczne i polityczne*. I tutaj, jak w rozdziałach o religji, wypadło nakreślić długą drogę rozwojową, tym razem nawet zawilszą. Chesterton na wiecznie niespokojnym oceanie nowoczesnego życia demokratycznego w najbardziej uprzemysłowionem z dzisiejszych społeczeństw znalazł się między Scyllą kapitalizmu a Charybdą socjalizmu, ale w przeciwieństwie do innych myślicieli społecznych żadnej z tych ostateczności w niewolę się nie oddał. Wypłynął jako „dystrybucjonista", z programem, który sam stworzył i który od szeregu lat głosi z łamów swego tygodnika *G. K's Weekly*. Jest to program w swoisty sposób łączący podstawowe zasady ustroju prywatno-kapitalistycznego z naczelną dążnością socjalistycznej reformy. Jest więc Chesterton, jak to szczegółowo wykazuje p. Borowy, niezłomnym rzecznikiem idei własności prywatnej i żarliwym obrońcą tradycyjnej struktury rodziny; z drugiej strony jednak nie przestaje głosić, że daleko większe niż dotąd ofiary ze strony klas posiadających będą potrzebne, by świat od katastrofy społecznej uratować, i że najwyższy czas zmoderować dzisiejszy przemysłowy rozmach świata na rzecz nawrotu ku rzemiosłu i drobnemu rolnictwu. O ile te maksymy, wszystkie głoszone z jednaką stanowczością, składają się jakoś u Chestertona w jednolity i konsekwentny system myślowy, o tyle nawet taki jego wielbiciel, jak p. Borowy, przyznać musi, że wobec innego kapitalnego dylematu społeczno-politycznego naszych dni zajmuje Chesterton postawę niezdecydowaną. Chodzi o konflikt między tradycyjną demokracją parlamentarną a powszechnemi dziś w Europie tęsknotami za dyktaturą. Chesterton w stosunku do tego zagadnienia nie umiał się wznieść ponad to wahanie, które daje się zauważyć nawet u najcelniejszych umysłów naszej doby. Jest to fakt tem dziwniejszy, że o zjawiskach historycznych zarówno jednej jak i drugiej kategorji — o demokracjach i dyktaturach — ma sąd nader stanowczy. Szeregiem takich apodyktycznych orzeczeń w dziedzinie historji angielskiej była sensacyjna *Krótka historja Anglji* Chestertona, wydana w czasie wojny. Można o niej powiedzieć, że spopularyzowała te z gruntu nowe i odmienne od aksjomatów nowoczesnego dziejopisarstwa angielskiego opinje o średniowieczu angielskiem i o wartości katolicyzmu dla Anglji, które obok Chestertona wyznaje także pokrewny mu duchem Hilary Belloc, i które obecnie Belloc na wielką skalę rozwija w swej wielotomowej *History of England* (I—IV, 1925—1929).

5

Od oceny faktów historycznych niedaleko do oceny społeczeństw dzisiejszych. P. Borowy zestawił opinje Chestertona o własnym narodzie, a poza tem o Francuzach, Niemcach, Żydach, o Stanach Zjednoczonych i o Polsce. Najcharakterystyczniejszy może z tych rozdziałów, to wrażenia Chestertona z Ameryki (złożone w książce *What I saw in America*, 1922). Problem Ameryki, to przecież nic innego, jak problem samej nowoczesnej demokracji w ostatecznej jej formie i najpotężniejszem[1] jej wcieleniu. Nic dziwnego więc, że Chesterton i wobec tego zjawiska, jak wobec wspomnianego już dylematu demokracji europejskiej, targany jest sprzecznemi impulsami. Z jednej strony sympatje szczerze demokratycznej, dickensowskiej jego natury ciągną go do społeczeństwa, które w życiu codziennem i w ustroju politycznym jest bezsprzecznie najdemokratyczniejszym z wielkich narodów cywilizowanych; z drugiej strony gorącego miłośnika i rzecznika wolności osobistej odpycha ta szablonowość czyli — by użyć modnego dziś wyrazu — „standardyzacja“ typu ludzkiego i poglądów, jaką wieje od życia amerykańskiego. Między dwoma biegunami; sympatji i antypatji, porusza się więc Chesterton taksamo jak wielu innych dzisiejszych Europejczyków, gdy patrzą na Stany Zjednoczone i rozmyślają o plusach i minusach „amerykanizacji Europy“.

Wahania natomiast niema zupełnie w opinjach Chestertona o Polsce, choć stopniowo tylko jej dzieje i sprawy wchodzą w jego horyzont. Nader umiejętnie wykazał p. Borowy, jak to upodobanie do egzotycznego w oczach Anglika kraju, które mogłoby się Anglikom samym poprostu wydać jedną z typowych ekstrawagancyj dziwaczącego autora, opiera się na granitowej podstawie zdrowego rozsądku, który ukazuje Chestertonowi międzynarodowe znaczenie Polski, — i jak w ocenie Polski świetniej, niż kiedyindziej, triumfuje intuicja historyczna Chestertona, jego zmysł dla żywotności i aktualnej wartości tradycji historycznej.

6

Przeleciawszy w ten sposób na kartach książki w ślad za myślą Chestertona przestworza wszechświata, wieki dziejów ludzkości i przestrzenie krajów naszego globu, znajdujemy się wreszcie w ostatniej części pracy, pod etykietą *Ekspresja*, w ciaśniejszym kręgu zagadnień krytyczno-literackich.

---

[1] Chciałem napisać „najolbrzymszem“, jak p. Borowy na str. 246 swej książki („z tych olbrzymich kształtów padał cień jeszcze olbrzymszy“); ale jakoś mi to przez pióro nie przeszło. Dodam, że także „słabszość“ na str. 298 i forma „zamilkały“ na str. 250 nieco mnie rażą; nie wypada jednak może angliście krytykować polszczyznę polonisty. Więc wolę stwierdzić, że naogół ta praca p. Borowego, jak i inne jego pisma, jest wzorem jasności, staranności i estetycznej harmonji w wysłowieniu.

Tak jak książka o Chestertonie musiała się oczywiście zacząć rozdziałem o radości, tak ta jej część, która traktuje o właściwościach literackich jego twórczości, musi się zaczynać od zagadnień h u m o r u i d o w c i p u. I tutaj monografista, piszący o Chestertonie w duchu wiernego i wytrwałego uwielbienia, natrafia może na największą trudność w całej swej pracy. Wypada mu bronić tej stałej i niezmiennej maniery pisarskiej Chestertona, która polega na traktowaniu nawet największych i najpoważniejszych tematów w sposób żartobliwy, oraz na ujmowaniu nawet najtrzeźwiejszych i najzdrowszym rozumem podyktowanych twierdzeń w zewnętrzną formę paradoksów. Maniera ta, jednakowo silna w dziesiątkach tomów po kolei bez względu na ich najrozmaitsze tematy, jednakowa i w wierszu i w prozie, w powieści, dramacie, historji, biografji, studjum literackiem czy rozprawie filozoficznej, jednych czytelników nuży swoją monotonją, drugim nasuwa wątpliwości co do powagi i głębi moralnej samego autora. P. Borowy przyjmuje jako wystarczającą jej obronę proste oświadczenie Chestertona, że chodzi o świadomy wybór jednego z kilku możliwych i zasadniczo równouprawnionych sposobów literackiego wypowiedzenia się. Przeciętny czytelnik Chestertona w odpowiedzi na to może pozwoli sobie zauważyć, że przyjęcie tego uzasadnienia maniery chestertonowskiej równa się błędowi logicznemu, zwanemu *petitio principii*: boć przecież właśnie chodzi o kwestję dostosowania różnych równouprawnionych sposobów ekspresji literackiej do różnych kategoryj idej i tematów. Z własną Chestertona prostotą w argumentacji możnaby do niego powiedzieć słowami biblijnej księgi *Ecclesiastes* (III, 4), że „jest czas na płacz i jest czas na śmiech, jest czas na żale i jest czas na pląsy".

7

Tak samo, jak nie każdy z nas będzie mógł się zgodzić na ryczałtowe usprawiedliwienie humorystycznej maniery Chestertona, tak i w ocenie różnych działów jego twórczości zapewne niejeden czytelnik z p. Borowym się miejscami się nie zgodzi. P. Borowy, zazwyczaj słonny do zachwytów nad wszystkiem, co Chesterton napisał, jednak w ocenie jego p o w i e ś c i — tylko dla braku innego określenia powieściami zwanych! — jest krytyczniejszy, niż gdzieindziej i wytyka im wielkie nierówności w kompozycji i stylu; nie usiłuje też nawet podnieść do wyższej godności literackiej tych „lwich igraszek", jakiemi są o p o w i a d a n i a Chestertona o osobliwym d e t e k t y w i e - a m a t o r z e, księdzu Brownie. Dotąd zgoda najzupełniejsza: ja osobiście zawsze nawet uznawałem za „stracone zachody miłosne" różne mniej lub więcej udatne przekłady polskie utworów powieściowych Chestertona. Zgoda także z drugiej strony na to, że u t w ó r d r a m a t y c z n y Chestertona p. t. *Magja* — obecnie święcący triumfy sceniczne w Warszawie — jest dziełem doskonale zwartem w kompozycji i myśli przewodniej, plastycznem w cha-

rakterystyce, wymownem i zajmującem w dialogu, silnem i pomysłowem w efektach teatralnych. Zgoda wreszcie (i tym razem z pewnością powszechna), na słowa uznania dla Chestertona jako jednego z najznakomitszych angielskich krytyków literackich. Natomiast o ile chodzi o poezję Chestertona, to w rozdziale jej poświęconym byłoby się chętnie widziało więcej szczegółowego rozróżnienia i klasyfikacji, zarówno co do formy, jak i co do treści utworów. Z pewnością na równi z p. Borowym uwielbiam epopeję historyczną Chestertona *Ballada o białym koniu*, choć wiem, że to dzieło już z racji gatunku, do którego należy, na większe masy czytelników dziś działać nie może. Co jednak do krótszych wierszy, to pokrywają one całą skalę walorów poetyckich, od wspaniałych ballad historycznych, jak *Lepanto*, i natchnionej liryki religijno-metafizycznej, jak *Osiołek*, do lekkiej satyrycznej publicystyki wierszowanej, a nawet do bezpretensjonalnych żartów w rymach, w rodzaju tak popularnych zawsze w Anglji (i nieraz zresztą nader uroczych) *nonsense rhymes*.

Skoro już mowa o publicystycznej treści dość wielu okolicznościowych wierszy Chestertona, niechże wolno będzie także zaznaczyć, że dotkliwą luką w tej krytyczno-literackiej części książki jest brak osobnego rozdziału o twórczości publicystycznej Chestertona, która przecież stanowi lwią część jego dorobku i najstalsze jego literackie zajęcie. Z natury swej treści bardziej efemeryczna od innych rodzajów, jednak ta kategorja płodów jego pióra może najdoskonalej i najbardziej typowo reprezentuje jego osobowość autorską. Powtarzam wyrażone już gdzieindziej przypuszczenie, że o ile kiedyś potomność będzie usiłowała klasyfikować czy definjować takie zjawisko literackie, jak Chesterton, nazwie go chyba ostatecznie najwyższym przedstawicielem ducha dziennikarskiego w literaturze angielskiej naszej epoki.

8

Książkę swą kończy p. Borowy rozdziałem, który przez swój tytuł *Summa* zapowiada syntezę. Treścią jego jest próba charakterystyki osobistości Chestertona, — tej bogatej osobistości, która w Anglji samej przynajmniej daleko więcej budzi zainteresowania u ogółu, niż jego twórczość, i która stała się już dziś tak popularną i niemal legendarną, jak uwieczniona w anegdotycznej biografji Boswella postać Dr. Johnsona, dyktatora literackiego Anglji w XVIII wieku.

W swym rozdziale końcowym p. Borowy przytacza opinje o Chestertonie, wypowiedziane przez wielu krytyków różnych narodowości. Okazując przy tej sposobności nader rozległe oczytanie w ogromnej bibljografji Chestertonowskiej (której zresztą w osobnym spisie zestawić nie usiłował), p. Borowy jednak unika przeważnie cytowania głosów, krytykujących formę literacką dzieł Ches-

tertona lub polemizujących przeciw ich treści ideowej. Stwierdzając to, dotykamy zarazem głównego defektu tej skądinąd niepospolitej książki. Brak w niej prawie zupełnie elementu krytyki w popularnem znaczeniu słowa; czy to przez skromność, czy przez szczery podziw, p. Borowy od krytykowania swego ulubionego autora wstrzymał się niemal całkowicie. W związku z tem zaś zaznaczyć trzeba, że brak też szerszego podmalowania tła kulturalno-społecznego i umieszczenia postaci pisarza w perspektywie epoki. Wszystkie *dicta* Chestertona traktowane są jako wiekuiście jednakowo aktualne, i wszędzie zdaje się interesować autora wyłącznie stanowisko Chestertona wobec danej kwestji, a nie różne inne jeszcze o niej zdania, krzyżujące się w atmosferze całego jego pokolenia i często dopiero pobudzające jego samego do wystąpień.

Rezultatem takiego ujęcia przedmiotu jest, że przez długie partje książki wydaje nam się, jakbyśmy słuchali monologów samego Chestertona na różne tematy, czy też wywiadu odbywanego z nim przez jakiegoś niezwykle filozoficznego reportera. Mamy niejako przed sobą mówiący portret literacki. Ale że w portrecie tym skwapliwie uwydatnione są naprawdę wszystkie rysy charakterystyczne, że przytem jest on portretem jednej z najmilszych i najrozkoszniejszych postaci w całem współczesnem piśmiennictwie, więc mimo powyższych zastrzeżeń przyjmujemy książkę z żywą wdzięcznością jako prawdziwą ozdobę naszej niezbyt bogatej literatury monografij literackich o znakomitych pisarzach obcych.

Roman Dyboski

NOWE STUDJUM O CONRADZIE

Maurice David: *Joseph Conrad, l'homme et l'oeuvre* (Document pour l'histoire de la littérature), Paris, Editions de La Nouvelle Revue Critique [1929], str. 80.

Studjum młodego krytyka-essayisty o Conradzie składa się z trzech części: pierwsza zajmuje się biografją pisarza, druga rozpatruje jego „psychologję i moralność", trzecia jego artyzm. Najsłabiej przedstawią się część pierwsza. Jest rzeczą zadziwiającą, że krytyk, znający niewątpliwie dobrze dzieła Conrada i posiadający ich „wyczucie", obeznany ponadto z pracami Jean-Aubry'ego (polemizuje z nim nawet czasami w sposób inteligentny) — że krytyk ten może powtarzać nonsensy o „mistycyzmie słowiańskim", o pochodzeniu „słowiańskiem" Conrada, nie rozróżniać psychiki polskiej od „słowiańskiej", mimo że mu to sam Conrad dokładnie i jasno wyłożył w swoich *Wspomnieniach*. Widocznie ten ćwiek słowiański tkwi w głowach nawet inteligentniejszych Francuzów i do wyjątków należą ci, którzy umieli go sobie wybić. Dowodem, na jakie to prowadzi manowce myślowe, jest następujące rozumowanie p. Davida:

Pochodzenie „słowiańskie“ Conrada nie wywarło żadnego wpływu na jego twórczość. Świadczy o tem przedewszystkiem powieść p. t. *W oczach Zachodu*. Świadczy również stosunek do Dostojewskiego. „En Dostojewski, ce n'était pas le Russe qu'abhorrait Conrad, mais le Slave“ (str. 21).

Jest w tem, mimo woli i wiedzy autora, trochę racji, ale cała sprawa jest postawiona fałszywie, właśnie dzięki nieodróżnianiu polskości od słowiańskości. Tą ostatnia, oczywiście, nie mogła wywrzeć żadnego wpływu na Conrada, natomiast polskie elementy jego dzieła dostrzeżone były nawet przez krytykę angielską i francuską. Co się tyczy Dostojewskiego, to właśnie jego słowiańskość typu r o s y j s k i e g o była Conradowi nienawistna, zdanie więc Davida trzebaby raczej odwrócić („En D. ce n'était pas le Slave qu'abhorrait Conrad, mais le Russe“), żeby wyrażało ono jako tako rzeczywisty stan rzeczy.

Conrad jest dla Davida żywem zaprzeczeniem teorji Taine'a, z której przy tej sposobności pokpiwa sobie triumfująco, ale dosyć naiwnie. Gdyby znał środowisko, wśród którego chował się Conrad i jego tradycje, albo choćby uważniej przestudjował prace Jean-Aubry'ego, triumf jego nie byłby tak łatwy i nie wykrzykiwałby z taką pewnością siebie: „Gentilhomme polonais, matelot français, capitaine anglais, littérateur anglais! si la théorie de Taine reste debout en face d'un pareil sujet, chapeau bas, messieurs les Rieurs!“ (str. 18—19).

Lepiej wypadły rozważania nad trudną i drażliwą kwestją, dlaczego Conrad opuścił Polskę i dlaczego pisał po angielsku. W oświetleniu Davida niema żadnych rewelacyj, ale jest przynajmniej inteligentne wyzyskanie jedynego autentycznego źródła do tej kwestji, t. j. wyznań osobistych autora. David podkreśla więc irracjonalność i nieodpartą konieczność wyboru drugiej ojczyzny angielskiej i języka angielskiego — pozatem zaś zwraca uwagę na takie okoliczności, jak trudność pisania w języku polskim powieści o fakturze „morskiej“ i „marynarskiej“, jak zbytnie oddalenie od kraju, poczucie się człowiekiem zachodnim, znalezienie w Anglji i Anglikach tych właściwości, które uważał za najbardziej wartościowe itp. Swoją drogą i ta sprawa, jak wiele innych w tej broszurze, potraktowana jest powierzchownie. David zbyt lekko i poprostu załatwia się z nią: nie przeczuwa nawet dramatu osobistego, który się w tem krył, dramatu widocznego zarówno w wypowiedzeniach samego Conrada, jak i wspominanego przez osoby mu najbliższe.

Znacznie ciekawiej przedstawiają się te rozdziały studjum, które są poświęcone psychologji, moralności i artyzmowi Conrada; okupują one do pewnego stopnia braki rozdziału pierwszego. Autor zdaje sobie przedewszystkiem sprawę z wyjątkowej wagi i wartości dzieł Conrada. Słusznie podkpiwa sobie z tych, którzy w nim widzą jedynie powieściopisarza „morskiego“, opisującego wstrząsające

przygody marynarskie, a w jego postaciach nie potrafią dostrzec Człowieka z jego wiecznemi problematami. Ze słuszną również ironją traktuje tych, którzy zbyt wielką wagę przypisują wyszukiwaniu „wzorów" postaci Conrada w rzeczywistości (jak np. Jean-Aubry w pracy, poświęconej pobytowi Conrada w Congo, *Mercure de France*, październik 1925) — nie bacząc na to, że są one przetworzone, a raczej na nowo stworzone przez jego potężną imaginację.

David sądzi, że cechą istotną Conrada jako psychologa i moralisty jest przekonanie, iż poznać samego siebie można tylko w działaniu („Il ne faut donc pas se regarder vivre, mais il faut vivre pour se regarder"). Stąd jego nienawiść (?) do sceptyków, obserwatorów życia, jak Découd z *Nostromo* — samotnych kontemplatorów, jak Heyst z *Zwycięstwa* lub zajętych grzebaniem w swoich i obcych duszach Rosjan z powieści *W oczach Zachodu*. Tragedję *Jima* tłumaczy David przez przerost medytacji i imaginacji: rozmyślał on wówczas, kiedy trzeba było działać, był subtelnym, kiedy trzeba było być prostym, nie żył w teraźniejszości, lecz w przyszłości, stworzywszy sobie ideał samego siebie i spodziewając się, że życie pozwoli mu go zrealizować. Tymczasem życie postawiło przed nim zwierciadło, w którem ujrzał się zupełnie innym... Marzycielstwo i fantastyczność — to również grzechy pierworodne Almayera i przyczyny jego klęski...

Wywodom tym, często trafnym i głębokim, możnaby jedno zarzucić, a mianowicie, że zbytnio upraszczają niektóre kwestje, oświetlają je tylko z jednego punktu widzenia (np. kwestja Jima!), a ponadto czynią to w sposób dość ogólnikowy, nie rozwijając i nie uzasadniając poszczególnych myśli. Jest to zresztą cecha nietylko tego krytyka, ale i wielu innych, obcych i naszych. Trochę filologji i metodyczności przydałoby się tu, aby metody swe opierać na mocnej podstawie faktów, uzasadniać je i dokumentować. Chwila zastanowienia wystarcza przecież, aby uświadomić sobie, że Conrad daleki jest od „nienawidzenia" Heysta i że jest gruba różnica pomiędzy jego kontemplatywnością a dostojewszczyzną Razumowa!

Przechodząc do „pozytywnych" bohaterów Conrada, autor charakteryzuje trafnie ich psychikę: nie odznaczają się oni ani inteligencją, ani uczuciowością, lecz charakterem, dominuje w nich poczucie obowiązku, wierności, „dobrej służby". To wszystko prawda, ale to wszystko zarazem nie jest takie proste. Chciałoby się te pojęcia obowiązku i wierności mieć dokładniej zdefinjowane i zilustrowane na żywych i bardzo różnorodnych przykładach. Wtedy zobaczyćby można łatwo, jak ten „obowiązek" rozmaicie przedstawia się u Jima, Heysta, Lingarda, Mac Whirra i ile tu tragicznych komplikacyj i załamań się. Nie można sympatyj Conrada anektować wyłącznie dla ludzi typu Mac Whirra, ani też twierdzić, że „être fidèle c'est suivre loyalement la voie que le Destin nous a appelés à suivre" — bo to jest sformułowanie mętne i zaciem-

niające stanowisko Conrada.[1] Nie można również Marlowa wymieniać w jednym rzędzie z Mac Whirrem i Beardem jako jednogatunkowe typy psychiczne (str. 47).

W określeniu zasadniczych elementów artyzmu Conrada autor przyjmuje i rozwija samodzielnie główne uwagi Fernandeza z jego znakomitego studjum„ umieszczonego w *Nouvelle Revue française*, z grudnia 1924 r. (którego zresztą nie cytuje). Mówi więc o opisach, dających „la connaissance progressive de la réalité" (fakty jako szereg wrażeń i odczuć jednostki) o stopniowem odsłanianiu psychiki postaci zapomocą metod, stanowiących przeciwieństwo dedukcji i dawnej „analizy psychologicznej". W związku z tą analizą wypowiada David ciekawą uwagę, że Conrad nie chciał nigdy korzystać z tego przywileju, który się zazwyczaj przyznaje powieściopisarzom, a mianowicie, że mogą oni być „wszechobecni". Jest w tem ważne zagadnienie techniki powieściopisarskiej (poruszane u nas często przez Leona Piwińskiego) — niestety, jak w wielu innych razach, tak i tu, David rzuca tylko tę myśl przelotnie i ledwie kilkoma zdaniami nawiązuje ją do metody Conrada posługiwania się w opisywaniu zdarzeń pośrednictwem osób drugich. Jeszcze jedno małe potknięcie się z powodu realizmu (autor twierdzi, że Conrad nie jest realistą w zwyczajnem tego słowa znaczeniu, gdyż postaci jego są fikcyjne — co jest oczywiście nieporozumieniem, wynikającem z opacznego pojęcia „realizmu") — i dochodzimy do konkluzyj tego studjum, na które możemy się pisać bez zastrzeżeń: Imię Conrada będzie dominowało w literaturze europejskiej ostatnich lat dwudziestu. Mało jest pisarzy, mogących się z nim mierzyć. Bohaterowie jego wzbogacili świadomość ludzkości, gdyż ukazali ludziom, na czem polega godność życia.

Ogółem rzec można, że studjum Davida stanowi interesującą, choć nie odznaczającą się wielką oryginalnością, próbę charakterystyki twórczości Conrada. Jest to tylko próba, szkic, nietylko ze względu na swoje rozmiary, ale i ze względu na swoją metodę impresjonistyczno-essayistyczną. Pozostawia na uboczu albo ledwie tylko dotyka całe mnóstwo problematów, jakie twórczość Conrada nasuwa. Ale sylwetkę jego daje trafną, przeniknięta jest szczerym i sympatycznym entuzjazmem, co może zachęcić czytelników francuskich do zajęcia się Conradem.

Bibljografja, podana na końcu, jest niekompletna i nieporządnie zrobiona.

Manfred Kridl

Bruksela, w styczniu 1930.

---

[1] Jest to tembardziej dziwne, że autor trafnie ujmuje charakter pesymizmu Conrada jako rodzącego energję i stanowiącego podstawę jego moralności.

Z LITERATURY HISTORYCZNEJ

Kazimierz Piwarski: *Hieronim Lubomirski, hetman wielki koronny*, Kraków 1929, str. 200

Biografja należy niewątpliwie do najtrudniejszych rodzajów twórczości historycznej. Obok zwykłego wkładu erudycji i metody wymaga intuicji duszoznawczej i umiejętności powiązania działań jednostki z całokształtem epoki; przytem zadania jej różnicują się zależnie od postaci, której historyk poświęca swoje pióro. Pisząc o ludziach wielkich, którzy kształtowali bieg dziejów, musi uwypuklić przedewszystkiem ich rysy indywidualne, zbadać nowe wartości, które wnieśli w swoją epokę. Natomiast biograf jednostek, skrojonych na miarę przeciętną, winien traktować je w pierwszym rzędzie jako produkt zbiorowości, wyraz epoki, kultury i środowiska, wydobyć z nich w najpełniejszej mierze cechy typowe. Wskazań tych nie należy oczywiście brać dosłownie: na historyku Richelieu'go czy Cromwell'a ciąży również obowiązek przedstawienia swoich bohaterów jako synów współczesnej im epoki, podobnie jak badaczowi życia i czynów Marcina Matuszewicza i ks. Radziwiłła Panie Kochanku nie wolno zamykać oczu na ich znamiona indywidualne. Od właściwego ustosunkowania obu tych elementów struktury duchowej zależnem jest w ogromnej mierze właściwe postawienie postaci, wydobycie z niej pełni wyrazu.

Autor omawianej monografji o Hieronimie Lubomirskim, uzasadniając w przedmowie jej potrzebę, podkreśla wybitną rolę swojego bohatera jako wojownika, dyplomaty i statysty. „Biografja Lubomirskiego — czytamy — to pokaźny szmat naszych dziejów... Na tle czasów Jana III wybija się już silnie jego działalność... W bezkrólewiu po Janie III rola jego jest już decydującą. Wreszcie pierwsze lata Augusta II i czasy wojny północnej pozwalają mu wybić się na czoło wypadków". Ujęcie to, mojem zdaniem, nie odpowiada charakterowi epoki, ani istotnemu znaczeniu Lubomirskiego. Polska na przełomie XVII i XVIII w. przedstawia obraz kraju, w którym udział jednostki w tworzeniu dziejów zepchnięty jest na najdalszy plan przez dwa zjawiska natury ogólniejszej: z jednej strony postępujący w raptownem, niemal katastrofalnem tempie rozkład polityczny, umysłowy i moralny warstwy rządzącej, z drugiej — zasadnicze przeobrażenia w układzie sił międzynarodowych. Wobec tych potężnych czynników, kształtujących dzieje Polski, żaden z ówczesnych magnatów nie odgrywał roli decydującej i żaden nie wybijał się na czoło wypadków: wszyscy oni, bez względu na spryt, ambicję, majątek i wpływy, z wyższej perspektywy dziejowej robią wrażenie marjonetek, które, mając uczucie, że działają samodzielnie, naprawdę porwane są wartkim prądem wypadków, poruszają się pod naciskiem ukrytych a silniejszych nad ich wolę sprężyn. Jeżeli mowa w szczególności o Hieronimie Lubomirskim, to wpływ jego na wypadki publiczne nie był nawet tak znaczny, jak współcze-

snych mu prymasa Michała Radziejowskiego lub Benedykta Sapiehy. Zasługuje on istotnie na monografję, ale przedewszystkiem jako zjawisko typowe: przepyszne wcielenie polskiego możnowładcy na skrzyżowaniu dwóch epok, z wszystkiemi jego cechami rozkładowemi, zarazem pewnym podkładem dawnej tężyzny, kiełkującej zaczątkami nowych orjentacyj politycznych.

Autor wyczuł te rysy swojego bohatera, wszelako poprzestał na zestawieniu ich w kilkostronicowem, mechanicznie z całością pracy związanem zamknięciu, nie pokusił się natomiast o organiczne stopienie pierwiastku psychologiczno-kulturalnego z głównym zrębem narracji. Wyrobiwszy sobie tego rodzaju pogląd na zadania i metodę pracy, przystąpił do niej z sumiennością i rzetelnym wysiłkiem badawczym. Wyzyskawszy zarówno obfitą korespondencję hetmana, jak odpisy relacyj poselskich z archiwów zagranicznych, dał życiorys zwarty, pełen treści, wykazując trafne zorjentowanie się w pogmatwanych kolejach polityki polskiej, tak krajowej jak zagranicznej. Wielkie bogactwo szczegółów, zgromadzonych do życiorysu Lubomirskiego i ściśle zakreślone ramy konstrukcyjne nie pozwoliły mu zużytkować ani w części wyników swoich studjów nad epoką Jana III; mimo to rzucił sporo nowego światła, zwłaszcza na historję bezkrólewia, w odniesieniu zaś do okresu wojny północnej zebrał i uzupełnił badania swoich poprzedników. Książka Dr. Piwarskiego stanowi pierwszy zeszyt *Prac* krakowskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, przeznaczonych w pierwszym rzędzie na drukowanie rozpraw młodych historyków. W dzisiejszych warunkach, kiedy tyle wartościowych dysertacyj pozostaje niejednokrotnie w rękopisach, początkującym zaś adeptom brak możności wybicia się, zyskania platformy dalszej pracy naukowej, nowe wydawnictwo ma przed sobą ważne i wdzięczne zadanie dawania podniety najmłodszej generacji naszych badaczy, zasilania nowemi siłami warsztatu pracy historycznej. Zainaugurowanie go rozprawą gruntową i bogatą w rezultaty stanowi pomyślną zapowiedź dalszego rozwoju.

Józef Feldman

U W A G I

ROBERT DE TRAZ

Pochodzi z patrycjuszowskiej rodziny genewskiej, mającej odgałęzienia w Anglji i Holandji. Matka — Francuzka z Francji. Dzieciństwo i młodość przepędził w Paryżu. Tam się urodził (14 maja 1884 r.), tam ukończył liceum i studja wyższe (fakultet prawa i Ecole des hautes études commerciales). Wśród jego kolegów licealnych znaleźli się: powieściopisarz i dramaturg, Jan Ryszard Bloch, oraz Ernest Psichari, pod którego wpływem ugruntował może swe przekonania o etycznej wartości twardej służby żołnierskiej (por.

powieść *L'Homme dans le rang* i studja o pisarzach-żołnierzach, takich jak Vauvenargues, Stendhal, de Vigny). Anglję poznał de Traz podczas kilkomiesięcznej praktyki w bankach londyńskiej City. Podróżował potem po Niemczech i Włoszech. W 1906 r. osiadł na stałe w Genewie.[1]

Ojczyźnie swego ojca pozostał odtąd wierny. Dawny wielbiciel Barrès'a (por. „Note sur Barrès" w tomie *Essais et analyses*), zrozumiał wskazania rozsądnego nacjonalizmu: ślubował służyć ziemi przodków i uniknąć w ten sposób losu lekkomyślnych „déracinés". Zapewne, skłoniła go do tego także doktryna Maurras'a, którą cenił wysoko; wiedział, że jako „métèque et protestant" odegrać może w stolicy Francji drugorzędną tylko rolę. Wolał zdobyć pełne uznanie w małej Szwajcarji romańskiej, i nie zrywając związku z Paryżem, owszem często i długo w nim przebywając, wybrał Genewę na główną kwaterę swojej literackiej kampanji. Przybył nad Leman z marką paryskiego bywalca, prawie jak intruz w małym światku genewskiego kantonu. Nie odrazu przełamał nieufność szwajcarskich krytyków,[2] chociaż starał się o to gorliwie, zrazu jako redaktor rubryki „Vie en Suisse" w genewskiej *La Semaine littéraire*, a potem jako współpracownik czasopisma „młodej Genewy" — tak znamiennej i ciekawej *La Voile latine*. Do pisma tego wniósł hasła bojowego kalwinizmu (artykuł p. t. „Notre tradition protestante" z grudnia 1910 r.), i przyczynił się podobno do osłabienia zgodnej dotychczas współpracy kierowników genewskiego organu. *La Voile latine* zakończyła — chwalebny zresztą — żywot, a na jej miejsce wyłoniły się, w latach 1911—1913, *Les Feuillets*, o tendencjach wybitnie politycznych — czasopismo założone i kierowane przez zdecydowanego protestanta, de Traz'a, i zdecydowanego katolika, G. de Reynold'a.[3]

Obok recenzyj i aktualnych artykułów, de Traz pracował nad utworami większych rozmiarów. Tak powstał zbiór nowel *(Au temps de la jeunesse*, Paris Plon 1908), dwa romanse: *Vivre* (1910) i *Les Désirs du coeur* (1912), wreszcie powieść podnosząca umoralniający wpływ dyscypliny wojskowej: *L'Homme dans le rang* (Lausanne, Payot 1913; na końcu tomu dołączono charakterystyki Vauvenargues'a i Stendhal'a). Były to rzeczy nieprzeciętne, ale zyskały narazie autorowi lokalny raczej rozgłos. Szerszy oddźwięk wzbudziły powieści wydane po wojnie. *La Puritaine et l'amour* — obraz rodzinnego i erotycznego życia zamożnych sfer z „Haute Ville" Genewy, po wydaniu szwajcarskiem (Lausanne, Payot 1919) do-

---

[1] Szczegóły te przytaczam za Leonem Treich, *Almanach des lettres franç. et étr.*, 1924, II, s. 131.

[2] Por. np. niechętną charakterystykę de Traz'a w *L'Apologie des Jeunes* J. B. Bouvier'a (Lausanne, C. Tarin. 1915, s. 239—247).

[3] O tych czasopismach por. n. p. J. B. Bouvier, *L'Apologie des Jeunes* (1915 s. 175 n.) i P. Kohler w *Bibliothèque universelle et Revue suisse* tom 111, lipiec 1923 s. 129 n.

czekał się edycji paryskiej (Grasset 1928).[1] *Fiançailles* (Paris, A. Michel 1922), z akcją umiejscowioną w Neuchâtel i Bienne, zwróciły uwagę paryskich recenzentów subtelnem oświetleniem dość niezwykłych konfliktów psychicznych, oraz opisem specyficznego środowiska purytańskiej małomieszczańskiej rodziny.[2] Nowele, ujęte w tom p. t. *Complices* (Paris, Grasset 1924) zaciekawiły oryginalnemi tematami i nastrojem tchnącym pesymizmem i fatalizmem prawowiernego wyznawcy Kalwina. *L'Ecorché* (Paris, Grasset 1927) wreszcie, oprócz psychologicznego pogłębienia, przyniósł aktualny pogląd na rozbieżność etyki i intelektu ludzi „zachodnich" i ludzi przybyłych z rosyjskiego „Wschodu".

W studjach literackich zabłysnął de Traz zwięzłością stylu — prostego, ale nabrzmiałego treścią. Na nielicznych stronicach umiał przedstawić to, co w charakteryzowanej osobistości uznał za najistotniejsze, a zarazem to, co — jego zdaniem — posiada niewygasłą wartość także dla chwili obecnej. Zaletami temi odznaczają się wspomniane już portrety: *Vauvenargues — capitaine d'infanterie* i *Stendhal-dragon* (oba z 1913 r.), dalej *Benjamin Constant* (na czele wydania *Adolfa* z 1921 r., z ciekawą oceną odrębności intelektualnej Szwajcarów francuskich) i *Henri-Frédéric Amiel* (*Revue de Paris* z 15 września 1921 r.). Te cztery studja weszły do zbiorowego tomu: *Essais et analyses* (Paris, Crès 1926), razem z trzema nowemi, omawiającemi „mieszczańskie poglądy" Fromentin'a (w *Dominique*), stosunek Nietzschego do gór Engadynu i ewolucję zapatrywań Maurycego Barrès'a. Osobno ukazał się *Alfred de Vigny* (Paris, Hachette 1928), książka znamienna zwłaszcza przez podkreślenie stoickiej i pesymistycznej „filozofji" poety, jego religijnych tęsknot, wybijających się mimo niechęci do wszelkich pozytywnych artykułów wiary. De Traz dostrzegł w Vigny'm niejeden rys, przypominający mu purytański system kalwińskiej Genewy i protestanckiej Anglji.

De Traz często mówi o dręczącej go „une curiosité offensive". Pcha go ona w odległe kraje i zachęca do poznawania obcych kultur — zgodnie z „kosmopolityczną" tradycją genewskiej elity. Piękne są obrazki z podróży de Traz'a. Szkice z 1923 r., utrwalające wrażenia z Wiednia, Budapesztu, Berlina i Sztokholmu (*Dépaysements*, Paris, Grasset), przybrały z woli autora charakter migawkowych i bezpretensjonalnych notatek dziennikarskich, zawierają jednak sporo obserwacyj o trwalszem znaczeniu. Opis wędrówki do Egiptu i Palestyny (*Le Dépaysement oriental*, Paris, Grasset 1926) obfituje w refleksje zasadniczej treści, aby tylko wspomnieć uwagi o kulturach t. zw. Wschodu i o ich stosunku do naszej, t. zw. zachodniej kultury. Podróżniczą rubrykę de Traz'a wzbo-

[1] Por. *Przegląd Współczesny* z września 1929 s. 443.

[2] O tej powieści pisze obszerniej A. Thérive, *Opinions littéraires* (1925 s. 51—54); przekład niemiecki p. t. *Brautzeit* (Zürich, Orell Füssli).

gacił już w bieżącym roku obszerny artykuł o Czechosłowacji, o prezydencie Masaryku i ministrze Beneszu (*Revue de Paris* z 1 marca 1930 r., s. 33—61).

Polski de Traz nie zna dotychczas. W *La Puritaine et l'amour* (s. 109) wtrącił mimochodem wzmiankę o „koncercie jakiejś młodej Polki w Genewie"; w *Dépaysements* (s. 5) zreferował rozmowę z „un grand vieillard polonais, titulaire d'une des plus hautes charges de l'ancienne cour"; w *Revue de Paris* (1. III. 1930, s. 41) przyznał się do braków wiedzy o Europie środkowej: „Quant aux Polonais, il me suffisait de les connaître par les livres de madame de Ségur". Byłoby celowem ułatwić tak wybitnemu literatowi wycieczkę do Polski, tem więcej że jest on równocześnie redaktorem cenionej w Genewie i zagranicą: *Revue de Genève.*

O tem czasopiśmie i jego ideologji „europejskiej", zbliżonej do haseł Ligi Narodów, pisałem w *Przeglądzie Współczesnym* z września 1929 r. (s. 451—453).[1] Omówiłem tam także ostatnią książkę de Traz'a: *L'Esprit de Genève* (Paris, Grasset 1929), z której rozdział ostatni („Un humanisme moderne") ukazuje się w niniejszym numerze, w wzorowym przekładzie autorki znakomitej „gawędy o niedawnej przeszłości", p. t. *Wczoraj* (Warszawa, F. Hoesick 1928) — pani Anny Leo-Rose.[2]

Na innem miejscu wrócę do scharakteryzowania rozległej i mądrej twórczości Roberta de Traz.[3] Wypadnie mi tam podnieść niecodzienną głębię jego intelektu, — żywiołową i wolną od snobizmu „europejskość" jego poglądów, — wysoki poziom etycznego poczucia, — szczerą religijność, nacechowaną (mimo trwania przy tradycjach Kalwina) pełną tolerancją dla innych chrześcijańskich wyznań,[4] — przywiązanie do kultury francuskiej, do Paryża jako do ogniska tej kultury i do francuskiego języka, o którego czystość w szkołach szwajcarskich walczy de Traz, konsekwentnie i z dobrym skutkiem, na łamach *Journal de Genève.*[5] *St. W.*

---

[1] Tamże s. 474 przytoczyłem polskie przyczynki w *Revue de Genève.* Dołączyć należy przekład *Le Pèlerin de Karapet* F. Goetla, pióra A. M. Skarżyńskiej (rocznik 1929, s. 335 n. i 405 n.), oraz artykuł o „mniejszościach w Polsce" W. Tworkowskiego (październik 1929).

[2] Przekład niemiecki tego rozdziału ukazał się w miesięczniku *Nord und Süd* z października 1929 r. (s. 915—932).

[3] Zwięzłe omówienie dorobku de Traz'a daje m. i. prof. Piotr Kohler w rozprawie: „La Littérature d'aujourd'hui dans la Suisse romande" (*Bibliothèque universelle et Revue suisse,* tom 112, październik 1923, s. 46 n.), oraz ostatnio w *Die Schweiz 1930. Ein nationales Jahrbuch* (Erlenbach-Zürich 1930, s. 163 n.).

[4] Za dowód niech posłuży szkic: „Jeanne d'Arc et l'Evangile (*Revue hebdomadaire* z 6 lipca 1929) i wzruszający „Appel sans réponse" (protest przeciwko antyreligijnej polityce Sowietów, *Revue de Genève* ze stycznia 1930).

[5] Ostatnio w numerach z 12 stycznia, 10 lutego i 1 marca 1930 (artykuły p. t. „Notre langue maternelle").

FRANCK L. SCHOELL

Przegląd Współczesny w zeszycie z sierpnia 1929 r. ogłosił artykuł p. F. L. Schoell'a p. t. „Język francuski w Stanach Zjednoczonych". Artykuł ten, w oryginale francuskim, ukazał się naprzód w *Revue des deux mondes* z 15 czerwca 1929 r., a następnie wszedł w skład książki p. t. *U. S. A. du côté des blancs et du côté des noirs* (Paris, H. Champion, 1929, s. 187—240). W tymże samym numerze *Przeglądu* (s. 297—304) zamieściłem kilka uwag o dotychczasowym dorobku francuskiego uczonego. Dzisiaj dorzucam parę nowych szczegółów.

P. Schoell wydał w międzyczasie, wspólnie z p. R. Michaud'em, przekład wybranych studjów Ludwika Lewisohn'a p. t. *Vérité et Poésie* (Boivin et Cie, 1929); jest to drugi tom serji: „Ecrivains et penseurs américains".

The French Review (organ „American Association of Teachers of French") przyniósł w numerze z października 1929 r. artykuł p. Schoell'a: „La langue française et la Société des Nations". Z statystyką w ręku, udowadnia autor supremację francuskiego nad angielskim w biurach Sekretarjatu genewskiego i podczas obrad Zgromadzenia i Rady Ligi. Obserwacja słuszna, pamiętać jednak należy, że prymat francuszczyzny może ulec stanowczemu zachwianiu w chwili, gdy Liga stanie się istotnie Ligą światową, t. j. uzyska przyłączenie się do niej Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Z poloników p. Schoell'a wymienić należy recenzje ogłaszane systematycznie w miesięczniku paryskim: *Vient de paraître* (m. i. w zeszycie listopadowym z 1929 r. obszerne uwagi o „Bibljotece Narodowej", wydawanej przez Krak. Spółkę Wydawniczą); — dalej przekład trzech nowel A. Szymańskiego, Wł. Reymonta i J. Ejsmonda, ogłoszony w „Cahier polonais" protestanckiego czasopisma *Foi et Vie* (por. o tychże nowelach artykuł p. S. w *Vient de paraître* z marca 1930 r.); — wreszcie przekład *Hanusi* Adama Szymańskiego, wydany (bez winy zresztą tłumacza) conajmniej o rok zapóźno jako drugi tom serji: „Collection Polonaise" (Gallimard 1930; wstęp Schoell'a i francuskiego profesora, piszącego pod pseudonimem Daniel-Rops).

St. W.

OD REDAKCJI

W związku z artykułem p. K. A. Zdziechowskiego o „Pięcioletnim planie industrjalizacji Z. S. R. R." zaznaczamy, że *Przegląd* w bliskiej przyszłości ogłosi wywody na ten sam temat pióra redaktora Konstantego Srokowskiego.

Do literatury polskiej o T. G. Masaryku, podanej w artykule p. H. Batowskiego, należy jeszcze dołączyć kilka pozycyj, przytoczonych w miesięczniku praskim *Slovanský Přehled* z marca 1930 r., s. 243—4.

WACŁAW KONDERSKI
Zastępca Naczelnego Dyrektora
Banku Gospodarstwa Krajowego

ZAGADNIENIA POLITYKI KREDYTOWEJ ZE STANOWISKA MELJORACJI BILANSU HANDLOWEGO[1]

1

Istotą gospodarki współczesnej jest jej towarowo-wymienny charakter. Charakter ten stoi w związku ze zjawiskiem podziału pracy, specjalizacji. Sama specjalizacja z kolei znajduje się w związku nietylko z większą wydajnością pracy, która na jej tle powstaje, ale ponadto zależy od rozmaitych indywidualnych właściwości jednostek produkujących, oraz od warunków przyrodzonych pewnych terenów.

Cechą charakterystyczną rozwoju społecznego jest z jednej strony coraz bardziej rozwijający się, coraz dalej sięgający w głąb produkcji podział funkcyj gospodarczych pomiędzy poszczególnemi jednostkami produkującemi, względnie świadczącemi usługi, — z drugiej zaś coraz silniej występujący związek pomiędzy poszczególnemi terytorjami świata gospodarczego. O ile idzie o charakterystykę tego ostatniego zjawiska, t. zn. podziału pracy w skali światowej, podstawy jej komplikują się w miarę rozwoju społeczeństw i odbiegają coraz dalej od warunków czysto przyrodniczej elementarnej natury.

Niewątpliwie, różnorakość właściwości poszczególnych terenów pozostaje ciągle momentem zasadniczym. Występowanie złóż pewnych szczególnie ważnych surowców nadaje gospodarce danych terytorjów zawsze specyficzny charakter. W tym samym kierunki działają warunki klimatyczne, czyniące np. produkcję zbóż i t. d. w pewnych miejscowościach globu szczególnie korzystną. Przezwyciężanie odległości, tak wybitnie ce-

[1] Referat opracowany dla Komisji Badania Obrotu Towarowego z Zagranicą.

chujące życie współczesne, nadaje tym właściwościom lokalnym specjalnie doniosłe znaczenie. Umożliwia ono przewóz na dalekie odległości nawet stosunkowo małowartościowych w porównaniu z swą masą artykułów i w ten sposób na pierwsze, decydujące miejsce wysuwa coraz bardziej zagadnienie wysokości kosztów produkcji jako takiej. Dodać do tego należy, jako jeden z najistotniejszych momentów współczesnego życia gospodarczego, coraz większą różnorodność surowców, używanych w procesie produkcji, a ponadto używanie tych surowców w coraz większych masach. Okoliczność, że przeważna ilość surowców występuje lokalnie, względnie fakt, że nawet surowce, występujące stosunkowo pospolicie, nie są co do swej masy rozłożone pomiędzy różnorodne terytorja równomiernie ani absolutnie ani w stosunku do ich zapotrzebowania, wynikającego z rozmaitego nasilenia produkcji,— sprawia, że międzynarodowy podział pracy, międzynarodowa konieczność wymiany rosną stale i nader szybko, wiążąc coraz bardziej nasz glob stosunkami wzajemnej zależności gospodarczej.

Atoli właściwości przyrodniczej natury nie są, jak powiedziano, jedynemi momentami, działającemi w kierunku występowania specjalizacji w gospodarczych stosunkach międzynarodowych, i nietylko one spajają świat węzłami wzajemnej zależności. Proces produkcji polega, jak wiadomo, na działaniu na przyrodę pracy i kapitału, który zresztą, biorąc rzecz genetycznie, jest sam z kolei skoncentrowaną pracą przeszłych zabiegów, przeszłych procesów gospodarczych. Otóż historyczna przeszłość poszczególnych terytorjów gospodarczych ukształtowała na ich terenach warunki kapitału i pracy niejednolicie.

Jeżeli idzie o czynnik pierwszej z wymienionych kategoryj, o kapitał, mamy do czynienia zarówno z różnicami w zakresie kapitałów rzeczowych, jak pieniężnych. W pewnych krajach dłużej trwający, w pomyślniejszych warunkach odbywający się przebieg zdarzeń historycznych doprowadził do posiadania dobrych dróg i urządzeń komunikacyjnych, niezbędnych dla dzisiejszego życia gospodarczego, w innych — moment ten przedstawia się gorzej. W pewnych krajach te same czynniki dały w spadku dobrze wybudowane i urządzone miasta, będące dziś centrami życia, gdy w innych braki w dotyczącym kierunku działają upośledzająco nie mniej, niż złe środki komuni-

kacyjne. Pewne terytorja dysponują większemi siłami mechanicznemi, uosobionemi w maszynach i urządzeniach, zwielokratniających siły wytwórcze ludności, inne zaś mniejszemi. Jakość tych urządzeń mechanicznych, ich sprawność produkcyjna przedstawia się również rozmaicie.

Z drugiej strony rozmaicie przedstawia się w różnych organizmach gospodarczych sprawa zasobu kapitałów pieniężnych. Niejednakowo długotrwały okres gospodarki pieniężnej na rozlicznych terytorjach, rozmaitość dróg, na których poszczególne kraje dochodziły do kapitałów pieniężnych (rola w handlu światowym, udział w eksploatacji kolonij i t. d.), różnorakie koleje polityczno-gospodarcze rozlicznych terytorjów (wojny, najazdy barbarzyńców), już same przez się dały podstawy do niejednolitego stanu zasobu kapitałów pieniężnych, wchodzących w rachubę dla celów finansowania procesu produkcji. Przyłącza się do tego niejednolite tempo narastania nowych kapitałów. Tak np. społeczeństwa, lepiej sytuowane pod względem urządzeń komunikacyjnych, mogą wydawać na nie mniej ze swego rocznego dochodu narodowego, niż społeczeństwa, mające w tej dziedzinie braki bardziej wydatne. W konsekwencji te pierwsze społeczeństwa mogą (oczywiście *mutatis mutandis*) więcej ze swego rocznego dochodu dołączyć do zasobu kapitałów pieniężnych, niż drugie. To samo dotyczy naturalnie kosztów budownictwa miejskiego, urządzeń użyteczności publicznej, a wreszcie to samo stosuje się do instalowania, konserwowania i odnawiania zasobu sił mechanicznych społeczeństwa.

Zasobność społeczeństwa w kapitały pieniężne, ustosunkowana do potrzeb życia gospodarczego w tej dziedzinie, stanowi o cenie kapitału. Ta z kolei, jako jeden z podstawowych składników kosztów produkcji, ma na nie wpływ nader wydatny. Taniość, względnie drożyzna kapitałów, przeznaczonych do finansowania procesu produkcji, dając jednym krajom korzystniejsze szanse niż innym, działa w ten sposób podobnie, jak właściwości naturalne terenu.

Wreszcie rozmaity stopień doskonałości organizacji obiegu i kredytu (stosunki prawne, stałość waluty, rozwój obiegu bezgotówkowego, technika bankowa i t. d.) rozmaicie wpływają na możność gospodarczego wyzyskania rozporządzalnych

zasobów pieniężnych, t. zn. rozmaicie kształtują jego masę, stojącą gospodarce do dyspozycji.

Jeżeli idzie o czynnik pracy bezpośredniej (w przeciwstawieniu do kapitału, jako pracy skoncentrowanej, zaoszczędzonej), wydajność jego w produkcji zależy od jakości, podobnie jak wydajność pracy maszyny. Jest zjawiskiem naturalnem, że społeczeństwa lepiej wyposażone w inwestycje, zasobniejsze, mające za sobą dłuższą przeszłość historyczną, a przedewszystkiem dłuższą przeszłość w dziedzinie nowoczesnej produkcji, będą miały czynnik pracy lepiej przystosowany do potrzeb od społeczeństw niezasobnych i młodszych. Chodzi tu zarówno o poziom umysłowy, o wiedzę fachową czynnika pracy, nabierającą coraz większego znaczenia i wysuwającą się ponad zagadnienie jego taniości,[1] niemniej jak o stosunek okresu użytkowania z pracy jednostki do okresu przygotowywania tejże jednostki do pracy gospodarczej. Pierwsze zależeć będzie od stanu nauki w danem społeczeństwie, drugie — od warunków życia, wychowania fizycznego, stanu urządzeń sanitarnych w społeczeństwie, organizacji lecznictwa, opieki społecznej i t. d. Otóż ta wydajność pracy, zarówno występująca bezpośrednio, jak wydajność absolutna, wynikająca ze stosunku, który zachodzi pomiędzy kosztem produkcji siły roboczej a okresem jej użytkowania, stanowi również indywidualną właściwość poszczególnych organizmów gospodarczych. Odbija się ona z jednej strony na kosztach produkcji, ale z drugiej, i jest to zgoła niemniej ważne od momentu dopiero co podniesionego, umożliwia w pewnych krajach produkcję doskonalszą, bardziej wyspecjalizowaną niż w innych.

Wszystkie wymienione tu czynniki występują w poszczególnych krajach w najrozmaitszych kombinacjach. Na ich tle kształtuje się typ gospodarczy danego kraju, jego specjalizacja, jego rola w całokształcie gospodarczym świata. Biorąc rzeczy na nieco dłuższy dystans, życie ekonomiczne, pomimo wszystkie stawiane mu przeszkody, prowadzi do utrwalenia się pewnych typów produkcji w warunkach dla niej najodpowiedniejszych i czyni z ognisk tej produkcji centra, posiadające w odnośnym

---

[1] Por. o tem moją rozprawę p. t. *Istota i granice gospodarcze ubezpieczeń społecznych*, Kraków, 1928, str. 4.

kierunku znaczenie nietylko z punktu widzenia danego organizmu gospodarczego, lecz grające odpowiednią rolę w skali mniej lub więcej światowej.

2

Jakież jest stanowisko Polski w wymianie międzynarodowej z nakreślonego tu punktu widzenia?

O ile nam dotąd wiadomo — a wątpliwą jest rzeczą, abyśmy mogli stać w dotyczącym kierunku przed jakiemiś rewelacjami — Polska nie posiada surowców, które występowałyby na jej terytorjum w takich ilościach, że mogłyby stać się podstawą jej roli w stosunkach wymiennych świata. Jedyny surowiec, którego produkcja ma charakter nadwyżkowy zarówno dziś, jak przy odpowiednich inwestycjach mieć może w przyszłości, — to węgiel. Nie jest on jednakże z punktu widzenia handlu światowego surowcem pożądanym. Znajduje się dziś na rynku w stosunkowym nadmiarze, i nic nie wskazuje, iżby ta rola jego miała ulec pomyślnej dla nas zmianie. Teoretyczne wyczerpywanie się zasobów nawet w Anglji, wziętej jako całość gospodarcza, nie wchodzi jeszcze praktycznie w rachubę. W skali światowej należy liczyć się jedynie z dalszym wzrostem produkcji w krajach pozaeuropejskich, zapoczątkowanej w czasie abstynencji eksportowej Europy podczas wielkiej wojny. Z drugiej strony konsumcja węgla niewątpliwie stosunkowo maleje na tle postępu techniki, intensyfikującej metody spalania, równie jak na tle rozszerzania użycia białego węgla. To też eksport polskiego węgla ma i mieć musi przed sobą niewątpliwie poważne trudności.

Pozostałe surowce pochodzenia polskiego o znaczeniu światowem (zboża, drzewo, nafta, potas) nie stwarzają dla Polski lepszej sytuacji. W zakresie niektórych z nich (zboża, potas) Polska jest organizmem mniej lub więcej deficytowym. Jeżeli idzie o zboża, małe są widoki, ażeby Polska mogła urosnąć do roli poważnego eksportera. Najpierw, po zażegnaniu niebezpieczeństwa deficytu, które dość często jednak grozi, zbyt wiele — i jak trudnej pracy ze względu na charakter warsztatu i poziom pracownika! — mamy jeszcze do zdziałania dla zaspokojenia potrzeb wzrostu konsumcji wewnętrznej, która wykazuje fatalny niedobór w porównaniu z normami społeczeństw o więk-

szej sprawności gospodarczej. Następnie, warunki klimatyczne Polski, przynajmniej w dzisiejszym stanie rolnictwa, wyłączają możność znalezienia się w położeniu poważniejszego eksportera najważniejszego zboża, z punktu widzenia handlu światowego, a mianowicie pszenicy. Co się tyczy potasu, to zapewne wielki nakład kapitału i pracy może doprowadzić do zaspokojenia potrzeb przez produkcję własną, małe są jednak widoki uzyskania nadwyżki eksportowej. W zakresie drzewa i nafty perspektywy nie rysują się obiecująco. Już dziś wywożony jest kapitał drzewny, poważne zatem ograniczenia eksploatacji stają się koniecznością. Handlowe konsekwencje tego stanu rzeczy z punktu widzenia wymiany z zagranicą staną się jeszcze poważniejsze, gdy uruchomienie na potrzebną skalę ruchu budowlanego i wogóle działalność inwestycyjna zaciążą na masie krajowego produktu drzewnego. Jeżeli idzie o naftę, zastosowanie motoru wybuchowego zarówno do trakcji, jak do popędu maszyn, ma w Polsce tak olbrzymie perspektywy rozwoju, że utrzymanie wystarczalności w zakresie nafty i produktów naftowych stanie się zapewne niezadługo poważnym problemem polskiej polityki w tej dziedzinie. To też, o ile absolutne cyfry masy wywozu drzewa będą zapewne miały w najbliższej już przyszłości tendencję zniżkową, i rola tego artykułu w polskim wywozie zacznie tylko maleć, o tyle wywóz nafty i jej derywatów będzie miał napewno kierunek zdecydowanie zanikowy.

W zakresie wszystkich innych produktów prócz mięsa, o czem mowa dalej, nasze życie gospodarcze nie wykazuje dziś poważniejszych pozycyj czynnych ze stanowiska wymiany zewnętrznej. Z punktu widzenia uwag, podanych poprzednio, jest to zjawisko najzupełniej naturalne. Na skutek specyficznych cech swego rozwoju dziejowego Polska jest krajem o wydatnie małej zasobności zarówno w dziedzinie kapitałów rzeczowych, jak w dziedzinie kapitałów pieniężnych. Nie lepiej przedstawia się w Polsce wartość pracy, której najważniejszym momentem dodatnim jest właśnie to, co z punktu widzenia dzisiejszej organizacji wytwarzania stanowi cechę równoległą do małej wydajności, do niskiej wartości specyficznej, — jej taniość. Na równie niskim poziomie stoi w Polsce organizacja obrotu pieniężnego i wyzyskiwania rozporządzalnej masy kapitałów pieniężnych.

Jedynie w dziedzinie hodowli zwierząt jest Polska organizmem wybitnie czynnym i to w sposób wzrastający. Ale i tu dla jasnego postawienia sprawy należy podać pewne omówienia, pospolicie u nas lekceważone.

Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na stosunek nadwyżki eksportowej w omawianej dziedzinie do liczby ludności. Jest to ważne z tego względu, że rola produktów hodowli zwierzęcej w odżywianiu ludności Polski jest anormalnie niska. Wzrost konsumcji w tym zakresie jest koniecznością, i należy liczyć się z tem, że będzie się on odbywał w szybkiem tempie.

Poniższe zestawienie przedstawia nadwyżki produkcji na głowę ludności.

Rok	Ilość ludn. w tys.	Cukier kg.	Sery i masło kg.	Jaja[1] sztuk	Mięso[1] kg.
1924	29.029	8.5	0.014	7.2	1.83
1925	29.511	6 6	0.057	18.3	4.67
1926	29.853	8.9	0.25	39.2	3.67
1927	30.212	6.7	0.30	43.4	3 36
1928	30.408	6.1	0.42	35.9	4.76

Zestawienie powyższe uwypukla tylko jedną grupę towarów o charakterze nadwyżki wyraźnie wzrastającej. Jest to grupa produktów nabiałowych: serów i masła. Jakkolwiek nadwyżka ta wzrasta, jest ona jednak stale bardzo skromna. Wynosząc 0.42 kg rocznie na głowę ludności, daje zaledwie 8 gr na głowę tygodniowo.

Wyraźnie zniżkujący charakter wykazuje nadwyżka cukru. Nadwyżka w grupie jaj oraz mięsa wykazuje wahania, nie mówiąc o tem, iż, absolutnie biorąc, nadwyżki te są bardzo drobne. W jajach wynosi to mianowicie 0.7 jaja na głowę tygodniowo, w mięsie zaś i tłuszczach 0.09 kg na głowę tygodniowo. Pochłonięcie tych nadwyżek przez konsumcję bardzo

[1] Obliczenie powyższe uskutecznione zostało w ten sposób, że wagę jaja przyjęto na 50 gr., zwierzęta zaś przeliczono na mięso według klucza: 1 sztuka bydła = 400 kg, 1 świnia = 120 kg, przyczem bita waga wynosi przy bydle 50% wagi żywej, przy trzodzie 70%. Sztuka drobiu = 5 kg.

łatwo może wejść w grę przy poprawie położenia gospodarczego, a wahania ujawnione w ostatnich latach, będących właśnie okresem lepszej konjunktury, mogą wskazywać na problem dotrzymania przez produkcję kroku wzrostowi konsumcji.

Z drugiej strony należy mieć na uwadze, że artykuły hodowlane, poza jajami i w pewnym może stopniu poza masłem, nie są artykułem o dużym zasięgu ekspansji handlowej. W pierwszej linji dotyczy to oczywiście mięsa. Główna masa dotyczących produktów predystynowana jest jako materjał obrotu *mutatis mutandis* sąsiedzkiego. Dla żadnego z tych artykułów nie wchodzą w grę tereny pozaeuropejskie.

Otóż dla wielkiej części polskiego eksportu tej dziedziny, skazanej na rynki sąsiedzkie, położenie nie kształtuje się pomyślnie. Na wszystkich tych rynkach istnieje tendencja jak najdalej posuniętej ochrony produkcji miejscowej. W pierwszej linji należy to położyć na karb zaznaczającego się w tych krajach coraz większego utrudnienia odpływu do miast nadwyżek ludności, które wieś stale produkuje. Możliwość istnienia nadliczbowej ludności rolniczej da się osiągnąć przez stabilizację na wysokim poziomie, względnie podwyższenie rentowności tych dziedzin gospodarki rolnej, które w pierwszym rzędzie wchodzą w grę dla chłopa, dostarczającego kontyngentu nadwyżki. Idzie tu oczywiście o produkty hodowli. To jest punktem centralnym trudności, napotykanych przez nas w Niemczech i w Austrji, a w pewnej mierze zapewne i w Czechosłowacji. Niezależnie od tego należy zwalczać na tych samych sąsiedzkich rynkach konkurencję krajów o takiem samem nastawieniu eksportu, co Polska: Jugosławji, Węgier, a ostatnio również Włoch, pełnych ekspansji w każdym kierunku. To też linja rozwoju pracy w omawianej dziedzinie posiada i musi posiadać pewne wahania. Małe są widoki, aby można było liczyć na szybkie i poważne rozwinięcie eksportu produktów hodowlanych poza jajami i masłem.

Lepiej powinna się przedstawiać sprawa w dziedzinie produktów o dalszym zasięgu. Tu jednak dużą rolę odgrywa kwestja jakości produktu. Poważne koszty transportowe oraz koszty handlowo-organizacyjne można przezwyciężyć tylko przy towarze stałej i wysokiej jakości, gdy tymczasem Polska jest dostawcą towaru pośledniejszej jakości, a więc towaru nietylko

osiągającego niższe ceny, ale ponadto bardziej chwiejnego pod względem możności umieszczania go od towaru jakości wysokiej i ustalonej, a jednolitej.

3

W zakresie uczestnictwa w wymianie międzynarodowej Polska jest ze swego stanowiska organizmem biernym. Ponadto wzrost znaczenia polskich pozycyj czynnych, dotąd grających najważniejszą rolę, jest albo mało prawdopodobny, albo możliwy w tempie tylko powolnem i raczej w linji wahliwej. Należy natomiast liczyć się ze zmniejszeniem znaczenia pewnych kapitalnych dziś pozycyj, jak drzewo, a po części i nafta.

Z drugiej strony, z analizy czynników, kształtujących międzynarodowy podział pracy i wykreślających w ten sposób możności czynnego udziału w wymianie światowej, wynika, że Polska nie ma w tej chwili ani nawet jeszcze w najbliższej przyszłości warunków, ażeby stać się ogniskiem produkcji eksportowej w dziedzinach innych niż dotychczasowe, a przedewszystkiem w dziedzinie przemysłu przetwórczego. Zanim się to stać może i ażeby się to stać mogło na dużą skalę, liczny szereg czynników musi ulec zmianie w kierunku osiągnięcia przez Polskę poziomu krajów, które wchodzą w rachubę jako konkurenci. W ogólnem ujęciu czynniki te sprowadzają się do dwu: akumulacja kapitałów i podniesienie sprawności wytwórczej jednostek.

Kształtowanie się drugiego z nich znajduje się w ścisłej zależności od losów pierwszego. Tylko na tle zasobności kapitałowej społeczeństwa może rozwijać się pomyślnie zagadnienie sprawności wytwórczej jednostek, jako zjawisko masowe. Rozwój tej właściwości; narastanie jej jest ponadto możliwe z naturalnych względów nie inaczej, niż w tempie stosunkowo powolnem. Równie jednak nie możnaby oczekiwać w Polsce szczególnie wydatnego tempa pierwszego z tych procesów, a mianowicie procesu akumulacji kapitału wogóle, kapitałów zaś pieniężnych w szczególności.

Wprawdzie ludność polska, wbrew częstym pesymistycznym na te rzeczy poglądom, wykazuje wydatną zdolność oszczędzania, i z tego punktu widzenia możnaby rokować dobre nadzieje dla procesu narastania możności finansowania produkcji. Należy

jednakże mieć na względzie wchodzące tu w grę momenty ograniczające. Najpierw indywidualna zdolność oszczędzania jest w Polsce zdolnością oszczędzania ludzi o niskim dochodzie. W miarodajnym dziś dla naszej struktury społecznej słabym odsetku ludności miejskiej, poza robotnikiem, zdolnym do akcji oszczędnościowej tylko wyjątkowo i na minimalną skalę, wchodzi w grę przedewszystkiem ludność małych miasteczek. Jest ona z charakteru gospodarczego w bardzo licznych wypadkach osiadłą w miasteczkach ludnością rolniczą, z punktu widzenia zdolności akumulacyjnej równą ludności rolniczej wogóle, o której będzie mowa za chwilę. Pozatem mamy do czynienia w tych miasteczkach z ludnością w znacznej mierze o charakterze proletarjackim lub doń zbliżonym. Zasobne drobne mieszczaństwo, jako formacja gospodarcza, występuje w Polsce w złożach stosunkowo rzadkich i cienkich. O zdolności do oszczędzania ze strony licznej rzeszy urzędników państwowych i autonomicznych mówić poważnie trudno, już nietylko wobec kosztowności zaspakajania w Polsce potrzeb kulturalnych, właściwych tej warstwie ludności, lecz przedewszystkiem z punktu widzenia stosunku pomiędzy jej dochodami a elementarnemi kosztami fizycznego bytowania. Pozostaje więc stosunkowo nieliczna kategorja wolnych zawodów i kupiectwa, oraz częściowo warstwa t. zw. pracowników umysłowych, które być mogą pomimo wszystko podstawą narastania oszczędności.

Poza miastami, główna masa ludności, chłop, wydatnym akumulatorem kapitałów być dziś nie może. W olbrzymiej masie małorolny i nawet, mimo reformy rolnej, bez wielkich widoków masowego upełnorolnienia, gospodarujący niekulturalnie, w warunkach przytem dla gospodarki aż nazbyt często niekorzystnych, może on przy całej abnegacji życiowej, która go cechuje, oszczędzać zaledwie drobiazgi.

Ważniejszą jednak, niżli ten stan niekorzystny, jest okoliczność, że w społeczeństwie dzisiejszem centrum procesu narastania kapitałów przesuwa się w kierunku od szerokich mas ku ogniskom gospodarki, a więc u nas, ze względu na charakter kraju, w pierwszym rzędzie ku gospodarstwu rolnemu. Dominuje w niem chłop o właściwościach powyżej omówionych. Poza nim większa własność, będąca w Polsce w szczególnie niepomyślnem położeniu, nie może poprawić tego stanu rzeczy.

Działalność gospodarcza poza rolnictwem z punktu widzenia rentowności nie ma jednolitej opinji. Że może akumulować, jest to naogół wysoce prawdopodobne, trzeba jednakże mieć na względzie, że bardzo znaczna część tej akumulacji dokonywa się poza organizmem gospodarczym Polski. Zadłużenie przemysłu i handlu, równie zresztą jak zadłużenie własności miejskiej i ziemskiej, przy anormalnie wysokich kosztach kredytu powoduje przerzucanie ogromnej części dochodu społecznego na rzecz wierzycieli. Są nimi bezpośrednio czy pośrednio w olbrzymiej mierze kapitały obce, które w ten sposób zmniejszają polskie zdolności tworzenia kapitałów. Ponadto przemysł polski, a nawet wielki handel, równie jak bankowość, znajdują się w wydatnym stopniu bezpośrednio w posiadaniu zagranicy. W ten sposób, poza oprocentowaniem kapitałów, również zysk przedsiębiorcy odpływa w znacznej części z Polski zagranicę.

Tak więc widoki uzyskiwania gruntu, na którym mają się rozwijać procesy, stawiające Polskę pod względem sprawności produkcyjnej narówni z konkurentami, zapowiadają powolny tok poprawy. Wniosek ten zaś, równie jak nakreślony poprzednio fakt braku widoków, by najważniejsze dotychczasowe surowcowe pozycje czynne polskiego bilansu handlowego mogły stać się podstawą poważniejszej akcji, należy mieć przedewszystkiem na uwadze, gdy się chce przystąpić do traktowania któregokolwiek z zagadnień aktywizacji naszego bilansu handlowego.

4

Jeżeli więc patrzeć będziemy na kształtowanie się polskich stosunków towarowo-wymiennych z zagranicą z tego punktu widzenia — a każdy inny jako błędny w metodzie, musi, mojem zdaniem, doprowadzić do niesłusznych wniosków — nasuwa się odrazu zasadnicza teza, którą należy położyć u podstawy rozważań nad konstrukcją naszej polityki kredytowej w związku z bilansem handlu zagranicznego. Teza ta brzmieć będzie w ten sposób, że przy braku szczególnie wydatnych specyficznych możności eksportowych z jednej strony, a z drugiej strony przy doniosłych różnicach organicznej natury, które zachodzą pomiędzy społeczeństwem polskiem a społeczeństwami przemysłowemi i uniemożliwiają mu w tej chwili równorzędną z niemi

zdolność konkurencyjną, rozwój polskiej ekspansji towarowej w kierunku zagranicy nie jest ani łatwy, ani nawet w najbliższej przyszłości na istotnie poważną skalę możliwy. Taki jest dzisiejszy układ stosunków w naszym organizmie gospodarczym, a zmiana jego musi być z natury rzeczy procesem, wymagającym zarówno środków w kapitale i ludziach, jak przedewszystkiem czasu.

To też, wychodząc z tego założenia, należy stwierdzić dla celów polityki praktycznej, że zagadnienie poprawy, aktywizacji naszego bilansu handlu zagranicznego powinno być traktowane w pierwszym rzędzie nie z punktu widzenia wzmożenia eksportu, lecz raczej ze stanowiska redukcji importu. Oczywiście nie wchodzą tu w zakres rozważań sposoby redukcji mechanicznej, mało przytem naogół skuteczne. W konsekwencji założenia pracy może iść tylko o zastąpienie importu przez produkt wewnętrzny. Ta też sprawa musi być wytyczną dla kształtowania naszej polityki kredytowej.

Zadaniem uwag niniejszych już z samej natury rzeczy nie może być szczegółowe studjum poszczególnych zabiegów kredytowych, które na zasadzie podanych wyżej przesłanek zastosować należy dla aktywizacji naszego bilansu handlu zagranicznego w drodze zastąpienia importu przez produkcję krajową. Musi to być pozostawione praktyce bieżącej. Tu należy ograniczyć się do wskazań natury ogólnej, wskazań raczej metodycznej natury, dających podkład dla praktycznego administrowania polityką kredytową. Z tego więc stanowiska należy zaznaczyć, co następuje.

W pierwszym rzędzie wydaje się być konieczne zwrócenie większej niż dotąd uwagi na pomoc kredytową dla produkcji rolnej. Nietylko dlatego, że w tym kierunku stosunkowo najłatwiejsze może być osiągnięcie celu bezpośredniego, polegającego na trwałem, a koniecznem, jako wstęp do wszelkiej akcji sanacyjnej, — zrównoważeniu naszego bilansu w zakresie zbóż. Ważne jest ponadto, że intensyfikacja produkcji, zmniejszająca amplitudę wahań zbiorów, usunie, względnie złagodzi to, co w zakresie kształtowania się naszego bilansu handlu zagranicznego jest dla nas najgroźniejsze, groźniejsze może nawet, niż jego bierność zasadnicza: niebezpieczeństwo raptownie występujących i bardzo wydatnych braków zboża. Krótka historja

naszej waluty daje w tym kierunku alarmujące ostrzeżenia. Wydaje się, iż dopóki nie zostanie usunięta bez mała z roku na rok w Polsce występująca groźba importu wielkich mas zboża chlebowego z konsekwencją, polegającą na raptownem zwiększeniu zapotrzebowania walut dla celów krycia importu ponad normalny tok rzeczy, wynikający z całokształtu naszego życia gospodarczego, — polską politykę walutową musi cechować zupełnie wyjątkowa ostrożność, nastawiona na przewidywanie ewentualności najgorszych jeszcze bardziej, niż to dziś z nieustalonego układu stosunków światowych wypada. Wobec szczególnie doniosłego znaczenia, które odgrywa w Polsce bank emisyjny w zakresie finansowania życia gospodarczego dla szczupłości kapitałów prywatnych, ta stale co roku powtarzająca się *latent* groźba nie może nie mieć ograniczających skutków dla polskiego rynku kredytowego wogóle. Ale jeszcze groźniej wygląda to z perspektywy ewent. koniecznych restrykcyj kredytowych na wypadek efektywnego odpływu walut z racji wydatnego importu zbóż, jak to było w r. 1924/25. Dla życia gospodarczego zaś jest stan silnych wahań zawsze dużo groźniejszy od trwałego nawet stanu niedostatecznego zaopatrzenia kredytowego. Jeszcze dotkliwsze i jeszcze bardziej niebezpieczne muszą być oczywiście konsekwencje raptownych wahań kredytowych przy traktowaniu polityki kredytowej, jako akcji celowej, administrowanej z punktu widzenia pewnych celów gospodarczych osiągalnych, jak powiedziano, tylko w perspektywie dłuższych okresów czasu.

Momenty te, jakkolwiek doniosłej już same przez się wagi, nie wyczerpują jednakże kwestji. Zwiększenie masy produktu rolniczego, przy odpowiednich przesunięciach wewnętrznych w jego składzie, mieć będzie znaczenie nietylko zatamowania jednego ze źródeł importu. Rozszerzy ono, a co może w danych warunkach jeszcze ważniejsze — u s t a b i l i z u j e w pewnym stopniu rynek wewnętrzny.

Polityka przeciwdziałania importowi musi być w Polsce, w myśl ustalonego poprzednio punktu wyjścia, polityką popierania rozwoju wytwórczości wewnętrznej. W dalszym ciągu tych uwag przyjdzie kolej na szczegółowe omówienie tego problemu. Tu już jednak należy podnieść, że jednym z podstawowych warunków dla rozwoju produkcji dzisiejszej, pracującej

wielkiemi masami kapitału stałego i wobec tego nader ujemnie znoszącej raptowne redukcje, jest stałość zapotrzebowania podstawowych rynków zbytu, względnie ściślej, spokojny rozwój zachodzących na tym rynku procesów. Wyhodowanie przemysłu, szczególnie, jeżeli idzie o przemysł wielki, — a zobaczymy później, jak podstawową rolę u nas ten moment odgrywać musi, — jest do pomyślenia tylko przy zapewnieniu tej właśnie stałości rynku. Odwrotnie: wydatne wahania, występujące na rynku wewnętrznym, potęgując niebezpieczeństwa, które dziś zasadniczo stoją przed inicjatywą przemysłową ze strony konkurencji zagranicznej, osłabiają możność przejawiania się tej inicjatywy i przez to działają pośrednio w kierunku stabilizacji importu, jako sposobu pokrycia pewnych zapotrzebowań. W Polsce ten moment silnych wahań, występujący ze strony głównego konsumenta krajowego, ma w stosunku do przemysłu podwójnie ujemne oddziaływanie. Z jednej strony powoduje on zwężenie rynku zarówno ze strony producenta rolnego, jak ze strony rynku wewnętrznego, jako całości: gospodarstwo narodowe, zmuszone do przeznaczenia pewnej części dochodu rocznego na zakupno zagranicą środków żywności, będzie mogło poświęcić na zaspokojenie innych potrzeb, krytych na rynku wewnętrznym, tylko kwoty odpowiednio mniejsze. Ale ponadto w myśl powiedzianego poprzednio może on wywołać na rynku wewnętrznym trudności kredytowe i to właśnie w chwili, gdy zaburzenia w obszarze zbytu zwiększają znaczenie kredytu i jego kondycji.

Pozatem intensyfikacja produkcji zbożowej, tembardziej oczywiście, jeśli terenem tego zjawiska stanie się gospodarstwo małorolne, będzie drogą do intensyfikacji innych dziedzin gospodarstwa rolnego.

Jeżeli się jednak mówi o polityce kredytowej w stosunku do rolnictwa, to wskazanie kierunku tej polityki dla kształtowania się polskiego handlu zagranicznego nie byłoby wyczerpaniem zagadnienia, jeżeli jednocześnie nie zostałby poruszony całokształt polityki gospodarczej w stosunku do rolnictwa. Nie tutaj oczywiście miejsce i pora do omawiania tego zagadnienia w całej rozciągłości. Powiedzieć jednak stanowczo należy to

samo, co przed chwilą powiedziano o potrzebie stałości stosunków rynku wewnętrznego dla rozwoju przemysłu. Działalność gospodarcza bez pewnego stopnia stałości warunków jest wogóle trudna i rozwija się z reguły źle. Bardzo zaś problematyczna jest możność prowadzenia celowej, na dłuższą metę obliczonej pracy nad wzmożeniem i ugruntowaniem produkcji, jeżeli ogólne warunki tej pracy ulegają ciągłym zmianom i to nie tyle organicznej, ile raczej administracyjnej natury. Uważam, iż skargi na politykę Państwa w stosunku do rolnictwa są w Polsce z reguły źle formułowane. Wolno twierdzić, że zapoznawanie znaczenia rolnictwa w naszem gospodarstwie narodowem, równie jak zapoznawanie roli rentowności rolnictwa, było w naszej polityce gospodarczej wielkim błędem, którego konsekwencje długo jeszcze na nas mścić się będą. Ale pamiętać należy, że racjonalne ustalenie polityki w jakiejkolwiek dziedzinie jest zawsze zagadnieniem niesłychanie trudnem i to zarówno w Polsce, jak gdzieindziej. Oczywiście, w Polsce jest ustalenie to zabiegiem bardziej skomplikowanym, bardziej ryzykownym. Nietylko nasz aparat państwowy jest młodszy niż gdzieindziej i posiada mniej kwalifikacyj i doświadczenia. Gorzej. Nawet dziś, po 10 latach niepodległości, brak nam jeszcze w wielu dziedzinach należytego materjału faktycznego, podstawowego dla badania szeregu zagadnień gospodarczych. Zupełnie szczególne braki istnieją pod tym względem w dziedzinie rolnictwa, zarówno w statystyce, jak i w materjale, dotyczącym rentowności poszczególnych upraw, poszczególnych typów produkcji, poszczególnych typów gospodarstw i t. d. Dlatego też, nie usprawiedliwiając oczywiście tego, co powinno być potępione, — trzeba stwierdzić, iż omyłki, złe, niecelowe, szkodliwe posunięcia w dziedzinie polityki gospodarczej wogóle, a w odniesieniu do rolnictwa w szczególności, stanowią *dura necessitas* naszego położenia w stopniu bez porównania wyższym, niż to jest do uwzględnienia gdziekolwiek indziej. Co jednak stanowi moment najgroźniejszy i co powinno być zarzucone, to zbytnia łatwość, zbytni pośpiech w zmianach linji polityki gospodarczej w Polsce. Niebezpieczne w każdej dziedzinie, jest to szczególnie groźne dla produkcji w rolnictwie. Aż nazbyt często zapomina się w Polsce, że produkcja rolnicza nie jest procesem mechanicznej, lecz organicznej natury. Już z tej racji

możność zmiany linji jest w niej nietylko znacznie trudniejsza, niż w innych dziedzinach wytwórczości gospodarczej, ale ponadto wymaga znacznie dłuższego czasu. I odwrotnie: możność zorjentowania się w skutkach pewnych pociągnięć wymaga również znacznie dłuższego czasu niż gdzieindziej. Wskutek tego możność przystosowania się rolnictwa do warunków chwili jest z reguły problemem, który musi być rozłożony na przeciąg lat kilku. Właśnie w związku z tem, nietylko zaś, jak to się zwykle przypuszcza, z poziomem umysłowym, znajduje się t. zw. konserwatyzm rolnika, będący tylko typem myślenia, organicznie danemu zawodowi właściwym. Jeżeli więc, nie uwzględniając tych naturalnych warunków konstrukcji gospodarstwa rolnego, wkracza się z poważnemi polityczno-gospodarczemi zmianami częściej, prędzej, niż na to natura rzeczy pozwala, można wywołać w gospodarstwie rolnem wszystkie bez mała skutki prócz tych, które wywołać się pragnie. Rolnictwo jeszcze bardziej niż życie gospodarcze wogóle, łatwiej przystosowuje się nawet do warunków niepomyślnych, niż do ciągłej ich zmiany. Jeżeli więc działanie polityki kredytowej na gospodarstwo rolne ma osiągnąć cel, musi ono odbywać się na tle bardzo zrównoważonej, spokojnie rozwijającej się przez czas dłuższy polityki gospodarczej w stosunku do rolnictwa wogóle.

Pozatem konieczne jest poruszenie w sprawie polityki kredytowej w stosunku do rolnictwa jeszcze dalszych momentów.

Pierwszym z nich jest charakter akcji kredytowej. Nie ulega wątpliwości, że każdy dopływ środków do gospodarstwa rolnego znajdzie w konsekwencji swe dodatnie reperkusje w produkcji. Idzie jednakże o to, czy znajdzie je bezpośrednio, czy pośrednio, to znaczy, kiedy je znajdzie, jaki będzie istniał związek w czasie pomiędzy akcją kredytową a przyświecającemi jej celami.

Gospodarstwo narodowe Polski pracuje od długiego szeregu lat w warunkach kredytowych, zupełnie specyficznie nieprzychylnych dla rolnictwa. Wiadomo, że głównym, a w wielu wypadkach najważniejszym, jedynie dopuszczalnym typem kredytu, jest dla rolnictwa długoterminowy kredyt amortyzacyjny. O ten zaś właśnie w Polsce najtrudniej. Konsekwencją takiego stanu rzeczy jest powszechne w Polsce przeciążenie rolnictwa

kredytem krótkoterminowym. Częstokroć kredyt ten ma charakter wybitnie lichwiarski i to zarówno na obszarze małej, jak wielkiej własności. Pozatem istnieje w gospodarstwie rolnem w Polsce ogromna masa pretensyj nierozwikłanych i rozwikływanych stopniowo, doraźnie, w miarę pojawiania się środków. W pierwszym rzędzie wchodzą tu w rachubę działy spadkowe, dokonywane za pomocą spłaty. Są to wszystko worki otwarte pod kątem widzenia pochłonięcia każdego pieniądza, zjawiającego się w możliwych warunkach kredytowych. Przy wszelkich akcjach kredytowych istnieje zawsze niebezpieczeństwo skonsumowania udzielanych środków kredytowych w sposób, liczący się nietyle z celem akcji, ile z innemi, nabrzmiałemi potrzebami gospodarstwa, czy jego właściciela.

Powtarzam, że każdy pieniądz, użyty na pokrycie takich ciężarów, cisnących gospodarstwo, będzie pieniądzem, użytym owocnie i wywrze na produkcję skutki dodatnie. Jeżeli też na taką sanację używa się kredytów, uzyskanych przez gospodarstwo w formie długoterminowej, zabieg jest najzupełniej racjonalny, a sama akcja kredytu długoterminowego powinna być w pierwszym względzie organizowana dziś z punktu widzenia odciążenia gospodarstw w zakresie kredytu krótkoterminowego. Podniesie to samo przez się odrazu rentowność gospodarstw, wzmoże ich swobodę ruchów i da podłoże dla usprawnienia produkcji. W tych jednak wypadkach, gdy operować się ma kredytem w formie krótkoterminowej, przeznaczonym dla pewnego specjalnego celu, należy mieć w obecnych warunkach polskich na oku niebezpieczeństwo zużycia kredytu na cele inne niż to było intencją akcji. W tej drodze dochodzi najpierw w rolnictwie niejednokrotnie do zamrożenia kredytów, aranżowanych dla pewnych celów specjalnych. Zużywszy kredyt na zapłatę zobowiązań o charakterze nie krótkoterminowym, nie może rolnik uiścić się w terminie wobec kredytodawcy. Zasób środków pieniężnych, stojących do dyspozycji dla celowych akcyj kredytowych, maleje. Ponadto cel akcyj zostaje o tyle wypaczony, że przesuwa się on w czasie na terminy nieobliczalne. Polityka kredytowa przestaje wtedy do pewnego stopnia być polityką, t. zn. akcją, skierowaną ku osiągnięciu pewnych celów specyficznych.

Dlatego też uważać należy, że te wszystkie typy kredytów rolniczych, które są przeznaczone na finansowanie pewnych akcyj, związanych z zakupami, powinny być w pierwszym rzędzie i z zasady organizowane w formie kredytów dyskontowych dla firm i organizacyj, dostarczających odnośnych artykułów. Takiemi powinny być z reguły kredyty nawozowe, maszynowe, na zakupno drenów do meljoracji. W wypadkach, gdzie podobny sposób zastosowania mieć nie może, jak np. częstokroć przy zakupnie zboża do siewu, ziemniaków do sadzenia, przy zakupnie inwentarza, przy finansowaniu prac rolniczych, kontrola zużycia kredytów powinna być regułą. Organem tej kontroli powinny być w pierwszym rzędzie kulturalne związki celowe rolnictwa (sekcje nasienne, hodowlane i t. d. towarzystw rolniczych), w których dziedzinie pracy leży omawiana akcja kredytowa, a w razie braku odpowiednich organów specjalnych — organizacje reprezentacyjne rolnictwa (związki ziemian, kółka rolnicze).

Ostatnim wreszcie problemem z dziedziny polityki kredytowej w zakresie rolnictwa, który poruszyć tu uważam za konieczne, jest zagadnienie kredytowania gospodarstw małorolnych, powstających, względnie reorganizujących się w promieniach niewątpliwie największej i najdonioślejszej akcji gospodarczej, którą Polska obecnie prowadzi, a mianowicie w promieniach oddziaływania reformy rolnej. Kwestja ta, której poświęciłem pracę specjalną,[1] nie będzie tu omawiana szczegółowo. Ograniczam się do zaznaczenia, że ustawa w dzisiejszym stanie rzeczy rodzi niebezpieczeństwo, iż olbrzymia część powierzchni rolniczej w Polsce może się znaleźć w stanie nietylko małej sprawności gospodarczej samo przez się, ale, że ponadto poprawa tego stanu rzeczy zapomocą kredytowego działania na gospodarstwa nie będzie możliwa, poprostu dla braku odpowiedniej podstawy kredytowej.

5

Poświęciwszy obszerniejsze uwagi rolnictwu ze względu na kluczowy charakter tej dziedziny gospodarstwa narodowego w obecnej chwili w Polsce i wszedłszy nawet, wbrew zapo-

[1] *Problem sfinansowania reformy rolnej*, Warszawa, 1928.

wiedzi ogólnej, w pewnym stopniu w szczegóły akcyj kredytowych z powodu szczególnych warunków prowadzenia tych akcyj na terenie rolnictwa, przejść należy obecnie do zobrazowania pożądanego mojem zdaniem kierunku polityki kredytowej w dziedzinie innych gałęzi gospodarstwa narodowego, traktując rzecz ciągle ze stanowiska przeciwdziałania importowi.

Zasadniczy punkt wyjścia, polegający na tem, że skoro problem polega na przeciwdziałaniu importowi przez rozwinięcie produkcji wewnętrznej, to należy popierać odnośną inicjatywę, może być traktowany w praktyce tylko ramowo, jako wskazanie najogólniejszej natury. Niema oczywiście żadnego powodu, dla którego Państwo nie miałoby patrzeć przychylnie na wszelkie przejawy przedsiębiorczości prywatnej w zakresie rozwoju życia gospodarczego w Państwie, a w szczególności niema żadnej racji do innego, niż przychylne traktowania wszelkich przejawów inicjatywy gospodarczej tam, gdzie wyniki mogą mieć szczególnie dodatnie znaczenie z punktu widzenia kształtowania się naszego bilansu handlowego. Poczynania takie powinny mieć zawsze w stosunku do siebie nastrój szczególnej życzliwości ze strony administracji państwowej oraz opiekę w ogólnej polityce gospodarczej. Jeżeli idzie natomiast o wyraźną p o m o c, świadczoną z chęcią celowego działania w kierunku korzystniejszego dla nas kształtowania się bilansu stosunków wymiany towarowej z zagranicą, wytyczne powinny być bardziej sprecyzowane. Polityka kredytowa, nastawiana w ramach ogólnej polityki gospodarczej Państwa ku ulepszaniu organizacji obiegu pieniężnego i kredytu, ku wpływaniu na obniżanie kosztów kredytu, powinna rezerwować szczególną pomoc kredytową dla pewnych punktów, szczególnie ważnych, względnie szczególnie celowych. Konkretnie: pomoc kredytowa Państwa, świadczona życiu gospodarczemu, jeżeli ma być kierowana i o ile ma być kierowana względami na kształtowanie się bilansu polskiego handlu zagranicznego, a w szczególności względami przeciwdziałania importowi, musi, jeżeli ma być akcją naprawdę celową, znajdować się w zgodzie z ogólnemi tendencjami gospodarczemi, decydującemi o możności wyhodowania, względnie rozwinięcia w Polsce produkcji, zdolnej do zastąpienia potrzeby importu z zagranicy. Państwo dla swoich celów polityki gospodarczej nie dysponuje środkami kredyto-

wemi w stopniu nieograniczonym. Nie może środków tych rozpraszać. Musi je wyzyskiwać w sposób skoncentrowany. Nie może tedy w szczególny sposób przychodzić z pomocą kredytową każdej inicjatywie, obiecującej korzystne skutki dla bilansu handlu zagranicznego, lecz musi ograniczyć swą pomoc do tych punktów, które uzna za najważniejsze, najpewniejsze i obiecujące najtrwalsze wyniki.

Wydaje mi się, że tej linji koncentracyjnej dla pomocy kredytowej Państwa szukać należy, mając jako busolę w ręku uwagi podane tu na początku, a dotyczące międzynarodowego podziału pracy. Dążenie do samowystarczalności gospodarczej, które ma swe uzasadnienie w problemach politycznych Państwa, jest kierunkiem, przejawiającym się wszędzie ze szczególną siłą po doświadczeniach ostatniej wojny. Z natury rzeczy dążenie to musi występować najsilniej w państwach nowopowstałych, których organizm gospodarczy przystosowany jest do potrzeb państwa gorzej, niż w konglomeratach starszych. Polska właśnie jest typowo w takiem położeniu, a oddziaływanie jego umacniają niebezpieczeństwa, które przed państwem stoją i nie pozwalają zapominać o ewentualnej konieczności obrony odzyskanego niepodległego bytu. Tem niemniej należy zdawać sobie sprawę, że samowystarczalność gospodarcza zamkniętego terytorjum państwowego w Europie, która już w przedwojennym stanie gospodarczym była mrzonką, po wojnie stała się oczywistą niemożliwością. Świat cały znalazł się w położeniu, które lapidarnie ujął Delaisi, określając je jako „échanger ou périr, exporter ou périr".[1] Dotyczy to Polski wcale nie mniej, a może nawet bardziej, niż wielu innych gospodarstw narodowych. Nietylko bowiem, równie jak wszystkie inne państwa, musi Polska importować surowce, których nie posiada, a które są podstawą dzisiejszego wytwarzania. Nietylko musi się zaopatrywać zagranicą w liczne dobra inwestycyjne, niemożliwe do wytworzenia na miejscu. Ponadto z wiadomych względów Polska zmuszona była zapożyczyć się zagranicą stosunkowo bardzo poważnie. Niemniej poważnie musieliśmy się wysprzedać. Jeden i drugi proces nie dobiegł przytem jeszcze

[1] Francis Delaisi, *Les contradictions du monde moderne*, Paris 1925, str. 137.

bynajmniej końca. Istnieje konieczność zarówno dalszego zapożyczania się, jak wyprzedawania. Jedno i drugie powoduje konieczność wydatnych wypłat zagranicznych poza normalnemi wypłatami, które stoją dziś przed każdą organizacją gospodarczą z racji momentów na początku już omówionych. Środki na uiszczanie tych wypłat można mieć tylko z eksportu. Prócz tego zaś dla Polski „exporter ou périr" posiada szczególnie doniosłe znaczenie z powodu braku jakichkolwiek zagranicznych lokat polskiego gospodarstwa narodowego, nadających się do realizacji w ciężkiej chwili.

Ażeby móc eksportować, trzeba produkować w poziomie norm światowych. Więcej: ażeby nie importować, trzeba również produkować w poziomie norm światowych. Niema granic celnych, które mogłyby obronić rynek wewnętrzny na stałe, ewentualnie bez względu na to, jak ceny na nim kształtować się będą. Jedynem ubezpieczeniem owocnego działania ceł ochronnych jest sprawność produkcji, dopędzająca konkurentów zagranicznych. Jest to zarazem jedyna pewna ochrona przeciwko dumpingowi, który szczególnie dla Polski, kraju drogiego kredytu, jest stale najpoważniej występującem niebezpieczeństwem. Z drugiej strony zdolność konkurencyjna gospodarstwa narodowego zależy oczywiście w stopniu wydatnym od poziomu cen tych produktów, które przemysł eksportowy zużywa w procesie wytwarzania. Jeżeli poziom cen tych artykułów jest w zbyt dalekiej rozbieżności z poziomem odpowiednich cen krajów konkurencyjnych, produkcja sama przez się małe ma widoki. Dla Polski jest to znów tem ważniejsze, że specyficznej roli gospodarczej w świecie, jak powiedziano, nie posiada i musi się w każdym kierunku liczyć z najostrzejszą walką konkurencyjną przy eksporcie.

Otóż perspektywy pracy w poziomie norm na świecie miarodajnych mogą mieć w każdym organizmie gospodarczym tylko takie dziedziny pracy, które z podstawowych, naturalnych warunków będą się zbliżały do położenia innych gospodarstw narodowych w odpowiednim kierunku. Inaczej: tylko takie, które mogą utrzymać się w ramach, wykreślonych przez współcześnie miarodajną w gospodarce światowej tendencję do specjalizacji.

Z tego zasadniczego założenia wynika, że na pierwszem miejscu, z punktu widzenia pomocy, świadczonej przez politykę kredytową Państwa, stać powinny takie przemysły, pracujące dla zastąpienia importu zagranicznego, które mogą pracować na pokrycie zapotrzebowania wewnętrznego surowcem krajowym i w miarę możności nawet również krajowym sprzętem maszynowym i narzędziowym. Wchodzenie tu w szczegółowe omawianie przykładów uważam za niewskazane. Każdy orjentujący się w życiu gospodarczem kraju znajdzie ich aż nadto wiele, począwszy od przetwórstwa produkcji rolniczej, w której zakresie import jest dla naszego bilansu handlowego ciężarem bardzo poważnym, a skończywszy na produkcji obuwia, czy papieru. W każdym z omawianych kierunków można zdziałać niewątpliwie wiele i niewątpliwie nawet dosyć rychło. Z drugiej strony wychowanie tego właśnie typu przemysłu może stworzyć pewne naturalne punkty wypadowe dla eksportu przemysłowego, co jest dla naszego gospodarstwa narodowego z natury rzeczy sprawą wielkiej wagi z punktu widzenia uwag, podanych poprzednio.

Na równi z tym typem działalności przetwórczej postawić należy pomoc kredytową dla takich ognisk produkcji, mogącej zastąpić dotychczasowy import, które, pracując na surowcu, w całości lub części importowanym, nie różnią się w tym względzie od produkcji krajów, będących w danym wypadku ogniskami naszego importu. Wspomniana akcja powinna znaleźć nadto uzupełnienie przez taki sam stosunek do inicjatywy, mającej na celu ujęcie w ręce firm krajowych organizacji importu do Polski wchodzących tu w grę surowców.

Osiągnięcie celu przez te zabiegi nie zawsze wprawdzie zdoła wpłynąć na obniżenie kosztów importu i na wzmocnienie w tej drodze zdolności konkurencyjnej naszego produktu wobec zagranicy. Atoli w okresie, kiedy to nie będzie do osiągnięcia, przez zwiększenie źródeł kredytu wpływać może pomyślnie na zasobność kredytową rynku wewnętrznego, a więc w ostatecznym rezultacie na kształtowanie się jednego z najważniejszych czynników, stanowiących o finansowaniu produkcji i zdolności jej do oporu wobec konkurencji zagranicznej.

Za dalszą dyrektywę podstawowej natury dla polityki kredytowej Państwa z tego punktu widzenia, z którego tu sprawa

jest traktowana, uważać należy ograniczenie zasięgu pomocy do przedsiębiorstw należycie sprawnych. Rozumieć przez to należy, iż na pomoc kredytową powinny móc liczyć nie te przedsiębiorstwa wogóle, które odpowiadają zasadom nakreślonym powyżej, lecz te, które ponadto co do swej organizacji technicznej i handlowej oraz co do swego rozmiaru trzymają się w poziomie odpowiednich przedsiębiorstw zagranicznych. W olbrzymiej większości dziedzin produkcji typem panującym na rynku światowym jest wytwórczość masowa. Ona to ustala m. i. pewien poziom kosztów własnych produkcji, miarodajnych jako punkt wyjścia dla możności zbytu towaru. Pomoc produkcji, która w tym właśnie kierunku nie mogłaby równać się z konkurencją, a nie znalazłaby okoliczności kompensującej w czynnikach innych, z naturą terenu pracy organicznie związanych (np. tańszy surowiec, odpowiednio tańsza siła robocza), jest zawsze łudzeniem się. Przedsiębiorstwa takie, nie posiadając już w zasadzie zdolności równoprawnego istnienia, stają się dla gospodarstwa narodowego tylko ciężarem, petryfikują wysokie stawki cłowe, zmniejszają rentowność majątku narodowego i tempo akumulacji zysków, powiększają przez to odległość norm życiowych kraju od miarodajnych zagranicznych organizmów gospodarczych i aż nazbyt często kończą, po upartej i kosztownej walce, na zniszczeniu zainwestowanej w nich części majątku narodowego. Takie samo znaczenie ma, *mutatis mutandis*, kwestja poziomu technicznego, kwestja doskonałości produktu. Obydwa te czynniki powinny być traktowane łącznie i uważane stale za *conditio sine qua non*. Życie gospodarcze kraju daje na każdym kroku liczne a odstraszające przykłady konsekwencyj, które powoduje zaniedbanie tych warunków.

Jest ponadto oczywiście niezbędne, ażeby ta sprawność wytwórcza, leżąca w poziomie światowym, mogła być wyczerpana przez konsumcję wewnętrzną już istniejącą, albo mogącą w niedalekiej przyszłości zaistnieć przy większej dostępności towaru, albo wreszcie przez konsumcję, której szybkie narastanie leży w naturze pewnego okresu gospodarczego. Zaniedbanie tego warunku powoduje ujemną rentowność instalacji, albo, co nie zawsze może być uznane za opłacalne z punktu widzenia gospodarstwa narodowego — konieczność eksportu dumpingowego.

To byłaby jednakże znów tylko ogólna linja postępowania. Nie wolno bowiem zapominać o pewnych koniecznościach, wynikających z naszego położenia państwowego, które nie zawsze i nie zupełnie będą w zgodzie z ogólnemi tendencjami gospodarki światowej, leżącemi u podstawy konstrukcji powyżej nakreślonej. Pewne minimum samowystarczalności, niezbędne ze stanowiska obrony, musi być w obecnych warunkach uznane za konieczność, i osiągnięcie tego musi być bardzo poważnem i bardzo pilnem zadaniem polityki państwowej. Ten moment stale zazębia się i musi się zazębiać w praktyce z zagadnieniami polityki kredytowej. Musi też on być należycie uwzględniony przy omawianiu zasad polityki kredytowej.

Przy rozpatrywaniu tej kwestji należy wyjść z założenia, które jest w miarodajnych sferach wojskowych powszechnie dziś przyjęte, a które do tego się sprowadza, iż tylko pewna i to nieznaczna nawet stosunkowo część pogotowia przemysłowego musi być przedmiotem osobnych i wyłącznie temu celowi służących zakładów. Olbrzymia większość, prawie całość aparatu przemysłowego, mającego znaczenie obronne, może być traktowana na tle zakładów, służących produkcji pokojowej. Odpowiednio do tego należy, mojem zdaniem, traktować sprawę z punktu widzenia polityki kredytowej. Przedsiębiorstwa produkcji pokojowej, będące jednocześnie rezerwą obronną, powinny być przez politykę kredytową preferowane nawet wtedy, jeżeli nie odpowiadają warunkom, nakreślonym poprzednio jako wytyczne. Ale takie preferencyjne traktowanie powinno być do nich stosowane tylko z punktu widzenia ich pokojowej wytwórczości. Rozwijanie jej ze stanowiska obrony bilansu handlowego może nie być wskazane w tem znaczeniu, że może być nazbyt kosztowne, że rentowność i sprawność produkcyjna tych zakładów nie rokuje im możności k o n k u r e n c y j n e g o rozwoju. Tem niemniej, skoro z najwyższego punktu widzenia powołanie do życia i utrzymywanie takich zakładów jest koniecznością, należy traktować je nie inaczej, niż zakłady racjonalne, mogące mieć prawo do poparcia ze strony polityki kredytowej, kierowanej względami istotnego usamodzielnienia gospodarstwa narodowego. Natomiast wszystkie problemy finansowania powstawania, równie jak finansowania produkcji takich zakładów o charakterze obronnym, wzgl. odpowiedniej części, czy odpo-

wiednich interesów tych zakładów, powinny stanowić przedmiot nie polityki kredytowej, lecz polityki nakładowej wzgl. subwencyjnej Państwa. Inaczej mówiąc, nie powinny stanowić terenu, na którym operują organa, mające w administracji politykę kredytową, lecz winny ciążyć bezpośrednio na budżecie Państwa. Jeżeli miałyby być przez wspomniane organa administrowane, powinno się to odbywać w formie akcji zleconej, prowadzonej środkami budżetowemi i na ryzyko Państwa jako takiego. Wydaje się, że jest to wyjście najzdrowsze i jedynie racjonalne, nietylko ze stanowiska organów, wzgl. ciał, które wcielają w życie politykę kredytową, a które są i powinny być organami, wzgl. ciałami o charakterze czysto gospodarczym, kierującemi się logiką gospodarki, właściwą dzisiejszemu układowi stosunków, opartych na konkurencji, organami, odpowiedzialnemi za wyniki swych prac tylko według gospodarczego miernika. Wydaje się ponadto, że tylko takie postawienie sprawy jest w zgodzie ze współczesnemi prądami skarbowości.[1]

W tych ramach i na tem tle należałoby konstruować normy praktyczne według nasuwających się każdorazowo zagadnień i w nawiązaniu do każdoczesnych warunków praktyki życiowej.

6

Jakkolwiek punkt ciężkości kształtowania się polskiego bilansu handlowego leży po stronie importu i na tę dziedzinę przedewszystkiem w wykreślaniu linji polityki kredytowej należy zwrócić uwagę, to jednak byłoby nieprzebaczalnem upraszczaniem zagadnienia i prowadziłoby najoczywiściej na manowce, gdyby z taką samą uwagą, jak kwestję przeciwdziałana importowi nie potraktować zagadnienia forsowania eksportu. Z zasadniczego postawienia sprawy, które leży u podstawy rozumowania w niniejszych uwagach, wynika, że niema w polskiem gospodarstwie narodowem takiego układu stosunków, który pozwalałby liczyć na rychły i wydatny rozwój eksportu towarowego w tym stopniu, jakiego stan polskiego bilansu handlowego zdaje się wymagać. Nie zmniejsza to jednak olbrzymiej

[1] Por. Gustav Cassel, *Theoretische Sozialoekonomie,* Vierte Aufl., Leipzig 1927, str. 56—61.

roli, którą eksport w naszych warunkach gospodarczych posiada, a która scharakteryzowana została w rozdziale poprzednim. To też współdziałanie w eksporcie i jego pobudzanie musi być ze stanowiska polityki kredytowej traktowane zupełnie równolegle i równomiernie do odpowiednika tej akcji w zakresie importu.

Z natury rzeczy problem polityki kredytowej z punktu widzenia eksportu rozpada się na dwa zagadnienia praktyczne. Najpierw będziemy mieli przed sobą kwestję polityki kredytowej w stosunku do produkcji eksportowej, a potem kwestję polityki kredytowej w stosunku do handlu eksportowego, t. zn. do finansowania sprzedaży towarów, będących przedmiotem eksportu.

Jeżeli idzie o pierwsze z wymienionych zagadnień, o finansowanie produkcji eksportowej, miarodajne dla wykreślenia linji postępowania będą w zasadzie te same czynniki, które są miarodajne dla traktowania produkcji, przeciwdziałającej importowi, a które omówione zostały poprzednio. Z największym naciskiem należy powtórzyć konieczność uwzględniania, że tylko produkcja w pełni sprawna, na światowym poziomie stojąca, może być istotną ostoją eksportu i pełnić naprawdę rolę, którą eksport towarowy ma szczególnie w Polsce do spełnienia. Przedewszystkiem należy zdawać sobie sprawę, że polska sytuacja finansowa nie może pozwolić na stosowanie na większą skalę eksportu dumpingowego. Nie kwestjonując jego konieczności, potrzeby, a w pewnych wypadkach nawet i pożytku, należy liczyć się z okolicznością, stale występującą w życiu zarówno indywidualnem jak społecznem, że ani konieczność, ani potrzeba, ani pożytek nie mogą być jako wskaźniki działania traktowane absolutnie, lecz muszą być uzgodnione z możnościami. Trzeba się więc liczyć z faktem, że ogromna część naszego dzisiejszego eksportu ma już charakter dumpingowy. Przy węglu np. i cukrze występuje ten charakter jasno. Ale jest zagadnieniem godnem bliższego zastanowienia, czy nie możnaby mówić do pewnego stopnia o dumpingowym charakterze olbrzymiej części polskiego eksportu rolniczego. To, co w zakresie artykułów rolnych wywożone jest z Polski, składa się przedewszystkiem z produktów gospodarstwa chłopskiego. Świnie, drób, jaja, masło są typowemi produktami gospodarstw mniejszej własności. Na-

leży otóż wziąć pod uwagę, że opłacalność gospodarstwa chłopskiego w Polsce przedstawia się w sposób poprostu opłakany. Inż. Curzytek w wydanej niedawno pracy, podającej po raz pierwszy materjał, oparty na źródłowych badaniach cyfrowych, określa przeciętne wynagrodzenie roczne za pracę gospodarza wraz z rodziną na zł. 1.500.[1] Za pracę swoją otrzymuje gospodarz wraz z rodziną przeciętnie 2·73 zł. za dzień roboczy. Dlatego „do pokrycia spożycia służą nietylko wyniki pracy gospodarza i rodziny, lecz i dochód z kapitału". Ponadto należy zauważyć, że „cyfry te nie mogą być uważane za przeciętne dla Polski, gdyż odnoszą się do niewielkiej ilości gospodarstw. Następnie poziom gospodarstw, prowadzących rachunkowość, jest wyższy od przeciętnego nietylko pod względem kulturalnym, ale i ekonomicznym. Dlatego wyniki rachunkowości należy uważać za wyższe od przeciętnych ze wszystkich gospodarstw włościańskich Polski". Należy dodać do tych słusznych zastrzeżeń jeszcze jedno, bardzo poważnie obniżające wartość powyższych liczb, jako przeciętnych. Oto gospodarstwa chłopskie o obszarze 2—5 ha w materjale, będącym przedmiotem opracowania inż. Curzytka, stanowią 15%, gdy w masie gospodarstw rolnych Polski, obejmujących warsztaty od 2—50 ha, stanowi ten typ gospodarstwa aż 47%. Autor zaś stwierdza, że „ze wzrostem obszaru gospodarstwa zwiększa się zarobek rodziny za pracę", dając w gospodarstwach najmniejszych rezultaty najniższe. W grupie gospodarstw 2—3 ha roczny zarobek rodziny wynosi 899·19 zł., na 1 dzień roboczy rodziny 1·93 zł., w grupie gospodarstw 3—5 ha zarobek ten wynosi tylko 758·07 i 1·66 zł. Właściciele obu tych grup gospodarstw, stanowiących tak wielką masę w polskim ustroju rolnym „nie są w stanie z dochodu gospodarstwa rolnego zaspokoić swych potrzeb i rodziny" nawet po skonsumowaniu dochodu z kapitału. W tych zaś właśnie gospodarstwach notorycznie biernych polskie rolnicze artykuły eksportowe grają główną rolę w produkcji. Dochód surowy z hodowli bydła, który w przecięciu dla wszystkich badanych gospodarstw daje 27·66% ogólnego dochodu surowego gospodarstwa, w grupie 2—3 ha dochodzi do 30·61%, w grupie zaś

[1] Inż. Jan Curzytek, *Badania nad rentownością gospodarstw włościańskich w roku gospodarczym 1926/27*. Warszawa 1928, str. 92 i nast.

3—5 ha do 31·89%. Odnośnie do przetworów mlecznych wysokość przychodów gotówkowych dla wszystkich badanych gospodarstw daje 118·86, dla gospodarstw 2—3 ha 127·29. Dochód surowy z trzody chlewnej czyni we wszystkich gospodarstwach 15·20% całego dochodu surowego, gdy w gospodarstwach 2—3 ha aż 19·65%. Odpowiednie cyfry dla hodowli drobiu wynoszą mniejwięcej tyle co przeciętna. Wynika z tego, że najliczniejsza grupa naszych gospodarstw rolnych, koncentrująca się w produkcji, która stanowi jeden z filarów czynnej strony polskiego bilansu, osiąga wynik deficytowy. Że omawiany eksport ze stanowiska gospodarstwa narodowego nie różni się od eksportu dumpingowego, to nie zdaje się ulegać kwestji, jakkolwiek nie można tu oczywiście mówić o dumpingu jako akcji celowej.

W tym stanie rzeczy musi budzić poważne wątpliwości zagadnienie, czy wolno ze stanowiska racjonalnej polityki gospodarczej powiększać ilość ognisk eksportu dumpingowego, bodajby nawet dla poprawy bilansu handlowego. Oczywiście, jeżeli idzie o akcję doraźną, przedsiębraną w szczególnych np. warunkach walutowych, albo w celu stworzenia na rynkach światowych pewnego stanu posiadania dla polskiej produkcji, zagadnienie może być rozwiązane przez odpowiedź pozytywną. Tam jednak, gdzie idzie o akcję ciągłą, celową, konstrukcyjną z punktu widzenia kształtowania gospodarstwa narodowego, odpowiedź negatywna będzie słuszna, jako zasada, miarodajna dla olbrzymiej niewątpliwie większości wypadków. Właśnie z punktu widzenia celowej akcji konstrukcyjnej, a musi to być zadaniem, które ma traktować polityka kredytowa, powstaje zagadnienie, czy bardziej wskazane i potrzebne jest skierowanie wszystkich możliwych wysiłków na racjonalizację dzisiejszych dróg eksportu towarowego i w szczególności na taką reorganizację produkcji, która odebrałaby wzgl. osłabiała dumpingowy charakter eksportu dzisiejszego, czy też pozostawiając otwartemi ogniska zapalne, iść na efekt doraźny i forsować nowe dziedziny ekspansji. Na to pytanie potrafię dać tylko jedną odpowiedź, idącą po linji koncentracji wysiłków w kierunku poprawy dzisiejszego stanu posiadania, oczywiście prócz wypadków, kiedy byłoby pewnikiem, że świeża inicjatywa nie postawi kraju ani odrazu, ani w swych dalszych skutkach przed problemem nowego ogniska eksportu o charakterze dumpingo-

wym. W konsekwencji zadanie polityki kredytowej w stosunku do produkcji eksportującej widziałbym w popieraniu tych gałęzi produkcji wzgl. tych przedsiębiorstw, które w drodze ulepszeń, możliwych do przeprowadzenia zapomocą kredytu, ewent. może w drodze rozszerzenia produkcji, byłyby w stanie podnieść dotychczasową zdolność konkurencyjną odpowiednich wytworów gospodarstwa narodowego, ich zasięg penetracji, wzgl. nawet bez osiągnięcia tych rezultatów doraźnie (*à la longue* będą one zawsze konsekwencją występującą automatycznie), mogłyby poprawić ujemną lub słabą opłacalność eksportu w stanie dzisiejszym. Dopiero w dalszej kolei nastąpiłaby możliwość objęcia pomocą kredytową przejawów nowej inicjatywy, pod warunkiem jednak braku charakteru dumpingu w produkcji. Tu również, podobnie jak przy omawianiu nastawienia polityki kredytowej w stosunku do produkcji zmniejszającej potrzebę importu, należy zwrócić uwagę na przedsiębiorstwa związane z obroną Państwa, wzgl. z zapewnieniem gospodarstwu narodowemu pewnego niezbędnego minimum samowystarczalności. Ich ekspansja eksportowa, jakkolwiek sama przez się nie odpowiadająca postulatom, wyrażonym w podanych wyżej wywodach, powinna znaleźć opiekę ze strony polityki kredytowej Państwa.

Przechodząc do kwestji polityki kredytowej w zakresie finansowania eksportu jako takiego, t. zn. w zakresie finansowania sprzedaży towarów eksportowanych, trzeba przedewszystkiem zdać sobie sprawę z sytuacji światowej, w której dziś eksport się znajduje i zestawić to ze specyficznemi warunkami, miarodajnemi dla polskiego eksportu.

Szereg przyczyn, które trudno tu omawiać, spowodował, że sprawność wytwórcza dzisiejszego aparatu produkcyjnego świata, zarówno w zakresie sił żywych, jak mechanicznych, to znaczy: potencjalna sprawność wytwórcza gospodarstwa światowego jest wyższa od aktualnej zdolności konsumcyjnej względnie od aktualnie kształtującej się siły nabywczej świata. To charakterystyczne zjawisko dzisiejszego ustroju gospodarczego, w którym narastanie zdolności wytwórczej ma stałą tendencję do wyprzedzania zdolności konsumcyjnej, na skutek wojennych i powojennych zmian w łonie licznych gospodarstw narodowych przybrało większe rozmiary w stosunku do wa-

runków przedwojennego kapitalizmu. Jednocześnie, ponieważ rentowność produkcji zależy od stopnia wyzyskania sprawności wytwórczej, istnieje wszędzie parcie do forsowania produkcji. Parcie towaru na rynki stało się przez to silniejsze. Walka konkurencyjna doznała dalszego zaostrzenia w stosunku do warunków przedwojennych. W związku z tem zagadnienie sprawności eksportowej poszczególnych gospodarstw narodowych skomplikowało się o nowy składnik zasadniczy. Z problemu, który przed wojną był przedewszystkiem techniczno-handlowym, a więc problemem odpowiedniej jakości technicznej, odpowiedniego finansowania produkcji i odpowiedniej organizacji handlowej, stał się eksport obecnie problemem techniczno-handlowo-finansowym. Chcę przez to powiedzieć, że znaczenia równorzędnego z czynnikami miarodajnemi poprzednio, a nawet w wielu wypadkach znaczenia decydującego, nabrał czynnik wprawdzie i poprzednio w grę wchodzący, ale w stopniu do obecnego stanu rzeczy zupełnie niewspółmiernym, a mianowicie czynnik finansowania zbytu towarów.

Już przed wojną stwierdziła zarówno nauka ekonomji, jak praktyka gospodarcza, że import kapitału przez pewne gospodarstwo narodowe resumuje zawsze w imporcie towarów. Zjawisko odwrotne nie było jednakże ani regułą, ani nawet zjawiskiem pospopolitem. Eksport towarów nie musiał być równoznaczny z eksportem kapitałów, a przynajmniej nie musiał być równoznaczny bezpośrednio. Wprawdzie eksport dóbr kapitałowych, w pierwszej linji eksport dóbr o charakterze inwestycyjnym, już i wtedy sprowadzał się do operacyj kredytowych typu długoterminowego, jednakże olbrzymia część obrotów towarowych świata obiegała w warunkach kredytu ściśle handlowego, którego terminy stały mniej lub bardziej, ale bądź co bądź w normach, uzasadnionych przez naturalne niejako warunki sprzedaży. Ponadto, co jest równie ważne, zasobność ówczesna światowego rynku pieniężnego pozwalała z dużą łatwością finansować wszelkiego rodzaju kredyty, udzielane przez eksportera importerowi. Przy odpowiedniej sprawności techniczno-handlowej mogło każde gospodarstwo narodowe, nawet jeżeli samo nie było w możności dać nabywcy kredytu, uprawiać eksport, finansując go na innych rynkach pieniężnych.

Po wojnie, na skutek wspomnianego zwiększenia się nacisku towarów na rynki, sposobów forsowania sprzedaży towarów wypadło szukać nietylko i nie głównie w jakości i w cenie sprzedaży, lecz ponadto, a — czasem nawet przedewszystkiem — w warunkach kredytowania transakcyj. Cena kredytu, udzielanego odbiorcy przez dostawcę, nie mniej jak długotrwałość tego kredytu, stały się w walce konkurencyjnej środkami, stosowanemi powszechnie i w stopniu nader wydatnym. Stało się to pozatem miarodajne nietylko dla obrotu dóbr kapitałowych o charakterze inwestycyjnym, lecz przeniosło się na teren transakcyj o typie wybitnie nawet konsumcyjnym, krótkoterminowym.

Taki stan rzeczy umocnił w wysokim stopniu pozycję konkurencyjną państw, które z pożogi wojennej zdołały wnieść zasoby kapitałów pieniężnych, względnie tych państw, które potrafiły rychło dojść do stanu względnego nasycenia kapitałowego, czy to drogą ponownej akumulacji, czy drogą odpowiednio szybko, zdecydowanie i rozumnie aranżowanych akcyj pożyczkowych. Z natury dzisiejszego okresu dziejowego, w którym ogniskiem najsilniejszego tworzenia się kapitałów jest przemysł przetwórczy i handel, wynikło, że umocnieniu uległa pozycja państw o silnej produkcji przemysłowej. Dało to oczywiście lepsze warunki ich ekspansji eksportowej. Dla gospodarstw narodowych, ubogich w kapitały pieniężne, zdolność konkurencyjna w eksporcie uległa upośledzeniu nietylko z racji właściwego im oczywiście drogiego finansowania procesu produkcji. Nie mniejsze trudności urastają przed niemi na tle konieczności udzielania nabywcy towarów kredytu, którego fakt, a tembardziej długotrwałość, stoją w sprzeczności z możnościami wewnętrznego rynku pieniężnego, i którego uprawianie nie może wskutek tego nie odbić się pochodnie na zdolności konkurencyjnej w formie dalszej zwyżki kosztów finansowania procesu wytwórczego. Wprawdzie w miarę regeneracji światowego rynku finansowego mogą one do pewnego stopnia przerzucać finansowanie sprzedaży na inne gospodarstwa narodowe, ale fakt ten tylko w części sytuację poprawia. Idzie o to, że najpierw sfinansowanie podobnych transakcyj w formie tak długoterminowej, jak to z natury ich wynika, możliwe jest niezawsze, a raczej tylko w małym stopniu. Na-

stępnie, że rynki finansujące przy ustalaniu swych żądań kierują się do pewnego stopnia wysokiemi normami kredytowemi kraju eksportującego. W ten sposób nawet tam, gdzie niema celowej dyskryminacji odpowiedniego materjału dla zapewnienia swemu przemysłowi korzystniejszej pozycji przy eksporcie, zdolność konkurencyjna krajów, niezasobnych w kapitały pieniężne, jest wysoce z reguły osłabiona. Równolegle do tego i na tem tle rozwija się ze strony przedsiębiorstw eksportujących krajów finansowo zasobnych nowa forma dumpingu — dumping kredytowy, może niebezpieczniejszy i trudniejszy do pokonania od innych form walki dumpingowej. Wszystko to ulega jeszcze dalszemu zaostrzeniu, jeżeli kraj eksportujący nie rozporządza ponadto stanowiskiem konkurencyjnie równorzędnem pod względem techniczno-organizacyjnym. Tak też wygląda istotnie nasze położenie.

Z uwag powyższych nasuwa się najpierw wniosek, że polska polityka kredytowa w zakresie eksportu towarowego, o ile idzie o operacje sprzedaży towaru, powinna być skierowana przedewszystkiem na udostępnienie eksporterowi kredytu, potrzebnego mu na sfinansowanie dokonanej transakcji i to na sfinansowanie w takich warunkach, jakie są miarodajne dla naszych najpoważniejszych konkurentów w tym względzie. Przedewszystkiem wchodzić tu będzie w grę cena kredytu, następnie termin. Drugi warunek jest bardziej istotny, bo trudniejszy do rozwiązania. O ile w zakresie ceny kredytu kooperacja banków państwowych z Bankiem Polskim, przy specjalnie zapobiegliwem kultywowaniu na rynkach światowych odpowiednich stosunków, może dać w wielu wypadkach rezultaty nawet zupełnie zadowalające, o tyle pomyślne załatwienie sprawy kredytów eksportowych, obliczonych na dłuższy przeciąg czasu, możliwe jest dziś na rynku zagranicznym w nieznacznym stosunkowo stopniu. I tutaj pielęgnowanie specjalnych stosunków zagranicznych może dać pewne rezultaty dodatnie. Naogół jednak w traktowaniu tej formy kredytu powinna być raczej zachowywana daleko sięgająca rezerwa. Najpierw dlatego, że finansowanie za pomocą źródeł zagranicznych transakcyj, wymagających dla rozwikłania dłuższego okresu niż go zagraniczny dyskonter definitywnie zapewnia, równa się wzięciu na gospodarstwo narodowe ryzyka konieczności objęcia

kredytu, czy odpowiedniej jego części na rachunek własny. Poważniej ujawniona taka konieczność w chwili nieodpowiedniej mogłaby być związana dla gospodarstwa narodowego ze zrozumiałemi niebezpieczeństwami. Trzeba się zaś zawsze liczyć właśnie z tem, że trudności odnowienia kredytu zagranicą ujawnią się w chwili perturbacyj na światowych rynkach pieniężnych, które zkolei zawsze wymagają szczególnie przezornej polityki kredytowej wewnątrz. Mogłoby się okazać, że udzielone zagranicy przy finansowaniu eksportu kredyty towarowe, przechodzące z konieczności na nasze nostro, zaatakowałyby polską zdolność rozszerzenia kredytu dla celów utrzymania w odpowiedniej formie aktualnego biegu życia gospodarczego wewnątrz Państwa. Jest to wypadek, przedstawiający te same niebezpieczeństwa, co finansowanie wewnątrz Państwa kredytów długoterminowych za pomocą uzyskiwanych z zagranicy kredytów krótkoterminowych. Wiadomo, że wskutek niepomyślnego układu stosunków Polska tkwi stale do pewnego stopnia w tem właśnie niebezpieczeństwie. Przeciwdziałanie mu powinno być wielką troską polityki gospodarczej wogóle i kredytowej w szczególności. Tembardziej nie możnaby więc decydować się na pogłębianie tego nieodpowiedniego stanu przez finansowanie eksportu. Podnoszę ten moment specjalnie, uważam bowiem, że mamy przed sobą stale na tem tle niebezpieczeństwa w pracy praktycznej. Wyzyskanie możności eksportowych jest zagadnieniem z natury rzeczy tak pociągającem, nacisk w kierunku sfinansowania możności eksportowych, które się przed życiem gospodarczem otwierają, jest niejednokrotnie tak silny, iż względy oportunizmu aż nazbyt często pchają w kierunku zamykania oczu na niebezpieczeństwa, z typem transakcyj zasadniczo związane.

Ale i wtedy, gdy chwilowy układ stosunków pieniężnych wewnątrz Państwa pozwala się angażować w tego rodzaju transakcje, największa przezorność i najostrożniejsze zachowywanie miary powinno być stałem wskazaniem. Właśnie dlatego, że w dzisiejszem naszem położeniu gospodarczem możemy jeszcze przez czas dłuższy mieć tylko chwilowo taką stosunkowo obfitość kapitałów pieniężnych, którąby pozwalała angażować depozyty w interesy, wymagające dla rozwikłania dłuższego czasu. O konsekwencjach, wynikających na tle zapozna-

nia tego pewnika, mówić specjalnie niema konieczności. Należy jednak zwrócić uwagę, że, abstrahując od niebezpieczeństw przed chwilą wspomnianych, t. zn. nawet w wypadku, gdyby się te niebezpieczeństwa nie ujawniły, podobne zużycie będących do dyspozycji kapitałów wewnętrznych nie jest w Polsce obecnie zabiegiem gospodarczo racjonalnym. Zachodzi tu ta sama kwestja, którą poruszyłem poprzednio przy omawianiu finansowania produkcji. Co jest ze stanowiska celowej pracy nad usamodzielnieniem gospodarstwa narodowego bardziej wskazane i korzystniejsze: finansowanie nowej ekspansji, czy raczej obracanie rozporządzalnych środków na doskonalenie, ubezpieczanie i podnoszenie rentowności dotychczasowej? Mamy w obrocie wewnętrznym takie braki płynności, tyle zatorów, które przy każdem wystąpieniu nawet okresowych trudności zaczynają nam grozić niebezpieczeństwami, a niewątpliwie już wszystkie trudności najdokuczliwiej zaostrzają, że sanacja tego stanu rzeczy musi być uważana za zagadnienie najbardziej palącej natury. Jest nie więcej, niż złudzeniem, jakoby można w życiu gospodarczem zwyciężać w stosunkach zewnętrznych wtedy, gdy obieg wewnętrzny chroma. Tylko na podstawie dobrze układających się stosunków wewnętrznego rynku pieniężnego można liczyć na rozwój ekspansji zewnętrznej, tem bardziej, gdy, jak w naszych warunkach, finansowanie tej ekspansji musi być oparte w pierwszej linji nie na środkach pieniężnych własnych, lecz na uzyskiwanych z zagranicy. Wiadomo jak szybko i jak niebezpiecznie ostro reagują rynki światowe na wszelkie objawy niepłynności w gospodarstwie narodowem.

Wszystko, co powiedziano powyżej, dotyczy oczywiście w jeszcze większym stopniu finansowania transakcyj typowo długoterminowych. Przerzucanie ich na zagranicę z reguły nie jest możliwe. Wyzyskiwanie w tym kierunku rynku wewnętrznego, nawet gdyby tak było możliwe, jak dziś niem nie jest, nie powinno być dopuszczalne tak długo, dopóki nie zostaną zaspokojone najpilniejsze potrzeby wewnętrzne kraju w zakresie zaopatrzenia własnych warsztatów pracy w środki długoterminowe.

Jako konsekwencja uwag, wypowiedzianych ostatnio, powstaje teza, że finansowanie eksportu towarów, wymagających po temu kredytu średnioterminowego dla zagranicznego od-

biorcy, jest zabiegiem nastręczającym w obecnym stanie krajowego gospodarstwa narodowego zasadnicze wątpliwości, jeżeli zaś idzie o wypadki, wymagające kredytu długoterminowego, zupełnie niedopuszczalnym. Dlatego też dla praktyki polityki kredytowej powstaje z tego dalszy wniosek, że eksport towarów, związany z koniecznością udzielania nabywcom zagranicznym kredytu średnio-, a tem bardziej długoterminowego, nie przedstawia dla Polski w tej chwili relatywnie interesu. Inaczej, wracając do zagadnień finansowania produkcji eksportowej: obliczona na eksport produkcja dóbr, wymagających finansowania sprzedaży zapomocą kredytu średnio- wzgl. długoterminowego, nie powinna dziś leżeć w granicach operacyjnych polityki kredytowej, mającej na widoku meljorację naszego bilansu wymiany towarów z zagranicą.

7

W szeregu towarów, których eksport związany jest obecnie coraz bardziej z koniecznością dłużejterminowego kredytowania nabywcy, na pierwszem miejscu stoją produkty przemysłowe. To też trudności, które powstają na tle finansowania eksportu, występują u nas przedewszystkiem i najdotkliwiej w dziedzinie eksportu przemysłowego. Ma to szczególnie doniosłe znaczenie, jeżeli się uwzględni, że, jak wynika z poprzednio podanych wywodów, warunki pracy naszego przemysłu niejednokrotnie już same przez się, z techniczno-organizacyjnego i handlowego punktu widzenia, kształtują się na jego niekorzyść w stosunku do przemysłu społeczeństw, z których konkurencję spotykamy w pierwszym rzędzie przy eksporcie.

Tem niemniej należy mieć na względzie, że rozwój przemysłu jest dla Polski nieuchronną koniecznością. Powstaje to na tle szczególnych warunków naszego gospodarstwa rolnego. Przeładowane siłą roboczą, nie mającą w dzisiejszym stanie rzeczy żadnego poważniejszego odpływu nazewnątrz, kryje w sobie specyficzne niebezpieczeństwa natury gospodarczej. Przedewszystkiem prze w kierunku pulweryzacji własności rolnej. Jednym z przejawów takiego stanu rzeczy jest w Polsce reforma rolna, niszcząca, wzgl. grożąca zniszczeniem możności prowadzenia pewnych upraw w warunkach, które są dla nich koniecznością t e c h n i c z n ą wobec stanu rzeczy w kra-

jach, miarodajnych dla kształtowania się cen odnośnych produktów na rynkach światowych. Wchodzi tu u nas w grę np. produkcja zbożowa. Po drugie, utrzymując producenta w stanie notorycznej nędzy lub na jej granicy — przypominam cytowane tu wyniki pracy inż. Curzytka, — niedomagania gospodarki rolnej utrudniają, jeżeli nie uniemożliwiają doskonalenie tych działów wytwórczości rolniczej, które są dziś bezmała kamieniem węgielnym polskiego eksportu. Kryje to w sobie niebezpieczeństwo, że w pewnej chwili ten kamień węgielny może się poprostu okazać niedostatecznie pewnym.

W tem samem mniejwięcej położeniu co Polska pod względem przeludnienia rolniczego jest w Europie jeszcze kilka innych krajów. Wszystkie one forsują te same dziedziny produkcji chłopskiej. Są też one naszymi konkurentami na rynkach zagranicznych, importujących polskie produkty rolnicze. Utrzymanie się w walce jest z jednej strony kwestją ceny produktu, a więc rentowności kształtującej się w Polsce i dziś już niejednokrotnie fatalnie. Z drugiej strony powodzenie w walce o rynki obce jest również kwestją j a k o ś c i produktu. Podnoszenie tej jakości jest w rolnictwie zagadnieniem o tyle bardziej skomplikowanem, niż w przemyśle przetwórczym, że produkcja rolnicza, szczególnie zaś wchodząca tu właśnie w grę produkcja zwierzęca, wymaga pewnego poziomu umysłowego pracownika, wykonywającego proces produkcji w stanie rozproszenia indywidualnego, a więc bez tej możności ciągłego dozoru i kierownictwa ze strony sił wykwalifikowanych, które jest możliwe w każdej innej dziedzinie działalności wytwórczej. Otóż ten poziom umysłowy, w szczególności zaś rozwinięcie zdolności kierowniczych, inicjatywy, które są tu niezbędne, nie jest łatwe, a często nie jest nawet możliwe w stale niepomyślnie kształtujących się warunkach materjalnych. Ponieważ zaś właśnie przeludnienie polskich gospodarstw chłopskich kształtuje je z konieczności wybitnie konsumcyjnie, przeto odciążenie ich z nadmiaru ludności będzie jednym z zasadniczych warunków poprawy technicznej produkcji i usprawnienia, lub w pewnych warunkach nawet utrwalenia dzisiejszej naszej zdolności eksportu w omawianej dziedzinie. Wreszcie trzeci moment, równoległy do omówionego w tej chwili, a tkwiący w dziedzinie gospodarki pozarolniczej. Wiadomo, że zagadnienie pro-

dukcji, jej zdolności konkurencyjnej, zależy nader wydatnie od sprawności technicznej. Ta z kolei zależy od urządzeń maszynowych i doskonałości organizacyjnej przedsiębiorstw. Jest otóż z tego punktu widzenia okolicznością ważną, że obfita podaż, a więc w konsekwencji taniość siły roboczej na rynku, nie sprzyja ani technicznemu, ani organizacyjnemu doskonaleniu się produkcji. Ponieważ w Polsce ten moment doskonalenia produkcji posiada znaczenie bardzo doniosłe, przeto należy uznać, że relatywne zmniejszenie podaży siły roboczej na naszym rynku pracy, inaczej: wzrost ilości zapotrzebowania pracy jest czynnikiem, od którego w pewnym stopniu zależeć będzie techniczne i organizacyjne doskonalenie się naszej wytwórczości wogóle, stanowiące niewątpliwie w znacznym stopniu o zdolności naszego gospodarstwa narodowego w dziedzinie zagranicznej ekspansji towarowej.

Otóż ta ekspansja zagraniczna jest nieodłączną koniecznością rozwoju przemysłu, jeżeli nawet jako punkt wyjścia dla tej akcji bierze się potrzeby i możności konsumcyjne rynku wewnętrznego. Inaczej: eksport zagraniczny jest dla przemysłu koniecznością nawet wtedy, gdy, jak w naszym wypadku, popieranie rozwoju pewnych gałęzi przemysłu będzie przedsiębrane w celu przeciwdziałania importowi odpowiednich towarów do Polski z zagranicy. Jest to jedna z istotnych konsekwencyj dzisiejszego stanu gospodarki, którą to konsekwencję tak wybitny teoretyk zagadnień ustrojowych tej gospodarki. jak Liefmann, generalizuje, mówiąc: „der Export ist eben das Sicherheitsventil, durch welches man in ungünstigen Zeiten die im Inlande nicht absetzbare Produktion ablaufen lässt, dafür aber imstande ist, den Betrieb und die Beschäftigung der Arbeiter aufrechtzuerhalten".[1]

Możnaby wprawdzie twierdzić, że położenie Polski w danym wypadku jest szczególnie pomyślne i szczególnie powoli będzie stawiało ją przed organiczną koniecznością eksportu przemysłowego. Polska jest krajem o bardzo dużym rynku wewnętrznym w stosunku do nasilenia produkcji przetwórczej.

---

[1] Prof. Dr Robert Liefmann: *Die Unternehmungen und ihre Zusammenschlüsse.* Band II. *Konzerne, Kartelle und Trusts*, Stuttgart, 1927, str. 151.

Nie wolno jednak zapominać, że to pozornie korzystne położenie jest odpowiednikiem wielkości ujemnej, którą stanowi okoliczność, że polski rynek wewnętrzny oparty jest na gospodarstwach chłopskich, niesłychanie mało zasobnych, najbardziej bezpośrednio zależnych w konsumcji od przebiegu procesu rolniczego, który ze względu na niski jego poziom kształtuje się ogromnie niejednolicie. Rzeczywistość daje w tym kierunku dosyć materjału dla przyjęcia tego twierdzenia.

Jeżeli więc eksport przemysłowy jest dla Polski koniecznością, wzgl. jeżeli musi być nią w dalszym swym rozwoju, a jednocześnie szereg przesłanek nie zdaje się dlań układać pomyślnie z punktu widzenia zdolności konkurencyjnej na rynkach zewnętrznych, to staje przed nami zagadnienie, jak poprawić tę zdolność ekspansji w ramach możliwości, stojących wzgl. mogących stać do dyspozycji. Niemniej należy mieć na uwadze, że położenie polskiej produkcji rolniczej ze stanowiska eksportu również nie jest wolne od trudności, a nawet niebezpieczeństw i że należy je umacniać w każdym możliwym kierunku.

Jako jeden ze środków o bardzo doniosłem, a nie zawsze docenianem należycie znaczeniu uważać należy organizację naszego handlu zagranicznego. Obserwacja praktycznego życia skłania do wniosku, że zagadnieniom tej kategorji należy przypisać znaczną rolę w niepowodzeniach, wzgl. małych wynikach naszej działalności eksportowej nawet w tych dziedzinach, gdzie objektywne warunki układają się pomyślnie. To też powstawanie organizacyj, specjalizujących się w handlu zagranicznym wogóle, w handlu zaś eksportowym w szczególności, uważać należy w naszych warunkach za zjawisko gospodarcze o wyjątkowo doniosłem poprostu znaczeniu. Bez kupca, odpowiednio przygotowanego do pracy na terenach zagranicznych, znającego je z ich zwyczajami, potrzebami i stosunkami, bez możności ciągłej umiejętnej obserwacji procesów, rozwijających się na tych rynkach w tempie bardzo szybkiemi i nie znoszącem wskutek tego traktowania przypadkowego, bez inicjatywy wreszcie, szukającej ciągle nowych możności i nowych typów pracy, niema widoków działalności eksportowej. Nasza przeszłość historyczna nie dała krajowi nic w spadku dla dzisiejszego trudnego okresu. Jedyne stosunki zewnętrzne polskiego gospodar-

stwa narodowego w dziedzinie eksportu leżały na wschodzie rosyjskim, który nie wchodzi dziś jeszcze w poważniejszej skali dla nas w rachubę, jest bowiem typowym rynkiem, wymagającym długoterminowych kredytów, nawet przy towarach najwybitniej konsumcyjnego charakteru. Tem silniej należy rozwinąć pracę w innych kierunkach, które otwierają się pomimo wszelkich trudności. Wszystkie przejawy takiej inicjatywy z oczywistem, a niestety koniecznem do zaznaczenia zastrzeżeniem, ażeby były należycie poważne, powinny być otoczone najżyczliwszą opieką całokształtu naszej polityki gospodarczej wogóle, a oczywiście polityki kredytowej w szczególności.

Rozwój organizacji handlu eksportowego ma również niezwykle doniosłe znaczenie dla polskiego wywozu rolniczego. Jest faktem, że kraje bezpośrednio konsumujące produkty rolnicze pochodzenia polskiego, dostają je w dużej części z rąk zagranicznego pośrednika. Obniża to rentowność eksportu dla gospodarstwa narodowego, utrudnia przystosowanie się do potrzeb ostatniego odbiorcy, uniemożliwia „wyrobienie sobie marki", a zarazem aż nadto często czyni eksport polski tylko rezerwą obcego gospodarstwa narodowego.

Należy wreszcie zwrócić w związku z tem uwagę na jeszcze jedną drogę penetracji naszych produktów zagranicę. Jest to ekspansja naszych banków. Niema potrzeby mówić szczegółowo o roli kapitału bankowego w ekspansji gospodarczej społeczeństw. W starej prawdzie, głoszącej, że „la marchandise suit le pavillon", banki objęły w dużej części rolę dawnej bandery. Władztwo kolonjalne Anglji polega w znacznej części nie na czem innem, a podobną, tylko niepomiernie udoskonaloną drogą szły Niemcy, które zresztą wkroczyły na nią ponownie zaraz, gdy tylko powojenny układ stosunków zaczął im na to pozwalać. Francja, która te sposoby zaniedbywała, odczuwa dziś bardzo boleśnie popełnioną omyłkę.[1] Wkroczyły na tę drogę Włochy. Niema doskonalszego sposobu obserwowania rynków obcych i zaznajamiania się z niemi, niż operacje bankowe, na nich prowadzone. Niema lepszego sposobu popierania swych towa-

[1] Por. Gilles Normand, *Les sociétés de crédit et banques à succursales en France*, Paris 1924 (*Le crédit à l'exportation*, str. 97—102).

rów i otwierania im dostępu na rynki obce, niż finansowanie na miejscu importerów wzgl. pośredniczenie bankowe na miejscu pomiędzy eksporterem a importerem. Szczególnie ma to znaczenie tam, gdzie obydwa w grę wchodzące rynki nie znają się albo mało znają się nawzajem. Dla eksportu polskiego ma to, rzecz prosta, szczególne znaczenie.

Nie ulega wątpliwości, że na ekspansję kapitałową Polski nie stać dzisiaj i zapewne nie prędko jeszcze stać ją będzie. Kwoty, które przy ewentualnych próbach filjowania się polskich banków zagranicą wypadłoby wywieźć, byłyby niewątpliwym uszczerbkiem dla rynku wewnętrznego, cierpiącego na tak wydatny brak kapitałów. Przytem kapitały, któremi można byłoby ewentualnie w danym razie dysponować, byłyby tak drobne, że odbierałyby całe znaczenie akcji na terenie najważniejszych ognisk, do których eksport polski idzie i iść musi. Są to kraje kapitałowo tak zasobne, że bank o środkach pieniężnych, wchodzących dla Polski w rachubę, nie mógłby tam grać żadnej roli. W konsekwencji nie mógłby odpowiedzieć swemu zadaniu. Ta droga popierania naszej ekspansji towarowej zagranicę, jako akcja o większej rozciągłości, musi pozostać sprawą późniejszego, pomyślniejszego okresu. Jednakże takie generalne postawienie sprawy nie wyklucza możności i racjonalności innych decyzyj w poszczególnych wypadkach. Mogą one być przytem szczególnie interesujące i doniosłe dla polskiego eksportu przemysłowego, który małe ma widoki penetrowania na uprzemysłowiony Zachód. Musi on szukać dla siebie rynków bardziej pierwotnych. Znajdzie je jednak właśnie w krajach kapitałowo naogół słabych, niejednokrotnie słabszych niż Polska. Tam nawet małe środki mogą dać w pewnych warunkach poważne rezultaty. Jeżeli się stoi na stanowisku, iż rozwój przemysłu, a więc w konsekwencji eksport artykułów przemysłowych jest koniecznością polskiej polityki gospodarczej, to przewidujące traktowanie możności zapewnienia sobie rynków tych krajów, które stać się mogą odbiorcami polskich wytworów przemysłowych i np. ze względów geograficznych stać się powinny, jest zadaniem niewątpliwie nasuwającem się przy traktowaniu rzeczy z pewnej perspektywy. Przeoczyć go nie wolno. Powinno też być tutaj zaznaczone między innemi jako zagadnienie dla naszej polityki kredytowej, której sprawą byłoby może w da-

nym razie współdziałanie w realizacji takich problemów nietylko z punktu widzenia pomocy w ich rozwiązaniu, ale zarazem ze stanowiska zapewnienia, że ewentualna szkoda bezpośrednia, przyczyniona gospodarce narodowej przez wywóz kapitału, nietylko zostanie ograniczona do niezbędnej konieczności, ale ponadto obróci się w odpowiednio większe dla tego gospodarstwa korzyści.

Tu właśnie, podobnie zresztą jak wszędzie, należy pamiętać, że polityka kredytowa, z jakiegokolwiek stanowiska traktowana, a więc również polityka kredytowa, aplikowana z punktu widzenia aktywizacji handlu zagranicznego, musi, podobnie jak polityka gospodarcza i każda polityka wogóle, traktować zagadnienia jako proces ciągły, w którym zarządzenia bezpośrednie i ich skutki powinny być wartościowane praktycznie w zależności od znaczenia, jakie dla kształtowania się dalszych losów procesu mieć mogą i muszą.

LEON CHWISTEK

ZAGADNIENIA KULTURY DUCHOWEJ W POLSCE

(ODCZYT WYGŁOSZONY W KOLEGJUM WYKŁADÓW NAUKOWYCH W PAŹDZIERNIKU 1929)

I. KULTURA POWOJENNA

1. Błędne koło krytyki

Zabierać się w Polsce do krytyki, to zadanie niewdzięczne, a zarazem niebezpieczne. Władysław Leopold Jaworski powiedział słusznie, że tylko człowiek zadowolony z siebie może siebie ironizować. Człowiek zgorzkniały oskarża innych, nigdy siebie. Słonimski, broniąc się przeciw imputowaniu mu antysemityzmu, powiedział, że tylko narody zupełnie upadłe nie mają odwagi krytykować siebie samych. Obawa przed krytyką jest jednym z nałogów niewoli. Kiedy deptano nas materjalnie i moralnie na całym świecie, jedyną deską ratunku była wiara w przyszłość. Tę wiarę trzeba było za wszelką cenę podsycać, a do tego trzeba było przedewszystkiem podkreślać to, co było w nas elementem dodatnim. Przejaskrawienie wad mogło łatwo prowadzić do zwątpienia, więc też nic dziwnego, że wiele jednostek, które z wiary w przyszłość zrezygnować nie chciały, reagowało bardzo silnie przeciw krytyce, choćby nawet całkiem objektywnej. Czasy się zmieniły, a pewne nałogi zostały. Mówić, że jest u nas to i owo źle, to znaczy narazić się na zarzut braku ducha obywatelskiego, albo nawet zgoła zdrady; co gorsza, jest to zrobić sobie wielu osobistych wrogów. Środowisko intelektualne w Polsce jest małe, każdy dział ma niewielu stosunkowo reprezentantów, a ci krytykę ogólną biorą wprost do siebie i uważają ją za osobistą napaść. To zdenerwowanie jest wtórnym produktem niechęci do krytyki w dobie ubiegłej. Niechęć ta prowadziła w rezultacie do ciszy i martwoty, naprawdę niebezpiecznej dla kultury, a zgoła zgubnej dla jednostek rwących się do czynu. Nic dziwnego, że jednostki bardziej gwałtowne wyrywały się od czasu do czasu z atakami zgoła nieprzyzwoitemi, godzącemi wprost w pewne osobistości

reprezentacyjne. Napaści takie, powtarzając się od czasu do czasu, a niosąc z sobą zawsze wiele krzywdy, wiele niesmaku i wiele depresji, uczyniły stanowiska reprezentacyjne u nas placówkami bardzo przykremi. Stąd to wytworzyła się nerwowa obawa przed krytyką i podejrzliwość, dopatrująca się ukrytej chęci wypłynięcia kosztem drugich w każdem stanowczem publicznem wystąpieniu. Pod tym względem różnica pomiędzy nami a zagranicą jest wprost rażąca. Ile razy poruszyłem jakieś zagadnienie wobec Niemców, Anglików lub Francuzów, to odpowiedź odnosiła się li tylko do tego zagadnienia. W Polsce spotkałem się w większości wypadków z zapytaniem: a właściwie dlaczego pan tą sprawą się zajmuje i do czego pan zmierza? W zapytaniu tem tkwił nieraz niepokój i wyraźna obawa. Jestem pewny, że na dnie tego tkwią nałogi niewoli.

Otóż z tem przedewszystkiem powinniśmy skończyć, a środkiem do tego może być tylko sprawiedliwa krytyka. Powie mi ktoś, że to są rzeczy niemożliwe, nie do pomyślenia zwłaszcza u nas, gdzie skłonność do subjektywnego oceniania każdej sytuacji leży we krwi. Zapewne nie chodzi o osiągnięcie ideału. Mam wrażenie, że wystarczy trochę przyzwoitości, wystarczy nie napadać na nikogo osobiście, nie odsądzać od wszelkiej zasługi ludzi, którzy całe niemal życie poświęcili pracy wytężonej i osiągnęli takie rezultaty, na jakie ich było stać. Ale do tego potrzeba, żeby z drugiej strony ustało szukanie ukrytych aluzyj osobistych i niewczesne plotkowanie, żeby raz została zgnieciona parszywa zasada dopatrywania się wszędzie osobistego interesu. Te wszystkie względy odwiodły bardzo wiele jednostek samodzielnie myślących od pracy społecznej, ku wielkiej stracie dla ogółu.

Nigdzie może niema tak wiele jak w Polsce ludzi inteligentnych, a nieraz nawet twórczych, którzy ograniczają się do działania w ciasnem kole, żeby nie zatruć sobie życia niepotrzebną walką z nieznanym wrogiem. Z tem trzeba skończyć stanowczo. Trzeba, żeby ludzie mieli odwagę mówić jasno i szczerze, co myślą, i nie należy identyfikować szczerości z demagogją. Jeśli będziemy się uparcie trzymali na dzisiejszem stanowisku, nie możemy spodziewać się wielkiej przyszłości.

2. Trudność orjentacji

Żeby mówić o kulturze współczesnej objektywnie, trzeba zdobyć się na wiele odwagi, boć przecie jest niezmiernie trudno zebrać i ocenić gruntownie materjał faktyczny. Tem trudniej jest to zrobić, jeśli nie jest się specjalistą i jeśli nie ma się możności przeprowadzania studjów gruntownych. Nie taję, że ja właśnie znajduję się w tem położeniu. Rozporządzam materjałem zebranym dość przypadkowo, mogę co najwyżej powiedzieć to, że miałem sposobność zetknąć się z ludźmi dającymi pełną gwarancję fachowości i zasięgnąć ich rady. Zresztą celem moim nie jest historja. Chodzi mi nie o przeszłość ani o teraźniejszość, ale o przyszłość. Chodzi mi nie o to, czy tak właśnie jest, czy trochę inaczej, ale o to, co należy robić, żeby w przyszłości było jak najlepiej.

Teza moja jest następująca:

Przeżywamy niezmierne podniesienie się kultury w warstwach szerokich i równoczesne skurczenie się i obniżenie elity umysłowej.

Ambicja twórcza podnosi się niezmiernie w zakresie dostępnym warstwom szerokim, obniża się w sposób widoczny na wyżynach.

Ten stan rzeczy jest niewątpliwie konsekwencją przewrotu społecznego wywołanego wojną. Mam przekonanie, że w tej formie, w jakiej ten przewrót dokonał się u nas, nietylko nie jest on dla kultury niebezpieczny, ale może stać się podstawą olbrzymiego rozkwitu. Do tego potrzebne jest tylko podniesienie się ambicji twórczej tak zwanej elity umysłowej i uniezależnienie się jej od spłycających wpływów zewnętrznych.

3. Co mówi elita?

Na każdym kroku słyszymy utyskiwania na upadek kultury duchowej w Polsce. Jeśli rozczytamy się w wielotomowem dziele p. t. *Nauka polska,* w którem szereg najpoważniejszych reprezentantów różnych działów nauki zabrał głos, stwierdzimy to, co zresztą wiadome jest powszechnie, że nauka polska przechodzi ciężki kryzys. Laboratorja uniwersyteckie stały się w znacznej części szkołami przygotowawczemi, a profesorowie przeciążeni pracą zawodową w wyjątkowych tylko razach mogą

zdobyć się na pracę twórczą. Poza uniwersytetami praca naukowa nie rozwija się prawie wcale. Młodzież naogół nie myśli o poświęcaniu się nauce, garnąc się raczej do zawodów praktycznych. Fundacje prywatne, które przed wojną były nieraz świetnie wyposażone, potraciły przeważnie swoje mienie. Inicjatywa prywatna, odgrywająca tak wielką rolę np. w Ameryce, u nas z powodu braku wielkich kapitałów sprowadza się niemal do zera.

Z literaturą nie jest lepiej. Mamy wprawdzie nagrody literackie i dość liczny zastęp zdolnych pisarzy, niemniej poziom naszej literatury jest conajwyżej średni. Niema książek polskich, które naprawdę wartałoby czytać, poza bardzo nielicznemi wyjątkami. Przeważnie są to rzeczy pisane na kolanie, płytkie, powierzchowne i najczęściej nudne. Nie mamy autorytetów na miarę Wyspiańskiego lub Żeromskiego, a jeśli nie brak nam wybitnych indywidualności literackich, to musimy stwierdzić, że są one w wysokim stopniu zahamowane walką o byt i z największą tylko trudnością mogą posuwać się naprzód.

Z sztuką jest może najgorzej. Produkcja jest duża, ale mniej niż średnia. Niema prawie artystów dążących świadomie do wytkniętego celu, niema nawet bodaj dziwaków, którzyby jakąś własną manierę chcieli konsekwentnie forsować. Wszystko co jest, to powtarzanie w nieskończoność form gotowych, dawno już zdobytych. Nagrody rządowe, większa możliwość zarobku, nietylko tu nic nie pomaga, ale szkodzi, bo budzi tendencję do schlebiania gustowi przeciętnemu i chęć zwrócenia na siebie uwagi popularnym tematem lub jakiemiś innemi środkami, nic z sztuką wspólnego nie mającemi.

Jeśli chodzi o samo życie, to rzuca się w oczy obniżenie poziomu duchowego. Mówienie o literaturze i sztuce, słuchanie muzyki, coraz bardziej wychodzi z mody. Coraz jawniej występuje się ze zdaniem, że koncerty to nuda, że zwiedzanie muzeów to katorga, że czytanie książek filozoficznych lub filozoficznie zabarwionych to zawracanie głowy. Dobra jest tylko literatura lekka, obrazki nie budzące niepokoju, a zapełniające jako tako ścianę — jazzband; bridge, a jeśli chodzi o teatr, to oczywiście tylko komedja i to ile możności zagraniczna. Jednostek nieskrępowanych temi kategorjami nie brak, ale te nie

wywierają żadnego wpływu, nikt poprostu z niemi się nie liczy.

To są zdania, które się słyszy, jeśli rozmawia się z ludźmi naprawdę kulturalnymi. Zdania te zawierają niewątpliwie prawdę.

A teraz wyznam otwarcie, że pomimo tej całej tragicznej sytuacji jestem optymistą. Optymizm mój opieram na widocznym wzroście kultury materjalnej w Polsce powojennej oraz związanem z nim ściśle rozszerzeniem się kultury duchowej na szerokie warstwy społeczne.

4. Kultura materjalna i jej stosunek do kultury duchowej

Przedewszystkiem musimy odróżnić różne stopnie kultury duchowej. Pomijając stopień najniższy, odpowiadający poziomowi człowieka pracującego fizycznie, odróżnię poziom średni, polegający na opanowaniu gotowych wartości kulturalnych, i poziom wyższy, odpowiadający sferze walki o nowe wartości kulturalne. Twierdzę, że wszystkie te stopnie kultury duchowej związane są ściśle z rozwojem kultury materjalnej. Jeśli chodzi o stopień najniższy, to sprawa nie ulega chyba dyskusji — co do stopnia średniego, to chyba trudno zaprzeczyć, że będzie on rozwijał się w ścisłym związku z kulturą materjalną. Chodzi o poziom najwyższy. Otóż jestem zdania, że tak jak wielki rozkwit kultury materjalnej niemożliwy jest bez wysokiej kultury przynajmniej pewnych szerszych kół społeczeństwa, tak samo i rozwinięcie się wysokiej elity duchowej, jeśli nie jest zupełnie niemożliwe, to przynajmniej jest wysoce utrudnione w społeczeństwach pozbawionych kultury materjalnej.

Tak jak Rousseau z całem swojem uwielbieniem dla człowieka pierwotnego nie jest do pomyślenia wśród ludożerców Polinezji, tak samo wielki rozkwit materjalny nie jest do pomyślenia bez wynalazków, a więc bez twórczości jednostek znajdujących się na wyżynach kultury duchowej przynajmniej w jednej dziedzinie. Należy jednak przyznać, że związek ten ścisły, jeśli chodzi o całą ludzkość, może być bardzo rozluźniony w pewnych odgraniczonych ugrupowaniach społecznych, dzięki korzystaniu z wynalazków obcych z jednej strony, a z drugiej dzięki stosunkowo niezbyt wysokim kosztom po-

dróży, dzięki reprodukcjom, książkom i t. d. Chodzi tylko o stopień. Sprawę tę objaśnię następującemi przykładami.

a) *Kraków przedwojenny.*

Trudno sobie wyobrazić bardziej rażący kontrast pomiędzy poziomem kultury materjalnej i duchowej, jak ten, jaki był w przedwojennym Krakowie. Nie trzeba zapominać, że Kraków w tym czasie był dziurą prowincjonalną w całem tego słowa znaczeniu, bez wodociągów, światła elektrycznego, tramwajów elektrycznych, bez chodników betonowych i t. d.

Dobrze jest przypomnieć, że w tym czasie na końcu ulicy Lubicz była rampa kolejowa, że wzdłuż Alei Mickiewicza był wał kolejowy, a za wałem szczere pole. Kiedy się o tem wszystkiem myśli i dodaje, że ten Kraków właśnie był duchową stolicą Polski, to wydaje się to paradoksem. A jednak warunki te odbijały się silnie na psychologji Krakowian. Pomimo to, że z tego środowiska wychodziły dzieła imponujące całemu światu, że tylko wspomnę odkrycia Wróblewskiego i Olszewskiego i triumfy Matejki w Paryżu, nikt nie myślał o mierzeniu się miarą europejską. To, co krajowe, uważało się z zasady za drugorzędne, myślano najwyżej o informowaniu się o tem, co robi zagranica, o doganianiu jej — o stanięciu do zawodów, o zrównaniu się nie było mowy; ktoby poruszył problem przegonienia zagranicy, byłby poprostu śmieszny. Przedewszystkiem panowało uprzedzenie co do zdolności twórczych Polaków. Przyznawało się oczywiście, że wydaliśmy kilku genjuszów, których zresztą stawiano zawsze na dość dyskretnym piedestale, nie myśląc nawet np. o porównywaniu Mickiewicza z Goethem, walczono z zapałem o polskość Kopernika i t. p., ale to były raczej wyjątki. Powiedziałbym nawet, że w tych wszystkich dyskusjach taiła się raczej niewiara w własne siły, obawa, że nic wielkiego stworzyć już nie potrafimy. Zahamowanie rozwoju materjalnego, atmosfera niewoli i zależności materjalnej od ośrodków obcych, wpływały deprymująco na ambicję i na wyobraźnię społeczeństwa, sprzyjając raczej zagłębieniu się w sobie i wysubtelnianiu uczuć. Przedewszystkiem jednak działało tu zbytnie odgraniczenie warstw inteligentnych, zamkniętych w ciasnem kole, bardzo tylko słabo zasilanem

z zewnątrz. Rezultatem tego było wytworzenie się bardzo wysoko rozwiniętej elity duchowej, która będąc może stosunkowo mało produktywną, posiadała jednak niezmierne znaczenie kulturalne jako środowisko. Nie jest moim zamiarem mówić tutaj bliżej o tem środowisku, w którem żyli Malczewski i Wyspiański, środowisku, którego przedstawicieli mamy jeszcze sporo pomiędzy sobą. Sprawa ta byłaby wdzięcznym tematem osobnego wykładu — powiem więcej, dostarczyłaby dość materjału do bardzo ciekawej monografji. Tutaj chodzi mi tylko o to, że jeśli jest gorzej niż przed wojną, to tylko w tym sensie, że właśnie to środowisko straciło w znacznym stopniu swoją siłę.

b) *Rzym z czasów cesarstwa, Zachód powojenny*

Jeśli względnie niski poziom kultury materjalnej idzie niekiedy w parze z wysokim rozwojem kultury duchowej, to nie da się zaprzeczyć, że nadmierny rozrost kultury materjalnej wpływa szkodliwie na kulturę duchową. Przyczyna zdaje się tkwić w tem, że zbytnia łatwość użycia prowadzi szybko do zblazowania i do zobojętnienia w stosunku do t. zw. życia wewnętrznego. Że tak było w drugiej epoce cesarstwa rzymskiego, o tem nie może być dwóch zdań. Czy tak jest w niektórych centrach kulturalnych Zachodu, o to można się spierać, ale wiele oznak zdaje się na to wskazywać niezbicie. Tak przedewszystkiem jest chyba w Ameryce, jeśli mamy się orjentować na podstawie jej produkcji umysłowej i artystycznej, i jeśli to, co opowiadają naoczni świadkowie, jest prawdą. Coś podobnego zdaje się występować w niektórych sferach elity paryskiej. Nie będę analizował tych spraw, które wychodzą poza zakres tego odczytu, zaznaczę tylko, że zagadnienie obniżenia się wyżyn kultury jest na Zachodzie równie aktualne jak u nas, i że na Zachodzie zjawisko to jest niewątpliwie ściśle związane z wielkim rozrostem kultury materjalnej.

5. Kultura materjalna w Polsce powojennej i jej wpływ na kulturę duchową

Jest pewne, że po wojnie kultura materjalna Polski, a w szczególności naszych centrów umysłowych podniosła się

znacznie. Podniósł się też znacznie poziom życia nietylko warstw szerszych, ale nawet t. zw. elity. Nie zapominajmy, że jakkolwiek mamy przeważnie mało pieniędzy, to jednak możemy kąpać się codziennie, możemy korzystać z światła elektrycznego, telefonu, radja, mamy przedewszystkiem możność rozwijania się fizycznego, korzystania z basenów i stadjonów sportowych i t. d. Mamy także znacznie lepiej ubraną publiczność, a przedewszystkiem kobiety. Jeśli chodzi o kobiety, to muszę stwierdzić, że przekraczają one znacznie średnią miarę europejską. Sukcesy naszych sportowców są wszystkim znane, wystawa w Poznaniu udowodniła, że nie stoimy na szarym końcu, jeśli chodzi o przemysł i rzemiosło. Wszystkie te sukcesy materjalne nie są do pomyślenia bez dużego poziomu kultury duchowej średniej. Obserwując pokolenie powojenne, musimy stwierdzić, że posiada ono wiele zalet, przed wojną nieznanych, a przedewszystkiem zdolność jasnego i konkretnego myślenia, wybitną niechęć do frazesu i do mglistej fantastyczności, ogromną prostotę, wykluczającą element śmieszności bardzo częsty u Polaków przedwojennych, a przedewszystkiem brak wewnętrznego zakłamania, t. j. jasny pogląd na samego siebie. Powiem tu jeszcze jedną rzecz, co do której spotkam się może z protestem — mam wrażenie, że poziom moralności podniósł się u nas w wysokim stopniu, a jeśli chodzi o miarę zagraniczną, to jest bezsprzecznie bardzo wysoki. Chcę jeszcze zwrócić uwagę na następujące sprawy, osobliwie ważne, na stosunek do tradycji narodowej i związaną z tem sprawę ambicji zbiorowej. Sprawę tradycji rzadko stawia się we właściwem świetle. Jeśli ktoś chce szukać wzorów w przeszłości, to nie znaczy to, żeby miał robić to samo, co robiono w przeszłości, ale żeby robił co innego na równie wielkim poziomie. Jeśli generał bierze sobie za wzór Cezara, to nie znaczy wcale, że ma używać drewnianych wież oblężniczych i kusz mechanicznych do wyrzucania kamieni — chodzi przecież oczywiście tylko o to, żeby działać z równie jasnym planem, żeby mieć równie błyskawiczną zdolność decyzji i równie wielką odwagę. Podobnie, jeśli ktoś weźmie za wzór w sztuce Michała Anioła, to nie znaczy przecież, żeby miał naśladować jego dzieła, tylko żeby miał równą szczerość i odwagę w wyrażaniu tego, co mu narzuca jego fantazja twórcza. W Polsce

przedwojennej pojęcie tradycji było ujęte fałszywie. Walka z niewolą wytwarzała przywiązanie do form starych, jako własnych i obawę przed formami nowemi jako narzuconemi przez obcych. Wystarczy wspomnieć o przywiązaniu do stroju narodowego. Zaraz po powstaniu Polski zwrócił uwagę moją artykulik dziennikarski, którego autor domagał się powrotu do stroju polskiego. Cytuję to jako skrajny przykład źle zrozumianej tradycji. Chodzi mi o to, że nic albo prawie nic z tego pomieszania pojęć nie obserwuję w pokoleniu powojennem. Jest wyraźna tendencja do zrezygnowania z odrębności narodowej i do upodobnienia się do zagranicy, a w szczególności do Ameryki. Tendencja ta ma niewątpliwie prócz dobrych i złe strony, bo przecież każde bezmyślne małpowanie jest szkodliwe, ale wierzę w to, że młode pokolenie nasze jest tak żywotne, że to niebezpieczeństwo przezwycięży.

Jako bardzo ważny czynnik kulturalny chcę podkreślić tendencję młodego pokolenia do wybicia się na pierwszy plan w walce o byt. Kiedy słyszę skargi na to, że młodzież dzisiejsza nietylko nie chce nic słyszeć o naszych wieszczach, ale w rzadkich tylko wypadkach garnie się do pracy abstrakcyjnej, myśląc w pierwszym rzędzie o handlu, przemyśle, technice, lotnictwie i t. d., to nietylko nie współczuję im, ale cieszę się szczerze. Ja kończyłem gimnazjum w epoce największego rozkwitu kultu poezji i wiem doskonale, że w mojej klasie, takich uczniów, którzy brali te rzeczy serjo, było najwyżej czterech lub pięciu. Reszta nie myślała poprostu o niczem, bacząc tylko na to, żeby jak najmniejszym wysiłkiem zdobyć dobry stopień. W Królestwie pod wpływem walki narodowościowej było z pewnością lepiej — w dawnej Galicji ogół młodzieży stał z pewnością niżej niż dzisiaj.

Jeśli chodzi o poziom wykształcenia średniego, to skargi, jakie się słyszy, uważam za mocno przesadzone. Jako nauczyciel spotkałem wielu uczniów bez porównania zdolniejszych od wszystkich moich bliższych i dalszych kolegów, a poziom przeciętny uważam za bezwzględnie wyższy.

Różnica istotna sprowadza się do tego, że wśród elity przedwojennej przeważał typ marzycielski, obecnie przeważa typ racjonalny.

6. Rozrost kultury duchowej średniej i jego skutki

Jest pewne, że po wojnie rozrósł się niezmiernie typ średniego inteligenta, który przed wojną nie liczył się wcale. Pociągnęło to za sobą niezmiernie doniosłe konsekwencje. Przedewszystkiem wzrosło do niebywałych granic zapotrzebowanie literatury popularnej, a więc podręczników, powieści łatwo zrozumiałych, a przedewszystkiem dostępnych ogółowi dzienników. Razem z podniesieniem się kultury materjalnej szerokich sfer wzrosła potrzeba pewnego luksusu, wzrosło też niewątpliwie zapotrzebowanie dzieł sztuki o typie popularnym, wzmocnione silnie zapotrzebowaniem nowo powstających muzeów i zamówieniami rządowemi. Teatr, wstrząśnięty zrazu konkurencją kina, zaczyna się wydobywać na wierzch, ale oczywiście w przeważnej ilości wypadków kosztem wyraźnego obniżenia poziomu repertuaru.

Podobne zjawisko występuje w zakresie muzyki, gdzie twórczość poważna ustępuje coraz bardziej na drugi plan w stosunku do jazzbandu.

Ten stan rzeczy pociąga zajmujące konsekwencje. I tak uczony, pracujący twórczo w zakresie swojej specjalności, musi ograniczać się do bardzo skromnych zarobków, podczas gdy jego kolega piszący podręczniki dorabia się niejednokrotnie majątku. Poeta, borykający się z własną jaźnią i zagadnieniem istnienia, nietylko przymiera głodem, bo to i dawniej bywało, ale na żaden sposób nie może znaleźć nakładcy, a jeśli znajdzie, to spotyka się z gorzkim wyrzutem. Pewna pani, zajmująca się tłumaczeniem, mówiła mi, że nawet tłumaczenia zagranicznych bardzo znanych autorów z trudnością znajdują u nas nakładców, o ile wychodzą poza sferę pojęć przeciętnego czytelnika. Podobnie jest ze sztuką. Przed wojną sprzedawało się niewiele, teraz sprzedaje się stosunkowo dużo, ale rzeczy działających na wyobraźnię przeciętną. Te same rzeczy obserwujemy w muzyce, w teatrze i t. d.

Zjawisko to jest, mojem zdaniem, najzupełniej naturalne i dziwiłbym się, gdyby było inaczej. Spotkawszy kiedyś na plantach pewnego młodego poetę, wdałem się z nim w rozmowę o tych rzeczach. Kiedy poeta skarżył się na to, że jego poezja nic mu nie przynosi, powiedziałem: „Czegoż pan chce?

Kto wiatr sieje, burzę zbiera. Jest słuszne, że społeczeństwo wynagradza tych, którzy mu dają to, czego potrzebuje. Jeśli ktoś tworzy dla samego siebie, powinien sam siebie wynagradzać". Praca popularyzatorska jest sama przez się bardzo niewdzięczna, a nieraz bardziej trudna niż praca twórcza. Z doświadczenia wiem, że nieraz łatwiej jest napisać pracę naukową oryginalną, niż streścić popularnie pracę cudzą. To drugie zadanie wymaga przedewszystkiem, żeby tę pracę przeczytać, a czytać cudze dzieło, to znaczy borykać się z cudzą indywidualnością, a to nie jest ani łatwe ani przyjemne. A to przecież dopiero połowa roboty. Trzeba potem stworzyć język zrozumiały dla wszystkich i ująć w niego rzeczy, które najczęściej ująć się nie dadzą. A wtedy, gdy się takiego dzieła dokona, to dopiero niema się najczęściej najmniejszej satysfakcji, bo jest jasne, że prócz trudu nic z siebie w dzieło to nie włożyliśmy. Podobnie wygląda sprawa z portretem naturalistycznym lub pejzażem malowanym według utartego szablonu, podobnie jest z artykułem dziennikarskim, przeróbką muzyczną, dekoracją teatralną i t. d. i t. d. Słuszną jest rzeczą, żeby to było dobrze płacone, bo inaczej niktby tego nie robił.

Gdybyśmy teoretycznie zastanawiali się nad tem, co jest dostępne dla ogółu, odpowiedź byłaby bardzo trudna. Pytanie to można rozstrzygnąć o wiele łatwiej przez wczucie się w popularny pogląd na świat, przez wżycie się w to, co kiedyś nazwałem rzeczywistością naturalną. Proces taki jest dla ludzi twórczych, żyjących w świecie abstrakcji lub marzeń, w wyjątkowych tylko razach dostępny. Rezultat jest ten, że jednostki takie w wyjątkowych tylko razach są popularne. Naogół dobrymi popularyzatorami są ci, którzy obracają się w popularnej sferze pojęć, t. j. ci, którzy żyją w tej samej rzeczywistości co ogół. Jeśli jednak przejście od świata abstrakcyj i marzeń do rzeczywistości naturalnej jest nieraz trudne, to wysiłek odwrotny jest często zgoła niemożliwy. Dlatego to widnokrąg intelektualny popularyzatorów ogranicza się bardzo często do rzeczywistości naturalnej. Fakt ten pociąga to znane zjawisko, że twórcy o osobliwie lotnej wyobraźni lub o osobliwie śmiałej zdolności abstrahowania z trudnością tylko i nieraz dopiero po bardzo długim czasie mogą dotrzeć do społeczeństwa. Ogólnie biorąc, im wyższy jest poziom kultury du-

chowej danej jednostki, tem trudniej jej przychodzi wywrzeć wpływ na społeczeństwo. Ten stan rzeczy spotęgowany jest jeszcze przez to, że życie wewnętrzne połączone jest najczęściej z przesadną ostrożnością w występowaniu na zewnątrz, a w każdym razie z brakiem t. zw. tupetu. W rezultacie istnieje w każdem społeczeństwie niebezpieczeństwo, że właściwe kierownictwo życia duchowego obejmą przedstawiciele kultury duchowej średniej, a jednostki reprezentujące wyżyny kultury zostaną usunięte na drugi plan. W przeciwieństwie do tego, co było w Polsce przedwojennej, a w szczególności w Krakowie, niebezpieczeństwo to przybrało formę niezmiernie groźną obecnie. O tej sprawie chciałbym pomówić nieco bardziej szczegółowo.

7. Tragedja elity intelektualnej w Polsce dzisiejszej

Rozrost kultury duchowej średniej pociągnął za sobą wiarę w t. zw. życie realne, a w dalszej konsekwencji entuzjazm dla t. zw. radości życia, przyczem hasła te nie są brane bynajmniej w ich właściwym ogólnym sensie, ale stały się symbolem popularnego poglądu na świat. Nikt nie zastanawia się nad tem, że zdobywanie życia realnego nie jest identyczne z zdobywaniem pieniędzy, choćby dlatego, że w chwili zdobycia pieniędzy możemy właśnie umrzeć. Nikt nie myśli o tem, że radość życia nie da się kupić za pieniądze. Nikt wreszcie nie zastanawia się nad tem, że jasność i solidność t. zw. rzeczywistości naturalnej jest pozorna, że załamuje się ona z łatwością pod wpływem każdego silniejszego wstrząsu, jak to zresztą zostało wielokrotnie opisane przez autorów rosyjskich. Przeciwnie, wielki napływ zdrowia i samopoczucia po odzyskaniu wolności powoduje, że nietylko nie analizujemy tych spraw, ale chętnie odrzucamy wszystko to, co leży poza sferą zapotrzebowań typu kulturalnego średniego, jako nieużyteczne. Produkcja, nie odpowiadająca potrzebom tego typu, już nietylko nie jest wynagradzana, co uważam za zrozumiałe, jak to wyżej podkreśliłem — ale jest poprostu lekceważona. Uczony, który nie ma marki oficjalnej, artysta niepopularny, wreszcie intelektualista, starający się daremnie wciągnąć otoczenie na teren wyżyn duchowych — wszystko to piętnuje się mianem

dziwaków, wykolejeńców, a często nawet próżniaków. Ale i to nawet można zrozumieć. Pomiędzy poziomem średnim a wyżynami jest przepaść zasadnicza, bynajmniej nie ilościowa tylko. Temat ten zajmował mnie zawsze osobliwie i poświęciłem mu wiele rozważań, w szczególności w książce p. t. *Wielość rzeczywistości.* Przyszedłem do przekonania, że człowiek, poruszający się na wyżynach kultury w naszych czasach, żyje z konieczności w innej rzeczywistości, niż przedstawiciel kultury średniej. Świat rzeczy i orjentowanie się w nim jest już terenem dokładnie opanowanym. Dalszy rozwój możliwy jest tylko przez sięgnięcie do rzeczywistości głębszej, do świata wyobrażeń, niesłusznie identyfikowanego ze światem złudy. Opanowanie tego świata jest rzeczą przyszłości, narazie jest to dziedzina nieuchwytna dla przeciętnego człowieka. To też jest naturalne, że ktoś przerzucający się na te nieuchwytne tereny, choćby niezbyt daleko, robi wrażenie dezertera od prostych a ciężkich zadań dnia codziennego. Jest w tem coś takiego, jak gest kobiety, która przyparta do muru przez geszefciarzy, powołuje się tylko na interwencję Pana Boga. A jednak jest pewne, że taki gest nie zawsze jest bezcelowy. Wystarczy do tego, żeby się znalazł ktoś trzeci, komu zaimponuje siła duchowa i niezłomność tej kobiety — wtedy może się zdarzyć, że ona właśnie odniesie zwycięstwo. Mam przekonanie, że tą kobietą była też Polska, reprezentowana przez swoich wieszczów i bohaterów.

Chodzi o to, że fakt przebywania w tej lub innej rzeczywistości jest od nas niezależny. Tak samo jak człowiekowi czynu trudno jest wyjść poza świat rzeczy, tak samo artyście czy myślicielowi trudno jest dotrzeć do tego świata. Biada, jeśli taki człowiek da się temu światu pochłonąć. Wtedy traci właściwy swój rdzeń, traci orjentację i jest strzępem rzucanym przez życie w prawo i lewo, jak dusze w piekle dantejskiem. Kiedy słyszę z ust artystów, że właściwie ten, kto nie znajduje nabywców na swoje obrazy, nie jest malarzem, kiedy słyszę powtarzany ciągle frazes, że kto coś wart, to w końcu zawsze znajdzie handlarza obrazów, który nim się zajmie, — kiedy wreszcie z ust ludzi powołanych do tego, żeby stanowić ośrodek kultury w Krakowie, słyszę, że my musimy stać się prowincją, że tylko w stolicy może być prawdziwa kultura, a ściślej biorąc, nawet nie w stolicy, tylko zagranicą, — to

wtedy myślę, że jest naprawdę źle. Wtedy myślę, że nie wolno zakładać rąk, ale trzeba działać. Trzeba jasno i otwarcie przedyskutować te rzeczy i rozbić mur przesądów i uprzedzeń wiążący nasze umysły. W każdym razie potrzeba uświadomienia sobie tego faktu, że wyżyny kultury duchowej nie powinny obniżać się dlatego, że kultura właśnie rozrasta się wszerz, że powinno być raczej przeciwnie. Jeśli tak się dzieje, to wina leży nie w tych szerokich warstwach i w ich poglądzie na rzeczy, ale w tem, że t. zw. elita zamiast narzucać im swoją kulturę, ulega ich wpływowi i przejmuje się ich zasadami, a tem samem powoli przestaje być elitą. Jeśli elita zda sobie sprawę z tego stanu rzeczy, to bezsilne cierpienie i depresja doby obecnej może zamienić się w wielki poryw do czynu. Trzeba tylko wiary w taki czyn, trzeba tylko pogardy uzasadnionej dla argumentów zużytych o nieużyteczności wyżyn duchowych.

Istnieje jeszcze inny argument, skierowany przeciw elicie umysłowej, który choć mniej radykalny, jest może bardziej niebezpieczny. Jest to argument nieaktualności. Tak jak w czasie wojny mówiło się, że teraz trzeba się bić, a wszystko inne odłożyć na bok, tak też i obecnie mówi się nieraz, że nie pora na wyżyny, że trzeba budować od dna, a wszystko inne odkładać na potem. Jest jasne, że taki argument może działać druzgocąco. Jeśli ktoś powie, że wszyscy genjusze nauki i sztuki byli niepotrzebni, to jest to argument, który w wielu wypadkach obudzi żywą reakcję, bo pomimo całej demokratyzacji kult wielkich jednostek jeszcze pozostał, ale jeśli się powie: genjusze, owszem, mogą się na coś przydać, ale nie dzisiaj, dzisiaj na nich nie pora, zresztą niema ich, więc niema o czem mówić — to z tem trudno jest walczyć. Niejeden zamilknie i da za wygraną. Z oboma temi argumentami pragnąłbym załatwić się tu definitywnie.

8. Argument o nieużyteczności wyżyn duchowych

Niema pojęcia bardziej mętnego, jak pojęcie użyteczności. Wiadomo, że pragmatyści próbowali oprzeć pogląd na świat na tem pojęciu i załamali się beznadziejnie. Wiadomo, że pojęcie to nadużywane bywa także w życiu codziennem, gdzie niesympatycznych pracowników uważa się nieraz za nieuży-

tecznych, a układnych próżniaków właśnie za bardzo użytecznych. Tutaj nie będę się wdawał w teorję. Dyskusję przeprowadzę na kilku przykładach.

a) Osobliwie dotknięci ostracyzmem aktualności są humaniści. Daremnie starają się oni wykazać, że kultura klasyczna jest koniecznie potrzebna do zrozumienia kultury dzisiejszej, która z niej wyszła, i zachęcają do studjów humanistycznych, powołując się na ich użyteczność. Fakty przeczą temu jaskrawo. Przypuśćmy, że ktoś obracający się w sferze pojęć dzisiejszych chce zapoznać się z kulturą klasyczną w sposób objektywny, t. zn. niezależnie od fantazji twórczej. Przypuśćmy, że zwalczył trudności językowe i wczytuje się w dzieła autorów klasycznych na zimno, krytykując zdanie po zdaniu. Czekają go ciężkie rozczarowania. Zamiast oczekiwanych wielkich prawd filozoficznych znajduje dość mętnie formułowane zagadnienia, zamiast argumentów frazesy, zamiast silnych wzruszeń, do jakich przywykł w nowożytnej poezji, i powiedzeń silnych i jędrnych, spotyka na zimno toczone frazesy, obrazy dość banalne a na dnie obcy sobie i często niesympatyczny pogląd na życie społeczne (bezwzględność wobec nieprzyjaciela, niewolnictwo, okrucieństwo, ofiary z ludzi i t. d.). Stąd to płynie, że z wierzących uczniów zamieniamy się rychło w lekceważących mecenasów, zaczynamy się poprostu gniewać i nudzić.

To samo czeka nas przy zwiedzaniu ruin i muzeów. Ruiny, toż to poprostu kupy kamieni; rzeźby i malowidła — budzą niewątpliwie szacunek, ale jakżeż dalekie są od sfery szczerego zapału i zachwytu. Żeby z tej opłakanej sytuacji wybrnąć, potrzebny jest kolosalny wysiłek wyobraźni. Trzeba poprostu do fragmentów i ruin dorobić cały świat i wżyć się w niego, wtedy wszystko nabiera zupełnie innego charakteru. Od myśli mętnych, od rytmów jednostajnych, od gruzów i martwych marmurów zaczyna płynąć ku nam blask życia potężnego i piękna najwyższego, czujemy się jakgdyby przeniesieni w zaczarowany ogród bajki, a przeżycie to może nam stokrotnie wynagrodzić poniesione trudy. Znalazłszy raz drogę do tego tajemniczego świata, będziemy do niego chętnie wracali, a kiedy spostrzeżemy, że w ten sposób znaleźliśmy drogę do zabicia martwych chwil życia, drogę o wiele pewniejszą niż ta, której nam może dostarczyć t. zw. zabawa, nie będziemy uważali pracy huma-

nisty za nieużyteczną. Bo do tego, żeby ten świat stworzyć, praca humanisty była konieczna. Kto nie wczuł się w Goethego lub Krasińskiego nie przeżyje na serjo podróży do Włoch, a Goethe i Krasiński nie są do pomyślenia bez studjów klasycznych.

b) Jeśli chodzi o pracę społeczną na dalszą metę, to jest ona u nas w wysokim stopniu niemodna. Wszyscy przejęci są chwilą obecną i radziby to wszystko, co odnosi się do dalekiej przyszłości uznać za nieużyteczne marzenia. A jednak historja naszej myśli w XIX w. uczy niezbicie, że to, co dzisiaj wydaje się czczem marzeniem, jutro może stać się rzeczywistością w sensie popularnym. Mam na myśli takie koncepcje, jak prawo narodów do życia samodzielnego, Stany Zjednoczone Europy i t. d. Wszystkie takie pomysły rodzą się w epokach, kiedy realizacja ich wydaje się absurdem. Z chwilą jednak, kiedy raz powstaną, zaczynają działać na umysły, powodują ewolucję poglądów w coraz to szerszych sferach, aż wreszcie staną się popularne. Do tego jednak, żeby takie pomysły mogły się rodzić w społeczeństwie, potrzebna jest elita, posiadająca wysoką kulturę duchową. Życie materjalne bez coraz to nowych wynalazków musi zamrzeć, choćby było postawione na jak najwyższym poziomie; podobnie kultura duchowa, ograniczona do tego, co jest gotowe, odcięta od twórczości i związanego z nią niepokoju i wysiłku, skazana jest na marazm i uwiąd przedwczesny, bez względu na poziom, do jakiego zdołała się wznieść poprzednio. Społeczeństwo, które żyłoby tylko gotowemi wartościami społecznemi, mogłoby dojść do dobrobytu chwilowego, nawet do pozornej potęgi, ale nigdy nie mogłoby z ufnością patrzeć w swoją przyszłość. Przykładów z historji dostarczyć nie trudno, wystarczy wymienić nasz wiek XVI i ostatnie lata cesarstwa niemieckiego. Teoretycznie sprawa przedstawia się w ten sposób, że w życiu niema form stałych, że wszystko podlega ciągłej ewolucji i że to, co jest szczytem doskonałości dzisiaj, jutro może być bezużytecznym strzępem. Zasada ta jest sprzeczna z związaną ściśle z naszą naturą skłonnością do spokoju. Nie myślę tu wcale o próżniactwie — to oczywiście jest synonimem upadku. Chodzi mi o wrodzoną tendencję do szablonu w pracy, do automatycznego wykonywania raz wyuczonych czynności. Tendencja ta powoduje rozdrażnienie urzęd-

nika, ile razy okaże się nowe rozporządzenie ministerjalne. Ta sama tendencja sprawia, że rzemieślnik niechętnie poddaje się indywidualnym wymaganiom klienta, że uczony, który osiągnął pewien stopień doskonałości w swojej dziedzinie, najczęściej niechętnie przyjmuję oryginalne pomysły swojego ucznia, a to samo odnosi się do artystów, lekarzy, działaczy społecznych, inżynierów, a nawet ludzi zajmujących się tylko zabawą.

Jest w tem wszystkiem odrobina racji. Weźmy np. stosunek samochodu do powozu. Niewątpliwie przejażdżka powozem ma swoje dobre strony, których samochód dostarczyć nie potrafi. Sztuka fabrykowania powozów, sztuka powożenia, wszystko to są rzeczy piękne, których żałować wypada na wypadek, gdyby miały zaginąć. Niemniej gdyby dziś jakieś społeczeństwo chciało poprzestać na powozach, to pozostałoby w stosunku do innych w tyle nawet wtedy, gdyby sztukę powożenia doprowadzono do najwyższej doskonałości. Z tego punktu widzenia mogę zrozumieć ludzi, którzy chwalą przedwojenny Kraków, ale nigdy nie solidaryzowałbym się z życzeniem, żeby te czasy wróciły.

Można jeszcze zauważyć, że człowiek, który jest użytecznym pracownikiem dzięki nabytej rutynie, staje się nieraz zawalidrogą w zmienionych warunkach pracy. Przykładów takich dostarczył nam podostatkiem okres powojenny. Ale zapytajmy odrazu, czy społeczeństwo, któreby w myśl tej uwagi pozwoliło swym obywatelom powtarzać stale to, co robili ich ojcowie, mogłoby utrzymać się na właściwym poziomie. Oczywiście nie. A zatem, chociażby to nawet było bardzo przykre, musimy wyrobić w sobie zdolność przystosowania się do coraz to nowych form życia i pracy, co ważniejsze, musimy te formy sami wytwarzać. A jeśli tak jest, to nie możemy uważać za nieużytecznych myślicieli, a nawet marzycieli, żyjących w świecie wyobrażeń i przełamujących nieraz nieświadomie zapory, oddzielające ludzkość od przeznaczonej jej przyszłości. Ludzie ci przeżywają dzisiaj tragedję wewnętrzną, podobnie jak wszyscy przedstawiciele elity. Ale są sobie i sami winni. Bujność budzącego się młodego życia przygniata ich, zgiełk walki o byt silniejszy niż kiedykolwiek zagłusza ich i odrywa od właściwego zadania — ale jeśli tak jest, to sprawa sprowadza się

tylko do większej siły indywidualnej, do większej odporności, a do tego trzeba tylko oderwać się od dnia dzisiejszego i umieć myśleć kategorjami przyszłości.

c) Zwrócę uwagę jeszcze na jeden przykład, może najbardziej charakterystyczny. Praca twórcza w zakresie nauk ścisłych jest przez społeczeństwo z natury rzeczy ignorowana. Odnosi się to nietylko do warstw szerokich, ale nawet nieraz do ciasnego koła specjalistów. Pochodzi to stąd, że rozrost nauk jest tak wielki, że nieraz jest naprawdę trudno orjentować się poza swoją specjalnością. W szczególności trudno jest odróżnić prawdziwą linję nauki od aberracyj spowodowanych brakiem intuicji autorów. Stąd to zdarza się raz po raz, że pewne teorje, lekceważone przez współczesnych, oddają ogromne przysługi następnym pokoleniom. Zdarza się nawet, że doktryny najzupełniej fantastyczne, wkraczające raczej w dziedzinę marzenia, okazują się z czasem płodnemi w praktyce i decydują w ostatecznym rezultacie o charakterze życia codziennego. Mam na myśli w pierwszym rzędzie radjo. Radjo jest dziś przedmiotem codziennego użytku, każdy amator prowincjonalny rozumie je na wylot, a przynajmniej tak sądzi, nie wyczuwa w niem nic tajemniczego ani abstrakcyjnego — a jednak, żeby było radjo, potrzeba było marzeń Hertza i Maxwella, potrzeba było długoletniego wżywania się w fikcyjny eter i panujące w nim napięcia, długoletniego operowania zawiłemi symbolami matematycznemi i formułami, które w poczciwym odbiorcy radja wzbudziłyby dziś jeszcze przerażenie. Do tego, żeby móc mieć radjo w domu, wystarczy mieć dom i trochę pieniędzy, do tego, żeby ludzkość miała radjo, nie wystarczyło robić to, co jest użyteczne. Gdyby wszyscy ludzie robili tylko to, co jest użyteczne, to nie byłoby nietylko radja, ale ani samochodu, ani telefonu, ani światła elektrycznego, ani aeroplanu; krótko powiedziawszy, żylibyśmy do dziś dnia w stanie prymitywnym. Powiem więcej, radość życia, która jest dziś hasłem ogólnem i wydaje się czemś zrozumiałem samo przez się, nie jest w istocie swej zjawiskiem tak prostem, jak nam się wydaje. Żeby umieć ją przeżyć, trzeba mieć wysoką kulturę wewnętrzną, którą zawdzięczamy poetom i artystom. Trzeba było, żeby oni właśnie przez swoją zdolność do marzeń wyczarowali z życia radość tajemniczą, zamkniętą hermetycznie dla tych, którzy ograniczają się

do prostego życia. Przekonałem się na wielu przykładach, że zdobywcy życia nie umieją żyć. Podróże, toalety, miłość, luksus i t. d., wszystkie te rzeczy mogą być piekielnie nudne i tragiczne, podczas gdy zwykła przechadzka po zaułkach Kazimierza w jakiś wiosenny wieczór może być wybuchem radości życia graniczącym z ekstazą.

Do tego, żebyśmy mogli korzystać z życia w całem tego słowa znaczeniu, potrzebne jest, żeby pewna grupa ludzi znajdowała się poza życiem. Prócz zwykłego życia musi być i jest inne życie — życie w świecie marzeń i abstrakcyj. Prócz zdobywania życia musi być zdobywanie coraz to nowszych terenów w tym tajemniczym a tak bardzo nieuchwytnym świecie. Ta walka nie może być dokonywana w ciągu 8-godzinnego dnia pracy, musi się toczyć nieustannie, czyniąc z człowieka niejednokrotnie postać tragikomiczną, zaniedbaną, upośledzoną fizycznie, a często nawet umysłowo — ale przepojoną zapałem i entuzjazmem. O tem wiedziała elita umysłowa w Polsce przedwojennej, o tem nie wie lub wie za mało elita dzisiejsza.

9. Argument o nieaktualności kultury duchowej wyższej

Przechodzę do często powtarzanego, nawet przez niektórych przedstawicieli sfer oficjalnych, argumentu, że państwo młode jak nasze, które ma prawie wszystko do zrobienia w dziedzinie organizacji instytucyj podstawowych, począwszy od dróg, a skończywszy na kodyfikacji, nie może rozpraszać swojej energji twórczej na dziedziny nieuchwytne, na pracę, która choćby nawet przyniosła jakieś owoce, to w terminie trudno dającym się określić. Argument oparty jest na ścisłej obserwacji stanu faktycznego. Rzeczywiście, dopóki np. w Krakowie w centrum miasta płynie niezasklepiona, cuchnąca rzeczka, dopóki większość ulic nie jest brukowana, dopóki nie mamy dość mieszkań, kanalizacji, dróg zwykłych i żelaznych, dopóki nie mamy fabryk, floty handlowej i t. d. w dostatecznej ilości, dopóki nasze uzdrowiska przypominają naogół zapadłe dziury prowincjonalne. słusznem jest zająć się temi rzeczami przedewszystkiem. Ale nie trzeba zapominać, że ci właśnie ludzie, którzy do tego są powołani, nie będą napewne rozpraszać swoich sił na inną pracę. Jest przecie rzeczą nie-

możliwą, żeby filozof, przechadzając się po ulicy Łobzowskiej, przerwał nagle swoje rozważania i chwyciwszy łopatę zabrał się do zasklepienia młynówki lub do brukowania. Natomiast grozi coś o wiele gorszego — grozi to, że tenże filozof da się ostatecznie przekonać, że praca jego jest nieaktualna i w rezultacie nie będzie nic robił, conajwyżej będzie spełniał swoje czynności zawodowe, starając się rozmnożyć je tak bardzo, jak tylko się da, a pozatem będzie siedział w kawiarni, przekonując swoje otoczenie, że u nas sytuacja jest beznadziejna, że skazani jesteśmy na zdziczenie — no ale że na to niema rady. W rezultacie grozi nam to, że zamienimy się w społeczeństwo pozbawione wielkich ambicyj kulturalnych, a w dalszej konsekwencji w prowincję, orjentującą się z trudnością w tem, co dzieje się w Europie. Niema nic trudniejszego jak musieć uczyć się kultury zagranicą, jak zatracić swoje własne oblicze. Pracy tej podjęło się wiele młodych narodów, i widzimy, z jak wielką trudnością posuwają się naprzód. Widzimy to na historji naszej nauki, która po upadku w w. XVIII podnosiła się z niezwykłym mozołem w górę i dziś jeszcze w niektórych tylko działach brana jest serjo zagranicą. I dziś jeszcze mówi się o tem zwłaszcza w zakresie sztuki, że u nas niema wielkiej tradycji i że dlatego powinniśmy się poprostu uczyć od Francuzów. Jeśli zważy się to wszystko, ogarnąć nas musi trwoga przed przyszłością, na wypadek, gdybyśmy mieli zrezygnować choć na chwilę z najwyższego wysiłku pracy we wszystkich działach. Ta sprawa zawsze jest aktualna, tutaj żadne argumenty o potrzebach materjalnych nie mogą być brane w rachubę. Jeśli ktoś tylko jest związany zamiłowaniem i zdolnościami z wyżynami kultury duchowej, powinien uważać się za żołnierza na posterunku i to bez względu na to, czy posiada zdolności twórcze czy nie. Na to, żeby praca twórcza mogła rozwijać się prawidłowo, potrzebna jest wysoko postawiona krytyka, i to nietylko drukowana, ale mówiona, choćby w małych kołach i kółeczkach. To wszystko możliwe jest tylko pod warunkiem, że nie będziemy zniechęcali się nieaktualnością spraw duchowych, że nawet działając intensywnie na innych polach, będziemy reagowali silnie na to, co się dzieje w nauce, sztuce i literaturze, że nie będziemy powtarzali bezmyślnie sądów narzuconych nam przez krytykę oficjalną, ale będziemy

na każdym kroku starali się kontrolować ją i z nią współpracować.

10. Brak wielkiej tradycji

Argument o konieczności podtrzymania tradycji wyżyn kultury w obawie przed zamienieniem się w nędzną prowincję można odwrócić przeciw mnie i powiedzieć: Przecież my właściwie wielkiej tradycji nie posiadamy, mieliśmy kilka jednostek, których głos był głosem wołającego na puszczy. Zwartego frontu pracowników we wszystkich dziedzinach twórczości nie mieliśmy nigdy, kto wie, czy do tego jesteśmy zdolni. Tak czy siak jesteśmy prowincją, a z tego stanu możemy się wydobyć tylko przez mrówczą pracę od podstaw, nie pchając się na wyżyny. Do wielkiej twórczości potrzeba dużego poziomu średniego i pieniędzy. Tego właśnie nie mamy. Te rzeczy trzeba zdobyć przedewszystkiem.

W tej chwili dochodzę do najważniejszego punktu. Mam przekonanie, że odkryłem złośliwy wrzód, który rozkłada naszą elitę umysłową i który jest przyczyną tego stanu rzeczy, na jaki się skarżymy. Ten wrzód trzeba przeciąć radykalnie i powiedzieć otwarcie: Nieprawda! Do wielkiej twórczości nie brak nam ani środowiska, ani zdolności, ani tradycji, ani pieniędzy — brak nam tylko woli i ambicji, a to są rzeczy, które możemy mieć jutro, jeśli uświadomimy sobie dzisiaj, że tamte przeszkody są iluzoryczne.

Mam tutaj argument pozytywny, decydujący, którego zapewne państwo się nie spodziewają. Tradycja matematyczna nasza w XIX w. prawie nie istniała. W literaturze matematycznej światowej figurowało jedno tylko nazwisko Hoene-Wrońskiego, a i to na ostatniem niemal miejscu. Praca naukowa systematyczna rozpoczęła się w końcu wieku XIX i na początku XX-go, przyczem prace polskie drukowały się częścią zagranicą, częścią w biuletynie Akademji. Dzisiaj mamy 3 doskonale prosperujące pisma matematyczne, które rozchodzą się na cały świat i w których współpracują najwybitniejsi matematycy całego świata. Liczba potężnych indywidualności matematycznych w Polsce jest pokaźna, a kilka z pomiędzy nich to naprawdę sławy światowe. Jak się to stało, temu wartałoby poświęcić osobne studjum, dzisiaj tą sprawą zajmować się wię-

cej nie będę. Podaję prosty fakt, nie ulegający dyskusji. Fakt ten rozbija wszystkie poruszone wyżej wątpliwości bezapelacyjnie. Z drugiej strony w dziedzinie poezji, w dziedzinie idealizmu społecznego posiadamy wielkie tradycje. Niemniej dziedziny te są u nas raczej w upadku. Mamy kilku świetnych liryków, mamy parę indywidualności sięgających ponad przeciętną miarę, ale wziąwszy to wszystko razem nie mamy czem imponować światu.

Okazuje się, że podać prawa tych rzeczy jest niezmiernie trudno, że nic nigdy w tych sprawach przewidzieć nie można. Jeśli tedy mamy mówić niezupełnie ściśle, to bądźmy raczej optymistami. Powiedzmy sobie, że wszystko zrobić potrafimy, co tylko zechcemy, starajmy się rozdmuchać naszą ambicję do czerwoności, starajmy się wzbudzić w sobie wolę do wielkośc nietylko indywidualnej ale zbiorowej. Wiele cech wskazuje na to, że przyszłość należy do nas. Jesteśmy narodem zdrowym, umiejącym pracować i niewątpliwie bardzo uzdolnionym. Brak nam tylko charakteru, brak nam sprawiedliwości w ocenianiu siebie i drugich, a przedewszystkiem brak nam wiary we własne siły. Mam głębokie przekonanie, że gdyby tę wiarę udało się u nas zaszczepić, potrafilibyśmy wznieść się na wyżyny, o których dziś nie śmiemy nawet marzyć. Jestem pewny, że pod wieloma względami jest u nas tak jak z tym chłopem polskim na wojnie, co to widząc, że nie przelewki, zaczął prać na prawo i lewo, aż wkrótce spostrzegł, że nieprzyjaciół niema, a on sam jest zdrowy i cały.

Kiedy myślę o tych rzeczach, to dolega mi najbardziej to, co dzieje się z naszem malarstwem. Sztuka ta rozwija się u nas bezsprzecznie na wielką skalę. Jeśli chodzi o Kraków, to kolonja artystyczna jest tak silna, że nadaje naszej kawiarni poniekąd specyficzny charakter. Jeśli chodzi o indywidualności malarskie, to mamy ich wiele. Wszystko to niemal ludzie zdolni, inteligentni i ambitni, a jednak rezultat nie jest dobry. Sztuka nasza jako całość nie wnosi nic specyficznie nowego do sztuki europejskiej i nie ma swego wyrazu poza bardzo nielicznemi wyjątkami. Sprawą tą chciałbym zająć się szczegółowo w następnych wykładach. Tutaj chciałbym tylko powtórzyć to, co już powiedziałem na innem miejscu — brak nam myśli artystycznej, brak nam teorji, nie jako schematu krępującego twórczość, ale

jako tarana rozbijającego nagromadzone uprzedzenia i przesądy, brak nam nadto wysiłku zbiorowego, skierowanego konsekwentnie do jednego celu, a to wskutek braku ambicji zbiorowej. Mam wiarę, że ta dziedzina twórczości, która rozwinie się u nas najrychlej i najmocniej, to właśnie sztuka, byle tylko udało się przełamać narzucone jej hamulce.

11. Brak ścisłych kryterjów

Jednym z hamulców najzłośliwszych jest brak jasnych kryterjów na ostatecznych wyżynach kultury. Ścisłe kryterja możliwe są tylko tam, gdzie pracuje się według zgóry przyjętych zasad, według pojęć ustalonych i wypróbowanych. Ale właśnie o to chodzi, że praca na tych warunkach jest jakgdyby upartem posługiwaniem się powozem w epoce, kiedy są samochody. Kiedy dawne wieki próbowały posuwać się naprzód, trzymając się określonego systemu zasad, to cechą nowożytności, a osobliwie epoki powojennej jest systematyczna rewizja zasad we wszystkich dziedzinach. Metoda ta kryje wielkie niebezpieczeństwa, jakie wyszły na jaw w epoce futuryzmu. Ruch ten powitałem z entuzjazmem, wierząc, że stanie on się początkiem renesansu sztuki i literatury naszej. Rzeczywiście olbrzymie zainteresowanie się temi sprawami nietylko w sferach artystów, ale w całem mieście, zdawało się wskazywać, że zajdzie coś nadzwyczajnego. Nie trzeba zapominać, że był to okres obfitujący w przełomy polityczne i ekonomiczne, niemniej sprawy artystyczne zapełniały szpalty dzienników codziennych w rozmiarach, o jakich się zagranicznym artystom nawet nie śniło. Było wiele oburzenia, ale i sympatji, a przedewszystkiem zainteresowania. Z literaturą było gorzej, skutkiem niewątpliwego warcholstwa kilku młodych poetów. Ale nie o tych rzeczach właściwie chciałem mówić. Chodzi mi o to, że wystawy formistów zmuszały ludzi do zastanawiania się samodzielnego nad sztuką i rozstrzygania pytania, czy doznają jakichś wrażeń czy nie, czy są oburzeni czy zainteresowani, czy odczuwają obecność jakiejś tajemnicy, czy raczej mają bezwzględną pewność, że to jest bzdura. Natomiast wszystkie kryterja t. zw. objektywne, wszelkie schematyzowanie sztuki, wszelkie sprowadzanie jej do poziomu wypracowania szkolnego było wyklu-

czone. Zwykłe wystawy naturalistyczne wyrabiają w nas te właśnie złe nałogi. Mówimy, że obraz jest dostateczny, dobry lub bardzo dobry, mówimy, że artysta umie więcej lub mniej, ale nie zastanawiamy się nad tem, na co to wszystko. Nie przeczę, że w pewnych granicach można skonstruować objektywne kryterja sztuki. Mam np. przekonanie, że można z całą ścisłością odróżnić celowe odchylenia od schematu naturalistycznego, od zwykłej nieudolności, ale równocześnie wierzę, jak to już miałem nieraz sposobność zaznaczyć, że wszystko to jest tylko ogólna podstawa orjentacyjna. Decydującem musi być przeżycie artystyczne, jego intensywność i jego trwałość.

Jeśli ktoś patrząc na dzieło sztuki, pozostaje zimnym, to jest właściwie wszystko jedno, co o niem powie, bo napewno nie zetknął się ze sztuką bez względu na to, czy ona w tem dziele jest w większym lub mniejszym stopniu. Jeśli ktoś w stosunku do ogółu dzieł jest zimnym, jeśli nigdy nie przeżył entuzjazmu, to napewno nie zna się na sztuce, choćby umiał na pamięć życiorysy wszystkich malarzy i wszystkie muzea świata. Ale entuzjazm jest czemś spontanicznem i nieuchwytnem, czemś niezależnem od nas, przychodzi nieraz tam, gdzie z różnych względów wcalebyśmy go nie pragnęli, a tam, gdzie jesteśmy najlepiej uprzedzeni, na złość nie przychodzi. W praktyce prowadzi to do kolosalnego bezprawia, a nieraz do kolosalnego zwątpienia. Powiecie państwo, że dzisiaj nikt takich rzeczy serjo nie bierze, bo przecież jest jasne, że każdy chwali tych, na których mu zależy, a gani wszystkich innych. Jest to prawda i to prawda tak związana z naturą ludzką, że trudno ją zmienić. Ale ja nie myślę o oficjalnej krytyce, o tem, co się mówi publicznie. Wystarczy, żeby umieć powiedzieć prawdę sobie samemu lub najbliższemu przyjacielowi, a w wystąpieniach publicznych nie kłamać. Artyści obrażają się, jeśli ich pomija się milczeniem. To napewne nie jest słuszne. Wystarczy, jeśli krytyk nie miesza nas z błotem, albo nawet, jeśli nie pisze o nas lekceważąco, bo to drugie uważane jest za o wiele gorsze.

Chodzi mi o to, że to bezprawie w stosunku do sztuki, jakie płynie z kapryśności entuzjazmu, jest zjawiskiem naturalnem, które nietylko nikogo razić nie powinno, ale stanowi właściwy urok sztuki. Sztuka to nie przemysł ani handel, gdzie

wszystko można ocenić w cyfrach, artysta to nie rzemieślnik, który chce być wynagradzany za swoją pracę. Prawdziwy artysta zniesie nawet obojętność społeczeństwa, jeśli wie, że ma do czynienia z ludźmi naprawdę kulturalnymi. Wtedy widzi w nich teoretycznych wrogów, jak to dobrze określił S. I. Witkiewicz, z którymi warto walczyć i zawsze ma się szanse zwycięstwa. Deprymująco działa tylko zła wola i argumenty o nieużyteczności lub nieaktualności, które podałem poprzednio. Każdy artysta musi zresztą sam tworzyć środowisko artystyczne, musi szukać przyjaciół, którzyby go rozumieli, t. zn. którzyby do jego dzieł podchodzili bez uprzedzeń, ale powinien być na to przygotowany, że jeśli przyjaciołom tym nie da entuzjazmu, nie da tego, co jest istotnem przeżyciem artystycznem, to oni mimo całego braku uprzedzeń nie powinni i nie będą oceniali go dodatnio. Analogiczne zjawiska występują w literaturze, w najjaskrawszej formie zarysowują się w muzyce. Ale różnica pomiędzy temi dziedzinami nie jest tak wielka, jak myśli się naogół. Podział nietzscheański na sztukę apollińską i dionizejską nie da się ściśle przeprowadzić, bo tam, gdzie niema dionizejskiego szału, gdzie niema upojenia wyrzucającego nas z prawidłowego przebiegu życia, tam niema sztuki.

Dla uniknięcia nieporozumień zaznaczę, że w epoce formizmu, kiedy entuzjazm dla sztuki był bezprzykładnie wielki, teoretyzowałem na temat formy, nie poruszając zagadnień czysto artystycznych, co naraziło mnie nawet na zarzuty ze strony innych teoretyków. Chodziło mi wówczas o to, żeby przezwyciężyć nałóg mętnego pisania o sztuce i ujęcia w ścisłe formuły tego, co ująć się da. Ale zdawałem sobie zawsze sprawę, że to nie wystarczy, że w sztuce musi pozostać pewien element irracjonalny, a mianowicie ten właśnie, który nazywa się entuzjazmem. Dzisiaj, kiedy ten entuzjazm zaginął, kiedy przeważa zimna ocena i protekcjonalne klepanie artystów po ramieniu, nie sądzę, że jest czas na teoretyzowanie. W ostatnich miesiącach pojawiła się nadzwyczaj ciekawa książka Irzykowskiego p. t. *Walka o treść*. Kiedy się ją czyta, dziwić nam się przychodzi, że książka pomyślana jako polemika, wynikła z aktualności, przestała być aktualną, zanim została ukończona. Pocóż bronić treści, jeśli nikt już nie atakuje. Przecież formiści

leżą na obie łopatki, treść triumfuje na całej linji, i jeśli coś budzi entuzjazm, to właśnie ona. Ale entuzjazm ten nic przecie wspólnego nie ma z wielką twórczością w sztuce. Jeśli chodzi o twórczość w nauce, to i tam kryterja nie są tak jasne, jakby się wydawało napozór. Zapewne, jeśli ktoś dojdzie do tego, że jego prace zostaną przeczytane przez autorytety zagraniczne, to o ile naprawdę czegoś dokonał, może liczyć na uznanie, ale osiągnąć ten cel nie jest łatwo. Znaleźć czytelników dla prac nie obracających się w zakresie pojęć gotowych, dla prac wymagających osobliwego wysiłku oderwania się od zwykłego toku myślenia, zawsze będzie trudno i dlatego nietylko artysta, ale i uczony będzie zawsze narażony na obojętność nietylko szerokich warstw społeczeństwa, ale nawet jego elity. To samo jest w życiu. Uznanie indywidualne, autorytet w sprawach wyżyn duchowych zdobywają nieraz jednostki zupełnie mierne, jużto dzięki tupetowi, jużto dzięki dużej ostrożności i taktowi, natomiast wielu ludzi głęboko myślących i czujących nie liczy się wcale z tego powodu, że albo są zbyt gwałtowni, czyli mają t. zw. tupet *à rebours*, albo zbyt nieśmiali i skromni. Takich cichych, skromnych, a bardzo wartościowych ludzi jest u nas w Krakowie bardzo wielu. Nieraz zdarzyło mi się odwiedzić jakieś skromne mieszkanko, o którem nikt nie wie, gdzie przy biurku siedzi prawdziwy myśliciel, korespondujący z najwybitniejszymi filozofami europejskimi, lub artysta przesubtelniony, poruszający się na wyżynach sztuki, o których nie śniło się na t. zw. rynku artystycznym. Pomijam sprawę twórczości tych ludzi, może ona jeszcze nie dojrzała do wystąpienia na światło dzienne, może zresztą skazana jest na zagładę przez ciężkie warunki życia — ale chodzi mi o tych ludzi jako takich, o to, że ich samo istnienie dowodzi olbrzymiego poziomu naszej kultury duchowej, niezmiernego zasobu wyżyn, które skutkiem otaczającej je mgły są dla właściwego środowiska stracone.

Myśląc o tem wszystkiem, przychodzę do przekonania, że na te rzeczy niema żadnej rady z zewnątrz. Próby skupiania ludzi, organizowania i t. d. — a żyjemy przecież w epoce organizacji — dobre są na poziomie średnim. Wyżyny nie nadają się do organizacji, choćby dlatego, że te organizacje znowu będą dla nich niesprawiedliwe skutkiem płynności kryterjów.

Należy je pozostawić sobie. Należy tylko zwalczać fałszywą ideologję popularnego sposobu myślenia, należy tylko wołać głośno, że sukces nie jest identyczny z wielkością, że wielkość może być przez długie lata zapoznana, a czasem nawet przez wieki. Należy w ten sposób bronić je przed zwątpieniem i depresją. To jest przecież cel główny mojego odczytu.

12. Potrzeba bohaterstwa

Do tego, żeby zrezygnować z korzyści materjalnych dla idei, wystarczy siła charakteru. Do tego, żeby zrezygnować także z sukcesu moralnego, trzeba bohaterstwa. Zatem, jeśli prawdą jest to, co powiedziałem wyżej, do tego, żeby w danem społeczeństwie kultura wzniosła się na poziom szczytowy, potrzeba bohaterstwa.

Nie jest to frazes, wystarczy przeczytać życiorys jakiegokolwiek wielkiego myśliciela lub artysty, żeby się o tem przekonać. Może są wyjątki, mam wrażenie, że może Tycjan, może także Goethe byli takiemi wyjątkami, ale naogół spotykamy się wszędzie z tragedją, z walką zażartą, z orgją zwątpień i rozpaczy. Jeśli zapoznamy się z życiem jednego z największych genjuszów nauki i to tych, którym udało się odnieść za życia decydujące zwycięstwo — z życiem, które mieliśmy sposobność poznać dzięki wybornemu szkicowi profesora Natansona, przekonamy się, że było ono przepojone goryczą, przezwyciężaną tylko dzięki zupełnemu oddaniu się wielkiej idei. Mam na myśli Izaaka Newtona. Ale cóż mówić o Rousseau'ie, o Mickiewiczu, Słowackim, Norwidzie, o Rembrandcie, Leonardzie Da Vinci, Cézanne'ie, cóż mówić o Beethovenie, Koperniku, a przedewszystkiem o Mendlu, który miał, być dopiero odkryty w wiele lat po swojej śmierci? Co mówić o wielkim matematyku Cantorze, który w chwili, gdy jego teorja zdobyła świat, był już oddawna w szpitalu dla obłąkanych? Tym polskim artystom i poetom, których się ignoruje przy urządzaniu naszych wystaw zagranicą i o których oficjalni krytycy nic nie chcą wiedzieć, opowiem na pociechę fakt następujący: Posiadam w bibljotece tłumaczenie *Historji powszechnej literatury* Jana Scherra, dokonane przez Michała Gliszczyńskiego, Warszawa 1865. Oryginał wydany był prawdopodobnie w r. 1851,

bo taka jest data przedmowy autora. Literaturze polskiej poświęconych jest 9 stron. Z tego Mickiewicz zajmuje 3 strony, Garczyński (postawiony na równi z Krasińskim) $^1/_2$ strony, natomiast o Słowackim znajduje się tylko następująca wzmianka: „Do ukraińskiej szkoły należą także Tomasz Padura, Juljusz Słowacki i Michał Grabowski, wszyscy trzej wyborni lirycy". Warto dodać, że w rozdziale o literaturze polskiej znajdują się dość liczne przypisy tłumacza. Ustęp powyższy podany jest bez komentarza.

Przykład ten mówi sam za siebie. Nawiasem wspomnę, że historycy literatury mieliby wdzięczne zadanie, gdyby takie zjawiska opracowali systematycznie.

Ale powie mi ktoś, że przecież nie o genjuszów tu chodzi. Kultura zawdzięcza im niewątpliwie bardzo wiele, ale ci, którzy decydują, to jest jeśli nie t. zw. „obere zehntausend", to w każdym razie grupa i to dość liczna. Otóż twierdzę, że właśnie o bohaterstwo tej grupy chodzi, właśnie o to, że ta grupa musi dzielić z twórcami los walki ciężkiej i bezinteresownej, musi narażać się na niechęć, na szykany, a nawet na szyderstwo. Jeśli ktoś przez oddanie się pracy twórczej zdobył duże doświadczenie i dużą pewność siebie, to łatwiej mu walczyć i znosić przeciwności. Jeśli ktoś umie tylko przeżywać i odczuwać, to stanowisko jego jest znaczniej trudniejsze do utrzymania. Ale w jednym i drugim wypadku jest jedno wielkie źródło siły, które powinno być decydującem, t. j. rozkosz przebywania na szczytach. Taką rozkosz nie każdy może zrozumieć. Ja np. nie mogę jej już dziś zrozumieć w interpretacji dosłownej, nie mogę więc dziwić się, że ktoś nie rozumie jej w sensie tutaj użytym.

Jest jeszcze jedna rzecz, mianowicie rozkosz spowodowana samem poczuciem bohaterstwa. Tego wszystkiego było u nas zawsze dosyć, jeśli chodziło o bitwę, o poświęcenie dla ojczyzny; z chwilą, kiedy wchodzi w grę kultura, jest tego zawsze za mało. To jest punkt najważniejszy. Powinniśmy koniecznie zrozumieć, że nie jesteśmy gorsi od zagranicy, że czasy, kiedy wolno nam było czekać na to, co zrobią na zachodzie, minęły bezpowrotnie. Nie pora rezygnować nam z prawa poświęcania życia wielkim ideałom ludzkości na rzecz zagranicy, bo wtedy staniemy się naprawdę narodem drugiej a może

i trzeciej klasy. Powoływać się na tego lub innego rodaka, chwalić się każdym drobnym sukcesem zagranicą, jak to czynimy obecnie, to za mało! Trzeba dążyć do tego, żebyśmy przestali być w stosunku do zagranicy grzecznemi dziećmi, które nagradza się lub karze. A tego nie można dokonać bez wielkiego wysiłku — powiedzmy otwarcie, bez bohaterstwa.

Baczmy na to, żeby złamać tradycję ostatniego pokolenia, które pracując w młodości zrażało się szybko, przerzucając się przedwcześnie na zajęcia zawodowe lub czysto organizacyjne. Pamiętajmy, że człowiek, który raz wdarł się na wyżyny, powinien na nich pozostać do końca za każdą cenę, choćby był w ostatecznej nędzy, a co trudniejsza, w największym luksusie i bezpieczeństwie. Tylko wtedy będziemy mogli otwarcie spojrzeć w oczy zagranicy.

13. Przyszłość Krakowa

Na zakończenie zacytuję państwu pewne powiedzenie, które powinno nas wszystkich ucieszyć i podnieść na duchu. Jeden z wybitnych naszych pisarzy, który po dłuższej nieobecności przyjechał na parę dni do Krakowa, przepowiedział nam, że z czasem znowu będziemy duchową stolicą Polski. Jako przyczynę wskazał to, że jest u nas ogromny procent ludzi zajmujących się sprawami abstrakcyjnemi, przygniatająco wielki w stosunku do innych miast polskich, a może i zagranicznych. Rzeczywiście, kiedy wejdzie się do kawiarni, spotyka się na każdym kroku ugrupowania ludzi inteligentnych, którym ani na myśl nie przychodzi załatwiać jakieś interesy, albo zajmować się plotkami. Wszyscy oni mówią o sztuce, o literaturze, o zagadnieniach kultury, o roli Polski i Krakowa w świecie, wreszcie o sprawach naukowych i społecznych. Polityka odgrywa tu stosunkowo małą rolę, karjera, chęć wybicia się w walce o byt prawie żadnej. Łatwo to stwierdzić, obserwując te właśnie ugrupowania kawiarniane, gdzie malarz siedzi z prawnikiem, dziennikarz z matematykiem, lekarz z poetą i t. d.

Wpływają na to warunki zewnętrzne, brak wielkiego tempa życia, brak handlu, przemysłu i płynący stąd brak pieniędzy. Ale wpływa może także klimat, mało podniecający, łagodny, usposabiający do beztroski i marzeń. Łączy się z tem stanow-

czo większa wrażliwość na imponderabilia kulturalne niż gdzieindziej, a nadto działa tu niewątpliwie wielka tradycja przedwojenna, duży krytycyzm, duża wyrozumiałość i brak niepotrzebnej gniewliwości i zbytecznego temperamentu w dyskusji. Ludzi o typie sangwinicznym jest u nas tak mało, że można ich na palcach wyliczyć. Ludzi, którzy umieliby naprawdę nienawidzieć, niema może wcale. Coprawda, niewielu jest też może, którzy umieją naprawdę kochać. Zapewne nie brak nam pewnej prowincjonalnej małostkowości, nie brak nam typów zawistnych i złośliwych, ale te rzeczy nie działają na daleką metę i szybko rozpływają się w ogólnym miłym nastroju. W przeciwieństwie do Lwowian Krakowianie chętnie narzekają na Kraków i chętnie przepowiadają mu upadek. Mam wrażenie jednak, że jest w tem coś z gestu rozżalonego dziecka, które mówi, że chce, żeby mamusia umarła. W gruncie rzeczy cieszymy się wszyscy każdą nową ulicą, każdym nowym domem, a przedewszystkiem każdym choćby drobnym sukcesem w dziedzinie kultury duchowej. Jeśli środowisko nasze jest kulturalnie słabsze niż przed wojną, to wpłynął na to prócz omówionych wyżej ogólno-polskich czynników przedewszystkiem exodus wielu wybitnych sił do Warszawy — ale nie zapominajmy, że na ich miejsce przychodzą nowe siły, które tylko narazie się nie ujawniają. Nie zapominajmy wreszcie, że ciągłe powtarzanie, że nic nie da się zrobić, działa na nas wszystkich deprymująco. W rzeczywistości jest wszystko do zrobienia i to wszystko zależy tylko od nas.

Zakończę parafrazą słów wielkiego Krakowianina: „Trzeba tylko, żebyśmy chcieli chcieć!“

JAN SOŁTAN

DRUGI AKT REWOLUCJI ROSYJSKIEJ: SOCJALIZACJA WSI

I

Świat wpatrzony jest w Rosję. Od dwunastu lat zgórą zagadnienie rosyjskie nie schodzi ze szpalt dzienników, nie przestaje być przedmiotem zainteresowania narodów i rządów. Nic w tem dziwnego. Państwo Sowieckie — to potężne laboratorjum, gdzie odbywa się eksperyment społeczno-polityczny o niewidzianym w dziejach zakroju; to łuk, z którego padają zatrute strzały propagandy wywrotowej; to złotodajne pole, pełne niewyzyskanych skarbów, ku któremu pożądliwie wyciągają się ręce międzynarodowego kapitału.

Zapatrzenie w Rosję jest jednak trochę jednostronne. Właściwie śledzimy głównie posunięcia władców Kremla, usiłujemy odgadnąć ich zamiary, przeniknąć do głębi ich politykę. Zapominamy czasem, że rząd sowiecki, choć postawił sobie za zadanie całkowitą przebudowę moralną i materjalną tego nieszczęśliwego kraju, nie wyczerpuje rzeczywistości rosyjskiej. Życie, wtłoczone w ramy martwych formułek, skurczyło się, lecz nie zamarło. Znalazło sobie inne łożyska, które coprawda kryją się przed oczami najbardziej nawet przenikliwych obserwatorów.

Teroryzując i niszcząc, bolszewizm wyzwolił jednocześnie, najczęściej wbrew swej ideologji, wiele sił żywotnych. Mało komu wiadomo, że od lat dziewięciu spadł w bardzo znacznej proporcji procent analfabetów, zarówno na wsi, jak i w miastach; że system sowietów lokalnych przygotował w wielu gminach grunt pod samorząd gospodarczy; że liczba gospodarstw włościańskich w latach 1918—1928 wzrosła z 16 na 25—26 miljonów, co, pomijając sposób, w jaki chłopi doszli do władzy, jest zjawiskiem socjalnie dodatniem; że zupełna ruina przedwojennego przemysłu zmusiła Sowiety do zrealizowania w tej dziedzinie poważnych inwestycyj opartych na najnowszych zdobyczach techniki. Nie mówimy tego

oczywiście, aby chwalić władzę sowiecką, mającą na swem sumieniu niezliczone zbrodnie i przeciwko której buntuje się sumienie ludzkie. Chcemy jedynie wykazać, że linja rozwojowa polityki sowieckiej nie odpowiada w zupełności linji rozwoju samej Rosji.

Ogrom zniszczenia, jakiego dokonali bolszewicy, zawierał w sobie również elementy na zniszczenie zasługujące. Korzyści i straty, wyrządzone przez bolszewizm, nigdy się nie zrównoważają. Ale w pierwotnej swej fazie miał on oparcie w tych właśnie siłach, które wyzwolił. Obecnie znalazł się w tem tragicznem położeniu, że siłom tym musi się przeciwstawić, to znaczy podcinać gałąź, na której siedzi. Dlatego nazywamy fazę, w którą od roku zgórą wszedł bolszewizm, drugim etapem rewolucji rosyjskiej. Mamy tu na myśli forsowną socjalizację wsi, będącą niezaprzeczenie aktem o charakterze rewolucyjnym, ale jakże różnym od tego, który w październiku wstrząsnął posadami Rosji. Był to wybuch o nieobliczalnych skutkach, ale wybuch o charakterze żywiołowym. Przeszedł wówczas nad Rosją, jak huragan, potężny dwugłos: „dość wojny" i „chcemy ziemi". Lenin i Trocki dali dziesięciu miljonom żołnierzy pokój, stu miljonom chłopów ziemię, a ściślej mówiąc, zalegalizowali już niemal dokonany rozkład armji i w połowie zakończoną grabież latyfundjów. Na tej podstawie zaspokojonych apetytów mogły Sowiety przystąpić do budowy państwa komunistycznego, według recepty Marxa. Chłop, nakarmiony ziemią, stał się konserwatystą sowieckim. Przeciwstawił się akcji zbrojnej Kołczaków i Denikinów w przekonaniu, że biali chcą mu odebrać ten najcenniejszy z darów. Życzliwa neutralność chłopa pozwoliła dyktaturze sowieckiej utrzymać się przy władzy, lecz było to poparcie czysto negatywne. Inercja masy chłopskiej niesłychanie utrudniła pozytywne poczynania bolszewików, stała się wprost zaporą na drodze do konsekwentnego wprowadzenia w życie doktryny komunistycznej.

Zaczął się drugi akt dramatu rosyjskiego, rewolucja na zimno, niemniej tragiczna i bolesna, niż pierwsza. Aby być sprawiedliwym, należy zauważyć, że, jak to postaramy się wykazać poniżej, bolszewicy, uwikłani we własne sieci, nie mieli innej drogi do wyboru, jak prowadzić rewolucję dalej lub cofać się, i to w szybkiem tempie, oddając znienawidzonemu kapitalizmowi pozycję za pozycją. Albowiem raz popełniony gwałt na prawach boskich i ludzkich, jeżeli nie został naprawiony, wymaga nowych gwałtów.

W każdym razie nowy proces rewolucyjny w Rosji, proces sztuczny, bo przeciwny naturze i prawom naturalnym, a jednocześnie będący w logice wypadków, zasługuje na baczniejszą uwagę, szczególnie ze strony nas, Polaków. Od wyniku jego zależy, czy rozpocznie się odwrót bolszewizmu na całym froncie, czy też i tym razem wyjdzie on zwycięsko z opresji. Niebezpieczeństwo, które grozi obecnie Federacji Sowieckiej, jest stokroć większe od tych, któremi była osaczona w pierwszych latach po przełomie. Wówczas Sowiety stanąć musiały do walki z wrogiem widzialnym — kontrrewolucją wewnętrzną i zewnętrzną. Dziś walczą one z wrogiem niewidzialnym, wikłają się w sprzecznościach, obracają się w błędnem kole stworzonego przez nie same systemu. Nie można już przecinać zagadnień, trzeba je rozwiązywać. A rozwiązać je tem trudniej, im więcej przecinano spraw w przeszłości. Nigdy życie nie udowodniło nam tak jasno prawdy: wszelka przemoc mści się.

*

Pisać o Rosji źródłowo i rzeczowo nie jest obecnie rzeczą łatwą. Sowiecki system rządzenia słusznie wzbudza odrazę w społeczeństwach cywilizowanych; uczucie to z konieczności wpływa na ocenę stanu faktycznego. U innych czerwona dyktatura wywołuje zachwyt, który jest również źródłem wypaczeń sądu o tem, co się dzieje u naszego wschodniego sąsiada. Pisarz rumuński, Panait Istrati, był fanatycznym zwolennikiem komunizmu; po ostatniej swej podróży do kraju Sowietów zmienił zdanie gruntownie i uznał Rosję za „więzienie proletarjatu". Zwrot w opinji niewątpliwie szczery. Lecz uczuciowe nastawienie autora stało się powodem całego szeregu błędów w ocenie zjawisk i ludzi. Aby poznać prawdę, trzeba zdobyć się na minimum objektywności, która zawodzi z reguły obserwatorów cudzoziemskich na progu państwa „dyktatury proletarjatu".

Druga trudność wynika z rozległości terytorjum Związku Sowieckiego. Gdy mówimy o nim, mamy zazwyczaj na myśli państwo, a jest to przecież kontynent. Centralizacja administracyjna Rosji, jednolitość doktryny, którą kierują się jej sfery rządzące, wytwarza mylne wrażenie, że od Rygi do Kamczatki i od Archangelska do Tyflisu panuje jednolity system rządzenia. Tymczasem rozbrat pomiędzy polityką papierową, uchwalaną na kongresach partyjnych, a praktycznem jej zastosowaniem nigdzie nie przybrał równie wiel-

kich rozmiarów, jak w Rosji dzisiejszej. Już za caratu potężna biurokracja lokalna w znacznym stopniu osłabiała teoretyczną wszechwładzę administracji centralnej. Obecnie przeciwstawność ta jeszcze bardziej się uwydatniła. Bywa, że doktrynerstwo Sowietów zostaje skorygowane przez bezpośredni kontakt z życiem; bywa i odwrotnie: gorliwość wykonawców unicestwia nieraz oportunistyczne, podyktowane koniecznościami życiowemi, zarządzenia Moskwy. Wiele zależy od przypadku, od miejscowych prądów narodowych, od sytuacji gospodarczej. W każdym razie nie należy się oddawać złudzeniu, że postępującej centralizacji rządów odpowiada ogólne zniwelowanie lokalnych warunków bytowania na terytorjum Związku Sowieckiego.

Trzecią trudnością wreszcie jest brak źródłowych danych o sytuacji w Z. S. R. R. Prasa, z której czerpiemy zazwyczaj „gros“ informacyj o poszczególnych krajach, jest w Rosji wyłącznie narzędziem rządu i nie istnieje jako wyrazicielka opinji społecznej. Dostarczają nam coprawda informacyj, i to w olbrzymiej ilości, statystyki sowieckie. Odznaczają się one jednak taką precyzją, że trzy czwarte odrzucić można, nie zawsze jako niezgodne z rzeczywistością, ale jako stanowiące zupełnie zbyteczny balast, zaciemniający obraz całości. A wiadomo przecież, że dokładność i obfitość danych statystycznych jest często w odwrotnym stosunku do ich ścisłości. Możemy się dowiedzieć np. licznych szczegółów, dotyczących personelu administracyjnego więzień sowieckich, daremnie jednak szukamy informacji o liczbie skazańców politycznych i osób przetrzymywanych przez G. P. U. tytułem aresztu prewencyjnego. O bezpośredniem zbieraniu danych statystycznych nie może być mowy; cudzoziemcy mogą conajwyżej odbierać i formułować wrażenia ogólnikowe, oparte na spostrzeżeniach i rozmowach, których zakres ścieśniony jest do „minimum“ przez niesłychanie rozgałęziony system szpiegowski. Materjał, zebrany w ten sposób, nie może oczywiście pretendować do ścisłości naukowej.

Najmniej niedogodnem wyjściem w tych warunkach jest opieranie się na statystykach urzędowych, nieprzeznaczonych na eksport i na propagandę wewnętrzną. Wskazane jest zatem korzystanie raczej z czasopism naukowych, niż z prasy politycznej codziennej. Pozatem bywa często, że dane cyfrowe świadczą przeciwko Sowietom, nieraz wbrew intencjom tych, którzy je podają: ogólnie biorąc, można je wówczas przyjąć za ścisłe. Można też sprawdzać dokła-

dność poszczególnych danych, porównywując je z innemi, otrzymanemi zapomocą innych metod obliczania i dostarczonych przez inne urzędy sowieckie.

Istnieje również w wielu dziennikach dział wolnej krytyki, obracającej się oczywiście w granicach ortodoksji sowieckiej. Są to listy czytelników, fabrykowane w znacznej ilości przy biurkach redakcyjnych, ale zawierające, bez względu na to, skąd pochodzą, wiele cennych wskazówek orjentacyjnych. Jest to pewnego rodzaju surogat wolności prasy, na który rząd sowiecki przystał w zrozumieniu, że usuwając wszelką możliwość krytyki, uczyniłby swą prasę wprost nieczytelną i oderwałby ją zupełnie od życia, przyczyniając się do powstania prasy nielegalnej, ulotek i t. d.

Istnieje jeszcze jeden sposób, może najskuteczniejszy, wyławiania ziaren prawdy z plewy, którą obsypuje obficie swych czytelników prasa urzędowa. Nie znajdując tej prawdy, wypowiedzianej bezpośrednio w artykułach wstępnych o charakterze wybitnie tendencyjnym, możemy jej się doszukać drogą pośrednią, dedukcyjną, w rubrykach sądowych i innych. Np. sprawozdania z niedawnego procesu „kontrrewolucjonistów" ukraińskich zawierały sporo materjału informacyjnego o sytuacji na Ukrainie. Ponadto przyznać należy, że zakres dozwolonej krytyki administracji lokalnej oraz urzędów jest, jak na stosunki sowieckie, dość rozległy, o ile nie kwestjonuje ogólnego systemu oraz doktryny komunistycznej.

Ale to wszystko wiadomości częściowe, fragmentaryczne. Nie posiadamy danych z pierwszej ręki i dlatego zdani jesteśmy w dużym stopniu na intuicję, na znajomość stosunków i umysłowości rosyjskiej. Ocenę całokształtu sytuacji pozostawimy z konieczności przyszłym historykom, którzy jedni zdolni będą opanować ten potok obłudy i kłamstwa, który zalewa Rosję współczesną. Ograniczyć się tymczasem musimy do bacznego obserwowania przynajmniej głównego kierunku i ogólnej dynamiki wypadków na terenie Związku Sowieckiego.

II

Aby wyrobić sobie sąd o eksperymencie kolektywizacyjnym, nie od rzeczy będzie rzucić okiem na dzieje wsi rosyjskiej w pierwszem dziesięcioleciu porewolucyjnem.

Bolszewizm, który jest „par excellence" produktem industrjalizacji, nie wytworzył własnej doktryny agrarnej. Nie odziedziczył

jej również po socjal-demokracji. Teoretycy komunizmu skierowali wszystkie swe wysiłki ku sprecyzowaniu programu socjalizacji przemysłu, podczas gdy twórcy i leaderzy partji szukali sposobów obalenia istniejącego porządku i dorwania się do władzy. Ewangelja marxowska nie zawierała żadnych konkretnych wskazówek, jaką rolę wyznaczyć wsi w przyszłem państwie komunistycznem. Praktyczne zagadnienie nie nasuwało zbytnich trudności na najbliższą przyszłość: wszyscy byli zgodni na punkcie konieczności natychmiastowego zniszczenia większej własności rolnej, oczywiście rękami zainteresowanych chłopów. Otóż jednym z pierwszych aktów władzy sowieckiej był dekret, nakazujący podział natychmiastowy pomiędzy ubogich chłopów latyfundjów, gruntów państwowych i kościelnych. Był to akt czysto negatywny, zgodny z ideologją bolszewicką, ale nie z klasyczną doktryną komunizmu, który indywidualnego władania ziemią nie uznaje. Wprawdzie dekret z r 1917 opiewał, że skonfiskowane majątki przechodzą na własność państwa, ale postanowienie to pozostało czysto papierowe, gdyż nowymi ich posiadaczami stali się prawie wyłącznie miejscowi chłopi. Niemal z dnia na dzień liczba gospodarstw na terytorjum Rosji skoczyła z 16 na 25 miljonów. Jednakże ta niewidziana w dziejach rewolucja agrarna nietylko nie rozluźniła łączności chłopa z ziemią, ale jeszcze silniej go z nią związała. Jednocześnie doznała wzmocnienia zasada indywidualnego władania ziemią. Pozwalając chłopom na dokonanie podziału wielkich majątków, przywódcy bolszewizmu utrudnili sobie w przyszłości dopięcie ostatecznego celu, jaki sobie postawili: unarodowienia ziemi, gdyż przeprowadzenie socjalizacji wielkich obszarów wywłaszczonych było wówczas bez porównania łatwiejsze pod względem technicznym, aniżeli później, gdy powstała warstwa silnych, wrośniętych w swe działki, dobrze zagospodarowanych, zamożnych chłopów.. Ponadto można było wówczas wytworzyć procesy rewolucyjne w łonie samej warstwy włościańskiej, podciągając „kułaków“ pod kategorję obszarników i wywłaszczając ich wraz z nimi.

Próby w tym kierunku czynione były w pierwszych latach rządów sowieckich. Znajdowały się one jednak w tak silnej sprzeczności z procesem krystalizacyjnym upełnorolnionej warstwy chłopskiej, były ponadto prowadzone tak chaotycznie i bezplanowo, że zawiodły na całej linji. Starano się przeciwstawić chłopów bezrolnych i małorolnych bogatym kułakom, stworzono „komitety bie-

doty", które, mimo poparcia, jakiego doznawały ze strony czynników urzędowych, nie zdołały uzyskać żadnego wpływu w Sowietach wiejskich, napotkawszy na wspólny front „kułaków" i „średniaków", t. j. właścicieli działek średnich trzy do sześciomorgowych. Polityka „Nepu" w odniesieniu do wsi polegała w pierwszym rzędzie na tolerowaniu solidarności pomiędzy temi dwoma elementami w łonie warstwy włościańskiej.

W historji polityki agrarnej Sowietów odróżnić można trzy wyraźnie zarysowane okresy. Pierwszy — to okres zamieszania i bezprawia, w którym chłop, choć nasycił swój głód ziemi, nie przestał być igraszką żywiołów, wprawionych w ruch przez huragan rewolucyjny. Dwa pierwsze lata po zamachu październikowym pozbawiły chłopa rosyjskiego trzech czwartych jego środków produkcji, zniszczyły niezliczone warsztaty pracy na roli. Wojna domowa była tylko jednym z czynników tego zniszczenia. Samowola władz, zanarchizowane społeczeństwo wytworzyły warunki, w których zwykła grabież, przystrajając się mianem rekwizycji, hulała bezkarnie po wsiach i zagrodach. Chłop przecierpiał wszystko. Jego prymitywna etyka nie ujmowała prawa własności jako prawa bezwzględnego. Nie uznawał on potrzeby, ani obowiązku wynagrodzenia wyzutych z mienia ziemian, ale odczuwał jednocześnie, raczej instynktownie, że za ziemię trzeba będzie w tej czy innej formie zapłacić. Ta zapłata wyraziła się w postaci utraty inwentarza, ogołocenia z narzędzi produkcji. Była to w jego oczach legalizacja podziału ziemi równie ważna, jak spisanie formalnego aktu rejentalnego.

Okres drugi, to okres nowej polityki ekonomicznej. Przerażony fatalnemi skutkami anarchji wsi, rozumiejąc konieczność wytchnięcia — „pieredyszki" — w dążeniu do celów ostatecznych dla osiągnięcia celów natychmiastowych, Lenin rzucił podwaliny nowej polityki agrarnej, a ściślej, ustalił politykę agrarną sowiecką na najbliższą przyszłość, gdyż nie istniała ona w latach 1918—1921. Wziął się do tego z właściwą mu maestrją doktrynera, łączącego zamiłowanie do teorji z najbardziej wyrachowanym oportunizmem. Nie rzucił on wprawdzie w lud hasła monarchji Ludwika Filipa: „Enrichissez-vous", ale wytworzył warunki, w których realizacja tego hasła była możliwa nawet w ramach systemu sowieckiego.

W r. 1922 ogłoszony został t. zw. „kodeks agrarny", utrzymujący w pełni zasadę, iż jedynie państwo może być posiadaczem ziemi. Zasada ta doznała nawet teoretycznego rozwinięcia w sto-

sunku do pierwszych dekretów władz bolszewickich w tej materji. Kodeks przewiduje tworzenie „sowchozów", t. j. wielkich „fabryk zboża", gospodarstw wzorowych, prowadzonych bezpośrednio przez państwo Jednocześnie oddaje ziemię tym, którzy ją uprawiają, w dziedziczne władanie. Co więcej, przewiduje możliwość wydzierżawiania ziemi i pracy najemnej na roli. Tutaj tkwi źródło zarówno szybkiego rozwoju klasy włościańskiej w latach 1922—27, jak niepomiernego zróżnicowania struktury agrarnej Rosji na korzyść gospodarstw większych, a na niekorzyść słabych.

Jest to okres trzeci, okres wzrastającego dobrobytu i względnego spokoju wsi rosyjskiej. Szeroki zakres swobody, pozostawiony przez kodeks agrarny w organizowaniu eksploatacji i produkcji rolnej, dał z natury rzeczy pierwszeństwo gospodarstwom silniejszym. Proces kumulacji ziemi i środków produkcji winien był napozór doznać zahamowania wskutek znacznego rozwoju wiejskiego ruchu współdzielczego i naturalnej skłonności chłopów, szczególniej w środkowych gubernjach Rosji, do wspólnej uprawy ziemi („ziemielnaja obszczina"). Stało się inaczej. Kooperatywy weszły w sferę wpływów zamożniejszych chłopów, nierzadko stały się ich narzędziem. W braku kredytów państwowych „kułacy" wzięli na siebie rolę pokątnych lichwiarzy. Ten stan rzeczy wywoływał zgorszenie nastrojonych ortodoksyjnie komunistów, to też jednym z głównych punktów programu opozycjonistów z Trockim na czele było przeciwstawienie się „burżuazyjnej" polityce w stosunku do wsi rosyjskiej. W styczniu 1927 r. miesięcznik sowiecki *Bolszewik* ogłosił artykuł pełen melancholji, w którym stwierdza, że kodeks agrarny nie zapewnia rządowi sowieckiemu większych praw do ziemi, aniżeli te, które posiada przeciętny rząd burżuazyjny. Olbrzymia większość gruntów stanowi „de facto" większość prywatną, z wszystkiemi atrybutami tej własności.

Tak się rzeczy miały w istocie w chwili, gdy ukazał się artykuł powyższy. Gospodarstwa kolektywne, przewidziane przez kodeks agrarny, nie istniały prawie wcale. „Sowchozy" stanowiły najwyżej 3—4% uprawianej powierzchni. Zbiory tylko w części podlegały wykupowi na rzecz państwa i chłop zachowywał możność umieszczenia swej produkcji na rynku prywatnym, uważając sprzedaż na rzecz państwa za swego rodzaju podatek i pokrywając wytworzony w ten sposób deficyt przez podbijanie cen w handlu nielegalnym.

Polityka sowiecka wypowiedziała wojnę wciąż narastającej kapitalizacji, wojnę narazie bezskuteczną, gdyż zwalczała jedynie zewnętrzne objawy procesów, których źródło tkwiło gdzieindziej. Tak więc, gdy upłynęły pierwsze miodowe miesiące „Nepu", przestano patrzeć przez palce na szybko odradzający się handel wiejski, koncentrujący się głównie w rękach kułaka. Zwalczano również energicznie pracę najemną. Prasa sowiecka obwieściła z triumfem osiągnięte w tym względzie wyniki rzeczywiście poważne. Cóż, kiedy stugłowa hydra kapitalizmu wciąż się odradzała!

Dwa czynniki skazywały na niepowodzenie wszelkie próby zahamowania kapitalizacji wiejskiej przy zachowaniu systemu indywidualnego władania ziemią. Pierwszym z nich jest bardzo silny przyrost ludności, nie pozostający w żadnym stosunku do industralizacji kraju. Komitet Emigracyjny WCIKA ocenia potrzeby emigracji wewnętrznej na trzy do pięciu miljonów osób rocznie; według innych źródeł przeludnienie wsi wyraża się obecnie nadmiarem ludności od 10 do 15 miljonów, których przemysł pochłonąć nie może, tembardziej, że liczba ta rośnie z każdym rokiem. Bezpośrednim skutkiem nadmiernego przyrostu ludności wiejskiej jest rozwój pracy najemnej i łączenie się słabszych warsztatów w większe jednostki gospodarcze, pozostające pod kontrolą „kułaków" (rozdrabnianie ziemi jest ustawowo wzbronione).

Drugi czynnik to zahamowanie tego gospodarczego obiegu krwi, jakim jest wymiana dóbr pomiędzy wsią i miastem. Rozwój gospodarki indywidualnej na wsi spowodował ostry głód artykułów przemysłowych. Tych artykułów państwo sowieckie, słaby producent i jeszcze słabszy kupiec, nie umiało chłopom dostarczyć, a jeżeli dostarczało, to po cenach niewytrzymujących żadnej kalkulacji. Ten deficytowy przemysł, utrzymywany za podatki płacone przez wieś, nie był nawet w możności dostarczyć jej w żądanej ilości maszyn rolniczych. Była to jeszcze jedna premja dla większych gospodarstw i dla pokątnego handlu wiejskiego, opanowanego przez kułaka, który ofiarował chłopom prymitywniejsze, lecz tańsze środki produkcji.

III

Stan rzeczy, jaki się wytworzył po upływie pierwszego pięciolecia gospodarczego 1922—1927 r., nie mógł być w żadnym razie uznany za pożądany z punktu widzenia doktryny komunistycznej. Rosja przedstawiała wówczas obraz dwóch oddzielnych, niezwią-

zanych z sobą organicznie światów: z zorganizowanego proletarjatu fabrycznego w miastach, reprezentującego nie więcej jak 5% ludności, i z masy chłopskiej, ulegającej wpływom kapitalizmu w jak najgorszej jego formie, t. j. tej, która się wytwarza przy braku dopływu kapitału z zewnątrz i niemożności zatrudnienia w przemyśle nadmiaru rąk roboczych. Czy na dłuższą metę nie zacznie działać, pomiędzy socjalistyczną wsią a burżuazyjnem miastem, prawo naczyń połączonych? Czy drobna garstka proletarjatu fabrycznego nie stopnieje w masie chłopskiej? Oto pytania, które nie bez głębokiej troski zadawali sobie przed trzema laty wodzowie bolszewizmu, a w pierwszym rzędzie Dzugaszwili-Stalin, który już w tym czasie sprawował władzę prawie dyktatorską. Rozgromiwszy opozycją prawą i lewą, sam wziął w ręce rozwiązanie zagadnienia: pod jego osobistem kierownictwem opracowano w „planie pięcioletnim", ogłoszonym w połowie r. 1929, program „kolektywizacji" gospodarstw rolnych. Ale była to tylko, w pojęciu Stalina i najbliższych jego współpracowników, „muzyka przyszłości". Natychmiastowym celem do osiągnięcia było zniszczenie „kułaka", w którym Stalin dopatrywał się głównego źródła niedomagań Związku Sowieckiego, a to tem bardziej, że czuł się od nich zależnym i że żywioł „kułacki" nadawał ton całej warstwie włościańskiej, będąc rozsadnikiem nastrojów wrogich komunizmowi. Jednym z głównych argumentów, wysuwanych przez opozycję dla udowodnienia konieczności zmiany polityki wobec wsi był znikomy odsetek komunistów w Sowietach wiejskich; nawet według statystyk sowieckich udział ich nie przekracza 10%. „Czy ten stan rzeczy", — wołano — „nie zagraża samemu istnieniu państwa sowieckiego? Nie po to zniszczyliśmy obszarników, aby pozwolić im się odrodzić w innej formie". Na piętnastym zjeździe partji komunistycznej w grudniu 1927 r. Stalin odniósł walne zwycięstwo nad opozycją i od tej samej opozycji zapożyczył nie tyle program, ile hasła nowej polityki rolnej. Od tego mniej więcej czasu datuje ostry kurs w stosunku do bogatych chłopów. „Zadaniem naszem" — oświadczył dyktator w jednem ze swych przemówień — „jest zniszczenie doszczętne kułaka, jako klasy społecznej, tak jak zniszczyliśmy burżuazję". Zaczęła się walka nieubłagana, prowadzona z manjackim uporem, środkami obliczononemi na efekt natychmiastowy. Tak więc postarano się zniszczyć główne źródło dobrobytu kułaków, swobodną sprzedaż zboża na wolnym rynku. Odtąd każdy chłop

będzie mógł zachować tylko tyle zboża, ile potrzeba na wyżywienie siebie i rodziny. Nacisk podatkowy i szykany administracyjne spadły w niebywałej ilości na głowy nieszczęśliwych włościan, skazanych na zatracenie wyrokiem Kremla. Kolektywizacja jednak, — fakt ten podkreślamy z naciskiem — pozostawała nadal w sferze teoretycznych rozważań.

Warto przyjrzeć się bliżej tym znienawidzonym „kułakom". Według obliczeń, których ścisłości oczywiście sprawdzić niepodobna, było w r. 1925 około 5 miljonów gospodarstw „wielkich", co odpowiada ludności w liczbie 15—20 miljonów. Jest to więc drobna mniejszość, jeżeli zważymy, że ludność wiejska w Rosji obliczona jest na 130—140 miljonów. Proporcja ziemi uprawnej, przypadającej na „kułaka", była większą, gdyż wynosiła 16%, produkcja natomiast sięgała 50% produkcji całkowitej. To zestawienie cyfrowe pozwala nam zrozumieć, jakiemi konsekwencjami gospodarczemi groziła akcja Stalina, oparta głównie na założeniach społecznych i ogólno-politycznych.

Wywłaszczanie bogatszych chłopów zaczęło się już w r. 1927 i 1928, choć nie było ono jeszcze w tym czasie praktykowane systematycznie i na większą skalę. Kontyngenty zbożowe ustanawiane były przez administrację zupełnie samowolnie z tem, że w razie niedostarczenia ich w ustanowionym terminie, chłop ma uiścić karę w wysokości pięciokrotnej niedostarczonej ilości. Jeżeli, jak to często ma miejsce, nie uiści się na drugie wezwanie, zostaje natychmiast usunięty z ojcowizny i musi natychmiast opuścić okolicę, a grunt jego zostaje włączony do „kołchozu". Tego rodzaju praktyki zmusiły do wyemigrowania setki tysięcy rodzin, nie mówiąc o rozstrzelanych, uwięzionych i zesłanych.

Jest faktem wysoce charakterystycznym, że nie notowano liczniejszych faktów stawania włościan „biedniaków" i „sieredniaków", których bolszewicy usiłują wygrać przeciwko „kułakom", w obronie ich prześladowanych braci. Fakt ten zdaje się dowodzić, że solidarność, która ich łączyła, była natury raczej gospodarczej, niż społecznej, i że poczucie interesu klasowego jest jeszcze bardzo słabo rozwinięte u chłopów rosyjskich, a raczej istnieje w formie czysto negatywnej solidarności tych, którzy nic nie posiadają, solidarności, będącej odpowiednikiem owej „égalité dans la misère", jedynej równości, jaką zrealizował w swym szale niszczycielskim system sowiecki.

Konsekwencje gospodarcze forsownej walki z kułakami nie dały na siebie czekać. Produkcja uległa zupełnemu rozprzężeniu. Chłop, czy uprawiał wielki, czy mały obszar ziemi, stracił wszelki interes produkowania zboża w ilości, przekraczającej jego własne potrzeby. Efekt był natychmiastowy: w miastach wybuchnął ostry kryzys aprowizacyjny, który zmusił rząd do wprowadzenia systemu kartkowego. Niewidziane od lat kilku kilometrowe ogonki pojawiły się znów przy sklepach spożywczych. Wolny handel zbożem upadł prawie zupełnie dla braku podaży. Wobec tych trudności rząd nadał w roku gospodarczym 1928/29 żywsze tempo akcji t. zw. „chlebozagotowek", t. j. gromadzenia zboża dla celów eksportu i zaopatrywania ludności miejskiej w środki żywności. Dała ona rezultaty jak najgorsze, pomimo ulepszenia organizacji technicznej tej akcji w porównaniu z latami poprzedniemi. Nawrót do ery wojującego komunizmu sparaliżował zupełnie produkcję kułaków, a wpłynął na dalsze skurczenie produkcji „sieredniaków". Olbrzymia różnica pomiędzy ceną, po której rząd zakupywał produkcję rolniczą a jej ceną rynkową, tem wyższą, że istniał handel niedozwolony i że produkcja uległa zmniejszeniu, czyniła coraz bardziej uciążliwą stronę finansową „chlebozagotowek". Jeszcze w r. 1927—28 rząd kupował zboże po cenie wynoszącej 75% ceny rynkowej; w roku 1929/29 stosunek ten spadł do 25%. W tych warunkach pewne podniesienie cen stało się koniecznością, ale w tym samym czasie wolne ceny wzrosły w jeszcze większym stopniu. Nagłe załamanie się akcji aprowizacyjnej po roku dobrego urodzaju pozwala wyrobić sobie zdanie o konsekwencjach gospodarczych tej wojny na śmierć i życie, wypowiedzianej zamożnemu włościaństwu.

IV

W końcu r. ub. władza sowiecka znalazła się w obliczu dylematu, który stał się powodem przyśpieszenia w gwałtownem tempie socjalizacji wsi rosyjskiej, rozłożonej, według pierwotnych planów, na długie lata.

„Plan pięcioletni" przewiduje, jak to zaznaczyliśmy wyżej, radykalną przebudowę struktury agrarnej Rosji Sowieckiej. Nie będziemy się zatrzymywali na fantastycznych cyfrach produkcji rolniczej, którą rzekomo ma Rosja osiągnąć w r. 1932, na olbrzymich inwestycjach, przez plan przewidzianych, ani rozwodzili nad

planami rozszerzenia powierzchni uprawnej. Lecz w dziedzinie kolektywizacji „piatiletka" odznaczała się stosunkową skromnością. W r. 1932 przestrzeń zajmowana przez „kołchozy" wynosić miała 20 miljonów hektarów i zatrudnić 20 miljonów włościan. Cyfra ta, jak stwierdza sam „plan pięcioletni", odpowiada jedynie naturalnemu przyrostowi i pochłonie tylko nadmiar ludności, tak że wprowadzenie gospodarstw kolektywnych wpłynie tylko w małym stopniu na zmniejszenie liczby gospodarstw indywidualnych.

Władze Związku Sowieckiego nietylko przystąpiły do integralnego wykonywania planu za wszelką cenę, ale w dziedzinie socjalizacji rolnictwa, w wykonaniu ogólnych zaleceń planu, poszły one jeszcze dalej, niż to plan przewidywał. Dekret o kolektywizacji integralnej nakazuje całkowite zniesienie gospodarstw indywidualnych. Według urzędowych danych sowieckich „piatiletka" została przekroczona o 20% w dziedzinie kolektywizacji u progu drugiego roku jej wykonania. „Dopiero teraz" — pisał Stalin w *Prawdzie* 29 grudnia 1929 r. — „będziemy mogli rozpocząć skuteczną i decydującą ofensywę przeciwko kułakom, złamać ich i zlikwidować całkowicie jako klasę społeczną".

Czem wytłumaczyć tę niebywałą gorliwość w akcji kolektywizacyjnej, gorliwość, której nie spotykamy w dziedzinie przemysłu fabrycznego, gdzie Sowiety stawiają sobie w planie pięcioletnim o wiele ambitniejsze zadania? Załamanie walki z kułakiem w pierwszej jej fazie pozwala nam odpowiedzieć na to pytanie.

Stalin i jego najbliżsi współpracownicy doszli do wniosku, że żadne paljatywy nie powstrzymają ewolucji wsi w kierunku kapitalizmu. Środki, użyte względem kułaków, kosztują nieproporcjonalnie drogo w stosunku do osiąganych wyników, gdyż na miejsce zlikwidowanych kułaków przychodzą wciąż nowi. Za jedyny radykalny środek do opanowania sytuacji uznane zostało włączenie bez reszty elementu włościańskiego w ramy systemu komunistycznego.

Jak widzimy, dyktator sowiecki wychodził tym razem z założeń czysto praktycznych. Zrozumiał on, że system komunistyczny może się tylko cofać lub iść naprzód, stać w miejscu nie może. „Kilka lat jeszcze systemu wolnego handlu i pracy najemnej na roli" — pisała *Prawda* w r. 1928 — „a kułak stałby się wszechwładnym panem wsi i walka pomiędzy nim a władzą sowiecką byłaby staczana w stokroć gorszych dla tej ostatniej warunkach".

Walka z nową burżuazją wiejską, posługującą się wyłącznie środkami doraźnemi, jako to presją fiskalną i administracyjną, nie mogła wydać pożądanych rezultatów. Należało ją ująć w ramy systemu, zniszczyć burżuazję chłopską, przejmując jej funkcje w gospodarce narodowej. Rok 1929 — to rok ewolucji poglądów w kierunku przyspieszenia tempa kolektywizacji, mającej, w mniemaniu Stalina i kierowników „Gospłanu" (urzędu planów gospodarczych), przyczynić się do podniesienia wydajności gospodarstwa wiejskiego i uniezależnienia sowietów od elementów niekomunistycznych. Walka o władzę jest i pozostanie sprężyną wszelkiego działania w Republice Rad. Ta elementarna prawda, która na każdym kroku znajduje swe potwierdzenie, jaskrawo uwydatniła się w związku z kampanją na rzecz socjalizacji rolnictwa. Bezpośrednie wzmocnienie pozycji rządu we wrogiem środowisku chłopskiem, troska o ideały socjalistyczne nie była w danym wypadku troską dominującą. Było nią natomiast dążenie do opanowania odcinka wsi na froncie walki z pozostałościami ustroju socjalistycznego i do zapewnienia sobie prawdziwej niezależności gospodarczej, a przez to i politycznej, i zlikwidowania sytuacji, w której lada nieostrożne posunięcie spowodować mogło katastrofę.

Jednym z objawów tego naprawdę olbrzymiego wysiłku, rozwiniętego pod hasłem autarchji ekonomicznej, jest forsowanie wywozu. „Plan pięcioletni" stawia zasadę stałego wzrostu eksportu rolniczego. Oczywiście o eksporcie na większą skalę nie mogło być mowy, gdyż produkcja rolnicza daleka była od zaspokojenia popytu wewnętrznego. Sowiety łudziły się nadzieją, że wprowadzenie na wsi ustroju kolektywistycznego, przekazując państwu cały nadmiar produkcji zbożowej, pozwoli na wytworzenie poważnych rezerw eksportowych. Złudzenia te wydają się nam poprostu dziecinne, zwłaszcza obecnie, gdy zarysował się ogólny charakter i perspektywy gospodarcze kolektywizacji.

Gdy mowa o złudzeniach, nie od rzeczy będzie poświęcić słów parę t. zw. „sowchozom", t. j. gospodarstwom upaństwowionym, prowadzonym bezpośrednio przez urzędy sowieckie. Początkowo żywiono nadzieję, że gospodarstwa te, ogarniając coraz większe przestrzenie i promieniując na gospodarstwa indywidualne przykładem wyższych metod kultury i udoskonalonych środków produkcji, staną się ośrodkami stopniowej kolektywizacji pod egidą państwa. Nie omylono się, jeżeli chodzi o obszar „sowchozów", który sto-

pniowo się zwiększa. Ale równolegle rosną długi, obciążające rolnictwo państwowe, ktore, jak to stwierdzają urzędowe publikacje sowieckie, przejdzie wkrótce w całości na własność instytucyj finansujących, czyli tegoż państwa, które w ten sposób zasila „sowchozy" bezzwrotnemi subwencjami. Chociaż, jak obliczają, majątki państwowe dostarczają około 7% ogólnej produkcji rynkowej, to co warte są one jako ośrodki produkcyjne, jeżeli państwo zmuszone jest dopłacać do nich znaczne sumy, rzekomo na inwestycje, a w rzeczywistości na bieżące koszta eksploatacyjne?

V

Zorjentowano się więc na Kremlu, że niepodobna liczyć ani na „sowchozy", ani na system „chlebozagotowek" jako na etap ku stopniowej socjalizacji wsi rosyjskiej. To też „plan pięcioletni" postawił zasadę kolektywizacji na olbrzymią skalę gospodarstw włościańskich, nie sprecyzował jednak rzeczy najważniejszej, zapomocą jakich środków kolektywizacja ma być przeprowadzona.

Brak przepisów, regulujących to zagadnienie, nie był wynikiem zwykłego zaniedbania, opierał się on na mylnem wyrachowaniu, że uda się zlikwidować kułaków, wznawiając system, a raczej chaos rewolucyjny, wygrywając ubogich przeciwko bogatym, dopuszczając do „pieredyszki" w... praworządności, o ile wogóle może być mowa o praworządności na terenie Związku Sowieckiego. Rzucono hasło bezwzględnego niszczenia zamożniejszych chłopów. Zaledwie przed kilku miesiącami sekretarz jednego z komitetów regjonalnych partji komunistycznej mówił o „głupim sentymentaliźmie tych, którzy pragnęliby wiedzieć, co się stanie z rodzinami kułaków, których dobra zostały zarekwirowane, zamiast myśleć nad sposobami zorganizowania chłopów ubogich dla tem szybszego zlikwidowania ich gnębicieli". Użyto w tym celu środków jak najostrzejszych, nie cofając się przed okrucieństwem. Do galwanizowania dawno już przebrzmiałych nastrojów rewolucyjnych, bojowych, musiano z konieczności użyć elementów napływowych, specjalistów propagandy politycznej, którzy znaleźli wybornych wykonawców w najgorliwszych elementach lokalnych komitetów komunistycznych, wśród młodszych członków partji, co nie brali udziału w terorze i szukali tylko sposobności, aby pokazać, że nie pozostają w tyle za swymi starszymi towarzyszami. „Brygady szturmowe", nasłane przez wła-

dze centralne lub prowincjonalne, stały się istną plagą wsi sowieckiej. Przeprowadziły kolektywizację w nader szybkiem tempie, ale jakim kosztem! Ta bezplanowa, chaotyczna akcja zdezorganizowała zupełnie wieś rosyjską. Kułaków usuwano siłą, choć w bardzo wielu wypadkach przystępowali oni do „kołchozów" dobrowolnie, widząc w tem mniejsze zło, aniżeli zsyłkę. Ale nie tylko w przymusie tkwił absurd całej tej spóźnionej akcji rewolucjonizowania wsi, ale w niesłychanej dezorganizacji gospodarki rolnej, która była wynikiem zakładania „kołchozów". Czytelnik znajdzie w dalszym ciągu niniejszych rozważań niektóre dane ze źródeł sowieckich o chaosie powstałym w wyniku akcji, której celem była „racjonalizacja" produkcji i zorganizowanie rolnictwa w większych, a więc wydajniejszych, jednostkach wytwórczych. W tysiącach wypadków wywłaszczano nietylko ziemię, inwentarz i narzędzia rolnicze, ale i zabudowania gospodarskie, ptactwo, drobne ruchomości, przedmioty domowego użytku, wszystko w zależności od widzimisię młodych komunistów, przeprowadzających kolektywizację najczęściej wbrew interesom nawet uboższej ludności. Organizowano gospodarstwa kolektywne w sposób, urągający elementarnym zasadom celowości gospodarczej, nie licząc się z potrzebą komasacji, z warunkami eksploatacji i t. d.

Pozorne sukcesy, osiągnięte w tym względzie, utwierdziły z początku władze Związku w mniemaniu, że znajdują się na dobrej drodze. Koniec roku 1929 i początek 1930 zaznaczyły się wzmożoną działalnością „kolektywizatorów", a jeszcze w końcu grudnia 1929 r. Stalin ogłaszał zwycięski biuletyn „z pola walki o socjalizację rolnictwa". W istocie obszar gospodarstw zbiorowych i łatwość ich tworzenia przekroczyły oczekiwania projektodawców.

Możemy dać wiarę statystykom sowieckim, stwierdzającym, że do dnia 1 stycznia 1930 r. skolektywizowano na obszarze Z. S. R. R. 30 miljonów hektarów, t. j. znacznie więcej, aniżeli przewiduje plan pięcioletni. Jednakże nie uwierzymy zapewnieniom urzędowym, że w roku bieżącym można liczyć na dochód z gospodarstw zbiorowych. Obszary, które podległy kolektywizacji, nie są zaopatrzone ani w maszyny rolnicze, bez których niema racjonalnej gospodarki w większych eksploatacjach, ani w jakikolwiek kapitał obrotowy. Brak im zarówno inwentarza, w znacznej części zniszczonego w okresie walki z kułakiem, ani zboża pod zasiew. Administracja

techniczna „kołchozów" z powodu braku wyszkolonego personelu jest niewystarczająca. „W nowoutworzonych gospodarstwach panuje nieporządek i dezorganizacja" — czytaliśmy w ostatnich miesiącach r. ub. w prasie fachowej sowieckiej, nieobliczonej na propagandę, podczas gdy polityczna prasa codzienna głosiła, że wyniki osiągnięte przez Sowiety w dziedzinie kolektywizacji są „zdumiewające i radosne".

Wybitny agronom niemiecki Püchel, który spędził szereg miesięcy w Rosji jako rzeczoznawca rolniczy, taką wyraża opinję o najnowszym eksperymencie sowieckim:

„Nie należy się łudzić: większość „kołchozów" nie jest żywotna. Liczne błędy techniczne zostały popełnione. Chłopi spędzają całe godziny na dyskusjach polityczno-socjalnych, a tam, gdzie garną się do pracy, brak jest najelementarniejszych narzędzi produkcj i kredytów".

Obraz ten żywo przypomina pierwszy okres socjalizacji przemysłu, gdy robotnicy dnie całe spędzali na meetingach, a inżynierowie załamywali bezradnie ręce nad zdewastowanemi instalacjami fabrycznemi.

Na terytorjum sowieckiem powstały niezliczone gospodarstwa zbiorowe, ale kosztem zdolności produkcyjnej łączących się warsztatów rolnych. W okolicach, wytwarzających nadwyżkę zboża, tworzenie kolektywów szło najoporniej i tam właśnie straty w środkach produkcji były największe, gdyż rzadko kiedy udało się przeszkodzić sprzedaży dobytku przez zamożniejszych chłopów, z chwilą, gdy przekonywali się oni, że uniknięcie kolektywizacji jest niemożliwe. Natomiast w okolicach ubogich, gdzie konsumcja nie przekraczała produkcji, gospodarstwa kolektywne powstawały same, jak grzyby po deszczu, z łatwością, która wprawiała w podziw nawet nasłanych komunistów i entuzjastów socjalizacji gospodarstwa wiejskiego. W bogatszych gubernjach „kołchozy" przybierały najczęściej formę kooperatyw eksploatacyjnych, podczas gdy w niektórych ubogich rejonach chłopi małorolni, przystępujący do nowoutworzonych gospodarstw, chętnie organizowali się w „komuny" rolne, gdzie wszystko, poczynając od ziemi, a kończąc na płactwie, a nawet na przedmiotach użytku domowego, było zsocjalizowane. Pozbawieni instynktu własności, chłopi bezrolni chętnie przystali na nowy system, który zapewniał im zarobek, a likwidacja „kułaczyzny" nie spotkała się z ich strony z żadnym sprzeciwem.

Historja opisze martyrologję chłopa rosyjskiego, która pozostanie jedną z najhaniebniejszych kart w dziejach ludzkości. Wywłaszczanie wielkich właścicieli było tragedją i bezprawiem, ale było ono przedsięwzięciem stosunkowo na małą skalę i nie obfitowało ono w pierwiastek odrywania człowieka od ziemi, którą uprawia. Ile gospodarstw „kułackich" zlikwidowano do stycznia 1930 r.? Żadne statystyki nie są tu miarodajne, gdyż niema sposobu sprawdzenia danych urzędowych w tej materji. Profesor Auhagen oblicza, że około 750.000 chłopów wygnano z ojcowizny wraz z rodzinami w ciągu roku 1929. Ilu zamordowano, nikt obecnie powiedzieć nie zdoła. Jako liczbę większych gospodarstw, zlikwidowanych dobrowolnie lub pod przymusem, wymieniają inne źródła 2 do 3 miljonów. Dane te są zapewne przesadzone, gdyż opierają się na formalnych jedynie wykazach, a wiadomo, że w bardzo licznych wypadkach „kołchozy" stworzone zostały tylko na papierze, aby uniknąć ruiny lub celem uzyskania kredytów państwowych. Trudno przypuścić, aby miljony chłopów szły jak na rzeź, nie uciekając się do podstępu dla uratowania swego mienia. W każdym razie liczba chłopów, zarówno „kułaków" jak „sieredniaków", którzy przypłacili ten opór lub sam fakt względnej zamożności wygnaniem lub życiem, przekracza miljon.

Perspektywa stosowania tak niesłychanych represyj wobec warstwy włościańskiej nie wywołała, jak się zdaje, w sferach kierowniczych sowieckich żadnego odruchu już nie zgrozy, ale choćby obawy przed następstwami. Powód zamieszania i przerażenia, jakie zapanowały na czerwonym Olimpie, był inny. Z dnia na dzień liczba chłopów-komunistów, dotąd znikoma, podskoczyła z 2 — 3 na 50%. Zwycięstwo? Tak, ale pyrrhusowe. Nowokreowane „kołchozy" przemówiły mniejwięcej w ten sposób do władzy sowieckiej: „Według waszego życzenia — powstaliśmy. Teraz dajcie nam środki do życia, których nie posiadamy". I posypały się podania o kredyty, traktory, zboże pod zasiew. Bezrolni i małorolni chłopi, przystępując do gospodarstw kolektywnych i wnosząc udział minimalny lub nie wnosząc zgoła żadnego, czynili to w przekonaniu, że obejmują rządową posadę — posadę wygodną i pozbawioną ryzyka. Wprawdzie zarobek wypłacany jest z dochodów gospodarstwa, ale trudno sobie wyobrazić, aby państwo, odpowiedzialne za przekształcenie ustroju rolnego, nie zagwarantowało wypłaty zarobków niezależnie od wyniku eksploatacji. Perspektywa zniesienia ryzyka,

zapewnienia opłacalności warsztatu działa na rolnika jak magnes, zwłaszcza gdy nic lub mało posiada i gdy zrzeczenie się znaczniejszych dochodów nic go nie kosztuje. Można sobie wyobrazić, jak wygląda owo zwiększenie wydajności pracy, na które liczono w Sowietach, jeżeli się zważy, że kilka miljonów indywidualnych gospodarzy stało się z dnia na dzień pracownikami najemnymi.

VI

Zatrąbiono więc na odwrót. Artykuł Stalina z marca b. r., w którym stwierdza, że „powodzenie przyprawiło nas o zawrót głowy", jest zręcznie ukrywanem, ale aż nadto widocznem, wycofaniem się z zajętych pozycyj. Chytry Gruzin spostrzegł, choć nieco późno; że kolektywizacja, zamiast zmierzać ku racjonalnemu zorganizowaniu produkcji, jeszcze bardziej ją dezorganizuje. Pod względem politycznym niepowodzenie akcji, za którą Stalin wziął pełną odpowiedzialność, mogło postawić go w nader trudnej sytuacji wobec opozycji prawicowej. Wreszcie akcja wywłaszczeniowa nie pozostała bez wpływu na ruch narodowościowy: na Ukrainie, będącej, jak wiadomo, przedmiotem wyzysku gospodarczego ze strony Sowietów, natrafiła na opór bez porównania silniejszy, aniżeli w gubernjach wielko-rosyjskich. Na Kaukazie północnym i w innych republikach południowo-rosyjskich doszło na tem tle do ruchów zbrojnych. Masowe przechodzenie chłopów przez granice: polską, estońską i łotewską dawało oparcie agitacji antykomunistycznej

Artykuł Stalina, pomijając jego stronę taktyczną, obliczoną na zamydlenie oczu, jest wiernem odbiciem zaniepokojenia, jakie wywołała na Kremlu forma, którą przybrała kolektywizacja. „Przedewszystkiem" — stwierdza Stalin — „ruch musi mieć charakter dobrowolny, a nie przymusowy, co byłoby głupie i reakcyjne". (Rzeczywiście wartość produkcyjna jednostek, stworzonych zapomocą gwałtu, jest żadna. Szkoda tylko, że władze sowieckie spostrzegły to tak późno, gdy miljony chłopów już padły ofiarą przemocy). Kołchozy — czytamy dalej — należy tworzyć przedewszystkiem w rejonach, produkujących zboże z nadwyżką, nie zaś w rejonach deficytowych. (Życzenie zupełnie słuszne i zrozumiałe, ale dotychczas działo się wręcz odwrotnie). Uspołecznieniu podlegają tylko: żywy i martwy inwentarz, zabudowania gospodarskie (nie mieszkalne) i środki produkcji; pozostają własnością prywatną: domy miesz-

kalne, ogrody warzywne i owocowe poniżej pewnej ustalonej normy. Każdy wstępujący do kolektywu obowiązany jest wpłacić w gotówce sumę, wynoszącą od 2 do 10% wartości wniesionego majątku — chodzi o uniknięcie masowego łączenia się biedoty w gospodarstwa zbiorowe równie zasobne co i ich członkowie w środki wytwarzania i kapitał obrotowy. Komun integralnych czyli komunistycznych falansterów rolnych tymczasem tworzyć nie należy, ponieważ gospodarstwo rosyjskie „jeszcze do nich nie dojrzało".

Jednocześnie z artykułem Stalina został ogłoszony statut „kołchozów". Ma on na celu ujednostajnienie ich formy organizacyjnej. Zastanawiającą jest rzeczą, że statut ukazał się dopiero wówczas, gdy rzekomo około 50% gospodarstw uległo kolektywizacji. Można wyobrazić sobie, jak chaotycznie wyglądała ta akcja tworzenia gospodarstw zbiorowych, jeżeli nie miała innych ram legalnych, jak „plan pięcioletni", określający jedynie ogólną przestrzeń i przewidywaną produkcję kolektywów rolnych.

Niemniej charakterystyczny, niż artykuł Stalina z lutego b. r., jest okólnik Centralnego Komitetu partji komunistycznej z 15 marca 1930 r. Nie ograniczył się on do wskazówek, dotyczących sposobów uspołecznienia gospodarki wiejskiej: idzie on dalej i rozszerza prawa wyborcze na pewne kategorje osób, poprzednio praw tych pozbawionych. Trudno zaprzeczyć, że mamy tu do czynienia z odwrotem. Inna sprawa, czy odwrót dotyczy samego programu, czy tylko sposobów i tempa jego wykonania.

Sowiety wycofać się mogą z drogi, na którą weszli, ale nie będą mogli przeszkodzić konsekwencjom błędów już popełnionych. Konsekwencje te zdają się być trojakie: 1) poważne zmniejszenie wydajności warsztatów rolnych; 2) wydatne zwiększenie wydatków inwestycyjnych na zaopatrzenie nowoutworzonych gospodarstw; znaczny spadek dochodów z podatku rolnego; 4) spadek, jeżeli nie zupełna likwidacja eksportu rolniczego, forsowanego przez Sowiety ostatniemi laty i przekreślenie, przynajmniej na dwa lata, programu rozszerzenia obszaru zasiewów, wzmożenia produkcji, mechanizacji rolnictwa, t. j. programu, zawartego w „planie pięcioletnim".

Nie brak również głosów, przepowiadających na wiosnę 1931 r., w razie miernego lub złego urodzaju w roku bieżącym, głód, nieustępujący rozmiarami klęsce, która nawiedziła Rosję w r. 1921 i kosztowała miljony ofiar.

Odwrót Stalina nie został spowodowany, jak to przewidywano, oporem mas chłopskich, ale raczej widmem klęski gospodarczej. Opór ten, którego objawy skrzętnie notowała prasa polska i zagraniczna, istniał niewątpliwie, liczne były wypadki czynnego przeciwdziałania, aż do morderstwa włącznie, jednakże fakty powyższe, zestawione z rozmiarami całej akcji, były stosunkowo odosobnione, a przeciwwagę ich stanowiły równie liczne fakty dobrowolnego przystępowania do kolektywów. Natomiast załamanie się zdolności produkcyjnej, ruina warsztatów rolnych, masowe zapotrzebowanie na traktory i inne narzędzia rolnicze, które znacjonalizowany przemysł zdolny był zaledwie w drobnej części zaspokoić — oto sygnały ostrzegawcze, które skłoniły Stalina do odwrotu.

VII

Czy mamy tu do czynienia z odwrotem w prawdziwem tego słowa znaczeniu, czy tylko z „pieredyszką"? Nic niewdzięczniejszego, jak rola proroka, zwłaszcza gdy wchodzi w grę Rosja, będąca „par excellence" krajem możliwych niemożliwości i wszelkiego rodzaju niespodzianek. Jednakże okoliczności, w jakich Stalin rozpoczął swą niesławną rejteradę „na froncie kolektywizacji", skłaniają do przypuszczenia, że chodzi tu raczej o mniej lub bardziej wydatne złagodzenie kursu, aniżeli o wyrzeczenie się całkowite myśli o socjalizacji wsi. Stalin nie dorównał i nie dorówna nigdy, jako przywódca i jako polityk, swemu genjalnemu poprzednikowi. Nie zdobędzie się, jak Lenin, na nową ekonomiczną politykę, przyznając się do porażki na jednym odcinku, aby przejść do ofensywy na innych. Gdyby nawet chciał cofnąć się na całej linji, dla lepszego skupienia sił do ataku, nie posiada dosyć autorytetu, aby narzucić tę politykę partji komunistycznej jako całości. Nie należy również wpadać w drugą ostateczność i posądzać Stalina, jak to czynią niektórzy, o zupełną tępotę umysłową i absolutną nieumiejętność przystosowania się do sytuacji. Te umiejętności posiada on w wysokim stopniu, co wykazał choćby przez decyzję odwrotu, do którego zmusiła go nietyle natychmiastowa konieczność fizyczna, ile symptomaty nadchodzącego niebezpieczeństwa. Czego dowiódł rok intensywnej „kolektywizacji"? Nie dowiódł on, że myśl sama jest utopją, ale że niepodobna przeprowadzać jej metodami rewolucyjnemi, że można od biedy zlikwidować „kułaków", jak zlikwi-

dowano „pomieszczyka", ale wytępienie ich nie ułatwi stworzenia gospodarstw zbiorowych zdolnych do życia. Z procesów rewolucyjnych wykrzesać pierwiastki twórcze potrafiła wielka rewolucja francuska: nie potrafi się na to zdobyć rewolucja rosyjska.

Jedną z nauk, jakie władza sowiecka wyniesie z eksperymentu, dokonanego na żywem ciele Rosji, będzie przekonanie, że kolektywizacja, jeżeli jest osiągalna, to tylko w bardzo wolnem tempie, jedynie drogą fuzji dobrowolnej i w miarę dysponowania przez państwo środkami zaopatrzenia nowych jednostek wytwórczych w odpowiednie narzędzia, zastosowane do nowych metod produkcji, oraz w kredyty i kapitały obrotowe. Do tego niezbędne są dwa czynniki: rozwój przemysłu, opartego na samoopłacalności finansowej, nie zaś na subwencjach państwowych, oraz kapitalizacja wewnętrzna. Przemysł nie rozwinie się bez rynku odbiorczego, który, zarówno jak warunki sprzyjające kapitalizacji, stworzyć może jedynie gospodarka wolno-kapitalistyczna na wsi, a w pierwszym rzędzie swobodny handel zbożem.

Powstaje błędne koło. Przywrócenie na wsi swobody handlu i produkcji nie może pozostać bez wpływu na system gospodarczy, stosowany w miastach, oraz na monopol handlu zagranicznego. Jedna koncesja pociągnęłaby za sobą automatycznie drugą. I odwrotnie: nacisk na wieś w kierunku socjalizacji wywołałby — zjawisko właściwe etatyzmowi bez różnicy stopnia — konieczność posuwania się na tej drodze wciąż dalej i dalej, aż do przekształcenia wsi rosyjskiej w jedne wielkie koszary, a chłopów w urzędników, wytwarzających na rzecz państwa. To są możliwości skrajne. Ewentualność pośrednia, polegająca na utrzymaniu dwu światów wzajemnie nieprzenikających się: skomunizowanego przemysłu fabrycznego w miastach i gospodarki kapitalistycznej na wsi byłaby na dłuższy dystans niemożliwa.

Zresztą — i tu dotykamy jednego z kapitalnych zagadnień dzisiejszej rzeczywistości rosyjskiej — nasuwa się pytanie, czy wprowadzanie systemu gospodarstw kolektywnych było wyłącznie i specyficznie związane z doktryną komunistyczną. Staraliśmy się dowieść na początkowych kartach niniejszej pracy, że wchodziły tu w rachubę, obok polityczno-społecznych, bardzo poważne względy gospodarcze. Co więcej, działały tu pewne momenty zupełnie niezależne od panujących dziś w Rosji stosunków. Od wieków istniała w Rosji wyraźna a samorzutna tendencja do zbiorowej uprawy,

a nawet do zbiorowego władania ziemią. Sławny „mir" był jednym, chociaż nie jedynym objawem tej tendencji. Obecnie, nagły przeskok od wielkich latyfundjów do drobnych gospodarstw rolnych odbył się zbyt szybko, nie towarzyszyła mu ani ewolucja metod eksploatowania i produkcji, ani ewolucja psychiki włościańskiej. Tem się tłumaczy w pewnej mierze stosunkowo łatwe tworzenie kolektywów: znalazły one w niższych warstwach włościaństwa korzystne podłoże psychiczne. Pospieszmy dodać, że kolektywy takie, jakich wymagałoby w Rosji życie, mają niewiele wspólnego z systemem sowieckim, gdyż zależy tu właśnie na wzmocnieniu pierwiastku systemu indywidualnego, jako bodźca produkcji przy równoległem zracjonalizowaniu, od której krok tylko do standardyzacji, produkcji rolnej.

Lecz nie należy oczekiwać, aby Sowiety wybrały tę drogę. Nie pójdą oni na koncepcję chłopa-kapitalisty i raczej powrócą do systemu pańszczyźnianego, w którym „pomieszczyka" zastąpi niemniej tyraniczny zarząd gospodarstwa zbiorowego, mianowany oczywiście nie przez chłopów uprawiających ziemię, ale przez państwo, które prędzej czy później stanie się właścicielem całej ziemi. I może wówczas dopiero chłop przestanie być podporą Sowietów i stanie po stronie tych, którzy go zwalczają, jak stanął po stronie uzurpatorów po rewolucji październikowej.

Ale zbyt to już odległe perspektywy. Streśćmy się: kryzys polityczno-agrarny w Rosji, a z nim drugi etap bolszewizmu rozpoczął się aktem o charakterze rewolucyjnym: forsowną socjalizacją wsi. Jednak jest to dopiero początek. Zaczyna się okres długich zmagań, mniej gwałtowny w swych objawach, ale nierównie ważniejszy w skutkach. Na tem polu państwo sowieckie wygra lub przegra walną bitwę o utrzymanie się przy władzy.

*

Wnioski nasuwają się same przez się. „Kolektywizacja" wykazała, że nie istnieje w Rosji solidarny front obrony masy chłopskiej. Chłopi zamożniejsi, t. j. pokrzywdzeni, zareagowali na kolektywizację w gubernjach centralnych, t. j. tam, gdzie nie wchodził w grę czynnik narodowościowy, raczej biernie. Owszem, bronili się nieraz dzielnie, często zażarcie, obrona nie miała jednak charakteru masowego. Jeżeli defensywa chłopska okazała tak małe napięcie,

czy można się spodziewać z ich strony jakiejkolwiek akcji ofensywnej, czy choćby szukać w nich jakiegokolwiek oparcia dla takiej akcji? Ci, w których głowach snują się plany jakiejś interwencji zbrojnej w Rosji, powinni wyciągnąć z tego faktu odpowiednie konsekwencje.

Piszący te słowa, przebywając przed dziesięciu laty w niewoli bolszewickiej, miał sposobność zaobserwować ten bezmiar rezygnacji i fatalizmu. Na skierowywane do chłopów pytanie, jak zapatrują się na władzę sowiecką, odpowiedź nie zawierała zazwyczaj oceny tej władzy, która w tym czasie boleśnie dawała im się we znaki, ale brzmiała poprostu: „wydierżim" (wytrzymamy). Przetrzymali pierwsze, jakże ciężkie, lata rewolucji, przetrzymają i nową falę prześladowań, usiłując im przeciwdziałać jedynie w płaszczyźnie indywidualnej, nie klasowej.

Ostatnie wypadki na terenie Związku Sowieckiego wskazały, a właściwie potwierdziły, inne jeszcze zjawisko: wciąż zacieśniający się zakres odpowiedzialności za losy „ojczyzny" socjalistycznej.

Kolektywizacja integralna była pomysłem Stalina. Przeprowadzona została, wprawdzie niezawsze zgodnie z jego instrukcjami, ale pod jego naczelnem kierownictwem. Dyktator, pozbywszy się wszystkich bardziej niezależnych współpracowników, nie dzieli z nikim odpowiedzialności za państwo. Jest to zarazem jego siła i słabość; siła — chwilowo, gdyż zapewnia mu dużą swobodę ruchów w działaniu politycznem; słabość — na przyszłość, ponieważ w tych warunkach każde poślizgnięcie urasta do rozmiarów porażki.

Ta okoliczność sprawia, że odwrót w sprawie kolektywizacji przybiera w oczach opinji rozmiary większe od rzeczywistych. Opozycja prawicowa podnosi głowę. Na rozpoczynającym się w dniu 15 czerwca b. r. zjeździe partyjnym Stalin będzie musiał z nią stoczyć ostrą walkę.

Lenin, tak jak i Stalin, obarczony był również pełnią odpowiedzialności za losy kraju, z tą różnicą, że wybił się on na czoło nie zapomocą przeróżnych manewrów, lecz siłą swego autorytetu. Pozatem umiał on sobie dobierać współpracowników, wzniecać w nich zapał i gorliwość dla sprawy. Stalin nie ma tego daru. Nie posiada doradców, otacza się ludźmi ślepo oddanymi i pochlebcami. A w całym kraju wyrasta nowa biurokracja, której władza rośnie w miarę, jak utrwala się u góry system dyktatorski.

Powoli rozwiewają się opary, w które Rosja była spowita od chwili przewrotu październikowego. Ukazuje nam ona swe stare oblicze, odwieczne narowy i tendencje rozwojowe odzyskują swe prawa. „Naturam expelles furca tamen usque recurret". Drugi akt rewolucji rosyjskiej, socjalizacja wsi, drogą gwałcenia praw gospodarczych i praw jednostki, załamuje się w oczach. Władcy Kremla będą mogli dążyć do tego samego celu żmudnemi, powolnemi etapami, zapomocą innych środków. Ale nie będzie to już akcja rewolucyjna, i ani się spostrzegą, jak życie poniesie ich w innym kierunku, niż ten, który wytknęła im doktryna. Rewolucji nie rozkłada się na raty.

KAZIMIERZ CHODYNICKI

ZASADNICZE SKŁADNIKI SYNTEZY DZIEJOWEJ LELEWELA

Poglądy historjozoficzne Lelewela nie stanowią zwartego systemu, nie były one wypowiedziane w jednem wielkiem dziele, syntetycznie ujmującem całość dziejów naszych, ale zostały rozproszone w licznych pismach. Zdawał on sobie z tego sprawę. Na kilka lat przed zgonem, w swej spowiedzi badacza, usprawiedliwiał się z tego. Mówiąc o swej spuściźnie naukowej, w ten sposób się wyraża: „Dziejby, historji wielotomowej niema. Mogłem o niej marzyć, wmawiać w siebie zdolność, roić sobie możebność do wysokiego onej utworu: jednakże historji tej niema".[1] Lecz zaraz dodaje, że gdyby nawet udało mu się takie dzieło stworzyć, to nie zawierałoby nic nowego poza tem, co już w drobniejszych utworach napisał. Wśród tych pism, wymienia nie rozprawy naukowe, lecz przedewszystkiem utwory, przeznaczone dla szerszych kół czytelników. A więc *Dzieje Polski potocznym sposobem opowiedziane, Panowanie Stanisława Augusta, Paralelę Hiszpanji z Polską* i t. d. Wyznanie to wskazuje, gdzie należy szukać poglądów historjozoficznych Lelewela. Najobszerniej wypowiedział się nasz dziejopis w utworze, napisanym na emigracji p. t. *Uwagi nad dziejami Polski i jej ludu.* Jednakże poglądy tu zawarte są jedynie rozszerzeniem poprzednio wyrażonych zapatrywań. Zadaniem właśnie niniejszego artykułu będzie przedstawienie rozwoju zasadniczych pojęć syntetycznych Lelewela.[2]

*

[1] *Przygody w poszukiwaniach i badaniu rzeczy narodowych polskich* przez Joachima Lelewela. Poznań 1858, str. 95—96.

[2] Artykuł ten ściśle jest związany z dwiema poprzedniemi memi rozprawkami: *Lata uniwersyteckie Lelewela (Księga pamiątkowa ku uczczeniu 350 rocznicy założenia Uniwersytetu Wileńskiego),* oraz w *Pamiętniku Warszawskim,* zeszyt 4, r. 1929. W pierwszej z nich starałem się wykazać wpływy, jakim podlegał Lelewel na Uniwersytecie Wileńskim, w drugiej przedstawiłem poglądy historjozoficzne. — Referat niniejszy w pierwotnej formie był

Pobyt w Uniwersytecie Wileńskim, ogólne prądy umysłowe, którym Lelewel ulegał, rozwinęły w nim dwie zasadnicze cechy jego umysłowości: zmysł badawczy i dążność do uogólnień.

Ludzie t zw epoki Oświecenia lubowali się w „filozoficznem" ujmowaniu dziejów, w konstruowaniu syntez. Z pewnem lekceważeniem natomiast zapatrywano się na ścisłych badaczy, zajmujących się pewnemi konkretnemi zagadnieniami. Śniadecki nazywał Lelewela „pedantem niemieckim",[1] a ks. Adam Kazimierz Czartoryski narzekał na „skłonność J. P. Lelewela do zbierania po próchnie Kadłubka",[2] strofował go za „gmeranie, dla wydobycia, *origines gentium*", a radził raczej „przyłożyć się do filozoficznej części dzieła".[3] Lelewel, zwłaszcza w pierwszych latach swego pobytu na Uniwersytecie, przejmował się prądami Oświecenia.[4] Czytał najwybitniejszych historyków tej epoki, poznał dzieła teoretyków francuskich: Langlet de Fresnoy i innych. W rozmowach ze swym jedynym profesorem historji, światłym i oczytanym misjonarzem ks. Tomaszem Hussarzewskim, oraz na jego wykładach, zapoznał się prawdopodobnie Lelewel z dydaktycznym poglądem na historję. Być może, że wtedy powstawały w młodym słuchaczu myśli o postępie wiedzy, snuły się rojenia o pokoju powszechnym i marzenia o uszczęśliwieniu ludzkości. Na zebraniach młodzieży Lelewel wygłasza zdanie, że historja powinna przedewszystkiem stać się dźwignią wyzwolenia ojczyzny. W utworach historycznych należy opisywać triumfy oręża polskiego od Psiego Pola i Płowiec do Dubienki

---

wygłoszony w Poznańskim Oddziale Pol. Tow. Historycznego d. 19. II. r. b. W czasie dyskusji, która się wywiązała po referacie, szczególnie skorzystałem z głębokich uwag P. P. Prof. Dembińskiego, Tymienieckiego i Wojciechowskiego.

[1] Baliński M., *Pamiętniki o Janie Śniadeckim, jego życiu prywatnem i dziełach jego.* Wilno 1865, t. II, str. 409.

[2] Dębicki L., *Puławy.* Lwów III. 1888 str. 140—141. List A. K. Czartoryskiego do Zawadzkiego, księgarza w Wilnie.

[3] Streszczenie listu ks. Adama K. Czartoryskiego przez Lelewela. *Listy Joachima Lelewela* t. I, str. 146. O stosunku Generała ziem podolskich do Lelewela i o obydwu wzmiankowanych listach zob. Dr. T. E. Modelski, *Sprawa powołania J. Lelewela na katedrę historji w Wilnie. Ateneum Wileńskie*, rocznik VI, zesz. 1—2, str. 167—169, przyp. 2. Lelewel wyzwolił się z „pod filozoficznej nad historji tyranją" pod wpływem pisarzy niemieckich, przedewszystkiem Wachsmutha. Por. Lelewela *O historji i jej rozgałęzieniu.* Warszawa 1826, str. 85.

[4] O znaczeniu Uniwersytetu Wileńskiego zob. moją rozprawkę *Lata uniwersyteckie Lelewela.*

i Racławic, oraz nakreślić wspaniały rozwój kulturalny z wieku Zygmuntów, kiedy Polska „naukami Europie przyświecała". Słowem, zgodnie z ogólnym poglądem tej epoki historja ma cel czysto utylitarny, wystawiać „wzory mocarzom, obywatelowi, rycerzom, uczonemu, prawodawcy i cnocie".[1] Zdawałoby się, że historja popularna, krzepiąca przedewszystkiem serca narodu, będzie umiłowanem zajęciem przyszłego historyka. Ale już w tym samym referacie za najważniejsze zadanie historyka poczytuje: „wydźwignienie na widok powszechności, a dotąd po książnicach prochem, a wielością lat zakurzonych, najdawniejszych dziejopisów polskich". A więc nie zwykła popularyzacja historji, ani powtarzanie znanych faktów, ale wydawanie drukiem dawnych pisarzy historycznych.

Dążenie do poznania źródeł wzmogło się podczas pobytu Lelewela w Uniwersytecie pod działaniem trzech czynników:

1) samodzielnych studjów, w których Lelewel, często bez kierownictwa umiejętnego, zrazu brał się do zbyt szerokich zagadnień, przechodzących jego wątłe siły, potem przeszedł do rozwiązywania problematów wyższych, głębiej i samodzielniej rozstrzyganych;

2) lektury dzieł erudycyjnych i teoretycznych z zakresu historji;

3) wpływów Groddecka, któremu Lelewel zawdzięcza nietylko znajomość gruntowną języków klasycznych, ale przedewszystkiem zapoznanie się z zasadami umiejętnej krytyki historycznej; — Groddeck rozbudził w nim prawdopodobnie zamiłowania do geografji i numizmatyki, nauk, którym Lelewel z taką pasją będzie się oddawał przez całe życie.

Pod wpływem Groddecka rozwinęło się u Lelewela zamiłowanie do łamania się z zagadnieniami trudnemi do rozwiązania. W przedmowie do rozprawy o Słowianach, napisanej na emigracji, Lelewel pisze, iż jest to właściwość wrodzona człowiekowi „tam zwracać ciekawość, gdzie mu urok tajemnicy rzeczywistą przysłania istotę, zapędzać się w stanowiska przyćmione, aby je rozwidnić". Tę właśnie cechę umysł Lelewela posiadał w wysokim stopniu, a samodzielna praca jeszcze więcej ją rozwinęła. W ostatnich latach pobytu w Wilnie, a później w Krzemieńcu i Warszawie, Lelewel jest przedewszystkiem badaczem ściśle naukowym. Nie przestał się jednak interesować także zagadnieniami teoretycznemi wiedzy historycznej.

---

[1] *Głos miany do Towarzystwa Filomatycznego. Polska, dzieje i rzeczy jej.* Tom XIX. *Rozmaitości* str. 14.

Po raz pierwszy sformułował nieco nieudolnie poglądy na historję w *Historyce*, wydanej w Wilnie w r. 1815, ale napisanej jeszcze na ławie studenckiej. Usiłuje on tutaj rozwiązać cały szereg zagadnień o istocie i zadaniach historji oraz wypowiedzieć zasady krytyki naukowej. Brak doświadczenia w badaniach historycznych i niedostateczna znajomość literatury przedmiotu wpłynęły na to, że początkujący autor wiele kwestyj ujął niejasno, rozwiązał zawile.

Po upływie lat przeszło 10, gdy drukiem ogłaszał owoc swych rozważań nad historją, pierwszą edycję *Historyki* oceniał bardzo surowo: „jest niejasna, ciemna, zwikłana, niesmaczna, krzywa“ [1] W nowem opracowaniu, świadczącem o znacznym postępie, Lelewel wypowiada jasno pogląd na historję. Znać w nim już badacza, ze źródeł czerpiącego wiedzę, i nauczyciela, świadomego swych zadań wobec uczniów. „Jedynie przez podejmowanie prac badawczych, historyczne podejmują się prace, jedynie przez podejmowanie prac badawczych, historykiem zostać można... Żadne prace historyczne... podjęte być nie mogą bez znajomości i użycia źródeł historycznych“. [2] Ta elementarna zasada, dziś powszechnie uznana, wymagała dokładnego i wyraźnego sformułowania w pierwszej połowie ubiegłego stulecia, wobec tendencji do popularyzacji i zbyt pochopnych uogólnień. Lecz zadaniem historyka — według ówczesnych pojęć Lelewela — nie jest tylko badanie przeszłości. „Nauką doświadczenia są dzieje ludzkości, składem jej historja w księdze zamknięta, powiernikiem historyk“, [3] tak się wyraża Lelewel w tej samej broszurce, mówiąc o historji powszechnej. Widzimy więc, że będąc historykiem, głęboko i szczerze zamiłowanym w pracy czysto badawczej, Lelewel nie wyzbył się dawnego, za Cyceronem przez wieki powtarzanego zdania, iż historja jest zbiorem doświadczenia. Pogląd to niebezpieczny, trudno bowiem zachować przy nim równowagę sądu naukowego. I Lelewel nie zawsze jej przestrzegał. W roku 1826, gdy zmysł badawczy górował nad nierozbudzonym wówczas jeszcze temperamentem politycznym, dodał on do swych poglądów na historję zastrzeżenie, spotykane zresztą dość często i u innych

[1] *O historji, jej rozgałęzieniu i naukach związek z nią mających. Pismo w roku 1820 w czerwcu napisane, teraz nieco poprawione i do druku podane.* Warszawa 1826, str. 65, prz. 2.

[2] *Ibidem*, str. 101.

[3] *Ibidem*, str. 107.

pisarzy: historyk wypowiadając sąd, „nie ma innego celu tylko prawdę... czystą w sobie bez odnoszenia jej do praktycznych celów udowodnienia swych maksym; niezastosowywaną do jakich wyszukanych lub szczególnych widoków, ale bezwarunkową, jak jest w sobie samej cała i zupełna". Z tym poglądem przyjechał prawdopodobnie już na Uniwersytet Wileński, tej zasady trzymał się, wykładając z katedry wileńskiej i warszawskiej.

Formułując postulat trzymania się bezwzględnej prawdy w swych dziełach, Lelewel nie odgradzał się od czytelnika i słuchacza. Przeciwnie, umiał ich także pozyskać. Wiadomo powszechnie, że wykładami w Wilnie zyskał sobie ogólną sympatję młodzieży.

Takie były teoretyczne zapatrywania Lelewela na zadania historyka, jako na badacza i nauczyciela. Nasuwa się teraz pytanie, w jaki sposób wywiązał się z nich podczas swej działalności pisarskiej. Długi poczet dzieł ściśle naukowych wskazuje, że był on przedewszystkiem badaczem. Liczne rozprawy nieraz bardzo obszerne, nietylko z historji, ale także z nauk pomocniczych, pisane w kraju i zagranicą często w warunkach wprost fatalnych, wskazują, że namiętność badacza nigdy w nim nie wygasła. Lecz jednocześnie z zamiłowaniem do najszczegółowszych nawet dociekań erudycyjnych rozwija się dążność do syntezy, do stworzenia poglądu na całość dziejów Polski.

Poszczególne składniki syntezy Lelewela, wystąpiły nie odrazu, ale przejawiały się stopniowo. Jednym z najważniejszych było pojęcie narodowości.

Rola jej w ogólnej syntezie dziejowej Lelewela, zdaniem mojem, dotychczas za mało była uwzględniona przez badaczy, zajmujących się Lelewelem.[1] Czynnik ten jednakże miał bardzo doniosłe znaczenie w pracach Lelewela, był głównym bodźcem przy wyborze tematu, stał się zasadniczym probierzem jego sądu dziejowego. Nie

[1] Prof. Pigoń, *O księgach narodu i pielgrzymstwa*, Kraków 1911. *Prawodawca mesjanizmu polskiego* (*Na ziemi naszej* 1911) oraz *Bibl. Narodowa* Nr 17 wykazał wpływ Lelewela na Mickiewicza. Prof. Chrzanowski udowodnił zależność Brodzińskiego od pism Lelewela. *Z epoki romantyzmu*, Kraków 1918, str. 154 oraz *Bibl. Narodowa* Nr 94. O literaturze dotyczącej Lelewela zob. moją rozprawkę *Lata uniwersyteckie* oraz Handelsmana, *Historyka*, wydanie drugie, str. 82—89, gdzie podana jest zwięzła, lecz trafna charakterystyka Lelewela jako uczonego.

bez powodu chyba zatytułował swe wspomnienia o pracach naukowych: „Przygody w poszukiwaniach i badaniu rzeczy narodowych polskich". A i w jednej ze swych pierwszych prac, która aczkolwiek wydana w r. 1815 powstała jeszcze w murach uniwersyteckich, sprawom narodowym Lelewel poświęca dużo uwagi.[1] W *Historyce*, mówiąc o rozmaitych związkach społecznych, zatrzymuje się dłużej nad pojęciem narodu. Nie daje on wprawdzie definicji narodu, ale mówiąc o rozmaitego rodzaju związkach społecznych powiada, że związki rodzinne („familijne") i narodowe są to związki składające się z jednorodnych części, jednej krwi... jednojęzyczne... jednozwyczajowe i t. d... Z tej niezupełnie zresztą przejrzystej definicji wywnioskować można, że Lelewel już wówczas za zasadnicze cechy narodu uważał: 1) wspólność krwi, 2) wspólność języka, 3) wspólność obyczajów (str. 27—28). Celem zaś narodu i związków tworzących się wewnątrz jego „jest ocalenie swego bezpieczeństwa i niepodległości" (str. 38). Te myśli ogłoszone drukiem w r. 1815, a sformułowane prawdopodobnie jeszcze wcześniej, staną się podstawową zasadą jego prac naukowych. Wyszukanie cech narodowych, wyróżnienie ich od rysów obcych, od naleciałości cudzoziemskich — oto zasadniczy problemat jego prac z historji polskiej.

Własne słowa Lelewela, wypowiedziane na schyłku jego życia najdobitniej świadczą, że to zagadnienie interesowało go przedewszystkiem. W r. 1859 z powodu nowych prac Hubego i Helcla o ustawodawstwie Kazimierza Wielkiego w ten sposób się nasz dziejopis wyraża nie bez odcienia melancholji: „Od r. 1813, w narodowym lesie cieśla dopatrywał sobie drzewo, zaciosy czynił, ścinał. Dostrzegano to w latach 1816, 1822. W r. 1824 ociosane belki, krokwie, podwaliny przygotował, a 1828 chatę zbudował, nie z cisu, nie z modrzewia, tylko z sośniny: ćwieczka, kołka obcego w niej nie było, wszystko własne narodowe".[2] Daty, podane tutaj, oznaczają lata, w których powstawały poszczególne dzieła lub rozprawy.

W roku 1813 Lelewel napisał dziełko p. t. *Historja polska do końca Stefana Batorego*. W druku ukazała się ona dopiero po śmierci autora w r. 1863.[3] Jest to bardzo śmiała próba dwu-

[1] *Historyka, tudzież o łatwem i skutecznem nauczaniu historji*. Wilno 1815.

[2] *Rozpatrzenie niektórych względów i pomników prawodawstwa. Polska wieków średnich*. Poznań 1859, t. III, str. 629.

[3] *Polska, dzieje i rzeczy jej*, t. XIII. Poznań 1863.

dziestosiedmioletniego historyka, który, nie mając jeszcze prac specjalnych przygotowawczych, odważył się na tak ryzykowne przedsięwzięcie. We wstępie sentymentalno-pretensjonalnym dość ostro krytykuje dotychczasowe „dziejoklectwo". „Snują się po rękach tysiączne pod imieniem historji ramoty, szczęśliwie, jeśli bez celu samem gadulstwem cierpliwości czytelników doświadczają; częstokroć atoli niedołężnie klecone, do obcych widoków naciągane, wykrętnie wystawione, odbiegając od zacnych historji zamiarów, zrządzają najszkodliwsze dla społeczeństwa skutki" (str. XII). Przeciwstawiając się tym nieudolnym pisarzom, Lelewel pragnie — w myśl zasad sformułowanych w *Historyce* — aby historyk ujmował wydarzenia w łańcuch przyczynowy i badał sprawy ludzkie w związku z czasem i miejscem. Ale nietylko taki cel miał Lelewel przy pisaniu tego utworu. Jak pisze w *Przygodach*, już wówczas „rozważając sprawy i rzeczy Polski", usiłował rozpoznać różnicę pomiędzy cechami cudzoziemskiemi a rodzimemi, aby „wydobyć własny narodowy żywioł, odróżniając go od cudzoziemskiego" (str. 19). Zdawał on sobie także jednak sprawę z tego, że teraz jeszcze nie może wyodrębnić pierwiastka swojskiego od obcego, że praca jego jest raczej programem badań, aniżeli odpowiedzią na postawione zagadnienia. I rzeczywiście w pracy tej stosunkowo bardzo mało zajmował się wyodrębnieniem żywiołu narodowego. Pisząc o prawodawstwie Kazimierza Wielkiego, pobieżnie zaznaczył, że prawo cudzoziemskie, rzymskie i kanoniczne, nie wywierało większego wpływu na prawo narodowe.[1] Ta kwestja wpływu obcych praw na polskie specjalnie go zajmowała. Zanim wystąpił z pracą samodzielną, wypowiadał się w rozprawach krytycznych.

W r. 1816 omówił prace Bandkego, w których już bardzo wyraźnie występował przeciwko przypisywaniu przez autora zbyt wielkiego wpływu prawa rzymskiego i niemieckiego na ustawodawstwo polskie. Za pomocą szczegółowej analizy ustaw i świadectw Lelewel stara się udowodnić tezę, że Polacy prawu rzymskiemu nie ulegają, że je odrzucają.[2] Jeszcze silniej dążność do wyodrębnienia prawa narodowego od obcych pierwiastków występuje w r. 1822 w recenzji rozprawy Aleksandra Mickiewicza i Franciszka Morze

---

[1] *Historja polska do końca panowania Stefana Batorego. Polska, dzieje i rzeczy jej*, t. XIII, str. 216.

[2] *Rozbiory dzieł*, Poznań 1844, str. 206.

o wpływie prawodawstwa rzymskiego na polskie i litewskie.[1] Podobnie, jak i w poprzedniej recenzji, redukuje on wpływ prawa rzymskiego do bardzo małych rozmiarów. Natomiast stara się rozpoznać pierwotne prawa polskie, a wśród nich odtworzyć „prawa czyli zwyczaje miejscowe, jakie existowały przed spojeniem ludów przez Bolesława Wielkiego w jedno państwo“ (str. 241).

Pogląd swój na prawo narodowe,[2] wolne od obcych wpływów, zawarł w pracy ogłoszonej w r. 1828 w Rocznikach Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk.[3] O tej to właśnie rozprawie powie, że w r. 1828 zbudował chatę, w której „wszystko było własne narodowe“. Motto z *Grażyny*, na czele tej rozprawy umieszczone, miało przedewszystkiem oznaczać, że prawodawstwo polskie „namowom cudzym mało dając ucha, zamiary knuło w głębi swego ducha“. Zadanie Lelewela polegało na tem, aby cechy narodowe prawodawstwa polskiego wyrozumieć i „wpływ obcy, jaki nań działał, oznaczyć“. Według niego Naruszewicz, Czacki, Bandtke zbyt wielki wpływ przypisywali prawom obcym frankońskim, germańskim czy rzymskim. „Za tem poszło krzywe własnych rzeczy pojmowanie i rozumienie, nieczyste onych wystawienie, na widok czego strwożony duch narodowy uciekał i ustępował naśladownictwu cudzoziemszczyzny: bośmy patrzyli na siebie, jakby na gąbkę, którą coraz inna wilgoć napawa“. Zasadnicza teza jego pracy polega na na tem, że w statutach Kazimierza Wielkiego w głównym zrębie

[1] *Tamże*, str. 233.

[2] O sporze w pierwszej ćwierci XVIII w. o genezę prawa polskiego i wpływ nań prawa rzymskiego zob.: Balzer, *Historja porównawcza praw słowiańskich*, Lwów 1900, str. 11; Dąbkowski, *Prawo prywatne* I 23—27; tenże, *Tadeusz Czacki*, 1913, str. 16. O Lelewelu jako prawniku: Balzer, *Przyczynki do historji źródeł prawa polskiego*, Kraków 1903, str. 9—10 w przypisku. Handelsman, *Kara w najdawniejszem prawie polskiem*, str. 5—6: „Praca (Lelewela) przewyższa i pod względem konstrukcyjnym i pod względem źródłowym praca współczesnych badaczy np. Bandtkego“. Dąbkowski, *Prawo prywatne*, I, 72: „Pierwszemu L. przyznać należy zasługę skierowania pracy na właściwe tory lubo celu sobie zakreślonego nie dopiął głównie z powodu braku źródeł“. Surowszy sąd o Lelewelu: Bobrzyński M., *O dawnem prawie polskiem*, Warszawa 1874, str. 19—21. O obecnym stanie wiedzy o statutach Kazimierza Wielkiego zob.: Kutrzeba St., *Historja źródeł dawnego prawa polskiego* I, 159 nn. oraz Taubenschlag, *Powstanie statutów K. W. Bul. de l'Académie*, Kraków 1928, Nr 1—3, str. 18.

[3] *Roczniki Tow. Warsz. Przyjaciół Nauk*, t. XIX i XX.

przechowało się dawne prawo rodzime. Było ono skażone przez obce wpływy prawa rzymskiego i teutońskiego, ale w obydwu statutach wielkopolskim i małopolskim przechowała się jedna natura, jedna zasada, jeden duch, wynikające „z ich początków słowiańskich". Już Przemysław, a szczególnie Łokietek przez swą pracę ustawodawczą wskrzesili dawne prawo polskie. Za to wznowienie pierwiastków narodowych Lelewel tak wysoko cenił Łokietka, stawiając go daleko wyżej od syna. W odczycie o Łokietku, w którym z takim zapałem mówił o tym królu, wykazywał, jak za jego panowania upowszechniał się i wzmagał zwolna duch publiczny i narodowy. Teraz stara się Lelewel udowodnić, że Łokietek „z gruzów pokruszoneego prawa narodowego wydobywał zapomniane i nieładem a rozpustą wieku zszarzane i nadwerężone ustawy narodowe. Przypomniał Polakom, aby się swojego narodowego nie wyrzekali obyczaju".

Zachowanie ducha narodowego i nieskazitelności obyczajów jest istotnem zadaniem narodu i jego kierowników, a więc ono stanie się też podstawą i kryterjum sądu dziejowego dla Lelewela. W jednem ze swych pism polemicznych [1] tłumaczył, że dlatego tak wysoko cenił Bolesława i Łokietka, że „stojąc na czele ruchu narodowego pojęli potrzeby jego i stali się wyrazem życia jego". Dążność do wykazania cech narodowych społeczeństwa polskiego występuje i w innych utworach Lelewela. W *Dziejach Polski potocznym sposobem opowiedzianych* ogół cech narodowych występuje pod nazwą narodowości. Pojęcie to mniej więcej odpowiada dawniej używanemu przez Lelewela wyrażeniu „duch narodowy". Podobnie jak w *Historyce* zasadniczemi cechami narodu były wspólny język i obyczaje, również głównemi składnikami narodowości u Lelewela są zwyczaje i język. Zresztą ścisłej definicji Lelewel tego pojęcia nie podaje. Czasami te pojęcia występują jak współrzędne, czasami język stanowi część składową narodowości. Pojęcie narodowości, spotykane u Lelewela, przypomina w znacznym stopniu *Listy o polskiej literaturze* p. t. *O narodowości* (z r. 1820) Brodzińskiego. Jednak o jakiejkolwiek zależności jednego autora od drugiego nie może być mowy. Lelewel już w r. 1815 w *Historyce* wymieniał te same cechy niemal, co Brodziński. Pojęcia narodowości nie były ideami literackiemi, zapożyczonemi od

[1] *Rozmaitości*, str. 204.

tego czy innego pisarza swojskiego lub cudzoziemskiego, ale były to, jak to słusznie powiedział prof. Chrzanowski, myśli powszechne w tej epoce.[1] Nie z literatury, ale z życia je zaczerpnął Lelewel. Już na wykładach Hussarzewskiego i w rozmowach z nim dowiadywał się prawdopodobnie od swego profesora, że na sprawy narodowe należy przedewszystkiem zwrócić uwagę. W ideologji młodzieży wileńskiej pojęcie to występowało wśród haseł stowarzyszeń studenckich. Nowosilcew zwalczał przedewszystkiem „nierozsądną narodowość polską".[2] W Warszawie „Towarzystwo patrjotyczne" miało za cel „zapewnić dobro powszechne Polaków przez utrzymanie ducha narodowego, dawnych obyczajów i t. d."[3] Narodowość była jednym z elementów zasadniczych atmosfery romantyczno-politycznej, w której żyła nasza młodzież. A więc zdanie Lelewela w jego *Dziejach Polski* (§ 69): „nic więcej człowieka uzacnić i w obywatelskiej cnocie zachować nie zdoła, jak zachowanie narodowości i języka"[4] — było odbiciem ogólnego nastroju, panującego w ówczesnem społeczeństwie.

(Dok. nast.)

---

[1] *Mowa Brodzińskiego „O narodowości Polaków". Z epoki romantyzmu.* Kraków str. 143 nn.

[2] Askenazy, *Łukasiński,* II, str. 248.

[3] Handelsman, *Rozwój narodowości nowoczesnej,* II, str. 111.

[4] Lelewel — zgodnie z powszechnym poglądem — w epoce Królestwa Kongresowego przypisywał niezmiernie doniosłą rolę językowi: „Skoro więc i mieszczanie z czasem nad włościanami górę wezmą, lękać się należy, abyśmy tej jedynej podstawy narodowości, to jest języka polskiego nie stracili. Zmartwychwstała Grecja, bo żył jej język, nie powstaną Rzymianie, bo język ich umarł". *Uprzednia myśl.* Polska, dzieje, III str. 5 przyp.

LIEBMANN HERSCH
PROFESOR UNIW. W GENEWIE

JESZCZE O SYJONIZMIE

ODPOWIEDŹ NA ARTYKUŁ P. Dra MIECZYSŁAWA KAHANEGO, OGŁOSZONY W ZESZYCIE Z MARCA 1930 R.*

Do kwestji syjonizmu *Przegląd Współczesny* wróci jeszcze niejednokrotnie. W numerze tym jednak, z uwagi na brak miejsca, zmuszeni jesteśmy zamknąć polemikę, wynikłą z powodu odmiennych zapatrywań na teraźniejszość i przyszłość ruchu syjonistycznego — zapatrywań reprezentowanych przez pp. prof. Dra L. Herscha i Dra M. Kahanego.

(Przyp. Red.)

I

Wbrew obowiązkowym, urzędowo-optymistycznym ocenom, w które obfituje artykuł p. Sekretarza Przedstawicielstwa Agencji Żydowskiej dla Palestyny przy Lidze Narodów, z wywodów jego, szczególnie zaś z części ostatniej, tchnie głęboki, graniczący z rozpaczą, pesymizm. Defetyzm, omal że nie na całej linji. O skupieniu liczebnie znacznej części żydostwa w Palestynie nie może być, według niego, mowy: z 16 miljonów Żydów rozprószonych po świecie zaledwie 2 do 3 miljonów mogłoby znaleźć miejsce w Palestynie, i to dopiero po kilku generacjach. Nie może też być, według niego, mowy o tem, ażeby Żydzi utworzyli w Palestynie państwo żydowskie; dążyć można jedynie do tego, ażeby Palestyna stała się „siedzibą narodową" — mgliste pojęcie, pod którem, według p. Sekretarza Przedstawicielstwa Agencji Żydowskiej, rozumieć należy

* Już po napisaniu tego artykułu ogłoszone zostało sprawozdanie angielskiej Komisji Śledczej o tragicznych zajściach w Palestynie. Czytelnik może skonstatować, że sprawozdanie to w zupełności potwierdza narysowany w moich artykułach obraz stosunków palestyńskich.

„państwo dwunarodowe, t. zn. państwo, w którem narodowości żydowska i arabska będą równouprawnione". Uważając, że „los syjonizmu i los Siedziby Narodowej Żydowskiej jest sprawą życia i śmierci narodu żydowskiego", oświadcza p. Kahany, że urzeczywistnienie celu syjonistycznego zależy przeważnie od czynników stojących poza żydostwem: „w pierwszej linji od polityki Wielkiej Brytanji". Przyznaje również, że „ten fakt... uprawnia każdego, kto badał rządy Wielkiej Brytanji w Palestynie w dziesięcioletnim okresie powojennym, do pesymistycznych konkluzyj na temat przyszłości syjonizmu". I dodaje: „Gdyby rząd Wielkiej Brytanji zechciał po wszystkiem, co zaszło, kontynuować w Palestynie swoją dotychczasową politykę *laisser faire, laisser passer,* to perspektywy na przyszłość wydawałyby się i nam dosyć ponure". Przytem autor jest zdania, że „najbardziej zgubną politykę ustępstw i kompromisów" zainaugurował nie kto inny, jak sam „Wysoki Komisarz dla Palestyny, sir Herbert Samuel, przywódca angielskiej partji liberalnej, Żyd i syjonista".

A więc losy syjonizmu, a wraz z niemi „życie i śmierć żydowskiego narodu", zależą głównie od tego, czy rząd brytyjski zerwie radykalnie z dotychczasową dziesięcioletnią polityką palestyńską, zainaugurowaną nadto przez Żyda i syjonistę, Herberta Samuela. Tak mówi Żyd i syjonista, Dr Kahany. Jakaż kapitulacja moralna! Jakiż brak wiary we własne ideały, we własne siły ubóstwianego narodu, ze strony nacjonalisty żydowskiego! A jakież są, jego zdaniem przynajmniej, widoki, że w polityce rządu angielskiego nastąpi radykalna zmiana na korzyść syjonistów?

Pod tym względem autorowi „wydaje się jako dosyć pewne" tylko jedno: rząd angielski swą dotychczasową politykę zmieni. Lecz czy na korzyść syjonistów czy też na korzyść Arabów — co do tego żadnej pewności autor już nie posiada. Mówi nawet wyraźnie: „Nie łudzimy się, że faktor (— autor używa tego słowa prawdopodobnie zamiast wyrażenia „czynnik" —) arabski, względnie muzułmański, oddziałuje i oddziaływać musi[1] na politykę angielską w Palestynie silniej, niż faktor żydowski albo nawet faktor moralnej odpowiedzialności w stosunku do Ligi Narodów".

[1] Wszędzie podkreślone przeze mnie *(L. H.)*.

A więc?... Autor nie wyciąga ostatniego, fatalnego wniosku; woli czekać na odpowiedź angielską, która „nie może już być mglistą i wymijającą".

Przyznać się muszę, że czytając górnolotne oświadczenia nacjonalistycznego autora, konstatując w tym długim artykule nieprzerwany łańcuch niedokładności historycznych, cały szereg nieścisłości liczbowych, i wobec wielokrotnych demagogicznych aluzyj do mnie osobiście skierowanych, nosiłem się pierwotnie z zamiarem odpowiedzenia autorowi w nieco inny sposób, niż to czynię obecnie, po przeczytaniu ostatnich jego wywodów. Miast krytykować i rozpraszać resztki jego złudzeń, chciałbym przeciwnie podtrzymać w nim jakąś wiarę, dodać mu nieco otuchy. Chciałbym mu powiedzieć: Do śmierci narodu żydowskiego jeszcze daleko. Przetrwał on pochody krzyżowe i inkwizycję hiszpańską, przetrwa więc też politykę „leseferyzmu" w Palestynie. Przeżył cesarza rzymskiego Tytusa i królowę Izabelę, więc przeżyje też sir'a Herberta Samuela i jego następców. Żył lat tysiące przed powstaniem syjonizmu, więc będzie mógł prawdopodobnie istnieć i po jego zniknięciu. Pocóż bez logicznej potrzeby i historycznej perspektywy identyfikować życie narodu żydowskiego z tak w gruncie rzeczy przemijającemi zjawiskami, jak syjonizm lub polityka tego czy owego rządu? Nie ulega wątpliwości, że dla syjonistów upadek syjonizmu jest głębokim dramatem wewnętrznym, lecz nie należy być do tego stopnia przesadnym, aby widzieć w nim zagładę całego narodu żydowskiego: dramat syjonistyczny stałby się wówczas poprostu farsą.

W każdym bądź razie przedstawiciel Agencji Syjonistycznej, w głębokiej trwodze o losy swego tonącego ideału, chwyta się wszystkiego, co napozór mogłoby ten ideał chociażby częściowo jeszcze uratować. Że autor przytem często sam się oszukuje, jest to zupełnie naturalne. To też różne błędne twierdzenia, które p. Kahany podaje czytelnikom, będę traktować jedynie jako objawy samooszukiwania się, i to nawet wówczas, gdy autor, jako funkcjonarjusz Organizacji Syjonistycznej, powinien był być poinformowany co do rzeczywistego stanu rzeczy. Przytem nie może być oczywiście nawet mowy o tem, abym sprostował na tem miejscu wszystkie, chociażby najpoważniejsze niedokładności, które zawiera długi artykuł p. Kahanego.

Zatrzymam się jedynie na nieścisłościach tych jego wywodów, które miały za cel bezpośredni zachwiać tezą postawioną w moim artykule.

II

Jak już zaznaczyliśmy, p. Kahany przyznaje, że z pośród 16 miljonów Żydów maximum 2 do 3 miljonów, i to po szeregu generacyj, mogłoby osiąść w Palestynie, tak iż exodus Żydów z krajów „diaspory" jest jedynie „marzeniem najskrajniejszych antysemitów", do urzeczywistnienia którego syjonizm dążyć nie może. P. Kahany uznaje więc słuszność przytoczonych przeze mnie wywodów teoretyka syjonistycznego, Dra Ruppin'a, według którego po 30 latach najpomyślniejszej nawet imigracji zaledwie 5% ludności żydowskiej znalazłoby się w Palestynie, a 95% pozostałoby w „diasporze".

Przyznaje też naturalnie p. Kahany, że spis ludności Palestyny z roku 1922 wykazał w tym kraju 84 tysiące Żydów, przy 757 tysiącach ogółu ludności, czyli, że ludność nie-żydowska przewyższała wówczas o 600.000 ludność żydowską (od tego czasu przewaga liczebna nie-Żydów wzmogła się jeszcze o 50.000). Nie przeczy również naszemu twierdzeniu, opartemu na urzędowych danych palestyńskich, że dzięki owej przewadze liczebnej (jakoteż ze względu na stale wyższą stopę przyrostu naturalnego) przyrost naturalny ludności nie-żydowskiej Palestyny jest o 15 tysięcy wyższy, aniżeli naturalny przyrost ludności żydowskiej. Natomiast nie zgadza się on na to, ażeby nie można było liczyć na więcej niż 5—6 tysięcy imigrantów żydowskich rocznie (po odliczeniu reemigracji), spodziewa się bowiem, że w przyszłości wraz z radykalnem polepszeniem się warunków ekonomicznych kraju, można będzie osiągnąć kontyngent roczny dochodzący do 30 tysięcy. Nie wspominając już o tem, że cyfra ta nie jest absolutnie na niczem pozytywnem oparta, zaznaczam jedynie, że nawet przy przeciętnej 30-tysięcznej imigracji — o której w każdym bądź razie nie może być mowy w najbliższej przyszłości — 15 tysięcy musiałoby pójść na pokrycie obecnej przewagi przyrostu naturalnego ludności nie-żydowskiej, tak że zaledwie 15 tysięcy przyczyniłoby się do wyrównania owej przewagi liczebnej, jaką nie-Żydzi posiadają obecnie w Palestynie, i która sięga wyso-

kości 650 tysięcy dusz. Przyjmując więc nawet owo na niczem nie oparte przypuszczenie, że 30 tysięcy Żydów będzie rok rocznie imigrowało do Palestyny, p. Kahany musi przyznać, że:

1) w ciągu lat czterdziestu Żydzi bądź co bądź pozostaną mniejszością pośród ludności palestyńskiej;

2) mimo ruchu syjonistycznego ludność żydowska w krajach poza-palestyńskich nietylko się nie zmniejszy, lecz przeciwnie będzie wzrastała (gdyż przyrost naturalny żydostwa „diaspory" wynosi około 150 tysięcy rocznie).

O cóż więc właściwie idzie?

Historyczny spór o to, gdzie znajdzie swe rozwiązanie kwestja żydowska, dzielił w ciągu półstulecia społeczeństwo żydowskie na dwa obozy: jedni (asymilatorzy, socjaliści, ludowcy) utrzymywali, że musi ona zostać rozwiązana t u t a j, w krajach zamieszkałych od wieków przez ludność żydowską; drudzy zaś (palestynofile, syjoniści) twierdzili, że t a m, w Palestynie, spór ten został już poniekąd rozstrzygnięty. Trudno jest jeszcze bowiem utrzymywać, że 16-miljonowa ludność żydowska „diaspory" powinna być dodatkiem do kilkusettysięcznej (spodziewanej) ludności żydowskiej Palestyny, a nie odwrotnie. Z drugiej zaś strony, kwestja: czy po nowych 40—50 latach Żydzi mogą się stać większością w Palestynie, nabrała raczej akademickiego charakteru. Syjoniści bowiem sami zdają już sobie sprawę, że o ile w ciągu najbliższych 10—15 lat nie uda się im urzeczywistnić swego celu, to wobec szybkiego rozwoju społeczeństwa arabskiego w Palestynie i poza Palestyną wszelkie w tej dziedzinie zamierzenia na później są zgóry chybione; to, co obecnie mogłoby jeszcze ewentualnie być osiągnięte, stanie się z czasem niemożliwością.

Spór między p. Kahanym i mną tyczy się więc właśnie owej kwestji o charakterze akademickim, czy na podstawie danych dotychczasowych i sytuacji obecnej liczyć można na to, że Żydzi staną się w Palestynie większością ludności, chociażby i po 40 latach (jak to wynika z wywodów p. Kahanego), czy też że, jak dalece możemy spojrzeć w przyszłość, pozostaną oni w tym kraju mniejszością.

Uważałem za wskazane uwydatnić granice sporu co do objektywnych możliwości zaludnienia Palestyny przez Żydów, ażeby przez dyskusję nad kwestjami mniej lub więcej drugo-

rzędnemi czytelnik nie przeoczył problematu najważniejszego i — dziś już prawie bezspornego. Możemy więc obecnie przejść do bardziej szczegółowych rozważań.

III

Przy normalnej imigracji, wynoszącej 5—6 tysięcy Żydów rocznie, przewaga liczebna nie-Żydów wzrastać będzie w Palestynie w dalszym ciągu o 9 do 10 tysięcy rocznie (gdyż przyrost naturalny nie-żydowski przewyższa o 15 tysięcy przyrost naturalny żydowski). Dlatego też p. Kahany nie uznaje przyjętej przeze mnie liczby 5 do 6 tysięcy, jako normalnej dla imigracji żydowskiej. Krytyka zaś jego jest dwojaka: 1) uważa, że popełniam „kapitalne błędy", wyciągając z danych dotychczasowych wnioski co do przyszłości imigracji żydowskiej do Palestyny; 2) stara się wykazać, że nawet dotychczasowa imigracja żydowska przewyższała dalece cyfry przeze mnie podane. Zacznijmy od tego ostatniego zarzutu, jako najłatwiej poddającego się sprawdzeniu.

P. Kahany twierdzi co następuje: „Istotnie w ciągu dziewięciu lat powojennych (styczeń 1919 do grudnia 1928) — z których do tego pierwsze trzy lata były dla pracy syjonistycznej z powodu zwłoki w zatwierdzeniu mandatu przez Ligę Narodów tak dobrze jak stracone — przywędrowało do Palestyny 101.400 imigrantów żydowskich, z których 26.000 (jest to zupełnie normalny procent) reemigrowało".

A więc wyciągając wniosek, czego nie uczynił dyplomatyczny przedstawiciel syjonistyczny, otrzymamy, że czysta imigracja żydowska do Palestyny wynosiła według niego samego zaledwie 75 tysięcy za cały ten okres (101.400—26.000). Zaznaczę również, że okres od stycznia 1919 do grudnia 1928 stanowi nie 9, jak zapewne przez *lapsus* podaje p. Kahany, lecz 10 lat. Niezupełnie dokładnem jest też twierdzenie, iż pierwsze trzy lata były dla imigracji żydowskiej „tak dobrze jak stracone", gdyż kilka wierszy poniżej autor sam podaje, że ludność żydowska Palestyny wynosiła z początkiem roku 1919 — 55.000, zaś według spisu ludności z roku 1922 już 84.000, wykazując w ten sposób wzrost o 29 tysięcy. Tłumaczy to nam zresztą trzecia niedokładność, o której sam autor nie

mógł nie być poinformowany, a mianowicie: kilkadziesiąt tysięcy Żydów palestyńskich zbiegło lub uległo ewakuacji do Egiptu podczas wojny; począwszy od roku 1919, większa ich część powraca, i tych to wszystkich powracających uciekinierów i ewakuowanych zaliczył p. Kahany do imigracji żydowskiej, ażeby otrzymać powyżej wymienioną liczbę 101 tysięcy. Czwartą niedokładnością — i to już całkowitą — jest twierdzenie, jakoby 26 procent reemigrantów było czemś „zupełnie normalnem". Żydzi bowiem emigrujący do Palestyny nie należą bynajmniej do kategorji wychodźców czasowych, udających się do obcych krajów dla zebranie tam oszczędności i powrotu z niemi do kraju; wyjeżdżają oni do Palestyny z mocnym zamiarem pozostania tam na zawsze. Również reemigranci żydowscy nie są to wychodźcy, którzy poprawiwszy swój byt materjalny, powracają z nowemi siłami ekonomicznemi do kraju — lecz są to rozbitki materjalne i moralne, które pozostawiły w Palestynie niewielki majątek wraz ze swemi najświętszemi ideałami i wierzeniami. Otóż w żadnym kraju i w żadnym narodzie nie można pośród stałych emigrantów spotkać nawet w przybliżeniu równie wysokiego procentu reemigrantów, jak ten, który konstatujemy pośród Żydów imigrujących do Palestyny. Wśród Żydów, udających się do Stanów Zjednoczonych w okresie imigracji nieograniczonej, stosunek wychodźców powracających do kraju wynosił zaledwie 5% ogółu żydowskich imigrantów — i byli to niemal wyłącznie ludzie, którzy dorobili się drobnego majątku w Ameryce. (Obecnie o reemigracji żydowskiej ze Stanów Zjednoczonych nie może być prawie mowy). Tymczasem dyplomatyczny przedstawiciel ruchu syjonistycznego uważa 26 procent imigrantów stałych, którzy Palestynę opuszczają, za coś „zupełnie normalnego".

Nie, te dziesiątki tysięcy Żydów, którzy na ołtarz Ziemi Obiecanej nieśli ofiarnie swe skromne mienie, swą młodość, swe siły, swą wielką wiarę, a którzy z tej ziemi zostali bezlitośnie wygnani, zmuszeni do powrotu do znienawidzonej „diaspory", by szukać pożywienia dla siebie i swych niemowląt — te dziesiątki tysięcy reemigrantów żydowskich z Palestyny to już nietylko coś, czego żaden normalny człowiek „zupełnie normalnem" nazwać nie może, lecz jest to według mnie niezbity dowód, że i obecna imigracja żydowska do Palestyny znacznie

przekracza możliwości tego małego i ubogiego kraju. Może p. Kahany zapomni na chwilę, że jest dyplomatycznym przedstawicielem organizacji syjonistycznej i zastanowi się nieco nad tą emigracją z Palestyny: wątpię bardzo, czy i wówczas będzie się o niej pobłażliwie wyrażał, jako o zjawisku „zupełnie normalnem".

Jednakże i sama liczba 26.000 reemigrantów jest również nieścisła. W rzeczywistości zarejestrowano bowiem 26.000 emigrantów żydowskich z Palestyny w okresie 1922—1929; niewiadomo zaś, ilu ich emigrowało w latach 1919—1921.

A więc zaledwie w 6 wierszach p. Kahany popełnił ni mniej ni więcej jak pięć niedokładności: określił cytowany okres jako o rok krótszy (9 zamiast 10 lat) niż jest w rzeczywistości, a w tem nazwał straconemi trzy lata, które bardziej niż przeciętnie zaważyły na wyniku jego bilansu; sztucznie powiększył liczbę imigrantów, zaliczając do niej wszystkich powracających uciekinierów wojennych; zmniejszył rzeczywistą liczbę reemigrantów i ogłosił za „zupełnie normalne" coś najzupełniej, w dziejach wędrówek współczesnych wogóle, żydowskich zaś w szczególności, wyjątkowego. Oto rezultat oszukiwania samego siebie.

Nie inną jest zresztą wogóle „statystyka" naszego autora. Chcąc wykazać szybki wzrost, względny i bezwzględny, ludności żydowskiej w Palestynie, cytuje nieco dalej: liczbę Żydów, podaną przez władze administracyjne na początku roku 1919, liczbę spisu ludności z roku 1922, oraz liczbę obliczoną przez palestyński Urząd Zdrowia za lipiec 1928. Co do pierwszej liczby (1919) autor zapomina, że jest ona o kilkadziesiąt tysięcy niższa, niż liczba przedwojenna Żydów palestyńskich, gdyż dotyczy chwili, kiedy część ludności żydowskiej była ewakuowana do Egiptu. Co do dalszych liczb, p. Kahany podaje je w następujący sposób:

	Żydów	Wogóle
1922	83.794	757.000
1928	150.000	812.000 [1]

[1] W rzeczywistości liczba ta odnosi się do roku 1929. Na lipiec 1928 Palestyński Departament Zdrowia, na który powołuje się pan Kahany, podaje liczbę 795 tysięcy *(Annual Report for the Year 1928*, Jerusalem 1929, strona 12).

Czytelnik może więc skonstatować, że w ciągu lat 1922—1928 liczba Żydów wzrosła o 66 tysięcy (150.000—84.000), podczas gdy cała ludność Palestyny powiększyła się zaledwie o 55 tysięcy (812.000—757.000), czyli że ludność nie-żydowska zmniejszyła się w tym samym okresie, w cyfrach absolutnych, o 11 tysięcy. Czytelnik, który nic nie wie o Palestynie, prócz tego, co mu powiada p. Kahany, jest w błąd wprowadzony. Jeżeli zaś wie coś o ogromnym przyroście naturalnym ludności arabskiej Palestyny, to musi być wielce zdziwiony i przestaje wogóle rozumieć. A jednak sprawa jest dość prosta. Ogólna liczba, podana za rok 1922, obejmuje całą ludność Palestyny, zarówno osiadłą (654.000), jak i koczującą (103.000), która składa się z samych Arabów (Beduinów). Liczba zaś, którą podaje pan Kahany jako ogólną za rok 1928, obejmuje w rzeczywistości tylko ludność osiadłą, bez włączenia 103.000 Beduinów, policzonych w 1922, ani ich przyrostu naturalnego w okresie 1922—28 (jeżeli przyjąć za podstawę stopę przyrostu naturalnego osiadłej ludności muzułmańskiej, wynosiłby on około 18.000 osób). W ten sposób, przyjąwszy przez omyłkę liczbę ludności osiadłej, i do tego liczbę nieścisłą, zamiast liczby całej ludności, i porównując liczbę Żydów, raz (1922) z całą ludnością, drugi raz (1928) jedynie z ludnością osiadłą, p. Sekretarz Przedstawicielstwa Syjonistycznego za jednym zamachem zmniejsza absolutną liczbę ludności arabskiej o przeszło 100 tysięcy, stosunek zaś procentowy Żydów do ogólnej ludności palestyńskiej, jakoteż wzrost tego stosunku, odpowiednio pomnaża (18% zamiast 16%).

IV

Lecz dosyć doprawdy dyskusji na temat niefortunnych ocen statystycznych p. Kahanego. Sądzę, że lepiej będzie, jeżeli przytoczę urzędowe dane palestyńskie, dotyczące imigracji żydowskiej w tym kraju, a czytelnik niech sam osądzi słuszność mych wywodów. (W mym pierwszym artykule nie chciałem obciążać czytelnika zbytnią ilością danych statystycznych, lecz obecnie, wobec omyłek p. Kahanego, uważam to za niezbędne).[1]

[1] Od czasu napisania mego pierwszego artykułu ukazały się dane całkowite za rok 1929, które również przytaczam.

MIGRACJA ŻYDOWSKA W PALESTYNIE (1922—1929)

Rok	Imigracja *brutto*	Emigracja	Imigracja *netto*	Na 100 imigrantów było emigrantów
1922	7.844	1.503	+ 6.341	19·2
1923	7.421	3.466	+ 3.955	46·7
1924	12.856	2.037	+ 10.819	15·8
1925	33.801	2.151	+ 31.650	6·4
1926	13.080	7.464	+ 5.616	57·1
1927	2.713	5.071	— 2.358	186·9
1928	2.178	2.168	+ 10	99·5
1929	5.249	1.746	+ 3.503	33·3
1922—1929	85.142	25.606	+ 59.536	30·1

Mając na uwadze właśnie powyższe liczby, jakoteż bardziej szczegółowe dane według miesięcy, pisałem w mym pierwszym artykule: „Mimo sentymentu łączącego szerokie masy żydowskie z Palestyną, mimo owych „opatrznościowych" okoliczności, o których wspominaliśmy powyżej, zaledwie 7—8 tysięcy Żydów rocznie imigrowało do Palestyny, — co było zaś objawem jeszcze bardziej znamiennym: z tej liczby około dwóch tysięcy rocznie musiało Palestynę opuszczać, straciwszy tam swój drobny majątek, nie znalazłszy zajęcia, w materjalnej i moralnej depresji. Więcej niż 5—6 tysięcy imigrantów rocznie Palestyna pochłaniać nie była w stanie. A gdy syjoniści, ujrzawszy, że tą drogą rozwiązanie kwestji posuwa się zbyt wolno, sztucznie wywołali w roku 1925 silniejszą imigrację drobnego mieszczaństwa (t. zw. „czwartą falę"),[1] to skutki tego awanturniczego przedsięwzięcia okazały się fatalne dla całej sprawy kolonizacyjnej: po chwilowej wzmożonej imigracji nastąpił niebywały kryzys i bezrobocie, i nietylko dalsza normalna imigracja została zahamowana, lecz reemigracja wzrosła do niezwykłych rozmiarów, przekraczając w ciągu dwu lat (od lipca 1926 do lipca 1928) imigrację do Palestyny; po dziś dzień imigracja ta nie osiągnęła jeszcze owych 5—6 tysięcy *(netto)*, które spotykaliśmy przed „czwartą falą". O jakiejkolwiek zaś tendencji ku wzrostowi imigracji *netto* w ciągu tych ośmiu lat nie może być mowy. „Przy olbrzymich wysiłkach

[1] Fala ta rozpoczęła się właściwie w lipcu 1924 roku i zakończyła się ostatecznie w lipcu 1926 roku.

więc i wyjątkowo sprzyjających warunkach Palestyna pochłaniać mogła zaledwie 5—6 tysięcy imigrantów żydowskich rocznie".

Zauważmy jeszcze:

1) Że w ciągu całego ośmioletniego okresu, 1922—1929, reemigracja żydowska z Palestyny wyniosła 30% imigracji. Nawet w roku ostatnim (1929), gdy, według p. Kahanego, „kryzys lat 1926—1927 po masowej imigracji w r. 1925 jest już dawno zlikwidowany", na 100 imigrantów konstatujemy 33 reemigrantów. Trzecia część wszystkich żydowskich osiedleńców musi Palestynę opuszczać. „Zupełnie normalne" zjawisko, nieprawdaż?

2) Że z 60.000 (59.536) Żydów, którzy w ciągu tych ośmiu lat przybyli do Palestyny *(netto)*, około 32.000 (31.650), czyli 53% imigracji *netto* całego tego 8-letniego okresu, przypada na jeden rok (1925) owej awanturniczej „czwartej fali". Siedem pozostałych lat (włączając już drugie półrocze 1924 i pierwsze półrocze 1926) dały *netto* razem wszystkiego 28.000 (27.886) imigrantów.

A działo się to, jak już zaznaczyłem bardziej szczegółowo w mym pierwszym artykule, w okolicznościach, jedynych w historji Żydów, dla mas ludowych nader tragicznych, lecz imigracji żydowskiej do Palestyny wyjątkowo sprzyjających. Te okoliczności nie zawsze oczywiście istnieć będą, a po części nawet już mijają. Z drugiej zaś strony, jak to również zaznaczyłem, „zasoby ziemi do nabycia w Palestynie szybko się wyczerpują, skutkiem czego ceny gruntów idą silnie w górę i osiedlanie nowych przybyszów staje się coraz trudniejsze i kosztowniejsze". Prócz tego opór ze strony Arabów ostatnio wzmógł się bardzo i niezawodnie będzie się wzmagał, w miarę tego, jak obszary ziemi przez Żydów nabyte obejmować będą coraz znaczniejszą część kraju. A chociaż rozwój przemysłu, z natury rzeczy bardzo skromny, w Palestynie powiększyłby nieco możliwości imigracji do miast tego kraju, to jednak wychodźtwo ludności tubylczej ze wsi do miast, które bezwątpienia z czasem również się powiększy, nie może nie utrudnić miejskiej imigracji żydowskiej.

To też zaznaczyłem, że przypuszczenie moje, jakoby i w przyszłości, i to w ciągu nieograniczonego okresu czasu, 5 do 6

tysięcy nowych imigrantów żydowskich mogło normalnie rok rocznie osiadać w Palestynie, uważać należy raczej za optymistyczne. P. Kahany zaś potępia mnie za uogólnienie na przyszłość owych 5—6 tysięcy, poucza, że „tak śmiałej metody nie powinien obierać żaden poważny statystyk", i ze swej strony prorokuje jako normalną roczną imigrację 30 tysięcy.

V

Aby zaś chociaż trochę uzasadnić te nieco fantastyczne, a dla p. Kahanego widocznie wcale nie za śmiałe przepowiednie, musiał on odkryć w Palestynie jakieś olbrzymie i dotychczas nieznane lub niezużytkowane bogactwa naturalne. A ponieważ w rzeczywistości owych bogactw niema, p. Kahany, jak zresztą wogóle propaganda syjonistyczna w ciągu półstulecia, chce je stworzyć siłą wyobraźni. Powtarza więc oklepane frazesy o położeniu geograficznem Palestyny, które ją „przeznacza", aby stała się „krajem handlu i tranzytu *par excellence* dla całego olbrzymiego *hinterlandu* Bliskiego Wschodu", czem w rzeczywistości nigdy nie była, a to poprostu dlatego, że Palestyna, leżąca między morzem a pustynią żadnego *hinterlandu* w ekonomicznem tego słowa znaczeniu wogóle nie posiada i w dodatku nie ma ani jednej rzeki lub nawet przyzwoitej rzeczki, płynącej z wnętrza kraju do morza. W rzeczywistości, „olbrzymi i ekonomicznie coraz bardziej się rozwijający *hinterland* Bliskiego Wschodu" posiada swe własne rzeki i porty morskie, i jest do tego — arabskim. Nie posiada też Palestyna węgla, metali, nafty etc., ale za to p. Kahany jest „prawie pewien", że będzie posiadała rurociągi naftowe, które naftę mosulską doprowadzą do morza. W rzeczywistości pozostaje jedynie Martwe Morze, i o niem właśnie, chociaż obecnie już nieco mniej hałaśliwie, rozgłasza od paru lat prasa syjonistyczna różnych krajów; jest ono również wielkim atutem p. Kahanego, który powiada, że „eksploatacja skarbów mineralnych" Martwego Morza, „a w szczególności ekstrakcja niezwykle bogatych pokładów soli potasowej, według opinji bardzo kwalifikowanych ekspertów, może mieć wprost rewolucyjne znaczenie nietylko dla gospodarki samej Palestyny, ale nawet dla gospodarki światowej".

Czy aby nie zbyt „śmiało“ powiedziane?

W swoim czasie i na innem miejscu (mianowicie w amerykańskim miesięczniku *Zukunft* w numerze listopadowym 1928 r.) wykazałem już, że eksploatacja „skarbów mineralnych“, a w szczególności soli potasowej Morza Martwego, nietylko nie może wywołać „rewolucji w gospodarce światowej“, lecz że nawet dla Palestyny, jako źródło eksportu, będzie miała bardzo ograniczone znaczenie. Dowiodłem tego na podstawie całego szeregu danych ekonomicznych, jakoto: brak węgla w Palestynie; brak dróg rzecznych od Morza Martwego do Morza Śródziemnego; konieczność wyparowywania wody dla zdobycia zresztą bardzo nieczystej soli potasowej; sztuczne monopolowe ceny niemieckiego syndykatu potasowego, który może produkować sto razy więcej i sprzedawać dziesięć razy taniej niż obecnie i t. d. Interesowała mnie jednakże nietylko ekonomiczna wartość „skarbów mineralnych“ Morza Martwego, lecz również ich czysto techniczna, chemiczna zawartość. Zwróciłem się więc, już po napisaniu wspomnianego amerykańskiego artykułu, za pośrednictwem osoby trzeciej, po informacje w tej kwestji do najpoważniejszego fachowca światowego w dziedzinie potasowej, Oskara Ecksteina, profesora berlińskiego uniwersytetu i kierownika wydziałów naukowych niemieckiego syndykatu potasowego. Ze względu na wyjątkowy autorytet tego uczonego w danej kwestji, czytelnik zechce może poznać jego zdanie możliwie dokładnie. Przytoczę więc jego odpowiedź (z dnia 2 stycznia 1928 r.) w dosłownem brzmieniu:

> „Tatsache ist, dass in den Tageszeitungen sehr viel über Kaligewinnung aus dem Toten Meer geschrieben worden ist. Die Beweggründe für den grossen Optimismus, der sich in den englischen Zeitungen ausdrückt, sind wahrscheinlich politischer Natur, denn es ist nicht anzunehmen, dass unter den an und für sich ungünstigen Bedingungen für die Kaligewinnung, die bezüglich des Toten Meeres herrschen, und bei der Zusammensetzung des Toten Meer-Wassers, eine rentable Gewinnung in grossem Masstab stattfinden kann. Es ist eine Tatsache, dass die Zusammensetzung des Toten Meer-Wassers ungefähr den Endlaugen in den deutschen

Werken entspricht, die etwa ebenso viel Chlorkali, Nebensalze u. dgl. enthalten und als Abwässer in die Flüsse geleitet werden".

A więc wody Morza Martwego mają mniej więcej taki skład chemiczny, jak woda, otrzymywana z przemywania pokładów potasowych w zakładach niemieckich i wylewana do rzek. Ileż to „rewolucyj światowych" spłynęło i spływa tą drogą w rynsztokach niemieckich...

Tak przedstawiają się w rzeczywistości skarby mineralne Palestyny, takież są również widoki na owe miljony, później zaś setki i dziesiątki tysięcy Żydów, które miały rokrocznie do tego kraju imigrować.

VI

Ponieważ zatrzymaliśmy się nieco dłużej na argumentach p. przedstawiciela Agencji Syjonistycznej, dotyczących objektywnych możliwości imigracji do Palestyny, zmuszeni jesteśmy przyjrzeć się bardziej pobieżnie ideologji syjonizmu oraz polityce syjonistycznej względem Arabów i Władzy Mandatowej w Palestynie, w ujęciu p. Kahanego.

Chcąc widocznie przed samym sobą zataić cały ogrom upadku ideału syjonistycznego, p. Kahany stara się przekonać siebie i innych, że w rzeczywistości syjonizm nigdy o niczem innem nie marzył, aniżeli o tem, czego chwyta się obecnie p. Kahany. Młodość autora i oczywista nieznajomość historji własnego ruchu (nie przypuszczam bowiem, by świadomie mijał się z prawdą historyczną) ułatwiają mu to zadanie. A więc nie dążyli syjoniści nigdy do przeniesienia do Palestyny znakomitej większości żydostwa, wszystkich „nie mogących lub nie chcących się zaasymilizować". Nie myśleli oni również nigdy o żadnem państwie żydowskiem *(Judenstaat)* w Palestynie. „Pojęcie państwa żydowskiego służyło syjonistom, począwszy od samego Herzla, — za pewnego rodzaju skrót myślowy". Tem, czem syjonizm porwał masy żydowskie, była w rzeczywistości jedynie „Siedziba Narodowa w Palestynie", t. zn. coś, czego jeszcze dziś Dr Kahany określić nie jest w stanie, do czego „napróżno szukałoby się, czyto w historji, czyto we współczesnem prawie międzynarodowem, analogji". Przytem nikt

wogóle nie myślał, że syjonizm niesie rozwiązanie najbardziej bolesnych kwestyj życia żydowskiego, „w dziedzinie ekonomicznej i, powiedzmy, migracyjnej". To też syjoniści walczyli zawsze i we wszystkich krajach o wielkich skupieniach ludności żydowskiej o lepsze warunki polityczne, ekonomiczne, społeczne i kulturalne. P. Kahany wygłasza przytem swe twierdzenie z kategoryczną bezwzględnością: „nigdy", „nikomu", zawsze", „we wszystkich krajach" i t. p.

Nie wiem, gdzie p. Kahany czerpał swe wiadomości o dziejach syjonizmu, gdyż nie jakieś oderwane cytaty moje, jak upewnia ten autor, lecz całe stosy literatury syjonistycznej pierwszego okresu świadczą o czemś zupełnie innem. Zresztą i po dziś dzień wśród mas syjonistycznych owe „marzenia młodości" nie rozwiały się. Trudno sobie wyobrazić, że p. Kahany o tem wszystkiem nie wie. Czy doprawdy nie wie on o tem, że emigracja żydowska była aż do „czwartej fali" owym konikiem, na którym tak często wyjeżdżała agitacja różnych odłamów syjonistycznych? Czy doprawdy nie wie, że dążenie do skoncentrowania w Palestynie „małej, ale za to kwalitatywnie wartościowej części narodu" żydowskiego, że siedziba narodowa w sensie „duchowego ośrodka narodu żydowskiego, jego serca narodowego", jest kwintesencją nauki słynnego publicysty hebrajskiego, Achad-Haama, którą syjonizm w ciągu dziesięcioleci zwalczał? Czy pan Kahany nie wie o tem, że syjoniści w ciągu długiego szeregu lat (a w znacznym stopniu i po dziś dzień) tak zwaną diasporę („gołus") w najbezwzględniejszy sposób negowali, twierdząc, że poza Palestyną wszelkie rzeczywiste polepszenie warunków bytu żydowskiego jest niemożliwe i że wszelkie poczynania w diasporze są tylko daremną stratą sił? Czy nie wie p. Kahany, że za caratu syjoniści byli najzaciętszymi wrogami wszelkiej walki, wszelkich wysiłków społeczno-politycznych, i że dopiero na zjeździe w Helsingforsie (1906), po wprowadzeniu konstytucji w Rosji, nieco pogodzili się z „pracą organiczną", z *Gegenwartsarbeit,* w krajach diaspory? Czy nie wie on doprawdy, dlaczego organizacja syjonistyczna, która w Palestynie działała legalnie za zgodą sułtana i za zezwoleniem władz tureckich, nie wystawiła w swym programie bazylejskim żądania nietylko państwa żydowskiego, ale nawet międzynarodowej gwarantowanej siedziby na-

rodowej, zadawalając się pseudonimem: *„öffentlich-rechtlich gesicherte Heimstätte“*? Czy doprawdy myśli on, że „państwo żydowskie“ było i jest dla syjonistów jedynie „skrótem myślowym“, i że masy syjonistyczne rozumiały i rozumieją coś innego pod dyplomatycznym i rozmyślnie nieokreślonym terminem „siedziby narodowej“?

Nietylko w przeszłości, lecz nawet obecnie, jedynie nieznaczna część syjonistów rozumie „siedzibę narodową“, w podobny sposób, jak p. Kahany (i głównie dlatego musiał on zaznaczyć, że wyraża swe osobiste poglądy, za które nikt prócz niego odpowiedzialności ponosić nie może). Po wypadkach palestyńskich zeszłego lata, gdy syjoniści naraz ujrzeli, że rzeczywistość jest bardzo daleka od wytworu ich wyobraźni, gdy minął pierwszy popłoch, w kołach syjonistycznych powstały najrozmaitsze plany, jak wybrnąć z trudnej sytuacji. Jedna, bardzo zresztą nieliczna, grupa zażądała porozumienia z Arabami. Inni, bez porównania liczniejsi, prą do otwartej i stanowczej z nimi woiny. Inni znowu, jeszcze mniej liczni, niż pierwsza grupa, podnieśli projekt podziału Palestyny na „kantony“ i t. d. Dwunarodowa siedziba narodowa, opierająca się głównie na sile zbrojnej Anglji, jak głosi to obecnie p. Kahany, jest jedną z owych, po wypadkach palestyńskich sformułowanych prób realniejszego ujęcia celów i dróg syjonizmu, jednem z wielu usiłowań ratowania tego, co ratować ze syjonizmu wydaje się jeszcze możliwem. Twierdzenie, że syjonizm sprowadza się obecnie do tego jednego ujęcia, a tem bardziej, że nigdy nie był inaczej pojmowany, jest w najlepszym razie oszukiwaniem samego siebie.

Lecz przypuśćmy na chwilę, że syjonizm jest doprawdy jednoznaczny z programem p. Kahanego. Do czegóż ów syjonizm by się sprowadzał?

W centrum tego ujęcia syjonizmu znajdziemy ideę arabsko-żydowskiej „siedziby narodowej“ narodu żydowskiego. Jest ona państwem i jednocześnie niem nie jest. Podmiotem prawa w niej nie jest tylko ludność tubylcza arabska i „ludność żydowska tamże osiadła“, ale „cały naród żydowski“ (podkreślone przez p. Kahanego), t. zn. wszyscy Żydzi pozapalestyńscy. Taka podwójna przynależność państwowa pozapalestyńskich mas żydowskich ma się przyczynić „do usunięcia

politycznych i psychologicznych podłoży antysemityzmu" i wogóle do rozwiązania kwestji żydowskiej w krajach o większych skupieniach żydowskich. Odgradzając się w dziedzinie kulturalnej murem chińskim, t. zn. językiem hebrajskim, od „całej ogromnej większości żydostwa pozostałego w diasporze", od całej ludności żydowskiej, która w swych największych skupieniach mówi i tworzy przeważnie po żydowsku, a w każdym razie nie po hebrajsku, owa siedziba narodowa ma się stać ośrodkiem duchowym twórczości kulturalnej całej tej ludności. I wszystko to ma być urzeczywistnione w kraju, który w olbrzymiej większości zaludniony jest przez Arabów. Ponieważ zaś „ci ostatni, jak długo Żydzi stanowią słabą jeszcze mniejszość w kraju, nie zechcą oczywiście *(sic!)* przyznać im choćby *(sic!)* równych praw do Palestyny i uznać w całej rozciągłości mandatu palestyńskiego", — „mandat ten musi więc być wykonywany narazie (!) w b r e w i c h w o l i". Przemocy względem ludności arabskiej ma jednakże w tym wypadku używać nie syjonizm bezpośrednio, lecz Anglja, „świadomy swych obowiązków mandatarjusz", i to „pod kontrolą międzynarodową". Biedny mandatarjusz będzie musiał coprawda cierpieć nie za swoje grzechy, lecz za to p. Kahany i inni dyplomatyczni i niedyplomatyczni przedstawiciele syjonizmu będą mogli i nadal twierdzić z dumą: „Nacjonalizm żydowski, manifestujący się w syjonizmie, jest jeno nacjonalizmem defensywnym". Rosjanie z właściwą im prostotą mówią w takich wypadkach: i niewinność zachować i kapitalik sobie zebrać.

Doprawdy, taka „siedziba narodowa" zawiera w sobie pojęcia, nietylko „dawniejszemu prawu międzynarodowemu nieznane", lecz i dla „dawniejszego" zdrowego rozsądku niełatwe do strawienia, czyli — jak to zresztą przyznaje sam p. Kahany — „nieco trudno zrozumiałe".

Określiwszy w ten sposób cele i dążenia syjonizmu, zapomocą specyficznych metod statystyki i ekonomji, z któremi mieliśmy już możność powyżej się zepoznać — autor nie bez trudu zresztą dochodzi do wniosku, że przy dobrej woli Anglji perspektywy na przyszłość niekoniecznie muszą być tak ponure.

VII

Wreszcie kilka jeszcze słów o kwestji społecznej w Palestynie.

W ostatniej części swego artykułu p. Kahany przeistoczył się nagle w skrajnego bojownika — walki klas. Czegóż tam niema? Podłoże klasowe ruchu narodowego, wyzysk klasowy, świadomość klasowa i wyemancypowanie robotnika, zwodniczość ustroju parlamentarnego przy strukturze społecznej opartej na wyzysku klasowym i t. d. i t. d. Zasmuca go przytem fakt, że ja, jako „radykalny socjalista", nie mam dosyć zrozumienia dla tych podstaw socjalizmu, i że idę „łatwowiernie na lep pseudodemokratycznych haseł" — naturalnie arabskich.

W stosunku do Arabów p. Kahany patrzy na wszystko z punktu widzenia klasowego. Jako wrogowie syjonizmu występują jedynie efendiowie, wyzyskujący chłopa i robotnika arabskiego. Zwalczając syjonizm, oszukują oni tylko masy arabskie, chcąc „odgrywać rolę patrjotów i demokratów, wysuwając żądanie stworzenia parlamentu, t. zn. faktycznie biorąc, ciała ustawodawczego, złożonego z szejków, efendich i muftich, które mogłoby... rządzić krajem w sposób, odpowiadający ich ultrareakcyjnym i antydemokratycznym upodobaniom". Syjonizm zaś, zwalczając efendich i muftich i ich dążenia do samodzielności, w rzeczywistości broni interesów mas arabskich i przyczynia się do ich uświadomienia klasowego. I „kłamstwem notablów arabskich" jest wszystko, co się mówi o „wywłaszczaniu" fellaha arabskiego przez syjonistów. Albowiem „na wszystkich przez Żydów po wojnie zakupionych ziemiach żyło razem najwyżej 150—200 rodzin felachów-czynszowników" i nawet w tych rzadkich wypadkach wysiedlenia instytucje żydowskie dobrowolnie „wypłacały odszkodowanie zmuszonym do opuszczenia uprawianej przez nich ziemi felachom, pozwalając im w ten sposób na zakupienie ziemi gdzieindziej, a więc w regule na poprawienie *(sic!)* warunków bytu".

Jestem doprawdy wzruszony, że wśród tylu kłopotów, jakie ma obecnie syjonizm, p. Kahany smuci się z powodu mego łatwowiernego pseudodemokratyzmu. Co do jego frazeologji marksowskiej, omal nie bolszewickiej w stosunku do Arabów, jestem jednakże zmuszony zauważyć co następuje:

Zwalczanie ruchów wolnościowych narodów uciemiężonych pod pretekstem antagonizmów klasowych, istniejących wśród nich samych, jest to już dość stara metoda. Wiemy o tem też cokolwiek w Polsce. Gdy carat tłumił polskie powstania, reakcjoniści rosyjscy wołali, że szlachta urządza powstanie, ażeby swobodniej wyzyskiwać polskiego chłopa. Prawdą jest, że efendi wyzyskuje felacha (najbardziej może wtedy, gdy sprzedaje syjonistom jego ziemię i gdy ci go z niej wyrzucają); prawdą jest, że na czele narodowego ruchu arabskiego widzimy szejków, efendich i muftich. Lecz cóż z tego? Na pewnym szczeblu rozwoju, gdy masy ludowe są jeszcze pogrążone w nędzy i ciemnocie, nosicielami idei wolności narodowej i demokracji są i mogą być w każdym narodzie jedynie klasy wykształcone, politycznie bardziej uświadomione, t. zn. klasy uprzywilejowane, których przedstawiciele nietylko „odgrywają rolę", lecz są wtedy rzeczywiście patrjotami i demokratami. Sprzeciwianie się więc tym dążeniom wolnościowym pod pretekstem, że w obronie ich stoją w pierwszym rzędzie ludzie, należący do klas uprzywilejowanych, inaczej jak demagogją nazwać nie można.

Jeżeli zaś ustrój demokratyczny oddałby narazie władzę w Palestynie uprzywilejowanym klasom arabskim (w rzeczywistości szlachcie i inteligencji miejskiej), to jednakże z drugiej strony przyczyniłby się do uświadomienia politycznego i społocznego warstw obecnie wyzyskiwanych i dałby im jednocześnie potężne narzędzie dla obrony swych praw i walki o lepszą przyszłość. Gdyby p. Kahanemu szło rzeczywiście o dobro chłopa i robotnika arabskiego, to nie powinien występować przeciwko nadaniu krajowi demokratycznego samorządu, lecz przeciwnie domagać się, ażeby ten samorząd był jak najbardziej demokratyczny, ażeby kościół był oddzielony od państwa (odpowiedź muftim) i żeby ziemia została uznana za własność tych, którzy ją uprawiają (odpowiedź efendim). Zamiast tego p. Kahany i syjoniści domagają się, ażeby kraj samorządu nie otrzymał i żeby władza mandatowa, t. zn. okupacyjna, uprawiała politykę odpowiadającą i c h interesom. Autor zresztą sam uznał za rzecz o c z y w i s t ą, że dopóki Żydzi stanowić będą słabą mniejszość kraju, Arabowie palestyńscy (a nie sami tylko muftiowie i efendiowie) nie mogą się zgodzić, ażeby „przyznać Żydom choćby równe prawa do Palestyny", i że

„siedziba narodowa" musi dlatego być urzeczywistniona wbrew ich woli.

Ta cała „klasowa" demagogja, używana przez p. Kahanego i innych „socjalistycznych" i nie-socjalistycznych syjonistów, jest więc również w najlepszym razie zbiorem frazesów dla oszukiwania samego siebie.

Również oszukuje p. Kahany samego siebie, jeżeli doprawdy sądzi *(credo quia absurdum)*, jakoby wysiedlanie felachów z ziemi przez nich uprawianej (i często podstępem i dopiero niedawno, bo już po wojnie światowej, przez efendich przywłaszczonej) miało miejsce jedynie w jakichś sporadycznych wypadkach i jakoby przyczyniało się „w regule do poprawienia warunków ich bytu". Twierdzenie to jest już samo przez się nonsensem. O ile prawdą jest, jak to podaje p. Kahany (i tak też jest w rzeczywistości), że dzięki kolonizacji żydowskiej za ziemię musiano płacić efendiemu „lichwiarskie ceny", to jakimże sposobem za owe groszowe „odszkodowanie" otrzymane „na odjezdne" może wysiedlony felach-czynszownik „zakupić ziemię gdzieindziej" i przytem jeszcze „w regule poprawić warunki swego bytu"? Rzeczywistość też nie jest wcale podobna do owej idylli, którą wyobraża sobie p. Kahany.

Jeszcze przed wojną, nawet w literaturze syjonistycznej, wskazywano nieraz na fakt, że niejedna kolonja żydowska (jak naprzykład Metulah lub Rosz-Pinah) buduje się na gruzach wiosek felachów arabskich, którzy z ziemi od wieków przez nich uprawianej zostają przemocą wysiedleni. W dawnych kolonjach wysiedleni chłopi arabscy znajdywali często zajęcie jako najemnicy u kolonistów żydowskich. W nowych zaś kolonjach, szczególnie zorganizowanych na zasadach kolektywistycznych lub spółdzielczych, zabraniających swym członkom używania najemnych rąk roboczych, położenie ich jeszcze się pogorszyło, gdyż wysiedlony chłop nie może znaleźć zajęcia na miejscu jako najmita i po krótkim czasie, zjadłszy swe nieszczęsne „odszkodowanie", pozostaje wraz ze swoją rodziną bez ziemi, bez pracy i bez grosza w kieszeni. Według zeznań p. Luke'a, pomocnika Wysokiego Komisarza Palestyny, przed angielską komisją śledczą (w końcu listopada roku ubiegłego), blisko 1000 rodzin arabskich, w podobny sposób wysiedlonych z obszarów, sprzedanych przez efendich syjonistom, wałęsa się

bez zajęcia i w ostatniej nędzy.[1] Twierdząc więc, że „na wszystkich przez Żydów po wojnie zakupionych ziemiach żyło razem najwyżej 150—200 rodzin felachów-czynszowników", którym w dodatku owe transakcje pozwoliły „w regule na poprawienie warunków bytu", p. przedstawiciel Agencji syjonistycznej jeszcze raz odbiega nieco zbyt daleko od prawdy, podając swoje przypuszczenia jako rzeczywistość.

Pozwolę sobie zresztą przytoczyć urywek korespondencji z Palestyny, umieszczonej w centralnym organie syjonistów polskich *(Hajnt)* z dnia 6 grudnia 1929 r. Czytelnik będzie mógł przekonać się, co syjoniści w tej samej kwestji mówią między sobą. Wyrażenia przez nich używane brzmią coprawda nieco eufemistycznie, lecz jakże inaczej, aniżeli to, czego dowiaduje się czytelnik polski od p. Kahanego:

„...Rząd nasz, który przecież ma nam dopomóc do budowy siedziby narodowej, popełnił w tym tygodniu dwie przerażające rzeczy".

„Jak wiadomo, Żydzi zakupili w ciągu ostatnich lat w Ziemi Izraela dwa olbrzymie obszary ziemi, które mają kolosalne znaczenie dla osadnictwa żydowskiego. Jeden leży przy „Zatoce Hajfy", gdzie Fundusz Narodowy nabył przeszło 30 tysięcy dunamów terenu; drugi, „Wadi Hawars", obszar 40 tysięcy dunamów dobrego gruntu plantacyjnego, ciągnie się wzdłuż morza na południe od kolonji Hadurah. Grunt ten nabyty został za miljon dolarów, ofiarowanych na ten cel przez Żydów z Kanady. „Wadi-Hawars" ma dla osadnictwa największe znaczenie, ponieważ można tam osadzić rodzinę na 15 dunamach i obszar ten łączy osadnictwo południowe (Tel-Awiw wraz z jego kolonjami) z osadnictwem samaryjskiem. Na obu powyższych obszarach rozrzuconych jest kilkuset Arabów, felachów, którym Fundusz Narodowy Żydowski zgodził się dać, zgodnie z prawem, pewne odszkodowanie pieniężne. Natomiast, gdy w tym tygodniu Fundusz Narodowy przystąpił do uprawy tych terenów, wysyłając tam młodych ludzi z pługami, Arabowie nie po-

[1] Według zeznań Dra Ruppin'a, przedstawiciela egzekutywy syjonistycznej, liczba wysiedlonych rodzin z doliny Ezdrelońskiej wynosiła 700, zaś według przedstawiciela Arabów 1746, czyli, licząc przeciętnie pięć dusz na rodzinę, 8730 osób.

zwolili im rozpocząć pracy. Przywołano policję, zwrócono się do rządu i — rząd rozkazał, ażeby tymczasem roboty powstrzymać. Zupełnie podobny „wyrok" wydał rząd w kwestji znanego terenu „Infiat", i owo „tymczasem" trwa już przeszło rok".

„Zdarzenie to wywarło jak najgorsze wrażenie. Główny Zarząd Syjonistyczny zwrócił się natychmiast do Wysokiego Komisarza, Sir'a Chancellor'a, lecz bez żadnego rezultatu. Jest to równoznaczne poprostu z uniemożliwieniem wszelkiej dalszej kolonizacji, gdyż niema innej ziemi, jak ziemia efendich, na której siedzą porozrzucani felachowie-czynszownicy".

Obraz, jak widzimy, niezupełnie podobny do tego, jaki czytelnikowi polskiemu, a może i samemu sobie, przedstawia p. Kahany.

Jeżeli więc doprawdy mam zakończyć jakiemś *ceterum censeo,* powiem:

Bez większych realnych perspektyw, bez znaczniejszych możliwości rozwoju, pod zwodniczemi i prowokującemi hasłami zdobycia kraju i państwowości żydowskiej, bez dostatecznej siły własnej, na obcych bagnetach oparte, siejąc najszkodliwsze złudzenia wśród Żydów i nie-Żydów i nie rozwiązując bynajmniej olbrzymiego kompleksu zagadnień, zwanych kwestją żydowską w krajach o większych skupieniach żydowskich, materjalnie i moralnie niesłychanie kosztowne, — osadnictwo żydowskie w Palestynie buduje się na wulkanie.

Genewa, marzec 1930 r.

P. Kahany znacznie większą wagę, aniżeli do swych wszystkich dowodów przeciw mym poglądom, przywiązuje widocznie do dwóch argumentów, a mianowicie: że kierują mną „bardzo demagogiczne nakazy Bundu" i że jestem jedynie echem Wielkiego Muftiego Jerozolimskiego i efendich arabskich. Te argumenty, które nie wydają mu się widocznie demagogicznemi, p. Kahany wciąż i na najrozmaitsze sposoby powtarza, niemi swój artykuł zaczyna i niemi też kończy. Ja jednakże pozwolę sobie właśnie na te argumenty nie odpowiadać.

JÓZEF STAŃCZEWSKI

TRZY HISTORJE POLSKI NAPISANE PRZEZ PORTUGALCZYKÓW

Powstanie styczniowe zwróciło na Polskę uwagę całego owoczesnego świata. Publiczność z zaciekawieniem śledziła w dziennikach wiadomości z pola walki, komentując żywo sprawozdania korespondentów.

Relacje te jednak suponowały często znajomość kraju, o którym była mowa, oraz dziejów narodu, który tak rozpaczliwie zmagał się z swym ciemiężycielem. Trzeba było sięgać po dzieła geograficzne i historyczne. W językach niemieckim, francuskim czy angielskim nie trudno było znaleźć informacje o Polsce. Inaczej rzecz się miała w Portugalji, gdzie aż do wybuchu powstania mało się interesowano sprawami polskiemi. Zrozumiałe to, zresztą, jeżeli się uwzględni odległość Luzytanji od Polski. Wszak i u nas mało kto zajmował się ojczyzną Kamoensa.

Nic więc dziwnego, że literatura portugalska nie posiadała aż do r. 1863 książki, omawiającej wyłącznie dzieje narodu polskiego. Pierwsza publikacja tego rodzaju ukazała się właśnie w wymienionym roku, w związku z wypadkami w Królestwie Polskiem.

Considerações sobre a Polonia czyli *Rozważania o Polsce* brzmiał tytuł dziełka, którego autorem był (nieznany mi narazie bliżej) markiz de Lavradio.[1] Ze wstępu, jakim poprzedził swoją pracę, wyczuć można sporo sympatji dla uciśnionego narodu. Przesadne wydają się tylko kilkakrotne zastrzeżenia co do prawowierności i poddania się we wszystkiem wyrokom Stolicy Apostolskiej.

Oto słowa „wstępu", wiernie przełumaczone:

„Ponieważ na porządku dziennym jest rewolucja w Polsce, sądzimy, że oddajemy przysługę naszym czytelnikom, publikując przy tej sposobności cośniecoś o tym temacie. Rozpocznie nasze

[1] *Considerações sobre a Polonia* pelo Marquez de Lavradio, Lisboa. Na Typ. de Mathias Jozé Marques da Silva. Rua do Ouro Nr 11, 1863. (Stron VI i 54; format: 20,8 × 15,4 cm).

dziełko kilka wiadomości o historji Królestwa polskiego od czasu, kiedy Słowianie zamieszkali ten kraj aż do dni naszych. Osobno opowie się o prześladowaniu Bazyljanek w Mińsku. Wspomniane będzie to i owo o okrucieństwach popełnianych na Polakach przez Rosjan w obecnej rewolucji. Nastąpi wyjątek z przemówienia Piusa IX na konsystorzu z dnia 16 marca 1863 r., a zakończy przepowiednia błogosławionego Andrzeja Boboli o przyszłych losach Polski z r. 1819".

„Oświadczamy uroczyście, że nigdy nie moglibyśmy uznać rewolty i że dobrze znany jest nam list, który Grzegorz XVI napisał do biskupów w Polsce, nawołując ich do przestrzegania obowiązku, związanego z ich godnością, — obowiązku szerzenia wśród kleru i ludu posłuszeństwa, wierności i pokoju. Podniósł to z okazji rewolucji w Krakowie. Ale nie zaniechał też podnieść głosu żalu nad prześladowaniami, jakie cierpiało owych mało co mniej niż 12 miljonów katolików, rozrzuconych po Imperjum rosyjsko-polskiem. Rozważając opłakane położenie, w jakiem obecnie znajduje się owo królestwo, nie możemy obronić się przed współczuciem dla Polaków. Stracili oni swoją autonomję, swoją religję,[1] która jedyna jest prawdziwą, a ulegała prześladowaniom przez czas długi. My jednak, zaskoczeni wypadkami, nie mamy zamiaru rozstrzygać kwestji, czy wolno było Polakom wszczynać rewolucję, mimo powodów, któremi są fakty, dobrze znane, okrucieństw ich ciemiężycieli. Poddajemy się więc decyzji wyższej władzy w podobnej materji. Jedynie powiemy, że ta rewolucja nie jest tego samego rodzaju, co ostatnie rewolucje w Europie. Gdzieindziej atakowano religję i samorządy; tutaj dąży się do zachowania religji, prześladowanej przez Rosjan, oraz do odzyskania autonomji, pogwałconej przez inne narody Europy. Bóg niechaj wyjaśni dobrze sprawę, i oświeci tego, który powinien się nią zająć, aby wszystko zakończyło się na jego większą cześć i chwałę".

„Wkońcu oświadczamy, że wszystko, co się tu odnosi do rzeczy, lub osób wyjątkowych, lub przepowiedni, uważamy jako powiedziane na sposób ludzki, poddając się przepisom Kościoła, oraz Urbana VIII".

Praca markiza de Lavradio nie jest jednolita; składa się z szeregu odrębnych artykułów, po części tłumaczonych z pisma francuskiego *Monde,* Następują po sobie: *Considerações sobre a Polonia;*

[1] Autor ma na myśli unitów.

As Basilianas de Minsk e de Polocko; O Canibalismo Russo na Polonia; Allocuçâo de Pio IX no consistorio de 16 de março de 1863; Profecia de B. André Bobola, antes da sua beatificaçâo revelada depois da sua morte ao P. K.

Najciekawszym jest artykuł pierwszy, przynoszący krótki opis krajoznawczy Polski, oraz dzieje jej, mocno streszczone. Autor powołuje się na Assemani'ego, Kromera, Rinaldi'ego, Butlera, Longina (Długosza), Gretsera *(De munificentia principum in sedem apostolicam)*, Krausego (Historja Niemiec), Vogta (Historja Grzegorza VII), Bernini'ego (Historja herezyj), P. Theinera (Kościół w Polsce). Ortografja nazw geograficznych i historycznych jest często błędna. Mimo to rzecz sama napisana treściwie i z pilnością. Lavradio współczuje z Polską i wylicza jej zasługi. Na samym początku: „Obecne położenie Polski jest straszliwe i wywołuje współczucie nawet u osób mniej wrażliwych. Biedny ten naród już sporo czasu temu stracił swą niepodległość i cierpiał prześladowanie religijne". Nieco dalej zaś: „Nie możemy powstrzymać się od okazania wielkiego zainteresowania dla biednych Polaków, którzy się znajdują w największych nieszczęściach".

O Polsce wspomina, że „słynęła z nauk i sztuk i z odwagi wojskowej; można powiedzieć, że była silnem przedmurzem chrześcijaństwa przeciw Turkom i przeciw napadom z północy"...

„Polacy są otwarci i szczerzy, ale zarazem i dumni. Kobiety posiadają wiele charakteru"...

„Wielka jest liczba Polaków, którzy odznaczyli się świętością żywota, godnościami kościelnemi, w naukach i sztukach: Kochanowski, Szymonowicz, Skarga, Bielski, Krasicki, Naruszewicz i t. d., — na polu walki: Karol Chodkiewicz, Jan Sobieski, Jan Zamojski, Stanisław Potocki, Stefan Czarniecki, Tadeusz Kościuszko i t. d.".

Dziełko markiza de Lavradio cieszyło się poczytnością i przyniosło autorowi uznanie ze strony publiczności.

Zachęciło to innego lizbońskiego literata do opracowania podobnego odzieła, ale obszerniejszego i opartego na studjach gruntownych. Literatem tym był urzędnik celny José Hermenegildo Corrêa, autor kilku powieści własnych, oraz tłumacz powieści Dumasa.

Jak sam wyznaje, Corrêa pisał swoje dzieło, zatytułowane *Historia da Polonia*, w wolnych od zajęć chwilach, a często całemi nocami z uszczerbkiem dla wypoczynku i zdrowia. Pierwsze dwa

tomy ukazały się w r. 1864, trzeci w r. 1865, a czwarty i ostatni w r. 1866.[1]

Historję swoją dedykował autor ówczesnemu królowi portugalskiemu, Ferdynandowi, spodziewając się w zamian poparcia i łaski monarszej. Zawiódł się srodze, i na końcu dzieła żali się, że zamiast z pomocą spotkał się z intrygami nie do przezwyciężenia, a nawet z nienawiścią ze strony współzawodników.

Autor włożył w dzieło swe niemało pracy i pieniędzy. Niestety, nie podaje prawie żadnych źródeł. Wspomina, coprawda, na wstępie, że przewertował sporo dzieł i dokumentów, i czynił rozległe poszukiwania za materjałami w bibljotekach lizbońskich, ale, jak z pracy wynika, źródła nie zawsze były wiarygodne, i, co gorsze, często fałszywe. Roi się też od błędów, nie brak także śmieszności.

Czuł to autor i usprawiedliwia się z tego w odezwie do czytelników. Odezwa ta jest zbyt długa; zacytuję więc tylko zasadnicze ustępy:

„Praca, którą przedkładamy publiczności, nie została napisana według naszej fantazji; nic bylibyśmy w stanie tego uczynić. Idziemy dosłownie szlakiem, którym szli historycy, nas poprzedzający; nikt nie może napisać, czego nie zbadał, bez uciekania się do roczników historji któregokolwiek kraju i bez poszukiwania w nich faktów najciekawszych, a potem do dziejów państw obcych, z któremi dotyczące królestwo utrzymywało stosunki. To samo uczyniliśmy i my, stosownie do tego, jak nasze słabe siły nas wspierały"...

„Historja Polski, którą wam dziś prezentujemy, powstała z niemałym trudem, w czasie, skradzionym naszemu wytchnieniu; godziny, należne naszemu spoczynkowi, zostały tu zużyte, bez uszczerbku jednego dnia nawet powinności, jakie na nas wkłada nasz urząd".

Zanim Corrêa przystępuje do właściwej historji Polski, podaje opis ziem polskich, spis królów najważniejszych, pogląd na politykę Polski i powody jej upadku, ogólny pogląd na Rosję.

---

[1] *Historia da Polonia desde o seu começo* por. José Hermenegildo Corrêa, Aspirante da alfandega municipal de Lisboa. Dedicada pelo author em penhor de respeito, amor, e gratidão a sua Magestade El Rei O Senhor D. Fernando. Tomo I—IV. 1864—1866. Typographia de J. B. Morando. 28, Rua do Moinho de Vento, 28, Lisboa. (Stron: T. I. 206 i 2 nl., T. II. 206 i 2 nl., T. III. 206 i 2 nl., T. IV. 194 i 6 nl. Format: 21 × 13 cm).

Polskę nazywa „nieszczęśliwem królestwem, jedną z potęg pierwszorzędnych i z monarchij najstarszych, ofiarą jednak zbytniej wolności i ambicji możnowładców, którzy stale między sobą się wadzili; stąd powstała niezgoda, zła administracja, a w następstwie tego zachłanność sąsiadów Polski, którzy w miarę jak Polska osłabiała się w wojnach wewnętrznych, skorzystali z tego, aby oderwać od niej ziemie i przyprawić ją o zgubę".

Następnie rozwodzi się szeroko o pochodzeniu Polaków, cytując nawet Ptolomeusza i Tacyta, sięgając do czasów... Noego. Z sympatją charakteryzuje cechy narodowe Polaków: „Polacy są naogół wzrostu wysokiego, silni i mężni, bohatersko waleczni, grzeczni i gościnni".

Niestety, autor, korzystając widocznie z błędnych informacyj, podaje też dużo nieścisłych szczegółów i wątpliwych spostrzeżeń, jak np. że w Polsce najwięcej uprawiają tańce rosyjskie, że język polski jest „twardy i bez harmonji" i t. p.

Na innem miejscu wylicza zasługi Polaków w nauce i sztuce, wspominając przedewszystkiem, że Polska jest ojczyzną Kopernika. Zna Kromera „historyka wyśmienitego", Orzechowskiego „krasomówcę", poetów „Zanowica" i „Sobienskiego" (Zimorowicz? Sarbiewski?), „moralistę" Fredrę, Górnickiego „pisarza politycznego", wielką liczbę literatów, którzy zdobyli sobie „sławę zasłużoną", oraz Heweliusza, profesora astronomji.

Nie bardzo pochlebnie wyraża się o Żydach polskich i ubolewa nad tą „plagą" Polski.

Z miast obszerniej opisuje przedewszystkiem Kraków, następnie Lwów, Toruń, miasto rodzinne Kopernika, Gdańsk, siedzibę Heweliusza i Archenholza, Warszawę, Wilno „ziemię ojczystą Kazimierza Sarbiewskiego, polskiego Horacego".

Dopiero po tych licznych listach dedykacyjnych, odezwach, prologach i wstępach rozpoczyna się opis dziejów Polski, od Leszka I, doprowadzony w tomie I do Henryka Walezego.

Tom II obejmuje czasy od Stefana Batorego do Stanisława Poniatowskiego włącznie. Tom III zawiera dzieje dziesięciu lat (1764—1774). Autor pomieścił tu mnóstwo korespondencyj dyplomatycznych, odezw, manifestów, listów etc., m. in. oświadczenie Turcji w sprawie konfederatów, listy Pułaskiego, deklarację carycy Katarzyny, cesarzowej Marji Teresy, króla Fryderyka, cyrkularz generała Hadika, noty rządów zaborczych i t. p.

W tomie IV, ostatnim, omawia Corrêa pierwszy podział Polski, powstanie kościuszkowskie, dalsze podziały Rzeczypospolitej, przytacza w całości list pożegnalny króla Stanisława do posła angielskiego w Warszawie, oraz odpowiedź tegoż. Na końcu daje obszerny pogląd na dzieje porozbiorowe aż do r. 1861.

Autor nie próżnował, zebrał obfity materjał, zwłaszcza w rozdziałach, dotyczących epoki rozbiorów. Materjału tego nie umiał jednak wykorzystać; szereguje poszczególne dokumenty i fakty bez powiązania ich i oświetlenia. Nie pisze też nic o stosunkach królestwa polskiego z ojczyzną jego, Portugalją, czego przecież można było się spodziewać od urzędnika lizbońskiego, siedzącego u źródła, przy archiwach państwowych. Uznania nie znalazł Corrêa u swoich. W epilogu skarży się na obojętność publiczności i zawód, jakiego doznał ze strony tych, od których spodziewał się poparcia i pomocy: „Skończyłem wreszcie moją pracę! ...Cierniowa to była misja, którą wziąłem na siebie; niemożliwem byłoby opisać poświęcenia i przykrości, jakie przeszedłem“... „Nie spodziewałem się, że tyle zawodów i strat przysporzy pisarzowi zazdrość, nienawiść i intrygi; myślałem, że zrobię przysługę krajowi, dając mu dzieło, omawiające całość dziejów Polski“.

„Widziałem w Polakach ludzi dzielnych i bohaterskich wojowników, ale zarazem zganiłem ich prawa niedoskonałe i sejmy swarliwe. Na każdym kroku dostrzegałem w historji Polski zbrodnie niekarane szlachty, królów bez siły, stałą anarchję, i biednego chłopa, który nie był niczem więcej jak niewolnikiem. Austrja, Rosja i Prusy zrobiły to samo, co jakikolwiek inny sąsiedni naród byłby wówczas uczynił!“

„Według mego zdania, opartego na znajomości faktów historycznych, Polacy sami spowodowali swoją ruinę. To, że naród, który mógł żyć tak szczęśliwie, popadł w stan zniszczenia, wstrząsa człowiekiem. Mówię to dlatego, by, patrząc na takie przykłady, inne narody broniły się przed popadnięciem w błędy Polaków“.

„Niechaj do rządów wybierają ludzi mądrych; niechaj ustanawiają prawa dobre i postępują według nich uczciwie, niech nagradzają ludzi zasług, zamiast ich szkalować! Takie cnoty sprowadzą w każdym narodzie szczęśliwość i dobrobyt“...

Dzieło Corrêi spełniało przez dziesiątki lat rolę najobszerniejszego w języku portugalskim informatora o Polsce i Polakach. Po upadku powstania styczniowego zainteresowanie się narodem na-

szym zaczęło przygasać. *Historja Polski* poszła w zapomnienie i spoczęła spokojnie na półkach bibljotek i antykwarjatów, skąd rzadko kiedy przechodziła w ręce uczonego lub bibljofila. Kupiony przeze mnie egzemplarz kilkadziesiąt lat czekał na nabywcę w jednym z antykwarjatów lizbońskich.

Po wybuchu wojny światowej, gdy sprawa polska znalazła się znowu na porządku dziennym, i w Portugalji zaczęto się interewać krajem i narodem naszym. Mało kto znał książki, napisane przez markiza de Lavradio i Corrêę, mocno zresztą już przestarzałe. Brak było nowego dzieła, któreby w formie lekkiej a zwięzłej informowało o dziejach Polski.

Książki takiej dostarczył Eduardo de Noronha,[1] który poprzednio (sam lub wspólnie z Seldą Potocką) przetłumaczył sporo dzieł Henryka Sienkiewicza.

Książka Noronhi nie przedstawia już dla nas tej wartości, co prace jego poprzedników. Pisana jest stylem informatorskim. Nie jest też dziełem oryginalnem, ale kompilacją, co sam autor podkreśla na wstępie: „Kompilacja historji Polski dokonana została w celu patrjotycznym: oby ten, który ją będzie czytał, unikał w zakresie swego działania oraz w granicach możliwości błędów politycznych, popełnianych przez nieroztropnych a nieszczęśliwych Polaków".

*

Tak więc piśmiennictwo portugalskie posiada kilka monografij historycznych o Polsce. U nas o dziejach Portugalji, ciekawych i barwnych, pisano chyba w encyklopedjach lub mimochodem. Głucho też u nas o literaturze portugalskiej. Niestety ciągle jeszcze iberologja traktowana jest w Polsce po macoszemu i należy istotnie do „zaniedbanych dziedzin humanistyki", jak to określił prof. St. Wędkiewicz na łamach *Przeglądu Współczesnego* z maja i czerwca 1928 r.

Rio Claro (Parana, Brazylja), w marcu 1930 r.

---

[1] *Historia da Polonia. Fastigio e decadencia de um povo.* Compilada por Eduardo de Noronha, Lisboa, 1915. Empresa Lusitana Editora, Calçada do Ferregial, 23. Lisboa. (Stron: 191; Format: 19,5 × 12 cm).

KRONIKI

KRONIKA ZAGRANICZNA

Układ londyński. — Budżet Snowdena. — Gandhi. — Niemiecki program agrarny. — Bomba w poselstwie

1

Po równych trzech miesiącach mozolnych obrad, przedstawiciele wielkich mocarstw morskich podpisali w Londynie 22 kwietnia układ flotowy *(traité naval de Londres)*. Oczekiwań swych inicjatorów konferencja londyńska nie zadowolniła; nie doprowadziła bowiem do układu, wiążącego wszystkich jej uczestników w zasadniczych sprawach polityki morskiej. Lecz podobne porozumienie w żadnym razie nie dałoby się osiągnąć, skoro Francja uzależniła redukcje swego od dawna opracowanego programu konstrukcyj morskich od układu gwarancyjnego, na który ani Anglja ani Ameryka z zasadniczych powodów zgodzić się nie chciały. Powtóre taki powszechny układ wymagał zupełnego wyrównania różnic francusko-włoskich, o którem przy bardzo słabem dyplomatycznem przygotowaniu konferencji nie można było myśleć. Troska Francji o własne bezpieczeństwo i jej stosunek do Włoch odegrały w przebiegu konferencji rozstrzygającą rolę, i nieraz zdawało się, że doprowadzą do zupełnego jej rozbicia.

W tych niezwykle trudnych warunkach można już poczytać za pewien sukces, że uniknięto losu genewskich rokowań z przed trzech lat i tego podrażnienia, które wywołało ich zerwanie między uczestnikami — były niemi wówczas Anglja, Ameryka i Japonja. Mowy wygłoszone ostatnio w Londynie dowodzą natomiast, że tym razem uczestnicy konferencji rozjeżdżają się mimo wszystko bez wzajemnych żalów i z zamiarem uzupełnienia dzieła konferencji. Ten pogodny nastrój, w którym się kończyła, zawdzięcza konferencja przedewszystkiem Briandowi, który zręcznie umiał zatrzeć wrażenie, jakoby trójkątny układ między Ameryką, Anglją i Japonją mógł we Francji wywołać jakikolwiek odruch niepokoju lub obawę odosobnienia; zresztą mając podobno możność doń przystąpić, nie chciał tego uczynić, aby nie drażnić Włoch, których bezwzględne żądanie parytetu z Francją przeszkodziło szerszemu porozumieniu.

Treść układu podpisanego przez wszystkich uczestników konferencji przedstawia się naprawdę raczej skromnie. Utrzymano nadal w mocy ograniczenia waszyngtońskie z r. 1922, dotyczące okrętów linjowych, z tem, że aż do chwili zebrania się nowej konferencji, przewidywanej na rok 1936, wszystkie państwa zrzekają się prawa budowania nowych jednostek tej klasy. Pozatem przyjęto wspólne dla wszystkich reguły deklasowania starych jednostek wszystkich

kategoryj, jak również minimalnych okresów używalności statków wojennych. Wreszcie ograniczono do 2 tysięcy tonaż każdej łodzi podwodnej i zobowiązano się przestrzegać w czasie wojny postanowień IV części układu, która ustala reguły „humanitarnej" walki łodziami podwodnemi.

Większe znaczenie przypisujemy układowi, zawartemu między Anglją, Ameryką a Japonją, skoro ogranicza on tonaż tych kategoryj statków, które w przyszłej wojnie będą miały podobno największe znaczenie. Tonaż krążowników, torpedowców i łodzi podwodnych ustalono (w tysiącach tonn) jak następuje: Anglja 541,7; Stany Zjednoczone 526,2; Japonja 367,05. Niechęć Japonji do układu, przesądzającego ostatecznie jej niższość wobec Ameryki, dało się tylko przezwyciężyć, przyznając jej równość tonażu w zakresie łodzi podwodnych, który od tej pory dla wszystkich trzech kontrahentów wyniesie 52.700.

Ale wartość całego porozumienia upada, jeśli wejdzie w życie t. zw. klauzula salwatoryjna (*clause de sauvegarde*). Stanowi ona, że każda ze stron może w zwykłej dyplomatycznej drodze zapowiedzieć budowy, wykraczające poza granice układem zakreślone, jeśli jej bezpieczeństwo zostanie zagrożone przez zbrojenia któregokolwiek z mocarstw układem nieobjętych. W tym wypadku i obaj pozostali kontrahenci mogą zwiększyć swe zbrojenia w granicach, których pierwszy dla siebie żąda.

Klauzula taka jest dla Anglji nieodzowna wobec tego, że Francja i Włochy zachowują — poza okrętami linjowemi — w dziedzinie swych programów flotowych zupełnie wolną rękę, a tem samem mogą wcześniej czy później zagrozić owemu *two-power-standard*, który stanowi *tabu* morskiej polityki Anglji. Klauzula ta stawia jednak Francję w dosyć trudne położenie: jeśli swój program z roku 1924 będzie i nadal wykonywać, narazi się na zarzut, że pośrednio unicestwia wyniki konferencji londyńskiej, zmuszając Anglję do rozbudowania swej floty. Trudno zaś przypuszczć, aby programu, którego tak zacięcie na konferencji broniła, chciała teraz zaniechać. Z drugiej strony i Anglja, której wobec trudnego położenia finansowego do rozbudowania floty nie jest pilno, dołoży wszelkich starań, aby Francja wraz z Włochami przystąpiła do układu londyńskiego. W tym celu mają te trzy mocarstwa europejskie dalej prowadzić rokowania. Można się spodziewać, że zgodność interesów obu tamtych stron skłoni Włochy do większej, niż dotąd, ustępliwości: zawsze zresztą jest łatwiej na nią się zdobyć w skromnych rokowaniach dyplomatycznych, niż na wielkich konferencjach, które cały świat a z nim opinję faszystowską trzymają w napięciu. Ufność w powodzenie tych rokowań, której w swem końcowem przemówieniu dał wyraz admirał Sirianni, oraz serdeczne akcenty („notre grande voisine et amie"), które znalazł dla Francji, usprawiedliwiają pewien optymizm w tym względzie.

2

MacDonald z uczuciem niewątpliwej ulgi wyjeżdżał na święta Wielkanocne do rodzinnej Szkocji. Częściowy sukces konferencji ustrzegł go bowiem od niemiłych następstw, któreby jej rozbicie mogło w dziedzinie polityki wewnętrznej za sobą pociągnąć. I tak czeka go niełatwe zadanie obrony układu londyńskiego przed atakami konserwatywnej opozycji, która nie od dziś mu wytyka, że przez swą ustępliwość poświęca najżywotniejsze interesy Anglji na morzu. Bądź co bądź nie będzie mu mogła zarzucić, że, ulegając namowom zręcznego Brianda, hipotekę Anglji obciążył jeszcze jednym paktem gwarancyjnym, który jak w Ameryce tak i w Anglji jest dla wielu prawdziwym straszakiem. Przytem nadzieja, że dzięki postanowieniom układu będzie można w najbliższych latach zaoszczędzić koło 50 miljonów £ na okrętach linjowych, a 13 miljonów na mniejszych, jest niewątpliwie dla jego obrony cennym argumentem.

Istotnie w dzisiejszem położeniu finansowem Wielkiej Brytanji posiadają te cyfry zgoła swoistą wymowę. Wszak budżet, który Snowden przedstawił przed Świętami Izbie Gmin, zamyka się deficytem 42 miljonów £ (około 1,9 miljarda zł.). Aby go usunąć, kanclerz skarbu nie proponuje tych niezwykłych reform, których się po nim wszyscy spodziewali. Sięga do środków najprostszych, powiększając wydatnie podatek dochodowy oraz progresję, stosowaną przy dochodach ponad 50 tysięcy £. W ten sposób liczy na uzyskanie w budżecie 2 milj. nadwyżki.

Oczywiście budżet ten spotyka się z najostrzejszą krytyką prawicy, która Snowdenowi zarzuca, że bierze pieniądze tam, gdzie je można znaleźć, troszcząc się więcej o względy swej klienteli wyborczej, niż o skutki, które tego rodzaju pociągnięcia wywrą na całokształt gospodarki angielskiej. Inna rzecz, że nawet we własnych szeregach nie może rząd liczyć na bezwzględne poparcie, gdyż nie zamierza znieść ceł ochronnych, które w czasie kampanji wyborczej dostarczały laburzystom wygodnego celu do ataków. To też t. zw. niezależna partja pracy zwalcza budżet Snowdena równie ostro, jak dawniej budżety Churchilla, a jego zapowiedź, że wspomniane cła będą zniesione jeszcze w ciągu bieżącej kadencji parlamentarnej, napewne nikogo nie uspokoi. Zbywanie zarzutów podobnemi nadziejami brzmi zresztą nieco humorystycznie w ustach przedstawiciela rządu, który nie jest pewien dnia ani godziny.

Swe trzymanie się u władzy zawdzięcza on w pierwszym rzędzie temu, że konserwatyści nie mają żadnej ochoty podejmować odpowiedzialności w obecnem trudnem położeniu. Zresztą samo ich stronnictwo przechodziło w ostatnich czasach niebezpieczny kryzys. Dwaj konserwatywni magnaci prasowi, lordowie Beaverbrooke i Rothermere, podjęli starą myśl Joe Chamberlaina, aby z Imperjum Brytyjskiego utworzyć jednolity obszar celny i odgrodzić go na

wzór Stanów Zjednoczonych murem prohibicyjnych ceł. Mimo tylu ponętnych stron tego programu, mimo różnorodnych i niewyczerpanych zasobów Imperjum, trudno jednak sobie wyobrazić, aby umiało się zdobyć na samowystarczalność gospodarczą. Przytem stanowisko poszczególnych dominjów i kolonij wobec tych zamysłów nie byłoby zbyt przychylne, skoro musiałyby zerwać stosunki handlowe z krajami, które już dzisiaj w ich obrocie zajmują bardziej poczesne miejsce od metropolji. Oceniając trafnie te wszystkie trudności, a nie chcąc sobie zrażać potężnych sojuszników, Baldwin określił program nowopowstającego *United Empire Party* jako piękny ideał, którego urzeczywistnienie wymaga najpierw dopełnienia całego szeregu warunków. Choć Beaverbrook, główny inicjator nowego ruchu, poddając się argumentom Baldwina, zarzucił chwilowo myśl utworzenia nowego stronnictwa, jedność konserwatystów pozostaje nadal pod znakiem zapytania, tem więcej, że Rothermere wraz ze swoim *Daily Mail*, bijącym dziennie 2 miljony egzemplarzy, od naszkicowanych wyżej idej dotąd nie odstąpił.

Coprawda i sama partja robotnicza musi się wcześniej czy później liczyć z ubytkiem jakichś 30 niezależnych ze swego lewego skrzydła. Jak słychać jednak, Lloyd George zaofiarował się zapełnić tę groźną dla rządu lukę głosami liberałów. Między skrajnie opozycyjnem jego stanowiskiem z końca lutego a pojednawczem z końca marca zachodzi istotnie różnica, która każe przypuszczać, że w ciągu tego czasu doszło między nim a rządem do jakichś układów. Przedmiotem ich była zapewne reforma systemu wyborczego, który, licząc się dotąd z istnieniem dwóch tylko stronnictw, staje się rażąco niesprawiedliwy, gdy do walki staje ich trzy lub więcej. Koszty jego braków ponosili dotąd zawsze liberali i oni też spodziewają się po reformie największych korzyści — nic dziwnego, że za jej cenę Lloyd George zgodził się nie robić rządowi w Izbie Gmin trudności.

Z tych wszystkich objawów łatwo wysnuć wniosek, że cały system parlamentarny i partyjny przechodzi obecnie w Anglji głęboki kryzys. Chodzi o to, czy opinja kraju, pomijając wybujałe ambicje poszczególnych osobistości, wypowie się za utrzymaniem odwiecznego systemu dwóch partyj, czy też zróżnicowanie życia politycznego i gospodarczego narzuci także Anglji skomplikowany aparat partyjny, którego zbyt liczne sprężyny tak bardzo utrudniają sprawne działanie parlamentów.

3

Znana deklaracja Lorda Irvina z 1-go listopada 1929 r., która obiecywała Indjom w najbliższym czasie statut dominjum, nie przyniosła tak bardzo pożądanego uspokojenia. Trudno się temu dziwić, gdyż Anglja od szeregu lat karmi Indje obietnicami tego rodzaju. To też narodowy kongres indyjski, obradujący w Lahore z początkiem stycznia, przeszedł nad wysiłkami wice-króla do po-

rządku dziennego i uchwalił rezolucje, domagające się zupełnego wyswobodzenia Indyj od władzy angielskiej.

Znamiennem dla powyższych obrad, jak również dla wrzenia, które od tego czasu Indje opanowało, jest stanowcza przewaga elementów skrajnych nad umiarkowanemi, które w walce z panowaniem angielskiem miały dotąd głos przeważający. Nawet Gandhi musiał zmienić swą taktykę i, porzuciwszy hasło biernego oporu, dziś już zachęca swych zwolenników do czynnego nieposłuszeństwa prawom. Różne akcje, które ostatniemi czasy rozpoczął, noszą zresztą charakter raczej symboliczny, i faktyczna szkoda, którą przez nie Anglikom wyrządzi, nie będzie zbyt wielka. Dotyczy to przedewszystkiem wydobywania soli z morza, które ma poderwać monopol, ustanowiony przez władzę. Napewne jednak ten sposób oporu bez gwałtów najlepiej odpowiada zarówno tradycjom religijnym ludności, tak silnie wplecionym w całe jej życie, jak też jej charakterowi biernemu i nieskoremu do czynów.

Ale Gandhi napewne rozumie, że temi środkami nie zmusi Anglików do opuszczenia Indyj, które są kamieniem węgielnym Imperjum. Jego akcja jest obliczona na długie lata, a nawet pokolenia, które na swój sposób chce wychować i przygotować do tej niezależności, do której dziś jeszcze nie dorosły. Dziś jednak sam Mahatma nie jest już w stanie utrzymać w ryzach sił, które rozpętał. Choć nominalnie stoi on jeszcze na czele ruchu wolnościowego, ten ostatni przeszedł obecnie do metod wyraźnego gwałtu. Świadczą o tem tak liczne ostatniemi czasy krwawe rewolty w różnych punktach Indyj, które dla panowania angielskiego przedstawiają tem większe niebezpieczeństwo, że policja i wojsko składają się w ogromnej większości z tubylców. Dotąd ich wierność wytrzymała próbę ogniową i można powątpiewać, czy bratnie kule, skierowane przeciw ich piersi, zmienią nastrój tych sług Anglji, gdy hasło biernego oporu, które im tak wymownie Gandhi rzucał, nie wywarło na nich głębszego wrażenia.

Dziś w każdym razie walka, którą Gandhi pragnął rozstrzygnąć moralnemi środkami, toczy się zapomocą bomb i karabinów. Teren to dla Anglików bardziej pożądany, skoro mogą tutaj wyzyskać swą materjalną przewagę nad słabo zorganizowanymi mieszkańcami Indyj, których ponadto dzieli tyle różnic natury rasowej, społecznej i religijnej. Wszak Indje obejmują obszar równający się prawie europejskiemu, a ich trzystomiljonowa ludność przedstawia pod względem ras i religij mozajkę nierównie barwniejszą, jak nasz kontynent. Właściwie dopiero panowanie angielskie stworzyło z nich pojęcie geograficzne, a u ich mieszkańców wzbudziło poczucie jedności politycznej, które w dzisiejszem wrzeniu znajduje swój wyraz.

Różne przemówienia, wygłoszone na ostatnim kongresie w Lahore, dowodzą jednak, że poza tem poczuciem nie kryje się żaden program, zdolny zastąpić dzisiejszy stan rzeczy. Nienawiść do Angli-

ków, obwinianie ich za wszelkie indyjskie niedole były niemal wyłączną ich treścią. Ale gdyby ciemięzcy zgodzili się ustąpić dobrowolnie, kto wie, czy właśnie ci, którzy się dziś najgłośniej tego domagają, nie musieliby ich prosić o jak najszybszy powrót. Agitacja komunistyczna, nienawiść pomiędzy muzułmanami a brahminami, która perjodycznie do krwawych starć doprowadza, wreszcie inwazje wojowniczych szczepów górskich — napewne by wcześniej czy później samym Hindusom taką wolność obrzydziły.

Nie zapoznając wielkich niebezpieczeństw, które panowaniu angielskiemu w Indjach grożą, trudno zaprzeczyć, że trzymają oni w rękach jeszcze wiele atutów, a przytem korzystają także z kilkusetletniego doświadczenia w polityce kolonjalnej. Toteż zdołają napewne położenie opanować i dziś i jutro i tak długo, aż nie staną wobec Indyj, zdolnych przeciwstawić im jednolitą, ucywilizowaną i świadomą własnej siły potęgę. Na to jednak muszą one znaleźć przywódców, którzyby umieli konsekwentnie przeprowadzić rozpoczęte przez Mahatmę Gandhiego dzieło. Jemu samemu nie starczy na to lat i sił.

4

Oczekiwania, które nasze sfery gospodarcze wiązały z podpisaniem polsko-niemieckiego traktatu handlowego, rychło zawiodły. Program agrarny, uchwalony niedawno przez Reichstag, w dużej mierze niweczy korzyści, które nasze rolnictwo mogło uzyskać z nawiązania normalnych stosunków handlowych z Niemcami. Przy niezwykle wysokich stawkach celnych, które rząd od Reichstagu uzyskał, eksport płodów rolnych i hodowlanych do Niemiec przestaje się opłacać. Aby to niezwykłe postępowanie usprawiedliwić, niektóre koła niemieckie podkreślają, że nowe zarządzenia celne nie są specjalnie przeciw Polsce skierowane, lecz stanowią ochronę zachwianego w swej rentowności rolnictwa niemieckiego przed wszelką możliwą konkurencją zagraniczną. Ta okoliczność może być dla nas niewątpliwie pewną pociechą o tyle, że sztuczne podwyższenie cen płodów rolnych w Niemczech wywoła nietylko u nas, ale i u innych zainteresowanych państw represje, które, podcinając zdolność eksportową przemysłu niemieckiego, siłą rzeczy pozbawią i rolnictwo zysków, których się po programie agrarnym spodziewa. Nie jest więc wykluczone, że wcześniej czy później uda się i nam uzyskać tutaj pewne ustępstwa. Dalej łagodzi do pewnego stopnia obecną sytuację fakt, że niektóre z podwyższonych obecnie w Niemczech pozycyj są konwencyjnie ustalone w traktatach z innemi państwami (dotyczy to przedewszystkiem ceł na jaja i chmiel). Tem samem w razie ratyfikacji traktatu, który, jak wiadomo, obu stronom zapewnia największe uprzywilejowanie, także w stosunku do Polski rzeczone podwyżki nie wejdą w życie.

Wszystko to razem nie może nas jednak zachęcić do szybkiej ratyfikacji traktatu, która zresztą także z uwagi na niejasną sytua-

cję wewnętrzno-polityczną natrafia na pewne trudności. Mimo całego znaczenia, które normalizacji polsko-niemieckich stosunków gospodarczych przypisujemy, wydaje się, że podpisanie traktatu w tych warunkach nie może wydać pożądanych skutków. Nie Polska ponosi oczywiście za to odpowiedzialność, tylko p. Brüning. Występując początkowo jako człowiek silnej ręki, wkrótce stał się więźniem tych kilkudziesięciu posłów prawicowych, których głosy kupił za program agrarny. Trudno jednak przypuszczać, aby polityka, która w programie tym znajduje swój wyraz, mogła się dłuższy czas ostać wobec sprzecznych z nią interesów ogromnej większości społeczeństwa. Przytem chwiejność podstawy, na której się obecny rząd opiera, nie pozwala wróżyć mu zbyt długiej przyszłości.

5

Nieudany zamach bombowy na poselstwo sowieckie w Warszawie dowodzi, że jego inicjatorom więcej zależało na nadwerężeniu polsko-rosyjskich stosunków, niż na niszczącym efekcie, który, sądząc z wyników ekspertyzy, byłby znikomy. W tym związku zasługują na uwagę artykuły p. Romana Dmowskiego, który niedawno w *Gazecie Warszawskiej* wskazywał na spisek, knuty przeciw Rosji przez nieokreślone zresztą bliżej koła, na którego zbrojne narzędzie upatrzono sobie Polskę. Oznaki, na które się p. Dmowski powołuje, są niewątpliwie dosyć przekonywujące, przypisuje im jednak nadmierne znaczenie. Trudno bowiem uwierzyć, że te wojownicze plany z zakonspirowanych konwentykli przedostały się do gabinetów europejskich i że na serjo je zajmują. Wszak duchem podobnej akcji musiałaby stać się Anglja, która nietylko wznowiła dyplomatyczne stosunki z Sowietami, ale jeszcze niedawno zawarła z niemi traktat handlowy. Jako przygotowania do wojny są to kroki dość niezwykłe, a przytem ogólna linja polityczna rządu robotniczego odbiera takim domysłom wszelkie prawdopodobieństwo. Nie brakuje oznak, że ustrój sowiecki przechodzi obecnie ciężkie przesilenie, i lepiej zaczekać choćby kilka lat, aż się załamie, niż przez zewnętrzne interwencje pomagać mu do skupienia wkoło siebie całego narodu. Wiadomo, że taki skutek wywierają zwykle podobne przedsięwzięcia, co na własnej skórze odczuli Kołczak, Denikin i inni.

Wspomniane rewelacje stanowią niewątpliwie ciekawy przyczynek do historji naszych czasów, zbyteczną jednak wydaje się przestroga, aby Polska nie dała się wziąć na lep tych tajemniczych inspiracyj. Przebieg śledztwa w sprawie nieudanego zamachu i wywołane nim głosy różnych miarodajnych organów prasy najlepiej dowodzą, że nikt odpowiedzialny podobnemi zamysłami się nie zajmuje. Tembardziej należy sobie życzyć szybkiego wyjaśnienia całej sprawy, którą nota sowiecka stara się już wyzyskać dla powtarzania zwykłych w takich wypadkach inkryminacyj. Nie wolno ich

jednak odpierać w sposób, którego się chwyciły niektóre pisma polskie, podejrzewające koła zbliżone do poselstwa o współdziałanie w zamachu. Insynuacje takie, których najsłabszą stroną jest ich niesprawdzalność, mogą tylko rzucić fałszywe światło na usiłowania naszych władz i dostarczyć wody na młyn tym, którzy z tych czy innych powodów dążą do zaognienia polsko-rosyjskich stosunków.

Henryk Dembiński

Kraków, dnia 5 maja 1930

KRONIKA POLITYCZNA

Platformy polityczne opozycji

I

W wielostronności nastrojów i poglądów politycznych, narodowo-demokratycznych i socjalistycznych, sanacyjnych i opozycyjnych, radykalnych i umiarkowanych, polskich i mniejszościowych, istnieje jedna grupa polityczna, dla której sytuacja układa się jasno i jest krańcowo prosta. To wszystko, co się dzieje nietylko w Polsce ale w całym świecie poza Związkiem sowieckim, jest dla ugrupowań komunistycznych walką dwóch jedynie sił: rewolucji socjalistycznej i kontrrewolucji burżuazyjnej. Fazę zaś, którą wśród innych państw i Polska zdaje się przechodzić, ujmuje ostatni (lutowy) kongres Centralnego Komitetu Wykonawczego Komunistycznej Partji Polski [1] w następującem określeniu: „W celu odrzucenia narastającej fali rewolucyjnej burżuazja przy aktywnym współudziale socjalfaszystów [2] rozbudowuje wszędzie aparat ucisku, przechodząc do faszystowskich metod dyktatury kapitału". Dla III Międzynarodówki tedy różnice między Piłsudskim a Daszyńskim, między P. P. S. a Bezpartyjnym Blokiem, między radykalnymi ludowcami a obozem rządowym są najzupełniej nieistotne. „Socjalfaszyzm i jego ludowcowi satelici zachowują w dalszym ciągu rolę ostatniej rezerwy burżuazji". „Zaciśnienie faktycznej współpracy z rządem Piłsudskiego-Bartla,[3] socjalfaszyści i ludowcy usiłują przykrywać zapomocą frazeologji opozycyjnej". Cóż dziwnego, że przy tego rodzaju poglądzie na sytuację Komunistyczna Partja Polski nie widzi nawet egzystencji innych, już bezsprzecznie burżuazyjnych partyj, jak np. Stronnictwa Narodowego, ani też różnic między niemi a obozem rządowym.

Jakże dla tego stronnictwa o celu rewolucyjnym a metodzie walki z wszystkiemi innemi grupami, które w oczach komunisty nie są niczem innem, jak rozdziałem ról w antykomunistycznym sojuszu burżuazji — jakże dla tego stronnictwa przedstawia się

[1] Wszelkie cytaty tego ustępu kroniki pochodzą z broszurki: *VII Plenum K. C. K. P. P. Tezy i uchwały.* Warszawa (luty) 1939, str. 40.

[2] Tak brzmi ostatnia komunistyczna nazwa na II Międzynarodówkę. Dawniej to się nazywało „socjalszowiniści", „socjalpatrjoci", „socjalzdrajcy".

[3] Uchwały jeszcze z lutego 1930.

obecna sytuacja w Polsce? I dla komunistów zasadniczą jej cechą jest zaostrzenie się sytuacji gospodarczej: „Stabilizacja kapitalistyczna w Polsce okazała się jeszcze bardziej zgniłą, niż w innych krajach zachodniej Europy: opozycyjne poglądy towarzyszy, którzy przeceniali możliwości rozwojowe kapitalizmu polskiego i konjunkturalne sukcesy faszyzmu w dziedzinie stabilizacji, zbankrutowały doszczętnie". Pogłębianie się kryzysu gospodarczego powoduje wzrost niezadowolenia szerokich mas robotniczych, chłopskich, drobnomieszczaństwa,[1] pracowników państwowych i armji: „Na tem tle gospodarczem zaostrzył się również polityczny kryzys faszyzmu. Rośnie w masach nienawiść do Piłsudskiego i do całego obozu sanacji". Równocześnie „w rewolucyjnym ruchu narodowo-wyzwoleńczym, którego ostrze jest skierowane przeciw okupacji faszystowskiej[2] oraz jej ukraińskim i białoruskim sprzymierzeńcom, wzmacnia się hegemonja klasy robotniczej z partją komunistyczną na czele. Zaostrza się walka z coraz jawniej występującym sojuszem burżuazji polskiej, ukraińskiej i białoruskiej".[3]

Tak wygląda sytuacja w oświetleniu komunistów polskich: rosnący kryzys gospodarczy i rosnące niezadowolenie polityczne, wrzenie wśród mas. Jakież są w tej sytuacji możności sukcesu Partji Komunistycznej. Rezolucje, które omawiam, tak — zdawałoby się — optymistyczne, jeśli idzie o ocenę podłoża, w którem dziś działać przychodzi, — są tu nieco bardziej krytyczne.[4] Naprzód stwierdza się, że ta jednolitość wszystkich grup niekomunistycznych nie jest znowu tak stanowczą. Spór między niemi nie jest coprawda natury zasadniczej, lecz jest jedynie sporem o „metody ratowania stabilizacji kapitalistycznej... między zwolennikami zachowania zewnętrznych form parlamentaryzmu[5] jako przykrycia dla dyktatury faszystowskiej a przeciwnikami wszelkich przeżytków demokracji parlamentarnej. Niemniej ta różnica metody jedynie pozwala partjom antyrządowym na rozwijanie „frazeologji opozycyjnej", którą partje te usiłują pokryć współpracę z rządami pomajowemi; przy jej po-

---

[1] Nawet i w tej pogardzanej warstwie widzi się pożądanego sojusznika.

[2] „Okupacja faszystowska" oznacza panowanie polskie w województwach wschodnich i południowo-wschodnich, na które, zgodnie z tą zasadą, nie rozciąga się działalność Kom. Partji Polski, lecz gdzie istnieją samodzielne, bezpośrednio III Międzynarodówce podległe Kom. Partje Białorusi Zachodniej i Ukrainy Zachodniej.

[3] Zaznaczać warto, że w tym samym mniej więcej czasie co VII Plenum CKW KPP. odbył się we Lwowie (15 lutego 1930) rozwiązany już w czasie przemówień powitalnych przez władze Kongres Selrobu (Jedność). W deklaracji prezesa Selrobu po rozwiązaniu kongresu spotykamy identyczną, co i na VII Plenum CKW. KPP., ocenę sytuacji.

[4] Nawet się to specjalnie nazywa: samokrytyka bolszewicka, i jest bardzo gorąco zalecane.

[5] Znaczne — zapewne mimowolne odstępstwo prawowiernej KPP — od jednego z podstawowych dogmatów leninizmu, dla którego parlamentaryzm jest zawsze jedynie zewnętrzną formą, jego ratowanie zawsze ratowaniem jedynie zewnętrznej formy.

mocy jednak zyskują sympatje niezadowolonych. W tem tkwi pierwsze dla widoków rozwoju KPP. niebezpieczeństwo. „Nacisk frazeologji opozycyjnej na masy jest tem groźniejszy, że wzmożone w ubiegłym okresie tarcia między socjalfaszyzmem a rządem nabierały pozorów walki między „obozem demokracji“ a „obozem dyktatury faszystowskiej““. Wyzyskiwanie pewnej części fali opozycyjnej przez partję burżuazji i „socjalfaszyzmu“ jest pierwszem dla rozwoju komunizmu w Polsce niebezpieczeństwem.

Następne tkwią w samej partji komunistycznej. A więc — po pierwsze — w jej obecnem stadjum organizacji. „Nie posiadając odpowiednich transmisyj do mas, partja nie może w porę oceniać ich nastrojów. Największa nawet aktywność naszej awangardy, bez powiązania z masami i rozszerzenia wśród nich bazy w toku akcji nie gwarantuje poprowadzenia tych mas przez partję“. „Nienadążanie partji za nastrojami i rozwojem aktywności bojowej mas jest szczególnie groźne w obecnym okresie podnoszenia się fali rewolucyjnej“. „Dysproporcja między wpływami partji a ich organizacyjnem ujęciem jest zatrważająca“. Wszystko to, przetłumaczone na inny język, cała ta „komunistyczna samokrytyka“ uwolniona od nieuniknionych oczywiście komunistycznych samozłudzeń oznacza poprostu, iż zdaniem KPP. nastroje opozycyjne wśród mas nie są bynajmniej nastrojami probolszewickiemi, że ponadto partja komunistyczna w obecnym swym stanie organizacyjnym nie jest w możności przemienienia tych nastrojów na prokomunistyczne.

Drugą wewnętrzną przyczyną słabości partji komunistycznej w Polsce są — znów wedle komunistycznej samokrytyki — nieporozumienia i herezje wewnątrz partji. A więc przedewszystkiem błąd prawicowy, czyli błąd legalizmu tak silny, że przed dokonaną na rozkaz CKW. III Międzynarodówki epuracją reprezentował ten błąd większość w CKW. KPP., ten też błąd w „wolnych“ (t. j. komunistycznych) związkach zawodowych doprowadził do przejęcia do statutu związków „postulatów i haseł związkowych socjalfaszystów“, doprowadził „do jawnej zdrady w kierownictwie Wolnych Związków na Śląsku“. Opozycja prawicowa, przypisująca „tarciom wewnątrz obozu faszystowskiego rolę samodzielnego czynnika rewolucji, zasadniczo przeciwstawiająca rząd Bartla rządowi pułkowników“ — jest — wnosząc z powyższego — silną szczególnie w komunistycznych organizacjach robotniczych i zdradza tendencje do porozumienia z stojącemi od niej na prawo innemi partjami socjalistycznemi. [1]

[1] Z kim? Na to po części zdają się dawać odpowiedź obrady ostatniego Centralnego Komitetu Żydowskiego Związku Robotniczego (Bundu) poświęcone przystąpieniu Bundu do II Międzynarodówki. Teza większości wypowiedziała się za przystąpieniem, teza mniejszości, zarzucając II Międzynarodówce „nastroje i złudzenia reformistyczne“, żądając „Międzynarodówki czynu rewolucyjnego“ przeciwstawiła się najbardziej stanowczo przystąpieniu do II Międzynarodówki. Te nastroje prawicowej opozycji KPP., lewicowej opozycji Bundu (trudniej stwierdzić, czy i o ile takie nastroje ujawniają się

Dalej błąd ultralewicowy, który wyraża się „w lekceważeniu pracy wewnątrz socjalfaszystowskich związków zawodowych, w niezrozumieniu roli masowych organizacyj rewolucyjnych... w zasklepieniu organizacyjnem". Inaczej mówiąc — w chęci zachowania obecnej dysproporcji między nastrojami opozycyjnemi w Polsce a faktycznemi wpływami skrajnej opozycji — komunistów.

Rezultat: ostatnie Plenum CKW. KPP. ocenia sytuację następująco: istnieje w Polsce konjunktura dla wywołania wrzenia rewolucyjnego. Ta konjunktura nie jest skutkiem sukcesów agitacji bolszewickiej. Ta konjunktura nie jest również skutkiem systemu rządów pomajowych, lecz skutkiem kryzysu gospodarczego. Nie istnieje możność wyzyskania tej konjunktury przez partję komunistyczną w obecnym stanie organizacyjnym tej partji. Dla wzrostu wpływów partji konieczne jest zarówno stworzenie szerszej organizacji masowej, jak i wewnętrzna konsolidacja partji.

II

Jeśli streściłem tak obszernie najnowsze rezolucje komunistów polskich, to raz dlatego, że o taktyce polskiego komunizmu wie się mało, a powtóre dlatego, że rezolucje te dają stosunkowo trzeźwą i trafną ocenę sytuacji.[1] Wkońcu dlatego, że rezolucje interesująco podkreślają ten moment, który będzie wspólny działalności wszystkich (z komunistami włącznie) grup opozycyjnych, a którym jest wyzyskiwanie dla celów agitacyjnych ciężkiej sytuacji gospodarczej państwa, usiłowanie wykorzystania na swoją korzyść żywiołowego, a więc najzupełniej apolitycznego niezadowolenia mas.

Moment ten zaczyna się wybijać na pierwszy plan w działalności Stronnictwa Narodowego. Na ostatniem posiedzeniu Rady Naczelnej tego stronnictwa (w dniu 30 marca 1930) w Warszawie odstąpiono od dotychczasowej tradycji długiego wstępu o niepraworządności rządów pomajowych, i na samym wstępie rezolucji stwierdzono stanowczo, iż rządy przewrotu majowego „okazały dotychczas całkowitą niezdolność kierowania sprawami gospodarczemi i skarbowemi wobec pogłębiającego się stale kryzysu". Następnie zaś, w części ogólnikowej rezolucji, wspomniano coprawda o „pomijaniu" prawa, ale w części szczegółowej zajęto się jedynie dokładną receptą na przesilenie gospodarcze, zawierającą zresztą ustalone od dawna postulaty wszystkich ugrupowań umiarkowanych i liberalnych (poza pewnemi zastrzeżeniami co do form dopływu kapitału zagranicznego do Polski). Taką zdaje się będzie platforma

w PPS.) wskazywałyby, że istnieje możebność niejako reaktywowania „Międzynarodówki II½".

[1] Pominąwszy naturalnie pewne typowo komunistyczne egzageracje, jak o braku różnic między grupami prorządowemi a opozycją, jak o sojuszu między burżuazją polską i mniejszościami słowiańskiemi, jak o „rewolucyjnym" charakterze trafnie pozatem scharakteryzowanego niezadowolenia mas, wywołanego kryzysem gospodarczym.

walki Stronnictwa Narodowego o zaufanie społeczeństwa. Że innej platformy Stronnictwo Narodowe nie życzy sobie, wskazywałby może artykuł w jego naczelnym organie z dnia 14 kwietnia b. r., w którym w polemice z hasłami pierwszomajowemi PPS. stwierdza się, że Polska stoi poza nawiasem obu wielkich prądów dziejowych (liberalizmu i „reakcji narodowej przeciw niemu") i że walka w Polsce toczy się „nie o ideologję, ale o rzeczy bez porównania bardziej prymitywne, elementarne". Czy te „rzeczy prymitywne, elementarne" staną się również platformą walki Stronnictwa Narodowego — ocenić trudno; niemniej odrzucenie konfliktu ideowego, jako tej platformy, jest niedwuznaczne.

III

Również stronnictwa „Centrolewu" podkreślają ostro obecny kryzys gospodarczy jako argument opozycyjny wobec rządu. Deklaracja „Centrolewu" do społeczeństwa stwierdza: „Polityka rządów pomajowych, lekkomyślna, bezplanowa, obliczona — w okresie pomyślnej konjunktury — na jaskrawe i nieistotne efekty, nie umiała niczego przewidzieć, nie umiała się przygotować zawczasu na okres klęski". Pierwszomajowa odezwa PPS. CKW. deklaruje: „Szaleje kryzys gospodarczy; dyktatorski system rządzenia nie umiał go przewidzieć, nie potrafił stawić mu czoła". Wspólna deklaracja trzech stronnictw chłopskich (Wyzwolenia, Piasta, Stron. Chłopskiego), ogłaszająca o dojściu między nimi porozumienia co do potrzeby „uzgodnienia swego postępowania", wysuwa jako motyw zasadniczy tezę: „Czteroletnie rządy pomajowe doprowadziły do ruiny gospodarczej wsi". Na krakowskim zarządzie okręgowym Piasta w dniu 5 kwietnia b. r. stwierdzono „zupełną jednomyślność w poglądach wszystkich delegatów na stosunki gospodarcze panujące w państwie, których winę ponoszą dyktatorskie rządy pomajowe". A najnowsi entuzjaści dopływu kapitału zagranicznego do Polski — Stronnictwo Chłopskie — uchwalają (na Klubie Parlamentarnym w dniu 1 kwietnia), iż powstanie rządu Sławka „spowoduje dalszy bojkot Polski przez kapitał zagraniczny, a otrzymanie wielkiej długoterminowej pożyczki zagranicznej jest dziś jedynym sposobem ratowania Polski od zupełnej ruiny ekonomicznej".

Niemniej ten motyw opozycji nie wydaje się dla stronnictw Centrum i Lewicy ani jedynym, ani naczelnym. Najbardziej może jednostronnie jest akcentowany przez stronnictwa ludowe. Już jednak „Centrolew" jako całość wysuwa na plan pierwszy odmienny argument uzasadniający opozycję. Jest to zresztą zupełnie zrozumiałe. Nie może być wspólnego programu gospodarczego stronnictw od drobno-burżuazyjnej Chadecji do socjalistycznej PPS., od miejskich grup Chadecji, PPS. i NPR., przez wielkochłopskie stronnictwo Piasta aż po drobnowłościańskie Stronnictwo Chłopskie i Wyzwolenie; skoro zaś niema wspólnego programu gospodarczego, trudno

czynić wspólnym motywem opozycji właśnie ten gospodarczy teren. Wysunięto tedy argument inny. W odezwie „Centrolewu" powiedziano jasno: „Żądanie nasze jest jedno: usunięcie dyktatury i przywrócenie panowania prawa". Nie odpowiedziano coprawda, jakie to jest prawo, które pragnie się przywrócić, jakie to prawo reprezentuje dyktatura, a jakie mu „Centrolew" przeciwstawia. W odpowiedzi tej wyręczyła „Centrolew" — PPS., jego niezaprzeczony wódz, jeśli nie duchowy, to w każdym razie wódz intelektualny: „Toczy się w Europie wielki bój między demokracją a dyktaturą... Pomajowy system rządzenia wprowadził Polskę do rzędu państw dyktatury". Rzucono jasno i wyraźnie hasło walki o demokrację. Tak stworzono ideowe podłoże konfliktu.

IV

Czy to ideowe podłoże rzeczywiście istnieje? Czy rzeczywiście po jednej stronie stoją demokraci, po drugiej stronie stoją wrogowie demokracji? Nie ulega wątpliwości, że w szeregach opozycji znajduje się szereg ludzi, którzy wierzą głęboko i szczerze w rzeczywistość tego konfliktu. Co siedem dni ukazujące się (w czasopiśmie *Tydzień*) artykuły najszlachetniejszego z polskich demokratów, najpiękniejszego pryncypjalisty polskiego demokratyzmu — Stanisława Thugutta — są tego dowodem. Ale nie ulega również wątpliwości, że w obozie rządowym znajduje się szereg ludzi, którzy równie szczerze i głęboko wierzą, że pozostali demokratami, że to co czynią jest zgodne z zasadami demokracji. Starałem się już nieraz w tem miejscu wskazać na przyczynę tej różnicy w ocenie demokracji wśród walczących w Polsce obozów. Starałem się wykazać, że nie żyjemy w okresie normalnym, lecz w okresie rewolucyjnym, że w okresie rewolucyjnym najszczersi demokraci zawsze i wszędzie kwestjonowali wystarczalność normalnych, zwykłych metod rządów demokratycznych, normalnych, zwykłych metod badania woli ludu. Starałem się wykazać, że wszystkie wielkie demokracje współczesne powstawały w taki — nienormalny, pozornie niedemokratyczny — rewolucyjny sposób. Wielka rewolucja angielska stworzyła w Anglji demokratyczną republikę decyzją mniejszości, wbrew woli większości. Wielka rewolucja francuska obaliła klasową, cenzusową monarchję (potem prowizoryczną republikę) żyrondystów wbrew woli większości, decyzją mniejszości stworzyła demokratyczną republikę jakobińską. Konflikt polski nie jest konfliktem demokracji z dyktaturą, jest konfliktem dwóch różnych poglądów na metody organizowania demokracji. Opinja polskich nacjonalistów, iż nie jest to bynajmniej konflikt między demokratycznym liberalizmem a reakcją nacjonalistyczną, jest z pewnego punktu widzenia słuszną. Niema w tym konflikcie miejsca na trzeciego walczącego — na nacjonalistyczną reakcję. Dla tej ostatniej niema — zdaje się — miejsca wśród kandydatów na zwycięzcę,

jest jedynie miejsce — silnej z pewnością — ale jedynie opozycji wobec każdego z ewentualnych zwycięzców. Podobnie jak i dla grupy, od której zacząłem ten przegląd.

Konstanty Grzybowski

Kraków, 24 kwietnia 1930.

OBCY O POLSCE

POLONIKA ANGIELSKIE

Mimo trudności, płynących z faktu, że znajomość życia polskiego, kultury i literatury polskiej w świecie anglo-saskim jest wciąż jeszcze mocno ograniczona, że niema dotychczas żadnego poważnego ośrodka, który potrafiłby skupić rozproszone zainteresowania, już istniejące, i, co najważniejsza, rozwojem zainteresowań tych kierować przez wykształcenie odpowiedniego zasobu ludzi, zajmujących się Polską poważnie i systematycznie, — stwierdzić należy, że zainteresowania te nieustannie rosną, czego dowodem są choćby publikacje, objęte obecną recenzją. Są one wcale różnorodne, obejmują bowiem przekłady arcydzieł literatury polskiej, przekłady rzeczy w Polsce z tych czy innych względów popularnych, wreszcie studja, dotyczące dość różnych dziedzin życia polskiego, jakkolwiek publikacjami o charakterze politycznym zajmować się tutaj nie zamierzam.

I

Z wieku i urzędu pierwsze miejsce należy się tu profesorowi uniwersytetu kalifornijskiego, G. R. Noyesowi, niestrudzonemu pionierowi w dziedzinie wtajemniczania czytelnika angielskiego i amerykańskiego w świat arcydzieł naszej poezji romantycznej. Najwcześniejsza z tych prac, prozaiczny przekład *Pana Tadeusza*, ogłoszony w r. 1917, pojawił się obecnie w popularnem wydaniu, jako Nr. 842 znanej na całym świecie serji tanich, dwuszylingowych książek, t. j. w Denta *Everyman's Library*.[1] Ponieważ przekład ten wydany był podczas wojny i wiadomości o nim do Polski nie dotarły, warto mu poświęcić chwilę uwagi. Tłumacz, posiadający dobre przygotowanie filologiczne i, co większa, sumienie filologiczne, doskonale zdawał sobie sprawę z trudności, z dokonaniem przekładu związanych, stąd zrezygnował z formy wierszowanej, jakkolwiek nie stracił nadziei, że z biegiem czasu i tę uda mu się osiągnąć, w zamian za to zaś dał gładki i przyjemny w czytaniu tekst, robiący nieraz wrażenie doskonałej powieści w guście walter-scottowskim. Nie popadając prawie wcale w przyziemność, od prozy bodajże nieodłączną, sięga on miejscami wyżyn prawdziwej sztuki.

[1] *Pan Tadeusz, or the Last Foray in Lithuania.* Translated from the Polish by G. R. Noyes. London, J. M. Dent and Sons, 1930.

Wystarczy wskazać, że ustęp tak trudny, jak koncert Wojskiego, w prozie prof. Noyesa podzwania wyraźnie szlachetną muzyką wierszy oryginału. Z tem wszystkiem jednak proza nigdy nie sprosta zadaniom wiersza, stąd, jakkolwiek wersja prof. Noyesa jest o całe niebo wyższa od wierszowanego przekładu, dokonanego przed laty przez Miss Maude Ashurst Biggs (1885), na czytelniku obeznanym z oryginałem musi ona robić wrażenie czegoś nieporównanie mniej doskonałego. Spróbuję zilustrować to na przykładzie, który zresztą zasługuje na uwagę z innego jeszcze stanowiska. Biorę ustęp z opisu ogrodu:

> „Above the mass of many-coloured ears and stalks hang like a canopy a bright cloud of butterflies whose four-parted wings were light as a spider's web and transparent as glass; when they hover in the air they are hardly visible, and though they hum, they are motionless" (str. 64).

Spróbujmy przełożyć to na polski, możliwie dokładnie: „Nad masą różnobarwnych kłosów i łodyg wisiała, niby baldachim, jasna chmura motyli o skrzydłach z czterech płatków, tak lekkich jak pajęczyna, a tak przeźroczystych jak szkło. Gdy unosiły się w powietrzu, nie mógłbyś ich dojrzeć, a choć brzęczały, rzekłbyś, że były nieruchome".

Zdaję sobie oczywiście sprawę, że popełniam barbarzyństwo, stosując tego rodzaju metodę, chodzi mi jednak o wydobycie podstawowej różnicy między nieuniknioną prozaicznością wersji nierymowanej w porównaniu z poetyckim oryginałem. W danym wypadku oryginał ten brzmi:

> Nad gęstwą różnofarbnych kłosów i badylów
> Wisiała jak baldachim jasna mgła motylów,
> Zwanych babkami, których poczwórne skrzydełka,
> Lekkie jak pajęczyna, przejrzyste jak szkiełka,
> Gdy w powietrzu zawisną, zaledwo widome,
> I chociaż brzęczą, myślisz, że są nieruchome. (III, 65—70).

A więc, podziwiając wierność przekładu, w którym nie uroniono żadnego niemal szczegółu obrazka, niepodobna jednak nie spostrzec, że jego lekkość i przejrzystość, osiągnięte, między innemi, przez użycie wyrazów zdrobniałych, w przekładzie nie wypadły tak, jakby się tego oczekiwało.

Przytoczyłem ten ustęp z innego jeszcze względu. Czytelnik polski, zadowolony z faktu, że arcydzieła literatury naszej pojawiają się w przekładach na obce języki, zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co możnaby nazwać syzyfowym trudem tłumacza. Skarżyła się kiedyś przede mną tłumaczka Żeromskiego na włoski, na niesłychane trudności, które wypadło jej pokonywać z powodu braku dobrego słownika polsko-włoskiego. A to samo dotyczy tłumaczy Anglików, czy jakichkolwiek innych. Tłumacz musi polegać na własnej znajomości języka oryginału, na kontekście, na własnej intuicji, na przypadkowych wreszcie informacjach, nieraz zawod-

nych. Rezultatem tego w omawianym wypadku jest fakt, że w przekładzie *Pana Tadeusza* nie brak usterek, choćby w ustępie tylko co przytoczonym. Czytelnik angielski tedy może się zdziwić, co to za brzęczące motyle látają w Polsce, i będzie miał rację. Wprawdzie z noty sumiennego tłumacza dowie się, że opuścił on tutaj nazwę *babki (called little grandmothers),* ale uwaga ta niewiele mu pomoże, bo oczywiście *babka* nie oznacza tu *grandmother,* lecz *ważkę,* a więc *dragon fly,* która istotnie brzęczy (*hums*) w locie. To samo dotyczy paru innych wypadków, takich, jak umieszczenie w ogródku Zosi potoku („w sadzie na brzegu", t. j. z brzegu, na kraju, a nie *on the bank of the brook,* str. 4), jak nazwanie „wiary" (XIII, 325) szeregowcami (*privates*) i t. p. Najzabawniej oczywiście wypadają niekiedy charakterystyczne zwroty idjomatyczne, a więc metafory, których znaczenie oryginalne uległo w rozwoju języka zatarciu. Telimena powiada tedy o Tadeuszu: *if you make a sower of buckweat out of the young man* (str. 74), co literalnie odpowiada Mickiewiczowskiemu „jeśli młodego chłopca zrobisz grykosiejem" (III, 379). Kłopot z tem tylko, że z jednej strony Anglik przeważnie o *buckweat* nigdy nie słyszał, następnie zaś, że grykosiej, czyli pospolicie hreczkosiej, nie oznacza człowieka siejącego hreczkę, lecz ograniczonego rolnika, nie interesującego się niczem poza opłotkami swego gospodarstwa. Oczywista, że należałoby w tym wypadku zrezygnować z dosłowności, a przełożyć *hreczkosiej* albo przez *farmer, farm hodge,* czy poprostu przez pospolite *breadwinner.* Nie chcę jednak mnożyć przykładów, tem bardziej, że byłoby to szukaniem dziury na całem, przekład bowiem prof. Noyesa posiada tyle zalet, jest tak wierny, świadczy o tak rzetelnem wniknięciu w ducha oryginału, że zalety te w zupełności okupują drobne potknięcia się, w pracy takiej nieuniknione.

Profesor amerykański, jak to w recenzjach jego przekładów niejednokrotnie podkreślano, nie ograniczył się do pracy własnej, lecz skutecznie zachęcił do tłumaczenia z polskiego całą grupę swoich studentek, posiadających zdolności poetyckie. Najwybitniejsza z nich, pani Dorota Prall Radin, z pod pióra której wyszły przekłady *Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa, Treny* i t. d., dokonała ostatnio przekładu *Anhellego.*[1] Rzecz ta, podobnie jak bliskie jej formą *Księgi,* wypadła świetnie, poprostu dlatego, że język angielski, przepojony wpływami Biblji, której autoryzowaną wersję (coś niby naszego Wujka) traktuje się w szkole jako jeden z utworów klasycznych, jest idealnem narzędziem w ręku tłumacza biblijnej prozy naszych romantyków. Możnaby dziesiątkami na chybił trafił cytować wersety *Anhellego* w przekładzie p. Radin, by wykazać, że ani giętkość, ani melodyjność, ani jasność oryginału nie straciły na przelaniu w szatę mowy angielskiej. Jest to zresztą niewątpliwą

[1] *Anhelli* by Juliusz Słowacki. Translated from the Polish by D. Prall Radin, edited by G. R. Noyes. London, Allen and Unwin, 1930.

zasługą prof. Noyesa, który tłumaczenia przejrzał bardzo starannie, o czem niejedno dałoby się powiedzieć, miałem bowiem sposobność obserwować jego niesłychaną staranność, by w każdym niemal wersecie dotrzeć do głębi jego istotnego znaczenia. Z pod gładkiej powierzchni wersji definitywnej nie widać całego trudu, w jej uzyskanie włożonego. Dla przykładu zacytuję jeden tylko wypadek charakterystyczny: zdanie: „Szamanie, oto się boją, żeby nie zmartwychwstali ci umęczeni" (4, 4) brzmi: *Shaman, lo I am afraid lest these martyrs may never rise from the dead.* Zdanie to, jak wiadomo, jest klasycznym przykładem faktu, że *littera nocet,* w pierwodruku bowiem mamy omyłkę, *oto się boję,* dzięki czemu werset zawiera sprzeczność między obawą Anhellego a życzeniem, by Szaman wskrzesił okutego starca. Prof. Noyes nie poszedł za lekcją, mojem zdaniem jedynie słuszną, t. j. że Moskale, bojąc się zmartwychwstania męczenników, grzebią ich w kajdanach, lekcja taka bowiem wymagałaby albo dłuższego omówienia albo wprowadzenia w tekst konjektury, przez wsunięcie natomiast owego *never* sprzeczność usunął i dał tekst jasny i zrozumiały. A wreszcie, podobnie jak w przekładach wcześniejszych, do tekstu *Anhellego* dodano gruntowny, choć zwięzły, komentarz, którego utwór ten nieodzownie wymaga. W komentarzu tym wyzyskano uwagi Boleskiego, Kleinera, Kucharskiego i Ujejskiego; co większa, prof. Noyes rozszerzył je kilku własnemi, interesującemi spostrzeżeniami na temat reminiscencyj w *Anhellim* z Silvia Pellico *Le mie prigioni,* zwłaszcza w charakterystyce Ellenai.

O ile naukowa oprawa przekładu *Anhellego* chlubnie świadczy o poziomie polonistyki na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, o tyle niewiele dobrego dałoby się powiedzieć o uniwersytecie w Michigan, gdzie literaturę polską od lat czterech wykłada Dr. St. Mitana, gdyby za podstawę tego sądu przyjąć jego szkic o Słowackim, człowieku i artyście, wydrukowany jako wstęp do prozaicznego przekładu *Mazepy.*[1] Wszelkie komunały, powtarzane przez zasłużonych skądinąd nauczycieli literatury polskiej w przedwojennych gimnazjach galicyjskich, takie jak antagonizm Słowackiego i Mickiewicza, jak stosunek Słowackiego do Powstania Listopadowego, z dodatkiem paru błędnych wiadomości (powstanie *Księcia Niezłomnego* we Florencji) paradują na sześciu stronicach owego wstępu, w którym zato o *Mazepie* znajduje się tylko wzmianka sześciowierszowa, podkreślająca, że utwór ten jest sztuką bardzo sceniczną i że należy go grać w kostjumach.

Sam przekład natomiast, sporządzony przez uczniów Dr. Mitany, p. Cecylję Dolenga (Dołęga) Wells i Carltona F. Wells, czyta się bardzo gładko i robi wrażenie zdecydowanie dodatnie. Oczy-

[1] *Mazeppa* a tragedy translated from the Polish by C. D. Wells and C. F. Wells. With an Introduction by T. Mitana. Ann Arbor, The Alumni Press, 1929.

wista, znowuż cudowna muzyka wiersza Słowackiego zatraciła się niepowrotnie, podobnie jak w przekładzie *Pana Tadeusza*, w zamian za to jednak, jeśli to nie jest złudzeniem, wydaje mi się, że charaktery tragedji na tem zyskały. Nabrały one większej ostrości w rysunku i większej wyrazistości. Powtarzam jednak, że może to być złudzenie, przypuścić jednak można, że czytelnik polski, przyzwyczajony do rozlewnej muzyki oryginału, zwłaszcza w rolach Amelji i Zbigniewa, rozlewności tej zbytnio ulega, dzięki czemu mniej jest wrażliwy na człowieczość ludzkich kreacyj Słowackiego, w przekładzie właśnie występującą w sposób zupełnie zdecydowany.

Z uznaniem wreszcie podnieść należy wytworną szatę zewnętrzną książeczki, oraz niewątpliwą zasługę Dr. Mitany w zachęceniu swych słuchaczy do dokonania pierwszego przekładu Słowackiego na język angielski. *Mazepa* amerykański o parę miesięcy wyprzedził londyńską edycję *Anhellego* i wskutek tego zdobył przywilej pierworodztwa, pamiętać zaś należy, że Słowacki jest pisarzem w krajach anglo-saskich, jako tako obeznanych z Mickiewiczem, dotychczas nietłumaczonym. I właśnie dlatego pojawienie się obydwu tomików omówionych oraz zapowiedź ukazania się, z pracowni prof. Noyesa, przekładu *Ojca Zadżumionych*, są zjawiskami ze wszech miar zasługującemi na uwagę.

II

Obok przekładów klasyków polskich, w przeciągu roku ostatniego pojawiło się w Anglji parę książek, poświęconych dziejom kultury literackiej w Polsce. Najbardziej osobliwem zjawiskiem w tej dziedzinie jest niewątpliwie publikacja o Stanisławie Konarskim,[1] której okładka głosi, że jest to rozprawa doktorska, przedłożona wydziałowi filozoficznemu Uniwersytetu Krakowskiego. Autor jej, William J. Rose, obecny redaktor nowojorskiego miesięcznika *Poland*, nie jest zresztą nowicjuszem na polu studjów nad Polską, już bowiem przed paru laty wydał spory wybór z *Ojcze Nasz* Cieszkowskiego[2] z obszernym wstępem, przyczem obydwie te książki są stadjami wstępnemi do dzieła większego, traktującego o „Myślicielach Polskich", a więc dzieła, na jakie dotychczas nauka polska zdobyć się nie umiała.

Studjum o Konarskim, zarówno objętością, jak metodą, jak wreszcie wynikami, znacznie odbiega od normalnych „tez" doktorskich, pod niejednym zaś względem bije rozprawy habilitacyjne naszych docentów. Autor opanował tu cały materjał źródłowy, do-

[1] *Stanislas Konarski Reformer of Education in XVIII-th Century Poland.* Tesis offered to the Faculty of Philosophy of the University of Cracow by W. J. Rose. London, J. Cape, 1929. str. 288.

[2] *The Desire of All Nations being an English Edition (Abridged) of Augustus Cieszkowski's Our Father (Ojcze nasz).* Prepared... by W. J. Rose. London, Student Christian Movement, 1919, str. 326.

tyczący odrodzenia się kultury polskiej pod koniec epoki saskiej i ujął go w piętnastu rozdziałach w przejrzystą całość, ukazującą zasługi Konarskiego na tle epoki. Obraz tła tego, wypełniający księgę wstępną dzieła Dr. Rose'a, jest zresztą znacznie słabszy od wizerunku samego Konarskiego. Autor poszedł tu z konieczności torem wytkniętym przez klasyczną książkę o *Przewrocie umysłowym* Smoleńskiego i nie potrafił uniknąć trudności, znanych dobrze każdemu czytelnikowi dzieła polskiego. Cała masa nazwisk drugo- i trzeciorzędnych, rozmaitych Duńczewskich i nie-Duńczewskich (przytaczam to nazwisko właśnie, ponieważ producent kalendarzy zamojskich został niepotrzebnie przeceniony), sprawia, że nawet czytelnikowi polskiemu trudno się w tym chaosie zorjentować, a cóż dopiero mówić o czytelniku angielskim. Z chwilą jednak, gdy się przebrnie przez to trzęsawisko faktów, gdy na scenie pojawia się sam Konarski, charakter opowiadania zmienia się radykalnie. Praktyczny zmysł Amerykanina każe autorowi położyć w dziejach Konarskiego główny nacisk nie na teorje zasłużonego reformatora, lecz na działalność praktyczną tego organizatora, który, z kilkuset zaledwie dukatami w kieszeni, rozpoczął ogromne dzieło i, co ważniejsza, dzieło to doprowadził do skutku. Podobnie fakt, że system kollegjów po dzień dzisiejszy kwitnie w krajach anglo-saskich, że więc jest zrozumiały dla każdego Anglika czy Amerykanina, sprawił, iż rozdziały książki, traktujące o „walce o szkolnictwo nowoczesne", należą w niej do najlepszych.

Efekt książki jest niezawodny. Z prawdziwą przyjemnością słuchałem uwag historyka angielskiego, uchodzącego za autorytet w sprawach Europy wschodniej, gdy w jakimś odczycie podkreślał zdumiewający dlań fakt, że Polska w. XVIII zdobyła się na reformę szkolnictwa wyprzedzającą Europę zachodnią. Gdyby efekt ten miał być nawet jedyny, to już choćby dla niego warto było książkę o Konarskim napisać. Przytoczony zresztą fakt utwierdza mnie tylko w spostrzeżeniu, dawniej już zrobionem, że nasza „propaganda" na Zachodzie, o ile ma dawać naprawdę jakieś wyniki, musi spoczywać w ręku fachowców, narzędziem jej zaś muszą być nie zarysy encyklopedyczno-popularyzacyjne, choć i te są potrzebne, lecz książki źródłowe, zawierające informacje z pierwszej ręki. Oczywiście, trafią one w pierwszym rzędzie, a może nawet jedynie, do ciasnego grona specjalistów, ale przez tych przynajmniej będą brane na serjo, nie mówiąc już o tem, że w krajach anglosaskich wpływ specjalistów na urabianie opinji publicznej jest daleko silniejszy, aniżeli u nas. I właśnie dlatego książka Rose'a wydaje mi się pozycją naprawdę bardzo cenną.

W inną sferę zagadnień wiedzie nas świeżo wydana rzecz o *Dziedzictwie Polskiem Józefa Conrada*, napisana przez Szwajcara, Dr. G. Morf'a.[1] Realizując postulat, od paru lat propagowany

[1] *The Polish Heritage of Joseph Conrad.* London, Sampson Low, 1930, str. 278.

przez Jean-Aubry'ego, Dr. Morf pokusił się tu o rozwiązanie tych zagadek w psychice i twórczości Conrada, wobec których krytyka angielska i francuska stawała bezradna, a które u nas ostatniemi czasy rozwiązywano niejednokrotnie, z daleko większą zresztą pewnością siebie i buńczucznością, aniżeli ze znajomością zagadnień, o które w danym wypadku chodzi. Przyjmując za podstawę swych dociekań modną dzisiaj metodę psycho-analityczną, autor dużo miejsca poświęcił przodkom Conrada, ojcu szczególnie, by wykazać, że wspomnienia Apollona Korzeniowskiego w twórczości Conrada odegrały istotnie rolę bardzo doniosłą. Autor zresztą sięga dalej, usiłuje mianowicie w psychice Conrada i uwarunkowanej przez nią jego postawie wobec świata wykryć elementy typowo polskie. W zakresie więc życia prywatnego przytacza całą grupę interesujących rysów, takich jak „iście wschodnia rozrzutność" Conrada, jego nieporadność w sprawach finansowych, jego zwyczaj prawienia komplementów, aż po rysy takie, jak niechlujne obchodzenie się z książkami. W zakresie znowuż życia Conrada, jako twórcy, podkreśla Morf romantyczną donkiszoterję, niepokój wewnętrzny, głód wrażeń itd. jako cechy, które w dziełach autora *Lorda Jima* znalazły znamienny wyraz. Z uwag tych najbardziej przekonywujące są bodajże szczegóły, dotyczące „kompleksu obcości" w Conradzie, trudności, które pisarz musiał przełamać, zanim całkowicie zasymilował się z warunkami swej przybranej ojczyzny. Mimochodem dodać należy, że — ze względów zupełnie zrozumiałych — Dr. Morf nie wydobył w tej dziedzinie wszystkich wniosków, nastręczających się chociażby w związku z nowelą *Amy Foster*, jakkolwiek rzucićby one mogły niewątpliwie interesujące światło na duchowe walki człowieka, unoszącego się nad językiem angielskim, jako mową swoich synów. Rozważania te zresztą rychło przestają trafiać czytelnikowi do przekonania, a w miarę dalszego jej czytania niezadowolenie wzrasta. Rzecz cała polega na tem, że wszystko to, co w Conradzie, jako pisarzu, odbiega od normy przeciętnego producenta interesujących romansów, a więc to wszystko, co jest cechą indywidualności twórczej, autor ryczałtowo przypisuje faktowi, że Conrad urodził się i dzieciństwo spędził w Polsce. Rezultaty takiej metody muszą być, rzecz prosta, zabawne. Wystawmy sobie, że ktoś to wszystko, czem Żeromski różni się, dajmy na to, od Sienkiewicza lub Reymonta, przypisałby faktowi, że Żeromski był Polakiem. W praktyce wygląda to w ten sposób. Analizując *Nostroma*, Dr. Morf stwierdza, niekiedy bardzo przekonywująco, że Martin Decoud jest autoportretem Conrada. Z tego stwierdzenia jednak wyciąga wniosek, że samobójstwo Decouda jest „bardzo Conradowskie i bardzo polskie", Decoud bowiem pozbawia się życia pod wpływem nerwowej melancholji, „tragedji samotności i rozpaczy", kontrastu między marzeniem a rzeczywistością. Rzecz znamienna, że duch opozycji podyktował Morfowi zdanie całkiem odmienne w wypadku Lorda Jima. Ponieważ R. Curle, autor paru publikacyj o Conradzie, podkreślał

dobitnie, choć z innego stanowiska, niż u nas p. M. Kridl, polskość psychiki Jima, więc Morf usiłuje dowieść, że Jim jest typowym neurastenikiem, jakich tysiące spotkać można wśród Anglików płci obojga. Wracając do Decouda, warto mimochodem zaznaczyć, że wśród nowel Maupassanta, a więc ulubionej lektury Conrada, motyw samobójstwa, wśród okoliczności znanych z *Nostroma*, jest dość pospolity, nikomu zaś do głowy nie przychodzi posądzać Maupassanta o psychikę polską. Tak więc w danym wypadku polskość Conrada staje się kluczem, który zamku nie otwiera. W związku z tem podkreślić należy inny jeszcze szczegół, interesujący z punktu widzenia literackiego. Dzieła Conrada zestawiano nieraz, mojem zdaniem zupełnie słusznie, z powieściami Dostojewskiego, przeciw czemu autor *Przez Oczy Zachodu* energicznie, i ze swego stanowiska również słusznie, protestował. Według Morfa w grę wchodziło tutaj niewątpliwie pokrewieństwo psychiczne obydwu pisarzy, fakt, że obaj znali doskonale świat podziemny potwornych mocy szatańskich, usiłujący wedrzeć się w obręb życia ludzkiego, by je zdeformować, choć, podczas gdy Dostojewski moce te akceptował, Conrad usiłował utrzymać je „na odległość ramienia". Owe pokrewieństwo Conrada z twórcą *Biesów* jest dla Morfa pośrednio dowodem „polskości" Conrada w bardzo specjalnem znaczeniu, zapomina on jednak o owej pozornie drobnej różnicy, którą sam ustala, a która oczywista była dla Curle'a, o owym stosunku do świata, u obydwu pisarzy tak radykalnie odmiennym.

Pochodzi to stąd, że Morf nie widzi żadnej różnicy między kulturą polską a kulturą rosyjską, pierwsza bowiem jest dlań kulturą wschodnią, zlekka tylko zafarbowaną wpływami zachodniemi. Stanowisko to autor usiłuje oczywiście udokumentować, dokumentacja ta jest jednak zazwyczaj wcale humorystyczna. Przyznać wprawdzie należy, że Dr. Morf usiłował zapoznać się z Polską możliwie dokładnie, mimo to zna ją tylko bardzo powierzchownie, o czem świadczy nietylko cała masa zabawnych błędów, ale przedewszystkiem generalna formuła, mająca określić charakter kultury polskiej: „Podstawowe rysy charakteru polskiego są tak wybitnie wschodnie, że człowiek instynktownie stawia sobie pytanie, dlaczego Polacy stale roszczą sobie pretensje, by uchodzić za naród zachodni" (*the Poles always claim to be a Western people*, 119). Dziwić się temu zresztą trudno, autor bowiem posługiwał się w tej dziedzinie takiemi „źródłami" jak pamflet niejakiego d'Etchegoyene'a (*The Comedy of Poland*), wydany za pieniądze litewskie. Dzięki tej powierzchownej znajomości spraw polskich najcenniejszy stosunkowo rozdział książki, traktujący o środkach ekspresji Conrada i wykazujący całe masy elementów obrazowo-przysłowiowych w jego stylu, żywcem przeniesionych z polskiego, pozostawia również niejedno do życzenia.

Autor, jak wspomniałem, jest freudystą; niestety, metoda ta, która w ręku subtelnego badacza służy niby lancet, w ręku mniej

zgrabnem staje się nożem kuchennym, użytym do operacji anatomicznej. Rzecz zabawna, wywody freudystów przypominają mi nieraz ulubione kaznodziejom średniowiecznym alegoryzowanie, z tą tylko różnicą, że tamci podstawę zestawień upatrywali w tajemnicach mądrości boskiej, ci zaś w tajemnicach życia podświadomego. W naszym wypadku niepodobna powstrzymać się od uśmiechu, gdy czyta się takie brednie, jak uwaga o Lordzie Jimie, że „tonący statek to Polska. Statek nazywa się Patna — co właśnie przypomina Polskę. Polska (t. j. polskość) skazana jest w krótkim czasie na zagładę". To samo dotyczy interpretacji Nostroma, gdzie Dr. Morf biedzi się nad odgadnięciem, dlaczego Conrad, który z myślą o Polsce kreślił dzieje Costaguany, tak niearomatycznie nazwał symbol swej ojczyzny.

Rezultatem jednostronności metody autorskiej i nieznajomości Polski jest fakt, że podstawowy problem biografji Conrada, „kompleks winy", pozostaje zagadką, jaką był przed pojawieniem się książki Morfa. Zagadką pozostaje również problem drugi, polskość Conrada.

Problemów tych rozświetlać tu nie mogę, wymagałyby one bowiem conajmniej sporego studjum, a może nawet książki objętościowo nie mniejszej od dzieła Morfa. Zaznaczyć jednak muszę, że obydwa te problemy należy rozwiązać w jedynej płaszczyźnie, w której oba się zrodziły, w dziedzinie romantyzmu i jego wpływu na psychikę polską. Romantyzm ten jednakowoż pojmować należy nieco inaczej, aniżeli to robi Dr. Morf, jakkolwiek niewątpliwą zasługą jego książki jest, że postulat ten uświadamia ona bardzo wyraźnie (choć oczywiście nie autorowi), a następnie gromadzi sporo interesującego materjału, interpretowanego zresztą w sposób niewłaściwy. I właśnie dlatego przyszły monografista nie będzie mógł przejść obok niej obojętnie, bez uprzedniego rozprawienia się z jej tezami, by na ich miejsce postawić inne, przekonywujące. I naprawdę byłoby rzeczą godną zachodu, gdyby monografista ten wyszedł z Polski. Publikacje takie, jak świetne studjum M. Kridla o *Lordzie Jimie* lub jak świeżo wydana kapitalna książka W. Borowego o *Chestertonie,* dowodzą, że stać nas na coś więcej, aniżeli na powódź niemądrych polemik o polskość czy angielskość autora *Zwycięstwa*.

Problem romantyzmu oraz problem orjentalnych domieszek w kulturze duchowej zarówno całego społeczeństwa polskiego, jak i wybitnych jego przedstawicieli, występują nietylko w książce Szwajcara, piszącego o Conradzie, ale i w niedawno wydanej książce dziennikarza niemieckiego, pochodzącego podobno z Polski, R. Landau'a o *Piłsudskim, narodowym bohaterze Polski,* jak głosi jej tytuł.[1] Już tedy na samym jej wstępie czytamy: „Książka ta jest książką romantyczną. Przedmiotem jej jest Polska, a w duszy czy-

[1] *Pilsudski the Hero of Poland.* By Rom Landau. London, Jarrolds, 1930, str. 286.

telnika anglo-saskiego, choćby nawet nie mającego określonych o Polsce poglądów, tkwi przekonanie, że Polska jest krainą romansu. Książka niniejsza nie zamierza rozwiewać tych złudzeń, prawi ona o bohaterze Polski, który jest równocześnie największym jej romantykiem". Wstęp taki nienajlepszą jest rekomendacją w świecie czytelników, dla których pojęcie romantyzmu jest straszakiem, i którzy z niedowierzaniem lub lekceważeniem spoglądają na wszelkie odcienie romantyzmu w życiu politycznem. Czytelnik, który przypadkiem pozna obie rzeczy, o których mowa, Morfa i Landaua, nabierze zresztą całkiem osobliwego wyobrażenia o romantyzmie polskim i jego domieszce orjentalnej, oto bowiem w jednym z najistotniejszych rozdziałów tomu o Marszałku polskim, gdzie naczelny wódz z r. 1920 ukazany jest w pozie jakiegoś Hamleta, w pasjansie usiłującego znaleźć rozwiązanie problemu „być albo nie być" dla całego kraju, czytelnik ów dowie się, że Piłsudski jest duchowym produktem Wschodu, albowiem „dzieciństwo spędził na Wschodzie, Wschód syberyjski ukształtował jego młode lata, jego pierwsza bitwa, jego pierwsza wojna, jego pierwsze dowództwo — wszystko to wydarzyło się na terytorjum Wschodu" (158). Biorąc zdanie to dosłownie, przypuśćcby należało, że Kraków i Kielce leżą również na Wschodzie, choć autor zapewne myśli o Kijowie.

Pozatem cała książka jest zgrabnie napisanym romansem, przechodzącym tu i ówdzie, np. w rozdziale o legjonach, w suche i bezbarwne sprawozdanie, świadczące, że autor opisywanych wydarzeń nie rozumie. Zato, jak na romans przystało, popuszcza cugli wyobraźni w ustępach, pełnych pretensjonalnej poetyckości, jak wspomniany wyżej epizod z pasjansem lub rozdział końcowy, zatytułowany, niby w powieści Mniszkówny, „Zorza Zachodnia" (*Afterglow*).

Jeśli się zważy, że w biografistyce angielskiej raz po raz pojawiają się książki o wybitnych twórcach Europy powojennej, by wspomnieć choćby nowości z ostatnich tygodni, o Clemenceau, Masaryku i Mussolinim, można być pewnym, że dobra książka o Piłsudskim spotkałaby się z dużem uznaniem, niejednokrotnie bowiem spotykałem się z dowodami dużego zainteresowania się osobą pierwszego Marszałka Polski wśród różnych sfer społeczeństwa angielskiego. Wydaje mi się, że byłoby rzeczą obojętną, czy książka byłaby entuzjastyczna, czy krytyczna, byleby coś mówiła. Książka omawiana natomiast nie mówi nic, a to, co mówi, i co wyżej przytoczyłem, a cytaty te z łatwością możnaby powiększyć, oddaje niedźwiedzią przysługę zarówno Piłsudskiemu jak Polsce. By nie być posądzonym o przesadę, powołam się na pismo tak poważne, jak *The Times Literary Supplement* (z 27 marca 1930, str. 259), gdzie sumienny recenzent książki Landaua doszedł do wniosku, że „z punktu widzenia cudzoziemskiego, Piłsudskiego trudno brać poważnie". Dziwny to zaiste i małowiarogodny, choć

prawdziwy rezultat książki, noszącej w podtytule dodatek: „bohater narodowy", a na grzbiecie: „autentyczna biografja". Czyżby nas nie stać na książkę, prowadzącą do innych wniosków?

III

Na zakończenie radbym dorzucić jeszcze parę uwag bibljograficznych, dotyczących kilku pozycyj, których z różnych względów omawiać tu nie mogę. W poprzedniem więc sprawozdaniu zaznaczałem pojawienie się przekładu *Popiołów*, wydanego przez nowojorską firmę A. Knopf, przyczem w przekładzie tym dokonano szeregu bezceremonjalnych operacyj, kaleczących jego tekst. Sprawę tę, podobnie jak przyjęcie przekładu przez krytykę literacką w Anglji, omówił wyczerpująco przed paru miesiącami L. Piwiński w *Wiadomościach Literackich*. Z innego względu chybioną imprezą było wydanie w Warszawie przekładu Konopnickiej *The Brownie Scouts*. tak bowiem, niezbyt fortunnie, nazwano bajkę *O Krasnoludkach i sierotce Marysi*. Wydawca tego luksusowego tomu, mającego wszelkie szanse powodzenia na rynku angielskim, nie zapewnił sobie na rynku tym zbytu, stąd w rezultacie nasuwa się pytanie, jaki ma sens tłumaczenie na angielski pisarki polskiej dla czytelników... polskich. Szczęśliwsze były losy *Sobola i Panny*, w przekładzie również p. Skarszewskiej, podobnie jak zabawnej opowieści Ossendowskiego, która pojawiła się ostatnio na półkach księgarkich Londynu w dobrym przekładzie p. Bauer-Czarnomskiego, jako *The Memoirs of a Little Monkey* (London, Sampson Low, 1930). Dodać wreszcie mogę, że gotowy jest do druku przekład *Wiernej Rzeki* i że w przygotowaniu znajduje się przekład *Lenina* Ossendowskiego.

A wreszcie parę słów o jedynem piśmie angielskiem mniej lub więcej systematycznie pomieszczającem z trudem niemałym zdobywane artykuły o Polsce. Myślę oczywiście o *The Slavonic Review*, organie „Szkoły Studjów Słowiańskich i Wschodnio-Europejskich", jak od paru miesięcy brzmi nazwa tej instytucji. W ostatnich czterech zeszytach tego pisma, t. j. od stycznia do grudnia 1929 r., pojawiło się sześć artykułów o Polsce, cztery nekrologi oraz dziesięć recenzyj. Tak więc prof. Dyboski pisał o stuleciu Ossolineum, prof. W. Lednicki o Słowianofilstwie w Polsce, prof. S. Windakiewicz o „Anglomanji Mickiewicza", p. Z Szmydtowa o echach dantejskich w romantyzmie polskim, prof. Z. Ludkiewicz o reformie rolnej, wreszcie gen. M. Kukiel o wojnie z Sowietami w r. 1920. Artykuł ostatni wymieniłem na końcu, by poświęcić mu specjalną uwagę. Wydrukowany w czerwcu r. ub., pojawił się on z tendencyjnym przypisem redakcji, prostującym rzekome nieścisłości autorskie, dotyczące danych o charakterze i ludności naszych kresów. Tendencyjna ta notatka spotkała się z gwałtowną odprawą w krakowskim *Czasie*, a nie przeszła bez echa i w Anglji. Oto bowiem w recenzji (w *The Times Liter. Suppl.*

z 8 sierpnia 1929 r.) tego zeszytu podkreślono zbyteczność owego dopisu, świadczącego o osobliwej polityce redakcyjnej pisma, i zaproponowano złośliwie, że należałoby dla dobra samego pisma ograniczyć się w niem do przedmiotów wyłącznie literackich i językowych, których napewno nie braknie w tej dziedzinie badań. W ten sposób doskonałemu artykułowi gen. Kukiela pośpieszył z odsieczą anonimowy recenzent londyński.

Juljan Krzyżanowski

Londyn, w kwietniu 1930

NOWE WYDAWNICTWA

NOWA KSIĄŻKA O JÓZEFIE PIŁSUDSKIM

Jan Starzewski, *Józef Piłsudski.* Zarys psychologiczny. 1930. Warszawa. F. Hoesick. Stron XII i 396

Zadanie książki określił sam autor jasno, dając jej podtytuł „zarys psychologiczny" i objaśniając go w tekście „jako dążenie do systematycznego przedstawienia cech, charakteryzujących Piłsudskiego". W ten sposób już u wstępu książki stoi określenie, czem ona nie jest — tak pożyteczne dla uniknięcia nieporozumień.

Książka ta tedy nie ma być historją Józefa Piłsudskiego, nie ma być także fragmentem z dziejów odrodzonego państwa polskiego, z tego okresu jego dziejów, którego centralną postacią jest Piłsudski. Byłoby nietrafnem ujmowanie jej z tych punktów widzenia, i krytyka, że te lub inne fakty z życia Piłsudskiego nie zostały w niej przedstawione i omówione że te lub inne zagadnienia, pozostające w tym lub innym związku z Piłsudskim, nie znalazły w niej miejsca. Piłsudski — ściślej: psychika Piłsudskiego — jest punktem centralnym książki, a fakty, wydarzenia, wypadki dziejowe mają o tyle znaczenie, o ile ta psychika w nich się ujawnia — i tylko z tego punktu widzenia.

Takie ujęcie zagadnienia daje możność stosunkowo najbardziej objektywnego ujęcia człowieka żywego, człowieka, który jeszcze działa, jeszcze odgrywa czynną, pierwszorzędną rolę polityczną. Wszelka ocena działalności, ocena faktów, ocena dziejów takiego człowieka musi być z konieczności mało objektywna, musi przytem z konieczności zawierać nie tylko elementy subjektywne: potępienie lub entuzjazm (nawet pozorna objektywność jest najczęściej w istocie rzeczy chłodną dezaprobatą), ale również musi — choćby wbrew woli autora — zawierać w sobie prognozę, pogląd na przyszłość bohatera książki, a więc podkreślenie tego faktu, że działalność bohatera nie jest czemś już skończonem, przez co i książka robi wrażenie czegoś nieskończonego. Inaczej, gdy mamy do czynienia z tym rodzajem biografji, który Starzewski trafnie określa jako „zarys psychologiczny". W pewnym okresie poglądy, uczucia, impulsy jednostki są już mniej więcej ukształtowane, są już doi-

rzałe. Nie można wprawdzie przewidzieć, jakie przed jednostką staną w przyszłości zagadnienia, ani w jakich warunkach będzie je ona musiała rozwiązywać, ale można — z większem prawdopodobieństwem — przewidzieć, jakie jednostka sama, wyizolowana myślowo od innych elementów historji, zajmie wobec danego zagadnienia stanowisko, jak postąpi wewnętrznym impulsem powodowana (o ile okoliczności nie każą jej inaczej postąpić), jak przeto jej „psychika" zareaguje na przyszłe nie dające się przewidzieć (lub z trudnością się dające przewidzieć) podniety. Dlatego ten sposób podejścia do współczesnego działacza, jaki widzimy w książce Starzewskiego, wydaje mi się najbardziej objektywnym, najbardziej interesującym.

*

Historyk zarzuci bezwątpienia: taki Piłsudski, jakiego nam daje Starzewski, nigdy nie istniał. Takim — być może — Piłsudski chciał być. Tak, jak nam przedstawia Starzewski, chciał ukształtować społeczeństwo i takim chciał mieć swój stosunek do tego, przez siebie ukształtowanego społeczeństwa. Tak — być może — ujmował swój stosunek do rzeczywiście istniejącego społeczeństwa, do polskiej rzeczywistości, jaką ją widział Faktycznie jednak był tylko częścią tej rzeczywistości i, naginając ją do swej woli niejednokrotnie, niejednokrotnie również, jeszcze częściej może, tej rzeczywistości ulegał, łamiąc się z nią bezskutecznie. Piłsudski z „zarysu psychologicznego" jest fikcją, jest fragmentem wyrwanym z żywej całości i traktowanym fikcyjnie jako coś niezależnego od tej żywej całości, conajmniej zaś traktowanym jako coś bardziej niezależnego, niż się rzecz ma naprawdę. Tem więcej, gdy materjałem wybranym przez Starzewskiego są prawie wyłącznie własne dzieła Piłsudskiego, własne wypowiedzenia człowieka, który z natury rzeczy tę swoją niezależność od podłoża, ten swój władczy stosunek do podłoża przeceniał.

Bezwątpienia, u samego założenia metody Starzewskiego tkwi pewna fikcja, a w każdej fikcji kryje się pewne niebezpieczeństwo. Sądzę jednak, że książka jego jest dobrym przykładem, jak niebezpieczeństw można uniknąć a fikcję uczynić pożyteczną. Starzewski nie jest bowiem w swej mktodzie tak krańcowy; by zlekceważyć podłoże faktów. Na wstępie zaznacza wprawdzie, „że jego zarys psychologiczny w badanie czynów Marszałka i w ich historję wdaje się tylko, o ile rzucają światło na jego psychikę", ale niemniej historję tę uczynił nicią przewodnią połowy przeszło książki, całej tej obszernej części, w której daje niejako genezę psychiki Piłsudskiego, „duszę w rozwoju". Umiał cały ten obraz rozwoju uczynić jasnym, przekonywującym, umiał go związać z wpływami otoczenia i środowiska, z historją społeczeństwa, z charakterem sfery, z której Piłsudski wyszedł i z charakterem materjału, którym musiał dla swoich celów operować. W całej tej części okazał się dobrym historykiem. Pamiętając i w niej nawet o zasadzie, o której na wstępie

wspomina, pamiętając, iż teorja „cechy dominującej“ dawno już została przezwyciężona, okazał się i tu dobrym psychologiem, nie usiłował widocznych i oczywistych sprzeczności w rozwoju i charakterze Piłsudskiego, zmian w jego stanowisku wobec poszczególnych zagadnień sztucznie uzgadniać.

Dwie dalsze części książki dają jakby obraz statyczny psychiki Piłsudskiego, gdy pierwsza dawała dynamikę jego rozwoju. Część druga „Obraz duszy“ zajmuje się przedewszystkiem Piłsudskim-jednostką, Piłsudskim-człowiekiem. Część trzecia „Człowiek a naród“ mówi o stosunku Piłsudskiego do społeczeństwa. Wszędzie autor, pozornie, wedle własnego określenia, jedynie komentator prac Piłsudskiego, niesłychanie cierpliwie, starannie i interesująco zebranych, jest w istocie czemś o wiele więcej. Oto tę wielką ilość odezw, wypowiedzeń się, przemówień, rozpraw, któremi się posługuje, nietylko komentuje, ale w chaos myślenia działacza, który rozwiązuje stające przed nim zagadnienia nie wedle jakiegoś logicznego porządku, ale wedle tego porządku jedynie, w jakim stają przed nim, wprowadza Starzewski pewien system. Przeciwnik doszukiwania się cechy dominującej, daje w jej miejsce określenie dominującej w działalności Piłsudskiego metody: „Skłonności praktyczne charakteryzują najlepiej Piłsudskiego, a tworzą główne źródło nieporozumień między nim a społeczeństwem“. Umie też Starzewski w sposób interesujący to swoje określenie udowodnić, uczynić wytyczną pracy.

*

Książka Starzewskiego jest książką Piłsudczyka, który stara się dać rzecz wolną od entuzjazmu, pełną rzeczowości. Ale ten entuzjazm wyznawcy nie da się ukryć. Okaże się nietylko w pięknych kartach wstępu, w wspomnieniu pierwszego zetknięcia się z ideą Piłsudskiego. Ujawni się w całej książce, w jej formie w stylu, którego patos, zresztą literacko piękny,[1] walczy z narzucaną sobie rzeczowością stosunku do tematu. Ukaże się w jej zakończeniu, w podjętym za wodzem okrzyku wiary. Wiara w wo-

[1] Cytat niech wskaże, jak patos ten potrafi niejednokrotnie przekonywująco a pięknie służyć za ilustrację myśli autora. Oto ustęp z opisu pierwszego środowiska Piłsudskiego, wsi polskiej: „Urodził się Piłsudski w dworze szlacheckim. Wysokie podmurowanie, dach kryty gontem i ganek wysuwający naprzód słupy niby wieść o odmiennym ładzie i nieznanych drzewem ludzkim potrzebach, odgradzają c z ę ś c i o w o dwór od przyrody. Nie może wtargnąć z całą żywiołowością w dobrze bronione ściany, nie kształtuje dusz mieszkańców wedle swoich j e d y n i e ustaw. Współzawodniczy z naturą potęga obyczaju, wierzeń, zbiorowych uczuć. Całość niemniej od niej silna, stopniowemi pokładami osadzała te wytwory. Sprzęty, portrety na ścianach, słowa i ruchy mieszkańców przepojone są i żyją atmosferą tej drugiej niematerjalnej przyrody“. W te, najpiękniejsze ustępy Żeromskiego przypominające, słowa artysty wkrada się jednak antypatetyczny kult rzeczowości, w słowach: „częściowo“ i „jedynie“ ograniczając bezwzględność patosu.

dza zleje się w tym krzyku z wiarą w ojczyznę. I to czyni z książki nietylko „zarys psychologiczny“ Józefa Piłsudskiego, ale również dokument historyczny epoki.

Konstanty Grzybowski

Z DZIEJÓW SZTUKI KOŚCIELNEJ W POLSCE

Ks. Aleksander Bastrzykowski, *Zabytki kościelnego budownictwa drzewnego w diecezji sandomierskiej.* Kraków 1930, 4-o, str. 255, z 263 ilustracjami

Nie posiadamy dotychczas naukowej inwentaryzacji zabytków sztuki, systematycznie w całej Polsce przeprowadzonej. Tylko niektóre okolice zostały bliżej zbadane i opracowane, a niewielka ilość celniejszych zabytków doczekała się wyczerpujących specjalnych monografij. Dopiero obecnie podjął rząd akcję w kierunku usunięcia owego poważnego zaniedbania, a mianowicie w Ministerstwie W. R. i O. P. Departamencie Sztuki utworzono centralne biuro inwentaryzatorskie, którego zadaniem będzie zorganizowanie na całym obszarze Rzeczypospolitej dokładnej rejestracji zabytków, naukowe jej opracowanie i ogłoszenie drukiem. Praca ta potrwa oczywiście szereg lat tak z powodu braku dostatecznej ilości odpowiednich sił fachowych, jak przedewszystkiem z powodu trudności o dosyć znaczne środki finansowe, jakie są niezbędne dla dokonania tak żmudnego i skomplikowanego przedsięwzięcia. Wszelką pomoc, która je ułatwia i o krok naprzód posuwa, powitać należy z żywem zadowoleniem.

Przyszli inwentaryzatorzy zabytków diecezji sandomierskiej będą się mogli z pożytkiem oprzeć o wymienioną w nagłówku publikację ks. Bastrzykowskiego. Nie jest to wprawdzie pierwsze dzieło, które przynosi nam wiadomości o drewnianych kościołach owych okolic, gdyż już przed wojną opisywał je wraz z wszystkiemi innemi kościołami ks. Jan Wiśniewski w swych „monografjach dekanatów“ sandomierskiej diecezji. Ks. Bastrzykowski, ograniczywszy się do kościołów drewnianych, opracował je bardziej szczegółowo i gruntownie, a przedewszystkiem postarał się z dużym nakładem trudów i pieniędzy o liczne zdjęcia architektoniczno-pomiarowe i fotograficzne. Książka, wydana przezeń bardzo starannie i okazale, przynosi obfity i świetny materjał ilustracyjny, który dobrze czytelnika informuje o obranym temacie. Tematem zaś nie jest wyłącznie budownictwo drzewne, lecz także wszelkie dzieła sztuki i sprzęty zabytkowe, jakie się w tych kościołach do dziś dochowały.[1] Prócz opisu zabytków włączył autor w tekst wiadomości źródłowe, historyczne, odnoszące się do danych miejscowości, czyniąc w tym celu specjalne poszukiwania w kościelnych archiwach.

[1] Pod tym względem służyć mogły za wzór: Kopery i Lepszego *Kościoły drewniane Galicji zachodniej.*

Ks. Bastrzykowski włożył w swe dzieło tyle usilnej pracy i gorącego entuzjazmu, iż szczerze żałować wypada, że w dziedzinie nauk historycznych zdaje się być samoukiem, i widocznie nie miał możności zdobycia ścisłej historycznej metody oraz poważniejszej wiedzy w zakresie dziejów sztuki. Brak ten osłabia wartość jego zestawień i opisów, a nie dość krytyczny stosunek do gromadzonego i badanego materjału wywołuje szereg nieporozumień. Przedewszystkiem tytuł książki niezupełnie odpowiada treści. Nie tylko bowiem drewniane kościoły zabytkowe, lecz także i te, które wzniesiono w latach ostatnich (np. w Starachowicach, Bzinie, Ruskim Brodzie), opisywane są równie obszernie oraz obficie ilustrowane, nawet zdjęciami pomiarowemi. Dzieje ich budowy, dekoracja, urządzenia wewnętrzne zostały szczegółowo uwzględnione; nie pominięto nawet biografij fundatorów z ich żonami i dziećmi. Z opisem kościołów łączy autor kronikę wszelkiego rodzaju wydarzeń, jakie w danych miejscowościach miały miejsce aż do dni ostatnich. Ze starych ksiąg parafjalnych wypisane są zbyt drobiazgowo szczegóły obojętne, np. spisy członków bractw „in extenso“ ze wszystkiemi ich tytułami, albo dawne wykazy wszelkich kościelnych utensyljów. Są i wykopaliska przedhistoryczne, są wyroby ludowe i t. p. Brak rozróżnienia rzeczy ważnych od mniej ważnych dostrzega się także w doborze materjału ilustracyjnego.

Niejasny jest stosunek pracy ks. Bastrzykowskiego do pracy jego poprzednika. Ks. Wiśniewskiego nasz autor nie cytuje i nie koryguje, że zaś opisy obydwóch pod niejednym względem między sobą się różnią i w nowszej publikacji brak szeregu objektów w dawniejszej opisywanych, czytelnik nie zdaje sobie sprawy, czy owe objekty w międzyczasie przepadły, czy zostały tylko pominięte.

Lecz mimo wszystkich usterek, jakie możnaby wytknąć dziełu omówionemu ze stanowiska krytyki ściśle fachowej, przyznać trzeba, że autor przez swój trud ofiarny zasłużył się wielce koło inwentaryzacji zabytków naszej przeszłości, że ujawnił szereg dotychczas nieznanych, interesujących i ważnych objektów z różnych gałęzi sztuki, a w ten sposób zasób naszej wiedzy pomnożył i utorował drogi dla dalszych badań.

Tadeusz Szydłowski

STANISŁAW WINDAKIEWICZ

JAN KOCHANOWSKI

Czterechsetna rocznica urodzin Kochanowskiego jest niezmiernie miłem przypomnieniem najpogodniejszej doby dziejów naszych, kiedy Polska była państwem mocnem i poważanem w całym świecie i rozwiązała jedno z ważnych zagadnień w swoim rozwoju, mianowicie czy będzie należała do oświeconych narodów Europy i zdoła wziąć czynny udział w wytwarzaniu pierwiastków twórczych w życiu moralnem i artystycznem oświeconych społeczeństw.

Zagadnienie to splotło się ściśle z życiem i działalnością literacką Jana Kochanowskiego. Syn najświetniejszego okresu dziejów Polski, czasów Zygmunta Augusta i Batorego, podniósł literaturę polską na poziom europejski, zaszczepił w naszym narodzie poczucie piękna i stanął u kolebki sztuki polskiej, i to nietylko w obrębie literatury, ale pośrednio także wszystkich sztuk w Polsce, bo pierwszy u nas upodobanie w twórczości artystycznej rozbudził. Wśród silnych współczesnych prądów humanizmu, reformacji i ruchu szlacheckiego, zdołał w ten sposób ideał swój urzeczywistnić, że stanąwszy silnie na gruncie przywiązania do wsi, odwrócił się zupełnie od sporów religijnych i oddał się spokojnie studjom nad sztuką. Zupełna obojętność na sprawy religijne jest u niego zadziwiająca. Kiedy dla Reja główną podnietę do działania stanowiła sprawa Reformacji, u Kochanowskiego ten czynnik zanika. Poeta nasz nie chciał być pisarzem reformacyjnym, ale ziemianinem i humanistą.

W zamian za czynnik religijny wysunął Kochanowski w swej działalności inne czynniki, mianowicie dążność do wysokiej ogłady towarzyskiej, staranie o dobór tematów literackich i wykwintność w stylu, wyrażeniu i formie. Ma on wstręt do wszelkiej pospolitości, nie lubi rubaszności, strzeże się prostactwa. Na przełomie od średniowieczyzny do czasów now-

szych stara się literaturę polską zupełnie zeświecczyć. Nie pisze dla towarzystwa męskiego, ale zawsze pamięta, że literatura odnosi się także do pań, i nietylko w erotykach, ale zarazem panegirykach, tràktatach i wszelkich innych rodzajach literatury pamięta o paniach. W działalności swej zajmuje się zawsze paniami na równi z mężczyznami. Twórczość jego jest obliczona na inny widnokrąg obyczajowy, niż Reja. Myśli o literaturze świeckiej, wytwornej i przeznaczonej dla kół wykształconych i ogładą zachodnią przejętych.

Inicjatywa jego była miarodajną dla całej literatury staropolskiej w okresie dawnej Polski niepodległej i, rzec można, że ją do życia powołała. Za czasów jednak podziałów i zaborów nabrała wyjątkowego znaczenia, gdy poezja, uprawa sztuki stały się jednem z głównych wiązadeł, które nasz naród w nierozłączną całość spajały. Z tem większą więc czcią zwracamy się do niego, że w czasach Zygmunta Augusta zdobył dla nas pojęcie sztuki, które tyle moralnych podniet nam przyniosło, dopomogło nam umocnić własną świadomość narodową i dzięki Opatrzności w poczet narodów z rozwiniętemi upodobaniami artystycznemi nas wprowadziło. Dzisiejsze poważanie w świecie zachodnim zawdzięczamy po części Kochanowskiemu i to jest powód, że czterechsetną rocznicę jego urodzin uroczyście pragnęliśmy obchodzić.

W Krakowie szczególnie łatwo uprzytomnić sobie, kim był Kochanowski. Kaplica Zygmuntowska, o której wspomiua w fragmencie epicznym o Warnie; arasy Jagiellońskie, które znów opisuje jego współcześnik Orzechowski; pałac Zygmunta Starego, który podziwiał Rej — wszystko to są budowle i dzieła, wśród których żył i tworzył Kochanowski. Poezje jego tchną tym samym duchem, stoją nieomal na tym samym poziomie artystycznym, co te budowle i pamiątki wawelskie. Tylko że dzieła te stawiali Florentczycy, tkali Brukselczycy, a poezja Kochanowskiego jest tworem Polaka, który w swoim języku potrafił się zdobyć na utwory równego, jeśli nie wyższego powabu, siły, barwy i wyrazu.

Kochanowski pobudza nas do czci i uwielbienia z wielu względów, przedewszystkiem zaś jako człowiek, patrjota i artysta. Jest to charakter prawy, szlachetny, pełen godności osobistej, polegający na sobie, poprzestający na małem, nigdy

nikomu się nie narzucający, nic od nikogo nie wymagający, nie oglądający się nigdy za zyskiem, nie uniżający się przed nikim, dobry, uprzejmy, starający się przez całe życie o poczciwą sławę. W dziełach daje swobodny wyraz swym uczuciom, śmiać się i płakać potrafi, bliźnich kocha, nikogo nie nienawidzi, oburzyć się umie, ale nikogo nie myśli oczerniać, spokojny, nie natarczywy, okazuje zawsze dobroć serca. Coś ewangelicznego tkwi w jego postaci. Przytem nie jest zarozumiały, ale ufa sobie, innych ocenia sprawiedliwie, a wyższość każdą uznaje i popiera. Nie było w nim złości i zawiści; nikomu niczego nie zazdrościł, chyba kilku starożytnym poetom dokonania znakomitych dzieł.

Kochanowski jest naturą bardzo wytworną i zrównoważoną. Miał on pełną świadomość swoich sił duchowych, nad obowiązkami własnemi często się zastanawiał, zawsze starał się iść prostą i najuczciwszą drogą. Jest on wymowny w objawach swej świadomości ludzkiej, tworzy śliczne, topiczne gnomy, któremi sypie jak z rękawa w *Pieśniach:* „Nic wiecznego na świecie, Radość sye z troską plecie", „Cnota skarb wieczny, cnota klenot drogi", „Siła posiadł włości, Kto uiął chciwości", „Ten pan zdaniem moiem, Kto przestał na swoiem". „Wszystko się dziwnie plecie Na tym tu biednym świecie", „Lecz na szczęście wszelakie, Serce ma bydź iednakie". Wszystkie te gnomy stały się przysłowiami narodowemi, tysiąc razy w rozmaitych okolicznościach powtarzanemi. Widać z nich, jak tęga była jego natura, jak silne w nim poczucie moralne i zrozumienie świata, jak znał naturę ludzką, żywo ją odczuwał, nad jej wyrobieniem pracował i starał się stać doskonałym człowiekiem w myśl ideałów swego wieku. Ze względu na znajomość natury ludzkiej, trafne ujmowanie zagadnień życiowych, możnaby przypomnieć w tem miejscu innego, niedoścignionego znawcę natury ludzkiej z epoki Odrodzenia, Szekspira.

Obok uświadomienia właściwości natury człowieczej w sobie, Kochanowski ujmuje nas zarazem swoim gorącym i nie wahającym się nigdy patrjotyzmem. Jest to patrjota budujący, pociągający, z wysokiem pojęciem o służbie publicznej, zawsze gotowy na usługi ojczyzny, cieszący się jej powodzeniem, broniący śmiało jej sławy przed obcymi, stale zajmujący się jej losem. Z podniosłością zachowuje się na polach elekcyjnych,

gorąco popiera silne rządy i przedsiębiorczość Batorego i Zamojskiego. Wprost cieszył się i z radością pisał ody o królach polskich, o powodzeniach oręża polskiego, dawał wyraz swemu oburzeniu na napady tatarskie. Jest on autorem sławnych wierszów „Wieczną sromotą" i „Panu dzięki oddawaymy" na zdobycie Połocka. Odczuwał żywo wszystkie ważniejsze wypadki swego czasu: wojnę inflancką, wyprawy na Moskwę, hołd lubelski, i z radością dawał im wyraz. Raz odzywa się z prawdziwą wdzięcznością do muz, że pozwoliły mu stać się piewcą wielkich zdarzeń swego czasu:

Gdzież to piękne boginie tak łaskawe były,
Żebych ia, iie chęci tyle miał y siły,
Służyć oyczyznie miłey: a iey sprawom sławnym
Nie dopuszczał zamierzknąć w ciemnym wieku dawnym.

Kochanowski żył w czasie rozbujałego indywidualizmu i panowania wielkiej samowoli wśród ziemian, a przecież niema w nim pierwiastków burzących, warcholstwa Orzechowskiego, chęci jątrzenia stanów przeciw sobie: szlachty na duchowieństwo, a katolików na dysydentów. Ma on swoje przekonania silne i wyrobione, ale jest ustępliwy, nie żywi w sercu idej zaborczych, jest tolerantem, pacyfistą i rzecznikiem zgody i wyrozumiałości. Wśród walczących obozów zawsze zjawia się z różdżką oliwną, czy w burzy reformacyjnej, czy na polach elekcyjnych, czy za czasów Batorego. Pragnął on w Polsce spokoju i ładu, popierał światłe rządy i dzielnych hetmanów. Główna jego idea polityczna skupiła się w sławnem zdaniu:

Służmy poczciwey sławie a iako kto może
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże.

Ale patrjotyzm jego nie jest dzisiejszy, popisowy, lecz uczucie głębokie, naturalne, wrosłe w myśl i serce, którem jest przejęte całe jestestwo człowieka i objawia się spokojnie, pewnie, bez wybuchu, w razie potrzeby, z głębokiego przekonania i z bezwzględną stanowczością. Inny to patrjotyzm, niż naszych romantyków, nie tęskniący, nie rozpaczający, nie wahający się, ale pewny siebie, jasny, spokojny i budujący. Żył on rzeczywistością Polski silnej Jagiellońskiej, przestronej, szerszej niż dzisiejsza, opartej o dwa morza. Stąd trapić się o bezpieczeństwo ojczyzny nie miał powodu, jeśli się oczywiście

pominie ówczesne komunały publicystyczne, które także powtarza. Z okoliczności jego życia wynikło, że zwrócił uwagę przedewszystkiem na granicę wschodnią, na napór moskiewski, nie na zachodnią, jak poeci XIX w., pragnął uregulowania tych granic i ustalenia z tej strony spokoju i pewności.

A wreszcie Kochanowski ujmuje nas jako krzewiciel pojęć o sztuce i dobrych zasad pisarskich. Jest to prawdziwy artysta, doskonale świadomy swych zdolności i właściwości duchowych. Powiada, że pisząc miewał wizję, w której ukazywała mu się bogini piękna, pełna czaru i niezwykłych uroków. Wizja ta narzucała mu przymus pisania. W umyśle jego rodziły się natenczas szeregi wierszy, domagających się wyzwolenia, a gdy je dopuścił do głosu, wypadały z jego piersi jak roje pszczół na kwieciste łąki leśne. W natchnieniu odczuwał wprost, że się dwoi, zapominał o sobie, i Myszkowski mówiąc o jego uniesieniach, nazywał go żartobliwie „on ja", dla zaznaczenia jego osobliwego stanu psychologicznego. O tych właściwościach wiedział doskonale, jak Mickiewicz, zastanawiał się nad niemi, często przeprowadzał introspekcję wewnętrzną swych władz duchowych i wybornie zdawał sobie sprawę, jak z nich skorzystać. Kilkakroć zaznacza, że jest „z innej gliny ulepiony" i pospolitym torem życia iść nie może.

Natchnienie jego różniło się jednak od natchnienia Mickiewicza. Było częste, przygodne, jak u każdego poety, ale nie silne. Nie popadał nigdy w gwałtowny nastrój improwizatorski, jak Mickiewicz, nie podlegał musowi pozbycia się doraźnie tego ciężaru, ale pogrążał się w spokojną zadumę, odsuwał się od otoczenia, szukał pewnego odosobnienia i w tym stanie tworzył. W fraszkach przechował pamiątkę tego sposobu pisania. Zachęcając towarzyszów, żeby każdy robił, co mu się żywnie podoba, prosi, żeby jemu dali spokój i pozwolili ułożyć wierszyk, jaki mu przyszedł do głowy. Uważał, że każdy jego wierszyk powinien mieć osobny wdzięk. W natchnieniu nadawał duszę swoim utworom, wszystko, co pisał, uważał za natchnione i dlatego wysoko cenił swe dzieła i nie pozwalał nic w nich zmieniać, aby się ta dusza z nich nie ulotniła. Gdy Januszowski chciał kilka swobodniejszych fraszek w wydaniu opuścić, oburzył się na to i odpisał: „Ujmować co z fraszek nie zda mi się, bo to jakgdyby dusza ich". Pierwszy to z Po-

laków, który żył swojem osobnem życiem wewnętrznem, życiem artysty, miał swe zadowolenia i zadumania artystyczne, swe osobne cele, uniesienia, walki wewnętrzne i rozpacze. W zgodzie z natchnieniem całe życie pisał, działał i postępował. Miał zawsze pełne poczucie własnej wartości i z głębokiem przekonaniem zapewniał:

> Ale wierszem ozdobnym i rymy gładkiemi
> Mam nadzieję, że z mistrzami porównam dobremi.

Czując jednak w sobie to osobne usposobienie poetyckie, ten wyjątkowy dar natury, wiedział zarazem, że należy pilnie starać się o uprawę swych zdolności i że bez pracy i wykształcenia nic skończonego nie napisze. To poczucie utwierdziła w nim kultura Odrodzenia. W liście do Fogelwedra nazywa ją koniecznością, trzymającą w spiżowej ręce mocne ćwieki i klíny przepisów. Pod jej naciskiem oddał się usilnym studjom filologicznym i może w pilności przesadził. Ma on nieogarniony podziw dla Horacego, Homera, Anakreona, Wergiljusza, Pindara i wogóle całej literatury starożytnej. Pisma jego są przesycone frazeologją klasyczną, całemi garściami wprowadza do literatury polskiej powiastki, wierzenia i nazwy bogów i bohaterów starożytnych. Oddycha starożytnością. Literaturze naszej chciał przyswoić wszystkie gatunki literatury starożytnej, o ile oczywiście z potrzebami czasu i miejsca się zgadzały.

Przedewszystkiem wszakże naśladował formalną stronę poezji starożytnej i w tym kierunku największe zasługi położył. Język ma jasny, barwny, potoczysty, urozmaicony poetycznemi porównanismi i bystremi przeciwstawniami. Wierszowanie jego jest staranne, miernie rozmaite, przyjemne. W tej dziedzinie nie ubiegał się o wytworność, ale raczej naturalność. Klasycyzm dał mu, co wszystkim daje, poczucie miary, wstręt do dywagacji i pewne kompozytorskie doświadczenie. Jest on pierwszym klasykiem polskim, choć oczywiście od klasyków Wieku Oświeconego różni się większą swobodą.

Z biegu jego życia i rodzaju twórczości wynikło, że te właściwości natury swojej nie mógł skupić w jakiemś jednem wielkiem dziele, jak Rej w *Żywocie człowieka poczciwego*. Jego profilu literackiego musimy poszukiwać w utworach różnorodnych i przeważnie przygodnych, objawiających stopniowe przej-

ścia i przemiany jego natury twórczej. Gdy się zastanawiamy nad jego działalnością pisarską, jesteśmy zdziwieni temi rozmaitemi wcieleniami tej samej jednostki twórczej. Nie ulega wątpliwości, że wielki homeryda, znawca greckiej duszy, zajmujący się żywo drobnemi komerażami z czasów wojny trojańskiej, autor *Odprawy posłów greckich,* różni się zasadniczo a bardzo silnie od natchnionego tłumacza modlitw hebrajskich, znawcy Palestyny i pełnego siły, namaszczenia i pobożności wielbiciela wszechmocy Bożej, którego wyczuwamy w *Psałterzu.* A od tych dwu wcieleń odbija jaskrawo inne oblicze tego samego artysty, jako znów niezmiernie dowcipnego obserwatora otoczenia i wesołego dworzanina, które odkrywamy w *Fraszkach.* Jak tu pogodzić te przeciwieństwa, te jakoby odmienne wcielenia tej samej jednostki twórczej, te dziwne odchylenia od jednolitego profilu literackiego?

Przyjąwszy, że jako tłumacz *Psałterza* i autor obrazka dramatycznego *Odprawa posłów greckich* nie mógł w tych dziełach objawić zbyt wielu rysów osobistych, bo to wprost z założeniem tych prac się nie zgadzało; że dalej w *Fraszkach* wyraził Kochanowski przedewszystkiem swoje usposobienie jako dworzanin, jako humanista — otrzymamy, że nie w tych dziełach należy poszukiwać właściwego oblicza literackiego Jana z Czarnolasu. W twórczości jego odgrywał znaczną rolę czas i otoczenie czyli czynnik biograficzny. Inny jest Kochanowski dworzanin, a inny Kochanowski gospodarz, obywatel i dziedzic Czarnolasu. I tu dochodzimy do wniosku, który zresztą potomność intuicyjnie wyczuła i ogólnem uznaniem utwierdziła, że właściwe swoje oblicze literackie ukazał Kochanowski dopiero w okresie czarnolaskim, kiedy w *Pieśni świętojańskiej* objawił się jako rozochocony wieśniak, lubiący zabawy sielskie, uwielbiający swobodę niezależnych ludzi i zakochany w powabach swej żony; dalej jako moralizator ziemian, szerzący wśród nich za pośrednictwem *Pieśni* zasady stoickie i epikurejskie, przejęte z Horacego; a wreszcie jako zrozpaczony ojciec, nawracający się do wiary w Opatrzność i dopust Boży w *Trenach.* W tych dziełach odbiły się najwyraźniej jego osobiste skłonności i im trzeba przedewszystkiem przypisać, że postać Jana z Czarnolasu rysuje się wyraźnie w oczach potomności. Widzimy jednak, że wśród tych dzieł niema właściwie wielkich

kompozycyj epicznych i dramatycznych. Są to same pieśni i tylko pieśni. Kochanowski dał się nam poznać jako liryk i jako autor rodzajowy przedewszystkiem w dziejach liryki polskiej posiada przodujące znaczenie.

Ta bogata natura artystyczna nie doszła oczywiście odrazu do wszechstronnego zapanowania nad sobą, nad swemi zdolnościami i upodobaniami. Kochanowski rozwijał się stopniowo, w różnych okresach jest różny, a wykształciły go trzy główne uczucia, które bardzo walnie przyczyniły się do wyzwolenia jego artystycznych skłonności. Pierwszem z tych uczuć była miłość, która dała mu poczucie piękna, jak kilkakroć w elegjach łacińskich zaznacza. *Solus amor docuit me blandos fingere versus* — powiada. Towarzyszyła mu przez całe życie i prowadziła na coraz wyższe stopnie doskonałości: od elegij łacińskich do erotyków polskich, od erotyków do *Pieśni świętojańskiej* na cześć ukochanej żony; a od *Pieśni świętojańskiej* do *Trenów*, gdy miłość do żony zmieniła się u niego w gorące uczucie rodzicielskie.

Drugiem uczuciem podstawowem jego natury twórczej była przyjaźń i towarzyskość humanistyczna. Kochanowski miał w sobie coś pociągającego, ogromnie przywiązywał się do ludzi i umiał sobie jednać szczere przyjaźnie. Znajomych posiadał licznych w najrozmaitszych warstwach: senatorskich, ziemiańskich i mieszczańskich. W pismach jego roi się od wspomnień o poufałych zebraniach towarzyskich i zabawach. Żaden z poetów polskich ilością przyjaźni równać się z nim nie może, chyba Rej, któremu jednak brak znajomości w kołach żeńskich. Obok zwykłych znajomości Kochanowski miał kilku przyjaciół bardzo przywiązanych do siebie, zawarł rodzaj dozgonnego braterstwa z Nideckim i wielkie upodobanie znalazł w kilku rówieśnikach, jak Mickiewicz w czasach filomackich. Wypowiada on w jednej fraszce wyraźnie zdanie: „Co bez przyjaciół za żywot? więzienie". W fraszce tej wyjaśnia, że ani w smutku, ani w radości bez przyjaciela obejść się nie może. Musi się go radzić w potrzebie i weselić się z nim, gdy mu się dobrze powodzi, a miłość bliźnich przekłada nad majątek. Wszystkie jego przyjaźnie były serdeczne, bardzo poufałe i podniecające. Stąd panuje taka żywość, rozlewność i ruchliwość w *Fraszkach*. Ta ruchliwość pomogła mu do wszechstronnego przejęcia się kul-

turą Odrodzenia. Nabrał umiejętności przemawiania do drugich, wyrobił sobie naturalność w obejściu, giętkość, nabył zmysłu zbiorowego, publicznego, którym są przepojone jego pisma. Z towarzyskości jego wynikło także, że mimo skłonności do erudycji nie zdziwaczał i nigdy właściwie od towarzystwa ludzkiego się nie odsunął, choć nieraz pożądał samotności, cenił ciszę i spokój i ostatecznie zamieszkał w Czarnolesie.

Wreszcie trzeciem silnem uczuciem, które na wyrobienie jego natury artystycznej wpłynęło, było namiętne przywiązanie do pracy rolnej i podziw dla wsi i przyrody wiejskiej, w której znachodził wytchnienie i powód do częstych zadumań. Dlatego z wielkiego świata wrócił na wieś i najszczęśliwszych chwil na niej pod swoją sławną lipą czarnolaską zażył. Zdobył się też na pierwszą gorącą pochwałę wsi polskiej w często odtąd przez ziemian powtarzanej pieśni: „Wsi spokojna, wsi wesoła".

Ale nie trzeba sobie wyobrażać, żeby Kochanowski po naszemu na wieś patrzył. Naówczas nie był jeszcze rozwinięty zmysł podziwiania natury, uświadomiony dopiero przez Rousseau'a i Bernardin'a de Saint-Pierre, nie zastanawiano się nad nią bliżej i nie wyczuwano jej szczegółowo. Kochanowski oceniał wieś raczej po gospodarsku i instynktowo tylko odczuwał, że mu do szczęścia i zadowolenia jest koniecznie potrzebną. Na krajobraz zwraca uwagę raczej okolicznościowo. Umie rozróżnić krajobraz zimowy, wiosenny i letni, a jesienny zupełnie pomija. Ale uważniejszym studjom krajobrazu wcale się nie oddaje, nadzwyczajnych zachwytów nad przyrodą nie wypowiada, spostrzega pewne widoczki, ale ich dokładnie nie określa. Wschodów i zachodów słońca, nocy księżycowych u niego niema. Przyrodę czuje raczej i uwielbia, niż opisuje. Jedynie lasy otacza ogromną czcią i w obronie ich często występuje. W krucjacie w obronie lasów zbliża się do nowoczesnych orędowników piękna przyrody.

Obok tych trzech podstawowych uczuć wpływ na jego postęp miała także renesansowa wiara w sławę. Przejął ją od starożytnych poetów za pobudką oczywiście Petrarki i głęboko wierzył, że sławę, trwałe imię nadać może ludziom tylko sztuka, a przedewszystkiem poezja. Jak w *Muzie* wyznaje, ponieważ Homer, Wergiljusz, Horacy, Pindar zapewnili opiewanym przez

się ludziom i wypadkom nieśmiertelność, więc i poeci nowsi, jeśli zdobędą się na podobne dzieła, będą mogli równą sławę zapewnić bohaterom przez się opiewanym.

Zabawne jest, że nie spostrzegał, że ta sława właściwie nie od pięknych dzieł, ale od uniwersalności języka zależy. Język mało rozszerzony nie zapewni tej sławy bohaterom, co język w całym świecie znany, t. j. taki, który jest pamiątką panowania danego narodu nad światem. Wyobrażał sobie, że pisząc w języku polskim można sobie zapewnić taką samą sławę, jaką nadali swym bohaterom pisarze greccy i rzymscy, a w nowszych czasach angielscy, francuscy i hiszpańscy. Pomyłkę tę można mu przebaczyć, zwłaszcza że mimo ograniczonego znaczenia naszego języka, poezje jego doczekały się wreszcie tłumaczenia na te właśnie szerzej rozpowszechnione języki: angielski, francuski i włoski.

Te cztery przemożne czynniki wyzwalały stopniowo jego naturę twórczą i z rozmaitem natężeniem objawiały się w jego działalności, aż wreszcie nie został artystą skończonym, pewnym siebie, swych celów i sposobów. Sam przynaje, że wiele trudów go kosztowało, zanim się „wdarł na skałę Kaliopy, gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy". W młodzieńczym wieku uczuł powołanie literackie i poszedł za tem wezwaniem, nie dając się zbić z tropu przeciwnościami. Naprzód stanął na poziomie, jak sam sądził, elegików rzymskich. Potem nastąpił u niego długi okres przystosowywania się do poziomu umysłowego i obyczajowego polskiego za czasów dworskich. Aż z zupełną swobodą oddał się twórczości artystycznej na wsi w Czarnolesie i tu utworzył trójliść swej sławy i smaku artystycznego: *Pieśń świętojańską* z pochwałą sioła, *Treny* jako wyraz swej miłości rodzicielskiej i *Odprawę posłów greckich* z wyrażeniem swego podziwu dla antyku.

To powolne wznoszenie się na coraz wyższe poziomy sztuki i piękna nie dokonało się oczywiście bez znacznych wysiłków z jego strony i czasowych zaburzeń jego równowagi duchowej. W ciągu całej działalności swojej toczył wiele walk wewnętrznych o prawdę życiową i walki te przybrały u niego osobne kształty. Pominąwszy walkę o program literacki, którego przebiegu bliżej nie znamy, a który przejął widocznie od Plejady francuskiej, wspomnieć należy jego drugą walkę we-

wnętrzną o wyzwolenie swej natury artystycznej od nacisku otoczenia. Stoczył ją w okresie dworskim. Chodziło mu o uzyskanie zupełnej niezależności duchowej, a zagadnienie to splotło się u niego z wahaniem co do wyboru stanu, mianowicie czy zostać księdzem, czy ziemianinem. Wszakże Petrarka i Ronsard byli także księżmi i jemu wypadało zostać księdzem, zwłaszcza że wykształcenie przeznaczało mu raczej żywot uczony niż wiejski. Była to walka instynktów Odrodzenia z tradycją średniowieczną, która skończyła się zwycięstwem przywiązania do wsi i zajęć ziemiańskich, zapewne dzięki wpływowi Reformacji i wszechmożnemu naciskowi prądu autonomicznego, który musiał żywo odczuć wśród pobytu na tylu sejmach i zjazdach. Patrząc na otoczenie, zyskał tyle zmysłu samokrytycznego, że z naciskiem tradycji średniowiecznej przy wyborze stanu potrafił zerwać.

To gorące pragnienie zyskania zupełnej niezależności duchowej szczególnie cenić należy, bo ono było zupełnie obce poetom łacińskim czasów Zygmunta Starego, a także wszystkim staropolskim aż po czasy romantyzmu. Kochanowski był niezmiernie drażliwy na punkcie moralnym. Poczuciem niezależności artystycznej zbliżał się do nowoczesnych poetów i bał się niezmiernie, żeby nacisk otoczenia nie zamącał czystego źródła jego natchnień. Obawy jego były słuszne, bo cała staropolska poezja aż po czasy romantyczne pozostawała na usługach możnych i od panegirycznego nastroju uwolnić się nie umiała.

A trzecią walkę toczył już u schyłku życia, kiedy zmieniał się z wolnomyślnego humanisty w wierzącego katolika i właściwie wpływowi reakcji katolickiej uległ. Walka ta jest wszystkim doskonale znaną dzięki powszechnemu uwielbieniu dla *Trenów*. Chodziło w niej o zerwanie z zasadami stoickiemi i epikurejskiemi, któremi się napoił dzięki przesadnemu uwielbieniu Horacego. Dotknięty niezwykłą stratą rodzinną, nie znalazł w nich ukojenia, choć je poprzednio całemu ziemiaństwu zalecał. Pod wpływem niespodzianego ciosu dla swego serca rodzicielskiego, przyszło mu rozstrzygnąć ciężkie zagadnienie, co daje prawdziwy spokój i pewność w życiu: zasady w książkach złożone, czy prosta wiara ludowa w Opatrzność, zrządzenie i opiekę Bożą. Jako niedoszłemu księdzu, natchnionemu tłumaczowi *Psałterza*, łatwo przyszło mu zerwać z poglądami

klasycznemi i nawrócić do wiary ojców, wiary matki i córki, którą mu wypadki życia i wolnomyślność humanistyczna odebrały.

Kochanowski jako artysta jest nam zapewne dosyć bliski, chociaż wcale nie jest dzisiejszym człowiekiem. Czas i nastroje wieku wybiły na nim swoje piętno. Nie miał on porywów prometejskich, wzlotów tytanicznych. O oryginalność w pojęciu nowoczesnem się nie starał. Był artystą spokojnym, gabinetowym, uznającym klasyków za niedościgłe wzory i dążącym usilnie do naśladowania ich pism, zwrotów, a nawet częściowego przejmowania ich pojęć. W naturze jego niema skłonności mistycznych i marzycielskich. Jest raczej realistą i spokojnym spostrzegaczem. Żył całą duszą czasem i dążeniami swego wieku. Jest poetą teraźniejszości, bardzo rzadko myślącym o przyszłości. Opatrzność umieściła go w tak świetnej teraźniejszości, że o przyszłość zbytecznie troskać się nie miał powodu. Tem różni się mocno od naszych romantyków, którzy zajmowali się więcej przyszłością i przeszłością, niż teraźniejszością. Jako klasyk nie posiadał zarazem zmysłu historycznego. Właściwą mu była raczej żywa intuicja tak, że przenieść się i wmyśleć potrafił w atmosferę palestyńską i w świat grecki. Czas także i powolne budzenie się polskości, świadomej swojej odrębności kulturalnej, pozostawiło pewien ślad w jego sposobie myślenia. Ma on wielkie upodobanie w dydaktyce, rozumowaniu i pouczaniu. Nawet w liryce nie oddziela ściśle wzruszeń podmiotowych od przedmiotowych, refleksja przemaga u niego nad uczuciem także w erotyku, lubi wygłaszać zdania ogólne, jak Rej, i usposobieniem przypomina nieco prymitywów. Mimo to, jak wspominaliśmy, była to natura już stosuukowo bardzo rozwinięta i wydelikacona i swoich artystycznych skłonności doskonale świadoma.

Tę bardzo już stosunkowo wyrobioną naturę zawdzięczał Kochanowski przedewszystkiem sobie, swym niezwykłym zdolnościom, choć właściwie był wyjątkiem wśród otoczenia. Przyjaciół miał wielu, nawet niezmiernie serdecznych i oddanych, ale równych sobie twórców-artystów nie widział około siebie. Stąd jako artysta żył właściwie w wielkiem osamotnieniu, jak wszyscy ludzie, którzy mają coś do powiedzenia na świecie. Gdyby miał więcej zachęty, możeby został nieźgorszym epi-

kiem. *Fragment bitwy Amurata* jest wcale obiecujący. Po *Odprawie posłów greckich* można się było spodziewać jakiejś bujniejszej tragedji. Ale podniet mu brakło. Pozostawiony sobie, zajmował się tem, co go najwięcej rozrywało i bawiło, i został tylko lirykiem i epigramatystą, i w tych formach swe pojęcia o sztuce i pięknie najwybitniej wyraził i upowszechnił. Osamotniony, nie mając rozumnej zachęty, nie widząc koło siebie równych sobie towarzyszów zawodowych, przykro odczuwał swe położenie i pocieszał się nadzieją, że przyszłość wynagrodzi mu opuszczenie w teraźniejszości. Jak wielkim działaczom współczesnym, wybiegającym myślą ponad otoczenie, np. Zamojskiemu, tak i sobie obiecywał nagrodę kiedyś w przyszłości, kiedy jego trudy zostaną lepiej ocenione i wdzięk jego poezji subtelniej odczuty, bo jak spodziewa się:

Jednakże mam nadzieję, że przedsię za laty
Nie będą moje czułe nocy bez zapłaty,
A co mi za żywota ujmie czci dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy.

Przepowiednia ta się sprawdziła i, między innemi, odbywająca się właśnie uroczystość czterechsetnej rocznicy jego urodzin może być tego dowodem.

Kochanowskiego jako artystę niepodobna stawiać na tej samej wyżynie, co jego współczesników zagranicznych o kilkanaście lat od niego młodszych, Tassa i Cervantesa. Ani rozpiętością wyobraźni, ani dzielnością kompozycyjną im nie dorównywa. W twórczości jego niema nuty heroicznej ani dążenia do utworzenia dzieł syntetycznych, narzucających się wyobraźni ogółu. Jest raczej twórcą drobiazgów artystycznych przygodnych, podobny w zdolnościach raczej do Benvenuta Celliniego, jeśli zgodzimy się porównywać naszego sielskiego poetę z buńczucznym i kłótliwym medaljerem florenckim. Ale na jego korzyść można powiedzieć, że jest pierwszym artystą w Polsce, bez poprzedników z *quattrocento* i *trecento,* które u nas w stosunku do zagranicy wydały bardzo nikłe owoce; że wyrósł na dalekich rubieżach oświaty zachodniej, gdzie już kończyły się żywsze uderzenia pulsów życia nowoczesnego. Czarnolas, a nawet Kraków dostarczyć mu nie mógł tych ożywczych pobudek, co Ferrara, Neapol, Sewilla i Madryt. Zasługą

jego jest, że stał się pierwszym prawdziwym poetą w języku nieznanym przed nim na widowni sztuki zachodniej, że język nowy wprowadza do chóru literatur europejskich i polszczyznę powołuje do nowych przeznaczeń. W XVI w. Reja porównywano do Dantego. Słuszniejszem wydaje się to porównanie zastosować do Kochanowskiego z pominięciem oczywiście skali ich talentów i doniosłości ich dzieł. W każdym razie jak Dante zapoczątkował literaturę włoską, tak Kochanowski zapoczątkował literaturę polską i w ten sam obręb świata zachodniego w przeszło półtrzecia wieku po nim poezję polską wprowadził.

STANISŁAW SROKOWSKI

PODZIAŁ ADMINISTRACYJNY PAŃSTWA A ZAGADNIENIE USTROJOWE POLSKIEGO WSCHODU

Artykuł niniejszy rozpoczyna dyskusję na temat usprawnienia administracji publicznej w Polsce, — dyskusję, którą pragniemy przeprowadzić na łamach naszego miesięcznika. Wypada przypomnieć, że p. wojewoda Stanisław Srokowski jest współpracownikiem „Sekcji podziału administracyjnego Państwa" wyłonionej z „Komisji Administracji Publicznej przy Prezesie Rady Ministrów" *(Przyp. Red).*

Obszary wchodzące w skład Rzeczypospolitej pod względem geograficznym tworzą całość, której granic na zachodzie trzeba szukać w Odrze i górach Sudeckich, na wschodzie w Dnieprze, na południu w Karpatach i w morzu Czarnem, na północy w Dźwinie i Bałtyku. Do owych maksymalnych granic przyrodzonych współczesna Polska sięgnęła jednak tylko częściowo. Najwyraźniej na południu, opierając się tam jak niegdyś o potężny łuk karpacki. Natomiast nad Bałtykiem, odepchnięci od morza przez Prusy Wschodnie, zdobyliśmy tylko skrawek wybrzeża, do Dźwiny dotarliśmy na niedużej zaledwie przestrzeni, a całkiem poza stycznością z Polską pozostały Sudety, Odra, Dniepr i morze Czarne. Prawie połowa tego obszaru, który mógłby ciążyć ku sobie ze względów geograficznych a zwłaszcza już hydrograficznych i komunikacyjnych, znajduje się w władaniu państw ościennych, przedewszystkiem Rosji i Niemiec, choć także Czechosłowacji, Rumunji, Litwy i Łotwy.

Polska, gdy idzie o charakterystykę jej granic, znajduje się zatem w położeniu bardzo trudnem. Nietylko bowiem granic mamy aż 5.536 km, tak że na 1 km granicy lądowej wypada zaledwie

72 km² wnętrza kraju, nietylko że w dwóch stronach, bo wzdłuż Wisły i ku Dźwinie, wyciągnęły się długie i trudne do obrony pasy terytorjum państwowego, ale nadto wszędzie prawie nasi sąsiedzi posiedli duże obszary, które pod względem geograficznym wiążą się w nierozdzielną całość z zrębem ziem polskich. Wskutek tego znajdują się oni niejako w granicach polskiego obszaru, traktowanego jako indywiduum geograficzne, co ma ogromne znaczenie ze względu na łatwość przenikania ich wpływów do samego wnętrza naszego państwa. Na dobitek wszystkiego najgroźniejszemu naszemu sąsiadowi i wrogowi zachodniemu służy coś w rodzaju serwitutu komunikacyjnego dla transportów między Prusami Wschodniemi a Rzeszą. Toż samo musieliśmy pozwolić na niezbyt hermetyczne zamknięcie naszego terytorjum na odcinku górnośląskim i gdańskim, a wreszcie zgodzić się na traktat o ochronie mniejszości, który w żadnym razie nie można uważać za wzmacniający naszą więź państwową. Wymienione okoliczności, choć z administracją wewnętrzną jako taką wiążą się luźnie i są raczej domeną polityki zagranicznej, przecież jednak nakazują przedsięwzięcie ze strony polskiej całego szeregu kroków, któreby mimo wszystko doprowadziły do takiej konstrukcji państwa pod względem administracyjnym, aby ono przedstawiało zespół jak najbardziej lity i dający gwarancję, że w momencie konflagracji wojennej nie spotkamy się w naszem wnętrzu z szeregiem niemiłych niespodzianek. Że zaś głównym naszym i naczelnym wrogiem są Niemcy, usiłujące coraz aktywniej mieszać się do wewnętrznych spraw Polski, przeto idąc śladem działalności niemieckiej, musimy wszystko uczynić, aby już w założeniu nasza administracja te specjalnie zabiegi mogła krzyżować i niweczyć.

I dwie są główne drogi, które prowadzą do tego celu. Jedna to racjonalny podział administracyjny państwa, przytem taki, który mógłby się stać w przyszłości podstawą do potężnego rozwoju życia samorządowego, zdolnego zluzować państwo na wielu polach działalności publicznej, druga zaś to uzdrowienie naszego stosunku do autochtonicznych mniejszości kresów wschodnich.

I

PODZIAŁ ADMINISTRACYJNY PAŃSTWA

Że dzisiejszy podział jest niecelowy, nie potrzeba chyba szeroko dowodzić. Z jednej strony nie ujmuje on nigdzie w sposób właściwy terytorjów ze stanowiska gospodarczego, a z drugiej w kraju wykazującym tak liczne mniejszości narodowe uniemożliwia prowadzenie jednolitej polityki wewnętrznej na jej najważniejszych odcinkach. A tymczasem w Polsce bez trudu dają się wyróżnić następujące oddzielne obszary:

1) północno-zachodni, obejmujący województwo poznańskie, Pomorze i zachodnie części województw łódzkiego i warszawskiego;

2) południowo-zachodni, złożony z województw: krakowskiego, kieleckiego, śląskiego, części łódzkiego a także niektórych powiatów lwowskiego;

3) środkowy, obejmujący właściwy basen średniej Wisły i Bugu, na który składa się województwo warszawskie, lubelskie oraz część białostockiego;

4) południowo-wschodni, w skład którego wchodzą województwa: stanisławowskie, tarnopolskie, wołyńskie oraz części województw lwowskiego i poleskiego;

5) północno-wschodni, złożony z województw: wileńskiego, nowogródzkiego a także części białostockiego i poleskiego;

6) wreszcie z reszty terytorjum wyodrębnić się daje m. Warszawa, a poniekąd i Łódź.

Obszar północno-zachodni to kraina intensywnego rolnictwa, związana z sobą wspólnością stosunków klimatycznych, geologicznych, krajobrazowych i komunikacyjnych. Południe za Wartą i Notecią nachyla się wprawdzie więcej ku zachodowi, gdy północ za Wisłą ku północy, niemniej jednak te względy przyrodzone nie ważą tyle, aby mogły przeciwstawić się walorom silnie i wszechstronnie rozbudowanej tu sieci kolejowej i drogowej. Głównym ośrodkiem tej całej przestrzeni jest Poznań. Za drugi możnaby uważać Gdańsk, ale dzisiejsza jego odrębność państwowa i ekonomiczna uniemożliwia żywsze związki z sąsiedniem zaziemiem (Hinterlandem). Prędzej do owej roli centralnego punktu dążyć może Bydgoszcz, natomiast w bardzo małej tylko mierze Toruń lub Grudziądz. Czy po dalszej rozbudowie portu gdyńskiego nie przyjmie

na północy obszaru na siebie rolę ważnego punktu ogniskującego w sobie życie Gdynia, dziś przewidzieć jest jeszcze trudno.

Obszar południowo-zachodni, choć pod względem krajobrazowym, klimatycznym i geologicznym wykazuje znaczne różnice wewnętrzne, jednak tem charakterystyczny, że prawie w całości znajduje się pod znakiem węgla. Wysoce miejscami jak na stosunki polskie uprzemysłowiony, dotąd dlatego tylko wewnętrznie ciąży do siebie słabo, iż środki komunikacyjne (koleje i drogi) ciągle jeszcze nie potrafiły go związać tak, jakby to było potrzebne. Odpowiednio rozbudowanym ośrodkiem komunikacji kolejowej nie jest dziś nawet Kraków. Tem mniej za owe centra mogą uchodzić takie miasta jak Katowice, Łódź lub Kielce. Można też zgóry powiedzieć, że na wewnętrzną zwięzłość komunikacyjną omawianego obszaru nie oddziała zbytnio nawet tak wielkiej państwowej doniosłości szlak kolejowy, jakim będzie linja Katowice-Gdynia. Najlepsze warunki do stania się głównym ośrodkiem całego obszaru posiada jednak Kraków pod warunkiem atoli uzupełnienia jego sieci kolejowej w północnych kierunkach kompasu. Dziś podróż z Krakowa do pierwszej lepszej miejscowości województwa kieleckiego często trwa dłużej niż do odległej Warszawy a nawet Poznania.

Obszar środkowy najbardziej ciąży do basenu Wisły i jej głównych dopływów. Pod względem klimatycznym i krajobrazowym panuje tu niezmierna monotonja, która tak samo ujawnia się i pod wielu innymi względami. Najwięcej jeszcze różnic spotykamy tu porównując wierzchnie warstwy gleby. Północ tworzą polodowcowe tereny moreny dennej, piachy, bagna i gliny, południe zaś pokryte jest na znacznej przestrzeni loessem. Główne zajęcie mieszkańców na całym obszarze stanowi rolnictwo, choć mniej intensywnie uprawiane niż na północnym zachodzie Polski. Wreszcie potężny wpływ na kształtowanie się życia ekonomicznego tych stron wywiera bliskość stolicy państwa Warszawy. Pod względem komunikacji kolejowej cała przestrzeń przez swą stolicę już obecnie jest z sobą wcale dobrze związana a istniejące warunki komunikacyjne ulegną jeszcze dalszemu polepszeniu, gdy zjawi się kiedyś nowa linja kolejowa, prowadząca na południe w stronę Radomia i Kielc, na północy zaś z Torunia do Małkini nad Bugiem lub do Ostrołęki.

Obszar południowo-wschodni stanowi teren wielkich możliwości rozwoju rolnictwa, a na północy, po zmeljorowaniu bagien poleskich, także hodowli bydła. Ze względu na intensywność

i jakość gospodarki rolnej różnice miejscowe są tu wprawdzie duże, n. p. między Podolem a Polesiem, jednak nie takie, aby równocześnie nie istniała możliwość pogodzenia tych rozbieżności. Głównym i naturalnym ośrodkiem całej przestrzeni jest Lwów, posiadający znakomicie rozbudowany węzeł kolejowy, działający skutecznie jednak tylko do granic dawnej Galicji, gdyż istniejące dotąd dalsze przedłużenia linij kolejowych w kierunku północnym nie stoją na poziomie nietylko nowożytnej komunikacji, ale nawet bardzo skromnych wymogów miejscowych. Stąd też zjawia się nienaturalne ciążenie np. Kowla do odległej Warszawy. Nawet Łuck ciąży raczej w tym kierunku niż do Lwowa, leżącego w odległości zaledwie 140 km.

Obszar północno-wschodni, przeważnie bardzo jednolity pod względem klimatycznym jak i krajobrazowym, to przestrzeń, której doprowadzenie do poziomu cywilizacyjnego, nierobiącego wstydu naszej państwowości, kosztować nas będzie bardzo wiele zarówno wkładów materjalnych jak i wysiłków organizacyjnych. Do zrobienia jest tu niemal wszystko, co przy ubóstwie gleby i braku wszelkich kopalin a także przy powszechnem zaniedbaniu prawie że wyłącznie rolniczej ludności (średnio powyżej 85%) jest zadaniem nad wyraz ciężkiem. Za najcenniejsze bogactwo obszaru uważać można duże miejscowe lasy, po zmeljorowaniu zaś także bagna poleskie. Naturalny punkt ciążenia obszaru, Wilno, ma tę niedogodność, że jest bardzo ekscentrycznie położony a jego węzeł kolejowy bardzo niedoskonały. Jeszcze gorzej przedstawia się atoli sprawa szos. Tych tu na ogromnych przestrzeniach brak zupełny.

To są naturalne obszary gospodarcze Polski. Pokrywają się one dość dokładnie także z obszarami wielce różnych na wschodzie i zachodzie państwa stosunków narodowościowych, religijnych i wogóle wewnętrzno-politycznych, których trzon tkwi nieraz bardzo głęboko, bo aż w różnicach rasowych ludności.

Obszar północno-zachodni, mieszczący w sobie niezmiernie ważny dla Polski dostęp do morza, z sporym procentem nietyle niemieckiej ludności (na Pomorzu 18·8%, w Poznańskiem 16·7%), ile niemieckiej własności rolnej, zwłaszcza większej (w Poznańskiem 36%, na Pomorzu 45%), musimy stale uważać ze wszystkich za najbardziej zagrożony. Tu przedewszystkiem zwraca się napór całej wrogiej państwu polskiemu akcji, wychodzącej z Rzeszy Niemieckiej, głoszącej przy każdej sposobności i bez

wszelkich zresztą ogródek potrzebę rewizji zachodnich granic polskich, czyli inaczej oderwania od Polski t. zw. „korytarza gdańskiego". I nie idzie w tym razie o sam „korytarz", ale także o całą przestrzeń od Bałtyku po Noteć, o ile wogóle nie o całe nawet województwo poznańskie, bo pojęcia „korytarza" nikt z Niemców, i to zarówno z sfer politycznych jak i publicystycznych, jeszcze nie określił i nie ustalił. Z wydawanych natomiast map i innych publikacyj widać, że „korytarzowi" daje się bardzo szerokie wymiary, a im która publikacja stoi bliżej sfer czerpiących swą inspirację z kół Reichswehry lub rządu, tem szersze. Ta robota agitacyjna, nawskróś celowa, ma bardzo doniosłe skutki dla znajdującej się na obszarze północno-zachodnim zarówno ludności niemieckiej jak i polskiej. Pierwsza uważać chce swój pobyt w granicach Polski za całkiem tymczasowy, druga zaś niepokoi się myślą, że jej przynależność państwowa jest ciągle jeszcze niedość upewniona. Stwarza się jakiś podświadomy lęk przed niepewną przyszłością polityczną tych stron, które to nastroje polskie Niemcy eskontują coraz to śmielej i coraz to wszechstronniej, podkreślając przedewszystkiem fakt, że są w kraju najistotniejszym składnikiem jego zaludnienia, zwłaszcza na Pomorzu, a tu i owdzie podnoszą nawet pretensje do kondominjum politycznego, na swych współobywateli polskich patrząc równocześnie okiem coraz to większego uprzedzenia. Śmiało rzec można, że w ciągu 10 lat istnienia państwa polskiego nietylko że nie uczyniliśmy żadnego zgoła, choćby pozornego tylko kroku na polu zsolidaryzowania żywiołów niemieckich kraju północno-zachodniego z polską państwowością i polskim żywiołem, ale wprost przeciwnie pozwoliliśmy Niemcom zająć położenie nieporównanie więcej politycznie ekscentryczne od tego, w jakiem byli w r. 1919. Najprostszy wniosek jest ten, że od góry do najniższych instancyj uprawiamy politykę niecelową i dla państwa szkodliwą, politykę zbyt miękkiej ręki, dla której Niemcy nie mają zresztą najmniejszego zrozumienia. Niebezpieczeństwo zaś jest tem większe, że kraj północno-zachodni jest słabo zaludniony i przyrost naturalny ludności jest tam najmniejszy. Przypuszczać należy, iż przyłączenie nie różniących się co do intensywności kultury rolniczej zachodnich powiatów b. Królestwa bardzo zasadniczo zmieni te warunki.

Obszar południowo-zachodni przedstawia już stosunki inne. Przedewszystkiem jest to kraj stosunkowo bardzo gęsto zalud-

niony a powtóre w zakresie gospodarczym nie decyduje tu samo tylko rolnictwo, ale w poważnej mierze także wielki przemysł fabryczny i kopalniany, który znajduje się wprawdzie po największej części w ręku Niemców, jednak posługujących się robotnikiem polskim. Niemcy poważny składnik ludności (28·3%) stanowią zresztą tylko w jednej stronie obszaru, a mianowicie na Górnym Śląsku. W województwie łódzkiem liczba ich nie dochodzi 5%, w województwie krakowskiem 0·5%, a w województwie kieleckiem jest wręcz znikoma, wynosząc wszystkiego zaledwie 0·1%. Tylko uprzywilejowanie pod względem swobód autonomicznych obszaru górnośląskiego pozwala Niemcom na odgrywanie tam większej roli politycznej. Napór na żywioł niemiecki na tym obszarze jest atoli nieporównanie silniejszy niż na północno-zachodnim, bo charakter przemysłowy kraju związanego jak najściślej węzłami ekonomicznemi z resztą państwa, będącą rynkiem zbytu, zmusza do ciągłego liczenia się z zorganizowaną państwowo polskością, czego w tej mierze nie potrzebują czynić rolnicy niemieccy z Poznańskiego i Pomorza, zawsze znajdujący zbyt na swoje produkty a w kapitał zaopatrujący się nierzadko w Rzeszy lub w Gdańsku. Do zwiększenia naporu na niemczyznę śląską przyczynia się zresztą także eksponowane jej stanowisko wśród otoczenia słowiańskiego. Na południu i zachodzie styka się ona z żywiołem czechosłowackim, zaś graniczące od wschodu z Górnym Śląkiem oba województwa wykazują najsilniejsze w państwie skupienie ludności polskiej, województwo kieleckie 91·4% a krakowskie 93·0%.

Obszar środkowy obejmuje prawie jedną piątą część powierzchni państwa. Nie wykorzystuje on przecież dotąd w całości uprzywilejowanego położenia, jakie mu przypadło w udziale, głównie z powodu niedostatecznego wyrobienia kulturalnego i społecznego swojej prawie że jednolicie polskiej ludności, która w województwie warszawskiem dochodzi 90%, zaś w lubelskiem i w zachodnich częściach białostockiego 85%. Drobna przymieszka ludności ruskiej w województwie lubelskiem (3%) nie odgrywa ważniejszej roli, tak samo jak mało jeszcze uświadomionej narodowo ludności białoruskiej w woj. białostockiem. Od sąsiednich obszarów północno-wschodnich obszar centralny różni się jednak nieporównanie silniej niż od obydwóch zachodnich, a wyrazem zewnętrznym tej różnicy jest także gęstość zaludnienia, która zaraz prawie na wschód za linją kolejową Brześć—Grajewo opada do miary wschodnio-euro-

pejskiej. Cały obszar ciąży do Warszawy, choć na południu istnieje niezaprzeczenie także pewne ciążenie do Lublina, na północy zaś do Białegostoku.

Obszar południowo-wschodni zaludniony jest w znacznej przewadze przez żywiot ruski czyli ukraiński. W województwie wołyńskiem jest Ukraińców 68·4%, w stanisławowskiem 70·2%, w tarnopolskiem 50%. Tyleż prawie w wschodniej części województwa lwowskiego. Układ narodowościowy przydaje obszarowi pod względem politycznym tyle cech specjalnych, iż od innych polskich odróżnia się on bardzo znacznie, zważywszy i to, że ludność ukraińska jest już prawie wszędzie zupełnie narodowo uświadomiona i że bardzo szybko postępuje pod względem organizacyjnym i kulturalnym. Niemało waży też i wzgląd, iż za kordonem granicznym rozciąga się sowiecka republika ukraińską, która bądź co bądź wywiera pewien wpływ atrakcyjny na niektóre grupy społeczeństwa ukraińskiego i działa ujemnie na wyrobienie się skłonności do trwałego i istotnie pokojowego współżycia z polskością. Reszty pod tym względem dopełnia nieprzyjazna Polsce agitacja wychodząca z Berlina i Pragi. — Obszar południowo-wschodni nie jest jednak jednolity pod względem wyznaniowym, co pozwala nam na niejedno skuteczne posunięcie polityczne. Ta okoliczność sprawia też, że np. Wołyń niezupełnie ciąży do Lwowa jako do głównego i naturalnego ośrodka ziem południowo-wschodnich, lecz że stara się wyrobić u siebie cały szereg centrów drugorzędnych (Równe, Łuck, Krzemieniec, Włodzimierz). Utworzenie wyższego zakładu naukowego ukraińskiego, np. uniwersytetu w Łucku, który z wszystkich tych punktów dla tego celu zdaje się najlepiej się nadaje, stworzyłoby odrazu przeciwwagę dla tendencyj ukrainizmu małopolskiego. Uniwersytet wołyński musiałby atoli nabyć wyraźnych cech uczelni, w której prawosławie nie czułoby się obcem.

Problem ukrański zaostrza się z roku na rok pod wpływem ciągłego liczebnego przyrostu inteligencji ukraińskiej, dla której pole zaspokojenia ambicji jest mocno ograniczone. Niemało oddziaływa też i ta okoliczność, że cała ludność, i to nietylko już ukraińska ale i polska, w związku z spustoszeniami wojennemi a przy niedostatecznej pomocy polskiego rządu stale się głodzi, aby przez czynienie oszczędności móc jak najszybciej odbudować swoje zniszczone gospodarstwa. Gdy średnie roczne spożycie zbóż chlebowych w państwie wynosi na głowę 212 kg, zaś w województwie

poznańskiem podnosi się aż do 322·2 kg, to na Wołyniu wykazuje ono tylko 145·2 kg, a w Tarnopolszczyźnie osiąga wręcz rekordowo niską ilość 85·6 kg. Głodzi się również ludność województwa stanisławowskiego, gdzie spożycie roczne zbóż wynosi na głowę tylko 104·4 kg.

Obszar północno-wschodni podobnie jak południowo-wschodni zamieszkuje wprawdzie ludność pod względem narodowościowym mieszana, niemniej jednak stosunki panują tu inne. Przedewszystkiem uświadomienie narodowe tutejszej ludności niepolskiej, Białorusinów, jest jeszcze bardzo słabe i nie dające się wręcz porównać z tem, jakie widzimy u Ukraińców, a powtóre i stosunek liczebny Białorusinów do Polaków przedstawia się całkiem inaczej. Nawet na Polesiu, gdzie Białorusini mieszkają najgęściej, stanowią oni zaledwie 42·6% ogółu ludności, w Nowogrodzkiem 37·6%, w Wileńskiem 25·7%, w Białostockiem zaś zaledwie 9·1%. Obok Białorusinów, żyjący gdzieniegdzie na obszarze północno-wschodnim Litwini, poza Wileńszczyzną, gdzie stanowią 8·3% zaludnienia, nie wchodzą nigdzie w rachubę, jako poważny współczynnik ludnościowy. Prędzej już Żydzi, którzy w Białostockiem tworzą 12·5% zaludnienia, a na Polesiu 10·4%. — Wśród takich stosunków narodowościowych żywioł polski zajmuje na całym prawie obszarze północno-wschodnim stanowisko dość dominujące i tylko jego ogromne zaniedbanie na polu ekonomicznem, charakterystyczna niezaradność, wreszcie niepowszednie błędy administracji polskiej, która nie umie dać sobie rady nawet z tak niezłożonym problemem jak białoruski, sprawiają, że obszar północno-wschodni w wielu stronach tak samo nurtują tendencje antypaństwowej natury jak i obszar południowo-wschodni. Tylko że napięcie tego niepokoju tu i tam jest różne, na co w niemałym stopniu ma wpływ ogromnie rzadkie zaludnienie tych stron. Na południowym wschodzie raz wraz zaprzątają naszą uwagę gwałtowne przebłyski zniecierpliwienia żywiołu niepolskiego, tu zaś wyrazem nieprzychylności wobec Polski jest przedewszystkiem tajna konspiracja i niechęć tłumiona a żywiona z dwóch zagranicznych ośrodków roboty antypolskiej, Mińska i Kowna.

*

Powołując się na powyższe uwagi, a także uwzględniając konieczność istnienia takiego podziału administracyjnego państwa,

któryby doprowadził, jeżeli nie do zupełnego, to bodaj do częściowego terytorjalnego uzgodnienia administracji ogólnej i specjalnej (niezespolonej), doradzalibyśmy stworzenie małej ilości województw, a natomiast obszernych. Tylko większe terytorjalnie i ludnościowo jednostki administracyjne potrafią zaznaczyć się naprawdę twórczo w odciążającej kieszeń rządową robocie samorządowej oraz podnieść jej rozmiar i doniosłość, zwłaszcza zaś tam, gdzie podatki wskutek ubóstwa ludności dają efekt bardzo skromny. To, co dzisiaj nazywamy samorządem (poza Śląskiem, Pomorzem i Poznańskiem, a także poza administracją miast), jest przeważnie tylko niecelowem wyrzucaniem pieniędzy na opłacanie t. zw. działaczy samorządowych, którzy w granicach jednego powiatu naogół nic większego zdziałać nie mogą, bo nie mają za co. Owe wielkie obszarem województwa, czy prowincje, podniosłyby także autorytet władzy i myśli państwowej, któraby mogła pracować więcej planowo, aniżeli to ma miejsce dzisiaj, kiedy na ten sam problem polityczny, co województwo, istnieje inny pogląd i istnieć musi. Przy obecnym podziale administracyjnym nie można wskutek tego myśleć o prowadzeniu w państwie jednolitej polityki ukraińskiej, białoruskiej a nawet niemieckiej.

Obszary administracyjne najwyższego rzędu, których istnienie uważalibyśmy za celowe, byłyby następujące:

1) Polska północno-zachodnia,
2) Polska południowo-zachodnia,
3) Polska środkowa,
4) Polska południowo-wschodnia,
5) Polska północno-wschodnia,
6) Warszawa miasto,
7) Łódź miasto.

1. Polska północno-zachodnia obejmowałaby:
   a) województwo poznańskie,
   b) województwo pomorskie bez powiatu działdowskiego,
   c) powiaty: wieluński, sieradzki, kaliski, turecki (Turek), słupecki (Słupca), koniński i kolski (Koło) z województwa łódzkiego,
   d) powiaty: włocławski, nieszawski, lipnowski i rypiński z województwa warszawskiego.

   Razem według dat spisu z 1921 r. 57.844 km² i 4,201.762 mieszkańców.

2. Polska południowo-zachodnia:
   a) województwo krakowskie,
   b) województwo śląskie,
   c) województwo kieleckie bez powiatów: opoczyńskiego (Opoczno), radomskiego (Radom) i kozienickiego,
   d) powiaty: radomski (Radomsko), piotrkowski i łaski z województwa łódzkiego,
   e) powiaty: tarnobrzeski, kolbuszowski, rzeszowski, strzyżowski, krośnieński, sanocki, brzozowski, przeworski, łańcucki i niski z województwa lwowskiego.

   Razem 55.574 km² i 6,542.946 mieszkańców.
3. Polska środkowa:
   a) województwo warszawskie, bez powiatów: włocławskiego, nieszawskiego, lipnowskiego i rypińskiego,
   b) województwo lubelskie,
   c) powiaty: brzeziński (Brzeziny), łęczycki i łódzki z województwa łódzkiego.
   d) powiat działdowski z województwa pomorskiego,
   e) powiaty: kozienicki, radomski (Radom) i opoczyński (Opoczno) z województwa kieleckiego,
   f) powiaty: ostrołęcki, ostrowski (Ostrów), kolneński (Kolno), łomżyński, wysokomazowiecki (Wysokie Mazowieckie) i szczuczyński z województwa białostockiego.

   Razem 73·935 km.² i 5,085. 667 mieszkańców.
4. Polska południowo-wschodnia:
   a) województwo stanisławowskie,
   b) województwo tarnopolskie,
   c) województwo wołyńskie,
   d) powiaty: bóbrecki (Bóbrka), lwowski, żółkiewski, sokalski, rawski (Rawa Ruska), gródecki (Gródek Jagielloński), rudczański (Rudki), drohobycki, samborski, starosamborski, mościcki (Mościska), jaworowski, liski, dobromilski, przemyski, jarosławski, lubaczowski z województwa lwowskiego,
   e) powiaty: kamieńkoszyrski i sarneński z województwa poleskiego.

   Razem 92.336 km² i 6,300.131 mieszkańców

5. Polska północno-wschodnia:
   a) województwo wileńskie,
   b) województwo nowogródzkie,
   c) powiaty: suwalski, augustowski, sokólski (Sokółka), białostocki, bielski, wołkowyski i grodzieński z województwa białostockiego,
   d) powiaty: stoliński, piński, drohiczyński, kobryński, brzeski (Brześć nad Bugiem), prużański, kossowski i łuniniecki z województwa poleskiego.

   Razem 108.522 km² i 3,281 787 mieszkańców.
6) Miasto Warszawa,
7) Miasto Łódź.

Przewodnią myślą tego podziału, poza momentami natury politycznej i ekonomicznej, o czem mówiliśmy już w rozdziale pierwszym, jest przeświadczenie, że dobrą administrację nie tyle tworzy gęste obstawienie całego obszaru państwa urzędami drugiej instancji (wojewódzkiemi), ile, przy stosunkowo rzadkiej sieci tych właśnie urzędów, odpowiedni poziom placówek instancji pierwszej (starostw) i, co niezmiernie ważne, odpowiednia ich gęstość.

Zadaniem urzędu wojewódzkiego jest kontrola i organizacja pracy dokonywanej przez starostwo, zaś wojewody samego prócz tego także kierowanie polityką powierzonego mu obszaru. Ale jeżeli, jak to wspomnieliśmy już wyżej, ów obszar jest tylko fragmentem pewnego terytorjum większego, na którem zachodzą identyczne procesy polityczne, działanie wojewody, jako czynnika mogącego mieć dodatni wpływ na politykę, ogromnie się zmniejsza. Akcja jednego wojewody w pewnych razach może nawet, mimo inspiracji władz centralnych, paraliżować działalność drugiego, skoro obaj bez porozumienia się będą traktować ten sam problem. Przez stworzenie większych obszarów administracyjnych, poddanych urzędom instancji drugiej, nie ucierpi zgoła kontrola i organizacja pracy, bo w razie powiększenia terytorjum zwiększony aparat urzędowy pokona bezwątpienia wszelkie tego rodzaju trudności. Znosząc zaś cały szereg zbędnych urzędów wojewódzkich, za zaoszczędzone w ten sposób pieniądze możnaby powołać do życia bodaj kilkadziesiąt najkonieczniejszych starostw, dzieląc na części obszar tych powiatów, które obejmują ogromne przestrzenie (5.000 do 6.000 km²)

i wykazują ludność dochodzącą nieraz 200.000, a bywa, że i 300.000 głów. Każdy chyba przyzna, iż starostwo o tych rozmiarach, zwłaszcza zaś w okolicach pozbawionych dobrej komunikacji, jest administracyjnym absurdem.

Dla nowej całości terytorjalnej, powstałej z połączenia kilku województw lub ich części, proponowalibyśmy nazwę „kraj“ lub „prowincja“. Byłby zatem Kraj Północno-Zachodni, Kraj Południowo-Zachodni; albo inaczej Polska Północno-Zachodnia, Południowo-Zachodnia itd. Administrator tego kraju, nietylko mąż zaufania rządu, ale i Prezydenta państwa, co uważamy za rzecz wielkiej wagi, powinien nosić, mający już pewną tradycję w Polsce, tytuł „namiestnika“, podległy zaś mu urząd „namiestnictwa“. Dotychczasowy tytuł „wojewody“ jako językowo niepokrywający się zgoła z funkcjami urzędowemi, które ten dygnitarz u nas sprawuje, usunęlibyśmy zupełnie, Może znalazłby on zresztą, wzorem Jugosławji, prawo obywatelstwa w wojsku, zastępując tam „generała“, zwłaszcza w szarżach najwyższych.

Każda nominacja namiestnika nie mogłaby być ani wynikiem kaprysów Sejmu i mocujących się tam o władzę przewódców partyj, ani nawet rządu, ale aktem głęboko przemyślanym, gdyż to, co do niedawna w Polsce na tem polu się działo, podcinało niesłychanie autorytet jakiejkolwiek władzy. Na Wołyniu po bardzo niedługich, bo zaledwie dziesięcioletnich rządach polskich, mamy już piętnastego administratora. To chyba nie rządy. I pomyśleć, że w leżących obok Polski Prusiech Wschodnich, starszy prezydent kraju, Dr. Siehr, pełni swe funkcje nieprzerwanie od r. 1919, że podobnie jest na niemieckiem Pomorzu, w prowincji Posen—Westpreussen i gdzie indziej w Niemczech. Przecież to nie genjusze administracyjni ci pruscy dygnitarze. Znamy ich zbliska. Mają tylko w Berlinie rząd, który pojmuje, że prowincji co kwartał trudno przesyłać nowego prezydenta i że na odwoływanie jest pora dopiero wtedy, gdy zawiodą udzielane wskazówki.

Namiestnik, który miałby możność przeprowadzania pewnych myśli państwowych, powinien być także wyposażony w niezbędny aparat reprezentacyjny. Dzisiejszy wojewoda z jego nad wyraz skromną dotacją, gdy idzie o podniesienie powagi polskiej władzy i Polski, wiele zdziałać nie może. Bez pieniędzy nie jest w stanie po prostu swobodnie się obracać i to robić, co na jego miejscu robić należy. A jest tej roboty dużo. Przeto wpychanie tych spe-

cjalnie funkcjonarjuszów państwowych w kategorje różnych niedostatecznych płac rozmija się zupełnie z celem, dla którego oni istnieją, a Polskę stać jeszcze na to, aby zamiast np. 500.000 zł., jakie dziś corocznie wypłaca wojewodom w całem państwie, poświęcała na ten cel dwa albo nawet trzy razy tyle. Rozumie się, że przy istnieniu tylko 5 namiestników i 2 komisarzy rządu nawet i taka kwota nie byłaby potrzebną.

Piszemy to wszystko dlatego, aby podkreślić myśl, że żadna reforma administracji nie da pożądanych wyników, jeżeli nie uwzględni się także okoliczności, wśród których ludzie działają. Szczególnie zaś wrażliwą na to jest administracja polityczna czyli ogólna. Ta musi mieć autorytet i to nie tylko gdzieś w Warszawie, ale i na miejscu, gdzie spełnia swe funkcje.

*

Opowiedziawszy się przy myśli podziału państwa na wielkie całości administracyjne, a w szczególności na 5 krajów i 2 wyodrębnione miasta, będziemy się starali wykazać pokrótce, jakie ten podział sprowadzi następstwa natury politycznej i ekonomicznej.

Polska Północno-Zachodnia, zyskując w zachodnich powiatach b. Królestwa nowy obszar 15.415 km^2, czyli niemal dokładnie równy powierzchni Pomorza, a przytem zaludniony przez 1,322.000 osób, prawie wyłącznie narodowości polskiej, zmienia bardzo wydatnie swoje oblicze narodowościowe. Mniejszość niemiecka, wynosząca w Poznańskiem i na Pomorzu średnio bądź co bądź poważny jeszcze odsetek ludności (17%), schodzi odrazu do rzędu mało znaczącej grupy, która tem rychlej będzie topniała, iż przyłączenie nowych ziem z b. Królestwa sprowadzi silną infiltrację polskiej ludności do b. dzielnicy pruskiej. Dzisiejszy podział tej infiltracji nie sprzyja, bo przeszkadza jej cały szereg przechowujących się jeszcze po obu stronach dawnego kordonu granicznego odrębności administracyjnych, które mają duży wpływ na psychologję ludności. Na przeszkodzie infiltracji, za którą w tropy pójdzie podniesienie się cen ziemi w Polsce Północno-Zachodniej i zwiększony nacisk na miejscową niemczyznę, nie stanie też zgoła różnica intensywności gospodarki rolnej. Jak wykazują dotyczące studja,[1]

[1] Zob. artykuł Dr. Wiktora Ormickiego, pomieszczony w *Wiadomościach Geograficznych*, Kraków 1929, zeszyt IV.

włączone ewentualnie w granice Polski Północno-Zachodniej części b. Królestwa pod względem intensywności gospodarki rolnej nie różnią się zgoła od województw poznańskiego i pomorskiego, a nawet, o ile idzie o Pomorze, na bardzo dużej przestrzeni je prześcigają.

Złączenie w jedną całość administracyjną Poznańskiego i Pomorza, a także przyłączenie części b. Królestwa, wyda i ten skutek, że wzrost Poznania, jako naszej stolicy zachodniej, postępować będzie krokiem nieporównanie raźniejszym, niż dotąd, na czem Polsce, wobec eksponowanego położenia tego miasta, szczególnie musi zależeć. Półmiljonowa polska ludność stolicy nad Wartą, to najlepsza gwarancja wieczystej przynależności tych stron do Rzeczypospolitej. Im potężniej zatętni Poznań życiem ekonomicznem i intelektualnem, tem silniej oddziała on na wyjałowione przedługą niewolą niemiecką otoczenie i tem samem dążność niemiecką do powtórnego kiedyś zagarnięcia Zachodu Polski uczyni beznadziejną. Równocześnie i to podnieść należy, że rozwijając Poznań, nie czynimy jakiejkolwiek krzywdy Toruniowi, gdyż obecna stolica Pomorza, nawiasem mówiąc jako taka, położona całkiem niefortunnie, bo na uboczu, mimo istnienia tam już od 10 lat siedziby województwa, nie wykazuje jakiegokolwiek wydatniejszego rozwoju. Jako centrum intelektualne Toruń nie ma żadnego prawie dodatniego wpływu na obszar województwa, tak iż dzięki temu wypływają nawet różne specjalne polityczne kłopoty pomorskie. Jeżeli zaś Toruń sączy co duchowego na otoczenie, to tylko oschły i ogołocony z treści konserwatyzm duchowy. Nietwórczy ten prąd nic cennego nie daje Polsce, a przynosi natomiast wiele szkód już choćby tylko dla propagowanego ogromnie intensywnie separatyzmu dzielnicowego, aż do podburzania Kaszubów włącznie, na których i Niemcy opierają swoje antypolskie rachuby. Po skasowaniu dzisiejszej stolicy wojewódzkiej w Toruniu, Pomorze przez nawiązanie ścisłej łączności z Poznaniem powoli zacznie wychodzić z atmosfery zaścianka i pojmować swoje właściwe polskie zadania. Dla powiatów kaszubskich można urządzić osobną delegaturę namiestnictwa z siedzibą w Gdyni.

Polska Południowo-Zachodnia przedstawia dzielnicę, będącą pod wielu względami przeciwieństwem Kraju Północno-Zachodniego. Już samo ugrupowanie żywiołu niemieckiego jest tu inne, a co za tem idzie i ujęcie przez nas tego problemu narodowościowego musi tu być odmienne.

Głównem wewnętrznem zadaniem politycznem Polski Południowo-Zachodniej byłoby silne związanie Śląska z Rzecząpospolitą, który to proces, dzięki śląskim warunkom ekonomicznym, a także dzięki tamtejszemu samorządowi i umowom międzynarodowym, dziś postępuje za powoli. Inaczej, gdyby Śląsk jako składowa część wszedł w stałą łączność administracyjną z czysto polskiemi obszarami Polski Południowo-Zachodniej, wyposażonemi tak samo w samorząd. Z konieczności nastąpiłby musiało wzajemne zbliżenie i zżycie się obu stron, bez czego Śląsk ciągle jeszcze wobec państwa zajmuje stanowisko ekscentryczne. Taką jest przynajmniej psychologja większości jego mieszkańców, nie mówiąc już o niemieckich przedsiębiorcach i przemysłowcach, którzy obecną przynależność państwową polskiego Górnego Śląska traktują jako chwilowe prowizorjum. Nie doradzalibyśmy tylko przeprowadzania tego procesu łączenia w sposób nagły. Narazie mógłby zostać samorząd śląski nietknięty, tylko podporządkowany samorządowi Kraju Południowo-Zachodniego, przez co automatycznie zeszedłby on do roli podrzędnej. Urząd wojewody śląskiego zastąpiłoby stanowisko delegata namiestnictwa.

Ważnem następstwem stworzenia dużej jednostki administracyjnej pod postacią Polski Południowo-Zachodniej byłoby ożywienie Krakowa i dodanie mu sił do dalszego rozwoju, co uważamy za rzecz niezmiernie ważną. Bo jeżeli zadaniem Poznania jest organizacja żywiołu i życia polskiego na dużej przestrzeni od Warty aż po Bałtyk, to na Kraków znowu spada podobna misja w odniesieniu do całego najbardziej ludnego południa Polski. Kraków upadający tego zadania nie spełni, tem mniej zaś takie miasta, jak Katowice, Sosnowiec, Kielce lub Częstochowa.

Polskę Środkową, mniejwięcej wzdłuż linji kolejowej Hajnówka—Siedlce—Łuków—Dęblin, możnaby podzielić na dwa obszary administracyjne: północno-zachodni i południowo-wschodni. Ten ostatni odpowiadałby dzisiejszemu województwu lubelskiemu, rozciągającemu się jednak obecnie znacznie dalej na północ, bo w stronie Karczewa i Otwocka dochodzącemu prawie że pod samą Warszawę, a pod Nurem i Małkinią zbliżającemu się na siedmdziesiąt kilka kilometrów do Białegostoku. Ale gdybyśmy odstąpili nawet od takiego wyciągania granic województwa lubelskiego nie widzimy wcale celu wyodrębniania tego obszaru z Polski Środkowej, bodaj z tej przyczyny, że stwarzając w centrum państwa dwie mniejsze całości administracyjne, damy tem samem także podstawę

istnienia dwóch słabych samorządów, które właśnie tu w środku Polski mają tak wiele do zdziałania. Choć przeto nie obejdzie się to bez pewnej szkody dla m. Lublina, doradzalibyśmy mimo wszystko zorganizowanie całej Polski Środkowej w jeden obszar administracyjny, który i tak zarówno co do wielkości powierzchni, jak i zaludnienia wcale nie będzie się wybijać na czoło innych. Stworzenie jednego wielkiego obszaru będzie miało i ten skutek, że słaba mniejszość ukraińska, jaka znajduje się w kilku powiatach wschodniej Lubelszczyzny, wobec ogromnej przewagi żywiołu polskiego, zapełniającego Polskę Środkową, nie będzie mogła akcentować dość dobitnie swego istnienia.

Doradzamy także przyłączenie do Polski Środkowej powiatu działdowskiego, który dzisiaj należy do województwa pomorskiego, choć jako dawna część Prus Wschodnich, z Pomorzem nie znajdował się nigdy w związku administracyjnym. Posiadająca protestancką, ale polską ludność Działdowszczyzna, związana z Pomorzem, podkreślającem przy każdej nadarzającej się sposobności swój katolicki charakter, nie czuje się przecież dobrze, a także dzięki szlakowi kolejowemu Warszawa—Grudziądz—Laskowice—Gdańsk ma znacznie korzystniejsze połączenie z stolicą państwa, niż z miastami pomorskiemi. Było to wielkim błędem, że od samego początku jego przynależności do Polski Działdowo związano z Toruniem.

Polska Południowo-Wschodnia z równą prawie co do liczby ludnością polską i rusińską byłaby tą dzielnicą, w której zręczna polityka miałaby najwięcej do zdziałania. A zatem zorjentowanie ludności rusińskiej w dwóch kierunkach wyznaniowych, ku greckiemu katolicyzmowi i ku prawosławiu, z równoczesnem osłonięciem prawosławia przed jakiemkolwiek szykanowaniem go, pilne przestrzeganie dwujęzyczności w urzędach, przeciwstawianie interesów spokojnych mieszkańców zabiegom tych wszystkich czynników, które usiłują zamącić spokój, intensywna praca ekonomiczno-organizacyjna, polepszenie komunikacji — oto mniejwięcej ten szlak postępowania, jaki prędzej lub później doprowadziłby z pewnością do zadowolenia szerokich mas ludności z rządów polskich, a o ile idzie o żywioł ukraiński, do pogodzenia go z polską państwowością. Rzecz prosta, że byłaby to droga długa i najeżona wielkiemi kłopotami, niemniej jednak jedyna. Cała w tem sztuka, aby nie zabierając niczego Polakom, wszystko dawać Rusinom, co znowu jak najściślej związane jest z więcej twórczem naszem postępowa-

niem na wschodzie państwa, bo to, co się tam obecnie dzieje, ani w zakresie poczynań natury ekonomicznej, ani politycznej, ani umysłowej nikogo zadowolnić nie może. I nie idzie już o to, aby wszystko odrazu robić i zrobić, ale o nakreślenie bodaj jakiegoś programu prac i danie gwarancji, że ten program będzie się urzeczywistniać. Dziś i programu nawet niema, politycznego, ekonomicznego, żadnego. Mizerne i nietwórcze bytowanie z dnia na dzień, to wszystko. Nie mamy też nic tam do powiedzenia, a jeżeli przemawiamy, to tylko od święta. Na Wschodzie polskim rządzimy przedewszystkiem zapomocą policji i niedoskonałych ustaw, a nie wchodzimy w głąb dusz i nie przekonywujemy. Ten nowożytny sposób postępowania zarzuciliśmy prawie zupełnie. Dla poparcia naszych słów podniesiemy fakt, że ludne województwo tarnopolskie, mające 1,428.000 mieszkańców, w znacznej przewadze umiejących czytać, nie posiada ani jednego wychodzącego na miejscu dziennika. Tak samo jest i w województwie stanisławowskiem. Co najwyżej ukazują się tam żałośnie przedstawiające się tygodniki i to w ilości bardzo małej, a przytem nieregularnie. W całem np. województwie tarnopolskiem jest ich trzy. To chyba nie działanie i nie oddziaływanie, stanowiące przecież treść wszystkich nowoczesnych rządów. To jakiś prymityw władania, który nas daleko nie zaprowadzi. Od rządu trudno wymagać, aby zakładał dziennik, można jednak przyjąć jako pewnik, że jeżeli rząd chce, to dziennik się zjawi.

Przytoczyliśmy tylko próbę niezdarności naszej maszyny rządzącej, bo przykładów podobnych można mnożyć wiele, zaczynając choćby tylko od niezorganizowania do niedawna we Lwowie nadawczej stacji radjofonicznej, niewyzyskania w Polsce Południowo-Wschodniej dla celów propagandy polskości wystawy poznańskiej i t. d. Są to rzeczy powszechnie znane, choć może niedość dobrze w swych następstwach oceniane. Z tym systemem rządzenia w kraju, mającym ludność już narodowo uświadomioną, trzeba zerwać i nakreślić inny, ogniskując całą pracę we Lwowie, które to miasto ze stanowiska zwykłego grodu wojewódzkiego powinno przejść na inne, ważniejsze, stolicy Kraju Południowo-Wschodniego. Dziś Lwów stopniowo upada i ubożeje, bo postradał te warunki rozwoju, jakie miał przed wojną, a nie nabył nowych. Ale upadek Lwowa to nie tylko sprawa tego miasta, ale całej Polski, bo Lwów ma znaczenie wielkiego ogniska, z którego promieniuje polskość na ogromną

przestrzeń kraju i którego nic w tych stronach zastąpić nie zdoła. Lwów stanowi o tem, czy w łuku gór Karpackich będziemy mieli nadal oparcie w razie zawieruchy wojennej, Lwów zapewnia nam posiadanie ważnych źródeł naftowych i tak cennych dla rolnictwa złoży soli potasowych, Lwów wreszcie to jedyne możliwe centrum naszego kiedyś wielkiego handlu z południowym wschodem Europy i bliższą Azją.

Polska Północno-Wschodnia jest najobszerniejszą z wszystkich dzielnic państwa, ale równocześnie i najmniej ludną oraz najuboższą. Wchodząc głębokim klinem między Rosję, względnie Białoruś sowiecką a Litwę, stanowi dla tych państw przedmiot specjalnej obrazy, toż samo i dla Niemców, którzy tego rodzaju ukształtowanie granic Polski uważają za zagrożenie ich i od wschodu w spokojnem posiadaniu Prus Wschodnich, nie mówiąc już o odcięciu wygodnego przez zwiększoną ewentualnie Litwę tranzytu do Rosji. Ale te właśnie względy nakazują Polsce utrzymanie przy sobie Kraju Północno-Wschodniego, do czego w niemałej mierze przyłącza się także wzgląd na Wilno, tak mocno związane tradycją historyczną z naszem państwem. Polska Północno-Wschodnia i tem się również odznacza, że żywioł polski wszędzie prawie znajduje się tu w takiej liczbie, iż kraj na ogromnych przestrzeniach posiada charakter więcej polski niż białoruski, nie mówiąc już o litewskim. Według obliczeń Dr. Alfonsa Krysińskiego,[1] który na korzyść Białorusinów poprawił nawet cyfry spisu z r. 1921, ludności białoruskiej, jest obecnie 1,430.000, czyli że liczba Białorusinów mimo wszystko jest mniejszą od liczby Polaków, mieszkających w Kraju Północno-Wschodnim. W tych warunkach, a także budując na możliwości przyszłej immigracji żywiołu polskiego z zachodu państwa, o przyszłość Polski Północno-Polskiej można być spokojnym, spokojniejszym nawet, niż o przyszłość Kraju Południowo-Wschodniego, tem bardziej, że żywioł białoruski nie wykazuje zgoła takiej zaborczości i odporności, jak siedzący na bogatej ziemi ukraiński, a także nie posiada jego zdolności organizacyjnych, nie mówiąc już o tem, że i kulturalnie pozostaje za nim w tyle. I to podnieść należy, na co zresztą zwraca się zazwyczaj mało uwagi, że przeważnie jasnowłosi i błękitnooczy Białorusini rasowo są nam nieporównanie bliżsi, niż Ukraińcy, wśród których bardzo poważny odsetek należy do

[1] *Sprawy Narodowościowe,* Warszawa, październik 1929.

ciemnowłosego i ciemnookiego typu dynaryjskiego czyli nadadrjatyckiego, a zatem południowego, posiadającego od nas odrębną psychologję i tęskniącego do całkiem innych ideałów. Jeżeli jednak mimo wszystko kwestja białoruska u nas zaognia się, to dzieje się to z jednej strony dzięki agitacji zewnętrznej, ułatwianej przez słaby dozór administracji, będący znowu następstwem ogromnych przestrzeni powiatów, a z drugiej zaś strony z powodu naszego niezręcznego postępowania. Zamiast np. zaopatrzyć garść inteligentów i półinteligentów białoruskich w posady i związać z Polską, skazujemy ich na emigrację za chlebem, zamiast przed młodszem pokoleniem Białorusinów otworzyć na oścież bramy uniwersytetu wileńskiego, dopuszczamy do tego, że szuka ono wyższego wykształcenia zagranicą. To nie są zaiste zręczne pociągnięcia na szachownicy wzajemnego współżycia.

Na nasz stosunek do Litwy Kowieńskiej sprawa zorganizowania północnego wschodu Polski w jedną wielką całość nie wywrze bezpośrednio najpewniej żadnego wpływu, stanie się to jednak pośrednio dzięki podniesieniu się kultury kraju i rozwojowi Wilna jako wielkiego centrum polskości na północy państwa. Gdy Wilno posiadać będzie dwa lub trzykroć liczniejszą ludność polską, niż obecnie, a to nastąpić musi, skoro przeistoczy się w stolicę dużego kraju, prawie że dwakroć tak wielkiego jak Litwa Kowieńska i prawie że dwakroć tak ludnego, trudno będzie fantastom litewskim uzurpować sobie wtedy jakieś prawa do tego miasta. Może być tylko przeciwnie. A mianowicie, gdy Litwini nie zgnębią tymczasem do reszty swojej ludności polskiej, zwiększone centrum wileńskie oddziaływać będzie krzepiąco i organizująco na polskość w granicach Litwy.

W projektowanym podziale państwa jako odrębne całości administracyjne uwzględniliśmy dwa największe polskie miasta, stołeczną Warszawę i Łódź. Gdy idzie o wyodrębnienie administracyjne Warszawy, nie uważamy za celowe jakiekolwiek rozpisywanie się na rzeczony temat, bo odrębność stolicy istnieje już dzisiaj. Inaczej jest z Łodzią. Miastu temu, niewydzielonemu z terytorjum województwa łódzkiego, z ludnością sięgającą obecnie 600.000 głów, nie poświęca się tej uwagi, jaka jest niezbędna, aby siedzibę największego polskiego przemysłu dźwignąć z ogromnego zaniedbania, datującego się jeszcze z czasów okupacji rosyjskiej. Niewątpliwie droga do tego prowadzi przedewszystkiem przez wyodrębnienie

administracyjne, tem konieczniejsze, gdyby miasto przestało być siedzibą urzędu wojewódzkiego.

*

Jedną z przyczyn, dla których wysunęliśmy pogląd o pożyteczności podziału państwa na 5 krajów i 2 wyodrębnione miasta, jest wzgląd na t. zw. administrację niezespoloną. Tylko przy istnieniu wielkich okręgów, służących celom administracji ogólnej może nastąpić takie terytorjalne przekształcenie okręgów administracji niezespolonej, że one nie będą wyrazem z jednej strony bezmyślnej nieraz parcelacji powierzchni państwa, a z drugiej naszej przeszłości rozbiorowej. Dla problemu administracji państwa wogóle miałoby to bardzo doniosłe znaczenie. Natomiast zatrzymując obecny podział na liczne województwa, a jeszcze bardziej mnożąc ich liczbę, jak chcą niektórzy, dążenie do jakiegokolwiek terytorjalnego a przytem celowego uzgodnienia różnych dziedzin administracji czynimy wręcz beznadziejnem, choć wszyscy czujemy, że stan dzisiejszy sprawy jest zaledwie jakiemś prowizorjum. W okresie formowania się państwa, kiedy przeżywaliśmy czasy, w których każde ministerstwo uważało się za zupełną i autonomiczną całość, której nawet minister skarbu, choćby tylko w przedmiocie wydatków, nie miał wiele do powiedzenia, poprostu pocięliśmy najdowolniej w świecie całe terytorjum państwa na sieć różnych zasięgów administracyjnych, przebiegających nieraz wręcz w sposób budzący zastanowienie. A jest tych podziałów aż 15, względnie 20.

Tylko okręgi skarbowe, szkolne, górnicze, probiercze, ubezpieczeń, inspekcji pracy i ziemskie trzymają się granic województw, choć często wykazują podziwienia godne niekonsekwencje w przedmiocie łączenia różnych terytorjów. Nikt np. nie potrafi chyba wyjaśnić pod kątem celowości, dlaczego istnieje osobny okręg skarbowy wołyński dla 1,438.000 mieszkańców i dlaczego trzy województwa południowe (lwowskie, tarnopolskie i stanisławowskie) mające razem 5,486.000, posiadają do dnia dzisiejszego zaledwie jedną Izbę we Lwowie. Podobnie zastanawia, że okręg szkolny warszawski obejmuje 4,357.000 mieszkańców i rozciąga się na 2 województwa (warszawskie i białostockie) oraz na miasto Warszawę, krakowski z 4,529.000 mieszkańców na

województwa krakowskie i kieleckie, lwowski z 5,486.000 mieszkańców na województwa lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie, a na wschodzie istnieją takie okręgi jak poleski dla 881.000 mieszkańców lub wołyński dla 1,438.000. Takie same niejasności spotykamy również przy okręgach ubezpieczeń i inspekcji pracy.

Uzgodnienie terytorjalne wymienionych podziałów, służących celom administracji niezespolonej, z podziałem państwa dla celów administracji ogólnej, jest przecież stosunkowo łatwe. Gorzej nieporównanie przedstawia się sprawa z granicami okręgów wojskowych, sądowych, lasów państwowych, dróg wodnych, szlaków kolejowych, pocztowych i legalizacji narzędzi mierniczych.

Co się tyczy o k r ę g ó w w o j s k o w y c h, to ostatecznie z proponowanym przez nas podziałem na 5 krajów i 2 wyodrębnione miasta mogłyby się one jeszcze pogodzić, bodaj częściowo Okręgi wojskowe VII i VIII mieszczą się prawie dokładnie w granicach ewentualnej Polski Północno-Zachodniej, okręg III i IX (po odcięciu północnej części dzisiejszego województwa lubelskiego) w granicach Polski Północno-Wschodniej, okręg VI i II (po odrzuceniu południowej części województwa lubelskiego i po poprawkach na terytorjum województwa lwowskiego) w granicach Kraju Południowo-Wschodniego. Okręg V wchodzi w całości w granice Polski Południowo-Zachodniej, Okręg I w Polskę Środkową. Dużej zmiany granic wymagałyby tylko okręgi IV łódzki i X przemyski. Czy tu jednak możliwa jaka modyfikacja dzisiejszego stanu, trudno orzec, jak i to, czy wojsku zależeć będzie na ścisłem uzgodnieniu zasięgu jego okręgów z podziałem terytorjalnym służącym administracji ogólnej. To pewna, że przy większych terytorjach stanowiących ramy administracji ogólnej byłoby niewątpliwie mniej rozbieżności między władzami cywilnemi a wojskowemi.

O k r ę g i s ą d o w e (sądów apelacyjnych) odzwierciedlają swemi zasięgami dotąd dokładnie granice z czasów rozbiorów Polski, przyczem trzy apelacje mieszczą się w byłym zaborze rosyjskim (Warszawa, Lublin i Wilno), dwie w austrjackim (Lwów i Kraków), trzy w pruskim (Poznań, Toruń i Katowice). Taki podział jest rzeczą zrozumiałą ze względu na różnice kodeksów i urządzeń sądowych w różnych zaborach, niemniej jednak konserwowanie spadku po okupantach nie wzmacnia wcale jednolitości państwowej, i czy to zapomocą tworzenia specjalnych senatów czy to w inny sposób możnaby przystąpić do uzgodnienia granic terytorjalnych admini-

stracji ogólnej i okręgów apelacyjnych. Zwracamy uwagę, że granice okręgu apelacyjnego w Wilnie najdokładniej prawie zgadzają się z zasięgiem terytorjum Polski Północno-Wschodniej, a następnie że apelacja we Lwowie, po wcieleniu do jej okręgu Wołynia oraz powiatów kamieńkoszyrskiego i sarneńskiego, terytorjalnie pokrywałaby się z Polską Południowo-Wschodnią. W tym razie apelacje warszawska i lubelska służyłyby Polsce Środkowej oraz miastom Warszawie i Łodzi, apelacje katowicka, krakowska i nowo utworzona np. w Częstochowie terytorjalnie pokrywałyby się z Polską Południowo-Zachodnią, zaś poznańska i toruńska z Polską Północno-Zachodnią.

Dzisiejszy podział państwa na okręgi lasów państwowych zdaje się należy do najmniej celowych. Ogromna przestrzeń obejmująca cztery województwa małopolskie, z tego trzy wcale obficie zalesione, ma jedną dyrekcję lasów państwowych we Lwowie, zaś dwa zgoła niebogate w lasy województwa, poznańskie i pomorskie, razem niemal o połowę terytorjalnie mniejsze od Małopolski, mają aż trzy dyrekcje, w Poznaniu, Bydgoszczy i Toruniu. Warszawski okręg lasów państwowych poprzez Śląsk sięga aż po źródliska Wisły i granicę czechosłowacką,[1] okręg siedlecki rozciąga się od Suwałek aż do środka Lubelszczyzny, której druga część należy do dyrekcji w Radomiu. Pozatem istnieją jeszcze trzy dyrekcje lasów państwowych: łucka, białowieska i wileńska.

Otóż pominąwszy wielką prawdopodobnie niecelowość podziału, przypuścić należy, że dyrekcyj istnieje za wiele. Gospodarka leśna niceby nie ucierpiała, gdyby wychodząc z przykładu Małopolski, gdzie jedna dyrekcja służy ogromnemu i leśnemu krajowi, zmniejszono liczbę okręgów leśnych o połowę. Wtedy bez trudu mogłoby nastąpić uzgodnienie podziału dla celów administracji ogólnej z podziałem państwowej administracji lasowej.

Zostawiając na uboczu kwestję granic okręgów dróg wodnych, bo te nie mogą uzgadniać się z granicami administracyjnemi, ale muszą liczyć się z dorzeczami, a także kwestję granic okręgów legalizacji narzędzi mierniczych, gdyż dzisiejszy podział zdaje się jest dość celowy, chcemy zwrócić uwagę

---

[1] Z tej przestrzeni wyodrębnia się osobny inspektorat w Rybniku na Śląsku, administrujący jednak zaledwie 9.673 ha.

na granice okręgów kolejowych i pocztowych. Tu prawdopodobnie niejedno możnaby zrobić, aby jeżeli nie uzgodnić to bodaj upodobnić podział terytorjalny państwa pod względem administracji niezespolonej do tego, jakiego wymaga administracja ogólna.

Przedewszystkiem przypatrując się podziałowi państwa na okręgi kolejowe, trudno zrozumieć kształt granic okręgu radomskiego, który sięga od Strzemieszyc pod Szczakową po Łuniniec, Sarny i Ostki na granicy Rosji. Poprostu taśma przecinająca całe państwo od zachodu na wschód, niezmiernie luźno z sobą związana, która jest istnym dziwolągiem administracyjnym. Nie pojmujemy też, na co istnieje dyrekcja kolejowa w Stanisławowie, która administruje wszystkiego 1.111 km szlaków i w której czynnych jest dziennie przeciętnie 142 lokomotyw i 4.321 wagonów, gdy np: te same dane w odniesieniu do dyrekcji warszawskiej okazują 2.186 km szlaków, 652 lokomotyw i 27.754 wagonów. Zdaje się, że po zlikwidowaniu dyrekcji stanisławowskiej i po przyłączeniu jej obszaru do okręgu kolejowego lwowskiego, toż samo tam i Wołynia, otrzymalibyśmy pod administracją dyrekcji kolejowej we Lwowie całość odpowiadającą mniejwięcej obszarowi Polski Południowo-Wschodniej, Tak samo w granicach Polski Północno-Zachodniej dość dokładnie mieszczą się okręgi kolejowe gdański i poznański. Polska Środkowa objęłaby swemi granicami kolejowy okręg warszawski i część radomskiego a Południowo-Zachodnia resztę radomskiego, skrawki poznańskiego i warszawskiego oraz całe okręgi kolejowe krakowski i katowicki. Przypuszczamy, że są jakieś względy eksploatacyjne lub techniczne (rozkład parowozowni), które nie pozwalają na podział więcej pod względem terytorjalnym uzgadniający się z podziałem służącym administracji ogólnej.

Podział Rzeczypospolitej na okręgi pocztowo-telegraficzne w jednej tylko stronie przełamał dawne kordony graniczne z czasów rozbiorów. Stało się to mianowicie w Polsce Południowo-Zachodniej, gdzie części województwa kieleckiego i łódzkiego przyłączono do okręgu dyrekcji krakowskiej. Takie przełamanie starych granic w resorcie pocztowo-telegraficznym byłoby jednak prawdopodobnie wszędzie możliwe i w ten sposób niewątpliwie nic nie stoi na przeszkodzie uzgodnieniu granic okręgów pocztowo-telegraficznych z podziałem terytorjalnym, przyjętym dla administracji ogólnej. Pierwszym krokiem w tym kierunku powinno być podzie-

lenie lubelskiego okręgu pocztowo-telegraficznego, który dziś sięga od granic województwa łódzkiego aż po Ostróg na granicy rosyjskiej. Tego rodzaju pasy nie mogą być podstawą terytorjalną dla sprężystej i celowej administracji. Doradzalibyśmy, aby Wołyń przypadł okręgowi lwowskiemu, południe województwa lubelskiego okręgowi warszawskiemu, a północna część województwa kieleckiego okręgowi krakowskiemu. Do okręgów bydgoskiego i poznańskiego po granice ewentualnej Polski Północno-Zachodniej mogłyby być przyłączone sąsiednie powiaty b. Królestwa. Granice pocztowo-telegraficznego okręgu wileńskiego już obecnie prawie zupełnie schodzą się z terytorjum Polski Północno-Wschodniej.

II

ZAGADNIENIE USTROJOWE POLSKIEGO WSCHODU

Zagadnienie ustrojowe kresów wschodnich jak najściślej łączy się z podziałem państwa. Wyjaśnienie tego związku wymaga atoli szeregu dygresyj natury krytyczno-politycznej, które chwilowo odprowadzą nas od tematu. Oto wchodząc odrazu *in medias res*, stwierdzamy przedewszystkiem, że dotychczasowe nasze postępowanie z Ukraińcami i Białorusinami — a chodzi głównie o te dwie autochtoniczne narodowości — nie doprowadziło zgoła do pozyskania ich dla polskiej państwowości, ale wprost przeciwnie z każdym rokiem ujawnia się coraz większa niechęć tych grup etnicznych dla Polski i polskości. Nie będziemy szeroko omawiali, dlaczego się to dzieje, bo sprawa mniej więcej jest jasna. Podkreślimy tylko, że głównym powodem naszego niepowodzenia, które kiedyś, szczególnie w momencie konflagracji wojennej, może wydać tragiczne wprost skutki, jest to, że ludziom obcym i podburzonym każemy kochać Polskę, mówiąc oględnie, niezbyt dbającą o ich kraj i o stworzenie w nim sposobności do pracy. Inteligenci ukraińscy i białoruscy prócz tego mają do nas żal za udaremnianie realizacji ich ideałów narodowych, sięgających już w odleglejszą przyszłość. W granicach dzisiejszej państwowości polskiej nie widzą żadnej możności spełnienia się ich kiedyś, a nie trzeba zapominać, że zarówno tutaj jak i wszędzie w Europie owe ideały posiadają siłę emocjonalną, nie mniejszą od tej, jaką niegdyś mieściły w sobie hasła religijne,

Idziemy zatem po niepraktycznej drodze i bezcelowej, po tej samej, po jakiej kroczyły wszystkie tak dobrze nam znane nacjonalizmy wojujące, które albo zbankrutowały albo też, jak w Anglji, z tego szlaku zawróciły, mając odwagę przyznać się przed sobą samym do popełnianego błędu. I Polsce życzyćby należało najgoręcej zawrócenia, póki jest jeszcze nadzieja, że to na coś się przyda dla wewnętrznej konsolidacji państwa. Ale są i inne także powody. Oto tylko zły polityk polski nie pragnąłby np. faktycznego rozpadnięcia się Rosji na jej składowe, Rosję właściwą, Ukrainę, Białoruś, Kaukaz i t. d., bo Polsce zawsze więcej będzie dogadzać rozbicie najbliższego Wschodu, niż jego unifikacja pod dyktatem Moskwy czy Piotrogrodu. A jeżeli tak jest, jakże pogodzić drażnienie naszych Ukraińców i Białorusinów, nie dające w dodatku państwu żadnych pozytywnych wyników, z temi wszelkiemi możliwościami, które Polskę ewentualnie czekają w bliższej lub dalszej przyszłości. Nie myślmy też, że „pójście na rękę" w granicach Polski ideałom ukraińskim lub białoruskim oznacza tem samem także *in spe* rezygnację terytorjalną. Może być wprost przeciwnie, bo w Polsce najprawdopodobniej wytworzyłby się inny od zakordonowego typ Ukraińca i Białorusina, który z tamtym miałby bardzo niewiele wspólnoty ideowej. Współżycie państwowe z Polską zrobiłoby swoje. Jeżeli nasze przymusowe, przedwojenne związki państwowe z Rosją, Prusami lub Austrją wytwarzały stałe niebezpieczeństwo nierozumienia się między sobą dzielnic zamieszkałych przez nieporównanie więcej już pod każdym względem okrzepły naród polski, to o ileż groźniejszem to zjawisko bytu w rozdziałach może być dla siedzących jeszcze w pierwocinach kultury Ukraińców i Białorusinów. Gdzieś ciążyć oni muszą, i lepiej będzie, aby ciążyli do Polski, niż do któregokolwiek innego z naszych sąsiadów. Ten nastrój umysłów, gdy on ma być trwałym współczynnikiem w naszej polityce zewnętrznej, trzeba jednak umieć sobie zdobyć.

Zważywszy to wszystko, przypuszczamy tedy, że najracjonalniejszą drogą, jaką Polska powinna obrać w polityce wewnętrznej w odniesieniu do swych wschodnich grup etnicznych, byłoby przejście do szerokiej autonomji narodowościowej. Musiałaby być ona tak pomyślaną, aby w społeczeństwie ukraińskiem i białoruskiem wykluczała przedewszystkiem dwie obawy: 1) polonizacji, zwłaszcza przez szkołę, 2) krępowania narodu w samodzielnym rozwoju gospodarczym i kulturalnym. Należy przypuszczać, że po-

stawiwszy tak sprawę, przytem jasno i uczciwie, stępimy znacznie ostrze całej roboty antypolskiej, bo zabraknie najważniejszych momentów agitacji i niezadowolenia. Autonomja narodowościowa uspokoi i tych, którzy o swój naród bali się naprawdę, i tych, którzy bać się chcieli, aby z Polską walczyć czyto z własnej inicjatywy czyto z zachęty Niemców, ustawicznie czuwających nad tem, abyśmy z naszemi mniejszościami nie przyszli do ładu.

Jakież jednak byłyby wytyczne tego projektu autonomicznego ustroju polskiego Wschodu?

Oto za podstawowe urządzenie uważalibyśmy kataster narodowościowy, który jeden dawałby racjonalne warunki wytworzenia autonomji narodowościowej gmin i powiatów. Wprowadzenie jego byłoby równocześnie wyraźnem podkreśleniem tkwiących w problemie narodowościowym wewnętrznych różnic między autochtoniczną ludnością rusińską i białoruską a napływową niemiecką, która na zachodzie państwa przenika tereny jej obce, bo najrdzenniej polskie.

Dalsze szczegóły projektu w najgrubszym zarysie (od którego, rzecz prosta, są możliwe szerokie odchylenia) byłyby następujące:

Każda gmina wiejska, narodowościowo mieszana, niezbiorowa lub zbiorowa, rozpadać się może na oddzielne gminy narodowościowe, a zatem rusińską (białoruską) i polska. W tym razie istniałyby osobne narodowościowe rady gminne i osobne zwierzchności gminne, których urzędowej kompetencji w gminach niepolskich podlegaliby wszyscy tamtejsi członkowie, w gminach zaś polskich osoby narodowości polskiej. Prawo do organizowania osobnych gmin narodowościowych w stronach, gdzie jako jednostki administracyjne znajdują się dziś gminy niezbiorowe, miałyby te miejscowości, które liczyłyby np. więcej niż 100 osób w wieku ponad lat 20. Mniej liczne mniejszości (poniżej 100 osób) mogłyby w pewnych warunkach i za pozwoleniem władz łączyć się z sąsiedniemi w oddzielne gminy narodowościowe, toż samo przystawać do sąsiednich gmin liczniejszych. Decydowałaby w tym względzie ludność przez wypowiedzenie swej woli drogą plebiscytu, w którym braliby udział członkowie mniejszości narodowościowej gminy bez różnicy płci w wieku ponad 20 lat. Narodowościowe gminy zbiorowe tam, gdzie dziś każda wieś stanowi gminę, nie mogłyby być bardzo obszerne i obejmować ludzi z większej ilości miejscowości, jak np. z 5, przyczem uwzględnioną by być musiała zasada

łączności terytorjalnej owej jednostki administracyjnej, przyjmującej nazwę od miejscowości, w której byłaby siedziba jej zarządu. W skład zbiorowej gminy narodowościowej nie mogłyby też wchodzić mniejszości z dwóch lub więcej powiatów administracyjnych, w stronach zaś, gdzie są gminy zbiorowe, obejmujące wiele wsi, z dwóch różnych takich gmin. Gdyby pewna mniejszość w ściśle określonym terminie nie objawiła chęci stworzenia gminy narodowościowej, przyłączenia się do sąsiedniej takiejże gminy lub stworzenia jej z kilku drobnych mniejszości, w takim razie uważałoby się, że chce wchodzić w skład gminy, do której dotąd wchodziła, choć o odmiennej większości narodowej. W pewnych odstępach czasu, np. co lat 15, byłyby dopuszczalne zmiany terytorjalne granic gmin narodowościowych.

Gminy narodowościowe miałyby za zadanie opiekę nad szkołą, wykonywanie dobroczynności w stosunku do swych członków, a także opiekę kulturalną we wszystkich jej formach. W miejscowościach, w których granice gmin narodowościowych odpowiadałyby ogólnym administracyjnym, gminne rady narodowościowe tworzyłyby ogólną radę gminną, której przysługiwałoby prawo wyboru ogólnej zwierzchności gminnej i wójta (sołtysa). Wybór ten musiałby być jednak dokonany dużą większością, np. $^3/_4$ głosów członków ogólnej rady gminnej. W razie przeciwnym, a także w miejscowościach, leżących na terenie zbiorowej gminy narodowościowej, wójt (sołtys) byłby z nominacji starostwa. Z członków rad narodowościowych dobierałby on sobie tylko radę przyboczną, zatwierdzaną przez starostwo.

Gminy narodowościowe łączyłyby się w powiaty narodowościowe, których granice zgadzałby się jednak musiały z granicami powiatów administracyjnych. W każdym powiecie z mieszaną ludnością (o ile mniejszość tworzy np. 25% ogółu mieszkańców w wieku ponad lat 20) jako instytucje samorządowe istniałyby powiatowe rady narodowościowe i rada powiatowa ogólna. Powstawałaby ona ze zjednoczenia się powiatowych rad narodowościowych, z których każda oddzielnie, choć współcześnie, a co do liczebnego składu zasiadających w niej osób w proporcji do cyfry zaludnienia, byłaby wybieraną np. na przeciąg lat 5 drogą równego, tajnego i bezpośredniego głosowania z pośród ogółu mieszkańców danej narodowości. Żydom i innym mieszkańcom, niezorganizowanym w gminy narodowościowe, należałoby się podczas

głosowania przyłączyć do jednej lub do drugiej narodowości, co, rzecz jasna, nie wykluczałoby stawiania własnych kandydatur i list. Ogólne rady powiatowe byłyby organami ogólnej administracji samorządowej.

Narodowościowe rady powiatowe, ukonstytuowawszy się odpowiednio, brałyby w granicach powiatu czynny udział w administracji, ale tylko w odniesieniu do narodowości przez nie reprezentowanych, przyczem administracja ta tyczyłaby się szkolnictwa powszechnego i tego wszystkiego, co ma związek z podniesieniem kultury rolnej, hodowlanej i wogóle krajowej. Na potrzeby gmin narodowościowych istniałyby osobne gminne podatki, na potrzeby powiatów narodowościowych, — powiatowe. Pieniądze podatkowe złożone z tego tytułu przez jedną narodowość pod żadnym warunkiem nie mogłyby być użyte na potrzeby drugiej. Kasy skarbowe prowadziłyby specjalną ewidencję wpływów, do czego wskazówkę dawałby kataster narodowościowy.

We Lwowie i Wilnie, w których to miastach, stosownie do projektowanego przez nas podziału polskiego Wschodu na dwie tylko prowincje, skupiałaby się tamtejsza administracja, schodziłyby się sejmy krajowe. Składałyby się one z posłów wybranych np. na lat 5, drogą równego, tajnego i bezpośredniego głosowania w pojedyńczych powiatach, stanowiących okręgi wyborcze, przyczem we wszystkich tych powiatach, gdzie istniałyby dwie oddzielne państwowe rady narodowościowe, posłowaliby także posłowie od mniejszości i większości. Sejmy krajowe przyjmowałyby czynny i wydatny udział w życiu politycznem swojej prowincji i oba wschodnio-polskie, t. j. lwowski i wileński, pod tym względem zasadniczo nie różniłyby się od innych, obradujących w Krakowie (dla Polski Południowo-Zachodniej), w Poznaniu (dla Polski Północno-Zachodniej i w Warszawie (dla Polski Środkowej). Wschodnio-polskie sejmy stałyby się jednak automatycznie główną platformą do wyrównywania różnych sporów narodowościowych, co dla państwa jako całości mogłoby być wielką korzyścią.

Emanacją sejmów krajowych byłyby wydziały krajowe, stanowiące nadbudowę dla samorządów powiatowych. Wydziały te, posiadające odpowiednie fundusze, płynące ze specjalnych podatków i dochodów krajowych, a w niektórych razach zasilane przez rząd, wzięłyby na siebie całą pracę nad budową dróg i meljorację

rolną, szpitalnictwo i opiekę kulturalną, toż samo niższe i średnie szkolnictwo zawodowe oraz wiele innych funkcyj, które dostosowaćby mogły lepiej, niż rząd centralny, do warunków krajowych, diametralnie przecież różnych, np. w Wileńszczyźnie i w Polsce zachodniej. Wydziałom krajowym we Lwowie i Wilnie możnaby także powierzyć administrację szkolnictwa średniego i seminarjów nauczycielskich pod warunkiem atoli zbierania na ten cel osobnych funduszów, któreby płynęły z osobnego opodatkowania się grup narodowościowych po powiatach. Dla uchwalenia względnie zatwierdzenia takich podatków kompetentny byłby nie cały sejm, lecz tylko jego grupy narodowościowe. Rozumie się, że wszystkie uchwały tak sejmu krajowego jak i jego grup narodowościowych wymagałyby aprobaty rządu. W liberalnem traktowaniu niepolskich, autochtonicznych elementów narodowościowych poszlibyśmy tak daleko, że nie wzbranialibyśmy im nawet powoływania do życia wyższych zakładów naukowych, o ile znalazłyby się na ten cel własne fundusze grup narodowościowych, zebrane w drodze opodatkowania się ich. Profesorowie, uczący w tego rodzaju uczelniach, musieliby mieć jednak zatwierdzenie rządu polskiego, jak wogóle wszyscy, którzy sprawowaliby jakiekolwiek funkcje publiczne, choćby z ramienia grup narodowościowych i opłacani z ich funduszów.

Zastanowićby się tylko należało, czy kierownictwo tych samorządów krajowych zostawić w ręku wojewodów,[1] a po powiatach starostów, czy też tu i tam stworzyć nowe stanowiska z wyboru. Bylibyśmy za tą drugą koncepcją już choćby dlatego tylko, aby mniejszościom dać możność pełnego i odpowiedzialnego udziału w załatwianiu spraw publicznych i w budowie wspólnego dobrobytu państwa. Mniejszości w środek życia publicznego w ramach państwowości polskiej wejść muszą, bo inaczej nie do pomyślenia jest rozwój Polski tak mniejszościami przepełnionej, i wszystko zrobić należy, aby do tego doprowadzić. Najmniej potrzebne są one przecież w Sejmie Rzeczypospolitej. Tu działać one będą zawsze rozkładczo i grunt Sejmu polskiego w braku innego uważać za główne miejsce do podkreślania stawianych przez siebie postulatów. I choć reprezentantów mniejszości z tego terenu usunąć jest rzeczą niemożliwą, jednak wszystko uczynić należy, aby parlamentaryzm

[1] Względnie namiestników, bo tak proponowalibyśmy nazwać najwyższych urzędników administrujących dużemi terytorjami polskiego Wschodu.

polski z enuncjacjami posłów mniejszościowych miał jak najmniej do czynienia. Najprostszym sposobem na to byłoby właśnie umiejscowienie polityków mniejszościowych w sejmach krajowych.

Opowiedziawszy się przy stanowisku autonomicznem krajów i uznając wagę sejmów prowincjonalnych, musimy pójść o krok dalej i wskazać, że w odniesieniu do państwa jedynem zdaje się konsekwentnem działaniem polityczno-reformatorskiem byłoby w tym razie dążenie do uczynienia z Sejmu Rzeczypospolitej tylko nadbudowy parlamentarnej, a mianowicie coś w rodzaju delegacyj w dawnych Austro-Węgrzech, która tem różniłaby się od tamtej instytucji, że nie łączyłaby delegatów dwóch całości państwowych (t. j. Austrji i Węgier), ale 5 krajów i 2 miast wyodrębnionych, sprawując nad rządem funkcje kontrolne, uchwalając budżet i załatwiając sprawy natury ogólnej lub międzynarodowej. Żywioł polski wszędzie, bo nawet w silnie ludnością rusińską przepełnionej Polsce Południowo-Wschodniej, jest dość mocny, aby przy odpowiedniej zwłaszcza ordynacji wyborczej do sejmu krajowego mieć zapewniony należyty wpływ także na skład delegacji. Zresztą mandaty delegatów pochodzące z wyboru sejmów krajowych mogłyby być ograniczone co do czasu ich trwania do okresu jednego lub dwóch lat, gdy mandaty do sejmów krajowych wygasałyby dopiero po 5 latach. To urządzenie spolszczyłoby potężnie Sejm Rzeczypospolitej, nie zamykając formalnie doń drogi mniejszościom i zmusiłoby go do rzeczowej i twórczej pracy.

A teraz jeszcze uwaga końcowa.

Oto zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że urządzenie gmin i powiatów narodowościowych i, co za tem idzie, także wytworzenie odpowiedniej nadbudowy krajowego samorządu we Lwowie i Wilnie, będzie rzeczą trudną. Już sama sprawa szkół da powód do wielu kłopotów. Niemniej jednak uważamy przeprowadzenie proponowanych przez nas reform za konieczne, jeżeli ma nastąpić stopniowe uspokojenie się kresów wschodnich, co jest stanowczo ważniejsze niż konserwowanie naszej tradycyjnej fikcji na temat nienagannej jednolitości etnicznej i gospodarczej całego terytorjum polskiego od Zbąszyna po Zaleszczyki i od Dzisny po Woronienkę. O względach formalnych lub biurokratycznej natury nawet nie mówimy, i na ich przezwyciężenie siły znaleźć się muszą. Biurokraci wszystkich krajów, a zatem i Polski, zmian głębokich nie lubią i ich o zdanie pytać należy na końcu, wiedząc z góry, za czem się

oświadczą. Natomiast jeżeli mniejszości nie zajmiemy ich własnemi sprawami, zorganizowawszy do tego właściwe forum, aktywność ich wyładuje się tylko w jeden możliwy sposób, t. j. w walce z Polską, co jest ewentualnością zupełnie fatalną, zważywszy, że to walka nie orężna lecz podstępny, przewlekły i wszechstronny sabotaż polskości i polskiej idei państwowej. Ażeby w tym razie z skutkiem bronić się i czynić podboje, musielibyśmy być przedewszystkiem inaczej finansowo uzbrojeni, bo tylko ogromna przewaga w dziedzinie środków materjalnych, pozwalająca na swobodne stwarzanie na kresach wschodnich coraz to nowych i coraz to potężniejszych warsztatów polskiej pracy i zagęszczanie tam naszej ludności, doprowadziłoby do sukcesu i to dopiero po bardzo wielu latach. Mocarni Niemcy w momencie wybuchu wojny światowej mieli w Poznańskiem, jak sami zeznają, jeszcze na 50 do 80 lat eksterminacyjnej roboty antypolskiej, zanimby tamtejszy problem narodowościowy mogli byli uważać dla nich za załatwiony w sensie pozytywnym.

Dziś ludność niepolska na kresach wschodnich za wszystkie rzeczywiste i urojone braki administracji polskiej wini rząd Rzeczypospolitej, co po uzyskaniu autonomji narodowościowej, pozwalającej na rozwinięcie własnej pracy, ale w części bodaj za własne pieniądze, będzie sprawą nieporównanie trudniejszą. I właśnie ta okoliczność, że to będą własne pieniądze danej narodowości, wyda olbrzymie wprost skutki. Ludność niepolska, gdy obok posiadanej już autonomji religijnej zdobędzie także narodowościową, przekona się wkrótce, iż swojemi funduszami ogromnie mało wskórać potrafi, a przynaglana przez swych przewódców do ponoszenia większych ofiar, zacznie apelować o pomoc do rządu, a w pewnych wypadkach przenosić się nawet na polskie listy narodowościowe. Problem ukraiński i białoruski w oczach ludności a wbrew agitatorom zacznie tracić na swej ostrości, tem bardziej, że i agitatorowie tak bezwzględnie i tak ze stawianiem wszystkiego na kartę nie będą mogli występować, znalazłszy odpowiednie dla siebie zajęcia, co znowu związane jest wcale ściśle z stworzeniem samorządu narodowościowego. Wszak walka z polskością, zwłaszcza wśród przewódców Ukraińców to często tylko walka o posady, walka o chleb. Godne podziwu wśród tego wszystkiego jest jednak nasze stanowisko, którzy tak postępujemy, jakbyśmy owe napięcie nieprzychylności dla nas chcieli rok rocznie potęgować i zwiększać.

Przynajmniej w praktyce wychodzi na to utrzymywanie z polskich funduszów państwowych gimnazjów ukraińskich, wprowadzających w świat coraz to nowe zastępy młodzieży, dla której niema możności pracy dla swojego własnego społeczeństwa. Logika nakazywałaby albo zatem te gimnazja zamknąć, choćby nawet narażając się na awanturę w Lidze Narodów, albo też przeistaczając gruntownie nasz stosunek do autochtonicznych mniejszości polskiego Wschodu, otworzyć młodzieży ukraińskiej przyszłość taką, do jakiej ją wychowano. Rządzić przeciwko sobie nie można, i szkoda wielka, że tę niecelową działalność rozwijamy już od lat dziesięciu, dochowując się coraz to większych zastępów bezwzględnych wrogów.

ROMAN DYBOSKI

LORD BALFOUR

(1848—1930)

I

„Gdybym mógł w imieniu jakiegoś ukochanego dziecka wyrazić życzenie, jakie mu dary na całe życie ma włożyć do kolebki dobroczynna wróżka, mojem pierwszem życzeniem byłoby, żeby nigdy i w żadnych okolicznościach dziecko nie znalazło się wobec pokusy zostania p o l i t y k i e m. Prosiłbym natomiast wróżkę, by obdarzyła dziecko wszechobejmującą i nienasyconą ciekawością p o z n a n i a wszystkiego, co poznanem być może; by mu danem było patrzeć na naukę i na zdobywanie wiedzy jako na największą radość żywota. Bo, wierzcie mi, jest to jedna z rozkoszy, które trwają dłużej od wszelkich innych".

Te słowa wypowiedział w przemówieniu publicznem wielki polityk, przez urodzenie i tradycję rodzinną przeznaczony do karjery męża stanu, przez pięćdziesiąt z górą lat bezustannie zasiadający w parlamencie, i w dziejach swego kraju pamiętnie zapisany w związku z wszystkiemi doniosłemi wypadkami historycznemi tego półwiecza.

Stawiając mimo takich kolei życia z całem przekonaniem naukę wyżej od polityki, lord Balfour zarazem wydał najwymowniejsze świadectwo temu typowi umysłowości, którego w angielskiem życiu publicznem ostatnich dziesięcioleci był najświetniejszym indywidualnym przedstawicielem. Gdy w 81 roku życia usunął się z areny politycznej, by w rok później zakończyć swe długie i sławą okryte życie, schodził z nim z widowni ostatni w szeregu tych znakomitych brytyjskich mężów stanu dawnego autoramentu, co z całem bogactwem wiekowego doświadczenia politycznego swojego narodu łączyli niepospolicie wysoką i rozległą, ogólną kulturę umysłową, zaw-

sze opartą, jak na granitowym fundamencie, na zażyłości z arcydziełami filozofji i literatury klasycznego świata starożytnego. Ale gdy u innych — jak długoletni przeciwnik polityczny Balfoura H. H. Asquith (późniejszy lord Oxfordu) — ta erudycja była tylko wytworną ozdobą duchową osobistości, z powołania i z pełnem przekonaniem oddanej działaniu politycznemu, u lorda Balfoura nauka i sztuka, literatura i filozofja były przedmiotem zainteresowań conajmniej równie żywotnych jak służba publiczna. Oddany polityce raczej z poczucia obowiązku rodowego i stanowego, niż z upodobania, pozostawia po sobie pamięć męża stanu o tak wysoce filozoficznym pokroju, że jego filozoficzna wobec wszech rzeczy postawa odbierała jego działalności politycznej tę siłę i stanowczość, którą dać może tylko zupełne poświęcenie i głębokie przeświadczenie o słuszności dogmatów partyjnych. Organicznie niezdolny do fanatyzmu w zakresie działań społecznych, lord Balfour, choć największe sprawy polityczne całej epoki były niejednokrotnie w jego rękach, i choć wielkich rzeczy w służbie Imperjum Brytyjskiego na arenie międzynarodowej dokonał, jednak przejdzie do historji nie tyle dla tych dokonań, ile dla swej osobowości duchowej, która w sposób jedyny i niewymownie uroczy łączyła najwyższy wykwint świetnej i wszechstronnej kultury z nieskażoną szlachetnością i ujmującym czarem w postępowaniu zarówno publicznem jak prywatnem. „Wielkie i łagodne światło mądrości“ — *a great and benignant lamp of wisdom* — te słowa, któremi kiedyś John Morley określił Johna Stuarta Milla, w trafniejszem może nawet jeszcze zastosowaniu powtórzył o lordzie Balfourze po jego śmierci jego młodszy kolega ministerjalny Winston Churchill, który sam w swym bojowniczym ferworze jakże charakterystycznie reprezentuje zgoła odmienny, nowszy typ działacza politycznego.

II

Karjera lorda Balfoura, gdy na nią dziś patrzymy jako na skończoną całość, potężnie zaiste przemawia do wyobraźni historycznej: boć to przecie nic innego, jak wielki szmat dziejów nowożytnych, pełny najdonioślejszych wypadków dla Wielkiej Brytanji i całego świata. Jakież wspaniałe bogactwo do

świadczenia roztaczają przed nami losy życiowe człowieka, co zaczął posłować za rządów Disraelego i pierwsze swe utarczki w Izbie staczał z Gladstone'em, a naukładach pokojowych wersalskich zasiadał obok Lloyd-George'a, — co uczestniczył w młodości w kongresie berlińskim, a w starości reprezentował Wielką Brytanję na jednej z najpoważniejszych konferencyj międzynarodowych po wielkiej wojnie — na washingtońskiej w r. 1922!

Urodzony na ziemi szkockiej, z atmosfery kulturalnej tego kraju, gdzie zdawna więcej się hołduje abstrakcyjnemu myśleniu niż w Anglji, mógł Balfour zaczerpnąć coś z owego przedziwnego połączenia subtelności intelektualnej z prawością charakteru, które stało się najbardziej czarowną cechą jego osoby. Ale najwięcej ponoć w tym względzie miał do zawdzięczenia matce, która w podobny sposób inteligencję z charakterem łączyła, a wychowaniem dzieci po wczesnej śmierci ojca całkowicie kierować musiała. Ta matka zaś pochodziła ze sławnego angielskiego rodu Cecilów, co jeszcze od czasów królowej Elżbiety wciąż służyli państwu na wysokich stanowiskach. Syn ziemiański z tą dostojną krwią w żyłach był predestynowany do karjery politycznej i rychło też ją rozpoczął.

Po pierwszych kilku latach parlamentarnych, w których był raczej biernym widzem potężnych zmagań dwóch olbrzymów politycznych epoki, Disraelego i Gladstone'a, otwierają się przed młodym Balfourem na oścież wrota wielkiego świata politycznego w r. 1878, gdy wuj jego, lord Salisbury, zabiera go ze sobą jako sekretarza osobistego na kongres berliński. To jakby wczesna przygrywka do tej doniosłej roli, jaką właśnie w trudnej sferze polityki zagranicznej młody adept miał niegdyś odegrać.

Ale na razie nic nie zdaje się zapowiadać, by Balfour politycę miał się na dobre oddać. Wyrusza z przyjacielem w podróż naokoło świata, a w rok po kongresie berlińskim wydaje pierwsze ze swych dzieł filozoficznych: „Obronę wątpienia“ *(A Defence of Philosophic Doubt)*. Więcej niż temi wielkiemi walkami politycznemi, które zbliska oglądał, Balfour snać się interesuje rozgorzałym wtedy po-darwinowskim konfliktem pomiędzy nowemi tezami nauki przyrodniczej a tradycyjnemi dogmatami religji. I oto młody myśliciel, kształcony

w filozofji w Cambridge przez znakomitego Henryka Sidgwick'a (który później poślubił jego siostrę), sensacyjnym na owe czasy gestem „przerzuca wojnę w kraj nieprzyjaciela", dowodząc, że tak samo jak niema absolutnej pewności rozumowej co do prawd podstawowych w dziedzinie wierzeń religijnych, tak jej być nie może także w dziedzinie wiedzy naukowej, bo konstrukcje naukowe opierają się także na postulatach i nie są niczem absolutnem.

Było to śmiałe i, jak się okazało, prorocze wyprzedzenie późniejszej postawy myśli naukowej w bergsonowskiej epoce reakcji przeciw dogmatyzmowi materjalistów. Ale współczesnym mogło się wydać tylko arystokratyczną nonszalancją nieco anemicznego dyletanta myślowego, którego łagodny sceptycyzm w praktyce równa się obronie oportunizmu w filozofji i w życiu. Czyż można było się spodziewać stanowczego działania politycznego po młodym człowieku, wyznającym takie poglądy?

Rzeczywiście Balfour wydaje się zrazu niezdolnym zapisać się z duszą i ciałem nawet swej własnej partji konserwatywnej, w której szeregach ostatecznie całe życie pozostał. Idzie jakiś czas luzem, pozostając w pewnej łączności jedynie z małem ugrupowaniem, tak zwanem „czwartem stronnictwem", które pod wodzą zapalczywego lorda Randolpha Churchilla stało w pośrodku między obozami konserwatywnym a liberalnym pod stworzonem właściwie przez Disraelego hasłem połączenia demokratycznych reform społecznych z konserwatyzmem w polityce *(Tory democracy)*. Ale do tej niespokojnej grupy wichrowatych indywidualności wciągnęło Balfoura snać raczej intelektualne zainteresowanie dla tych indywidualności samych niż wiara w jakąś możność konstruktywnej pracy politycznej tego grona.

III

Bardziej określone zadania polityczne stanęły przed Balfourem, gdy po burzliwych walkach parlamentarnych o gladstoński projekt samorządu dla Irlandji opozycja konserwatywna, co obaliła ten projekt, doszła na dłuższy czas do rządów pod wodzą tego samego lorda Salisbury, który niegdyś był „odkrył" swego synowca Balfoura i wprowadził go do wielkiej polityki. Salisbury już poprzednio raz powierzył był Balfourowi

tekę ministerjalną i teraz ofiarowuje mu jedno z najtrudniejszych i najbardziej odpowiedzialnych w danych warunkach stanowisk, mianowicie stanowisko ministra dla spraw irlandzkich. Irlandja po upadku projektu *Home Rule* wrzała od rewolucyjnego niezadowolenia, od sprzysiężeń i przygotowań do zamachów. Wolą rządu było utrzymać wszelkiemi środkami ład i spokój w ramach istniejącego stosunku prawno-państwowego Irlandji do Anglji. Ze zdziwieniem się pytano, jak tego zadania ma dokonać młody filozof, pełen subtelnego sceptycyzmu wobec wszelkich uznanych zasad i teoretyzującej obojętności względem wszelkich spraw aktualnych. Ale okazało się niebawem, że stal nie była składnikiem obcym naturze wytwornego estety i intelektualisty, że Balfour w chwili krytycznej umie się zdobyć na trzeźwy zmysł dla rzeczywistości i spokojną stanowczość; że jego filozoficzny spokoj wobec sporów bieżących jest równoznaczny z niewzruszoną odwagą w obliczu niebezpieczeństw. Filozofujący dyletant zredagował najdrastyczniejszą do owych czasów ustawę o tłumieniu niepokojów irlandzkich i z niezłomnym uporem, wbrew potężnej opozycji Gladstone'a i namiętnej obstrukcji Irlandczyków, przeforsował ją przez parlament. Ale zarazem „krwawy Balfour", jak go rychło nazwali zdumieni narodowcy irlandzcy, przenikliwem wejrzeniem dotarł odrazu do gospodarczego sedna sprawy irlandzkiej — którem zawsze była bieda małorolnego chłopa-dzierżawcy — i przez kilka ustaw w wielkim stylu ułatwił mu nabywanie ziemi na własność, wkraczając w ten sposób na jedyną realną drogę do trwałego polepszenia sytuacji w Irlandji. Groziło mu w tym czasie nawet w Londynie na każdym kroku niebezpieczeństwo zamachu morderczego ze strony fanatyków irlandzkich: on jednak nie zawahał się w otwartym powozie podróżować po najbardziej przeludnionych, wygłodzonych okręgach nieszczęsnej Irlandji zachodniej i tą spokojną postawą tak podziałał na uczuciowy lud celtycki, że zamiast złorzeczyć mu jako ciemięzcy, witano w nim zbawcę. Okazał się nim też w niemałej mierze, przeprowadzając ustawy o osobnej pomocy materjalnej dla tych okolic, o budowie w nich kolei, o dostarczaniu ulepszonych łódek i sieci, oraz organizacji oświaty zawodowej dla ubogich i ciemnych rybaków irlandzkich na atlantyckiem wybrzeżu Zielonej Wyspy. Nazwisko Balfoura

otoczyło się aureolą legendy w oczach mas irlandzkich na dalekim Zachodzie Europy, tak samo jak się nią miało otoczyć kiedyś w oczach mas żydowskich na Wschodzie. I dziś, gdy lord Balfour spoczął w grobie, wszystkie grupy działaczy politycznych irlandzkich, od weteranów dawnych walk parlamentarnych o samorząd do radykalnych republikańskich niepodległościowców najmłodszej generacji, łączą się w hołdzie dla pamięci tego żelaznego administratora angielskiego, który umiał stać się zarazem prawdziwym dobroczyńcą biednego ludu irlandzkiego.

IV

Sukces irlandzki stał się właściwym fundamentem karjery politycznej Balfoura i wysunął go na front angielskiego życia politycznego. W roku 1891 zostaje przywódcą partji konserwatywnej w Izbie Gmin i pozostaje odtąd jedną z przodujących w niej postaci przez trzydzieści z górą lat. Posłuje przez dwa dziesięciolecia ze wschodniego okręgu wyborczego wielkiego miasta fabrycznego Manchester: arystokrata i filozof umie tak mówić do czysto robotniczej masy swych wyborców, że go darzą niezmiennem i niewzruszonem zaufaniem. W czasach późniejszych piastował zaszczytny mandat poselski od kupieckiego śródmieścia Londynu, a więc od gospodarczego serca Imperjum brytyjskiego.

Balfour w Izbie gmin, jak każdy przodujący polityk angielski, bywa naprzemian szefem partji rządzącej i szefem „opozycji Jego Królewskiej Mości": zawsze otacza go jednakowa, powszechna cześć i jednakowa u wszystkich popularność osobista. Jako przywódca opozycji zdobywa niebawem laury najwietniejszego w Izbie debatera, przewodząc w uporczywych bojach przeciwko ponownemu i ostatniemu już gladstońskiemu projektowi samorządu dla Irlandji. Jako przywódca większości rządzi Wielką Brytanją na przełomie XIX i XX wieku.

Ciężka w tym okresie miało przebywać przeprawę Imperjum brytyjskie. Mając u swego boku jako ministra dla kolonij twórcę nowoczesnej ideologji imperjalistycznej, Józefa Chamberlaina, Balfour całym swym autorytetem przeciwko poważnym wątpliwościom w łonie własnej partji musi popierać jego pełne rozmachu poczynania w polityce afrykańskiej, które

w końcu prowadzą do wojny boerskiej. Niezrozumiała dla szerszego ogółu, wyniosła pogoda, z jaką Balfour przyjmował wieści o klęskach wojsk angielskich w pierwszych latach tej wojny, a potem stanowczość sądu, z jaką oddaje naczelne dowództwo w ręce lorda Robertsa — to czynniki, które, jak dziś dopiero widzimy, niemały miały udział w przetrwaniu i zwycięskiem zakończeniu przez Anglję tej ciężkiej próby jej sił moralnych i materjalnych.

Ale daleko poważniejsze jeszcze doświadczenia i groźniejsze starcia rysowały się już wtedy na widnokręgu możliwości w polityce międzynarodowej. I tu znowu, jak niegdyś w sprawie irlandzkiej, metafizyk i esteta Balfour okazał zdumiewający realizm w ocenie sytuacji i w doraźnym wyborze środków przygotowawczych do działania w nadchodzącej chwili przełomowej. Światły obrońca sceptycyzmu filozoficznego snać już w zaraniu naszego stulecia nie miał złudzeń co do zbliżającego się kataklizmu, i w tem przewidywaniu jako jedno z wielkich dzieł organizatorskich swego okresu rządów stworzył „Komitet Obrony Państwa“ *(Committee of Imperial Defence)*, którego zadaniem była koordynacja wszystkich morskich, wojskowych i politycznych czynników obrony Imperjum, oraz utrzymanie łączności w tych sprawach między wszystkiemi, rozrzuconemi po całej kuli ziemskiej terytorjami brytyjskiemi. Ten czyn organizacyjny, który historja niewątpliwie zaliczy do głównych podstaw zwycięstwa w wojnie światowej, uzupełnił Balfour przez umiejętną akcję dyplomatyczną. Za jego rządów z jednej strony wzmocniono i zacieśniono świeżo wtedy zawarte przymierze angielsko-japońskie, a z drugiej strony udało się uniknąć konfliktu z Rosją w czasie jej wojny z Japonją. Za jego rządów też powstało to naczelne narzędzie walki z imperjalizmem niemieckim, jakiem było porozumienie angielsko-francuskie z lat 1903 i 1904.

V

W porównaniu z tak doniosłemi aktami w zakresie polityki zagranicznej maleje z perspektywy wielkich wypadków światowych to, co Balfour jako premjer zdziałał w polityce wewnętrznej. A jednak i w tym względzie rządy jego za-

pisały się pamiętnie przez pewne reformy organizacyjne, które stworzyły warunki nowego rozwoju w różnych dziedzinach i dopiero znacznie później wydały swój właściwy owoc. A więc przez głośną ustawę edukacyjną swego rządu w r. 1902 Balfour naraził się wprawdzie na zarzut stronniczości na korzyść państwowego kościoła anglikańskiego przeciw mniejszościom wyznaniowym (a więc katolicyzmowi i dyssydentom protestanckim); ale trzeba zaznaczyć, że zarazem podniósł przestarzałe szkolnictwo prywatne i wyznaniowe — w Anglji tak niezmiernie rozpowszechnione — na wyższy poziom, oddając je pod kontrolę władz szkolnych samorządowych. A już zupełnie epokową jest balfourowska ustawa edukacyjna w dziedzinie szkolnictwa średniego: od niej dopiero zaczyna istnieć i bujnie się rozrastać system jednolicie zorganizowanych rządowych szkół średnich, gdy dawniej istniały tylko najróżnorodniejsze, a przeważnie drogie i ekskluzywne szkoły prywatne. Nie jest przesadą powiedzieć, że ten rasowy przedstawiciel arystokratycznej kultury starej Anglji dopiero na dobre otworzył masom demokracji Anglji nowej dostęp do wykształcenia średniego.

Niemniej doniosły w swych następstwach ogólnych, choć zasadniczo lokalny w swym charakterze, był inny akt ustawodawczy ery Balfoura, mianowicie reorganizacja samorządu rozrastającej się potężnie stolicy Państwa: „Rada hrabstwa Londynu“ istniała już wtedy od lat kilkunastu, ale podległe jej staroświeckie organizacje parafjalne paraliżowały jej działalność. Balfour z właściwą sobie zręcznością gładko przeprowadził przez parlament ustawę, mocą której cały „większy Londyn“ przeobraził się w grupę zorganizowanych na prawdziwie nowożytny sposób gmin miejskich. Teraz dopiero mogły się zacząć na dobre te poczynania w zakresie przebudowy, stosunków komunikacyjnych, policyjnych, sanitarnych, mieszkaniowych, a nadewszystko oświatowych, które dziś czynią z Londynu głośny w całym świecie wzór działalności samorządu gminnego w warunkach wielkomiejskich.

Izba Gmin, ta wieloletnia widownia działalności politycznej Balfoura, sama stała się także terenem jednej z wielkich akcyj reorganizacyjnych jego ery. Wspominając ze swych młodszych lat zaciętą taktykę obstrukcyjną narodowców irlandz-

kich i widząc, jak szczególnie dyskusja budżetowa przy starym porządku obrad w parlamencie angielskim (i nietylko w angielskim) daje sposobność do antyrządowych manewrów obstrukcyjnych, Balfour przez genjalny zaiste pomysł taktyczny drogą zmiany regulaminu włożył na każdorazową opozycję całą odpowiedzialność za dyskusję nad stroną dochodową preliminarza budżetowego, a więc nad najtrudniejszą częścią konstrukcji budżetu, a zmuszając zarazem opozycję do deklarowania pozycyj, które chce poddać dyskusji, przy równoczesnem czasowem ograniczeniu dyskusji jako całości, znakomicie zabezpieczył obrady budżetowe od niespodzianych ataków czysto politycznej natury i zapewnił im większą planowość i rzeczowość.

Po tych powodzeniach nadeszły dni wielkich trudności dla Balfoura w polityce wewnętrznej, gdy w r. 1903 najwybitniejszy obok niego człowiek w gabinecie, dawny radykał socjalny Józef Chamberlain, zaskoczył kraj swym projektem przejścia od tradycyjnej angielskiej polityki wolnego handlu do systemu ceł ochronnych, mających zespolić całe światowe Imperjum brytyjskie w zwartą i samowystarczalną całość gospodarczą. Balfour — zgodnie z ogólnym charakterem swej umysłowości — nigdy nie wierzył w doktrynerskie stosowanie jakichś teoretycznych zasad ekonomicznych do żywego organizmu politycznego: wyznawał w tych rzeczach maksymę rozsądnego oportunizmu, kierowanego przez doświadczenie życiowe. Nie mógł zatem pisać się całkowicie ani na ortodoksyjne *credo* wolnohandlowe ani na ryczałtową reformę celną, zwłaszcza że tę ostatnią impetyczny Chamberlain usiłował popularyzować w kraju niemiłemi dla Balfoura metodami demagogiczno-wiecowemi. Umiarkowane poglądy Balfoura miały zatriumfować w programie cłowym partji konserwatywnej po wielkiej wojnie: przyjął je prawie dosłownie za swoje Stanley Baldwin; ale w r. 1903 stan umysłów po dramatycznem wystąpieniu Chamberlaina był zbyt rozgorączkowany, by filozoficzne zapatrywania Balfoura mogły komukolwiek trafić do przekonania. Doszło do rozłamu w partji; Balfoura opuściło kilku wybitnych kolegów z ławy ministerjalnej; musiał przy pomocy sił słabszych i młodszych, dźwigając sam prawie cały ciężar reprezentacji rządu w parlamencie, prowadzić te ważne akcje międzynaro-

dowe i ustawodawcze, które jeszcze uznawał za niezbędne. Starał się przez nie podtrzymywać powagę i jedność partji, i wiele istotnie przez swój takt, swój urok osobisty i swoją zręczność parlamentarną dokonał; ale nie uchronił partji od druzgocącej klęski przy wyborach r. 1906, która oddała rządy kraju aż do wojny światowej w ręce liberałów i ich socjalistycznych sprzymierzeńców.

VI

Poczęły się oszałamiające reformy socjalne Lloyd-George'a, dokonywane bez względu na koszt pod presją socjalistycznego aljanta. Balfour jako przywódca opozycji z demagogją Lloyd-George'a tak samo walczyć nie umiał, jak z demagogją Chamberlaina jako premjer. Popełnił błąd taktyczny, doprowadzając do niebywałego w nowszych dziejach Anglji aktu odrzucenia budżetu przez Izbę lordów właśnie w roku, gdy ten budżet zawierał popularną innowację państwowych pensyj na starość — i później mimo najgorliwszych wysiłków nie zdołał ocalić Izby wyższej od zupełnego pozbawienia jej tych praw, które czyniły ją skuteczną zaporą przeciw demagogicznym eksperymentom ustawodawczym. Liberali od wzrastającego nacisku socjalistów sami szukali ucieczki w układach z konserwatystami o utworzenie koalicji, ale przeciwieństwa między programami obu partyj — zwłaszcza w kwestji samorządu dla Irlandji — były zbyt wielkie, by do porozumienia dojść mogło.

Koalicję zrodził dopiero nacisk silniejszy, bo nacisk konieczności wojennych na cały naród. Balfoura, który po niepowodzeniach i przykrościach ostatnich lat przedwojennych złożył godność przywódcy swej partji, wojna zastała w 66 roku życia, i można było przypuszczać, że żadne wypadki już go na arenę życia politycznego nie wyciągną, zwłaszcza że gorliwiej niż kiedykolwiek pogrążył się był w studja filozoficzne i działalność odczytowo-literacką.

Ale miało być inaczej. Właśnie od wojny światowej zaczyna się najbardziej zdumiewający rozdział w życiu tego niezwykłego człowieka. W pozostałych kilkunastu latach swej długiej a czynnej starości Balfourowi sądzone było oddać swej

ojczyźnie donioślejsze usługi niż kiedykolwiek przedtem, i to po wojnie jeszcze w wyższym stopniu niż w czasie wojny samej.

Od pierwszej chwili wojny oddał się bez zastrzeżeń do dyspozycji rządu, i pracując w stworzonym niegdyś przez siebie „Komitecie Obrony Państwa", był właściwie nieoficjalnym członkiem gabinetu. Z chwilą utworzenia nowego ministerstwa na zasadzie koalicji stronnictw po roku wojny wstąpił Balfour do rządu także oficjalnie. Zrazu jako minister marynarki miał niewdzięczne zadanie podtrzymywać w opinji publicznej powagę floty, której działania z konieczności musiały być osłonięte w znacznie jeszcze wyższym stopniu tajemnicą i milczeniem, niż działania wojsk lądowych. Taktowi Balfoura udało się wprawdzie załagodzić spory między ministerstwem marynarki a komendą floty, które wciąż się toczyły za jego krewkiego poprzednika, Winstona Churchilla. Ale i Balfour w swych trudnych wystąpieniach na zewnątrz nie uniknął poważnego błędu, gdy przez nazbyt szczere sprawozdanie o stratach angielskich w bitwie jutlandzkiej wywołał u ogółu paniczne wrażenie klęski.

Szczęśliwszy był na swym drugim posterunku wojennym — jako minister spraw zagranicznych po rekonstrukcji gabinetu koalicyjnego. Nowym jego szefem jako premjer był Lloyd-George, człowiek biegunowo odległy od Balfoura usposobieniem i obyczajami politycznemi. Nie włączył też Balfoura do swego ściślejszego „gabinetu wojennego", złożonego z czterech ludzi. Mimo to właśnie Balfour dokonał rzeczy wielkiej i poniekąd decydującej w dyplomacji wojennej: wybrawszy się jako delegat rządu w roku 1917 do Stanów Zjednoczonych, czarem swej osobistości i wymowy dokazał tego, że szala opinji politycznej amerykańskiej ostatecznie się przechyliła na stronę czynnego udziału w wojnie u boku Anglji i Francji.

Drugim najpamiętniejszym aktem politycznym Balfoura z czasów wojny była ogłoszona w tym samym roku 1917 deklaracja o utworzeniu „ogniska narodowego" żydowskiego w Palestynie. Jak bardzo ta deklaracja wzmocniła w danej chwili moralnie i materjalnie sprawę aljancką, o tem może nawet dziś jeszcze — wśród sporów o dalsze

następstwa tej deklaracji — należytego historycznego pojęcia nie mamy.

Balfour przez te dwa swoje wystąpienia stał się i pozostał odtąd najpopularniejszym u Amerykanów i u Żydów przedstawicielem narodu angielskiego. W Anglji samej postać jego — tak samo jak figury innych wybitnych polityków — w późniejszych latach wojny coraz bardziej usuwała się w cień wobec dyktatury Lloyd-George'a. Tenże los czekał go na konferencji pokojowej. Balfour, drugi obok Lloyd-George'a przedstawiciel Wielkiej Brytanji, z początku wszechobecny i niestrudzenie czynny, wszechwiedzący i dokazujący istnych cudów perswazji swym urokiem, później w miarę jak „wielka czwórka" (Wilson, Lloyd-George, Clemenceau, Orlando) coraz autokratyczniej bierze w swoje ręce decyzje o wszystkiem, zniechęca się do swej pracy i częściej zdumiewa członków konferencji swą sprawnością na placu tennisowym, niż w dyskusjach politycznych. Że przy tem wszystkiem zdołał swemi łagodnemi i delikatnemi metodami niejedno przeprowadzić, a przynajmniej niejedno zmodyfikować, o tem wie szczególnie dobrze nasza Polska, która za jego stanowisko w sprawie gdańskiej i w sprawie śląskiej niewygasłą zachowa mu wdzięczność.

VII

Po powrocie z konferencji Balfour wkrótce został mianowany na wysokie stanowisko Lorda Prezydenta Tajnej Rady Królewskiej. Godność ta, jedna z najzaszczytniejszych w państwie, ma charakter raczej formalny. Ale czynna służba publiczna Balfoura dlatego bynajmniej nie była skończoną i czekał go jeden przynajmniej jeszcze wielki triumf w dziedzinie polityki zagranicznej.

Jeszcze jako minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanji Balfour objął funkcje naczelnego jej przedstawiciela w Lidze Narodów i przewodniczył na pierwszej sesji Rady Ligi w r. 1920. Dwuletnia działalność w Lidze dała mu sposobność do użycia całej powagi swego świetnego intelektu i całego wpływu swej ujmującej osobistości, by uchronić Ligę od różnych błędów, do których była skłonną w pierwszych latach swej egzystencji. W szczególności jedno z dokonań Ligi w tych

latach i jedno z najtrudniejszych pod każdym względem, mianowicie uratowanie egzystencji Austrji w r. 1922, wiele miało do zawdzięczenia łagodnemu a potężnemu wpływowi osobistemu Balfoura.

Ale poza ramami Ligi leżało najważniejsze zadanie, jakie mu jeszcze wypadło spełnić. Pod koniec r. 1921 wyruszył powtórnie do Ameryki, by tam reprezentować Wielką Brytanję na zwołanej przez prezydenta Hardinga konferencji w Waszyngtonie dla ograniczenia zbrojeń morskich i porozumienia co do stosunków mocarstwowych na Oceanie Spokojnym i wokoło niego. Chodziło więc ni mniej ni więcej tylko o ten wielki ośrodek ambicyj imperjalistycznych, na który już od końca zeszłego wieku zwrócona jest baczna uwaga myślicieli politycznych jako na możliwe ognisko przyszłych wielkich konfliktów.

Na konferencji waszyngtońskiej znowu zajaśniały w całym blasku jedyne w swym rodzaju zdolności negocjatorskie Balfoura. W zakresie zbrojeń morskich konferencja natrafiła na te same niepokonane przeszkody, o które w r. 1930 rozbiła się na naszych oczach konferencja londyńska. W każdym razie w Waszyngtonie położono fundament pod dalszą mozolną pracę nad tym problemem, w której następcy Balfoura i jego kolegów waszyngtońskich nie ustają i ustawać nie powinni. Najdonioślejszym zaś może pozytywnym rezultatem, osiągniętym w Waszyngtonie, było zastąpienie dawnego przymierza anglo-japońskiego przez umowę czterostronną, z udziałem Francji i Stanów Zjednoczonych, ustalającą pewne wspólne zasady polityki wszystkich zainteresowanych mocarstw na Pacyfiku i w Chinach. Umowa ta była równoznaczna z zażegnaniem groźnej rywalizacji między Ameryką a Japonją na Oceanie Spokojnym, a co ważniejsza, między Ameryką a Wielką Brytanją na wszystkich morzach i na wszystkich kolonjalnych rynkach. Było przeznaczeniem dziejowem Balfoura uczynić pierwszy krok na tej drodze, na którą po nim wstąpić musiał Mac Donald podczas swej pamiętnej wizyty u Hoovera w jesieni r. 1929: na drogę uznania równouprawnienia Stanów Zjednoczonych jako potęgi morskiej przez wszechwładną dotychczas panią mórz, Wielką Brytanję.

Ta droga, wskazana przez rozsądek, była jedyną możliwą drogą do stałego pokoju. Ale przez dziwną ironję losu było

sądzonem Balfourowi stać się nietylko poprzednikiem Mac Donalda przez gest pojednawczy, lecz także jego upartego kolegi Snowdena przez gest drażniący. Tak samo jak Snowden w r. 1929 o mało nie rozbił konferencji w Hadze przez swoją nieustępliwość w sprawie pretensyj pieniężnych Anglji, tak już Balfour zaraz po konferencji washingtońskiej o mało nie rozchwiał ledwo wdrożonego porozumienia przez swą głośną a ostrą notę r. 1922, w której oświadczył, że Anglja mogłaby tylko wtedy darować długi wojenne swym aljantom, Francji i Włochom, gdyby Ameryka anulowała długi wojenne Anglji. Nie było rzeczą wskazaną w danej sytuacji mówić tak wyraźnie o tem *iunctim*, które „de facto" istnieje, ale którego Stany Zjednoczone teoretycznie nie uznają; i Balfour, dopiero co zdobywszy sobie ponownie wielką popularność w Ameryce, poważnie ją przez ten krok naraził. Sprawa została ostatecznie załatwiona ku zadowoleniu Ameryki przez Stanley Baldwina, który w rok później podpisał bardzo uciążliwą dla Anglji, definitywną umowę o spłacanie długów Ameryce. Ale wystąpienie Balfoura, tak samo jak późniejsze wystąpienie Snowdena, pozostają w historji jako wybuchy zniecierpliwienia angielskiego, wymownie świadczące o tych wręcz rozpaczliwych trudnościach ekonomicznych, z jakiemi Wielka Brytanja po wojnie borykać się musi.

Baldwin łagodził wrażenie noty balfourowskiej już jako „nadchodzący człowiek" nowej ery. Na front wysunęła go „rewolucja pałacowa", która ostatecznie rozbiła utrzymywaną sztucznie przy życiu przez Lloyd-George'a, rządzącą koalicję stronnictw z czasów wojny. Balfour na pamiętnem zebraniu w *Carlton Club*, na którem się ta rewolta partyjna dokonała, z właściwą sobie w całem życiu lojalnością względem współpracowników politycznych bronił do ostatka i koalicji i Lloyd-George'a, choć tenże Lloyd-George niedługo przedtem stworzył Wolne Państwo Irlandzkie wbrew wszystkim zasadom niegdyś przez Balfoura reprezentowanym. Mowa Balfoura w obronie upadającej koalicji była jego „łabędzim śpiewem" w partji konserwatywnej: młodsi i bardziej wojowniczo usposobieni członkowie partji słuchali jej z należnym szacunkiem, ale bez śladu tego przekonania, które Balfour dawniej w dyskusji tak nieprzeparcie umiał budzić.

VIII

Coraz bardziej w tych ostatnich latach długiego żywota sędziwa postać lorda Balfoura wyrasta poza ramy życia partyjnego, z którem dawniej był ściśle skojarzony, a nabiera charakteru dostojnego reprezentanta najwyższych tradycyj politycznych i kulturalnych Anglji wobec całego świata.

Sypią się na niego zaszczyty zarówno państwowe jak naukowe: po jednem z najwyższych odznaczeń, przyznawanych mężom nauki i sztuki w Anglji, „orderze zasługi" *(Order of Merit)*, nadanym mu jeszcze w r. 1916, otrzymuje w r. 1922 najwyższe ze wszystkich odznaczeń wielkobrytyjskich wogóle, Order Podwiązki, a w kilka miesięcy później tytuł lorda z wysokiemi predykatami *earl* i *viscount*. Jest kanclerzem tego starego Uniwersytetu w Cambridge, w którym się kształcił; jest Prezydentem Akademji Brytyjskiej, prezesem „Państwowego Instytutu dla Psychologji Przemysłowej", przewodniczącym nowopowstałego „Brytyjskiego Instytutu dla Studjów Filozoficznych" i doktorem honorowym licznych Uniwersytetów po całym świecie, wśród nich i naszego Jagiellońskiego. Przemawia na otwarciu Uniwersytetu w Jerozolimie, wspominając o swych „znakomitych żydowskich przyjaciołach Bergsonie, Einsteinie i Freudzie", wśród owacji świetnego audytorjum, uwiecznionego na znanym obrazie Pilichowskiego. Z pokorą prawdziwej wielkości hołduje nieśmiertelnej pamięci genjalnego fizyka, lorda Kelvina, na uroczystości w 100-ną rocznicę jego urodzin, wobec wybitnych przedstawicieli nauki całego świata. A z dostojeństwem pełnem prostoty zabiera głos imieniem wszystkich uniwersytetów Imperjum Brytyjskiego na jubileuszu Uniwersytetu londyńskiego w r. 1927 w obecności setek delegatów od wszechnic wszystkich części świata w różnobarwnych togach i beretach.

Wspaniały zaiste zachód słońca! Ale najpiękniejszą bodaj pieczęć na życiu, które upłynęło wśród wielkich wypadków, wielkich ludzi i wielkich idei, był fakt, że podpis lorda Balfoura stwierdził, a przemowa jego uświetniła zawarcie w r. 1926 układu między Anglją a jej dominjami, który przekształca Imperjum w związek wolnych całkowicie jednostek

państwowych, w „Ligę Narodów Brytyjskich“ i stanowi prawdziwą *magna charta* nowej ery historji angielskiej.

Nie brakło zresztą do ostatnich czasów autorytatywnego głosu lorda Balfoura w dyskusji nad każdym niemal wielkim problemem, poruszającym opinję angielską. Przemawia o zagadnieniu przyszłości Indyj, o konkurencji obcych narodów z Anglją na rynkach światowych, o dzisiejszym etatyzmie i jego granicach; pisze list otwarty do szefa delegacji amerykańskiej na genewskiej konferencji w sprawie rozbrojenia na morzu w r. 1927; i jeszcze w grudniu r. 1929 razem z generałem Smuts'em i Lloyd-Georgem w liście do redakcji *Times* wobec krwawych wypadków w Palestynie domaga się zbadania całej kwestji mandatu palestyńskiego przez osobną komisję.

IX

Tak samo jednak, jak do zmierzchu żywota nie przestają lorda Balfoura zajmować te wielkie sprawy polityczne, którym raczej z poczucia obowiązku niż z upodobania najlepsze swe siły poświęcił, tak samo z drugiej strony nie przestają mu nigdy osładzać życia te naprawdę ulubione zajęcia literackie i filozoficzne, na które zawsze umiał czas znaleźć. Kilkakrotnie jeszcze po wspomnianem już pierwszem swem dziele filozoficznem powracał do spekulacji metafizycznej, do zagadnienia wiary i wiedzy, do stosunku między sobą Piękna, Dobra i Prawdy, do subjektywnej i objektywnej strony koncepcji Bóstwa. Cykle wykładów, wygłaszane w tych starych przybytkach abstrakcji myślowej, jakiemi są wiekowe Uniwersytety szkockie, wypełniają okazałe tomy, rozrzucone po przestrzeni dziesięcioleci (1895, 1915, 1927); a obok nich roi się od studjów krótszych, obejmujących swobodnem i światłem krytycznem wejrzeniem rozległe horyzonty nietylko współczesnej filozofji, ale także wiedzy przyrodniczej i teoryj socjologicznych.[1] Ten subtelny myśliciel i wykwintny pisarz jest zarazem gorącym miłośnikiem i wytrawnym znawcą muzyki: fortepian w jego salonie rzadko kiedy pozostaje dłuższy czas zamknięty,

[1] R. Dyboski: *Balfour jako myśliciel* (*Kwartalnik filozoficzny*, Kraków, r. 1923).

a gdy nie gra na nim sam lord Balfour, grają zapraszani przezeń chętnie znakomici pianiści. Do tej symfonji najszczytniejszych wrażeń intelektualnych i artystycznych, które jak prawdziwy *aër vitalis* owiewają codzienną egzystencję lorda Balfoura, przyczynia się także malarstwo, i to — rzecz ze wszech miar charakterystyczna — do upodobań jego przemawia szczególnie owa tak niemodna już dziś twórczość malarska Prerafaelitów angielskich, pełna poetyckich natchnień w koncepcji i filozoficznej zadumy w swej symbolice: ściany jego domu przy *Carlton Terrace* w Londynie pokryte są wielkiemi płótnami Burne-Jones'a, jak „Koło Fortuny" lub „Perseusz i Andromeda".

Bogactwami duchowemi, które czerpał z tylu najszlachetniejszych źródeł, Balfour chętnie i swobodnie dzielił się ze swem otoczeniem: nietylko lubiał pisać i przemawiać publicznie, ale był rozmiłowany w najkulturalniejszych formach życia towarzyskiego: na obiadach i przyjęciach zarówno w salonach londyńskich jak po uroczych starych dworach wiejskich angielskich do późnych lat błyszczał jako mistrz ginącej dziś pięknej sztuki konwersacji.

Z tą wszechstronną i wysoką kulturą umysłową w doskonałą harmonję łączy się wielostronna i starannie uprawiana kultura fizyczna: lord Balfour, choć był w młodości wątłym i słabowitym, umiał wyrobić się na sportsmena niezwykłej miary. Spopularyzował w swojej sferze „królewską grę", golfa; w podeszłej starości grał jeszcze z wielką wprawą w tennisa; zawsze żywo się interesując mechaniką i techniką, stał się jednym z pierwszych w Anglji miłośników automobilizmu; był pierwszym ministrem angielskim, co na posłuchanie do króla zajechał samochodem, i do ostatnich lat życia lubiał sam swą maszyną kierować.

Życie spędzone wśród tak obfitych i różnorodnych zainteresowań, usprawiedliwiałoby może pewną zlekka histrjońską ostentację w wystąpieniach. Tymczasem nic może nie było bardziej charakterystyczne dla Balfoura, jak pełna dystynkcji prostota każdego jego gestu i brak wszelkiej pozy czy afektacji. Nie stara się nigdy ukrywać nawet swoich niedostatków: językami — nawet łacińskim i greckim! — włada z nieudolnością typowo angielską i popełnia śmieszne błędy w ich wy-

mowie; ma fatalnie słabą pamięć dla nazwisk, szczegółów faktycznych i cytat; przemówienia swe publiczne — nawet najświetniej przemyślane — wypowiada jakby z onieśmieleniem, wśród ciągłych zająknięć, i przez to właśnie daje im urok czegoś nawskróś samorzutnego.

Ta niewymuszona prostota w całej postawie zewnętrznej była doskonałym wyrazem prostolinijności moralnej człowieka wewnętrznego. Przy całem wyrafinowaniu intelektualnem swej filozofującej umysłowości lord Balfour był w swych zasadach moralnych prawdziwie kryształowo czysty i stały. Zwolennicy i przeciwnicy, bliscy i dalecy, swoi i obcy, chórem żegnają w nim najdoskonalszego „gentlemana" w polityce angielskiej ostatnich dziesięcioleci; przyjaciele opłakują w nim nietylko uosobienie najdobrotliwszej wyrozumiałości, ale arcywzór niezawodnej lojalności i niezmiennej wierności.

*

Zstępowali do grobu w ostatnich latach jeden po drugim dostojni przedstawiciele „wielkiego stylu" — *la grande manière* — klasycznej angielskiej polityki parlamentarnej ubiegłego wieku: Curzon, Milner, Asquith: ostatni podążył za nimi najstarszy z nich wszystkich wiekiem, najbogatszy doświadczeniem i — tak jak był najwyższy swym wyniosłym wzrostem — tak najwyższy także szczytnością swego filozoficznego wejrzenia na wszystkie przemijające sprawy świata. Nie brak i wśród dzisiejszych przywódców politycznych angielskich ludzi o wysokiej kulturze umysłowej: są nimi obaj przywódcy głównych obozów w dzisiejszej Izbie Gmin — Stanley Baldwin i Ramsay Mac Donald. Niechże im ta kultura intelektu będzie przewodniczką w dążeniu do tego, by z życia publicznego angielskiego nie zginęła także ta kultura moralna szlachetnej prostoty i nieskalanej rycerskości w postępowaniu, jaką promieniował przez tyle lat swej działalności politycznej lord Balfour. I niech jego wzniosły przykład nie będzie stracony także dla innych krajów, co bardziej niż kiedykolwiek takich wzorów dziś potrzebują, bo wskrzesły do nowego życia politycznego w okresie powszechnego po katakliźmie światowym zamieszania pojęć moralnych i fermentu w stosunkach społecznych.

JAN LACHS

LEKARZE-PRZYJACIELE JANA KOCHANOWSKIEGO

Pisać dzisiaj o osobie Jana Kochanowskiego — to zadanie, które — przyznać trzeba — wymaga sporo odwagi. Nie dlatego, by już o nim napisano w sposób odpowiedni do jego znaczenia i stanowiska w literaturze, lub by wyczerpująco odpowiedziano na wszystkie związane z nim zagadnienia albo przynajmniej na większość nasuwających się tu kwestyj — ale dlatego jedynie, że trudno zacytować nowe szczegóły, jak długo się nie znajdą jakieś dotąd jeszcze nieznane i naukowo nieopracowane źródła. Wszystko prawie, co o wieszczu z Czarnolasu pojawiło się dotychczas, po największej części czerpie soki z jego własnych utworów, które coprawda zawierają tak dużo danych do przeżyć ich autora, tworzą razem wzięte tak piękny i plastycznie występujący a w niejednym kierunku tak dokładny obraz jego żywota, że dziwić się nie można krytykom, porywającym się ciągle jeszcze na odtworzenie pełnej biografji poety. Jakkolwiek Kochanowski dużo wyśpiewał o sobie i o swoich bliskich, to przecież nie jest to jeszcze wszystko, cobyśmy o nim wiedzieć pragnęli i wiedzieć powinni; brak nam wyczerpujących informacyj o całych okresach jego życia, to zaś, co sam o sobie pozostawił, podlega subjektywnym ocenom czytającego i bywa nieraz w sprzeczny sposób tłumaczone, przeważnie dlatego, że nie mamy współczesnego poecie opisu jego żywota.

Dla należytego zrozumienia poety tej miary i znaczenia, jakie całkiem słusznie przypisujemy Kochanowskiemu, powinny być nam dokładnie znane wszystkie fazy jego życia, miejsce i czas jego studjów, jego stosunki osobiste, rodzinne i majątkowe, jego zapatrywania polityczne i religijne, jego bliższe i dalsze otoczenie, jego przyjaciele i przeciwnicy, ba, nawet jego miłostki, a to tembardziej, że on tym różnorodnym faktom tyle czasu i miejsca w swoich pismach poświęcił. Bez dokładnej znajomości bliskich poecie osób, a często nawet nie wiedząc, co je z nim łączyło, nie

zrozumiemy w pełni Kochanowskiego. Brakowi temu odnośnie do przyjaciół, którym Kochanowski swoją muzę poświęcił i których swojem piórem uwiecznił, dzisiejsze nasze rozpatrywanie ma, w małej przynajmniej cząstce, zadość uczynić.

I

Kochanowski umiał ocenić prawdziwą przyjaźń. Życie bez przyjaciół nie miało dla niego wartości, bo to

„ . . . . . Więzienie,
W którym niesmaczne żadne dobre mienie". [1]

Potrzebę prawdziwych przyjaciół odczuwał w dobrych i przykrych chwilach życia. Przestrzega jednak przed zbyt wielką ilością przyjaciół i radzi być ostrożnym w ich doborze, jest więc zdania, „aby człowiek niewiele przyjaciół miał, ale takich, którymby się dufać godziło". Uważając zaś cnotę za fundament przyjaźni, żąda w swoim *Wykładzie cnoty*: „niech się o to człowiek naprzód stara, aby co najlepszym był, potem, będąc sam dobrym, u dobrych przyjaźni szukał".

Obok przyjaciół, Kochanowski umie cenić także zdrowie, a zastanawiając się nad jego wartością, dochodzi do przekonania: „że nic nad zdrowie ani lepszego, ani droższego" i porównuje je z drogim klejnotem, którymby najchętniej swój skromny dom przyozdobił.[2] Tak się tedy zapatrując na ten cenny przymiot, utrzymywał stale stosunki z tymi, którzy w życiu tutejszem stoją na jego straży, t. j. z lekarzami. A umiał się im okazać wdzięcznym, dając im, co mógł dać najlepszego, bo uwieczniając ich przedewszystkiem w swoich fraszkach, w tych *Fraszkach*, z których był tak dumny i które tak bardzo cenił:

„Fraszki nieprzepłacone, wdzięczne fraszki moje,
W które ja wszystki kładę tajemnice swoje,
Bądź łaskawie fortuna ze mną postępuje,
Bądź inaczej [3] . . . . . "

---

[1] *Fraszki*. Ks. II. Nr. 46. *Na zachowanie*. (Wyjątki z pism Kochanowskiego cytujemy wedle wydania pamiątkowego jego dzieł z r. 1884).

[2] *Fraszki*. Ks. III. Nr. 54. *Na zdrowie*.

[3] *Fraszki*. Ks. III. Nr. 29. *Do fraszek*.

pisze poeta, nie przesadzając wcale, a wystawiając swoim lekarskim przyjaciołom w ten sposób najpochlebniejsze świadectwo, bo fraszki, jak sam przyznaje, tylko dla dobrych towarzyszów pisze.[1] Skrzywdzilibyśmy jednak niejednego z nich, twierdząc, że ich jedynie fraszkami potraktował; poświęcił im bowiem także piękne elegje, epigramy i t. d. A liczne te wierszyki świadczą chyba o tem, że Kochanowski nieraz do ich „słoików śpieszy".[2]

Z całej licznej grupy jego przyjaciół chcemy dziś wyjąć jedynie tych lekarzy, o których z jego pism wiemy ponad wszelką wątpliwość, że mu bliskimi byli w jego młodych i późniejszych latach, w jego przyjemnych i przykrych chwilach, w kraju lub na obczyźnie, w domu lub poza nim, ba, nawet i przy kieliszku. Nie będziemy się dziś zajmowali lekarzami, którzy równocześnie z Kochanowskim studja w Padwie odbywali i z nim razem do nacji polskiej na uniwersytecie należeli, a więc z pewnem albo może nawet i z wielkiem prawdopodobieństwem utrzymywali stosunki z poetą. Mamy tu na myśli przedewszystkiem dwóch lekarzy, t. j. Stanisława Rożankę i Sylwestra Roguskiego, którzy mogli być jego przyjaciółmi, i których niektórzy badacze wciągnęli do koła jego bliższych znajomych, mimo że im brak pewnej do tego podstawy. Zaliczając tych dwóch lekarzy do przyjaciół Kochanowskiego, mimo że im poeta ani jednego wierszyka nie poświęcił, czynią to dosyć dowolnie. Postępując w zamierzony przez nas sposób, zacieśniamy znacznie nasz krąg badania. Rozpatrywać będziemy jedynie lekarzy, co do których mamy pewność, że w życiu poety odegrali rolę; nie będziemy ich mieli więcej, jak trzech tylko, a będą nimi kanonicy katedralni: Jakób Montan i Stanisław Fogelweder, tudzież Niemiec szwajcarski, Jerzy Cellarius. O lekarzach tych nasi historycy literatury wspominają wprawdzie tu i ówdzie mimochodem, lecz żaden z nich nie zajął się nimi bliżej.[3]

---

[1] *Fragmenta. Na swe księgi do Łaskiego.*

[2] J. Kochanowski, *Pisma zbiorowe*, wyd. Brücknera. Warszawa 1924. Wstęp, str. 17.

[3] W ostatnim czasie pojawiła się rozprawka Ł. Kurdybacha pod tytułem *Stanisław Fogelweder, humanista i dyplomata polski XVI wieku*, w której autor potrąca okolicznościowo o stosunek Fogelwedera do Kochanowskiego.

II

Jakób Montan był synem chirurga Zygmunta I, Jakóba, który pochodził z Włoch (*Jacobus de Montequiiana Mantuanus*), osiadł w Krakowie, gdzie po przedłożeniu dowodów prawego pochodzenia, uzyskał *ius civile* w r. 1512,[1] a w kwietniu 1546 r. już nie żył.[2] Stary Montan piastował godność senjora cechu cyrulików, mieszkał w domu własnym przy ulicy Grodzkiej, gdzie wychował obok Jakóba jeszcze czterech synów, t. j. Franciszka, Antoniego, Jana i Stanisława, tudzież cztery córki, z których Zofja była żoną doktora praw, sekretarza królewskiego i wójta wileńskiego, Augustyna Rotunda, Izabella żoną aptekarza krakowskiego, Franciszka de Radicibus, Małgorzata żoną Wielisława Ławskiego, pisarza wiśnickiego, a Anna w chwili śmierci ojca była jeszcze niezamężną.[3] Młody Jakób odbył początkowe studja w Krakowie, a dla ich dokończenia wyjechał do Bolonji, gdzie się promował na wydziale lekarskim 20-go sierpnia 1556 r.[4] W kraju uzyskał liczne intratne beneficja kościelne, z których najlepsze miał do zawdzięczenia biskupowi Padniewskiemu, będąc jego lekarzem. I tak uzyskał dzierżawę probostwa w Kępnie, kanonję kruświcką i skalmierską, a gdy się w r. 1562 przez śmierć Pawła Chmielowskiego opróżnił archidiakonat lubelski, nadała go krakowska kapituła katedralna, również za przyczynieniem się Padniewskiego, jego lekarzowi przybocznemu, poczem mu znowu w r. 1563 nadała prowizorję domu przy ulicy Kanoniczej.[5]

Największy opór napotkał Montan dopiero w r. 1568, ubiegając się o kanonję i prebendę fundacji Wawrzeńczyce, opróżnioną z powodu rezygnacji z niej Padniewskiego. Kanonja katedralna była sutym kęsem dla jej posiadacza, chętnie się więc ponosiło dla niej pewne ofiary. Jak wiadomo, toczyły się częste spory po opróżnieniu się jakiejś kanonji katedralnej nietylko pomiędzy ubiegającymi się o nią a kanonikami, ale także między samymi kanonikami, in-

[1] *Lib: iuris civilis ab a. 1493 ad a. 1554*, f. 129.

[2] *Acta cons. crac. ab a. 1545 ad a. 1547*, f. 314—315.

[3] *Acta cons. crac. ab a. 1561 ad a. 1567*, f. 709—710.

[4] St. Windakiewicz w *Archiwum do dziejów lit. i ośw. w Polsce*. T. VII. Kraków 1892.

[5] *Acta actorum rev. capituli cathedraiis crac.*, vol. V, fol. 475 i. v. et 478 i. v.

terpretującymi odnośne bulle papieskie i rozporządzenia królewskie. Bulle te bowiem podobnie, jak i rozporządzenia, regulowały sposób nadawania tej godności, określając liczbę kanonij szlacheckich lub plebejuszowskich raz na korzyść jednych, innym razem znowu na korzyść drugich, zawsze jednak pozostawiając skromną tylko liczbę kanonij dla bakałarzy lub magistrów prawa, filozofji lub medycyny. I tak postanowił papież Jan XXIII (bullą mantuańską z r. 1414, po porozumieniu się z Władysławem Jagiełłą) uczynić kanonje katedralne krakowskie przystępnemi jedynie dla szlachty, zastrzegając tylko dwie kanonje dla prawników, filozofów lub lekarzy i umożliwiając w ten sposób dwom tylko plebejuszom uzyskanie kanonji katedralnej.[1] Mimo to zastrzegł jeszcze sam Władysław Jagiełło wielkim przywilejem z r. 1433 wszystkie urzędy i szlacheckie godności katedralne wyłącznie dla szlachty,[2] co też w r. 1484 Kazimierz Jagiellończyk w całości potwierdził.[3] Spowodowany ciągłemi na tem tle waśniami i sporami, podejmowanemi przez pokrzywdzonych w ten sposób plebejuszów, wdał się w tę sprawę Jan Albert, który w r. 1496 przypomniał wprawdzie kapitułom katedralnym obowiązek niedopuszczania plebejuszów do kanonij katedralnych,[4] lecz wkrótce sam cofnął swoje niefortunne rozporządzenie, bo jeszcze w tym samym roku rozszerzył bullę mantuańską papieża Jana XXIII. Powiększył bowiem liczbę kanonij plebejuszowskich przy katedrze krakowskiej w ten sposób, że dodał jeszcze po dwie kanonje dla doktorów teologji i prawa, a jednę kanonję lekarską przy tych katedrach, których bulla mantuańska nie wymieniła.[5] Lecz i teraz nie zapanował spokój. Interpretowanie bulli i rozporządzeń królewskich przy pomocy potężnych panów, fałszywych świadectw i dowodów, zależnie od potrzeby ubiegających się o kanonje, spowodowało króla Aleksandra do ogłoszenia w r. 1505 statutów, które miały sprawie nadawania kanonij nadać formę prawną i w ten sposób zapobiec zgorszeniu. „Statuta“ Aleksandra rozsze-

[1] J. Lachs, *Lekarze krakowskiej kapituły katedralnej.* Kraków 1905, str. 11.

[2] A. Lewicki, *Codex epistolaris saeculi decimi quinti.* Tom II. Cracoviae, p. 308.

[3] L. Gąsiorowski, Rozprawa wyświecająca historję zaprowadzenia kanonikatu doktora medycyny przy wszystkich kościołach katedralnych polskich w *Roczniku Tow. Przyj. N. Pozn.* T. I, str. 294.

[4] *Volumina legum,* vol. I, f. 262.

[5] *Ibidem,* f. 263.

rzają pojęcie szlachectwa, żądając od ubiegających się o kanonję nietylko pochodzenia z ojca szlachcica, ale także odpowiedniego szlachcie sposobu życia i zajęcia temu stanowi godnego.[1] I tym jednak statutem sprawy definitywnie nie załatwiono, bo już Zygmunt I czuł się spowodowanym prosić papieża Leona X o pomoc, której mu papież użyczył, ogłaszając w r. 1515 bullę *de recipiendis plebeis ad ecclesias cathedrales ad numerum quattuor.*[2] Bullą tą zmniejszył papież liczbę kanonij plebejuszowskich do czterech i to jedynie kosztem kanonji lekarskiej, co także papież Klemens VII bullą z r. 1525 potwierdził.[3] Ustawą piotrkowską z r. 1538[4] zastrzega znowu Zygmunt I wszystkie beneficja szlachcie, zezwalając na wybór plebejusza jedynie w braku kandydata szlacheckiego, i zwraca się ponownie o pomoc w sprawie nadawania kanonij do stolicy papieskiej, której mu użyczył papież Paweł III w r. 1543 swojem *breve declarans,* uzupełniając niem bullę papieża Leona X i wprowadzając ponownie kanonję lekarską dla plebejusza.[5] Tak mniej więcej przedstawia się, w najkrótszym zarysie, historja kanonikatu lekarskiego aż do połowy XVI wieku, z którą zapoznawszy się, zrozumiemy postępowanie Montana, kiedy się ubiegał o kanonję przy katedrze krakowskiej.

Montan — jak to wyżej wspomniano — był lekarzem i w dodatku pochodzenia plebejuszowskiego; mógł się więc ubiegać o kanonję lekarską w razie jej opróżnienia. Kanonję tę dzierżył naówczas Piotr z Poznania, na którego śmierć czekać Montanowi było za długo, tem bardziej, że mając tak możnego protektora, jakim był Filip Padniewski, mógł uzyskać inną kanonję wcześniej, chociażby nawet i drogą niezwykłą. Z lekarza Montana obudził się pewnego dnia ksiądz Montan. Jakim sposobem się to stało, jest tajemnicą dla wszystkich, oprócz samego Montana a może i biskupa Padniewskiego. Uzyskawszy doktorat teologji, nie potrzebował już Montan dłużej czekać na opróżnienie się kanonji przez śmierć kanonika. Grzeczność tę wyświadczył mu jego opiekun Padniewski,

---

[1] *Volumina legum.* Vol. I. *Statuta ecclesiarum.*

[2] Gąsiorowski, *Historja kanonikatu* itd., str. 299 i 300. — Brzeziński, *O konkordatach Stolicy Apostolskiej z Polską w XVI w.* (*Rozprawy Akademji Um. wydz. hist.-fil.* S. II. T V, str. 276. Kraków 1894).

[3] Ks. S. Ch., *Medycy kapituły włocławskiej* (*Kwartalnik teologiczny.* T. I).

[4] *Volumina legum,* vol. I, f. 521.

[5] *Vol. leg.,* vol. II, f. 595.

rezygnując w r. 1568 z prebendy Wawrzeńczyce. Kiedy zaś Montan czynił kroki celem jej uzyskania, oświadczyła się wprawdzie za przyczynieniem się Padniewskiego większość kapituły za nim, lecz mała grupka, składająca się z kanoników: Marcina Kromera, Franciszka Krasińskiego, Jana Kłodzińskiego i Jana Radomskiego, zaprotestowała przeciw jego wyborowi jako niezgodnemu z duchem bulli papieża Leona X i z rozporządzeniem króla Jana Alberta. Sprzeczność ta polegała na tem, że kanonja lekarska i plebejuszowskie były obsadzone, doktoratu zaś teologji Montana, jako w dosyć dziwny sposób uzyskanego, prawdopodobnie wogóle nie uznawano. Padniewskiemu jednak nietrudno było przezwyciężyć opozycję, i w połowie r. 1569 mógł już Montan złożyć przepisaną dla kanoników przysięgę.[1] Dostawszy się raz do grona kanoników, umiał ich Montan szybko dla siebie pozyskać, czemu dali wyraz, obdarzając go prowizorją domów kanoników i dochodami z nich płynącymi. Nie koniec jednak na tem, bo obok domów tych nadawano mu także po kolei rozmaite dobra katedralne, jak wieś Wolę Zacharzowską, Pychowice i Wąssów. W gronie kanoników piastował Montan także pewne godności, a mianowicie od r. 1575 obierano go kilkakrotnie prokuratorem dla spraw katedry, za co mu przyznano wynagrodzenie w wysokości 10 grzywien, a w r. 1576 poruczono mu obowiązki *fabricatoris acclesiae cathedralis*.[2] Montan umarł po krótkiej chorobie w nocy z dnia 19-go na 20-go lutego 1580 r., a kanonicy pochowali jego zwłoki w kaplicy różańcowej kościoła katedralnego obok grobu jego dobrodzieja, biskupa Filipa Padniewskiego.

Egzekutorami swojego testamentu — w którym poczynił zapisy na katedrę krakowską na anniwersarz dla siebie, Piotra z Poznánia i Zygmunta Augusta — zamianował Montan archidiakona Stanisława Krasińskiego i kanonika Łukasza Podoskiego.[3]

Tyle o Montanie jako o kanoniku katedralnym.

O jego działalności obywatelskiej nic nie wiemy. Zapiski miejskie krakowskie wspominają o nim jedynie z okazji rozdziału spadku po jego ojcu, którego się Montan, opływający w dochody z tak licznych beneficjów kościelnych, zrzekł na rzecz swoich braci i sióstr.

---

[1] *Acta actorum*, vol. VI, f. 118—120, 131, 142, 147.
[2] *Ibidem*, f. 319, 367, 379, vol. VII, f. 116, 118, 119.
[3] *Ibidem*, vol. VII, f. 162, 163, 174.

Bardzo mało też wiemy o jego działalności lekarskiej Ze swoich wiadomości lekarskich korzystał Montan m. i. jako lekarz biskupa Padniewskiego i — co nas tu dziś przedewszystkiem zajmuje — wieszcza z Czarnolasu, z którym — jak to zobaczymy — łączyła go serdeczna i dozgonna przyjaźń. W jaki sposób do niej doszło i co łączyło tak mało dbałego o dobra ziemskie poetę z tak bardzo dbającym o swą kieszeń lekarzem i kanonikiem?

Wiemy, że Kochanowski wyjechał po raz pierwszy na studja do Włoch, a mianowicie do Padwy, w lecie r. 1552, skąd — jak to wykazuje prof. Kot [1] — w lecie 1555 przybył do Królewca, a uzyskawszy pieniężne poparcie od księcia Alberta pruskiego w wysokości 50 mk. pruskich a pożyczkę w wysokości 70 fl. polskich od stryja swojego Mikołaja, wyprawił się po raz wtóry do Włoch, przedewszystkiem do Padwy, tem bardziej, że chciał tam leczyć chorobę oczu. Na samym początku r. 1557 zmarła jego matka, co spowodowało jego powrót do kraju na krótki czas po to, żeby w r. 1558 zjawić się po raz trzeci we Włoszech. Jak więc widzimy, odbywali Kochanowski i Montan prawie równocześnie swoje studja we Włoszech, lecz nie razem, gdyż — jak wiemy — Montan studjował medycynę w Bolonji, gdzie uzyskał stopień doktora medycyny i gdzie go w księgach wydziału lekarskiego zapisano jako Niemca, co należy może tem tłumaczyć, że pierwotnie stanowili Niemcy i Polacy na niektórych uniwersytetach włoskich jedną wspólną nację. Czy ta nieznaczna odległość była dla nich przeszkodą do utrzymywania dawnych, może jeszcze w Krakowie zadzierzgniętych stosunków, względnie do ich nawiązania — rozstrzygnąć nie umiemy. Pewne jednak jest, że tak w Krakowie, jak i po przeniesieniu się Kochanowskiego do Czarnolasu, łączyła ich ścisła zażyłość. Tę prawdopodobnie zapośredniczyli wspólni ich przyjaciele, jak biskup Padniewski, podkanclerzy Piotr Myszkowski, Andrzej Patrycy Nidecki i kanonik Stanisław Fogelweder. Więcej jednak, aniżeli te domysły, mówią nam o stosunku poety do Montana jego *Fraszki*, ta — rzec można — księga jego żywota, w której nas zapoznaje z wesołemi i przykremi chwilami swojego życia, ze swoimi znajomymi i przyjaciółmi, ze swojemi sympatjami i antypatjami, z tem, co go gniotło i co mu radość w życiu sprawiało.

---

[1] *Jana Kochanowskiego podróże i studja zagraniczne* (*Studja staropolskie. Księga ku czci Aleksandra Brücknera*. Kraków 1928).

W dowcipny, a nie rzadko i satyryczny sposób, wypowiada w nich Kochanowski swoje poglądy na rzeczy, stosunki i osoby, chwaląc lub smagając bez litości, nie licząc się bynajmniej z następstwami. A przykładał do tych *Fraszek* wielką wagę, i włożył w nie dużo ze swego *ja*, wróżąc sobie i opiewanym po nich wielką przyszłość, albowiem wedle niego

Sława z dowcipu sama wiecznie stoi,
Ta gwałtu nie zna, ta się lat nie boi.[1]

We *Fraszkach* swoich Kochanowski przekazał potomności także i swojego przyjaciela, Montana, kreśląc w żywych kolorach jego barwny obraz. Tu się dowiadujemy, kim był Montan i co przyjaciół łączyło. Już wyżej widzieliśmy, jak Kochanowski cenił prawdziwą przyjaźń. Tu dodamy, że wedle niego

. . . . . skarbu więtszego
Nad przyjaciela nie masz uprzejmego.
Kto się w taki skarb dobrze zapomoże,
Póki żyw upaść w ubóstwo nie może.[2]

Wesołe to było towarzystwo, ci przyjaciele, których gromadził koło siebie Kochanowski, a do których, obok wyżej wymienionych, należał także i Piotr Royziusz z Hiszpanji pochodzący, zwany dlatego we *Fraszkach* — doktorem Hiszpanem. Nie brakło tam, obok księży i lekarzy, także i kobiet, a wieczorami, nie rzadko i po nocach, składano ofiary Bacchusowi i Wenerze, ułatwiał im zaś Kochanowski to wesołe życie, głosząc zasadę: *carpe diem* następującemi słowy:

Dosyć na rozum człowieczy
Dzień dzisiejszy mieć na pieczy:
Ostatek na Boga wkładaj
A dobrze żyć nie odkładaj.[3]

Jak się zachowywał w tej wesołej spółce nasz Montan? By na to pytanie odpowiedzieć, musimy zaglądnąć znowu do *Fraszek*. Kochanowski nie radzi — co prawda — zbytnio się w nie

[1] *Fraszka „Do Panieу"*. Ks. I. Nr. 92.
[2] *O Pijaństwie. Źle dopijać się przyjaciela.*
[3] *Pieśni.* Ks. II. Nr. 14.

zagłębiać, przestrzegając nas z góry, że trud ten będzie bezcelowym, gdyż się z tego labiryntu nie wydostaniemy:

Obrałliby się kiedy kto tak pracowity,
Żeby z was chciał wyczerpać umysł mój zakryty:
Powiedzcie mu, niech próżno nie frasuje głowy,
Bo się w dziwny labirynt i błąd wda takowy,
Skąd żadna Aryadna, żadne kłębki tylne
Wywieść go móc nie będą, tak tam ścieżki mylne.[1]

Na szczęście jednak nie są te „ścieżki", prowadzące do Montana, tak bardzo „mylne", jak poeta twierdzi, a gdyby niemi nawet były, musielibyśmy, mimo przestrogi Kochanowskiego, z nich korzystać, gdyż one są do dziś dnia prawie że jedynem i najbogatszem źródłem dla bliższego poznania Montana wskazując zarazem, co poetę z lekarzem łączyło.

Montan był lekarzem Kochanowskiego, któremu nietylko udzielał pomocy lekarskiej ale go równocześnie — jak to dawniej często lekarze czynili, — w leki zaopatrywał. Do tego odnoszą się słowa fraszki *Do Montana...*[2] „Jan tobie, Montanie, słojki twe oddawa". Do niego także odnosi się fraszka *Do doktora*, która wskazuje, jak poważnie się zapatrywał Kochanowski na zadanie lekarza. Kiedy się bowiem Montan zwrócił do niego z prośbą o wypożyczenie mu *Fraszek*, doczekał się reprymendy, w której się poeta dziwi żądaniu jego i zwraca mu uwagę na poważne zadanie lekarza. Czyniąc jednak zadość życzeniu swego lekarza, przesyła mu je, lecz żąda ich szybkiego zwrotu, by się nie bawił fraszkami:

Fraszka a doktór — to są dwie rzeczy przeciwne,
Przeto u mnie, doktorze, twe żądanie dziwne,
Że do mnie ślesz po fraszki, tak daleko ktemu;
Ja jednak dosyć czynię rozkazaniu twemu.
Ty strzeż twojej powagi, nie baw się fraszkami,
Ale mi je odeśli prędkiemi nogami.[3]

Wiadomości lekarskie Montana, jak niemniej i jego rozum, cenił Kochanowski bardzo wysoko, dając temu swojemu zaufaniu do niego wyraz w następującej fraszce, w której równocześnie podnosi

[1] Ks. III. Nr. 29. *Do Fraszek.*
[2] Ks. II. Nr. 98.
[3] *Do doktora.* Ks. III. Nr. 36.

jego zmysł praktyczny, przy pomocy którego umie on sobie dać radę w każdej sytuacji:

> Arcydoktorem cię zwać każdy może śmiele,
> Bo ty nie tylko umiesz zleczyć niemoc w ciele,
> Ale i na dobrą myśl masz fortelów wiele. [1]

Umiał jednak Kochanowski i trzeźwo patrzeć na swojego przyjaciela i nie był ślepym na jego przywary, które mu odważnie wytyka. Do tych należy plotkarstwo. Zdaje się, że co Montan jako lekarz na dworze biskupa Padniewskiego słyszał, to mu donosił, przystrajając prawdopodobnie po swojemu to co mu tam opowiedziano. Musiało się to wielokrotnie powtarzać, Kochanowski zaś, gdy mu tego już za dużo było, prosił Montana wcale nie dwuznacznie, by zaprzestał plotkowania, twierdząc, że fraszek ma u siebie podostatkiem, zalecając zaś przyjacielowi, by na dworze biskupim „statku" raczej nabrał. [2]

Z tym „statkiem" u Montana, mimo sutanny, szło jakoś ciężko. Montan był, wedle zeznania Kochanowskiego, i do tańca i do różańca, dbając jednak więcej o taniec, aniżeli o różaniec. Wiedząc zaś dobrze, co się godzi a co się księdzu nie godzi, ukrywał swoje stosunki i stosuneczki przed Kochanowskim, którego uwagi one jednak mimo to nie uszły, zdradzało go bowiem piżmo, po którem Kochanowski poznawał przyjaciółki Montana:

> Nie trzeba mi się wiele dowiadować,
> Kędy ty chodzisz, doktorze, miłować,
> Bo która z tobą w wieczór pobłaznuje,
> Każda nazajutrz piżmem zalatuje. [3]

A piżmo to Kochanowski zna dobrze, bo i jego przecie Montan sam w nie zaopatrywał.

Na jeszcze jedną wadę Montana zwraca uwagę Kochanowski. W bardzo dowcipny sposób wyrzuca mu poeta jego gorączkę w gromadzeniu intratnych beneficjów kościelnych we fraszce zatytułowanej *Do doktora Montana,* w której opowiada o wizycie u swojego lekarza:

---

[1] *Do doktora.* Ks. II. Nr. 84.
[2] *Ibidem.* Ks. II. Nr. 35.
[3] *Ibidem.* Ks. II. Nr. 47.

Pierwszą, wtórą i trzecią, czwartą wieś i piątą,
Szóstą także i siódmą, ósmą i dziewiątą,
Nie wiem, miły doktorze, w której masz krainie,
Jam tylko był w dziesiątej, która przy Lublinie [1]

Dziesiąta, w której Kochanowski odwiedził przyjaciela to wieś pod Lublinem, z której dochody czerpał Montan, jako archidiakon lubelski.

Lekarz ten w sutannie lubiany był w kole kanoników, bo (jak pisze ksiądz Płaza w liście do Kromera) „był dobry i potrzebny człowiek". Donosząc zaś o jego śmierci, dodaje przecież, że „przypłacił mięsopustów, których się napijał nad miarę *cum palatino cracoviensi*".[2] Kanonicy jednak katedralni postanowili mimo to uczcić jego pamięć tablicą marmurową, którą uchwalono wmurować w kaplicy różańcowej obok jego grobu.[3] Treść napisu na nagrobku zmarłego Montana daje wyraz sympatji, jaką się zmarły cieszył pośród kolegów.[4]

(Dok. nast.)

---

[1] *Do doktora Montana.* Ks. II. Nr. 67.
[2] *Listy do Kromera. Dziennik wileński.* T. V. r. 1817.
[3] *Acta actorum.* Vol. VII, f. 252.
[4] Starowolski, *Monumenta Sarmatiae.* 43.

LEON CHWISTEK

ZAGADNIENIA KULTURY DUCHOWEJ W POLSCE

II. ZAGADNIENIA SZTUKI

(ODCZYT WYGŁOSZONY W ZWIĄZKU LITERATÓW W LUTYM 1930 R.)

Jednym z najzłośliwszych hamulców rozwoju kultury duchowej, a w szczególności sztuki jest brak ścisłych kryterjów na jej szczytach. Ścisłe kryterja możliwe są tylko tam, gdzie pracuje się na podstawie jasno sformułowanych zasad, a więc kanonów czy kodeksów takich, jak np. kodeks cywilny lub statut jakiegoś towarzystwa. Tylko wtedy możemy mówić o sądzie objektywnym, jeśli możemy się powołać na taki kodeks, a wiadomo, że nawet i wtedy powstaje wiele spraw wątpliwych i niejasnych. Jeśli chodzi o sztukę, to jest pewne, że historja jej związana jest ściśle z całym szeregiem kodeksów i kanonów. Wiadomo, że sztuka wschodnia trzymała się bardzo ściśle raz na zawsze przyjętych szablonów. Wiadomo, że Grecja miała t. zw. kodeks Koraksa. W średniowieczu spotykamy bardzo rozwinięty system reguł komponowania. Od czasu renesansu zasady czysto estetyczne ustępują miejsca ogólnej regule zgodności z naturą. Ta reguła wyradza się szybko w szczegółowy system, oparty na szeroko rozwiniętym aparacie naukowym, obejmującym perspektywę, anatomję, a nawet historję. Ilość reguł rośnie w sposób niesłychanie szybki, a w połowie XIX w. zaciera się niemal granica pomiędzy nauką a sztuką. Dyskusje malarskie stają się traktatami przyrodniczemi, filozoficznemi, psychologicznemi, a jeśli chodzi np. o Matejkę i jemu współczesnych, także historycznemi.

Impresjonizm obala od jednego zamachu cały ten subtelny aparat, podstawiając na miejsce starej, fizykalnej rzeczywistości, rzeczywistość wrażeń. Jeśli artysta przedrenesansowy brał z natury tylko ogólny schemat, który uważał za dość giętki materjał kompozycji, — jeśli naturalista starał się stworzyć syntezę wrażeń, odpowiadającą objektywnej poza wrażeniami kryjącej się rzeczywistości, to impresjonista zajął się wraże-

niami jako takiemi, zaniedbując kompozycję, a poświęcając całą uwagę wydobyciu z chaosu elementów wrażeniowych, tych, które wydawały mu się najważniejsze. W ten sposób rozpadło się malarstwo na zasadnicze typy, których z sobą porównywać niepodobna. Jeśli powiesimy jakiś impresjonistyczny obraz, np. Moneta obok Tycjana i dodamy do tego Madonnę Cimabue'go, to stwierdzimy z łatwością, że pomiędzy temi rzeczami niema pomostu, że są to poprostu różne światy, które same sobie wystarczają i na swój sposób są doskonałe, ale wzajemnie sobie przeczą i nigdy z sobą zgodzić się nie będą mogły. O tym stanie rzeczy winniśmy wiedzieć, zanim zechcemy zająć się sprawami sztuki. Winniśmy także wiedzieć, że jeśli ktoś zrósł się z naszym pospolitym naturalizmem, jeśli lubi na obrazie widzieć jelenie, czwórki, ułanów, stada owiec lub krów, lub wreszcie nasze pola i łąki, to wtedy prawdopodobnie Tycjan wcale mu się podobać nie będzie; Monet wyda mu się mniej obcy — bo przecież impresjonizm w Polsce miał i ma tęgich przedstawicieli — ale do serca mu nie przemówi, a już Madonnę Cimabue'go, wprawdzie bliską Częstochowskiej, ale nie tak znajomą i nie tak swojską, uzna w cichości ducha za bohomaz i nie będzie mógł zrozumieć, dlaczego taka rzecz wisi w muzeum.

Przyczynę tego zjawiska łatwo znaleźć. W dziele sztuki oddziaływa na nas niewątpliwie prawo, według jakiego dzieło zostało stworzone. Prawa tego nie musimy umieć sformułować, ale musimy je czuć. Wczucie się takie jest łatwiejsze, jeśli możemy posłużyć się porównaniem. Jeśli brak podstawy do porównania, rzecz wydaje nam się w pierwszej chwili przypadkowa, nie wiemy dlaczego tak ma być a nie inaczej, i to nas deprymuje zamiast cieszyć. Czujemy, że artysta wymaga od nas wysiłku, którego wykonać nie chcemy — niekiedy obawiamy się, że z nas żartuje, i zniechęceni dajemy za wygraną. Jeśli natomiast mamy do dyspozycji dane wzory, a tem samem rodzaj kodeksu, na który możemy się powołać, czujemy się zaraz pewniejsi siebie, zaczynamy śmiało rezonować, porównywać, analizować i nieraz znajdziemy w tem niemało satysfakcji. Nieszczęście jest, że zadowolenie takie uważamy za to wszystko, co dzieło sztuki dać nam może, a ponieważ jest to dosyć niewiele, zniechęcamy się rychło i sztuka traci dla nas znaczenie.

Inaczej rzecz się przedstawia, jeśli uda nam się przeżyć moment wyczucia harmonji oryginalnej, tkwiącej w dziele sztuki, która w pierwszej chwili była dla nas zakryta. Wtedy dzieją się rzeczy niezwykłe.

Opiszę tutaj dokładnie moję osobiste przeżycia. Przed pierwszym moim wyjazdem zagranicę znałem Tycjana tylko z reprodukcyj. Miałem u siebie monografję Knackfussa i studjowałem ją bardzo pilnie. Rzecz pisana przez wielkiego znawcę i entuzjastę oddziaływała na mnie bardzo silnie, budząc przekonanie, że to pojęcie sztuki, jakie wytworzyłem sobie na podstawie naszych wystaw, jest błędne. Czułem, że chodzi o inne rzeczy, ale nie mogłem zrozumieć. Ostatecznie nie wiedziałem, czy Tycjan mi się podoba czy nie. Powiem więcej: w owym czasie nie wiedziałem, czy cokolwiek mi się podoba bardzo, czy nie. Właściwie nic mi się bardzo nie podobało. Byłem zapewne w tem położeniu, w jakiem jest większość ludzi, dla których malarstwo jest jakiemś drugorzędnem akcesorjum, które się toleruje, ale bez którego właściwie doskonale obejść się można. Był to czas, kiedy zapisałem się na krakowską Akademję sztuk pięknych i byłem zajęty kopjowaniem gipsów. Wszystko to razem zniechęciło mnie najzupełniej do sztuki. Od drugiego półrocza dałem za wygraną i wziąłem się do matematyki.

W parę lat potem znalazłem się w Luwrze i niewątpliwie musiałem widzieć słynny *Salon carré*. Przyznam się jednak państwu, że nic prawie z tego nie pamiętam, jest więc pewne, że nic poważnego nie przeżyłem. W kilka lat potem widziałem Tycjana w Kassel. Była to wycieczka studencka, którą objaśniał ten sam profesor Knackfuss. Pamiętam, że wtedy uderzyła mnie harmonja czerwonego kostjumu księcia Urbino na niebieskiem tle, działała też w dalszym ciągu sugestja Knackfussa, ale właściwie nic się nie stało.

Dopiero w r. 1910 znalazłem się po raz pierwszy w galerji cesarskiej w Wiedniu. Zobaczyłem Madonnę z wiśniami, portret Izabelli d'Este, Danae, a nadto Zuzannę Tintoretta, i wtedy zaszła rzecz nadzwyczajna. Ogarnął mnie poprostu szał zachwytu. Jakieś upojenie graniczące z obłędem, poczucie rozkoszy prawie fizycznej, a zarazem tęsknoty nieogarnionej, tęsknoty za tem, żeby taki świat był, żeby ta rozkosz żywa

tryskająca z tych płócien nie ustawała nigdy, i jeszcze jedno, żebym ja mógł ją tworzyć dowoli, tyle ile tylko zapragnę.

Oczywiście tych rzeczy opisać się nie da, ale wystarczy powiedzieć, że nie było w tem nic z bezinteresownej kontemplacji Kanta, ani z skojarzeń uczuciowych znanych mi pod wpływem sztuki polskiej. Było to raczej coś pokrewnego z entuzjazmem wywołanym o wiele przedtem przez sonaty i symfonje Beethovena, tylko bardziej zmysłowe, bardziej konkretne, przesunięte w kierunku obżerania się jakiemiś soczystemi owocami. Od tego czasu jestem pewny, że wiem, co to jest sztuka. Wiem, że jest to jedno z najwyższych przeżyć, jakie można mieć, wiem, że różni się ono od wszystkiego innego, wiem, że zanalizować się nie da, i wiem, że kto tego nie zaznał, nie miał do czynienia z sztuką, choćby umiał na pamięć katalogi wszystkich muzeów świata. Wreszcie wiem, że istotnym momentem tego przeżycia była jego nowość, brak podobieństwa do tego, do czego się przywykło i trudność dotarcia do dna, trudność zrozumienia w pierwszej chwili — tak właśnie jak to jest np. z sonatą Hammerklavier.

Idąc w kierunku, wskazanym przez to doświadczenie, szukałem sztuki konsekwentnie wszędzie tam, gdzie można było jej szukać, i znalazłem ją naprzód w prymitywach średniowiecznych, których przedtem rozumiałem tylko wyjątkowo, a potem w sztuce Wschodu. Jeśli chodzi o sztukę nowożytną, to ona dała mi mało wielkich wzruszeń, muszę jednak przyznać, że salon jesienny z r. 1912, gdzie był kolosalny występ kubizmu z olbrzymiemi płótnami Picabii, z Archipenką, Picassem i naszym Gwozdeckim, a oprócz tego kilka wspaniałych Mattisse'ów, wstrząsnął mną do głębi, a potem jeszcze niektóre nasze wystawy z epoki formizmu. Ale to już było co innego — to było raczej przeczucie wielkich możliwości, zapowiedź tego, co ma się stać, ale nie było w tem tęsknoty za nieustannem współżyciem i ciągłą kontemplacją. Później przekonałem się, że entuzjazm w stosunku do najbardziej ukochanych dzieł nie jest wieczny. Dzisiaj Tycjan działa na mnie o wiele słabiej niż dawniej, podobnie prymitywi, i jest ciągła potrzeba szukania czegoś nowego, żeby karmić głód sztuki, narzucający się z coraz większą siłą.

Opowiedziałem te rzeczy nie dlatego, żeby się zwierzać, nie dlatego, żeby państwa bawić — ale dlatego, żeby wskazać,

jakie problemy tkwią na dnie zagadnienia sztuki i jak trudno z niemi sobie poradzić. Jestem pewny, że możnaby uczynić w tym kierunku znaczny postęp, gdybyśmy zechcieli otwarcie mówić o naszych przeżyciach, opanowawszy niepotrzebny wstyd. Pokazałoby się wtedy, że wielu ludzi, którzy chcą sądzić sztukę nowożytną, nie rozumie sztuki wschodniej, prymitywów, a nawet Tycjana. Pokazałoby się, że są ludzie, którzy wielbią np. Van Gogha albo Cézanne'a, czynią to nieszczerze, obawiając się, że uznamy ich za nieuków, podczas gdy w gruncie rzeczy podoba im się najbardziej Siemiradzki. Jednem słowem, zostałoby stwierdzone raz na zawsze to wielkie prawo, że królestwo sztuki jest złudne i nieuchwytne, i że niema tam nic niemożliwego. Na nic nie przydadzą się tam najsubtelniej nawet opracowane zasady i kodeksy, bo właśnie to, co jest największe, polega na przełamaniu tych zasad. Na nic nie przydadzą się najsumienniejsze studja i wysiłki, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto pokaże, że można postępować wprost przeciwnie, i ten właśnie odniesie zwycięstwo.

Pragnę jednak zwrócić uwagę Państwa na to, że mamy tu do czynienia z zjawiskiem, które obowiązuje na całym obszarze zagadnień kultury. Jest pewne, że rozwój całej naszej kultury polega z jednej strony na formułowaniu pewnych zasad i szablonów, z drugiej strony na rewizji tych zasad i zastępowaniu ich nowemi.

Bez takiej rewizji nie byłoby ani filozofji, ani matematyki, ani prawa, ani medycyny, ani nawet przemysłu. Jeśli przypatrzymy się historji którejkolwiek z tych dziedzin, przekonamy się z łatwością, że to, co wczoraj było obowiązujące, dziś jest przeżytkiem, że to, co wczoraj było dobre, dziś jest złe. Nikt nie bierze dziś serjo metafizyki Pitagorasa, żaden matematyk nie uważa postulatu Euklidesa za prawdę bezwzględną, nikt nie przejmuje się zasadami prawnemi Likurga, ani przepisami Galena, wreszcie nikt nie trzyma się zasad poetyki Boileau'a ani kodeksu Koraksa, ani kontrapunktu klasycznego. Nie znaczy to, żebyśmy mieli lekceważyć twórców tych kodeksów lub tych, którzy je wprowadzali w życie. Przeciwnie, czcimy ich i podziwiamy, ale zdajemy sobie sprawę z tego, że to jest przeszłość, że my mamy inne potrzeby, inne wymagania i że dziś musi być inaczej. Jeśli tak jest, to musiały w historji

kultury dokonywać się przewroty, które powodowały zarzucenie starych zasad i zastąpienie ich nowemi. Co więcej, musimy stwierdzić, że każdy wielki rozkwit kultury, a w szczególności sztuki związany był z rewizją starych zasad. Z chwilą, kiedy zasady zaczęły się krystalizować, wytwarzał się natychmiast szablon, który szybko prowadził do upadku. Jeśli chodzi o sztukę, to rozwój jej, jak na to wskazywałem wielokrotnie, zależny jest ściśle od stosunku artysty do rzeczywistości. Sądzę, że ci entuzjaści sztuki, którzy chcą ją za wszelką cenę oderwać od rzeczywistości i rzucić na mętne dziedziny abstrakcji i metafizyki, wyświadczają jej złą przysługę. Tak pojęta sztuka staje się czemś zbyt suchem, zbyt zbliżonem do geometrji, a co gorsza czemś obojętnem, bezpłciowem i mdłem. Przecław Smolik powiedział w liście pisanym do mnie, że „sztuka — to i wszystko dziś, co pozostało nam ludziom cywilizowanym z dawnej siły instynktów pierwotnych przodków naszych i z ich niefrasobliwej radości życia. Wszystko bowiem Europejczyk zmechanizował, spospolitował, ułożył w system, zeszpecił i strawił intelektem i blagą, jak ogniem i żelazem. Wszystko zdeprawował. Tylko w sztuce dochodzi czasem do głosu, buntuje się krzywda jego zdławionych instynktów".

W słowach tych znajduje się głęboka prawda. Sztuka musi być wybuchem instynktu, zerwaniem pęt, a tem samem obaleniem szablonów, kanonów i kodeksów. Nie trzeba jednak myśleć, że ten proces ma się dokonywać niezależnie od wielkiej kultury duchowej. Ludzi o wielkich temperamentach, wielkiej sile instynktu i wielkim entuzjazmie nigdy u nas nie brakło, pomimo to jednak nie potrafiliśmy nigdy wznieść się do ostatecznych wyżyn sztuki. Przyczyna tego tkwi niewątpliwie w braku autokrytycyzmu, zależnego ściśle od kultury. Godzę się ze Smolikiem, że intelekt zniszczył w Europie sztukę, ale muszę zaznaczyć, że nie sądzę, żeby tak być musiało. Jestem przekonany, że jesli się tak stało, to dlatego, że intelekt nie był użyty w właściwy sposób, że nałogi nabyte w dziedzinie nauki przerzucono automatycznie na teren sztuki, wlokąc za sobą wszystkie ich ciemne i rozkładowe pierwiastki. Możnaby bowiem powiedzieć, że źle użyty intelekt jest równie szkodliwy w nauce i sztuce. I tu i tam wytwarza się szablon nader szybko i z wielkiego rozpędu górskiego potoku robi się za-

tęchłe, bagniste jeziorko. Sprawa sprowadza się do tego, że tu i tam potrzebna jest ciągła ewolucja pojęć, która może być dyktowana jedynie instynktem. Ten właśnie instynkt prowadzi nas ostatecznie do systemów i kodeksów, ale na to tylko, żeby z chwilą, gdy one są gotowe, spostrzec ich nicość i obejrzeć się za nowemi. Sprawa sprowadza się do wiecznej walki między empiryzmem a idealizmem. I jeden i drugi ma rację, kiedy głosi, że jest koniecznie potrzebny, ale i jeden i drugi staje się szkodliwy, kiedy uzurpuje sobie jedynowładztwo. Idealizm, pojęty jako tęsknota za doskonałością, jest wspaniały, wielki i twórczy, jako — doktryna o istocie bytu, o istocie prawdy, piękna i fałszu jest błędny i niebezpieczny. Empiryzm jako tęsknota za zerwaniem pęt złych nałogów, jako chęć zetknięcia się z rzeczywistością oko w oko jest piękny, potężny i ożywczy — jako doktryna o nicości poczynań ludzkich, o biernej roli człowieka w stosunku do przyrody jest zniechęcający i zabójczy. Idealizm w sztuce jest twórczy, jeśli mówi: dążmy ciągle naprzód, budujmy nowe światy, sięgajmy tam, gdzie nasi poprzednicy nie śmieli spojrzeć, — ale jest zgubny, kiedy powiada: nie naruszajmy wieczystych praw bytu i piękna i doskonałych harmonij uświęconych tradycją.

Empiryzm w sztuce jest twórczy, jeśli mówi: Budźmy do życia nasz instynkt twórczy, analizujmy i krytykujmy narzucone nam przesądy, bądźmy naprawdę sobą, a nie nieświadomem czy świadomem odbiciem jakichś wzorów; ale jest zgubny kiedy głosi: nie myślmy, nie liczmy się z nikim i z niczem, bo przyroda sama za nas pracować będzie. Historja sztuki uczy, że wielcy artyści byli nieraz filozofami i zastanawiali się głęboko nad zagadnieniem rzeczywistości, które z sztukami plastycznemi jest ściśle związane. Wielokrotnie wskazałem na to, że zasadnicze typy malarstwa: prymitywizm, naturalizm, impresjonizm i formizm związane są ściśle z odmiennemi koncepcjami rzeczywistości. Zaznaczałem jednak zawsze, że chodzi tu tylko o ogólną orjentację, która nie może na żaden sposób decydować o wartości dzieła. Nie mogą też tego dać żadne reguły komponowania, żadne prawidła estetyczne i żadne ideje, choćby najwznioślejsze, ożywiające artystę. Natomiast jedna rzecz jest pewna: Nowe reguły komponowania, nowe prawidła estetyczne i nowe ideje, ożywiające artystę, muszą na jego

dziele wycisnąć piętno oryginalności, odróżniające je wyraźnie od tego, co robiono przed nim. Ta oryginalność nie decyduje znowu o wartości dzieła, ale posiada niewątpliwie ogromne znaczenie, jako czynnik podniecający twórczość, jako element czyniący zadanie artysty pociągającem i zabawnem. Jeśli prawdą jest, że artysta musi pracować z największem wytężeniem, i jeśli prawdą jest, że praca artysty musi być dla niego największą rozkoszą, to jakże te dwie rzeczy pogodzić? Otóż sądzę, że wyjście z tego dylematu możliwe jest tylko w jednym wypadku, jeśli nowość zagadnienia i niespodzianki, ukryte w niem na każdym kroku, pochłaniają nas do tego stopnia, że to, co nazywa się pracą, dokonuje się niemal nieświadomie, choćby chodziło o długie godziny spędzone przy sztaludze. Entuzjazm dla dzieła trzeba odróżnić od entuzjazmu dla modelu. Jest to bardzo ważny punkt, na który chciałbym zwrócić osobliwą uwagę. Najpospolitszym u współczesnych artystów jest entuzjazm dla modelu. Jedni rozkoszują się pejzażem, drudzy martwą naturą, inni aktem, i wszyscy marzą daremnie o tem, jakby ten czar, który bije od natury, oddać na płótnie. Jest to zasadnicza omyłka. Czar dzieła sztuki jest i musi być zasadniczo odmienny od czaru natury, bez względu na to, jaki jest stosunek tego dzieła do natury. Oczywiście pod warunkiem, że pewne zasadnicze postulaty są spełnione. Tak np. jest pewne, że gdyby ktoś wymalował kobietę i zamiast nogi zrobił flaszkę, jak tego kiedyś chciał Stanisław Ignacy Witkiewicz, to taki obraz byłby trudny do strawienia. Jeśli chodzi o mnie, to nie mogę znieść wszelkich obrazów i rzeźb o zbyt podkreślonych cechach anatomicznych, dalej nie znoszę w sztuce cierpień fizycznych, wyrazów twarzy nerwowych i t. d. Żeby porozumieć się co do tych rzeczy, trzeba bardzo wiele wysiłku umysłowego i bardzo wiele doświadczenia osobistego obu stron. Ale nie pora zastanawiać się nad temi rzeczami. Chodzi o to, żebyśmy zrozumieli, że rzeczywistość jest materjałem płynnym, niedostępnym dla przeciętnego obserwatora. Rzeczywistość nie ma swojej własnej, określonej formy — powiem więcej, rzeczywistości jako czegoś określonego, danego *a priori* niema. Rzeczywistość tworzy dopiero artysta, narzucając jej swoją formę i swoje prawa. Z chwilą, kiedy artysta opanuje zagadnienie rzeczywistości do tego stopnia, że kontakt z modelem staje się

dla niego albo zgoła niepotrzebny, albo drugorzędny, zaczyna się dopiero właściwe zagadnienie sztuki, t. j. zagadnienie formy i barwy obrazu.

Pomimo wszystko, co o tym przedmiocie mówiono i pisano, przeważa jeszcze opinja, że w obrazie chodzi o poszczególne formy i barwy. Tak bynajmniej nie jest. Obraz jest całością i on musi mieć swoją barwę i swoją formę, oczywiście niekoniecznie jednostajną, ale stanowczo jednolitą. Co należy robić, żeby tak było, na to jest bardzo trudno odpowiedzieć. Jest pewne, że decydować tu musi instynkt, który od jednego rozmachu rozcina cały splot zagadnień nie dających się rozwikłać teoretycznie. Chodzi tylko o to, żeby ten instynkt wyswobodzić, żeby dać mu się uwolnić z pęt narzuconych przez błędną tradycję. Jeśli bowiem każemy artyście pamiętać o uroku modelu, jeśli każemy mu delektować się każdym jego szczegółem, to instynkt ten krępujemy i zabijamy. Wyswobodzić go potrafimy jedynie wówczas, jeśli nauczymy się odczuwać urok obrazu jako całości i każdego jego szczegółu jako takiego. Jeśli artysta obracać się będzie w tej sferze myśli, jeśli nie będzie miał pokus imponowania publiczności t. zw. śmiałością linji, mistrzowskiem posunięciem pędzla, zdolnością podpatrzenia tajemnic natury i t. d., to znajdzie on napewno właściwą drogę, która pozwoli mu przezwyciężyć największe trudności. Ale do tego potrzebna jest krytyka. Krytyka starych zasad i stawianie świadome czy nieświadome zasad nowych. W praktyce wychodzi to na poszukiwanie nowej formy. Dążenie to jest w Polsce źle widziane i zawsze było. Nazywa się pretensjonalnością, sadzeniem się na oryginalność, blagą i t. d. Rezultaty tego poglądu na świat są wszystkim dobrze znane. Z małemi wyjątkami idziemy we wszystkich działach w ogonie kultury europejskiej. Ale tak przecie być nie musi. Mam nadzieję, że wkrótce będzie inaczej. Do tego jednak konieczne jest krytyczne rozpatrzenie naszych poglądów na sztukę.

TRUDNOŚCI I NIEBEZPIECZEŃSTWA PRZEWROTU

Jeśli rewizję zasad uważam za warunek konieczny odrodzenia sztuki, to jednak muszę przyznać, że nie jest ona warunkiem wystarczającym. Dowodem tego historja naszego for-

mizmu. Niedawny to okres, który większość z nas pamięta doskonale. Sądy o nim są podzielone. Jedni uważają go za okres upadku i cieszą się, że się skończył, inni, a do tych i ja należę, są przekonani, że był to okres zaczynającego się rozkwitu, który jednak został przedwcześnie zdławiony. Jest pewne, że okres ten trwał zbyt krótko, rozwinął się zbyt gwałtownie i zbyt radykalnie, skutkiem czego nie miał poprostu najważniejszej podstawy rozwoju, jaką jest długotrwała, wytężona i konsekwentna praca nie poszczególnych jednostek, ale zwartej rzeszy całego pokolenia artystów. W tych warunkach nie było mowy o stworzeniu własnego stylu i dzieł o znaczeniu epokowem. Niemniej nie należy zapominać, że wtedy właśnie pomimo równocześnie dokonujących się przewrotów politycznych i ekonomicznych, sprawy sztuki zajmowały wszystkich, zapełniały szpalty dzienników, były przedmiotem rozmów i dyskusyj publicznych, wydawały się aktualne, ważne, niepokojące i t. d. Doprawdy ze wzruszeniem przypominam sobie te czasy, kiedy ludzie, poświęcający się wyłącznie swojemu zawodowi, którzy nigdy nic wspólnego ze sztuką nie mieli, zapuszczali się w dociekania teoretyczne, polemiki, pienili się z wściekłości, zalewali się krwią żywą z szczerego oburzenia, ale bawili się, spędzali czas w sposób inteligentny, o wiele lepiej niż to mogą uczynić dziś, grając w bridge'a lub patrząc na amerykańskie bzdury po kinach. Sztuka dzisiejsza, grzeczna, skromna i potulna, o którą walczyli z taką zaciekłością, nie bawi ich wcale. Jest w tem na dnie głęboka prawda psychologiczna, nad którą warto zastanowić się bliżej.

Element walki jest koniecznie potrzebny do życia tak jak powietrze i woda. Zwalczamy to, co nam jest potrzebne do życia, zwalczamy wiedzeni instynktowem przeczuciem, że walka uczyni je tem silniejszem i tem lepszem. Biada, jeśli odniesiemy zwycięstwo. Wtedy niema kogo zwalczać. Zostają tylko elementy ugodowe i mdłe. Zaczynamy się nudzić i konać z nudów. Zaczynamy tęsknić za wrogiem, zaczynamy szukać go i kultywować. I wtedy gotowi jesteśmy rzucić się w objęcia każdego, kto nam daje choćby złudzenie rozmachu i jurności przewrotowej, choćby to był i naturalista niedaleko odbiegły od szablonów, byle tylko nie był zbyt grzeczny, zbyt miękki i mdły. Ale niestety w tych objęciach wkrótce owiewa nas

trupie zimno. Passeizm, nie przezwyciężony radykalnie, mruga na nas z za kulis uprzejmie i zachęcająco, i jest z tem tak, jak czasem się zdarza, że na jakiejś zabawie chcąc koniecznie bawić się, a nie mając z kim, zabierzemy się do jakiejś nieciekawej opuszczonej damy, która mizdrzy się do nas, staje na głowie, żeby nas sobą zająć i może nawet na chwilę jej to się udaje, na to tylko, żeby z tego był potem niesmak bezgraniczny, wlokący się za nami przez całe życie i wtykający swój lodowaty palec w chwile rozmarzenia i zatopienia się w sobie. Zawiedzeni raz i drugi, dajemy za wygraną i popadamy w pełną godności obojętność. Przykładów takich naliczyćbym mógł dziesiątki.

Zapytacie Państwo, gdzie są ci ludzie, którzy tak namiętnie walczyli z formizmem? Co oni robią i jak korzystają z zwycięstwa? Odpowiedź jest jedna: nic! Z jednym może wyjątkiem, Karola Irzykowskiego, któremu zawsze naprawdę chodziło o sprawy sztuki i który dziś jeszcze walczy, chociaż wróg położony na obie łopatki. Ale inni! Ci wrócili do zdawkowej pracy lat ubiegłych, piszą znowu, że ten i ów robi postępy, że pokazał nam dorobek rzetelny, że jednem słowem robi, co może — ale może niewiele, i na tem koniec. Jest w tem nuda, nuda i jeszcze raz nuda. Konkluzja jest ta, że rewolucja formistyczna nie dokonała przewrotu, nie obudziła renesansu, jakiego należało się spodziewać — ale wolno nam dodać jedno słówko: jeszcze!

Gra jeszcze nie jest skończona. Spokój i cisza grobowa są pozorne. Taki stan nie może trwać wiecznie. Odrodzenie przyjść musi, a źródłem jego musi się stać praca krytyczna i doświadczalna, dokonana przez formizm. Tylko trzeba koniecznie przezwyciężyć ducha ciężkości i wypoczynku, ducha łatwego wywinięcia się sianem, który chwyta się nas jak polip, oplątując powoli i systematycznie. Obracanie się w utartych ramach konwenansu jest wprawdzie nudne, ale ma swoje dobre strony. Jeśli np. ktoś umie zgrabnie wymalować jelenia na śniegu i jeśli doświadczony myśliwy powie, że to jest dobrze zrobione, to obie strony mają w tem źródło zadowolenia. To samo jest z dobrze namalowaną czwórką, szarżą ułanów i t. d. Jeśli ktoś dobrze zna się na koniach i na mundurach i ma na ten temat dużo do powiedzenia, a jeśli artysta robi te rzeczy dobrze, to

oczywiście wyniknie z tego dużo przyjemności dla obu stron. Tylko o to chodzi, że to wszystko nic wspólnego z sztuką nie ma, a w każdym razie z wyżynami sztuki. Wyżyny sztuki nie mogą zmieścić się w konwencjonalnym świecie rzeczy i zdarzeń codziennych. Jest z tem tak jak z całą kulturą duchową.

Ale wyrwanie się z tej atmosfery spokoju i ładu nie jest wcale łatwe ani przyjemne. Jest z tem tak, jak gdyby ktoś z dobrze ogrzanego wygodnego mieszkania wyszedł w ciemną noc na puste pole. Zapewne, że owionie go jakiś tajemniczy czar, zapewne, że zrodzi się w nim niepokój, który błąka się na granicach konwenansu i wielkiej twórczości, ale równocześnie chwyci go za włosy niemoc, zwątpienie i strach. Są to uczucia bardzo przykre, więc nic dziwnego, że nikt ich chętnie nie szuka. Osobliwie nie są one pociągające dla nas Polaków, jesteśmy bowiem — nie można tego ukrywać — nad wyraz skłonni do spokoju wewnętrznego i niezamąconej pogody umysłu. Ale z drugiej strony mamy jedną zaletę. Jeśli nas się raz wyprowadzi z równowagi, jeśli raz wpędzi się nas w sytuację naprawdę trudną, umiemy zabrać się do roboty i umiemy ostatecznie odnieść zwycięstwo.

Chodzi tylko o to, żeby raz zrozumieć, że niebezpieczeństwo jest i walka jest nieunikniona. Trzeba jeszcze jednej rzeczy — wiary, że sytuacja nie jest bez wyjścia. Trzeba wierzyć, że z tego zamętu pojęć, jaki się tworzy z chwilą, gdy odchylamy się od utartego szablonu, zawsze wybrnąć można, jeśli tylko chce się naprawdę, byle tylko umieć połączyć zapał i wielką intuicję z zimną rozwagą i krytycyzmem konsekwentnym. Krytycyzm potrzebny jest do tego, żeby nie wymagać od siebie za wiele naraz i nie zniechęcać się przedwcześnie. Trzeba przecie zdawać sobie sprawę z tego, że rozwój wyżyn sztuki nie może odbywać się na zawołanie, trzeba pamiętać, że do tego potrzeba jest wiele czasu i wiele doświadczenia. Trzeba nadto pracowicie wmyślać się w nową sytuację i uczyć się zdobywać teren nowy krok po kroku. Do tego potrzebna jest praca teoretyczna, postawiona na wysokim poziomie. Tej pracy nigdy nie chcieliśmy się podjąć i to jest nasze nieszczęście.

ANALIZA SZCZEGÓŁOWA

Zastanówmy się teraz nad tem, jak powinna wyglądać ta praca. Przedewszystkiem musimy jeszcze raz szczegółowo rozpatrzyć fakty. Jeśli ktoś zna naszych artystów, musi stwierdzić, że są to ludzie przeważnie bardzo indywidualni, bardzo wrażliwi, że czują w dużej większości formę i kolor, jednem słowem mają wszystkie warunki, które decydują w sztuce. Jeśli przypatrzymy się ich dziełom, musimy przyznać im wiele zalet, musimy zgodzić się przedewszystkiem, że posiadają naogół w dużym stopniu t. zw. *métier*. W przeciwieństwie do wielu literatów, którzy zarzucają naszym artystom brak wiedzy fachowej, twierdzę stanowczo, że mają jej aż za dużo. Nadmiar wiedzy szkodzi nietylko artyście, ale i wielu uczonym. Z przyjemnością stwierdzam, że jeden z bardzo znanych w Krakowie artystów, niewątpliwy mistrz w wielu dziedzinach sztuki malarskiej, powiedział mi w tych dniach z całą otwartością: ja umiem za wiele i to mi szkodzi. Znam uczonych, których wiedza jest poprostu przygniatająca, a dorobek naukowy żaden.

Jeśli chodzi o twórców, to mają oni niewątpliwie wiedzę i to bardzo wielką, ale prawie nigdy nie zajmują się wiele tem, co robią inni. Jest rzeczą znaną, że wielkie wynalazki robione są nieraz po kilka razy, z tego poprostu powodu, że jeden uczony nie czyta prac drugiego. Jest to rzeczą zupełnie naturalną, bo zgłębić jakąkolwiek dziedzinę, to znaczy poświęcić jej życie, a wtedy czasu na pracę samodzielną nie zostanie. Podobnie jest ze sztuką. Jeśli ktoś zarzuca artyście, że nie zgłębiwszy sztuki klasycznej rzuca się na modernizm, to chyba nie wie co to znaczy zgłębić sztukę klasyczną. Pod tym względem panuje u nas zaiste ciemnota. Zaczyna się od tego, że się pyta, czy ktoś skończył gimnazjum, akademję, uniwersytet i t. d.; ale przecież wszyscy wiemy, że można skończyć te wszystkie studja i nic nie wiedzieć — powiem więcej, skończywszy te wszystkie studja, nie można i tak nic wiedzieć, bo czemże jest kilka lat wyższej uczelni w stosunku do wielkości zagadnień nauki i sztuki? Można conajwyżej nauczyć się tyle, żeby pełnić obowiązki urzędnika i to bardzo powierzchownie, bo i to wymaga dużego doświadczenia i intuicji.

Na dzieła sztuki i nauki niema ogólnych przepisów, niema nawet ogólnych wskazówek metodologicznych. Im więcej uczy-

łem się przedtem, tem trudniej jest mi wymalować ten właśnie obraz. Żeby wymalować ten właśnie obraz, trzeba się nauczyć wymalować ten właśnie obraz. Żeby napisać to właśnie dzieło naukowe, trzeba się nauczyć napisać to właśnie dzieło naukowe. Jest z tem tak, jak z bitwą, jak z miłością, a nawet tak jak z wielkiem przedsięwzięciem finansowem. Nic tu nie pomoże szkoła, ani rutyna, przeciwnie szkodzi w wielu wypadkach. Decyduje intuicja, wielki zapał, wielka odwaga i wielkie przygotowanie do tego właśnie, a nie do innego dzieła. Proszę mnie dobrze rozumieć. Mówię wyraźnie, wielkie przygotowanie, a więc wielka praca, trwająca nieraz całe lata, ale skierowana właśnie do tego a nie innego celu. Gdyby ktoś dlatego, żeby stworzyć wielką szkołę malarską, chciał naprzód zgłębić sztukę klasyczną, wschód, impresjonizm i t. d., byłby mniejwięcej generałem austrjackim, który zdawał celująco mnóstwo egzaminów w Wiedniu, a potem pytał się drżącym głosem legjonistów stojących pod murami chęcińskiego zamku: *Sind keine Kosaken da?* Albo byłby jak ten niefortunny Don Juan, który pomimo wielkiego doświadczenia i wielkich triumfów traci rezon na widok ukochanej kobiety.

Trzeba koniecznie powiedzieć sobie jasno o co nam chodzi i do tego dążyć konsekwentnie, a jeśli nie powiedzieć — bo to nie zawsze powiedzieć się da — to przynajmniej czuć. To jest pierwszy zasadniczy postulat, który jest przez naszych artystów pomijany, a bez którego nic wielkiego osiągnąć się nie da. Trzeba mieć *métier*, ale nie w tym sensie jak szewc, krawiec albo stolarz, tylko w takim, jak wódz, wielki finansista i t. p. Malarz nie może dążyć do tego, żeby produkować obrazy i obrazki w nieograniczonej ilości. Jego celem powinno być: stworzyć jedno lub najwyżej kilka wspaniałych płócien, tak jak celem wodza jest wygrać choćby jedną, ale decydującą bitwę, a finansisty — zrobić choćby jeden ale naprawdę dobry interes.

Wracam jeszcze do przykładu szewca, bo chodzi mi tu o przesąd, który zakorzenił się u nas z osobliwym uporem i hamuje naszą sztukę w wysokim stopniu. W ostatnich czasach zauważyłem, że nawet wielu artystów chciałoby pozować na rzemieślników, twierdząc, że tak było w średniowieczu i właśnie było dobrze. Łączą się z tem przedwojenne przesądy

o dobrze wymalowanej głowie kapusty i t. d. Otóż to wszystko polega na prostym błędzie logicznym. Jeśli szewc robi but, to ma cel określony, chodzi o to, żeby w bucie można było chodzić, żeby był przedewszystkiem wygodny, a potem dopiero zgrabny, modny i t. d. Pytam się, czy jest coś podobnego w malarstwie. Czy cel malarstwa da się określić, czy obraz ma być wygodny, zgrabny lub modny? Przenigdy. Raczej jest tak jak z bitwą, której ostateczny cel jest często niewiadomy, a dla wodza nieraz nawet obojętny. Ale i to porównanie nie prowadzi zbyt daleko. Trzeba zdawać sobie sprawę jasno, że cel malarstwa jest irracjonalny, że nie da się sformułować jasno i wyraźnie, skutkiem tego nie można powiedzieć jasno, co i jak należy robić, żeby tego celu dopiąć.

W ostatnich miesiącach pojawiła się mądra książka Karola Homolacsa o dydaktyce rysunków w szkołach. Autor podkreśla wyraźnie, że to, o co może chodzić w szkole, niema nic wspólnego z sztuką, że skutkiem tego trzeba naukę szkolną od sztuki zupełnie oddzielić. Malarstwo jest tam pojęte jako środek pomocniczy do rozwijania zdolności obserwacyjnych, orjentacji, umiejętności notowania i t. d. Sztuka zostaje zupełnie na boku. i zostawiona jest wyłącznie intuicji ucznia. Trudniej przedstawia się problemat nauki w Akademji. Tam przecież chodzi o to, żeby kształcić artystów. Co należy z nimi robić?

Nie pora i nie miejsce do załatwienia tego zagadnienia. Wystarczy je podkreślić. Wystarczy powiedzieć, że dzisiejsi profesorowie Akademji są nieraz w bardzo przykrem położeniu, nie wiedzą bowiem, czego należy od uczniów żądać, a czego nie. Bo i jakżeż tu utrzymać się na stanowisku konsekwentnego nauczyciela, jeśli jest rzeczą ogólnie znaną, że laureaci Akademji są nieraz miernotami, a sławę nieśmiertelną uzyskują jacyś tam urzędnicy celni, jak Rousseau lub typowi dyletanci, jak Cézanne? A cóż dopiero mówić o prymitywie ludowym, o sztuce murzyńskiej i tych wszystkich arcydziełach sztuki dziecięcej, wobec których nasze oficjalne płótna budzą poprostu politowanie.

Z tego wszystkiego jest jeden wniosek. Nie szafujmy nieostrożnie pojęciem *métier*. Nie chciejmy popisywać się głowami kapusty świetnie wykonanemi, nie chciejmy być szewcami, bo nimi staniemy się naprawdę, a sztuka przejdzie ponad nami,

ak jak to już uczyniła nieraz. To jest pierwsza i najważniejsza zasada.

Pamiętać jednak należy i o odwrotnej stronie zagadnienia. Jeśli mamy duszę rzemieślnika, to nie porywajmy się na odsłanianie swej duszy, bo lepiej być dobrym rzemieślnikiem niż prowincjonalnym wieszczem. Niema nic smutniejszego od porywów patetycznych niektórych naszych artystów, którzy żyjąc w sferze pojęć i uczuć aktora prowincjonalnego, uważają się za wodzów duchowych narodu i chcą go prowadzić zdawkową symboliką i miałkim frazesem. Wtedy naprawdę lepiej żeby malowali czy rzeźbili głowy kapusty. Ale czyż to naprawdę nie stać nas na nic innego? Czy naprawdę artysta polski nie może zdobyć się na głębokie życie wewnętrzne, które mogłoby wywrzeć piętno na jego dziele? Jest tu dziwna tragedja na dnie, dziwna perwersja naszej natury. Ci z nas, którzy naprawdę żyją wewnętrznie, wstydzą się tego i maskują się za wszelką cenę. Ludzie, którzy rwią się wewnętrznie do wielkich gestów patetycznych, do dzieł o typie renesansowym, poprzestają na małych studjach, martwych naturkach, smaczkach barwnych i t. d., a ci, którzy są naprawdę rzemieślnikami, wyrywają się z patosem proroczym, szarpią się, ciągną samych siebie za włosy, skręcają się w kurczu namiętnym a tanim i oczywiście prowadzą do tem większej depresji i zastoju.

Na to wszystko jest tylko jedna rada — poznawać siebie samego, poznawać drugich i uczyć się wzajemnie. Skończyć raz z przewrażliwieniem i fałszywą ambicją, skończyć z prywatą, rozpanoszoną do granic niebywałych. Wtedy tylko odważą się zabrać głos duchy potężne wewnętrznie, ale pozbawione pazurów i kłów — indywidualności wyrafinowane i subtelne, których nigdy u nas nie brakło, ale które prawie zawsze były zakrzyczane i zgniecione na miazgę.

SPRAWA PARYŻA

Przesadny indywidualizm uniemożliwia nam współpracę i sprawia, że nietylko żadna organizacja, z małemi wyjątkami, nie może utrzymać się przez czas dłuższy, ale nawet czysto towarzyska wymiana myśli kończy się często awanturą i wza-

jemnem bezwzględnem postępowaniem. Ten stan rzeczy sprawia, że jednostki bardziej niecierpliwe zrażają się do stosunków miejscowych i zączynają grawitować do Paryża, uważając go za Mekkę prawdziwej sztuki. Już ta pierwsza myśl jest oczywiście błędna, bo wbrew wszystkim teorjom o środowisku sztuka jest wszędzie w równym stopniu jak słońce i powietrze, a małe dziecko w Nowym Targu czy w Piątku jest nieraz większym artystą, niż renomowany malarz w Paryżu, niejednokrotnie zresztą pochodzący z tych właśnie miejscowości. Ale na tem nie koniec. Biedny polski artysta przyjeżdża nieraz do Paryża napęczniały od pomysłów, buchający fantazją i zdrowiem, ale załamuje się rychło pod wpływem głodu, hałasu i argumentów narzuconych mu bez dyskusji prawie przez kutych na cztery nogi meteków i, o dziwo, powraca w najświętszem przekonaniu, że ten właśnie argentyńczyk Bzduriani, czy egipcjanin Mohamed ibn Pistolet, którzy właśnie wystawiali za drogie pieniądze u Rosenberga, są wielkimi objawicielami sztuki.

Mało tego, poczciwy entuzjasta dostaje się pod bezapelacyjny wpływ sezonowych mistrzów i maluje talerz z langustą, *un quart de vin* i banana, w tem przekonaniu, że gdyby zamiast tego wymalował kiełbasę, flaszkę wódki i jajo na twardo, zgrzeszyłby srodze przeciw zasadom wielkiej sztuki. Widziałem obraz malowany przez Krakowiankę, na którym kobieta miała rękawy z bufami modnemi za czasów Rousseau'a celnika, a których młoda ta osoba nie mogła nawet pamiętać.

Pytanie, dlaczego tak jest. Oto szalona konkurencja z jednej, a faktyczna możność wybicia się z drugiej strony, sprawia, że malarz paryski, ten sam, który w swojej ojczyźnie pracował automatycznie albo zgoła nic nie robił, wysila się do ostatecznych granic, żeby za wszelką cenę zrobić coś oryginalnego. Wychodzą z tego często pomysły głupie i śmieszne, które my z miną wielkich mecenasów oceniamy jako objawy upadku. Tak bynajmniej nie jest. Znałem starego profesora, który był zdania, że na to konto, że drukuje się wiele głupstw, lepiej wcale nie drukować, ale zapomniał, że papier jest cierpliwy, a gdybyśmy przestali drukować, powrócilibyśmy rychło do barbarzyństwa. Tak samo jest ze sztuką. *Es irrt der Mensch so lang er strebt* — powiedział Goethe.

To, że powstanie parę tysięcy śmiesznych lub dziwacznych obrazów, to przecież nikomu nic nie szkodzi. Nie będziemy się chyba solidaryzowali ze zdaniem pewnego inżyniera, który wierzy, że człowiek malujący obrazy futurystyczne jest zdolny do popełnienia każdej zbrodni. Płótno i farby są cierpliwe. Dlaczego mamy ich żałować? Przecież nikt nie musi się na to patrzeć, jeśli nie chce. Chodzi tylko o jedną rzecz, chodzi o eksperyment, wysiłek osobisty i szczery. To, czego jesteśmy świadkami, a mianowicie opisane wyżej małpowanie, jest oczywiście nudne i obrzydliwe. Niema nic wstrętniejszego, jak reprodukowana oryginalność, bo brak jej tego, co stanowi istotną wartość — nowości, a za to jest w niej to, co najgorsze — chamstwo. Tej wielkiej omyłki strzeżmy się za wszelką cenę. Poszukujmy nowości, nie bójmy się nawet dziwactwa, ale niech to będzie dziwactwo własne, naprawdę nowe. W przeciwnym razie staniemy się naprawdę ogonem Europy i nie zostanie nam nic prócz pogardy dla samych siebie.

SZTUKA RODZIMA

Jednym z najtragiczniejszych hamulców naszej sztuki jest fetysz sztuki rodzimej. Mam wrażenie, że słabnie on poniekąd, ale niemniej na jednej z ostatnich wystaw najmłodszej Polski widziałem jeszcze raz górali stylizowanych na nieszczerą niezgrabność. Ci górale, huculi, szlachcice, żydzi i t. d., cała ta tradycyjna szopka ma wielu zwolenników nietylko u nas, ale i zagranicą. Zagranica woli oczywiście to, niż co innego, bo jeśli już niema być nic nowego, to niechże przynajmniej będzie strój — u nas jest na dnie wiara w wydobycie z łona ludu instynktu twórczego, własnego wyrazu zbiorowego sztuki polskiej i t. d. Ta teorja, reprezentowana przez wielu poważnych ludzi, jest mojem zdaniem z gruntu błędna.

Żeby się o tem przekonać, wystarczy przyjrzeć się sztuce francuskiej. Czy sztuka francuska jest oryginalna? — tak. Czy sztuka francuska ma coś wspólnego z folklorem? — nic! Sprawa załatwiona. Oryginalność sztuki narodowej polega na istnieniu w danym narodzie indywidualności pracujących samodzielnie. Jeśli Polak robi coś nowego, to to jest polskie i koniec, i wcale do tego nie potrzeba kolorytu lokalnego, górali, krakusów, ani huculów.

Inaczej jest oczywiście z murzynami, Polinezyjczykami i wogóle z prymitywem. Jeśli góral malował na szkle zbójników, to robił to dlatego, że zbójnik był dla niego uosobieniem bujności życia, bogactwa i wszystkiego tego, o czem marzył. Jeśli współczesny artysta maluje zbójników, to oczywiście nie może robić tego z zapałem, bo przedewszystkiem nie bierze ich serjo, nie przejmuje się nimi, nie marzy o nich. Doświadczenie uczy, że maluje ich źle. Artysta prawdziwy nie maluje tego, co jest. Maluje to, co chce, żeby było. Tak robią ludy pierwotne i dzieci. Tak robią ci artyści, którzy wybijają się w Paryżu. U nas mało jest ludzi mających odwagę powiedzieć, czego chcą i o czem marzą, bo boją się śmieszności. A jednak ci, którzy mieli tę odwagę, a był takim np. Jacek Malczewski, nigdy tego nie żałowali. Mamy takich ludzi i dzisiaj, mamy ich w Krakowie i dlatego nie powinniśmy patrzeć w przyszłość pesymistycznie. Trzeba tylko dodać im otuchy, kultywować ich marzenie, cieszyć się niem i być z niego dumnym, a nie lecieć na oślep za politowania godnemi hasłami sztuki rodzimej.

*

Kiedy rozmawiam z naszymi artystami i widzę ile w nich jest możliwości i jak to wszystko jest zahamowane i zniechęcone, martwię się i gniewam. Słyszę rozmaite argumenty za tem, że inaczej być nie może, że jest bieda, że i w Europie nie jest dużo lepiej, że nie mamy tradycji, że musimy czekać i t. d. Wszystko to są bzdury.

Dzisiaj jest źle, jutro może być inaczej. Trzeba tylko bardzo chcieć i systematycznie dążyć do celu, trzeba zrezygnować z celów ubocznych, takich jak pieniądze, powodzenie, pogoda ducha i t. d. Trzeba się trochę pomęczyć, może nawet bardzo. Jednem słowem trzeba być bohaterem. Ale nas przecież zawsze było stać na bohaterstwo. Dlaczegoż mamy ograniczać się do bohaterstwa na polu bitwy? Pora pomyśleć o innem, może równie ważnem bohaterstwie.

JAN WOJNAR

WYBORY PREZYDENTA BRAZYLJI W 1930 R.

SZKIC HISTORYCZNO-POLITYCZNY

O ile ostatnie wybory prezydencjalne w Stanach Zjednoczonych Ameryki stanowiły wspaniałe zwycięstwo rządzącej partji republikańskiej i były pewnego rodzaju symbolem świadomości i dojrzałości dziejowej narodu północno-amerykańskiego, o tyle wzorująca się na tej siostrzycy północnej, największa republika łacińsko-amerykańska wystąpiła do walki wyborczej o przyszłego sternika jej losów rozbita na dwa wrogie i nieprzejednane obozy, i przeżyła na przełomie lat 1929/30 szereg krytycznych momentów wewnętrzno-politycznych. Nasunąć się może łatwo przypuszczenie, że kryzys polityczno-ustrojowy, który wstrząsa całą prawie Europą, przeniósł się również na drugi brzeg Atlantyku i wtargnął do życia młodych republik łacińsko-amerykańskich. Przejawy walk politycznych w Brazylji zdradzają nieraz tego rodzaju momenty przesileniowe, że podważają rozwój i byt tej Republiki, — myliłby się jednak ten, ktoby chciał na podstawie wiadomości prasowych lub powierzchownej znajomości stosunków brazylijskich wyciągać wnioski o upadku ustroju republikańsko-demokratycznego w tym kraju. Życie polityczne Brazylji jest jeszcze dalekie od zróżnicowania społecznego i ideologicznego, które cechuje współczesne społeczeństwa europejskie — a jeśli. chwilami wykazuje momenty krytyczne, to nie należy stosować do tych zjawisk pojęć ani kryterjów europejskich, gdyż źródłem tych przesileń nie są przeciwieństwa społeczne ani klasowe, ani rasowe, ani religijne, ale raczej prądy opozycyjne, które nurtują i nurtować będą w każdem społeczeństwie państwowo zorganizowanem.

Poniższe uwagi posłużą może do uchwycenia, choćby zgrubsza, tych różnic, które istnieją na gruncie walk wewnętrzno-politycznych między republikami łacińsko-amerykańskiemi a obarczonemi wiekowem dziedzictwem politycznem państwami europejskiemi.

Dla tych, którzy śledzili rozwój gospodarczy i społeczno-polityczny Brazylji w okresie wojennym i powojennym, były ostatnie wypadki na arenie politycznej tego kraju pewną niespodzianką. Wydawało się bowiem, że zaburzenia rewolucyjne i walki domowe, które zapełniły prawie cały okres rządowy Prezydenta Artura Bernardesa (1922 – 26) i które tak fatalnie odbiły się na całem życiu Brazylji i na jej prestiżu państwowym, przejdą do historji jako ostatni epilog tej fazy rozwojowej, kiedy różnice dążeń i poglądów rozstrzygało się z bronią w ręku.

Po objęciu rządów przez obecnego Prezydenta Washingtona Luisa (1926—30), który postawił sobie za zadanie uzdrowić finanse i walutę brazylijską i około tych najbardziej palących zagadnień państwowych skupić uwagę całego społeczeństwa, nastąpiło powszechne uspokojenie umysłów i namiętności politycznych w kraju. Zniesiony został stan wyjątkowy i usunięte wszystkie ograniczenia konstytucyjnie zagwarantowanych swobód politycznych i wolności osobistej obywateli. Cały kraj, nawet sfery opozycyjne, jak i zagranica odnosiły się do Washingtona Luisa, jako do opatrznościowego męża stanu, który zdołał w przeciągu krótkiego czasu załagodzić wszystkie konflikty wewnętrzno-polityczne, wprowadzić ład i prawo do administracji państwowej, a co najważniejsze, który dokonał dzieła największego w dziejach Brazylji, t. j. zrównoważył budżet państwowy i ustabilizował milrejsa. Przez dwa lata rządów nowego Prezydenta prestiż i kredyt Brazylji zagranicą podniósł się wysoko, czemu sprzyjała w dużej mierze korzystna konjunktura gospodarcza kraju, a w pierwszej linji waloryzacja kawy brazylijskiej. Sądzono powszechnie, że Brazylja weszła w nowy okres rozwojowy.

Niestety trzeci rok prezydentury Washingtona Luisa, który zbiegł się z okresem załamania się międzynarodowej konjunktury gospodarczej i z niebywałym krachem na północno-amerykańskim rynku finansowym, zakończył się szeregiem niespodzianek w życiu brazylijskiem. Od szeregu lat budowany gmach „obrony kawy“ brazylijskiej zachwiał się w październiku 1929 r.; najważniejszy i podstawowy produkt eksportowy Brazylji spadł nagle w cenie blisko 50%, co wywołało zaburzenia w całem życiu gospodarczo-finansowem Brazylji, a przedewszystkiem podważyło plan finansowo-walutowy Prezydenta Washingtona Luisa. Zapas dewiz w kraju zaczął się kurczyć; ustabilizowany w końcu 1926 r. milrejs brazylijski zachwiał się w końcu 1929 r. W normalnych stosunkach po-

litycznych załamanie się konjunktury gospodarczej kraju i trudności w dziedzinie walutowej, z jakiemi musiał walczyć rząd federalny w końcu 1929 r., nie byłyby prawdopodobnie wywołały silniejszego oddźwięku w społeczeństwie brazylijskiem, gdyby nie walki wyborcze, w których te zjawiska odegrały dużą rolę.

Byłoby jednak rzeczą błędną dopatrywać się w kryzysie gospodarczym źródła rozbicia politycznego Brazylji podczas kampanji wyborczej. Kryzys, który objął wszystkie dziedziny życia gospodarczego, sprzyjał niewątpliwie propagandzie opozycyjnej — lecz jej ani nie wywołał ani nie był głównym atutem w walce opozycji z polityką rządową i jej zwolennikami. Życie ekonomiczne, jak i uświadomienie polityczno-gospodarcze społeczeństwa brazylijskiego nie osiągnęło jeszcze tego stopnia rozwoju, by mogło wywierać poważniejszy wpływ na układ sił i stosunków politycznych w tym kraju. Różnice, które dzieliły i dzielą naród brazylijski w okresach walk wyborczych na obozy polityczne, nacechowane są jeszcze pewnego rodzaju prymitywizmem i rzadko sięgają do dziedziny zagadnień ekonomicznych lub socjalnych.

„Źródła k a c y k o s t w a“ — pisze Basilio de Magalhaes w swojej *Historji politycznej Brazylji* — „które od 15 listopada 1889 r. aż do niedawna plamiło karty naszej historji republikańskiej, szukać należy w nieistnieniu organizacyj politycznych z szeroko rozwiniętemi sztandarami, na którychby widniały programy ideowe; tym faktem tłumaczy się też brak koordynacji sił w Kongresie ustawodawczym i kryzysy, które wstrząsają krajem każdorazowo, kiedy przychodzi do wyborów prezydenta“.

Charakterystyka ta, skreślona przed blisko 10 laty, odzwierciedla dosadnie stosunki i obyczaje polityczne, panujące jeszcze i dzisiaj w Brazylji, a określane w gwarze politycznej tego kraju jako t. zw. *situacionismo*, czyli układ sił politycznych, oparty nie na czemś stałem, jak np. program polityczny, regjonalizm, różnice socjalne, religijne czy rasowe — lecz na chwilowej, przypadkowej konstelacyj sympatyj i interesów. „Sytuacjonizm“ dominuje w życiu politycznem całej Brazylji, zarówno na terenie stanowym, jak i federalnym. W tem swoistem zjawisku szukać też należy wytłumaczenia paradoksów i metamorfoz politycznych i formowania się opozycyj w łonie społeczeństwa brazylijskiego, które są niezrozumiałe dla polityka europejskiego, a nawet północno-amerykańskiego.

„Sytuacjonizm", okolicznościowy splot interesów, ambicyj i wspólnych animozyj, zrodził też t. zw. Związek Liberalny (*Alliança Liberal*), który pod egidą 3 prezydentów stanowych z Rio Grande do Sul, Minas Geraes i Parahyby wystąpił przeciwko polityce Washingtona Luisa i przeciwko kandydaturze Julia Prestesa na przyszłego Prezydenta Republiki.

Zanim przejdziemy do skreślenia przebiegu kampanji wyborczej, która rozbiła społeczeństwo brazylijskie na dwa fronty, musimy jeszcze przypomnieć kilka faktów z historji, obyczajów i urządzeń politycznych Brazylji, by zrozumieć tło i istotę tej walki.

Twórcy konstytucji brazylijskiej, korzystając obficie ze źródła konstytucyjnego Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, odbiegli przy formułowaniu zasad wyboru Prezydenta Republiki od wzoru północnoamerykańskiego. Prezydent brazylijski wybierany jest nie przez elektorów, jak postanawia konstytucja Stanów Zjednoczonych Ameryki, lecz na zasadzie bezpośredniego i powszechnego głosowania obywateli, posiadających prawo wyborcze. To ostatnie przysługuje zaś na zasadzie przepisu konstytucyjnego każdemu obywatelowi, który umie czytać i pisać. Brazylijskie rozwiązanie problemu elekcyjnego odpowiada bardziej czystym hasłom demokratyzmu, który w okresie uchwalania konstytucji brazylijskiej opanował już zupełnie umysły polityczne całego świata. „Lud", pojęty idealistycznie, miał mieć pełne i bezpośrednie prawo wyboru swego najwyższego przedstawiciela i zwierzchnika — tak rozumowali i postanowili członkowie konstytuanty brazylijskiej w r. 1891. Idea słuszna i sprawiedliwa — gdyby przy jej wcielaniu w czyn nie zawodził ów fundament, na którym została oparta, t. j. ten „demos", który w Europie, kolebce teoryj demokratologicznych, nosi dziedzictwo wiekowych tradycyj politycznych i dzięki temu mógł się stać realizatorem demokracji, ale który na gruncie brazylijskim nie jest jeszcze tą wartością polityczną, o które marzyli może twórcy konstytucji republiki brazylijskiej.

Wyborca brazylijski nie posiada nagół ani uświadomienia, ani wychowania politycznego, ani organizacyj politycznych, ani ustawodawstwa wyborczego, któreby mu gwarantowało pełną swobodę wyrażania swej woli i poglądów politycznych. Większość obywateli brazylijskich, uprawnionych do głosowania, wstrzymuje się od spełnienia swego zasadniczego obowiązku obywatelskiego i konstytucyjnego. O rezultacie wyborów decyduje masa, zorganizowana

przez t. zw. „machiny wyborcze“ — jak to świetnie określają Północno-Amerykanie, kierowane czyto przez rząd wspólnie z partją rządzącą, czy też przez samą partję, opierającą się na poparciu rządów Stanowych. Ponieważ zaś w piramidzie ustrojowej Brazylji niema między legislatywą, egzekutywą i judykaturą tej idealnej równowagi, o której marzyli twórcy konstytucji zarówno północnoamerykańskiej, jak i brazylijskiej — (władza bowiem i wola Prezydenta odgrywa rolę decydującą w życiu państwowem tego kraju, jak tego drastycznym przykładem były rządy przedostatniego Prezydenta Artura Bernardesa) — aparat administracyjny, federalny czy Stanowy, musi z konieczności współdziałać w wyborach i wpływać na ich rezultat. Formalnie czynnikiem kierującym i decydującym w wyborach federalnych jest Partja Republikańsko-Konserwatywna (*Partido Republicano-Conservador*), która prawie od zarania Republiki Brazylijskiej jest jedyną organizacją polityczną, dominującą nieprzerwanie nad układem stosunków politycznych w kraju; w istocie jej siła i wpływy nie wynikają jednak ani z organizacji partyjnej lub liczebności zorganizowanych członków, lecz z poparcia organów rządowych, Stanowych lub federalnych, oraz w dużej części z indyferentyzmu mas ludowych wobec zagadnień politycznych i państwowych.

Mimo tego prymitywizmu, który cechuje życie i urządzenia polityczne Brazylji, ujawnia się w dziejach republikańskich pewien prąd odrodzeńczy, który zmierza do zreformowania panujących stosunków, do zorganizowania życia politycznego na zasadach ideologicznych, zreformowania ustawodawstwa i obyczajów wyborczych i podniesienia uświadomienia politycznego w całym kraju.

„Obszar i ludność naszego kraju wiodą nas ku przeznaczeniu, które nam nie pozwala kontynuować dotychczasowej polityki partyjnej i podtrzymywać przyduszającego wszystko k a c y k o s t w a i obyczajów wyborczych, uniemożliwiających formowanie się ugrupowań ideowych“. Tak pisał w swym artykule redakcyjnym o „reformie polityki“ najstarszy i konserwatywny organ dziennikarski Brazylji, *Jornal de Commercio* z dnia 11. XI. 1929, będący obecnie heroldem liberalizmu.

Pierwszym, który podjął się rozbudzenia i zespolenia elementów liberalnych w społeczeństwie brazylijskiem, by z nich zorganizować obóz demokratyczno-liberalny na wzór partji demokratycznej w Ameryce Północnej, był Ruy Barbosa, ten „wieczny duch

rewolucjonista", najznakomitszy trybun ludowy Brazylji i obrońca każdej sprawy słusznej i sprawiedliwej, zapisany złotemi literami wśród wielkich rzeczników sprawy polskiej na gruncie brazylijskim i międzynarodowym.

W r. 1909, podczas przygotowującej się wówczas kampanji wyborczej na prezydenta, rzucił Ruy Barbosa ideę zjednoczenia sił liberalno-demokratycznych w społeczeństwie brazylijskiem i przeciwstawienia ich wszechwładnej od ogłoszenia Republiki (1889), a ściślej mówiąc, od ostatnich lat ubiegłego stulecia partji republikańsko-konserwatywnej. Hasłem, pod którem on pragnął skupić masy wyborcze, było odmilitaryzowanie rządów federalnych. Partja Republikańska, nie godząc się wówczas z kandydaturą Davida Campisty na przyszłego prezydenta, wysuniętą przez Alfonsa Penna, ówczesnego Prezydenta Brazylji (1906—1909), postanowiła oddać ster rządów federalnych na okres 1910—1914 Marszałkowi Hermes da Fonseca, byłemu adjutantowi Marszałka Deodoro da Fonseca, bohatera i pierwszego Prezydenta Republiki Brazylijskiej. Hermes da Fonseca, będący wówczas ministrem spraw wojskowych, zasłużonym około zreorganizowania i zmodernizowania sił zbrojnych lądowych Brazylji, liczył się jednak poważnie z opinją Ruy Barbosy, sławnego już wówczas męża stanu i pełniącego w tym okresie funkcje senatora federalnego, i uzależnił od jego poparcia przyjęcie kandydatury na prezydenta, ofiarowanej mu przez Partję Republikańską. Weteran republikanizmu i szczery demokrata nie mógł się jednak pogodzić z myślą, by żołnierz, niewprawiony w życiu politycznem kraju, mógł z pożytkiem rządzić i kierować losami nowoczesnego państwa, i w liście, skierowanym do przywódców Partji Republikańskiej, stanowiącym jeden z ciekawych dokumentów myślenia politycznego Ruy Barbosy, odpowiedział, że mimo szczerej przyjaźni, jaka go łączy z Marszałkiem Hermesem, nie może poprzeć jego kandydatury. Partja Republikańska, jak i sam Marszałek pominęli tę odpowiedź i od swego programu wyborczego już nie odstąpili. Zlekceważona została opinja wielkiego i wpływowego już wówczas polityka — a może i głęboko dotknięta jego ambicja — i od tej chwili, od maja 1909 r., Ruy Barbosa przechodzi do opozycji, stając się inicjatorem nowego ruchu w życiu politycznem Brazylji, któremu będzie wierny aż do śmierci. Pierwsza jego kampanja polityczna t. zw. *Campanha civilista*, skierowana została osobiście przeciwko Marszałkowi Hermesowi i rządom wojskowym w Brazylji.

Wysunięty przez świeżo zorganizowaną Partję Republikańsko Liberalną na kontrkandydata Hermesa przy wyborach w r. 1910, rozpoczął on energiczną propagandę nowych haseł politycznych i objechał wszystkie większe Stany brazylijskie, zjednując sobie wszędzie mistrzostwem oratorskiem tłumy zwolenników, a nawet większość opinji publicznej. Stany São Paulo i Bahia, które dzisiaj są ostoją Partji Republikańsko-Konserwatywnej, stały wtedy wyraźnie po stronie Ruy Barbosy. Aparat wyborczy, jakim dysponowała partja rządząca, unicestwił jednak sukcesy wiecowe przywódcy opozycji: Marszałek Hermes, wybrany prezydentem, zasiadł w dniu 15 listopada 1910 r. w „Cattete", pałacu prezydentów brazylijskich.

Rządy jego pod względem administracyjnym i gospodarczo-finansowym nie należą do najlepszych w okresie republikańskim Brazylji. Szczególnie ostatni rok prezydentury jego zaznaczył się ciężką sytuacją gospodarczą i finansową kraju. Lecz — jak słusznie zapytuje jeden z historyków Ruy Barbosy — „gdyby zwyciężyła w r. 1910 Partja Cywilistów i odniosła ponowne zwycięstwo w r. 1914, czyż społeczeństwo nie uginałoby się nadal pod ciężarem tych samych trudności?"

Ruy Barbosa, siejąc od r. 1909 w społeczeństwie brazylijskiem hasła opozycyjne i pragnąc szczerze odrodzenia politycznego swej ojczyzny, zdawał sobie jednak sprawę ze skomplikowanej sytuacji gospodarczej i politycznej Brazylji, i kiedy w r. 1913 konwencja Partji Cywilistów wysunęła ponownie jego kandydaturę na Prezydenta Brazylji — propozycji tej po namyśle nie przyjął

„Prezydenturę Republiki w obecnym momencie sprawować może tylko ten mąż stanu, co do którego wiadomo, że za nim stoi cały Naród" — tak kończył Ruy Barbosa swój wielki manifest polityczny do Narodu (28. XII. 1913). Zrzekając się kandydatury, nie omieszkał jednak obrzucić ciężkiemi oskarżeniami rządów Hermesa i nakreślić przerażającego obrazu ruiny gospodarczej i bankructwa politycznego kraju, do którego doprowadziła Brazylję czteroletnia gospodarka Prezydenta Partji Republikańsko-Konserwatywnej. Wobec usunięcia się Ruy Barbosy od współzawodnictwa w wyborach partja rządowa pozostała właściwie jedynym partnerem rozgrywki politycznej w r. 1914, z której wyszedł zwycięzcą Wenceslao Braz, pochodzący ze Stanu Minas Geraes.

W następnych wyborach (1918), jakkolwiek kandydat Partji Republikańsko-Konserwatywnej, Rodrigues Alves, były i zasłużony

prezydent Republiki (1902—1906), miał za sobą sympatje całego kraju, Ruy Barbosa rozwinął na nowo sztandar opozycji, broniąc zasady konstytucyjnej, że kandydat nie powinien być ani wyznaczany ani popierany przez egzekutywę. Podczas kampanji wyborczej schorowany i podeszły wiekiem kandydat konserwatywny umiera, a na jego miejsce sfery kierujące polityką kraju wysuwają Epitacia Pessoa, szefa delegacji brazylijskiej na Konferencję Pokojową w Paryżu. Przeciwko tej kandydaturze sfery opozycyjne wystawiają ponownie swego przedstawiciela, którym jest Ruy Barbosa. Urny wyborcze zawiodły i tym razem genjalnego trybuna, niszcząc jego ostatnią i najskrytszą może nadzieję, że dozna ze strony Narodu, dla którego oddał całe swe życie i niecodzienne talenty, pewnej wdzięczności i... zostanie wybrany prezydentem.

Propagowane przez długi szereg lat hasła odrodzenia politycznego narodu nie zamarły po śmierci ich wielkiego obrońcy i interpretatora. W r. 1922, kiedy obóz republikańsko-konserwatywny wysuwa kandydaturę Artura Bernardesa, staje z nim do współzawodnictwa Nilo Peçanha, były Wice-Prezydent, a później Prezydent Republiki (1906—1910), spadkobierca dziedzictwa ideowego Ruy Barbosy, który już wówczas był na łożu śmiertelnem. Wobec przestrzeganej przez egzekutywę możliwej bezstronności i swobody politycznej podczas wyborów, ilość głosów oddanych za kandydatem liberalnym była zaledwie o 150.000 mniejsza od głosów kandydata rządowego (452.509 contra 341.761). Objęcie władzy przez Artura Bernardesa było w tych warunkach rzuceniem rękawicy silnej i przygotowanej do walki opozycji. Nic też dziwnego, że rządy Artura Bernardesa napotkać musiały na trudności, których przezwyciężanie i zwalczanie uważa dziś większość społeczeństwa brazylijskiego za plamę w dziejach republikańskich. Okres ten znalazł nawet w polskiej literaturze o Brazylji znacznie silniejszy oddźwięk, aniżeli którykolwiek inny.

Zmęczony i wyczerpany czteroletniemi zaburzeniami i walkami politycznemi, znalazł naród brazylijski pod koniec 1925 r. kandydata na prezydenta, za którym opowiedziała się pierwszy raz po kilkunastu latach prawie jednomyślnie cała masa wyborcza. Washington Luis był tą indywidualnością, przeciwko której siły opozycyjne rozbite, pozbawione swych przywódców, będących na wygnaniu lub w więzieniu, nie były w stanie nikogo przeciwstawić. Ruy Barbosa i Nilo Peçanha już nie żyli.

Jak zaznaczyliśmy już wyżej, pierwsze lata rządów Washingtona Luisa były dla niego, jak i dla całej Brazylji dużym triumfem. Niestety, im bliższy był moment wyznaczenia kandydata na nowego prezydenta, tem większe gromadziły się chmury około szczęśliwej gwiazdy tego niepospolitego męża stanu. Nasuwa się mimowoli pytanie, w czem tkwiły przyczyny tej dziwnej metamorfozy w nastrojach społeczeństwa, prasy, opinji, a nawet u byłych przyjaciół Washingtona Luisa.

W powyższym przekroju historycznym walk politycznych Brazylji znajdujemy już po części wytłumaczenie i źródła rozbicia politycznego, które przeżył naród brazylijski podczas kampanji wyborczej w r. 1929/30. Przypatrzmy się jeszcze bliżej tym różnicom, które podzieliły jednolite przed rokiem społeczeństwo na dwa nieprzejednane obozy.

Już pod koniec 1928 r., w pierwszej połowie rządów Washingtona Luisa, prasa i opinja publiczna Brazylji lansowała nazwisko Julia Prestesa jako przyszłego prezydenta Brazylji. Wiadomo było powszechnie, że jest to osoba, stojąca bardzo blisko obecnego Prezydenta i że należy do sfery jego najbliższych współpracowników. Prestes, pełniąc w końcu 1926 r. rolę leadera większości Izby Deputowanych, był prawą ręką Prezydenta przy opracowywaniu i przeprowadzaniu przez Kongres Narodowy ustawy stabilizacyjnej i reformy walutowej. Później, wybrany Prezydentem Stanu rodzinnego São Paulo, skonsolidował politykę waloryzacyjną kawy, zjednoczył około swego planu „obrony kawy" i sanpaulistańskiego Instytutu Kawowego wszystkie Stany brazylijskie, produkujące kawę, przyczyniając się w ten sposób najskuteczniej do podparcia i częściowego zrealizowania planu stabilizacyjnego i administracyjnego Washingtona Luisa. Było więc publiczną tajemnicą, że Prestes jest predestynowany siłą okoliczności, jak i ludzkich słabości, na kontynuatora dzieła sanacyjnego swego nauczyciela i przyjaciela politycznego. Nikt też nie przypuszczał (prócz jednego może Antonia Carlosa, Prezydenta Stanu Minas Geraes, którego ambicje i racje polityczne od dłuższego czasu wskazywały na odmienne w tej kwestji zapatrywania), że kandydatura Julia Prestesa na przyszłego prezydenta Brazylji może się spotkać z poważniejszą opozycją. Rozkwit gospodarczy Stanu São Paulo, ogromny postęp w dziedzinie administracyjnej, a przedewszystkiem świetne, jakkolwiek trochę iluzoryczne, rezultaty polityki kawowej, zainicjowanej z wielkim rozmachem pod rządami

Prestesa, spopularyzowały szeroko jego nazwisko w kraju i zagranicą i przemawiały dobitnie za jego predestynacją polityczną.

Washington Luis, znając dobrze dzieje polityczne swej ojczyzny i tajniki ambicyj i konszachtów politycznych, które wyrastają zawsze na tle następstwa prezydencjalnego, nie zamanifestował nigdy, przy żadnej sposobności, swych sympatyj ani życzeń co do przyszłego prezydenta. Pragnąc uniknąć zbędnej i przedwczesnej walki politycznej, starał się kwestję wyznaczenia kandydata przesunąć możliwie jak najdalej w czasie. Dopiero we wrześniu 1929 r. miały być rozpoczęte pierwsze kroki porozumiewawcze co do ustalenia kandydatury — takie przynajmniej było życzenie Washingtona i większości Kongresu Narodowego, w których ręku spoczywała faktyczna inicjatywa i decyzja w tej sprawie. Jednak dwa Stany, Rio Grande do Sul i Minas Geraes, postanowiły po uprzedniem ze sobą porozumieniu przyśpieszyć kampanję wyborczą.

Nim przejdziemy do skreślenia przebiegu kampanji, wypada dla lepszego zrozumienia jej treści, przypomnieć jeszcze kilka faktów, stanowiących bezpośrednie motywy i przyczyny tych tragicznych zajść na arenie politycznej Brazylji w ostatnich kilku miesiącach.

Rządy i polityka prezydenta Washingtona Luisa, nacechowana głębokiem doświadczeniem i umiarem politycznym, a przedewszystkiem poczuciem rozumnej sprawiedliwości i zrozumieniem dla najżywotniejszych zagadnień życia państwowego Brazylji, godziły z konieczności w pewne osoby, sfery polityczne i warstwy społeczne, których interes nie zawsze się pokrywał z interesem narodu. Pierwszą kwestją, którą zraził sobie Washington Luis kilka wybitnych osobistości politycznych do siebie, było nieuznanie niektórych mandatów poselskich i senatorskich przez Kongres Narodowy wskutek nadużyć wyborczych w r. 1926, które nowy Prezydent pragnął wytępić. Wśród tych mandatów zdyskwalifikowanych znajdował się między innemi również mandat senacki F. Pacheco, ministra spraw zagranicznych podczas rządów Bernardesa i współwłaściciela *Jornal do Commercio*, największego organu prasowego Brazylji, który wskutek tego przez cały czas był w umiarkowanej opozycji do rządu Washingtona Luisa.

Tępienie nadużyć administracyjnych, zaostrzenie kontroli budżetowej, surowe ściąganie podatków i przestrzeganie zasad równowagi budżetowej przez cały okres rządów Washingtona Luisa naru-

szyło tradycje administracyjne Brazylji i było wielu czynnikom i sferom nie na rękę.

Metoda stabilizacji milrejsa brazylijskiego i kurs stabilizacyjny przyjęte zostały przez pewne sfery ekonomiczne, a nawet przez część prasy z organem *Jornal do Commercio* na czele, z krytyczną rezerwą.

Plan obrony kawy, przeprowadzany w Stanie São Paulo, a później w innych Stanach i popierany przez Washingtona Luisa, krytykowany był od początku przez pewną grupę polityków i ekonomistów, a w końcu przez same sfery plantatorów kawy. Kierował tą opozycją Rząd Stanu Minas Geraes, który formalnie nie wystąpił z konwencji kawowej, ale który już w połowie 1929 r. opracowywał własny plan obrony kawy.

W dziedzinie wewnętrzno-politycznej jednem z nierozwiązanych przez Washingtona Luisa zagadnień była sprawa amnestji za przestępstwa polityczne z okresu rządów A. Bernardesa. Wszyscy więźniowie polityczni z czasów rewolucyjnych 1922—1926, którzy byli bez aktów oskarżenia, zostali po objęciu rządów przez Washingtona Luisa wypuszczeni na wolność. Oprócz tych ofiar rządów Bernardesa, byli jeszcze wygnańcy polityczni, rozsiani po sąsiednich republikach, na których ciążyły różne oskarżenia i którzy bez amnestji nie mogli wrócić do kraju. Dla nich sfery opozycyjne a głównie prasa brazylijska, w większości radykalnie nastrojona, domagała się od Washingtona amnestji. Prezydent, mimo swego liberalizmu, nie dawał jednak posłuchu szeptom z ulicy i nie szukał taniej popularności. Mając na oku interes państwa i spokojnego rozwoju społeczeństwa, nie godził się na amnestję, któraby sprowadziła do kraju nowy zarodek rozruchów politycznych.

Te iskierki żalów i niezadowolenia byłyby może przygasły z biegiem czasu, gdyby ich nie były roznieciły ambicje personalne i różnice polityczno-regjonalne. Dominujące w całej Unji stanowisko Stanu São Paulo było już od dłuższego czasu obserwowane z zazdrością i niezadowoleniem przez inne Stany Brazylji. Zarówno w dziedzinie gospodarczej (kawa, przemysł), jak i politycznej i kulturalnej São Paulo stało się w ostatnich latach czynnikiem decydującym na arenie życia brazylijskiego, na co inne Stany, głównie Minas Geraes i Rio Grande do Sul, patrzały się od dłuższego czasu niechętnie. Nie mogąc dorównać gospodarczo ani ewolucyjnie tej

odrębnej i najbardziej może twórczej i konstruktywnej wśród ogólnobrazylijskiego konglomeratu etnicznego rasie „Bandeirantów" z ziemi „św. Pawła", starały się przynajmniej politycznie dzielić władzą i wpływami, jak równy z równym. Na tle ambicyj Stanowych zrodziła się też idea, że Minas Geraęs ma być po São Paulo dziedzicem Pałacu „Cattete" i że Rio Grande do Sul należy się też pewien udział w egzekutywie federalnej. Oczywiście, że i inni członkowie „rodziny brazylijskiej", jak np. Bahia i Pernambuco, nie wymieniając reszty, rościły i roszczą sobie prawo do współkierownictwa losami Unji. A jeśli jeszcze dodać, że te ambicje Stanowe, poruszane są często sprężynami ambicyj osobistych lub wielkich indywidualności, to łatwiej nam będzie zrozumieć, uwzględniając jeszcze pierwiastki historyczno polityczne, że prawie jednolity i niezróżnicowany podczas dwu pierwszych lat rządów Washingtona Luisa front polityczny społeczeństwa brazylijskiego rozbił się w decydującym momencie na dwa fronty, walczące pod różnemi hasłami o tensam właściwie cel — t. j. o władzę nad Unją.

Zgodnie z tradycją i zwyczajem politycznym Brazylji republikańskiej, wybór i proklamowanie kandydatów na prezydenta i wiceprezydenta Republiki odbywa się na t. zw. konwencjach sił politycznych *(convenção das forças politicas)*, t. zn. na zebraniu upełnomocnionych przedstawicieli politycznych samorządów *(municipios)*. Konwencje te, wobec niezorganizowanego życia politycznego w kraju i wobec braku organizacyj partyjnych, są właściwie tworem sztucznym i służą nie do faktycznego wyboru i proklamowania kandydatów, lecz raczej do usankcjonowania wyboru przygotowanego i dokonanego czy to przez Prezydenta, czy przez grupę polityków lub Stanów, decydujących w danym momencie o polityce państwa. Cechą charakterystyczną tej swoistej instytucji jest jej jednorodność polityczna. Wśród członków konwencyj nie ujawniały się nigdy różnice zdań lub poglądów politycznych, co świadczy wyraźnie, że instytucja ta jest jedynie formą republikańsko-demokratyczną, poza którą ukrywa się inna forma polityczna, zbliżona do oligarchicznej. Zdarzało się jednak w dziejach politycznych Brazylji — jak to widzieliśmy wyżej — że oprócz konwencji sił politycznych konserwatywnych, będących zawsze w większości i reprezentujących przeważnie kierunek rządowy, zbierały się również konwencje sił politycznych opozycyjnych, które wybierały i proklamowały kontrkandydatów na prezydenta i wiceprezydenta. Lecz i te konwencje,

opierające się, jak dotąd, zawsze na hasłach liberalno-demokratycznych, nie różniły się w istocie od konwencyj sił konserwatywnych, na których się wzorowały.

Jak zaznaczyliśmy już wyżej, Prezydent Washington Luis usiłował odłożyć walkę wyborczą do września. W czerwcu 1929 r. wystąpili jednak z inicjatywą Prezydentowie Stanów Rio Grande do Sul i Minas Geraes, deklarując w listach do Prezydenta Republiki swą solidarność z jego polityką i prosząc go o podjęcie wstępnych kroków w kierunku ustalenia kandydatury przyszłego prezydenta. Był to zręczny manewr, zainspirowany przez Antonia Carlosa, Prezydenta Stanu Minas Geraes, który chciał mieć w ręku inicjatywę przy pertraktacjach na temat przyszłego kandydata i odegrać w nich rolę decydującą. Wedle opinji jego przeciwników — chodziło mu o wysunięcie swej osoby i swego Stanu na czoło w przyszłej kampanji wyborczej. Sytuacja i konstelacja sił politycznych w kraju przechyliła się jednak bardzo szybko na stronę Washingtona Luisa i jego, jeśli nie formalnego, to w każdym razie faktycznego kandydata, t. j. Julia Prestesa.

W dniu 12 września 1929 r. odbyło się w Senacie Federalnym w Rio de Janeiro zebranie t. zw. konwencji narodowej *(convenção nacional)*, reprezentującej formalnie samorządy wszystkich Stanów i Dystryktu Federalnego (bez Stanów Parahyba, Minas Geraes i Rio Grande do Sul). Na tem zebraniu w obecności 63 konwencjonistów zostali jednogłośnie proklamowani kandydatami: Julio Prestes na prezydenta, a Vital Soares, prezydent Stanu Bahia, na wiceprezydenta Brazylji.

Po wybraniu kandydatów konwencja wydała tradycyjny manifest do Narodu, będący jakby poleceniem proponowanych kandydatów wobec wyborców. Ponadto konwencja uchwaliła, by Komitet Organizacyjny konwencji kierował nadal kampanją wyborczą aż do dnia 1 marca 1930 r., t. j. dnia wyborów.

W dwa miesiące po proklamowaniu kandydatów przez konwencję republikańsko-konserwatywną odbył się drugi tradycyjny akt procesu wyborczego w Brazylji, t. j. przedstawienie przez kandydata platformy wyborczej i rządowej. W dniu 17 grudnia w pałacu Automobilklubu brazylijskiego w Rio de Janeiro urządzono uroczysty bankiet z udziałem ogromnej liczby najwybitniejszych polityków, mężów stanu i wpływowych osobistości z całej Brazylji, na którym Julio Prestes odczytał swój program rządowy.

Akt ten analizuje zwykle najaktualniejsze zagadnienia z życia narodowego i wskazuje formy i metody ich rozwiązania. Platforma Julia Prestesa, utrzymana w tonie suchym i rzeczowym, koncentruje się około zagadnień gospodarczych i finansowych Brazylji. „Nasza epoka jest daleką od teoryj, nie znosi liberalizmów opartych na abstrakcjach ludzkości, która jest dzisiaj ruchem, pracą i twórczością". Wychodząc z tych przesłanek, omawia kandydat szereg aktualnych problemów z dziedziny walutowo-finansowej, produkcyjnej, handlowej, komunikacyjnej, imigracyjnej oraz z zakresu polityki wewnętrznej i kulturalnej, pomijając prawie zupełnie kwestje polityki zagranicznej i międzynarodowej. Uważając się za kontynuatora programu rządowego Washingtona Luisa, nie wybiega Julio Prestes w swej platformie poza bieżące sprawy życia brazylijskiego i zamyka swój program działania w ramach zacieśnionych do potrzeb chwili. Program jego jest wiernem zwierciadłem rzeczywistości brazylijskiej, tego kolosa, walczącego jeszcze o elementarne warunki życiowe.

Nim przejdziemy do charakterystyki drugiego obozu, dodać jeszcze należy, że akcja wyborcza t. zw. *Concentraçâo Conservadora*, t. j. Koncentracji Konserwatywnej, która wyrosła z konwencji narodowej i miała prowadzić propagandę za kandydaturą Julia Prestesa, została zupełnie zaniedbana. Poza kilku wiecami, konferencjami i zebraniami politycznemi, głównie w Rio de Janeiro i São Paulo, obóz rządowy, pewny swego zwycięstwa opartego na pomocy maszyny administracyjnej, nie uprawiał prawie żadnej agitacji wyborczej Oprócz względów pewności zwycięstwa, działały tu niewątpliwie momenty rozwagi politycznej, która dyktowała obozowi rządowemu, by nie dolewać oliwy do ognia i nie jątrzyć podburzanych przez opozycję temperamentów południowych, nieobliczalnych w wybuchach namiętności. Że rezerwa, którą zachowała „koncentracja konserwatywna" podczas kampanji wyborcze, była uzasadniona, potwierdza wypadek w Montes Claros, mieścinie w Stanie Minas Geraes, gdzie z okazji kongresu ekonomicznego, zorganizowanego przez sfery konserwatywne, doszło do porachunków między zwolennikami Prestesa i jego kontrkandydata Getulia Vargasa; w walce ulicznej kilka osób poniosło śmierć, między innemi sekretarz osobisty wiceprezydenta Republiki Mello Vianny, a wśród wielu rannych znajdował się sam wiceprezydent Republiki.

„Związek Liberalny" *(Alliança Liberal)* jest to swoisty twór polityczny, poczęty, jak zaznaczyliśmy to już wyżej, z chęci władzy, z ambicyj i animozyj personalnych i Stanowych, oraz z pewnych, choć małoważnych, różnic w poglądach politycznych, a wyhodowany w pierwszej linji na załamaniu się w okresie wyborczym pomyślnej konjunktury gospodarczej Brazylji, oraz na aspiracjach wolnościowych mas wyborczych i na spuściznie dziejowej i ideowej marzycieli politycznych, jak Ruy Barbosa, Nilo Peçanha i inni. O ile fizjognomja polityczna „koncentracji konserwatywnej" jest wyraźnie jednorodna, oparta na określonym fundamencie ideologicznym, społecznym i politycznym, — o tyle „Związek Liberalny" przedstawia się nam jako konglomerat wszelkiego rodzaju kontrastów, których zespolenie udać się może tylko na gruncie politycznie niewyrobionym i niezorganizowanym. Czynnikiem, który umożliwił „Związkowi Liberalnemu" rozniecić tak silnie walkę polityczną na terenie całej Brazylji, jest jeszcze pierwiastek indywidualny, odgrywający dużą rolę w życiu amerykańskiem. Walory jednostki — a nie program ideologiczny — decydują często w społeczeństwach amerykańskich o powodzeniu. Popularności Antonia Carlosa, twórcy, organizatora i przewodnika duchowego „Aljansu" przypisać należy w dużej mierze sukcesy polityczne frondy opozycyjnej.

Prezydent Stanu Minas Geraes, od chwili objęcia rządów przystąpił do realizowania popularnego programu liberalizmu brazylijskiego. W pierwszej linji rozpoczął od alfabetyzacji swego Stanu, zakładając setki szkół ludowych po różnych zakątkach Minas Geraes, dalej popierał szkolnictwo średnie i wyższe, budował drogi, szerzył oświatę zawodową, a przedewszystkiem wciąż podróżował, biorąc udział w każdej większej uroczystości swego Stanu. Spopularyzowało to imię jego w całej Brazylji i utorowało mu drogę do dalszej akcji politycznej. Poczuł się spadkobiercą wielkich idei Ruy Barbosy i zapragnął w momencie decydującym odegrać rolę organizatora liberalizmu na terenie całej Brazylji. Kiedy zabiegi wokoło zbliżenia się do Washingtona Luisa nie dały rezultatu, Antonio Carlos rozpoczyna grę polityczną na szerszą skalę i organizuje ze Stanów Rio Grande do Sul i Parahyby blok Stanów opozycyjnych pod hasłem liberalizmu. Zbliżenie się małego i stosunkowo ubogiego Stanu północnego, Parahyby, do Antonia Carlosa nie ma większego znaczenia politycznego.

Natomiast aljans Stanu Rio Grande do Sul ze Stanem Minas Geraes jest zjawiskiem skomplikowanem i charakterystycznem dla dziejów politycznych Brazylji. Wszak Minas Geraes uchodziło zawsze za awangardę liberalną w życiu politycznem Unji. Na tej bogatej w złoto i drogie kamienie ziemi kultywowano zawsze wielkie ideje wolnościowe. Tam zrodziła się słynna *Conjuraçâo Mineira* (1789), pierwszy zorganizowany bunt synów ziemi brazylijskiej, wychowanych na hasłach encyklopedystów i rewolucjonistów francuskich, przeciwko przemocy i uciskowi rządu portugalskiego. Tiradentes, męczennik i bohater niepodległości brazylijskiej, pochodził ze Stanu Minas Geraes. Podczas późniejszych walk niepodległościowych Stan ten kroczył zawsze w pierwszych szeregach razem z Sâo Paulo, Bahia i Pernambuco. Niktby też się nie dziwił, gdyby Antonio Carlos zapragnął wznowić tradycje wolnościowe i postępowe swej ziemi rodzinnej i gdyby rozwinął sztandar liberalizmu nad całą Brazylją, szukając oparcia wśród zwolenników odrodzenia politycznego całej Republiki. Wprawdzie w imię jedności Stanowej i partyjnej znajdowali się w szeregach organizacji partyjnej Stanu tacy politycy, jak Artur Bernardes i inni ultrakonserwatywni przedstawiciele różnych stron ziemi mineńskiej, — lecz ostatecznie nie oni nadawali ton, nie oni rządzili Stanem i układali hasła i programy polityczne, lecz Antonio Carlos, który podczas swych rządów dał dostateczne dowody swego szerokiego liberalizmu w dziedzinie administracyjno-politycznej.

Niestety wśród sojuszników Antonia Carlosa i jego bohaterskiego Stanu znalazł się Stan Rio Grande do Sul, Stan najmniej brazylijski z ducha, charakteru, tradycji i przekonań politycznych. Ta jednostka odgrywała do niedawna w Unji brazylijskiej swoiste stanowisko i była pod każdym względem najmniej republikańską. Ludność, która zamieszkuje ten Stan, stanowi oryginalną mieszaninę ras i wpływów brazylijskich z argentyńskiemi i odznacza się odrębną psychologją, która różni się od reszty brazylijskiego społeczeństwa, jak światło od ciemności. „Od 35 lat" — pisał niedawno Baptista Pereira, jeden z bliskich współpracowników Ruy Barbosy — „Brazylja posiada Stan, będący zaprzeczeniem Republiki, t. j. Rio Grande do Sul. Tam niema władzy federalnej. Rio Grande do Sul nie jest autonomiczne, jest suwerenne".

„Tam niema władzy sądowej, ustawodawczej ani wykonawczej: prezydent skupia w swym ręku wszystko. Tam nie rządzi

lud: prezydent wybiera się sam i już piąty raz dokonuje tego wyboru swojej osoby. Tam niema ani kodeksu cywilnego, ani handlowego, ani karnego. Prezydent sam wydaje i ogłasza wszelkie ustawy. Tam istniało i istnieje w dalszym ciągu dożywotnie więzienie i kara śmierci, a prezydentowi przysługuje prawo stosowania tych kar. Tam niema rozdziału kościoła od państwa. Tam rządzi tylko sekta pozytywistów, która przykazania boże zastępuje przykazaniami Comte'a. Tam niema Rzeczypospolitej, tam jest dożywotnia autokracja, która tylko nosi tytuł republikański".

Trzeba przyznać, że od ustąpienia Borgesa de Medeiros (1928), który był istotnie udzielnym władcą na terenie Republiki brazylijskiej i który przez 25 lat kierował niepodzielnie losami swego Stanu (1898—1908, 1913—1928), jak i od ostatniej rewolucji w tym Stanie (1922—1924) stosunki polityczne w tej dzielnicy uległy pod wielu względami zasadniczej zmianie. Getulio Vargas, były minister skarbu federalnego i najbliższy współpracownik Washingtona Luisa przy opracowywaniu i wprowadzaniu w życie reformy finansowej i walutowej, po objęciu rządów po Bourgesie de Medeiros, przeprowadził szereg reform i zrealizował szereg postulatów w dziedzinie administracyjnej i gospodarczej, które nadały życiu całego Stanu nowy kierunek rozwojowy. Mimo tych zmian, stosunki wewnętrzno-polityczne, tradycje, nastroje, kategorje myślenia i cała psychologja „gauchów" nie mogła się nagle przekształcić ani zmienić. „Mentalność polityki dominującej — (jak słusznie podkreślał Veiga Miranda, jeden z czołowych polityków Stanu São Paulo na konferencji propagandowo-politycznej podczas kampanji wyborczej) — pozostała ta sama. Pozostali ludzie zapalczywi i nieprzejednani, adepci tej samej filozofji, przywiązani do surowej dyscypliny umysłowej, która przenosząc się w sferę partyjną, ujawnia się jako niepokojące objawy zatraty indywidualności".

I z tymi ludźmi, z tą jednostką Unji Antonio Carlos wszedł w konszachty polityczne i utworzył front opozycyjny przeciwko Prezydentowi Republiki i kandydatowi Konwencji konserwatywnej. Jeśli zważyć te głębokie, nie posiadające prawie punktów stycznych różnice i przeciwieństwa psychologiczne, społeczno-polityczne, kulturalne i historyczne, które dzielą Stany Rio Grande do Sul i Minas Geraes, to trzeba przyznać, że Antonio Carlos, któremu przyszły z pomocą takie wypadki, jak kryzys kawowy i ogólno-gospodarczy Brazylji i załamanie się stabilizacji milrejsa, wykazał nie-

pospolity talent organizacyjny i polityczny. Oczywiście, że trudno było znaleźć program polityczny, któryby odpowiadał tradycyjnie liberalnemu Minas Geraes i ultra-autokratycznemu Rio Grande do Sul.

Na konwencji liberalnej, zorganizowanej w Izbie Deputowanych na wzór konwencji konserwatywnej w dniu 20 września 1929 r. z udziałem kilkudziesięciu przedstawicieli z całej Brazylji, a głównie ze Stanu Minas Geraes i Rio Grande do Sul, Antonio Carlos, odczytując manifest konwencjonalistów, tak tłumaczył swój oryginalny aljans polityczny:

„Pytają nas ciągle, w imię jakiej zasady podnosimy nasz sztandar przeciwko przytłaczającej i dusznej jednomyślności polityki narodowej. Wskazują na różnorodność naszych założeń ideologicznych, jako na nasz nieuleczalny i pierworodny grzech, lecz nie rozumieją, albo udają, że nie rozumieją, że te różnice zlewają się dzisiaj w zupełnej jednomyślności, gdy podnosimy wspólny protest przeciwko atrybucji Prezydenta Republiki co do wybierania i narzucania swego następcy".

„My nie jesteśmy partją, lecz związkiem partyj politycznych".

„W pewnym momencie historyczno-politycznym Brazylji szereg partyj, rozdzielonych jeszcze wczoraj swemi zapatrywaniami politycznemi, odczuł i zrozumiał, że fundamentalne pojęcie godności Republiki zostało pogwałcone przez działalność egzekutywy. I wokół tej zasady złączyły się różne prądy polityczne, gotowe do wspólnej i jednolitej akcji, zdecydowane nawet na wzajemne ustępstwa w dziedzinie ich odrębnych programów".

Obrona zwyczaju i tradycji konstytucyjnej Brazylji republikańskiej, że Prezydent nie powinien wpływać na wybór swego następcy, ani go wskazywać lub popierać, lecz że powinien zostawić społeczeństwu prawo swobodnego wskazania i wybrania nowego prezydenta — oto geneza formalna i credo polityczne „Aljansu", który sformułował w imię tej nieuchwytnej zasady Antonio Carlos, lansując imię Getulia Vargasa jako kandydata ludu.

Ile było szczerości w tem credo obu Prezydentów, występujących jakoby w obronie zasad republikańskich, może potwierdzić jeden ustęp z listu Getulia Vargasa, pisany do Washingtona Luisa w maju 1929 r. poufnie:

„Co się tyczy polityki federalnej i naszego stanowiska i naszych nastrojów, to nie zaszła żadna zmiana w ustosunkowaniu,

jakie wyłożyłem w mem poprzedniem piśmie, pisanem do W. Eksc. w grudniu ub. r. i które podtrzymuję z należną w tej kwestji poufnością. Nie nastąpiła żadna zmiana. Pozostałem zamknięty dla jakichkolwiek oświadczeń na temat następstwa prezydencjonalnego, nie chcąc przyczyniać się do zakłócenia atmosfery, by zostawić W. Eksc. w tej kwestji swobodną inicjatywę do posunięć w momencie do tego odpowiednim i by uniknąć ingerencji mistrzów dzieła dokonanego, poszukiwaczy kandydatur lub pretensjonalnych zwiastunów, którzyby chcieli igrać imieniem i prestiżem Rio Grande do Sul, by później żądać w nagrodę osobistych rekompensat".

„W. Eksc. może być spokojną, że Partja Republikańska Rio Grande do Sul w momencie potrzeby nie omieszka udzielić Mu swego poparcia".

I ten sam mąż stanu w kilka miesięcy później stoi na czele opozycji liberalnej przeciwko Prezydentowi Republiki.

Myliłby się jednak ten, ktoby chciał tę zmianę frontu u Getulia Vargasa zapisać na rachunek tylko jego osobistej przewrotności politycznej lub jego ambicji. Jeśli jego nazwisko znalazło się na kartkach wyborczych, jako kandydata obozu liberalnego, to był to raczej zbieg okoliczności, czy raczej cena, za którą ten tak politycznie i duchowo odrębny Stan Rio Grande do Sul zgodził się wystąpić wspólnie z liberalnym Minas Geraes przeciwko „sytuacjonizmowi" federalnemu.

Mimo szumnych haseł zreformowania obyczajów politycznych i praktyk demokratycznych, które widniały na sztandarze „Aljansu", konwencja liberalna była w gruncie rzeczy taką samą fikcją demokratyczną, jak konwencje konserwatywne. Wszystko już było zgóry przygotowane, a Getulio Vargas, który był jakoby tym wybrańcem ludu i demokracji, mógłby podziękować konwencjonistom liberalnym tym samym głębokim i mądrym aforyzmem, którym odpowiedział w swoim czasie Ruy Barbosa, kiedy wysunięto drugi raz na konwencji liberalnej w Teatrze „Lyrico" w Rio de Janeiro jego kandydaturę na prezydenta Republiki (1913):

A presença da Naçâo basta para transformar um theatro ou um circo em uma cathedral (Obecność Narodu wystarcza, by teatr lub cyrk przemienić w katedrę).

„Polityka brazylijska w okresie republikańskim" — oświadczył na tej samej konwencji ten mistrzowski analizator rzeczywistości brazylijskiej — „przywykła żyć formułkami, kłamstwami". Dodajmy

od siebie, że po 17 latach rozwoju nie przestała niemi żyć. Trudno bowiem inaczej nazwać cały program ideewy „Aljansu", jak pewnego rodzaju fikcją, około której Antonio Carlos zgrupował tyle różnorodnych elementów społecznych i politycznych i którą potrafił wstrząsnąć tak głęboko masami wyborczemi Brazylji i rozpalić ich namiętności polityczne do granic niebezpiecznych.

Po odczytaniu platformy wyborczej przez Getulia Vargasa, co nastąpiło w dniu 2 stycznia 1930 r. w Rio de Janeiro, „Aljans" przystąpił do agitacji wyborczej prawie we wszystkich Stanach, gdzie dominował politycznie obóz rządowy. Czołowi przedstawiciele liberalizmu brazylijskiego, głównie riograndeńczycy z Baptystą Luzardo na czele, wyruszyli na północ Brazylji i prawie we wszystkich Stanach, z wyjątkiem Amazonas, urządzali wiece, konferencje i zebrania polityczne, proklamując basła platformy wyborczej Getulia Vargasa, jak amnestja polityczna, zniesienie ustaw ograniczających swobodę słowa i przekonań politycznych, zreformowanie ustawodawstwa wyborczego, socjalnego, sądownictwa i t. p. Postulaty, wysuwane przez opozycję liberalną w dziedzinie wewnętrznopolitycznej i społecznej, cieszyły się wśród mas wyborczych, jak i wśród sfer oświeconych dużą popularnością i zyskiwały temu obozowi poklask i zwolenników, wszędzie, gdzie docierała t. zw. *caravanna* liberalna. Na wiecach, organizowanych przez liberałów, temperatura roznamiętnienia politycznego podnosiła się zwykle wysoko, doprowadzając w szeregu miejscowości do krwawych starć ze zwolennikami obozu rządowego i władzami bezpieczeństwa. Szczególnie krwawe zajścia zaszły w Victorji, stolicy Stanu Espirito Santo, i w Fortaleza na północy. Chwilami gorączka wyborcza zdawała się zagrażać katastrofą — słowo „rewolucja" lansowane było niejednokrotnie na wiecach i w prasie, a jeśli do niej nie doszło, to przypisać należy zbyt jeszcze świeżej pamięci zdarzeń z lat 1924—1926, które tak zrujnowały Brazylję materjalnie, moralnie i politycznie i obniżyły jej prestiż w oczach zagranicy. Poczucie odpowiedzialności, a przedewszystkiem tolerancja i pełne poszanowanie swobód politycznych ze strony rządu federalnego i rządów Stanowych wobec kampanji opozycyjnej, przyczyniły się również w dużym stopniu do utrzymania w granicach porządku społecznego temperamentów i zapaleńców liberalizmu.

Smutne wypadki w Montes Claros podziałały uspokajająco na dwa obozy i wstrząsnęły całem społeczeństwem brazylijskiem. Widmo

rewolucji przeraziło obie strony, gdyż ani jej nie pragnęły, ani nie były do niej przygotowane. Prasa nie ustawała w swej agitacji, ale temperatura nastrojów politycznych opadła. Przeprowadzone w dniu 1 marca 1930 r. wybory upłynęły w całej Brazylji w pełnym spokoju i porządku; nigdzie nie doszło do starć ani zaburzeń; nie było ani jednego wypadku w całej Brazylji, by władze bezpieczeństwa potrzebowały wkraczać i zmuszać do poszanowania prawa lub porządku publicznego. Świadczy to o dużej rozwadze politycznej, którą potrafiły zachować obydwie strony w momencie decydującym, jak i o pewnej ewolucji w dziedzinie uświadomienia i wychowania politycznego, któremu kampanja liberalna oddała niewątpliwie poważne usługi. Oczywiście, że nie obeszło się bez nadużyć, ucisku i gwałtów wyborczych, które uprawiali liberali na równi z konserwatystami. Faktem jednak jest dodatnim, że te nadużycia były utrzymane w granicach usprawiedliwionych brakami ustawodawstwa wyborczego i wychowania politycznego, oraz ułomnościami ludzkiemi.

Dotychczas brak jeszcze kompletnych i definitywnych wyników wyborczych, lecz te, które zostały dotychczas ogłoszone, nie ulegną już poważniejszej zmianie. Wyniki te według ważniejszych Stanów są następujące:

Stan:	Ilość głosów oddanych na	
	Julio Prestesa	Getulio Vargasa
Ceara	85.200	4.100
Pernambuco	61.800	10.000
Rio de Janeiro	70.900	18.600
Rio de Janeiro—stolica	32.400	30.900
São Paulo	332.300	35.300
Rio Grande do Sul	900	298.600
Bahia	145.600	9.300
Minas Geraes	53.800	182.200
Parahyba	11.400	30.500
Inne Stany	305.700	50.500
Razem w Brazylji	1,100.000	670.000

Cyfry te, które zapewniają Julio Prestesowi niedwuznaczną przewagę i zwycięstwo, charakteryzują dobitnie cele i metody walki wyborczej, która przez szereg miesięcy pochłaniała całe społeczeństwo brazylijskie i odrywała go od wszelkich innych zagadnień życiowych, a nawet od tego, co jest tak drogie duszy brazylijskiej,

jak karnawał. Z podziału głosów wynika jasno, że walka nie toczyła się istotnie o ideje, ani o programy polityczne, ani o platformy kandydatów, ani nawet o same osoby kandydatów, ale jedynie o władzę. Przeciwko „sytuacjonizmowi", z którego zrodziła się kandydatura Julia Prestesa, poparta przez 17 rządów Stanowych, zbuntowały się 3 Stany, będące wprawdzie w mniejszości liczebnej, ale dysponujące dużą siłą polityczną i pragnące mieć swego przedstawiciela u steru Republiki.

*

Życie polityczne Brazylji wymaga pogłębienia i organizacji, wymaga pewnego zróżnicowania i odmłodzenia, gdyż zasady i formy, w jakich tkwi od blisko 40 lat, wyradzają się i kostnieją. Wyczuwał to i rozumiał genjusz polityczny Ruy Barbosy, Nilo Peçanhi i innych weteranów republikanizmu brazylijskiego, którzy w sędziwym wieku stanęli w obronie ideałów demokratycznych i na czele ruchu liberalnego. Wpływ, jaki wywierał Ruy Barbosa na życie polityczne Brazylji przez kilkanaście lat, sięgał głęboko i szeroko i stanowił dobry zaczątek nowego kierunku politycznego. Tradycję Ruy Barbosy pragnął wznowić Antonio Carlos, indywidualność polityczna i struktura duchowa zbliżona do swego nauczyciela. Niestety przyjaciele polityczni, których pozyskał na obrońców swych idej — a może i ambicyj — powiedli go na manowce. Masy, nastrojone liberalnie, poszły za hasłami opozycji i, gdzie tylko mogły, manifestowały swą wolę — lecz u góry, u przywódców tych mas, zabrakło jednomyślności i wiary w zwycięstwo liberalizmu.

W końcu marca Borges de Medeiros, naprzód w imieniu swojem, a następnie w imieniu całego Stanu Rio Grande do Sul, którego jest nadal wykładnikiem politycznym i duchowym, oświadczył, że urny wyborcze zadecydowały w dniu 1 marca 1930 r. o zwycięstwie obozu rządowego i że czas zaprzestać walki o fikcje.

Czy wystąpienie Borgesa de Medeiros zamknie ten kilkomiesięczny spór o władzę w republice brazylijskiej — trudno dziś przewidzieć. Do dnia 15 listopada b. r., t. j. do daty zmiany prezydencjalnej, mogą jeszcze nastąpić różne przegrupowania sił politycznych, lecz trudno przypuścić, by „Aljans Liberalny" w swej dotychczasowej formie utrzymał się jako organizacja polityczna i by stał się przedstawicielem prądu demokratyczno-liberalnego w Brazylji.

Rio de Janeiro, w kwietniu 1930 r.

KAZIMIERZ CHODYNICKI

ZASADNICZE SKŁADNIKI SYNTEZY DZIEJOWEJ LELEWELA

Obok narodowości drugim składowym pierwiastkiem ideologji Lelewela, jak i całego ówczesnego pokolenia była wolność. Ideał ten występuje u Lelewela już w jego *Historyce*: „Wszelka wolność ułatwia postępkom w doskonaleniu się i rozwijaniu zacności rodu ludzkiego, a wszelkie ścieśnienie jej wstrzymuje to i zawadą się staje... Gdzie władza panująca najmniej czuć się daje, gdzie wolność myślenia nie jest krępowana nałogami lub mniemaniami, tam oczekiwać należy szybkiego wzrostu w cywilizacji, w naukach, w guście"... Despotyzm hamuje normalny rozwój społeczeństwa, wolność przyśpiesza (str. 39). Stąd dalsze już wnioski wyciągnął Lelewel w następnych swych pismach. Skoro wolność sprzyja rozwojowi społeczeństwa, a despotyzm utrudnia, więc ustrój republikański ma wyższość przed monarchją. O rzeczypospolitej, jako o idealnym ustroju państwa, będzie niejednokrotnie Lelewel pisał w swych dziełach. Zauważyć przytem trzeba, że pod tym względem historyk nasz różnił się od większości działaczy Królestwa Kongresowego, którzy wyznawali i walczyli jedynie o zachowanie nienaruszalności karty konstytucyjnej.[1] Dla Lelewela monarchja konstytucyjna nie wystarczała, on pragnął rzeczypospolitej.

Skoro rzeczpospolita jest najlepszą formą rządu, więc i państwa, które się do tego ideału zbliżają, stoją wyżej od państw monarchicznych. A zatem Polska w okresie przewagi elementu demokratycznego, t. j. w epoce rzeczpospolitej szlacheckiej, czyli jak to Lelewel nazywa „gminowładztwa szlacheckiego" przewyższa inne państwa. Wnioskiem z tych założeń była idealizacja przeszłości Polski w okresie największego rozwoju swobód społecznych. „Pol-

[1] Handelsman, *Rozwój narodowości* II, str. 78 nn., Więckowska, *Opozycja liberalna w Królestwie Kongresowem*, Warszawa 1925, str. 70 oraz *Charakterystyka braci Niemojowskich — Przegl. Histor.* t. 23, str. 66.

ska kwitnąca" — to Polska w epoce Jagiellonów. Ale wolność nietylko samej Polsce przynosiła szczęście, ale nęciła inne ludy, które jak Litwa, Prusy, Inflanty garnęły się pod jej opiekę. Dlatego też Polska na drodze nie podboju, ale braterstwem złączyła tyle ludów.

Trzecim składowym pierwiastkiem syntezy Lelewela jest pogląd na kwestję włościańską. Autor „Straconego obywatelstwa stanu kmiecego w Polsce" dużo pracy poświęcił na rozwiązanie tego zagadnienia w przeszłości i w dobie mu współczesnej. Problemat ten, jak widać z późniejszych zwierzeń Lelewela, nasunęło mu samo życie. Sięga on pamięcią jeszcze do rozpraw Sejmu konstytucyjnego. Czy pięcioletni chłopiec dużo zapamiętał z tych rozpraw to trudno osądzić, ale w dzieciństwie nasłuchał się dość rozmaitych dyskusyj o kwestji włościańskiej. Będąc uczniem Uniwersytetu wileńskiego, słyszał o katuszach chłopów w dobrach Zubowa, nieraz potem dysputował o tem zagadnieniu.[1] Sprawy włościańskiej nigdy nie zaniedbywał, interesował się nią w życiu i nauce. Podobno, jako profesor Uniwersytetu wileńskiego, zadawał uczniom temat do opracowania, w którym należało udowodnić, że naród polski stracił Śląsk i Prusy przez arystokrację, a odzyska je przez gminowładztwo.[2] Zanim napisał specjalne rozprawy z tego przedmiotu, w r. 1829 umieścił zasadnicze swe poglądy na tę kwestję. Tak więc i to zagadnienie Lelewel rozwiązywał ze stanowiska obecnych potrzeb społeczeństwa.

A zatem trzy składowe pierwiastki syntezy dziejowej Lelewela: 1) narodowość, 2) wolność, 3) pogląd na znaczenie sprawy ludowej, były zasadniczemi elementami powszechnej ideologji ówczesnego pokolenia.[3] Wynikały one nie jako wnioski z badań naukowych, ale wprost przeciwnie, wzięte z życia posłużyły za kryterja wyboru

---

[1] *Uprzednia myśl, czyli słowa do poszukiwań wstępne. Polska, dzieje rzeczy jej*, t. III, str. 24—25.

[2] *j. w.* str. 4—5.

[3] Por. Handelsman, *Rozwój narodowości nowoczesnej*, II, str. 119: „Narodowość i jej świadomość, instynkt polityczny, religijność, entuzjazm... wreszcie pierwiastek społeczny w postaci rozwiązania sprawy włościańskiej... oto trzy elementy zasadnicze... atmosfery romantyczno-politycznej"... Zauważyć należy, że religijność nie grała żadnej roli w poglądach Lelewela, był on niechętnie usposobiony względem religji oraz względem chrześcijaństwa. Uważał, że ono wpłynęło na niewolę ludu polskiego, który za czasów pogańskich był wolny. *Uprzednia myśl* j. w. str. 25. Ogólne stanowisko do religji por. moją rozprawkę: *Lata uniwersyteckie Lelewela*, str. 18.

poszczególnych tematów do pracy naukowej, one też były główną podstawą sądu dziejowego i podwaliną konstrukcji historycznej, wpłynęły również na podział dziejów Polski na okresy.

W celu — jak sam powiada w *Przygodach* — ułatwienia sobie dalszych poszukiwań, już w r. 1813 w *Historji Polskiej* podzielił dzieje nasze na cztery okresy. Stwierdzić należy, że mimo braku obszerniejszych i gruntowniejszych wiadomości, a zwłaszcza z epoki Jagiellońskiej, podział na okresy jest dość trafny. Przy tworzeniu poszczególnych okresów Lelewel zwracał przedewszystkiem uwagę na to, w czyich rękach spoczwa władza. Stąd powstały 4 okresy: 1) Polska podbijająca — samowładztwo (od r. 890 do 1140), 2) Polska w podziałach — możnowładztwo (1139 r.—1333 r.), 3) Polska kwitnąca — gminowładztwo szlacheckie (1333 r.—1588 r.), 4) Polska upadająca — nieład (r. 1588—1795 r.). W każdym okresie rozróżniał trzy fazy: powstanie danego zjawiska, jego rozwój największy i zanik. Podział na okresy, utworzony w 1813 r., nie uległ i później zmianom, zjawiały się tylko drobne modyfikacje. Podobnie i zasadnicze ujęcie sprawy—z przedstawieniem czasów gminowładztwa szlacheckiego jako okresu rozkwitu państwa polskiego przetrwa aż do końca działalności naukowej Lelewela. Podział na okresy stał się podstawą do wytworzenia syntezy dziejów Polski. I dlatego to rok 1813 ma doniosłe znaczenie w ewolucji pojęć Lelewela. W trzy lata później wypowiedział się on w kwestji niezmiernie ważnej dla ówczesnego pokolenia, a mianowicie: przyczyn upadku państwa polskiego.

*

Nad tą sprawą zastanawiał się Lelewel w r. 1817 z powodu recenzji *Śpiewów historycznych* — Niemcewicz — zgodnie z poglądami Naruszewicza — w końcowych uwagach wyraził pogląd, że przyczyną upadku były winy naszego społeczeństwa „Nadużycia wolności przez szlachtę, zupełne oddalenie od niej ludu, powszechnego ujarzmienia stały się przyczyną". Mówiąc o braku silnej władzy królewskiej i wybujałej wolności szlacheckiej, kończy w ten sposób: „Te są błędy, które zguby naszej stały się przyczyną, winy, które nie całemu narodowi, lecz z jednej strony ślepocie możnych, z drugiej zbytniej powolności królowi przypisać należy". Otóż temu poglądowi przeciwstawia się Lelewel, wygłaszając tutaj zapatrywania, które zawarł już w podziale na okresy dziejów polskich w 1813 r. Zgodnie z założeniem, że w epoce „gminowładz-

twa szlacheckiego" naród znajdował się w okresie „kwitnącym", historyk przedstawia w różowych kolorach obraz Polski w XV i XVI w. Polacy wówczas byli „narodem bezwątpienia znamienitym, kwitnącym, działającym, choć w łagodnym sposobie, czynnie i skutecznie". Już w tej recenzji wykazuje Lelewel, te cechy narodu polskiego, które uwydatni w późniejszych, zwłaszcza emigracyjnych pismach, jeszcze silniej, mianowicie siłę atrakcyjną Polski. Wskutek zalet narodu polskiego inne narody garnęły się do niego. Nietylko Prusy królewskie, Litwa, Inflanty, ale „ościenne narody od Elby, Laponji, Adrji i Rhenu prosiły się o królów, bo Polska znajdowała w rodzie litewskim Jagiellonów, władców, którzy umieli świetnie w kwitnącym stanie mniej sfornym kierować statkiem".

Gdy w całej Europie krew się przelewała, tu panował błogi spokój. Wszystkie stany żyły z sobą w zgodzie. Stan szlachecki zdobył sobie przewagę w państwie i ograniczył władzę królewską. Włościanie, którzy w innych pracach Lelewela przedstawiani są jako uciemiężeni i nieszczęśliwi, tutaj cieszą się dobrobytem i wolnością: „Stan wiejski z pod opieki prawa szlacheckiego usunięty, stał się należącym do właścicieli ziem, podzielał łagodność i szlachetne swych panów uczucia, w dobrym bycie, spokojnie się mnożył". Apoteoza szlachty i jej rządów doprowadza autora do sądu ujemnego o Stefanie Batorym: „Ta dłoń, co miała naród od nieładu i zguby dźwignąć, nie przewidywała, jak plenne w klęski dla niego rzuciła ziarna". Sąd ten szerzej zostanie rozwinięty w r. 1836 w *Uwagach nad dziejami Polski i ludu jej*.

Stan mieszczański nie cieszył się sympatją historyka: „Stan miejski, dostatni, zrażony wyniosłością wyższego szlacheckiego, gnuśnie opuszczał swe znaczenie... dobrowolnie zstępował". Jednakże ten błogi dla wszystkich okres się kończy, w r. 1587, a zaczyna się okres upadku, który trwa aż do r. 1795. Wewnątrz powstaje nieład, z zewnątrz spadają na Polskę klęski. Ale nawet w swem odrętwieniu, „dochował szczęśliwie naród zalety swego charakteru, który go do życia zwracał".

Na zasadnicze pytanie, dlaczego państwo polskie upadło, odpowiada Lelewel niezupełnie wyraźnie — prawdopodobnie ze względu na cenzurę. — Zaznacza, że naród był winien, że doprowadził do tego stanu, w jakim się znalazło społeczeństwo i państwo w XVII w. Daje jednak poznać, że upadł z powodu działania sił zewnętrznych. Rozbiór Polski nastąpił w chwili dźwigania

się narodu z letargu. O upadku państwa mówi w ten sposób: „W postępie jego (narodu) błędów i przewinień, snuły się odmiany, zmieniające jego położenie; toczyły się okoliczności, których wylewem porwany i spluskany, zwykłej losów ludzkich kolei ulegać musiał, i ostatni czas jego upadku, tymże sposobem wypadł". W ten sposób, pisząc o przyczynach upadku państwa polskiego, Lelewel już w r. 1817 wyraża poglądy następujące: 1) w w. XVII i XVIII nastąpił upadek moralny narodu, ale on sam nie spowodowałby upadku państwa, 2) istotną przyczyną upadku Polski był napad państw zaborczych. Nie porusza jeszcze teraz Lelewel kwestyj ustrojowych, ujawnia natomiast bardzo wyraźną tendencję do idealizacji całego społeczeństwa, a szczególnie szlachty XV i XVI w.[1] W rozprawie o *Śpiewach historycznych* zawarte są *in nuce* te myśli, które na emigracji wystąpią już w pełni rozwoju. Widać, że nad temi kwestjami Lelewel już teraz zastanawiał się i musiał je wypowiedzieć przy nadarzającej się okoliczności; tą okolicznością było wydanie *Śpiewów historycznych*.

Jeszcze raz powraca Lelewel do kwestji upadku państwa polskiego w broszurze ogłoszonej wprawdzie w r. 1831, ale napisanej w r. 1820 p. t. *Historyczna paralela Hiszpanji z Polską.*[2] Książeczka ta powstała jako streszczenie wykładów uniwersyteckich na ten temat. Sprawa hiszpańska, z powodu rewolucji, jaka tam wybuchła w 1820 r., nasuwała historykowi analogję z Polską. Jak Hiszpanja wolność uzyskała za pomocą rewolucji, tak Polska może zdobyć niepodległość za pomocą oręża. Ta myśl prawdopodobnie towarzyszyła Lelewelowi przy pracy nad broszurą, chociaż dwukrotnie się zastrzegł, że pisze o przeszłości a nie o przyszłości.

Zestawiając dzieje obydwu państw, Lelewel porusza zagadnienia ustrojowe i wykazuje wyższość rzeczpospolitej nad monarchją.[3]

[1] Do jakiego stopnia Lelewel był drażliwy pod względem ambicji narodowej, świadczą o tem słowa oburzenia, wypowiedziane w przypisku do tej recenzji; z powodu polemiki o tragedję L. Kropińskiego, *Ludgardę,* Lelewel zarzucał autorowi przedewszystkiem to, że „jeden z najzacniejszych królów naszych charakter ma zmieniony i spodlony". Gniewa się wprost, że autorowi podobało się „rzucać hańbę i kaźń na naród", „zacność własnego narodu znieważyć" i t. d. *Rozbiory* str. 60, przyp 1.

[2] O wpływie rewolucji hiszpańskiej na genezę tej książki i o jej znaczeniu politycznem zob. Askenazy, *Łukasiński,* Warszawa 1929, tom I, str. 130—131.

[3] W *Paraleli* pominął jednak Lelewel to, co było najcharakterystyczniejsze dla obydwu państw i nasuwało najwięcej analogij, a mianowicie

Pominięcie zupełnie dziejów parlamentaryzmu hiszpańskiego uwydatniło jeszcze bardziej kontrast pomiędzy autokratyczną Hiszpanją i republikańską Polską. „Królestwo hiszpańskie rozszerzało swe granice przez p o d b ó j sąsiednich krajów, rzeczpospolita polska łączyła i spajała wiele krajów przez wpływ narodowości i porównania swobód stanu szlacheckiego. Hiszpanja rozwój swej potęgi zawdzięczała monarchom, Polska narodowi". „Wzrost i utrzymanie wielkości Hiszpanji były zabiegiem monarchy". „W Polszcze wielkość polegała na skłonnościach i dobrej woli narodu". — Uwydatnienie znaczenia ustroju republikańskiego dla Polski — oto zasadnicza idea *Paraleli*. Oprócz tej myśli wypowiada Lelewel poglądy niemal identyczne, z wyrażonemi w recenzji *Śpiewów historycznych*. Występuje ta sama dążność do idealizacji Polski w epoce „gminowładztwa", ale rozkład światel i cieni w obydwu utworach jest nieco inny. W r. 1817 główny nacisk Lelewel kładł na epokę Jagiellonów, teraz zatrzymuje się dłużej nad w. XVII i XVIII. Stąd wynika przewaga poglądów ujemnych. „Trzykrotne od zgonu Jagiellonów bezkrólewia otworzyły w rzeczypospolitej rany, które przy u z u p e ł n i o n y m d e m o k r a t y z m i e szlachty, różnych porządkach i zmianach, r z u c a ł y z a r o d k i i w e w n ę t r z n e n a s i o n a u p a d k u P o l s k i". Autor poddaje surowej krytyce rządy szlachty i ustrój demokratyczny państwa polskiego. „W Polszcze wszystko złe, wewnątrz trapiące, wynikało z interesu władnących i b ł ę d ó w stanu szlacheckiego". Błędy stanu szlacheckiego poniżały kraj i lud. „D z i w n e r o z p r z ę ż e n i e i r o z k i e ł z n a n i e n a r a ż a ł o r z e c z p o s p o l i t ę n a z g u b ę". W przeciwieństwie do Hiszpanji, gdzie przyczyną upadku było złe prowadzenie państwa, Polsce zaszkodziło najwięcej z ł e p r o w a d z e n i e s i ę n a r o d u. Dodatnią cechą, wyróżniającą Polaków w zestawieniu z Hiszpanami, była tolerancja religijna. Na półwyspie Pirenejskim występował dziki fanatyzm. W Polsce panowała większa obojętność na różnicę wyznań. Usposobienie zaś narodu łagodniejsze i umiarkowańsze nigdy nie dopuściło do zbyt gwałtownych kroków, stąd powolniejszy i nie tak zacięty w Polsce fanatyzm. Dopiero w w. XVII

---

objawy życia parlamentarnego w Hiszpanji i Polsce. Por. K o n o p c z y ń s k i, *Liberum Veto*, Kraków 1918, str. 117. — H a n d e l s m a n, *Polska katedra historji powszechnej w Warszawie*, 1916, str. 5 i *Historyka* str. 55 oraz K o r z o n, *Kwartalnik historyczny*, 1897, str. 280—283, bardzo wysoko stawiają tę rozprawę.

zniknęła tolerancja religijna, cnoty domowe zaczęły upadać, psuć się obyczaje. „Tak w obłąkanej wolności politycznej, tracąc wolność religijną, Polacy, politycznie i moralnie poniżeni, ubliżyli ludzkości i prawości, a z nadwyrężeniem cnót domowych i publiczne zmartwiały". Tak surowej oceny nie spotykamy w innych pracach Lelewela z tego okresu. Ale zato znajdujemy w *Paraleli* ten sam pogląd, co i w rozbiorze *Śpiewów historycznych*, że przyczyny wewnętrzne same nie mogą doprowadzić narodu do upadku. Błędy narodu polskiego i wady ustroju, „wszystkie te nieszczęśliwe wewnętrzne przyczyny" „mogły pociągnąć nędzę, rewolucję, nareszcie i przewrócenie porządku w kraju, ale nie upadek, gdyby się do nich zewnętrzne nie mieszały".

Różnica poglądów wypowiedzianych w *Paraleli* a w innych pismach jest widoczna i zrozumiała. W artykułach, przeznaczonych dla szerszego ogółu, Lelewel starał się krzepić społeczeństwo, roztaczając przed niem możliwie idealny obraz przeszłości, ukrywając cechy ujemne. Z katedry uniwersyteckiej, wśród niezbyt wielkiej prawdopodobnie liczby słuchaczy, nie wahał się wydać surowszego wyroku. Zawsze jedna myśl powraca ciągle i z naciskiem jest powtarzana, że istotną przyczyną upadku państwa polskiego był czynnik zewnętrzny.

Poglądy historjozoficzne wypowiadał Lelewel dotychczas jedynie dorywczo jak w recenzjach lub częściowo jak w *Paraleli*. Nie zastosował ich do całości dziejów. Historja, którą napisał w r. 1813, leżała jeszcze w rękopisie; wydany w r. 1821 fragment nie nadawał się do wypowiadania poglądów ogólnych. Wypowiedział je w książeczce przeznaczonej dla dzieci i szerszych kół czytelników p. t. *Dzieje Polski potocznym sposobem opowiedziane* (r. 1829). Książeczka ta, pomimo że pozornie jest przeznaczona dla młodzieży i ludu, posiada doniosłe znaczenie w rozwoju pojęć Lelewela. Brak popularnego podręcznika historji dla dzieci Lelewel oddawna odczuwał. W r. 1816 ogłosił swoje zdanie o dotychczasowych podręcznikach Wagi, Bandtkego i innych. Przygotowywał poprawki i uzupełnienia do historji Wagi. Jednak to go nie zadowolało. W r. 1822 pisał o potrzebie dzieł elementarnych. Zamierzał wreszcie sam ułożyć dzieje dla ludu, ale uważał to „za zadanie srodze trudne! Jak mu powiedzieć było: poniżonyś, gnębiony, katowany!" Namawiał Klementynę Hoffmanową do pisania historji dla dzieci. Gdy wszystkie namowy nie pomogły, sam zabrał się do pisania. Książeczce swej Lelewel przy-

pisywał ważne znaczenie. Na emigracji, gdy mu zarzucano zmienność poglądów, powołuję się na sądy wypowiedziane w tem dziełku. W *Uwagach* po materjał faktyczny odsyła czytelnika do *Dziejów potocznie opowiedzianych*. W przedmowie do francuskiego przekładu tej książki wydawcy zaznaczają, że jest ona kluczem do zrozumienia wszystkich prac Lelewela i jest streszczeniem wielkiej historji, której plan autor nakreślił i do której materjały gromadził przez całe życie. Jest to więc jakby kwintesencja pomysłów historyka. Zawiera jednak nie wszystkie pomysły. Pamiętać trzeba, że autor był tu skrępowany dwoma względami: przedewszystkiem cenzurą, a powtóre celem dydaktycznym. Trudno określić, ile wpłynęły tutaj przeszkody cenzuralne, natomiast pierwiastek dydaktyczny ujawnia się bardzo wyraźnie. Historyk nasz nie szczędzi tu nauk moralnych i apostrof patrjotycznych. Również ze względów pedagogicznych pominął kwestję włościańską. We wstępie do *Uwag nad dziejami Polski* zaznacza, że pisząc popularną historję dla dzieci sprawy ludu prawie zupełnie nie poruszał. Mimo skrępowania cenzurą i względami pedagogicznemi, pojęcie narodowości występuje w tej książeczce bardzo wyraźnie. Wszystko to, co jest narodowe, jest dobre, to zaś, co paczy cechy rodzime, godne jest potępienia. W rozwoju życia narodowego za czynniki ujemne poczytuje on chrześcijaństwo, feudalizm, prawo teutońskie, strój cudzoziemski, obyczaje odmienne. W popularnej książeczce wzgląd dydaktyczny łagodził ostrość sądu, lecz zasadnicza tendencja autora zarysowuje się dość wyraźnie. Z pobudek pedagogicznych nie mówi autor o ujemnym wpływie chrześcijaństwa na rozwój zwyczajów narodowych, co będzie akcentował w swych pismach późniejszych. Ale tem mocniej zaznacza zasługi Łokietka dla rozwoju narodowości, z entuzjazmem pisze o kulturze narodowej w epoce Jagiellonów. Boleje nad skażeniem języka w dobie saskiej i cieszy się z oczyszczenia jego od naleciałości w dobie stanisławowskiej.

Pogląd, zawarty w tem dziełku, jest właściwie tylko rozszerzeniem i rozwinięciem zapatrywań, wypowiedzianych w *Paraleli* i rozbiorze *Śpiewów historycznych*. Względy dydaktyczne skłaniały Lelewela do retuszowania ostrych konturów tam, gdzie mówił o ujemnych stronach życia narodowego, natomiast tem silniej zaznaczał strony dodatnie. Szczególnie epoka Jagiellonów, podobnie, jak w recenzji *Śpiewów Historycznych* została nakreślona w świetlanych barwach. Śród nowych poglądów na pierwszy plan wysuwa się silniejsze

zaakcentowanie faktu, że państwo polskie miało ustrój republikański. Lelewel stara się udowodnić, że Polska podobnie jak Wenecja, Holandja, jak w starożytności Rzym i Ateny, była rzecząpospolitą. Tak jak rzeczypospolite mają konsulów lub prezydentów obieralnych na pewien okres, podobnie królowie polscy byli obieralni dożywotnio. Nie sama elekcja była złem, ale szkodliwem było nieumiejętne jej przeprowadzenie. Teza o ustroju republikańskim nie jest nowym składnikiem, który tutaj po raz pierwszy wyraźnie występuje, ale w tem piśmie najostrzej się uwydatnia. Kończy autor swe pismo zachętą, skierowaną do dzieci, aby poznały historję polską i zapewnia, że znajdą tam „wiele błędów i wykroczeń, jakie przodkowie nasi popełnili i wiele dobrego".

Dzieje potocznie opowiedziane, to pomimo zaręczeń wydawców francuskich nie owoc prac moralnych i studjów naukowych, ale raczej odbicie prądów nurtujących w Królestwie Kongresowem. Książeczka ta zawiera wprawdzie oryginalne poglądy, ale nie oparte na podstawach naukowych. Przygotowanie bowiem Lelewela do stworzenia syntezy całości dziejów nie posunęło się naprzód wiele od r. 1813, mimo że cały szereg bardzo poważnych dzieł i wiele cennych studjów naukowych wyszło z pod pióra autora. Podobnie jak przed szesnastu laty najwięcej mu dopomóc mogły jego prace z zakresu średniowiecza. A więc *Oświecenie i nauki w Polsce*,[1] gdzie na szerokiem tle porównawczem z dużym zasobem erudycji bibljograficznej przeprowadza tezę, że w zakresie oświaty w Polsce przedewszystkiem wpłynęli Francuzi i Włosi, a dopiero później w XIII wieku Niemcy. Szczególnie cenne do poznania charakterystycznych cech ustroju Polski były jego studja nad pomnikami prawodawczemi i o słowiańszczyźnie winulskiej. Poza tem w dorobku naukowym posiadał Lelewel dzieła z geografji historycznej, z bibljografji, numizmatyki i metodologji.

Natomiast sąd Lelewela o w. XVI i XVII musiał polegać na bardzo kruchych podstawach, ponieważ niewiele było wówczas źródeł i opracowań, któreby należycie tę epokę odsłoniły. Szczególnie mało mógł mieć Lelewel źródeł do poznania naszych sejmów. O diarjuszach wprawdzie wspomina, ale nie widać, aby z nich korzystał. Nie znał też prawdopodobnie wielu aktów sejmowych i sejmikowych. Chociaż erudycja autora „ksiąg bibljograficznych" była

[1] *Polska wieków średnich*, t. IV.

nader rozległa, sam nie mógł ogarnąć całego materjału. I dziwić się temu wcale nie można; przecież i dzisiaj po tylu latach pracy wydawniczej jeszcze brakuje wielu aktów z dziejów naszego parlamentaryzmu. Trzeba przyznać, że robił co mógł. Zbierał wiadomości możliwie dokładnie. W r. 1829 opracował do atlasu Reginy Korzeniowskiej tekst objaśniający tablice i mapy p. t. *Polityka, stan i urządzenie Rzeczypospolitej.*[1] Jest to jakby króciutki zarys ustroju Polski z lakonicznemi wzmiankami o królu, szlachcie, dostojnościach i urzędach. Autor podaje zwięzłe informacje o senacie, sejmie, o prowadzeniu obrad. Dołączył do tego dwie tablice, z których jedna przedstawiała pole elekcyjne na Woli, druga obrady w izbie poselskiej. Dał wykaz sejmów od r. 1331 do r. 1793, oraz obliczył ilość posłów. Obliczenia te są niemal zgodne z wynikami współczesnej nauki. Natomiast wykaz sejmów jest bardzo niekompletny, o istnieniu wielu sejmów, n. p. za Jagiellonów, Lelewel nawet wcale nie wiedział. Nic więc dziwnego, że nie mógł sobie wyrobić dokładnego poglądu na tę epokę. Słowem, synteza, skonstruowana w r. 1829, a posiadająca w sobie już wszystkie składniki, które będą występowały w późniejszych pracach Lelewela, nie była wynikiem badań szczegółowych, ani też została naukowo uzasadniona.

Oprócz czynników tutaj wymienionych, bardzo ważne znaczenie w syntezie dziejowej Lelewela posiadał — jak o tem mowa była wyżej — pogląd na sprawę włościańską.

Po raz pierwszy wyraźniej wypowiedział się Lelewel w tej materji w rozprawie: *Pielgrzym w Dubromilu — rozbiór z uwagami nad stanem wiejskim w Polszcze,* umieszczony pierwotnie w *Pamiętniku Warszawskim* (t. XIV, str. 293—336) w r. 1819. Znajdujemy tu wiele ciekawych spostrzeżeń na sprawę ludu w przeszłości i w dobie współczesnej autorowi. Jako historyk Lelewel wypowiada pogląd, że przed zaprowadzeniem chrześcijaństwa w Polsce był wszystek lud wolny, stan rolniczy równy orężnemu, dopóki pod wpływem feudalizmu nie stracił wolności.[2] Wskutek różnorodnych czynników doszło do podziału społeczeństwa na dwa stany: rolniczy czyli kmięcy, i konny lub orężny czyli szlachtę. Zjawiska te wy-

[1] *Polska, dzieje i rzeczy jej,* t. I, str. 245.

[2] *Rozbiory,* str. 87—88 O poglądzie współczesnej nauki na rolę feudalizmu i chrześcijaństwa w dziejach społecznych Polski zob. rozprawę: R. Grodecki, *Zagadnienie feudalizmu w Polsce. Przegląd Współczesny,* styczeń 1930 i osobno

stępowały również i w innych społeczeństwach, jak w Danji, Szwecji, Norwegji i t. p. „Samowolni senjorowie, lud rolniczy, z osoby i dostatków, za swą własność uważali. Nie odezwał się zaprawdę w Polszczegłos prawodawczy, z ostremi wyrazami, jak w Danji... ani jak na Węgrzech... lud rolniczy na poddaństwo niewolne uroczyście skazujący i ogłaszający; działo się wszystko w Polszcze powolnie, niezmacznie, łagodnie".[1] Przyszły autor „Straconego obywatelstwa kmieci" nie odzywa się jeszcze tutaj zupełnie z jakiemkolwiek słówkiem niechęci do szlachty. Programu pracy dla ludu nie wypowiada wyraźnie, jednak zaznacza konieczność powolnego i stopniowego działania. Lelewel w tym okresie jest zdecydowanym przeciwnikiem wszelkich przewrotów gwałtownych w ustroju społecznym. Lud jeszcze nie jest przygotowany dostatecznie do radykalnych przeobrażeń „W pojedyńczym człowieku, żeby umysłowe zdolności rozwinąć, potrzeba lat czasu. Wszystko się w człowieku zwolna przerabia, podobnie też w masie jakiej rodu ludzkiego, każda przemiana, niemałego czasu wymaga. Nagłe zmiany, zwykle bolesne, choćby jaką gwałtownością utrzymywane były, niełacno się przyswoją: wymagają usposobienia, nawyknienia, co się jednochwilową gwałtownością zdziałać nie daje" (str. 90). Stąd wynika, że praca nad podniesieniem włościan powinna być przystosowana do poziomu umysłowego i etycznego stanu chłopów. Skromny więc na razie Lelewel zakreśla program postępowania. Mówiąc o pracy nad stanem włościańskim, w ten sposób się wyraża: „Nie idzie tam o inną wolność; niechby tylko został zasłoniony od dowolności, niech zna swe obowiązki, a był przekonany, że co zarobił, jest jego własnością. Pracę nad ludem rozpocząć należy od oświaty i to na stopniu czysto elementarnym".

Trzeba najpierw przemawiać do serca, zmysłów i wyobraźni, potem dopiero do rozumu. Stąd wynika doniosłe znaczenie historji dla ludu. Poglądy wypowiedziane w takich książeczkach powinny się liczyć z poziomem umysłowym i moralnym swych czytelników, nie wygłaszać poglądów, które mogą spaczyć ich pojęcia. Trzeba dokonać umiejętnego wyboru faktów. W roli recenzenta zarzuca

[1] *Rozbiory,* str. 89. Na łagodność i powolność zmian w społeczeństwie polskiem wskazuje także Lelewel w *Ocaleniu za Łokietka. Polska wieków średnich,* IV, str. 258.

Lelewel autorce *Pielgrzyma*, że zbyt surowo sądzi królów Polski. Ujmuje się nietylko za Jagiellonami, ale występuje również w obronie Sasów, którzy zostali przez autorkę zbytnio oczernieni. Cały ten artykuł odznacza się spokojnym, umiarkowanym tonem. [1]

Inne pisma Lelewela nie zawierają nowych składników jego syntezy, ale rozwijają dalej myśli, wyrażone poprzednio. Broszurka *Trzy konstytucje*, napisana w r. 1831, powtarza te same zasady o despotyzmie i o wolności, które już przed piętnastu laty wypowiedział w *Historyce*, oraz rozwija szerzej ideje republikańskie i demokratyczne, wyrażone w *Dziejach potocznie opowiedzianych*, *Paraleli* i recenzji *Pielgrzyma*. Ale w poprzednich pismach Lelewel występował jako uczony, a teorje polityczne i uczucia narodowe przybierał w formę naukową. Tu się dzieje wręcz odwrotnie. Poseł powiatu żelechowskiego przemawia jako polityk do słuchaczy sejmowych, ale argumenty swe czerpie ze swych dzieł naukowych. Tak więc u Lelewela ideje narodowe, społeczne i polityczne wpłynęły na genezę i konstrukcję dzieł historycznych, a rezultaty badań naukowych dostarczały argumentów i ilustracyj do poparcia jego tez politycznych.

W syntezie bowiem dziejowej Lelewela wyniki naukowe grały rolę minimalną. Przy stanie ówczesnej wiedzy, pomimo swej wprost zdumiewającej erudycji, nie mógł on zgłębić całości dziejów polskich Na ogólną jego konstrukcję dziejową wpłynęły poglądy społeczne i polityczne, głęboka wiara w siły żywotne narodu i chęć wpojenia tej wiary w swoich obywateli, a przedewszystkiem przywiązanie do „narodowości“ polskiej. I nietylko do myśli wyrażonych w *Trzech konstytucjach*, ale do całej jego działalności naukowej i politycznej zastosować można słowa, które wypowiedział ten potomek Loelhoefflów do reprezentantów sejmu 1831 r.: „Nie pytajcie mnie o to, czy ja republikanin, czy rojalista? dość na ten raz, żem Polak i rzeczy polskie rozważam“. [2]

---

[1] Ten sam ton umiarkowany, a nawet pewna połowiczność w stosunku do sprawy włościańskiej ujawnia się i w jego artykule o tej sprawie, drukowanym w *Nowej Polsce* dnia 18. III. 1831. Por. Śliwiński: *J. Lelewel*, str 338—339. Również umiarkowany charakter poglądów na sprawę włościańską cechuje Lelewela i w czasie emigracji. Na analogję pod tym względem poglądów Łukasińskiego i Lelewela wskazał Askenazy, *Łukasiński*, II, str. 61—62.

[2] *Trzy konstytucje. Polska, dzieje i rzeczy jej*, t. VII, str. 207.

OBCY O POLSCE

POLONIKA WŁOSKIE

Zdawałoby się, że poprzednie moje sprawozdanie (z lutego b. r., str. 296—310) zakończyło rejestrację poloników włoskich za r. 1929. Pokazuje się jednak, że mimo usilnych zabiegów wymykają się różne szczegóły godne zanotowania, interesujące publikacje, drobiazgi niepozbawione wartości i uzupełniające wydatnie ogólny obraz tej dziedziny zjawisk, jaki na tem miejscu staram się choćby szkicowo utrwalić. Mimo coraz intensywniejszej centralizacji życia politycznego i gospodarczego we Włoszech, dziedzina kultury duchowej wykazuje stałe, wrodzone od wieków tendencje odśrodkowe. Regjonalizm panuje tu prawie niepodzielnie i nie chce wyrzec się swoich lokalnych ambicyj i ambicyjek. Idą ze sobą o lepsze miasta i miasteczka, ale to współzawodnictwo często — choć oczywiście niezawsze — jest bezpłodne, absorbujące energję zbiorową w mierze niepożądanej.[1] Ukazują się np. pisma perjodyczne o zbyt szczupłym zakresie promieniowania, do których dotrzeć trudno i o których niełatwo nawet zasięgnąć języka, bo pisze się o nich w kręgu zbyt terytorjalnie zacieśnionym. Podobnież rzecz się ma z uroczystościami, odczytami itd. Stąd też zbieranie materjałów informacyjnych w zakresie poloników włoskich jest uciążliwe, wymaga ciągłych uzupełnień i stałego kontaktu z różnemi środowiskami.

Wychodzi np. w Bolonji miesięcznik niewiele tytułem mówiący: *Il Comune di Bologna*, którego daremnie szukać po księgarniach poza Bolonją. Wydaje go miasto swoim sumptem i to bardzo pięknie, w formacie małego foljo, na kredowym papierze, z pysznemi fotografjami — na większą swoją chwałę i ku niemałemu zapewne zmartwieniu naszych zapalonych zbieraczy wszelakich Mickiewiczianów. Bo oto okazało się, że w tym miesięczniku wyszedł w jesieni zeszłego roku obficie ilustrowany szkic p. Fulvio Cantoni, zajmującego się specjalnie dziejami Bolonji, p. t. *Un centro polonofilo in Bologna nello scorcio del secolo XIX (con una lettera inedita di Adamo Mickiewicz sulla legione polacca in Italia). Parte I. L'Accademia Polacca. Parte II. Mickiewicz a Bologna nel 1848 (Il Co-*

[1] Ciekawe na temat włoskiego regjonalizmu uwagi czytamy w świetnie napisanej i doskonale o współczesnej kulturze włoskiej informującej książce G. Prezzoliniego *La cultura italiana*, 2-gie wyd., ed. „Corbaccio", Milano 1930, stron 500, oraz w polemice, jaka się na temat regjonalizmu toczyła w dwutygodniku *Augustea* w zeszłym roku.

mune di Bologna 1929, nr. 9—10, z 15 fotograficznemi odbitkami). Cała ta publikacja [1] jest cennym przyczynkiem do dziejów kultu Mickiewicza we Włoszech. W części pierwszej zajmuje się Cantoni niedość u nas znaną genezą i historją t. zw. Akademji Mickiewicza w Bolonji, [2] opierając się na najlepszych źródłach, na wspomnieniach miejscowych, na znajomości osób, które w organizowaniu Akademji brały udział czynny. Szczególnie interesują nas wiadomości o Lenartowiczu i o założycielu Akademji, prof. Domenico Santagata (ur. 1811, † 1901), który miał nieraz sposobność zetknąć się z Mickiewiczem w czasie swoich dwuletnich studjów w Paryżu po r. 1836. Geneza Akademji sięga, według Cantoniego, manifestacyjnych objawów sympatji, wymienionych w r. 1878 w parlamencie wiedeńskim między posłami włoskiej i polskiej narodowości. Na wniosek Santagaty, wówczas prof. chemji w uniwersytecie bolońskim, wysłali studenci tego uniwersytetu adres do posłów polskich w Wiedniu, i wtedy to powziął on plan stworzenia w Bolonji ośrodka studjów historji i literatury polskiej i słowiańskiej wogóle. Mnóstwo listów i telegramów zewsząd otrzymanych utwierdziło Santagatę w jego zamiarze. Osobna komisja, złożona z profesorów i studentów (prof. Ferranti, Turrini, Mattioli, mec. Caldesi, student G. Piazzi, Roversi) przygotowała statut Akademji. Dnia 9-go czerwca 1879 r. odbyło się pierwsze zebranie w sali Liceo Musicale. Dłuższe przemówienie wygłosił prof. Santagata, przedstawił genezę Akademji i program jej działania wyłącznie naukowy, scharakteryzował osobistość Mickiewicza i przypomniał jego pobyt w Bolonji w 1848 r. Nastąpił wykład Lenartowicza o pismach politycznych Mickiewicza („sostò a lungo sugli scritti politici di Mickiewicz e particolarmente su quelli che hanno per oggetto la patria e la nazionalità"), prawdopodobnie więc o *Wallenrodzie, Dziadach* itd. Członkami Akademji mianowano m. i. „16 włoskich tłumaczów utworów Mickiewicza", szereg osobistości włoskich i zagranicznych (Cantoni podaje nazwiska). Prezesem honorowym został hr. Carlo Pepoli, poeta, przyjaciel Leopardiego. Część wykładów, wygłoszonych w Akademji przez Lenartowicza, wyszła w książce *Sul carattere della poesia polonoslava* (Firenze 1886). [3] Drugie uroczyste zebranie odbyło się 28-go

[1] Wyszła też osobna odbitka, Bologna 1929, stron 20.

[2] Pisała o tem J. Dicksteinówna w szkicu *T. Lenartowicz jako krytyk artystyczny i profesor wszechnicy bolońskiej* (*Idee i twórcy*, Warszawa 1918), ale jej informacje nie opierały się na źródłach bezwzględnie pewnych (z czego zresztą dobrze sobie zdawała sprawę, por. przypis na str. 97), nie uwzględniła zaś źródeł takich, jak publikacje A. Begeya i Wł. Mickiewicza: Begey A., *La Polonia e l'Accademia di storia e letteratura polacca e slava nell'Università di Bologna*, Torino, Tarizzo, 1879; *Adunanza solenne dell'Accademia A. Mickiewicz tenuta il 28 novembre 1880*, Firenze 1880, in 8-o; *Honoration de la mémoire d'Adam Mickiewicz en Italie*, Paris, Librairie du Luxembourg, 1881 (pióra Wł. Mickiewicza, wydane anonimowo).

[3] Obszernie tę książkę omówiła J. Dicksteinówna w cytowanej już wyżej pracy.

listopada 1880 r. Wziął w niem udział Wł. Mickiewicz. Wtedy to odsłonięto tablicę na domu, gdzie mieszkał poeta w r. 1848 (via Mazzini 14). Pepoli nadesłał list, gdzie wspomniał swoją znajomość z Mickiewiczem i Pellegrina Rossiego genewski wykład o rozbiorze Polski. [1]

Wykłady prowadził przez pewien czas Leuartowicz, a Malwina Ogonowska była lektorką języka polskiego i rosyjskiego (od niej to polszczyzny uczył się prof. P. E. Pavolini). Jak długo żył Santagata († 1901), działalność Akademji była wcale wyraźna. Po nim stanął na czele prof. Giusti, Brini i adwokat Olszewski, dotąd w Bolonji mieszkający, który wygłosił w Bolonji i w innych miastach szereg wykładów o kulturze polskiej (w r. 1915 wyszła jego wartościowa książka *La Polonia nel passato e nell'ora presente*) Akademja rozwiązała się dopiero w r. 1918. Wcale pokaźny zbiór książek, liczący około 1000 tomów, przekazano do Biblioteca Comunale. W czasie pobytu w Bolonji z wiosną tego roku zasięgnąłem bliższych informacyj co do tego depozytu Będzie on w najbliższym czasie zarejestrowany i umieszczony w osobnym dziale. Poczyniono też pewne kroki, zmierzające do wskrzeszenia Akademji, która przetrwała tyle lat i tak piękne ma za sobą tradycje,

W drugiej części swej publikacji zajmuje się Cantoni pobytem Mickiewicza w Bolonji. Podzielił autor tę część na kilka nieskoordynowanych ustępów. Szczegółów nowych ta część nie przynosi, znamy je choćby z dzieła Wł. Mickiewicza czy L. Chodźki. [2] Wtrąca tu autor tylko mały epizod o rekrutującym się z Rzeszowa 41 pułku piechoty austrjackim, którego zachowanie się w Bolonji w r. 1848 stało w jaskrawej sprzeczności z deklaracjami legjonistów Mickiewicza.

Z zaciekawieniem czytamy w tej części osobny ustęp p. t. *Una lettera inedita di Mickiewicz*. Tekst tego listu, podany tu *in extenso*, nie jest autografem poety, podpis tylko jest autentyczny Mickiewiczowski. Oryginał listu znajduje się w Museo civico del Risorgimento w Bolonji (Fondo antico, quadro F. lett. E.). Cantoni nie zna adresata. Nietrudno jednak stwierdzić, że jest to list znany nam już dawniej dzięki Wł. Mickiewiczowi, przedrukowany m. i. w wydaniu Piniego (t. XII, str. 192—5), a wysłany do G. Mazziniego. Różnice w tekście są bardzo drobne (podaję je na innem miejscu), brak tylko w kopji Wł. Mickiewicza końcowego ustępu.

Umyślnie obszerniej omawiam tu publikację Cantoniego zarówno dla jej nieprzystępności jak i dlatego, że bądź co bądź należy ona do cennych włoskich Mickiewiczianów.

Ostatni zeszłoroczny zeszyt *Rivista di letterature slave* (IV, 6, 1929) przyniósł niebylejaką nowość: studjum o Fredrze (*Pessimi-*

[1] Cantoni cytuje fragment z tego listu, przemowę prof. Santagata i poety Enrico Panzacchi.

[2] Nowe szczegóły o legjonie polskim u Cesare Cesari *Corpi volontari italiani dal 1848 al 1870*. Roma 1921.

smo ed ottimismo Fredriano, str. 415—441), pierwsze we Włoszech na ten temat a bodaj że wogóle pierwsze na Zachodzie. Autorem jest Dr. Antonio Stefaniní, który, jako nasz stypendysta, bawił na studjach w Krakowie, a w r. 1928 doktoryzował się w Padwie na podstawie rozprawy o Fredrze. Część jej referował na kursie dla polonistów włoskich w Zakopanem; a teraz z pewnemi uzupełnieniami wydał ją drukiem.[1] Opierając się na znajomości dzieł Fredry i na studjum naszej literatury krytycznej, zbiera tu autor skrzętnie odpowiadające tematowi szczegóły biograficzne ze wspomnień, pamiętników, listów, podkreśla akcenty pesymistyczne w poezjach i pismach prozą. Z twórczości komedjopisarskiej — powiada autor — tryskało dla poety źródło śmiechu, którego mu w życiu niedostawało. Tworząc gorączkowo, tłumił w sobie budzącą się wciąż hydrę pesymizmu, który nawet do komedyj wtargnął i w niejednej radość słoneczną zamroczył, zwłaszcza w drugim okresie twórczości. Pesymizmowi przeciwstawia się prąd optymizmu. Jego źródła dostrzega autor w rozkoszy tworzenia artystycznego, w patrjotyźmie Fredry i jego wierze, w uroku, jaki dlań miała przeszłość, a przedewszystkiem szczera i prawdziwa miłość. Wreszcie zestawia autor pokrótce pesymizm Fredry z pesymizmem Schopenhauera i jego uśmiech z uśmiechem Goldoniego.

Rozprawka p. Stefaniniego, napisana potoczyście, ujmuje jasno a zwięźle samą istotę zagadnienia i wystawia autorowi chlubne świadectwo. Oczekujemy od niego dalszych studjów o Fredrze.

Do pokłosia z r. 1929 należą jeszcze między innemi recenzje prof. Mavera w miesięczniku *I libri del giorno*. Mówiąc o przedmowie Papiniego do antologji współczesnej prozy polskiej pani Olgierd, recenzent nie godzi się na sąd, odmawiający tej prozie rysów indywidualnych, odrębnych. Z wielkiem uznaniem pisze o przekładzie *Wszystko i nic* i wstępie p. Agosti, pozatem omawia *Zarys dziejów literatur i języków słowiańskich* Brücknera i Spławińskiego i przekład *Italji* Konopnickiej (tu parę słusznych zastrzeżeń przeciw zbytniemu powiększaniu Konopnickiej i jej znajomości języka i kultury włoskiej). Przedtem A. Palmieri, w zakresie polskiej literatury wielki dyletant i samouk, prowadził w tym miesięczniku dział polski, teraz zaś przeszedł on w ręce najodpowiedniejsze.[2]

Z odczytów, poświęconych kulturze polskiej w r. 1929, wymienię jeszcze te, które wygłoszono w *Convito italo-polacco* w Genui: konsula generalnego p. Hubickiego *La Polonia storica e l'Italia*, L. Kociemskiego *La Polonia moderna nel primo decennio* i odczyt sekretarza tego towarzystwa, p. Pompei, o Zygmuncie Krasińskim i *Nieboskiej*. W Brescii wygłosił konferencję o Polsce prof. Zulian.

---

[1] Studjum to wyszło też w osobnej odbitce jako 13 zeszyt w *Piccola biblioteca slava*, Roma 1930.

[2] Z drobniejszych artykułów wymienię jeszcze N. Maffezzoliego *La questione ospitaliera in Polonia* (*L'Ospedale Maggiore* z 31 grudnia 1929).

Z samym początkiem roku 1930 wyszedł w *Piccola biblioteca slava* pod nr. 11 tom wydany przez podpisanego p. t. *Pagine di cultura e di letteratura polacca* (Roma 1930, str. VIII+216), dedykowany przyjaciołom i uczniom włoskim. Tom ten obejmuje wykład wstępny, wygłoszony w Sapienzy 17 stycznia 1924 r., fragmenty rzymskich wykładów uniwersyteckich, artykuły drukowane w różnych perjodykach i odczyty publiczne wygłoszone w Rzymie, Florencji, Padwie, Medjolanie i Turynie. Najobszerniejszą jest rzecz o pierwszych wiekach kultury polskiej, następuje krótka charakterystyka polskiego romantyzmu, rzecz o młodości Mickiewicza, Mickiewicz i Rosja, Słowacki i *Kordjan*, Krasiński i *Nieboska*, kilka cech charakterystycznych literatury polskiej i wkońcu *Pierwiastki włoskie w kulturze polskiej*. Książka ta jest w pewnej mierze zamknięciem kilkoletniej pracy, prowadzonej wśród Włochów. Na szczęście do tej tylko książki ta praca się nie ograniczała.

Rok 1930 rozpoczął się pod dobremi wróżbami. Usunięto ostatnie trudności związane z objęciem katedry polonistyki w Rzymie przez prof. Mavera (a było ich sporo i sprawa przeciągała się do niemożliwości), organizacja Instytutu im. A. Begeya w Turynie również na dobre już z miejsca ruszyła.

Dnia 20-go stycznia odbył się uroczyście wykład inauguracyjny prof. Mavera w Sapienzy w obecności władz uniwersyteckich (rektor Millosevich, dziekan fakultetu prof. Cardinali, szereg wybitnych profesorów jak b. minister oświaty Fedele, prof. Rossi, Bertoni, Vacca, Pettazzoni, Gabetti, Migliorini), przedstawicieli naszej dyplomacji z ambasadorem Przeździeckim i radcą p. T. Romerem na czele, specjalnego delegata naszego Min. W. R. i O. P., przedstawicieli nauki polskiej, przebywających na studjach w Rzymie, licznie zebranej kolonji. Ale jeszcze liczniej stawili się Włosi, spore grono młodzieży, dawni słuchacze wykładów polonistyki itd. Sala pierwsza w Pałazzo Carpegna wypełniła się po brzegi. Zaiste niezwykle radosnym dla nas i podniosłym był ten moment objęcia zwyczajnej katedry filologii polskiej w uniwersytecie rzymskim przez włoskiego uczonego.

Powitany gorącemi oklaskami prelegent poświęcił najpierw parę wstępnych uwag zasługom obecnego rządu włoskiego około utworzenia tej katedry i — zgodnie ze zwyczajem — swemu poprzednikowi. Następnie przeszedł do właściwego wykładu p. t. *Carattere patriottico e tendenze universali della letteratura polacca*. Wykład ten miał charakter syntetyczny, ogarniał całość naszej literatury i oświetlał wzajemny stosunek dwu jej istotnych pierwiastków: patrjotyzmu i uniwersalizmu, ideałów narodowych i ogólnoludzkich. O ile o pierwszym z nich mówiono już i pisano wiele, począwszy od prelekcyj Mickiewicza aż po odczyt zakopiański Żeromskiego i wykład wstępny prof. Chrzanowskiego *O literaturze polskiej*, o tyle na drugi pierwiastek zwracano uwagę raczej przygodnie tylko. Jeszcze ciekawszym był wzajemny stosunek tych dwóch kompleksów.

Otóż już przez samo postawienie problemu i zwrócenie na niego uwagi dowiódł prelegent bystrej orjentacji w zasadniczych naszej literatury zagadnieniach. Pozatem i to mu za zasługę poczytać należy, że przed liczniejszem i bardziej doborowem audytorjum postanowił odeprzeć powtarzany bezkrytycznie także i u nas zarzut, że nasza literatura wskutek swego wybitnego patrjotyzmu jest niedostępna dla cudzoziemców, że jej horyzonty są zacieśnione, że brak jej szerszego na świat spojrzenia.

Trafnie zaczął prelegent od owej przepięknej strofy z *Księgi ubogich*: „W mej pieśni bogatej czy biednej — żyje — tak rzadka na wargach — moja najdroższa Ojczyzna", — a potem tenże głęboko utajony akcent patrjotyzmu ukazał w *Sonetach krymskich*. Zajął się potem ową „nieprzystępnością" naszej literatury. Wyraził wątpliwość, czy da się ona pogodzić ze słusznym i często powtarzanym sądem o podniosłości tej literatury, jej sile ewokacyjnej, głębokości myśli w dziełach równych zachodnim arcydziełom. Nie godzi się prelegent na ową ekskluzywność, bo obok wybitnego patrjotyzmu stwierdzamy wciąż w tej literaturze tendencje uniwersalistyczne. Przenikały one do niej najpierw dzięki czynnikom natury religijnej. Jakżeż często ideały narodowe w Polsce łączyły się ściśle z religijnemi! Klęska rozbiorów dała początek potężnej wierze w zmartwychwstanie w ścisłym związku z odrodzeniem ludzkości. Jeśli w XVI, XVII i XVIII w. patrjotyzm nasz jest naturalny, bezpośredni, dążący do „naprawy Rzeczypospolitej", do pogodzenia obowiązków narodowych z ogólno-ludzkiemi, to w dziełach z okresu 1830—1850 przeszłość, współczesność i przyszłość Polski otrzymuje znaczenie niejako transcedentalne. Ojczyzna i świat uzupełniają się wzajemnie. Podobnież jest w okresie przed- i po-romantycznym; rozdziału zupełnego nigdy tu nie widać.

Ideały i pojęcia ogólnoludzkie wnosił humanizm, prądy reformacyjne. Skarga przenosi „ojczyznę" w sferę duchowej powszechności; w dobie Stanisławowskiej pisarze polityczni stawiają przed oczy społeczeństwa świetną przeszłość i budują przyszłość opromienioną ideałami ogólnoludzkiemi. W preromantyzmie i w pierwszej fazie romantyzmu również przejawiają się oba pierwiastki. Pojęcie narodowości wytwarza się w dobie porozbiorowej i przybiera zdumiewającą rozprężliwość właśnie na tle ogólnoludzkiem. Polska duchowa żyje pod tyranją żarliwej wiary w zmartwychwstanie, podczas gdy Polska fizyczna, materjalna jęczy pod tyranją zaborców. Wciela się w Polskę idea wolności wszystkich narodów, pielgrzymi polscy są tej idei apostołami. W mesjaniźmie polskim wiążą się nierozdzielnie ideały narodowe z uniwersalnemi. W epoce Słowackiego Król-Duch staje się symbolem całej pracującej dla wyższego życia ludzkości. Ideje mesjanistyczne polskie wiążą się z filozofją niemiecką i teorjami mistyki francuskiej. Więc niema w nich pierwiastków całkowicie dla człowieka Zachodu nieprzystępnych.

Oscylowanie literatury polskiej między ideałami narodowemi a uniwersalistycznemi jest też wyraźne w twórczości Wyspiańskiego, Żeromskiego a nawet Przybyszewskiego. Spontanicznie, jednolicie, w bezpośredniem oparciu o ziemię rodzinną — wyraziły się te dwa pierwiastki w całem swem naturalnem bogactwie w *Chłopach* Reymonta i w potężnej indywidualności twórczej Kasprowicza. To oscylowanie uważa prof. Maver za najistotniejszą, najgłębszą cechę naszej literatury. Już dla samej szlachetnej i wzniosłej misji — kończył prelegent — którą ta literatura przez wieki całe spełniała, należałoby ją cudzoziemcom cenić, kochać, studjować, choćby nawet tylu innych różnych wartości w sobie nie zawierała, ile ich w istocie zawiera.

Wykład oparty na najlepszych źródłach, wolny od balastu erudycyjnego, a jednak zdradzający co krok rozległe przygotowanie prelegenta, wygłoszony pięknie, zdobył sobie gorący aplauz całego włosko-polskiego audytorjum i rozpoczął górnie pracę nowego profesora polonistyki w Rzymie. Witając go również z tego miejsca, jako oficjalnego odtąd rzecznika naszej kultury wśród Włochów, życzymy mu, aby swoje szerokie plany w dziedzinie studjów nad tą kulturą w całej pełni urzeczywistnił. [1]

Wykład inauguracyjny prof. Mavera ukazał się w druku w pierwszym tegorocznym zeszycie *Rivista di letterature slave* (V, I, 1930) i wyszedł też osobno w *Piccola biblioteca slava* (Roma 1930, str. 22). W tym roku uniwersyteckim wykłada prof. Maver początki polskiego romantyzmu w organicznym związku z planem wykładów na wydziale humanistycznym, na ćwiczeniach zaś interpretuje *Sonety krymskie.*

Troskliwą opieką otacza tę katedrę nasze Min. W. R. i O. P. Przesłało ono do bibljoteki seminarjum polonistycznego w ostatnich latach pokaźną ilość dzieł i ofiarowało komplet Bibljoteki Narodowej. Krakowska Spółka Wydawnicza podarowała kilka swoich wydawnictw. W ten sposób prof. Maver przejął od swego poprzednika

---

[1] Podaję tu dla informacji kilka dat, odnoszących się do prof. Mavera: urodz. 18 lutego 1891 r. w Curzola, w Dalmacji, studja elementarne przechodzi w Curzola i w Dubrowniku, średnie w Splicie, a uniwersyteckie w Wiedniu, Florencji i Paryżu. Doktoryzuje się „sub auspiciis" w Wiedniu w roku 1913 na podstawie rozprawy *Einfluss der vorchristlichen Kulte auf die Toponomastik Frankreichs* (Sitz. Berichte der Akad. Wiss., Wien 1914). Ważniejsze publikacje w zakresie filologji słowiańskiej: *Intorno alla penetrazione del lessico italiano nel serbocroato della Dalmazia e dei territori vicini* (Atti del R. Ist. Veneto 1924–25); *Ivo Vojnović,* 1924; *Un poeta romantico cecoslovacco: Karel Hynek Mácha,* Roma 1925; *Saggi critici su Juljusz Słowacki,* Padova 1925; *Le letterature slave* (w wydawnictwie *L'Europa nel secolo XIX.* vol II), Padova 1927; *La „Trilogia" di Enrico Sienkiewicz,* 1927; *Juljusz Słowacki nell'ultimo decennio,* 1928; *Leopardi presso i Croati e i Serbi,* Roma 1929; *Alle fonti del romanticismo polacco,* Roma 1929. Od r. 1920—1926 był „professore incaricato" filologji słowiańskiej w Padwie, w 1926 r. został profesorem zwyczajnym tamże, w jesieni 1929 r. został mianowany zwyczajnym profesorem filologji polskiej w uniwersytecie rzymskim.

zawiązek bibljoteki seminaryjnej, liczący kilkaset tomów. Studjujący polonistykę w Rzymie mogą pozatem korzystać z bibljoteki Stacji naukowej Polskiej Akademji Umiejętności, ze zbiorów Instytutu Europa Orientale, z depozytu Artura Wołyńskiego w Bibl. Casanatense. Pokaźnym jest też zasób poloników w Hospicjum polskiem przy via Pietro Cavallini, a zwłaszcza u XX. Zmartwychwstańców (ten ostatni zostawia, niestety, co do porządku wiele do życzenia). Nie można więc powiedzieć, aby praca naukowa polonisty w Rzymie nie miała oparcia w zbiorach bibljotecznych. Niestety, o zdobyciu osobnego lokalu na seminarjum w murach uniwersytetu trudno będzie nawet mówić przez długie jeszcze lata. Wszak cała filologja nowożytna mieści się dziś w dwu małych pokojach! Możeby Zarząd Hospicjum św. Stanisława zechciał przyznać odpowiednie pomieszczenie dla seminarjum filologji polskiej? Apeluję z tego miejsca do wielkoduszności tego Zarządu.

W styczniu habilitował się na uniwersytecie rzymskim Dr Enrico Damiani w zakresie literatur słowiańskich ze szczególnem uwzględnieniem polskiej i bułgarskiej. Zajmował się on od r. 1918 kulturą literacką słowiańską, tłumacząc zrazu głównie z literatury rosyjskiej, ogłaszając wiele artykułów i recenzyj. W latach 1928 i 1929 wykładał po bułgarsku język i literaturę włoską na uniwersytecie w Sofji. Polonistykę studjował intensywnie na uniwersytecie rzymskim od r. 1924. W tym zakresie dorobek jego jest obfity i nieraz tu o nim przyszło mi pisać. Dorobek ten obejmuje przedewszystkiem szereg przekładów (*Treny, Sonety krymskie, Ustęp z „Dziadów"*, *Godzina myśli, Gody życia, Święty Boże,* fragment *z „Żywych kamieni"*, *Miasto mojej matki,* Antologja współczesnej prozy polskiej), artykułów, szkiców i recenzyj ogłaszanych po różnych pismach włoskich. Wygłosił też niejeden odczyt poświęcony Polsce zarówno w języku włoskim we Włoszech jak i bułgarskim w Bułgarji. W Polsce bawił wielokrotnie, brał też czynny udział w zakopiańskim kursie dla polonistów włoskich. Wykłady swoje w Rzymie rozpoczął już 22 lutego (konferencją na temat: Języki i literatury słowiańskie i świat słowiański).[1] Pierwsze wykłady poświęcił literaturze bułgarskiej, obecnie zaś zajmuje się wpływami włoskiemi, przyczem i polskiej literaturze wiele miejsca poświęca. W ten sposób nasz „stan posiadania" na uniwersytecie rzymskim znów się powiększył o wartościową i bardzo dla nas sympatyczną jednostkę. Przesyłam ze szczerą radością z tego miejsca nowemu docentowi a zarazem swemu uczniowi życzenia pięknych wyników pracy.[2]

---

[1] Por. artykuł p. t. *Lingue e letterature slave e mondo slavo,* ogłoszony w *Nuova Antologia* z 16 maja 1930, str. 193—210.

[2] Znów parę dat: ur. w Rzymie 1892, studja prawnicze odbywał w uniw. rzymskim, gdzie się też doktoryzował. Aż do czasów wojny, w której brał udział czynny, zajmuje się intensywnie zachodniemi językami, po wojnie zaś słowiańskiemi. Jest wybitnym poliglottą i niezwykle pracowitym i ruchliwym

W pierwszym tegorocznym zeszycie *Sztuk pięknych* (VI, 1, str. 1—19) umieścił stary Rzymianin p. Antoni Madeyski szkic napisany w tonie swobodnej a niezwykle sympatycznej gawędy p. t. *Artyści polscy w Rzymie (garść wspomnień)* — ozdobiony szeregiem doskonałych fotografij. Szkic ten jest w pewnej mierze dalszym ciągiem pracy Dra Loreta o artystach polskich w Rzymie w XVIII w., ogłoszonej w roku zeszłym w języku włoskim [1] a przedrukowanej w książce, o której niżej. Opowieść p. Madeyskiego daje kilka plastycznych, ciepło nakreślonych sylwetek z naszej kolonji artystycznej w Rzymie z końca XIX wieku, obrazki z jej życia i cenne szczegoły o twórczości i dziełach. Może więc wreszcie, dzięki tego rodzaju publikacjom, zdobędziemy się kiedyś na gruntowną monografję o artystach polskich w Rzymie od najdawniejszych czasów aż po ostatnie.

Wyszło dotąd kilka pierwszych tomów wielkiej, 36-tomowej *Encyklopedji* włoskiej, która niewątpliwie stanie się nietylko dla Włochów bogatem źródłem informacyj. Według planu Polska i jej kultura będzie tu również należycie uwzględniona. Informatorami są prawie wyłącznie włoscy specjaliści w różnych dziedzinach, cudzoziemcy zaś tylko w wyjątkowych wypadkach. Działem kultury umysłowej i literackiej w Polsce opiekował się zrazu m. i. A. Palmieri, potem prof. Lo Gatto; Dr Loret objął pieczę nad działem historji, on też jest np. autorem notatki o Albertrandim. Skoro jako zasadę w redagowaniu Encyklopedji przyjęto, że informatorami są przedewszystkiem Włosi, więc też należało postarać się o to, aby wskazać odpowiednich włoskich i o ile możności polskich informatorów w dziale polskim. Podpisany podał szereg adresów, istotnie też te osoby do współpracy zaproszono. Niestety kierownicy różnych działów zmieniali się. I tak np. dział historji sztuki prowadził Ojetti, teraz zaś Tosca (doradcą w tym dziale, o ile chodzi o Polskę, jest podobno Dyr. Kopera). Okazuje się, że dobór współpracowników cudzoziemców w tym dziale powinien ulec pewnym korekturom. Potrzeba ta ujawniła się jaskrawo na drobnym przykładzie. W tomie III czytamy kilkuwierszową informację o E. M. Andriolim (dlaczego: Andrioli, skoro on sam podpisywał się: Andriolli?). Otóż zaznaczono tu, że A. urodził się w Wilnie (nie zaznaczono jednak, że większą część życia spędził pod Warszawą, że ojcem jego był Włoch a matką Polka), że ilustrował W Hugo i Szekspira, dzieła Mickiewicza „e dello scrittore lituano Kondratavicius". Wreszcie stwierdzono, że najlepszem dziełem Andriollego ma być „Battaglia fra Lituani e Cavalieri della Croce". Coś mi za wiele było tej litewszczyzny! Szukając autora notatki według inicjałów podpisu, stwierdziłem, że jest nim nie Włoch ani Polak —

tłumaczem, recenzentem, popularyzatorem literatur słowiańskich, współpracownikiem szeregu pism perjodycznych. Zajmuje stanowisko dyrektora bibljoteki parlamentu.

[1] por. *Przegląd Współczesny* z lutego b. r., str. 298—299.

jakby należało — ale ni mniej ni więcej tylko sam p. „Paulius Galaune, direttore della Galleria Ciurlonis, Kaunas", reprezentujący w Encyklopedji dział „Storia dell'arte lituana" (!). Krótko mówiąc, informacja o Andriollim nie przynosi zaszczytu ani „nauce" litewskiej ani Encyklopedji włoskiej i rzuca niekorzystne światło na praktyki pana Ojetti. Spodziewać się należy, że nowy kierownik działu historji sztuki uniknie podobnych niepożądanych incydentów w dalszych tomach. Zwróciłem listownie na ten fakt uwagę naszego przedstawicielstwa w Rzymie i prosiłem o interwencję prof. Mavera, który jest stałym współpracownikiem Encyklopedji włoskiej.

W lutym ukazała się książka Dra Macieja Loreta *Życie polskie w Rzymie w XVIII wieku* (Roma 1930, str. 384, z 34 fotogr. odbitkami). Niektóre jej części ukazywały się przedtem w języku polskim i włoskim i na tem miejscu dwie z nich już omówiłem.[1] Materjał ilustracyjny został tu znacznie zredukowany w stosunku do włoskiego wydania rozdziału o artystach polskich w Rzymie w XVIII w, gdzie tekst uzupełniało aż 60 fotografij, natomiast w definitywnem wydaniu polskiem materjał ilustracyjny jest bardziej urozmaicony i w sposób bardzo celowy uzupełniony.

Książkę tę możnaby uważać za część wielkiej monografji, jaka się oddawna „Rzymowi w dziejach kultury polskiej" należy. Dr Loret jest specjalistą w zakresie wieku XVIII a zwłaszcza stosunków Rzpltej z Watykanem i w związku z temi studjami pokaźną liczbę prac już dotychczas ogłosił. W Rzymie przebywa stale od czasów jeszcze przedwojennych, zna bibljoteki i nieprzebrane rzymskie archiwa, jak niewielu naszych uczonych, wieloletnią wytrwałą pracą nagromadził bogaty zapas materjałów i notatek — słowem: do pracy o życiu polskiem w Rzymie w XVIII wieku był wprost wyjątkowo przygotowany. Więc też w książce swojej zebrał mnóstwo nieznanych szczegółów, z przeszłości zamierzchłej na jaśnią wywiódł długi szereg epizodów, postaci, sytuacyj. Dzięki tej książce wzbogaciła się poważnie nasza wiedza o Polsce „zagranicą" w XVIII w., a zwłaszcza o tak mało znanej pierwszej połowie tego stulecia. Wartość książki podnosi wysoko jej szerokie oparcie na bogatych materjałach, czerpanych z 15 archiwów rzymskich i polskich Autor nie ogranicza się do w. XVIII, ale sięga nieraz aż po w. XVI, uzyskując w ten sposób rozległą historyczną perspektywę dla pewnych kompleksów zjawisk. Szkoda, że z tychże samych powodów nie wykroczył autor poza r. 1800 i choćby w skrócie, w jakiemś zakończeniu czy epilogu nie naszkicował „życia polskiego w Rzymie" przed powstaniem listopadowem.

Całość rozpada się na 5 obszernych rozdziałów. Pierwszy omawia zmienne losy Hospicjum św. Stanisława od jego założenia przez Hozjusza aż po czasy pobytu legjonów Dąbrowskiego w wiecz-

[1] *Przegląd Współczesny* z lutego b. r.

nem mieście.[1] Instytucja ta zrosła się nierozdzielnie z losami kraju od schyłku w. XVI-go, jego dola i niedola znajdowała zawsze żywe echo w tych murach. Historja Polski wyrażała się tu w przeróżny sposób, w zebraniach, w sporach, w uroczystych obchodach, w tragicznych kolejach w dobie rozbiorów, a dziś w pracowitej odbudowie tego czcigodnego gmachu u stóp Kapitolu.[2] Przeszło 80 stron liczy rozdział „Dyplomacja". Tu poruszał się autor na terenie doskonale sobie znanym i nakreślił całą misterną sieć, jaką snuli różni agenci dyplomatyczni króla polskiego i nuncjusze na tle wyjątkowo w tem właśnie stuleciu skomplikowanych perypetyj polityki watykańskiej i polskiej. W jakiejże trudnej sytuacji znalazł się papież „za króla Sasa i Lasa", kiedy to nawet nieliczna kolonja polska w Rzymie dzieliła się na obozy wzajemnie się zwalczające! O tych walkach dyplomatycznych, podjazdach i chytrych wybiegach czyta się tu z żywem zainteresowaniem. Ciekawym jest epizod, ukazany na dobrze podmalowanem tle stosunków w Polsce, o poselstwie delegata wszystkich polskich synagog, uczonego w piśmie Jakóba Jeleka do Rzymu. Rozdział o „pielgrzymstwie naukowem od XVI—XVIII wieku" już na tem miejscu omówiłem przedtem. Zapewne niejedno będzie tu można uzupełnić. Do wybitnych studentów Collegium Romanum, z których paru nazwiska podałem, dodałbym jeszcze jednego z najwybitniejszych, sławnego nie tylko w Polsce, ale i w Anglji i Francji logika ks. Marcina Śmigleckiego, który w Rzymie otrzymał doktorat teologji.[3] Najbardziej żywo ze względu na ujęcie i najbardziej zajmująco ze względu na treść niezwykle urozmaiconą — jest napisana część tej książki najobszerniejsza (100 stron), poświęcona „Pielgrzymstwu i podróżnictwu". Część ta, odmiennie od innych, posiada najmniej stosunkowo charakteru ściśle historycznego, natomiast przechodzi w zupełności w dziedzinę historji kultury i obyczajów. Kapitalną jest tu opowieść o pobycie wieloletnim w Rzymie Marysieńki z całym dworem, z groteskowym papą, ekskapitanem gwardji i tytularnym kardynałem, oraz królewiczami. Roi się w tym rozdziale od interesujących uogólnień, od plastycznie

---

[1] Już w r. 1925 wydał ks. St. Janicki w Rzymie niewielką ale bardzo pożyteczną książeczkę p. t. *Polski kościół i dom św. Stanisława w Rzymie.* Oparł się tu na materjałach archiwalnych Hospicjum. Tej publikacji Loret wcale nie wymienił. A przecież w tym rozdziale jego książki szukać będą informacyj o tej instytucji ci wszyscy, co kiedyś całkowitą jej historję aż po ostatnie czasy pisać będą.

[2] Administracja tej instytucji powierzoną została od niedawna niezwykle energicznemu i pełnemu najlepszych chęci urzędnikowi Ambasady, p. Wł. Pietrasińskiemu, który zaczął już gruntowną jej reorganizację i odnowienie gmachu. Pisał o tem niedawno w *Il lavoro fascista* z 21. III. p. Remo Renato Petitto *(L'Ospizio e la chiesa di S. Stanislao dei Polacchi).*

[3] Studjował też w Rzymie Paweł Piasecki pod sam koniec XVI wieku. W Coll. Romanum kształcił się również St. Warszewicki, Kasper Sawicki, Jakób Wujek, Piotr Skarga i wielu innych, których nazwiska możnaby w sporej liczbie podać, uzupełniając w ten sposób spis, opracowany przez autora.

naszkicowanych typów (IMC Pan Tomasz Wolski, Barańowski, ks. Pstrokoński), od obrazków obyczajowych, które się aż proszą o szersze rozwinięcie, o pióro powieścio- czy komedjopisarza. Obok pielgrzymów i podróżników groteskowych, komicznych raczej, są i poważni, wybitni, którzy naszej kulturze w XVIII wieku prawdziwy zaszczyt przynoszą (Jerzy Mniszech, St. Kostka Potocki, Staszic, Niemcewicz). Tragizmem wstrząsającym zabarwione są — zbyt skąpe niestety — ustępy o kilkumiesięcznym pobycie legjonistów Dąbrowskiego w Rzymie, o ich stosunku do ludności miejscowej, o udziale w tłumieniu rozruchów w okolicy, o smutnych żniwach w Kampanji rzymskiej i malarji, co miała żniwo najobfitsze, a wreszcie o grobach legjonistów na Forum Romanum i ich znieważeniu przez pospólstwo, o wywleczeniu z nich zwłok i topieniu w Tybrze... Trzebaby koniecznie epizod ten o legjonistach w Rzymie rozwinąć na podstawie notatek, pamiętników samychże legjonistów (np. Drzewieckiego) w osobny rozdział, bo niepodobna poprzestać na 8 stronach, które autor temu treścią po brzegi wypełnionemu epizodowi poświęca.[1]

Można się z autorem o to i owo spierać, można żałować, że nie powiedział więcej np. o Konarskim w Rzymie, że w ustępach o legjonistach tak był skąpy, że pośród „pielgrzymów i podróżników“ przepomniał księcia kuratora wileńskiego i autora *Barda polskiego* — ale mimo wszystko przyznać się musi, że książka ta przynosi wiele, że ogarnia rozległą skalę zjawisk i że w niektórych rozdziałach i ustępach większych czyta się jak niezwykle interesujący a nieraz wstrząsający pamiętnik historyczno-obyczajowy.

Jednem z najważniejszych wydarzeń w ciągu pierwszego kwartału tego roku było niewątpliwie powołanie do życia „Instytutu kultury polskiej imienia Attilio Begeya“ w Turynie. Dzięki wieloletniej działalności włoskich Towiańczyków, takich jak Tankred Canonico, a zwłaszcza A. Begey, a wreszcie pośrednio dzięki gorącej sympatji, jaką wśród ludności Turynu i okolicy umiały sobie zdobyć formujące się pod koniec światowej wojny oddziały wojska polskiego i szereg przyjaciół dla Polski pozyskać, — Turyn stał się jednym z najważniejszych, jeśli nie najważniejszym we Włoszech, ośrodkiem polonofilstwa. Opiera się tam ono o tradycję, sięgającą połowy zeszłego wieku, tradycję nieprzerwaną i przez to właśnie wyjątkową w odróżnieniu od innych miast włoskich, gdzie z objawami zainteresowania się Polską spotykamy się raczej sporadycznie, zależnie od chętnych jednostek, od szczęśliwego zbiegu okoliczności. W Turynie zaś stwierdzamy ustaloną i wciąż żywotną tradycję na tem polu, spotykamy się tu już nie z jednostkami tylko, ale z całem gronem osób szczerze, bezinteresownie Polską

[1] Opiera się on tu wprawdzie na pierwszorzędnych źródłach, t. zn. rękopiśmiennych pamiętnikach Galimbertiego i Sali, ale polskie źródła bodaj zupełnie pomija.

się zajmujących, z sympatjami, które stały się dziedzicznemi w rodzinie A. Begeya i w rodzinie Agosti, z instytucjami, które zawsze z całą gotowością udzielają swej opieki i gościnności polskim imprezom, kursom polskiego języka, odczytom. Do takich instytucyj należy uniwersytet turyński i „Società pro cultura femminile". Wymienić należy wreszcie turyńskie Tow. przyjaciół Polski, założone przez A Begeya, które urządza stałe zebrania i obchodzi polskie narodowe rocznice.

Attilio Begey pracował przez wiele lat dla Polski, a jego na tem polu działalność można porównać tylko z działalnością osobnej instytucji, złożonej z wielu osób. Posługiwał się bowiem przytem słowem żywem i pisanem, książką, broszurą, ulotką, artykułami w dziennikach, obfitą i rozległą korespondencją, odczytami i przemówieniami, święceniem polskich narodowych rocznic, skupianiem sympatyków Polski i opieką troskliwą nad Polakami przebywającymi w Turynie. Skoro tego wyjątkowego Człowieka zabrakło z końcem października 1928 r., należało coprędzej w jakiś sposób tę stratę powetować. Podpisany opracował z początkiem listopada tegoż roku projekt organizacji instytucji, któraby w dalszym ciągu prowadziła pracę Zmarłego i przedstawił ten projekt naszemu Ministrowi Oświaty i Ambasadorowi Przeździeckiemu. Obie te władze projekt gorąco poparły i przyrzekły pomoc. Organizacją instytutu na miejscu w Turynie zajął się gorliwie członek rodziny ś. p. Begeya, prof. Arturo Bersano, który z podpisanym pozostawał wciąż w ścisłym kontakcie. Chodziło przedewszystkiem o to, żeby podstawy instytucji były jak najmocniejsze, żeby zapewnić jej byt trwały i autonomiczny. Uniwersytet turyński przyrzekł roztoczyć nad nią swoją opiekę. Do zarządu zaproszono przedstawicieli najpoważniejszych instytucyj w Turynie. Z ramienia uniwersytetu wydelegowano dwóch reprezentantów wydziału literackiego: prof. Artura Farinelli, członka Akademji włoskiej, wybitnego historyka literatury porównawczej i prof. Bartoli, znanego lingwistę. Prof. Farinelli objął godność prezesa instytutu. „Istituto fascista di cultura" wydelegował romanistę prof. Neri (wiceprezes); z ramienia „Società pro cultura" wchodzi w skład zarządu prof. Mei i Dr. Agosti (bibljotekarka); rodzinę A. Begeya reprezentuje jego córka, p. Rosina Begey (skarbniczka) i zięć, prof. Bersano (sekretarz instytutu).

Budowa trwałych podstaw instytutu, zebranie kapitału zakładowego, trudności organizacyjne, autoryzacja władz itd. — wszystko to wymagało niemałej energji i wielomiesięcznych prac przygotowawczych. Z początkiem r. 1930 usunięto ostatnie przeszkody, zarząd się ukonstytuował i „Istituto di cultura polacca Attilio Begey" przy uniwersytecie turyńskim rozpoczął *de facto* swoje istnienie. Pospieszyło z pomocą nasze M. S. Z., Departament Sztuki przesłał szereg cennych wydawnictw, Wydział nauki ofiarował zawiązek bibljoteki i zobowiązał się opłacać kursa języka polskiego, które już od stycznia przeniosły się do gmachu uniwersytetu.

Dnia 12-go marca odbyła się uroczysta inauguracja instytutu. W sali amfiteatralnej uniwersytetu zebrało się około 200 osób, mimo że równocześnie odbywało się inne wielkie zebranie z przedstawicielami władz, w którem cały prawie Turyn uczestniczył. Świat naukowy, prócz wymienionych członków zarządu, reprezentował akademik Vallauri, prof. Stampini, Donati, Vicarelli, Taccone Był też obecny serdeczny przyjaciel A. Begeya, towiańczyk gen. Rostagni i były komendant pułków polskich, formujących się we Włoszech, gen. Rho. Nie brakło osób, które umyślnie przybyły z Medjolanu (prof. Torrefranca) i Vercelli. Nie brakło i oficerskich mundurów. Słowem — właśnie ze względu na równoczesne inne wielkie zebranie — znaczna większość obecnych byli to niewątpliwie szczerzy sympatycy Polski, jej kultury, jej niepodległości, jej historji. Oficjalni reprezentanci władz musieli wziąć udział we wspomnianem innem zebraniu, przysłali więc tylko zastępców lub pisemne usprawiedliwienia. Zebranie więc całe miało charakter nieoficjalnego, niewymuszonego, spontanicznego. To podniosło jego atmosferę o wiele stopni.

Otworzył zebranie sekretarz instytutu i reprezentant rodziny A. Begeya, prof. Bersano, i odczytał szereg telegramów, nadesłanych z Włoch i z Polski. Telegramy z Włoch były dowodem sympatji, z jaką powitano powstanie instytutu, depesze z Polski podkreślały wiekową współpracę obu narodów w dziedzinie kultury duchowej. Z głosów tych wyczuwało się, że instytut nie jest tworem sztucznym, powołanym do życia przez kombinacje polityczno-dyplomatyczne,[1] ale że wyrasta on spontanicznie z przeszłości, z istotnej potrzeby, że skupia w sobie i konkretyzuje pragnienia wielu jednostek nietylko w samym Turynie, ale i w różnych stronach Włoch. Podkreślił to między innemi momentami podpisany jako delegat naszego Ministerstwa Oświaty.

Następnie prezes, prof. Farinelli, wygłosił dłuższe, przeszło godzinę trwające, przemówienie, poświęcone charakterystyce naszej kultury i literatury. Mówca świetny, wielki uczony, głęboki znawca kultur zachodnioeuropejskich, a zwłaszcza epoki romantycznej, o czem świadczą dzieła jego zdumiewające erudycją — interesował się Polską dotychczas tylko raczej przygodnie, systematycznie dzieł naszej literatury nigdy nie studjował, choć znał konferencje paryskie Mickiewicza i listy Lelewela i twórczość Chopina (Farinelli jest głębokim znawcą muzyki), Matejki, Grottgera. Nie chciał się też zrazu podjąć tego przemówienia, ale jako prezes czuł się do tego zniewolonym. Z ust jego własnych dowiedziałem się o tych zmaganiach się w poczuciu wielkiej odpowiedzialności. Zabrał się intensywnie do lektury różnych przekładów naszej poezji romantycznej. Jeszcze w przeddzień inauguracji zawzięcie w bibljotece uniwersytetu wczy-

[1] Równocześnie próbowano na uniwersytecie turyńskim założyć podobny instytut włosko-rumuński. Ale — pisze prof. Bersano — „il tentativo fallì. La Rumenia non è la Polonia".

tywał się w *Przedświt*. Wyczuwałem z rozmowy, że go nasz romantyzm porwał, że go oczarował. Ale to, co Farinelli powiedział w swem przemówieniu w dniu inauguracji instytutu — przejęło mnie zdumieniem. Porwany widocznie wichrem entuzjazmu, bijącego z dzieł naszego romantyzmu, wstrząśnięty do głębi tytaniczną walką wieszczów z dantejskiem piekłem niewoli — Farinelli mówił Włochom o naszej kulturze i o naszym romantyźmie z entuzjazmem człowieka, który dopiero odkrył nowy, nieznany mu dotąd a wspaniały, tragiczny i heroiczny świat. Wyraził swój żal głęboki, że dopiero pod koniec życia danem mu było zbliżyć się do tego świata, że przez tyle lat był pozbawiony tego cudotwórczego światła, które płynie z arcydzieł polskiej poezji romantycznej. Z przenikliwością pierwszorzędnego znawcy szerokich rozłogów europejskiego romantyzmu, z intuicją wielkiego uczonego uchwycił samą istotę naszej wielkiej poezji, jej odrębne, najcenniejsze, najtrwalsze wartości.

Przemówienie Farinellego przyjęte burzą oklasków miało charakter spontanicznego wybuchu entuzjazmu, zachwytu, ukorzenia się wielkiego uczonego a zarazem żywego człowieka przed wielkiemi duchami naszej kultury. Zainteresowanie się Farinellego tak żywe i tak głębokie polskim romantyzmem jest jednym z pierwszych cennych sukcesów Instytutu A. Begeya. Skład zarządu, tradycje turyńskie, oparcie o uniwersytet, frekwencja obecna na kursach języka — wszystko razem budzi najpiękniejsze nadzieje na przyszłość. Dnia 12-go marca powstała więc na ziemi włoskiej nowa placówka, poświęcona studjom nad kulturą polską.[1]

Roman Pollak

KRONIKI

KRONIKA ZAGRANICZNA

Europa

Polityczne stosunki w przedwojennej Europie, nawet w porównaniu z dzisiejszemi, nie mogą uchodzić za ideał godny naśladowania, skoro kryły w sobie zarodki tak niebezpiecznego kataklizmu. W każdym razie nie hamowały one gospodarczego rozkwitu, który dziś napotyka na nieznane dawniej przeszkody. Przeszkody te dobrze są nam znane: wzajemna nieufność i spowodowana tem troska wszystkich bez wyjątku państw o zapewnienie sobie zupełnej samowystarczalności na wypadek nowej wojny; spadek konsumpcji w zubożałych dzięki wojnie krajach; wyłączenie z międzynarodowego obrotu niezmierzonego rynku rosyjskiego; uprzemysłowienie krajów zamorskich, którym dawniej Europa swych produktów przemysłowych

[1] W dniu inauguracji przystąpiło do Instytutu warszawskie Koło im. Leonardo da Vinci z wkładką 1000 lir, w samych zaś Włoszech osoby prywatne i różne instytucje złożyły dotychczas na cele Instytutu około 16.000 lir.

dostarczała; wreszcie spłata długów i reparacyj wojennych, powodująca olbrzymie przesunięcia w międzynarodowym kapitale. Wyliczeniem tem nie wyczerpaliśmy nawet wszystkich czynników, które zwężając rynki zbytu, skłaniają państwa do stosowania polityki wysokich ceł ochronnych, mających własnym producentom zabezpieczyć przynajmniej wewnętrzny rynek. Ale tego rodzaju środki, mnożąc przeszkody w międzynarodowym obrocie, pogarszają tylko zło, któremu pozornie mają zapobiec. To też ekonomiści całej Europy od dziesięciu lat starają się rządy przekonać, że obrana przez nie droga obraca się w błędnem kole, że ponadto bardziej liberalne metody polityki gospodarczej przyczynią się walnie do oczyszczenia politycznej atmosfery. Niestety liczne gospodarcze konferencje, którym patronowała Liga Narodów, nie usprawiedliwiły wiązanych z niemi nadziei. Wbrew twierdzeniom, że w sprawach gospodarczych będzie stosunkowo najłatwiej dojść do zgody, okazało się nawet, że porozumienie właśnie tutaj nastręcza najwięcej trudności. Dotąd nie stworzono w tej dziedzinie niczego, coby odpowiadało tym skromnym sukcesom, jakie w stosunkach politycznych osiągnięto dzięki Lidze Narodów i paktom lokarneńskim.

Na tych mało zachęcających doświadczeniach opiera się doręczony niedawno gabinetom europejskim memorjał rządu francuskiego, zawierający bardzo ogólnikowy projekt bliższego porozumienia między państwami Europy. Briand, jego autor, uważa, że możliwość unji gospodarczej jest najściślej podporządkowana sprawie bezpieczeństwa, które znowu da się urzeczywistnić tylko w ramach unji politycznej. Briand widzi ją pod postacią federacji, która szanując suwerenność i niezależność każdego z państw, byłaby w stanie zabezpieczyć im korzyści, wynikające ze zbiorowej solidarności. Nowy ten związek nie ma bynajmniej współzawodniczyć z Ligą Narodów, lecz raczej ją uzupełniać w myśl art. 21 paktu. Naczelną władzę powierzy perjodycznej konferencji, złożonej ze wszystkich stowarzyszonych państw; władza wykonawcza spocznie w rękach „komitetu europejskiego", którego skład określi dalsze porozumienie.

Trudno właściwie dociec, jakie konkretne zadania miałby spełniać ten nowy twór międzynarodowy, skoro nie zamierza przejąć dla spraw czysto europejskich tych skromnych funkcyj, które dotąd wykonywała Liga Narodów. Co najwyżej ma występować jako jej organ pomocniczy — i to niewiadomo w jakich granicach. Z całego memorjału zdaje się wynikać, że Związek Europejski miałby z początku dać tylko zewnętrzny wyraz solidarności europejskiej i dopiero w miarę jej wzmocnienia podjąć bardziej określoną akcję. Taka ostrożność jest przy tego rodzaju przedsięwzięciu niewątpliwie godna pochwały; pytanie tylko, czy sama idea solidarności europejskiej nie odpowiada raczej pięknym hasłom, jak rzeczywistości. W historji znajdujemy wprawdzie wiele czynników, które solidarność tę powinny były ugruntować: wspólność rasy, rzymsko-chrze-

ścijańskiej kultury, nawet przeżyć, które w imię tej kultury jednoczyły wszystkie ludy europejskie. Ale obok tego wykształciła historja bez porównania więcej przeciwieństw, poprzez które dziś idei solidarności trudno się przebić. Podobnie i wspólne granice stwarzają między sąsiadami conajmniej tyle samo sprzecznych, co wspólnych interesów; również geograficzne argumenty posiadają więc w tym wypadku małe znaczenie. Zresztą obraz dzisiejszych stosunków między głównemi państwami najlepiej poucza o tem, jak daleko im jeszcze do poczucia wzajemnej solidarności. Coprawda w tej niesłychanie ogólnikowej formie, w jakiej projekt został podany, nikt chyba nie dojrzy jakichś widocznych niebezpieczeństw i, poza Anglją, nikt nie zechce się skompromitować wyraźną odmową. Ale odpowiedzi, które w myśl prośby Brianda mają wpłynąć do 15 lipca, wyjaśnią w każdym razie, jak poszczególne rządy odnoszą się do samej idei i czy proponowane przez memorjał środki uważają za użyteczne i godne poparcia. Już dzisiaj można sobie z głosów prasy poszczególnych krajów zdać sprawę ze stanowiska, jakie ich rządy zajmą.

W Anglji apel Brianda przyjęto życzliwie lecz chłodno. Nikomu tam nie pilno do angażowania się w sprawy Europy, gdy centra najważniejszych interesów i największych kłopotów W. Brytanji leżą całkiem gdzieindziej. Kłopotów tych jest więcej jak kiedykolwiek, a wśród nich rozruchy w Indjach zajmują naczelne miejsce. Choć władzom angielskim udało się, według ostatnich wiadomości, położenie opanować, ten centralny problem światowej potęgi Anglji nie będzie prawdopodobnie nigdy z korzyścią dla niej rozwiązany. Staje się zaś tem bardziej palącym, że i zabezpieczenie dróg morskich, które do Indyj wiodą, budzi dziś w Londynie poważną troskę. Aby się jej pozbyć, postanowił dzisiejszy rząd ostatecznie uregulować stosunki z Egiptem. Widząc w nieustępliwości swych poprzedników główne źródło ciągłych niepokojów i nieporozumień, które stosunki anglo-egipskie od wojny zatruwają, chciał zrzec się niemal wszystkich praw, które mu tam przysługiwały, a w rękach swych utrzymać tylko kanał Suezki oraz śluzy Nilu nad granicą Sudanu, których zamknięcie grozi Egiptowi wysuszeniem. Ale w ciągu toczących się niedawno w Londynie rokowań postawili przedstawiciele tego kraju tak wygórowane żądania, że nawet chętny do zgody MacDonald uznał dalsze rozmowy za bezprzedmiotowe. Choć utrzymanie kontroli nad kanałem Suezkim nie jest jeszcze zagrożone, to jednak powikłane stosunki z Egiptem przysporzą Anglji w najbliższych czasach jeszcze wiele trudności. Nic dziwnego, że w tej sytuacji rząd, którego wewnętrzne stanowisko jest także niezwykle słabe, nie ma ochoty przystępować do Związku Europejskiego, któryby swobodę ruchów Anglji poważnie krępował. Musi się przytem liczyć z niewątpliwą niechęcią dominjów, których europejskie sprawy mało obchodzą. Usuwając się ze Związku, będzie natomiast mogła Anglja tem łatwiej zorganizować swe Imperjum pod ekskluzywnemi

hasłami i odgrodzić je od Europy i reszty świata murem wysokich ceł. I w tem leży właśnie niebezpieczeństwo nowej koncepcji. Jeśli się ziści, co uważamy zresztą za mało prawdopodobne, przeciwstawi Europie państwa, które ze Związku wyklucza. Obok Imperjum Brytyjskiego, Rosja i Stany Zjednoczone mogą się poczuć zagrożone jego powstaniem.

Największe bądź co bądź znaczenie dla dalszych losów projektu Brianda będzie miało przyjęcie, które mu rząd niemiecki zgotuje. Trudno przypuszczać, aby było zbyt entuzjastyczne. W Niemczech, dla których rewizja traktatu wersalskiego jest naczelnem zadaniem, uważają wystąpienie rządu francuskiego za jedną więcej próbę utrwalenia w Europie obecnego stanu rzeczy. Istotnie od końca wojny troska o własne i sojuszników bezpieczeństwo w obrębie granic wykreślonych traktatami pokojowemi, dyktowała całą politykę zagraniczną Francji. Nawet niektórym francuskim publicystom troska ta wydaje się już dziś przesadna. I tak pisał niedawno Maurice Pernot, którego o żadną skłonność do pacyfistycznych mrzonek posądzać nie można: „Francja boi się o swoje granice, o swoje kolonje, o swych sojuszników, domaga się wiecznie zabezpieczeń i gwarancyj". Nie trzeba nawet podkreślać, że i my żyjemy w zupełnie podobnych nastrojach, mając zresztą do tego jeszcze więcej powodów. Toteż inicjatywa francuska, która z tych właśnie pobudek wynika, powinna się u nas zamiast nieufności spotkać z najdalej idącą życzliwością. Zarzucić jej można jedynie, że posiada bardzo małe widoki powodzenia; między innemi dlatego, że właśnie dziś zbyt łatwo odgadnąć jej cele. Wszak dopiero co musiała się Francja na konferencji londyńskiej rozstać ostatecznie z nadzieją uzyskania anglo-amerykańskiej gwarancji. Tembardziej słuszne jest przypuszczenie, że obecnie stara się ją zastąpić Związkiem Europejskim.

Gwarancji takiej potrzebuje dzisiaj Francja bardziej niż kiedykolwiek, skoro wrogie stanowisko Włoch uwydatniło się na konferencji londyńskiej z całą wyrazistością. Nadzieje, że Anglja, działając we własnym interesie, potrafi je złagodzić, niestety zawiodły, a rozmowy odbyte ostatnio w Genewie między Hendersonem, Briandem i Grandim nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Rząd włoski ogłosił natomiast *urbi et orbi* swój nowy program morski, przewidujący wzrost budżetu marynarki z 614 na 1475 milj. lirów, a kredytów przeznaczonych na nowe konstrukcje z 48 na 600 milj. Równocześnie wypowiedział Mussolini przy poświęceniu nowych statków wojennych i przy innych okazjach mowy, przejęte tak wojowniczym duchem, że nie bez racji porównywano je z dawnemi wystąpieniami Wilhelma II. Nie trudno się domyśleć, że skierowane były głównie przeciwko Francji.

Zamiast oddawać Włochom piękne za nadobne, chwycił się rząd francuski innych sposobów, aby w tym konflikcie postawić Włochy w mało korzystnej taktycznie sytuacji. W dwa dni po

Mussolinim przedstawił Tardieu w Lyonie byłym kombatantom wielkie zadania walki o pokój, a ambasador francuski wręczył w Rzymie europejską notę Brianda. Po wojowniczych wycieczkach Mussoliniego sprawi mu odpowiedź na nią zapewne niemało kłopotu, o ile jej nie zechce *a limine* odrzucić. Ale Włosi, jak mówi francuskie przysłowie, choć lubią mówić głupstwa, nigdy ich nie robią, a metody faszystowskiej polityki zagranicznej, obliczone w dużej mierze na wewnętrzny użytek, bywają zwykle *fortes in modo* lecz *suaves in re*.

Pozycja Włoch w zatargu z Francją istotnie nie jest bynajmniej tak silną, jakby to z mów Mussoliniego zdawało się wynikać Zapewne, może on Francję szachować groźbą sojuszu z Niemcami, o których życzliwość zabiega, podkreślając czasami możliwość rewizji granic. Poważnie napewne o niej nie myśli, gdyż zbyt łatwo mogłaby zaczepić o Austrję i Tyrol. Gotowość do ustępstw terytorjalnych w Afryce posunęła zaś Francja do najdalszych możliwości, proponując podobno Włochom 60.000 km.^{2} jako „rektyfikację“ granicy trypolitańskiej. Wcześniej czy później będą się musiały Włochy tem zadowolnić. O uzyskaniu całego Tunisu marzyć nawet nie mogą, choćby dlatego, że Anglja ze względu na bezpieczeństwo swych dróg morskich nigdy nie pozwoli, aby Sycylja i Tunis pozostawały w jednem ręku. Również i w sprawie rozbudowy floty włoskiej są interesy francuskie z angielskiemi zbieżne. Zresztą chcąc dorównać flocie francuskiej, a nie mogąc w żadnym razie liczyć na jej redukcję do obecnego włoskiego poziomu, muszą Włochy podjąć wyścig zbrojeń, który z uwagi na swe słabsze zasoby napewno przegrają.

Kończąc, stwierdzamy, że skutki sfederowania Europy są w tej chwili bardzo nikłe. Sądzimy jednak, że twórca tej myśli, Briand, potrafi w pełni wyzyskać taktyczne wartości, które ona dziś dla Francji posiada.

Henryk Dembiński

Kraków, dnia 27 maja 1930.

NOWE WYDAWNICTWA

O POLAKACH NA WSCHODZIE

Jan St. Bystroń, *Polacy w Ziemi Świętej, Syrji i Egipcie (1147—1914)*, Kraków 1930, str. VIII + 310 + 2 i 17 tablic

Ostatnie lata przyniosły kilka podstawowych prac do mało poruszanej przedtem dziedziny badań historyczno-kulturalnych: dziejów poniewolnych i dla osobistej korzyści czy przyjemności podejmowanych podróży Polaków. Po *Polskich podróżnikach w Grecji i Troi* Sinki i *Dziejach Polaków na Syberji* Janika przyszła kolej na historję pielgrzymek i podróży do Palestyny, Syrji i Egiptu.

A temat to niezwykle bogaty! Długi, ośmiowiekowy niemal okres pielgrzymek do Ziemi Świętej, orjentalna moda, tak żywa w początkach 19-go wieku, upamiętniona nazwiskami Rzewuskiego i jego piewcy, Słowackiego, Polacy w wyprawie egipskiej Napoleona, szeroka fala wygnańców popowstaniowych z Bemem na czele, wreszcie mnożące się od drugiej połowy ubiegłego wieku podróże turystyczne — oto jego najważniejsze aspekty.

Autor zastrzega się w przedmowie, że książka jego „nie może z natury rzeczy rościć pretensji do wyczerpania tematu", nie bierzmy jednak tego zastrzeżenia zbyt serjo. Pewnie, przy szperaniu po starych drukach i herbarzach wyjrzałby może na światło dzienne ten czy drugi *eques Hierosolimitanus*; nowsze źródła, zwłaszcza rękopiśmienne, kryją jeszcze zapewne garść nazwisk pielgrzymów i turystów, ale sam obraz dziejowy podróży i jego proporcje z pewnością by się nie zmieniły. Warto tylko było wspomnieć, choć to nie Polak, o janczarze Miłoszu Konstantynowiczu z Ostrawicy, który z wojskiem tureckiem zapuszczał się aż po Eufrat, i zostawił w pamiętniku swoim [1] pierwsze w języku polskim, bo pisane koło 1500 r., wzmianki o azjatyckich prowincjach Porty. Do nowszych czasów wiadomości o kilku niewyzyskanych przez autora źródłach rękopiśmiennych przynosi Edw. Maliszewskiego *Bibliografja pamiętników polskich i Polski dotyczących* (1928); pod nr. 4525 wymienia ona *Pamiętniki* działającego przez wiele lat w Syrji Karola Brzozowskiego (w zbiorach rodzinnych) — autor posługiwał się tylko listami z bibljoteki w Rapperswilu — a pod nr. 4972 orjentalisty Antoniego Muchlińskiego „listy pisane ze Wschodu do Ignacego Pietraszewskiego w Konstantynopolu w r. 1843" (chyba 1833!), coprawda nie podając, gdzie się one obecnie znajdują, a tylko z powołaniem się na artykuł w *Kłosach* z 1877 r. Rzecz prosta, są to drobiazgi.

Cały bogaty materjał ugrupowany został przejrzyście, tak że przy zasadniczem dążeniu do pełni przedstawienia plastycznie rysują się poszczególne etapy dziejów podróży, a z tłumu pielgrzymów, wygnańców i turystów wyłaniają się charakterystyki ludzi naprawdę ciekawych. Charakterystyki te — to prawdziwa ozdoba książki. Mając w osobistych wspomnieniach (z podróży, odbytych w latach 1925 i 1926) najpiękniejszy sprawdzian szczerości i bogactwa wrażeń pamiętnikarzy, żołnierzy i misjonarzy, daje autor ich portrety niezmiernie żywe i wyraziste, okraszone często subtelnym a ciętym dowcipem. Do szczególnie udatnych należy charakterystyka niezwykle czynnego w pracy misjonarskiej i politycznej, pełnego temperamentu i projektów Jezuity Ojca Ryłły, twórcy do dziś istniejącego uniwersytetu św. Józefa w Bejrucie; pełen subtelnej ironji, pomieszanej z sympatją, wizerunek emira Rzewuskiego; krótki portret Sułkowskiego, z którego autor potrafił wydobyć to,

[1] Wydał go Łoś w akademickiej *Bibl. Pis. Pols.* nr. 63. Ob. też Fr. Bujaka *Studja geograficzno-historyczne*, Warszawa 1925.

co tak łatwo wymyka się z pod palców biografów, wielkość adjutanta konsula Bonapartego; wreszcie sylwetka Wł. Wężyka.

Ten Wężyk to wcale cenna zdobycz Bystronia. Historja literatury polskiej z prozą, zwłaszcza 19-go wieku, obchodzi się do dziś dnia trochę po macoszemu. Nic też dziwnego, że zapomniała zupełnie o autorze wydanych w Warszawie w r. 1842 *Podróży po starożytnym świecie*, „niewątpliwie najlepszej polskiej książki o Egipcie". Niezwykle spostrzegawczy, bystry, umiał Wężyk patrzeć na kształty i barwy (wiadomo, rzecz bardzo rzadka), wrażliwość na specyficzny koloryt Wschodu łączył z niepoślednim, mimo pewnej maniery, talentem literackim; krótko mówiąc, jest w ubogiej naszej literaturze podróżniczej zjawiskiem nieprzeciętnem.

Pochlebnej oceny doczekała się też *Peregrynacje do Ziemi Świętej* księcia Mikołaja Radziwiłła Sierotki. Mimo dużej popularności, sięgającej jeszcze daleko w wiek 18-ty, przekładów na niemieckie i rosyjskie, jest ona właściwie nowością wydawniczą. Do niedawna bowiem znaliśmy tylko przeróbkę łacińską ks. Tomasza Tretera, dopiero przed pięciu laty wydał oryginał Czubek w *Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce* (t. 15). Na tle dziwnie ubogiej, w porównaniu z masowemi wyjazdami zagranicę, literatury podróżniczej 16-go w.[1] prezentuje się *Peregrynacja* wcale okazale. Bogata w przygody, napisana przez człowieka bardzo ciekawego, o głębszej kulturze intelektualnej i artystycznej (ślady zainteresowania architekturą), z czasem zdobędzie niewątpliwie dla autora takie miejsce w literaturze zygmuntowskiej, jakie ma, w nierównie bogatszej pod tym względem literaturze elżbietańskie, Sir Walter Raleigh, czy Hakluyt.

Bardzo charakterystyczny dla powojennej zmiany stosunku uczuciowego do wielkiej poezji romantycznej jest rozdział o Słowackim i Zaleskim. Pielgrzymkę Słowackiego potraktował autor zlekka ironicznie, uważając ją za wyraz mody literackiej (Lamartine). „Jest moda podróży na Wschód, jest wogóle moda Wschodu, jest wreszcie moda na pobożność". A jej owoc, wiersze z Egiptu (wiemy dziś, dzięki Kleinerowi, że stanowią one niedokończony cykl *Listów poetyckich z Egiptu*) scharakteryzował bardzo ostro, podkreślił banalność myśli, szablonowość i ubóstwo obrazów. Sąd to tem bardziej godzien uwagi, iż wyszedł z ust człowieka, który tak swemi *Wspomnieniami syryjskiemi*, jak i wcześniejszem studjum analitycznem o *Wyobraźni artystycznej Bolesława Prusa* (*Przegl. Warsz.* nr. 11) wylegitymował się, że posiada zmysł wzroku szczególnie czuły i bystry. Prawda, żaden z monografistów poety nie uważał tych

---

[1] Opracował ją K. Hartleb. *Polskie dzienniki podróży w XVI w. jako źródła do współczesnej kultury*. Lwów 1920. Hartleb nie znał jeszcze wydanego w r. 1925 przez Czubka w temże *Archiwum* (S. II, t. I) *Anonima diarjusza peregrynacji włoskiej, hiszpańskiej i portugalskiej* (1595).

wierszy za arcydzieło Słowackiego,[1] ale „c'est le ton, qui fait la chanson". Zupełnie poważnie zato potraktował autor pielgrzymkę Bohdana Zaleskiego, owoc głębokiej i szczerej religijności.

Z miłem zdziwieniem dowiaduje się czytelnik o niezmiernie doniosłej roli cywilizacyjnej emigrantów polskich w Syrji. Oto cytowane przez Bystronia wspomnienia z podróży do Syrji w r. 1876 znakomitego historyka Aleksandra Jabłonowskiego: „Wszędy..., od Bosforu do Perskiej zatoki, wszerz i wzdłuż, pełno pamiątek i wspomnień ich światłej lub dobroczynnej działalności wszelkiego rodzaju, jako inżynierów, lekarzy, instruktorów i t. d.... Tu bowiem przeprowadzona była przez nich pierwsza droga bita w Anatolji, a przeprowadzone w gruncie plany wielu innych; poparta była czynną pomocą pierwsza tamże kolej żelazna od Smyrny; tam prowadzili oni linje telegraficzne i zarządzali niemi wszędy — od Damaszku, Diarbekru, Bagdadu. Przebywało się niejeden most przez nich zbudowany... Wzniesionym przez nich fortyfikacjom w wąwozach dzikich Tauru — jest się obowiązanym za możność bezpiecznego przebycia słynnych „wrót cylicyjskich"... Oni też dokonali na gruncie planu oczyszczenia bagnisk niezdrowych znakomitego pobojowiska pod Issus... Tu... oto usiłują wznowić zaniedbaną eksploatację sławnych w starożytności kopalń srebra pod Argana, w Kurdystanie, tam traktują z Beduinami pokolenia Szemmar o uspławnienie Chaburu, wpadającego w Mezopotamji do Eufratu. Nie kto inny też założył wzorową fermę gospodarczą w sędziwej Chaldei — w Feradżacie nad Tygrysem".

Obok postaci pierwszoplanowych nie tracimy z oczu szarej masy pielgrzymów i turystów, ciekawych dla swej typowości — autor jest przecie także socjologiem — nieraz zresztą bardzo charakterystycznych (np. bernardyn Koczur). I o nich opowiada autor zawsze interesująco, bez cienia pedantyzmu. Wszystko to razem sprawia, że książkę czyta się ogromnie żywo, lekko, chciałoby się rzec: jak powieść, gdyby nie to, że dziś — w epoce Proust'a i Joyce'a — byłaby to rekomendacja bardzo wątpliwej wartości.

Książkę ozdobiono mapą Palestyny z 16-wiecznego miedziorytu i szesnastoma rycinami. Z kilkoma wyjątkami, są to portrety pielgrzymów i turystów. Wielka szkoda, że nie zamieszczono rysunków na tematy wschodnie Stanisława Chlebowskiego, nadwornego malarza sułtana Abdul-Azisa. Reprodukcje kilku z nich podał swego czasu Mieczysław Treter w *Lamusie*. Są śliczne; rysowane z ogromną zamaszystością, pełne ekspresji, na długo pozostają w oku widza.

---

[1] Choć ostatni ich wydawca (*Dzieła wszystkie*, t. IX, Lwów 1929 twierdzi, że „w tych narzuconych sobie samemu ramach (klasycyzmu) potrafił poeta pokazać miarę genjuszu poetyckiego, że wspomnimy tylko o realności opisów, o mistrzostwie poety w operowaniu efektami świetlnemi, gdy maluje dwie piramidy..." (str. 157).

Pracę swą doprowadził autor do roku 1914. Gdyby omawiał czasy późniejsze, nie mógłby pominąć najwybitniejszych dzieł literatury podróżniczej lat powojennych: *Egiptu* Goetla i własnych *Wspomnień syryjskich.*

Wiktor Weintraub

DRAMAT O MAKRYNIE MIECZYSŁAWSKIEJ

Antoni Waśkowski, *Makryna,* dramat w 5 aktach z prologiem. Kraków 1929, nakł. S. A. Krzyżanowskiego

Książka ks. J. Urbana, obalająca legendę o Makrynie Mieczysławskiej, była aktem rzetelnej, choć przyznać trzeba, bolesnej rewizji. Ubrana blaskami przeżyć mistycznych Słowackiego w jego pięknej *Rozmowie,* wyrastała do symbolu potęgi duchowej, druzgocącej carat, w *Legjonie* Wyspiańskiego, i bezpieczna i dostojna zajmowała miejsce w narodowym pamiątek kościele. Prawie nagle ujrzeliśmy, zamiast uwielbionej zakonnicy-męczenniczki, wdowę po rosyjskim oficerze, kucharkę czy szafarkę u Bernardynek wileńskich, oszukującą z naiwną bezczelnością tysiące Polaków w Poznańskiem, czy we Francji. Zresztą po kilku latach nadmiernej popularności Makryna żyła długi jeszcze czas prawie w zapomnieniu i umarła w r. 1869. Wiadomo było też, że przed śmiercią trapiły ją przygnębiające wątpliwości. Żeby ją do przyjęcia ostatnich sakramentów usposobić, wiele musiał się natrudzić ks. Kajsiewicz.

Temat tak mocno zmieniony przez badania historyczne podjął obecnie Antoni Waśkowski, tworząc dramat Makryny, uwiedzionej przez pychę i pragnienie rozgłosu. Staje się ona narzędziem w ręku Szatana, pragnącego przy pomocy rzekomej męczenniczki obłąkać Polskę; z Lucyferem walczy Pustelnik, dostrzegający w Makrynie cuda fałszywych proroków, wszystko jednak nadaremnie. Makryna staje przed arcybiskupem Przyłuskim i tu wygrywa Szatan-Mnich decydującą bitwę; wszyscy obecni uwierzyli w nadziemską potęgę Bazyljanek. Arcybiskup ogłasza, że

„oto z północy zbiegła pokryjomu
do wiernych — wierna z krzyżem męczennica,
do grzesznych — prawdy głośna kazalnica,
do głuchych — słowo nieznane nikomu,
do ślepych — jasność, co oczy zachwyca,
do cichych — cicha biała gołębica...
do Polski — nasza patronka jedyna,
Żywa ofiara krwi — matka Makryna!"

Z takim stygmatem śpieszy Makryna do Paryża, i nic dziwnego, że przed jej trybunał zgłaszają się o pogodzenie dwaj reprezentanci emigracji: Czartoryski i Słowacki (Republikanin z Ducha). Ale ich sporu nie rozstrzygnie, obiecuje tylko zanieść sprawę Polski przed tron papieża. W Rzymie niepokoje duszne oszustki wzrastają; gdy Mickiewicz prosi ją o sztandar dla swego legjonu, wyznaje mu swe kłamstwo, ale daje mu płonącą chorągiew. Chociaż Makryna

jest pod nieustanną pieczą Lucyfera, to jednak wyrzuty sumienia rosną; decydująca walka następuje w akcie piątym, gdy Szatan wyjawia ks. Jełowickiemu — przed śmiercią Makryny — jej tajemnicę. Dawny i długoletni jej opiekun odchodzi, i zwycięstwo zła byłoby zupełne, gdyby nie zjawił się duch Pustelnika, otwierającego duszy zbłąkanej drogę do Boga.

Dramat duszy Makryny jest właściwie epizodem walki o Polskę obłąkaną za jej pośrednictwem przez Szatana, ale później, już od aktu trzeciego, gdy upojenie powodzeniem i sławą zaczyna u Makryny mijać, a odzywa się sumienie, interesujemy się więcej walką jej duszy o wyzwolenie, niż sprawą Polski. Ponieważ jednak Lucyfer, podobnie jak Masynissa Krasińskiego, ma swoje dalsze cele, niż Makryna, ponieważ u łoża konającej podkreśla, że „Polska kochanką moją jest i będzie, Polsce tak pięknie w błędzie i w obłędzie", więc też tem tłumaczy się tak wyraźna, może aż zbyt silna hegemonja Szatana nad duszą bohaterki. Blednie ona przez to zwłaszcza w momencie, gdy staje przed nią Mickiewicz; codopiero wysłuchać musiał dwóch kusicieli: hr. Henryka i Pankracego, których odpędzał mocnem słowem „Patrzę ku Polsce ponad głowy wasze", a od Makryny żąda błogosławieństwa dla nowego życia Ojczyzny. Tymczasem ta nowa Diotime załamuje się i wódz Legjonu musi „sam stworzyć sztandar nowego żywota".

Postać Mickiewicza w ten sposób ujęta rozsadza dramat o Makrynie, ale stwierdza zasadniczy charakter sztuki Waśkowskiego, wywodzący się z ducha Wyspiańskiego. Nie idzie mu bowiem tylko o rewizyjne przedstawienie sprawy Mieczysławskiej; podejmuje on walkę z czarem obłędu romantycznego, wiszącym nad Polską, której umysły mącą Hołysze i Warchoły (akt I). Prawdę posiada Pustelnik, w rozumie i we wierze prostej, i dlatego on zwycięża ten zamęt rozumów i serc, od którego nie jest wolny i Mickiewicz.

Dramat Waśkowskiego, zbudowany na konflikcie religijnym, chociaż walczy z urokami romantyzmu, staje jednak na gruncie religijnej wiary w Polskę żyjącą w sojuszu z Bogiem i stanowi piękny i ciekawy dokument religijnej sztuki. Podniesiono już (ks. Urban), że psychikę Makryny można ująć bardziej pospolicie, ale sposób przedstawienia Waśkowskiego, gdzie koło pseudo-zakonnicy rozgrywa się walka najtęższych duchów polskich o Polskę, ma szczególną wartość dramatyczną.

Franciszek Bielak

NOWE PISMO PACYFISTYCZNE

Die Zeit, Organ für grundsätzliche Orientierung, herausgegeben von Fr. Wilhelm Förster. Zeitbücher-Verlag. Berlin Jahrgang I. 1930.

Fr. Wilhelm Förster, długoletni redaktor i wydawca pacyfistycznego miesięcznika *Die Menschheit,* autor wielu prac z dziedziny socjologji, członek Polskiej Akademji Umiejętności i niestru-

dzony bojownik idei zbratania wszystkich narodów, wydaje obecnie nowy dwutygodnik pacyfistyczny p. t. *Die Zeit*. Gorący przyjaciel Polaków, broni interesów Polski z fanatycznem wprost przejęciem, we wszystkich swoich artykułach, w których porusza kwestje międzynarodowe, chociaż — jak sam pisze w słowie wstępnem pierwszego zeszytu — stoi on na stanowisku czysto niemieckiem („grunddeutsch") i w wyżej wymienionem piśmie pragnie przedewszystkiem zajmować się problemem ustosunkowania się współczesnych Niemiec do Europy, oraz Europy do Niemiec. Niemieckość wszakże Förstera nie może mieć nic wspólnego z niemieckością Stahlhelmu. Przeciwnie, pragnie on przywrócić narodowi niemieckiemu jego dawne znaczenie historyczno-kulturalne, nie oparte wszakże na „prawie pięści", ale na jakiemś jakgdyby mesjanicznem posłannictwie, dzięki któremu Niemcy powinny pierwsze wystąpić z gotowością całkowitego rozbrojenia i, w pełnem poczuciu swej winy, powinny bezwarunkowo starać się obecnie wyrzeczeniem się chęci odwetu naprawić tę straszną zbrodnię, jaką była wielka wojna, przez nich spowodowana. A jednak Niemcy obecne w dalszym ciągu zagrażają pokojowi Europy. Z tego założenia wyszedłszy, wykazuje autor całym szeregiem artykułów, bądź pióra własnego, bądź najbliższych mu współpracowników (np. Hansa Schwann'a, prof. Roberta Michels'a itd.) absurdalność i zbrodniczość niemieckich dążeń odwetowych, ich domagania się rewizji granic, naruszania traktatów itd.

Przechodząc następnie do kwestji wychowania, kładzie on w pierwszym rzędzie nacisk na konieczność uspołecznienia przyszłych pokoleń, t. zn. każe wyrabiać w nich ofiarność i poszanowanie dla ludzi innych ras i wyznań oraz zrozumienie dla ich potrzeb i ideałów, chociażby nawet te ideały i potrzeby nie leżały ściśle w interesie jednego narodu. Praca nad szczęściem całości wymaga wielkich ofiar i ciężkich poświęceń — dlatego do niej stanąć powinni ci wszyscy, którzy szczerze potępiają wojnę, gardzą zaszczepianiem nienawiści narodowej w niewinne serca szkolnej młodzieży.

Gorący przyjaciel Ligi Narodów, ubolewa, że dzięki fanatyzmowi i małoduszności poszczególnych państw, oraz głęboko zakorzenionej wyraźnej niechęci do wzajemnej współpracy dla dobra ludzkości, pojętej jako całość, Liga celów swych nie spełnia; usiłuje przekonać nas, ile dobrego Liga ta mogłaby zdziałać dla spokoju świata, gdyby reprezentanci wszystkich narodów więcej okazali dobrej woli w tym kierunku, a mniej szowinizmu i obłudy.

Poglądy Förstera, wypowiedziane na łamach wyżej wymienionego czasopisma, chociaż napewno spotkają się u niejednych z wielkiem oburzeniem, jako niedość patrjotyczne i nieklerykalne — powinny jednak wywołać żywy oddźwięk w sercach tych wszystkich, którzy służąc swojej ojczyźnie i swojej religji, pragną jednocześnie służyć całej ludzkości i jednemu Bogu. Głęboka religijność, poparta

artykułami tak głęboko chrześcijańskiego uczonego, jakim jest Hans Schwann, przebija poprzez wszystkie karty tego pisma; powinna uspokoić tych, którzy może w pacyfiźmie Förstera zechcą się dopatrzeć masonerji, filosemityzmu, czy nawet komunizmu. Förster bowiem, przejęty sam gorąco duchem chrześcijańskim i opierając ściśle na Ewangelji wielką ideę miłości bliźniego, dla której przeprowadzenia poświęcił całe swoje życie, staje ponad wszelkie poszczególne wyznania, aby utrwalić i pogłębić wiarę w jednego Boga — tak jak wychodzi poza ramy ciasnego patrjotyzmu regjonalnego, aby wywalczyć pokój dla całej ludzkości. Pragnęłabym szczerze uspokoić trwożliwe umysły i zalecić im przejrzenie bodaj pierwszego numeru *Die Zeit*, a jestem przekonana, że wkrótce pismo to, służące najszlachetniejszym ideałom ludzkości i religji, znajdzie także w Polsce liczną rzeszę czytelników.

Helena Mysłakowska

KWESTJA ŻYDOWSKA W POLSCE

Georges Gliksmann, *L'aspect économique de la question juive en Pologne.* Rieder, Paris 1929, str. XXVIII i 196 (z przedmową prof. Liebmanna Herscha)

Po rozwianiu się złudzeń, jakoby zespolenie w Palestynie większości rozprószonych po świecie Żydów było rzeczą możliwą, rozwianiu zupełnem, bo, jak się zdaje, Palestyna wchłonąć może najwyżej 5—6 tysięcy kolonistów rocznie, podczas gdy przyrost naturalny Żydów wynosi rocznie około 150.000 głów, — politycy żydowscy zmuszeni zostali do rewizji dotychczasowego programu. Wobec faktu dalej, że i inne tereny emigracyjne są zamknięte lub ograniczone, zwracają się zainteresowania w stronę krajów „diaspory", a więc Polski, skupiającej na swojem terytorjum około trzech miljonów ludności żydowskiej

Za wyraz tych żydowskich nastrojów możnaby uważać wydaną w Paryżu książkę Jerzego Gliksmanna o sytuacji ekonomicznej Żydów w Polsce. Powinien przeczytać ją każdy, kogo kwestja żydowska interesuje. W pierwszej części daje ona historyczny rzut oka na położenie Żydów na ziemiach dawnej Polski, w części drugiej, dotyczącej Polski współczesnej, zawiera bogaty materjał statystyczny opracowany głównie ze spisu ludności w roku 1921 oraz pobocznie z ankiety *Joint Distribution Committee* z tegoż roku.

P. Gliksmann stwierdza, że położenie większości ludności żydowskiej jest ciężkie, by nie powiedzieć tragiczne. Utrzymanie swoje czerpie ona w 33·8% z przemysłu, a w 41% z handlu. Na sto mieszkańców Polski żyjących z handlu, wypada 70·5% Żydów. Są to oczywiście w ogromnej przewadze drobni handlarze właściciele kramów, którzy jedynie dzięki niesłychanej abnegacji mogą utrzymać siebie i rodzinę. W drobnej jedynie mierze jednostki, które

dzięki wrodzonemu sprytowi, oraz często niezupełnie uczciwym spekulacjom, zdobyły sobie lepsze stanowisko.

W przemyśle Żydzi w znikomej jedynie mierze uczestniczą czynnie w wielkich instytucjach: 50% przedsiębiorców żydowskich pracuje bez pomocnika, 22·5% zatrudnia jednego robotnika, 17% 2—3 robotników, a jedynie 0·4% ponad 16 robotników. Również w nieżydowskich fabrykach procent robotników żydowskich jest minimalny. Zatrudniają Żydów przedewszystkiem przemysły: konfekcyjny i żywnościowy, w którym pracuje blisko $^2/_3$ żydowskiej ludności przemysłowej, a w stosunku do ludności nieżydowskiej odsetek Żydów w przemyśle konfekcyjnym stanowi $^2/_5$, a żywnościowym blisko $^1/_3$. Przemysł żydowski centralnych i wschodnich województw poniósł szczególnie dotkliwy cios przez utratę rosyjskich rynków i często przybiera kształty suchotniczego przemysłu chałupniczego.

Te wschodnie rynki posiadają dziś jeszcze wielką siłę sugestywną dla polityków typu p. Gliksmanna. Mówię polityków, bo p. Gliksmann w części ostatniej swego dzieła przechodzi od ekonomji do polityki, a nawet uważa, że „w dziedzinie polityki leży rozwiązanie ekonomicznego problemu żydowskiego“ (str. 184).

P. Gliksmann stara się być poprawnym, a nawet uprzejmym wobec polskiej opinji. Ton jego wywodów jest spokojny i rzeczowy, jak długo dotyczą one gospodarczej sytuacji Żydów; niestety, wykazuje p. Gliksmann powierzchowną jedynie znajomość naszej sytuacji gospodarczej i politycznej, wskutek czego wyrobił sobie fałszywy i polityczny pogląd na rolę czynnika żydowskiego w Polsce. P. Gliksmann robi wrażenie człowieka, który pisze o Polsce, mając doskonałe źródła przysłane kilka lat temu z Polski do Paryża, sam Polski nie zna i nie interesuje się jej sprawami, o ile nie dotyczą ściśle odcinka gospodarczej sytuacji Żydów.

Twierdzi zatem p. Gliksmann, że „polityka rządu polskiego ma kierunek czysto rolniczy“ (str. 164). Szukamy dowodów i znajdujemy zdania: „rząd faktyczny i siła finansowa należy w szerokim zakresie do szlachty ziemskiej i bogatych chłopów“ (str. 165), wobec czego oczywiście: „handel i przemysł prawie same ponoszą ciężar podatków“ (str. 165). Polityka rządu jednak tak jaskrawo faworyzuje rolnictwo, że „w przydziale kredytów państwowych miasta są na ostatniem miejscu“ (str. 165).

Na poparcie tego twierdzenia przytacza autor cyfry, które jaskrawo mają przedstawić owo upośledzenie miast: „Kredyty handlowe Banku Polskiego wyrażają się następującemi cyframi: w roku 1924, 1·1%; w r. 1925, 5·5%; w r. 1926, 5·3%; w r. 1927, 2·2%“. Cyfry te odpowiadają prawdzie, wymagają jednak komentarza, którego p. Gliksmann nie podaje. Miasta, to nietylko handel, ale jeszcze przemysł i banki. Co się zaś tyczy handlu, to korzysta on w znacznej mierze z kredytów państwowych pośrednio, w drodze redyskonta banków prywatnych, oraz partycypuje w kredytach przemy-

słowych, albowiem fabrykant, wyprodukowawszy towar, otrzymuje kredyt i z kolei sam kredytuje detajlistom. Ten stan rzeczy jest w znacznej mierze winą organizacji handlu, który nie daje dostatecznych gwarancyj dla Banku Polskiego, oraz braku w Polsce wielkiego handlu „en gros". Co się tyczy innych banków państwowych, to te, z natury rzeczy, operują przedewszystkiem kredytem długoterminowym, a więc nie handlowym.

Za ilustrację powyższych wywodów może służyć następujące zestawienie repartycji kredytów wekslowych Banku Polskiego z końca r. 1928, według podawców i według płatników:

Według podawców

Rolnictwo	około	17·5%
Handel	„	7·5%
Przemysł i górn. . . .	„	33·0%
Banki	„	42·0%

Według płatników

Rolnictwo	około	31·4%
Handel	„	38·4% [1]
Przemysł i górn. . . .	„	24·4%
Inne	„	6·2%

Widzimy zatem, że wprawdzie, według podawców, kredyty handlowe wyniosły tylko 7·5%, jednak kwota płatności handlowych jest o wiele większa dzięki udziałowi w kredytach banków i przemysłu.

Z wywodami co do „czysto rolniczego" kierunku polityki rządu nie warto polemizować, przeczą bowiem faktom powszechnie znanym i aż do znudzenia oświetlanym i komentowanym.

Mylne przesłanki prowadzą do mylnych wniosków. W kraju o tak niesprawiedliwym rozdziale dochodów, jak Polska p. Gliksmanna, wobec ponadto niezrozumienia grozy położenia przez rządzące i gnębiące sfery szlachty feodalnej („reforma rolna kilka lat temu uchwalona przez Sejm polski nie została wprowadzona w życie i szlachta zachowała własność ogromnych domen", str. 158), nie trudno przewidzieć rychłą rewolucję. P. Gliksmann wprawdzie nie wymawia tego słowa, nawet zachęca Żydów polskich do współpracy nad poprawą sytuacji ekonomicznej kraju, wzdycha jednak widocznie do sproletaryzowania masy żydowskiej, a nawet stwierdza, że „w ustroju kapitalistycznym niema miejsca na radykalne rozwiązanie żydowskiego problemu" (str. 18).

Roman Mazanowski

---

[1] Cyfra sztucznie nieco podwyższona przez wliczenie do handlu kredytów syndykatów rolniczych i węglowych.

U W A G I

OD REDAKCJI

Zeszyt l i p c o w y (99) wyjdzie w normalnej objętości i w normalnym terminie. Natomiast zeszyt s i e r p n i o w y i w r z e ś n i o w y (100 i 101) pojawią się d n i a 1 w r z e ś n i a, złączone w zeszyt o podwójnej objętości i poświęcone charakterystyce W ł o c h w s p ó ł c z e s n y c h. Do tego numeru nadesłali (specjalnie dla *Przeglądu Współczesnego* napisane) artykuły następujący autorzy: Ermanno A m i c u c c i (Sekretarz generalny Syndykatu Dziennikarzy-faszystów); Italo B a l b o (Minister Żeglugi powietrznej); Emanuele B a s i l e (Członek Dyrekcji Narodowej Partji faszystowskiej); Giuseppe B o t t a i (Minister Związków Zawodowych); generał Emilio D e B o n o (Minister Kolonij); Araldo D i C r o l l a l a n z a (Minister Robót Publicznych); Alberto D e S t e f a n i (Profesor ekonomji politycznej na uniwersytecie rzymskim, b. Minister Finansów); Mario F e r r a g n t i (Sekretarz Stałego Komitetu Zbożowego); Roberto F o r g e s - D a v a n z a t i (Członek Wielkiej Rady Faszystowskiej); Virginio G a y d a (Naczelny redaktor *Giornale d'Italia*); Giovanni G e n t i l e (Profesor uniwersytetu rzymskiego, Prezes Instytutu Kultury faszystowskiej, b. Minister Oświaty); Corrado G i n i (Profesor uniwersytetu rzymskiego, Prezes Centralnego Instytutu Statystycznego); Giovanni M a v e r (Profesor uniwersytetu rzymskiego); Alessandro M e l c h i o r i (Konsul Generalny Milicji Faszystowskiej); Alfredo R o c c o (Profesor uniwersytetu rzymskiego, Minister Sprawiedliwości i Wyznań Religijnych); Arrigo S e r p i e r i (Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Rolnictwa i Leśnictwa); Aldo V a l o r i (Redaktor *Corriere della Sera*).

TREŚĆ

TOMU XXXIII (1930)

PRZEGLĄDU WSPÓŁCZESNEGO

NR 96 (KWIECIEŃ)

ROBERT DE TRAZ	*Humanizm współczesny*	3
HENRYK BATOWSKI	*T. G. Masaryk a Polska*	24
FRANCK L. SCHOELL	*Czy prawdą jest, że Francuzi stronią od literatury polskiej?* . .	55
MIECZYSŁAW SZERER . . .	*Pamiętniki d'Abernona*	64
S. S.	*Pieniądz międzynarodowy*	72
ANTONI WAŚKOWSKI	*Z nieznanych autografów St. Wyspiańskiego*	85
KAZIM. ANT. ZDZIECHOWSKI .	*Uwagi o pięcioletnim planie industrjalizacji Z. S. R. R.*	93
GIOVANNI BACH	*Clarice Tartufari*	117

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY:

Kroniki: Kronika zagraniczna *(Henryk Dembiński)*. 121; Kronika polityczna *(Konstanty Grzybowski)*, 128. — Nowe wydawnictwa: Z nowszej literatury francuskiej o Ameryce (*Roman Dyboski)*, 132; Polska książka o Chestertonie *(Roman Dyboski)*, 143; Nowe studjum o Conradzie *(Manfred Kridl)*, 151; Z literatury historycznej *(Józef Feldman)*, 155. — Uwagi: Robert de Traz *(St. W.)*, 156; Franck L. Schoell *(St. W.)*, 160; Od Redakcji.

NR 97 (MAJ)

WACŁAW KONDERSKI . . . . . *Zagadnienia polityki kredytowej ze stanowiska meljoracji bilansu handlowego* 161

LEON CHWISTEK . . . . . *Zagadnienia kultury duchowej w Polsce (I)* 202

JAN SOŁTAN . . . . . *Drugi akt rewolucji rosyjskiej: socjalizacja wsi* 232

KAZIMIERZ CHODYNICKI . . *Zasadnicze składniki syntezy dziejowej Lelewela* 257

LIEBMANN HERSCH . . . . *Jeszcze o syjonizmie* 267

JÓZEF STAŃCZEWSKI . . . . *Trzy historje Polski napisane przez Portugalczyków* 289

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY:

Kroniki: Kronika zagraniczna *(Henryk Dembiński)*, 296; Kronika polityczna *(Konstanty Grzybowski)*, 303. — Obcy o Polsce: Polonika angielskie *(Juljan Krzyżanowski)*, 309. — Nowe wydawnictwa: Nowa książka o Józefie Piłsudskim *(Konstanty Grzybowski)*, 320; Z dziejów sztuki kościelnej w Polsce *(Tadeusz Szydłowski)*, 323.

NR 98 (CZERWIEC)

STANISŁAW WINDAKIEWICZ . *Jan Kochanowski* 325

STANISŁAW SROKOWSKI . . *Podział administracyjny Państwa a zagadnienie ustrojowe Polskiego Wschodu* 339

ROMAN DYBOSKI . . . . . *Lord Balfour* 372

JAN LACHS . . . . . *Lekarze-przyjaciele Jana Kochanowskiego (I)* 391

LEON CHWISTEK . . . . . *Zagadnienia kultury duchowej w Polsce (II)* 402

JAN WOJNAR . . . . . *Wybory prezydenta Brazylji w roku 1930* 421

KAZIMIERZ CHODYNICKI . . *Zasadnicze składniki syntezy dziejowej Lelewela (II)* 443

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY:

Obcy o Polsce: Polonika włoskie *(Roman Pollak)*, 455. — Kroniki: Kronika zagraniczna *(Henryk Dembiński)*, 469. — Nowe wydawnictwa: O Polakach na Wschodzie *(Wiktor Weintraub)*, 473; Dramat o Makrynie Mieczysławskiej *(Franciszek Bielak)*, 477; Nowe pismo pacyfistyczne *(Helena Mysłakowska)*, 478; Kwestja żydowska w Polsce *(Roman Mazanowski)*, 480. — Uwagi: Od Redakcji, 483.

Miej. Biblioteka Publ.

NR 97 (MAJ)

WACŁAW KONDERSKI . . . . *Zagadnienia polityki kredytowej ze stanowiska meljoracji bilansu handlowego* 161
LEON CHWISTEK . . . . . *Zagadnienia kultury duchowej w Polsce (I)* 202
JAN SOŁTAN . . . . . *Drugi akt rewolucji rosyjskiej: socjalizacja wsi* 232
KAZIMIERZ CHODYNICKI . *Zasadnicze składniki syntezy dziejowej Lelewela* 257
LIEBMANN HERSCH . . . . *Jeszcze o syjonizmie* 267
JÓZEF STAŃCZEWSKI . . . . *Trzy historje Polski napisane przez Portugalczyków* 289

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY:

Kroniki: Kronika zagraniczna *(Henryk Dembiński)*, 296; Kronika polityczna *(Konstanty Grzybowski)*, 303. — Obcy o Polsce: Polonika angielskie *(Juljan Krzyżanowski)*, 309. — Nowe wydawnictwa: Nowa książka o Józefie Piłsudskim *(Konstanty Grzybowski)*, 320; Z dziejów sztuki kościelnej w Polsce *(Tadeusz Szydłowski)*, 323

NR 98 (CZERWIEC)

STANISŁAW WINDAKIEWICZ . *Jan Kochanowski* 325
STANISŁAW SROKOWSKI . . *Podział administracyjny Państwa a zagadnienie ustrojowe Polskiego Wschodu* 339
ROMAN DYBOSKI . . . . . *Lord Balfour* 372
JAN LACHS . . . . . *Lekarze-przyjaciele Jana Kochanowskiego (I)* 391
LEON CHWISTEK . . . . . *Zagadnienia kultury duchowej w Polsce (II)* 402
JAN WOJNAR . . . . . *Wybory prezydenta Brazylji w roku 1930* 421
KAZIMIERZ CHODYNICKI . . *Zasadnicze składniki syntezy dziejowej Lelewela (II)* 443

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY:

Obcy o Polsce: Polonika włoskie *(Roman Pollak)*, 455. — Kroniki: Kronika zagraniczna *(Henryk Dembiński)*, 469. — Nowe wydawnictwa: O Polakach na Wschodzie *(Wiktor Weintraub)*, 473; Dramat o Makrynie Mieczysławskiej *(Franciszek Bielak)*, 477; Nowe pismo pacyfistyczne *(Helena Mysłakowska)*, 478; Kwestja żydowska w Polsce *(Roman Mazanowski)*, 480. — Uwagi: Od Redakcji, 483.

Miej. Biblioteka Publ.